

ZBIÓRKA OSOBNIKI 1983

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

INSTYTUT



LITERACKI

Wybór z rocznika

1983

CDN

Zagranicznym przedstawicielem
Wydawnictwa **ON** jest

PULS
publications

BCM Box 697
London WC1N 3XX
United Kingdom

red. Jerzy Giedroyc

KULTURA

Sztuka • Opowiadania • Sprawozdania

Wybór z rocznika

1983

INSTYTUT  LITERACKI

wydawnictwo 

Warszawa 1985

© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE S.A.R.L. 1983

Copyright by NOWA



Czesław Miłosz

DOSTOJEWSKI I SARTRE

Przypadkiem nie napiszę książki o Dostojewskim, nie jednak nie stoi na przeszkodzie, żeby opowiedzieć, jaka byłaby to książka. Nie rywalizowałbym w niej z umiłowaniem gruntownych monografii i bystrych analiz poszczególnych dzieł, natomiast zakładałbym pewną wiedzę o Dostojewskim u czytelnika, oświetlając tę postać i jej miejsce w literaturze światowej nieco inaczej niż jest to przyjęte. Być może właśnie ta inna interpretacja jest przyczyną, dla której pisanie o nim książki wydaje mi się zadaniem niebezpiecznym i niewdzięcznym.

Studiując Dostojewskiego i wykładając go amerykańskim studentom, nie mogłem nie zauważyć, że pisarz ten zadania się zależnie od tego, kto o nim mówi. Nie jest to chyba uwarunkowane przez dostojewskologów różnych narodowości, jako że pretendują oni do naukowego obiektywizmu, mimo że ich sympatie i antypatie nie są bez wpływu na metodę ich badań i ich wysody. Dzieje recepcji Dostojewskiego w ciągu stu lat, jakieś wpływały od jego śmierci mogłyby posłużyć na przykład następujących po sobie mądrom intelektualnych i wpływu różnych filozofii na umysły badaczy. Zostawiając tymczasem na boku autorów rosyjskich, można z grubszą rozróżnić kilka faz w recepcji Dostojewskiego na Zachodzie, począwszy od Z b r o d n i i k a r y czytanej w przekładach już w końcu XIX wieku i wysoko cenionej przez Nietzschego. Na ogół jednak tak zwana a z e s l a v e, której Dostojewski miał być wyrazicielem, była traktowana z lekką ironią, a krytyka francuska podżartowywała sobie z Soni Karmieladów, świętej prostytutki, jakby żywcem wziętej z sentymentalnej powieści.

Zwycięski pochód powieści Dostojewskiego przez kraje zachodnie w pierwszych dekadach dwudziestego wieku ma bezpośredni związek z odkryciem nowego wymiaru w ludzkich podświadomości, i kultura się dionizyjskich, w których jednoczą się Eros i Tanatos. Tym niemniej oprócz stawiany wtedy rosnącym wpływem rosyjskiego pisarza przez takich pisarzy jak Middleton Murry czy D.H. Lawrence jest zastanawiający. D.H. Lawrence powiedział o nim, że "zdmiewająca przenikliwość miesza się z niego z chyną perwersją. Nic nie jest czyste. Jego dziła wiążą do Jezusa miesza się z przewrotną i jadowitą niewiścią do Jezusa. Jego moralna odraza do diabła miesza się z utajonym uwielbieniem diabła".

Te głosy sprzeciwu ustąpiły wkrótce miejsca powszechnemu podziwowi i sława Dostojewskiego rosła równoległe do sławy Zygmunta Freuda. Co prawda Freud, który z powodów oczywistych uważał powieść o ojcobójstwie, Braci Karamazow, za największą powieść kiedykolwiek napisaną, pomylił się w swojej rozprawie o epilepsji Dostojewskiego, opierając się na błędnych szczegółach biografii pisarza, jak udowodnił Joseph Frank. Freudyzm, sinizm, w ciągu dekad, działał na prace Dostojewskim, w okresie recepcji jego dzieła, który można nazwać psychologicznym. Względnie krótkotrwała i trudna do wydzielenia była faza, kiedy badacze wprowadzali do swoich analiz filozofię egzystencji, żeby następnie zarzucić śledzenie myśli autora wypowiedzianego się przez usta swoich postaci i skierować całą uwagę na artystyczną budowę niezwykłych powieści Dostojewskiego, tak niezwykłych, że pytanie, czy nie oznaczały one końca powieści w ogóle, nie wydaje się bezpodstatne.

Moji studenci okazali się bardzo pojętni, kiedy zajmowałem się psychologią postaci albo kiedy starałem się im pokazać jak wiele z intencji autora odkryła metoda badań strukturalnych. Dość łatwo też, a nawet, jak to zwykłe ludzi wkładzi, z uciechą, przyswajali sobie rozbieżności pomiędzy dziełem i niezbyt pełną na kuchnię, jaką jest osobowość geniusza. Natrafiali jednak na Mopotta, kiedy przychodziło do pewnych faktów. Na przykład ten inc. im było zrozumieć, dlaczego Dostojewski kochał władzę autokratyczną, i to nie tylko wtedy, kiedy po powrocie z Syberii zmienił się z rewolucjonisty w konserwatystę. Szasany na śmierć z grupą 21 swoich kolegów, postawiony przed plutonem egzekucyjnym i w ostatniej chwili uwskawiony, co było kamedią z woli cara, na syberyjskim zesłaniu pisze trzy ody, jedną o wojnie krymskiej, z pogórkami pod adresem Francji i Anglii, drugą z okazji śmierci Mikołaja I, w której porównuje cara-tyranta do szczeniaka i mówi, że nie jest godziwy wynąć jego imienia / "ustami grieszonymi, j e w o n a z w a t n i e s m i e j u", trzecią na korencję Aleksandra II. Wiersze są bardzo złe i nie należy całkowicie wykluczać ubocznego motywu, t.j. chęci polepszenia swego losu, ale zgadzają się z tym, co wiemy skądinąd o poglądach i nastawie.

Ten szczegół biograficzny, jak i inne podobne, należy do strefy, gdzie drogi więkzości dostojewskologów przestają być moimi drogami, t.j. ku czemu innemu kieruje się nasza uwaga. Dla mnie Dostojewski jest najciekawszy jako człowiek, który miał w życiu tylko jeden prawdziwy romans, z Rosją, i który Rosję obrał za prawdziwą bohaterkę swoich utworów. Należy się zdziwić, że psychologią jego postaci i odkrycia w dziedzinie bazyki powieści czynią go pisarzem prawdziwie międzynarodowym, natomiast jego uwielbiam, jego uwielbienie tronu i oktarza, jego szowinistyczna nienawiść do katolików i Żydów, jego lpiny z Francuzów i Polaków zamykają go w kręgu jednego kraju. Moim zdaniem, tak nie jest, przeciwnie, im bardziej Dostojewski jest rosyjski, im bardziej ulega, z miłości do Rosji, fiobom i obsesjom, tym większa jest jego rola świadka całej intelektualnej historii ostatnich dwóch wieków. Powiedziałam przecież sama W s i e w b n d u s z c z e n s t o - l e t i i - "Wszystko zależy od następnego studium" - a daru przeważającego nie da mi się odmówić.

Jedną z podstawowych lektur w rodzinie Dostojewskiego była H i s t o r i a R o s j i Karolina i przyszyły pisarza znał ją od dziecka. Dzięki to widzi źródła wielkości Rosji w młodym nie ograniczonej władzy monarchów. Kiedy Dostojewski był więziony w Piotrogrowskiej twierdzy, napisał zesłania, w których przedstawił swoje poglądy na monarchię, broniące tak szczerze, że wyłączenie chęć uratowania własnej skóry nie mogłoby ich podrywać. Według niego rewolucja we Francji była koniecznością, natomiast w Rosji nikt przytomny nie może myśleć o republikańskiej formie rządów, ponieważ o nieznanych, zdaniem Dostojewskiego, dziejach Rosgorodnia Moskwa dostawa się pod jarzmo starskie wskutek osłabienia władzy królewska, została ocalkona przez jej wzmocnienie - tak jak później się dał jej "wielki pilet", Piotr Wielki.

W jaki sposób socjalista spod znaku Fouriera mógł tak pisać? Można to złożyć na karb typowego dla "dostojewszczyzny" rozwąszenia, bliżej jednak chyba byłoby tendency, socjalistyczna i autokratyczna, współistniały ze sobą u Dostojewskiego zawsze, zmieniały się jedynie akcenty. Jego kolega z kółka Pietraszewców, Mikołaj Danilewski przeszedł podobną ewolucję, ale jako chwalca caratu i teoretyk panslawizmu w swoim dziele *R o s s j a i E u r o p a* nie wyrzekł się socjalistycznych przesądów młodości, tylko włączył je do swojej totalitarnej doktryny.

Dostojewski myślał jak mąż stanu. W rozmowach toczonych na katorze w Omsku za najważniejsze zadanie stojące przed Rosją uważał zdobycie Konstantynopola. Dzieło jego dojrzałego wieku, poczynając od jego pierwszej podróży na Zachód, latem 1862 roku, tym się wyróżnia, że poprzednio był artystą, teraz natomiast artysta w nim i mąż stanu pracują razem. Jego książki opisują sytuację duchową inteligencji rosyjskiej, stają się kroniką jej przemian duchowych z dekadą na dekadę, nawet z roku na rok. I stawiają zasadnicze pytanie: co te przemiany oznaczają dla przyszłości Rosji, czym jej grożą. Nie będzie wiele przesady, jeśli powiemy, że jest w nich coś ze śloucha, przeprowadzono przez niezwykłe inteligentnego sędziego śloucha, który wie czego szukać, to sam jest samarytanielem i okrutnym.

Inteligencja rosyjska w powieściach Dostojewskiego dyskutowała o państwowych problemach egzystencji ludzkiej, bynajmniej nieobcych bohaterom powieści. Wschodniej czy w jej osiemnastowiecznej odwołanie czy też romantycznej, np. u George Sand. Nigdzie indziej jednak dyskutować nie stawiają sprawy tak ostre i nie wyciągają tak skrajnych wniosków. Przytaczają oni w dramatycznym sposób to, co również młodego bohatera *Z b r o d n i a i k a r y*, Raskolnikowa, Nizanczina, nazwał "śmiercią Boga". Przy czym ateizm nie jest bynajmniej prywatną sprawą jednostki, jak najbardziej interesuje się władzę, ponieważ ateista z reguły staje się rewolucjonistą, potwierdzając tym drogę prekursora pokoleń inteligencji rosyjskiej Włassariona Bieliłskiego. W *Z b r o d n i a i k a r z e* obrodnia Raskolnikowa ma charakter niejako autotesty. Błądząc raz za o wielkim czynie rewolucyjnym, które ma usprawiedliwienie dostarczyłaby historia. Jest w swoich poglądach i aspiracjach zupełnie osaczony: z jednej strony sięga władze reprezentowane przez oficera policji Porfiriego, z drugiej lud rosyjski. Kiedy jest na zesłaniu na Syberii, współwyznawcy, przesi chłopcy, chcą go zabić, bo jest ateistą. Tak więc już *Z b r o d n i a i k a r a* zawiera formułę władzy całej dojrzałej twórczości Dostojewskiego. Obroną i ostoją Rosji są władze państwowe oraz szczerze pobudzony, jak Dostojewski wierzył, lud rosyjski, natomiast inteligencja jej zagroza. Jak zagroza, pokazała powieść *B i e s y*. Pośród zdumiewających przenikliwością diałoz w tej powieści być może najgłębiej sięga okrzyk starego wojskowego, który przysłuchiwał się rozmowie o tym, że nie ma Boga: "Jeżeli nie ma Boga, to jaki ze mnie kapitan?". Człowiek ten uchwylił związek pomiędzy religią i źródłami władzy. Nie należy zapominać, że inteligencja rosyjska karmiła się wolterianizmem i rozważaniem o rewolucji francuskiej. A ścieżki Ludwika XVI tylko dzisiaj wydają się jednym z sensacyjnych wydarzeń, w jakie obfituje historia, ani mniej ani bardziej ważnym od innych. W istocie był to koniec porządku opartego na przekonaniu, że król rządzi, ponieważ jest nosicielem Boskiej woli, a nie si rządzi z jego uprzedzenia. Odstąpił należek szereg innych źródeł władzy - choćby w spisku kierowanym przez jednego człowieka, Piotra Wierchowickiego, jak w *B i e s a c h o*. Powieść, która miała w intencji autora koronować jego dzieło, *B r a c i a K a r a m a z o w a*, ma za przedmiot bunt synów przeciwko ojcu. Pojawia się przy tym pytanie czy fakt, że ojciec jest sły i niemoralny, nie obala automatycznie jego autorytetu. Iwan Karamazow odpowiada na to "tak" i obiera tę wypowiedź za podstawę buntu zarówno przeciwko ojcu jak Bogu-Ojcu. *B r a c i e K a r a m a z o w s a* w istocie traktatem o obaleniu przez inteligencję rosyjską autorytetu Boga-Ojca, cara-ojca i ojca rodziny.

Intelektualiści zachodni, pisząc o Dostojewskim, stale zdumiewają się, że człowiek również głęboko wnikający w psychikę swoich postaci mógł mieć poglądy tak re-

akcyjna. Starają się te poglądy usunąć z pola widzenia, w czym pomaga hipoteza o "rolifoniczności" powieści Dostojewskiego. Pomijają jednak różnicę, jaka dzieli ich od tego rosyjskiego pisarza. Żeńca w nich, w swoich rozprawach czy powieściach, nie obraża za centrum swoich zainteresowań troski o interes państwa. Przeciwnie, są oni uczuciowo po stronie tych postaci, które istniejący porządek chcą obalić. Natomiast dla Dostojewskiego Rosja jako państwo nie czegazeta tylko pewnego terytorium zamieszkałego przez Rosjan. Od Rosji zależała przyszłość świata: od tego czy zostanie ona zarażona ideami ateizmu i socjalizmu przychodzącymi z Zachodu, tak jak już została zarażona jej inteligencja, czy też carat i pobożny lud rosyjski zdokąd ją uratować ją, powołana do ocalenia ludzkości. Alena Karpuzowa, w dalszych tomach niedokończonych powieści, miał reprezentować nowy typ działacza, pracującego w harmonii z wiarą ludową.

W swoim słowianofilskim idealizowaniu rosyjskiego ludu Dostojewski się pomylił. Nie znalazł jednak żadnej innej nadziei i dylemat przedstawiał się jasno: jeżeli "Święta Rosja" nie zdoła się oprzeć, inteligencja zwróci się niej, co bohaterowie B i e s y zaczęli realizować w skali jednego prowincjonalnego miasta. W drugich dziełach recepcji Dostojewskiego w różnych krajach, następuje, jeżeli chodzi o zrozumienie jego intencji, należy postawić grupę rosyjskich filozofów działających w początku XX wieku, zwłaszcza ich wypowiedzi w zbiorze W i o c z i /1902/ i I s g z a b d i n y /1918/. Według nich, proroctwa Dostojewskiego, w negatywne, zaczęły się spełniać. Helma powiedział, że nie powinno to dziwić, skoro byli przeciwnikami rewolucji. Ale opinia spełniania się proroctw Dostojewskiego była rozpoznawana również wśród rewolucjonistów i 1905 i 1917 roku. Wielbiciele powieści B i e s y byli pierwsi komisarz cwiasty po Rewolucji Październikowej; Łana - czarski.

"Trudno nie widzieć w Dostojewskim proroaka rosyjskiej rewolucji - piszek w 1918 roku Mikołaj Bierdiejew. - Rosyjska rewolucja jest przepojona tymi zasadami, które przeczuwał Dostojewski i których dał genialnie ostrą diagnozę. Dostojewskiemu dane było przeniknąć do głębi dialektykę rosyjskiej rewolucyjnej myśli i wyodrębnić z niej istotne wniosek. Nie pozostał na powierzchni społeczno-politycznych idei i struktur, sięgnął w głąb i wyjawiał tę prawdę, że rewolucja rosyjska jest zjawiskiem metafizycznym i religijnym, a nie politycznym i społecznym. Tak to udało mu się poprzez religię dotrzeć do istoty rosyjskiego socjalizmu".

Rosjanie rozumieli polityczną troskę Dostojewskiego ponieważ, jak on sam, myśleli w sposób p a d s t w o y, to znaczy przywiązywali wagę do następstw takiej czy innej idei, jeżeli chodzi o byt państwa, czy to antyrewolucyjnego czy rewolucyjnego. Ich zachodnich kolegów zajmowała jednostka, nie Francja, Anglia czy Ameryka. Co prawda rozpowzechniło się wśród nich w ciągu XX wieku przekonanie, że szanujący się intelektualista traktuje istniejący porządek społeczny, kapitalistyczny, jako przejściowy i po cichu czeka na jego koniec. Edukując podobieństwo postaw inteligencji rosyjskiej, opisanych przez Dostojewskiego, i postaw intelektualistów zachodnich sto lat później prowadzi do wniosku, że niepokój o przyszłość Rosji pozwolił mu opisać zjawiska o ogromnym wymiarze, zarówno przestrzeni jak czasu.

Termin "intelektualiści zachodni" jest niewątpliwie zbyt ogólny i narzucający na nieporozumienie. Gdyby jednak wybrać postać, która by ogniskowała ataki zwykle łączone z tym terminem, należałoby się na pewno zwrócić do Jean-Paula Sartre'a, którego postać jest nią Jean-Paul Sartre, używany niekiedy w literaturze XX wieku. Co w nim uderza, to że sam co u jego rosyjskich poprzedników niezwykła i n t e n s y w n o ś ć w dyskusowaniu idei. Europejski przewrót umysłowy rozpoczynający się w XVI wieku dotarł do Rosji ze znaczącym opóźnieniem i wykształceni zaczynający się w XVI wieku dekad przyswoili sobie idee, które w zachodniej Europie kształtowały się stopniowo, w ciągu kilku stuleci. Stąd zapewne wyjątkowa siła i jawność tych idei, które w dodatku nie natrafiały w dobrze rozwinięty, o rozlicznych funkcjach, organizm społeczny. Z powodów zastępujących na osobną analizę w XX wieku powstało w krajach Zachodu specyficzne v a c u u m, w którym został zamknięty intelektualista, smujący swoje koncepcje poza jakąkolwiek kontrolą ze strony społeczeństwa.

atojewskiego są wyrwani z tej tkaniny codziennego życia, która ich mniej rozgar-
niętemu otoczeniu zapewnia spokój małych dążeń i małych osiągnięć. Religia i ka-
lendarz obrzędowego roku nic ich nie obchodzi, moralność tradycyjna jest odrzuco-
na, bogactwo się jako cel jest dla nich wstrętne i nieskuteczne, pieniądze zdobyć
można przez zbrodnię, zbieg okoliczności, spadek, grę w ruletkę, lichwę, nigdy
przez pracę. Rosja, ta zwyczajna, poddaje się pewnemu rytmowi obyczaju, oni nato-
miast są zamknięci w zaklętym kręgu swoich umysłów i oddają się rojeniom o swojej
wyjątkowej roli jako potencjalnych zbawców ludzkości. Są dotknięci chorobą niewy-
starzalności życia i Dostojewski próbuje nazwać to t a e d i u m v i t a e,
zwłaszcza u postaci silnych, powołanych do zaangażowania, ale z niedzierną intro-
spekcją do niego niezdołnych, jak Swidrygajłow czy Stawrogin.

Prawdopodobnie choroba ta, przybierająca w naszym stuleciu charakter masowy w
miarę postępów wykształcenia, nie ma dotychczas wystarczająco dokładnej diagnozy.
Przyczyna jej trzeba, jak się zdaje, szukać w osłabieniu percepcji bytu czy też w
koncepcji bytu jako absurdu. Koszmary, jakie nawiedzają Swidrygajłowa i Stawrogina
dążyły się sprawadzić do L a n a u s e e, jak nazwała się powieść Sartre'a sprzed
jego licznych rewolucyjnych zaangażowań. L e t r e e n s o i, czyli cały świat
poza ludzki, nie budzi u Sartre'a uczuć pietyzmu i zdziwu jak dawniej na przykład
choćby u Goethego, przeciwnie, napiera na niego swoim brakiem sensu i zmusza do u-
cieczki w sferę ludzkich działań. Jest to więc kwestia metafizyczna. Niejeden chrze-
ścijański działacz zdziwili się, gdyby mu powiedziano, że "Wolter XX wieku" nie tyl-
ko był okazywy dla intelektualistów niechętnych religii, ale zapowiadał przemiany
odrywające się wewnątrz kościołów. Gdyż jeżeli kościoły od pewnego czasu gorliwie
poszukują szlachetnych społecznyc h c a u s e s, których mogłyby służyć, dzieje się
to być może dlatego, że w odczuciu i hierarchii niechętnych religii, i wierznych, metafizycz-
na strona chrześcijaństwa wyparowuje, zostawiając po sobie tylko zespół wskazań
o współżyciu ludzi z ludźmi.

U Dostojewskiego przedstawiciele inteligencji albo żyją w podziemiu, albo jaw-
nie przecistawiają się społeczeństwu. Raskolnikow nie uznaje za swoją winę zabój-
stwa lichwiarki i jej siostry, za winę uznaje swoją słabość, wskutek której został
pokonany przez społeczeństwo. Po pierwszej, sentymentalnej fazie swego pisarstwa,
kiedy bohaterami jego byli "biedni ludzie", Dostojewski wprowadza podział na świa-
domych i innych, na niższym szczeblu świadomości, i tylko ci pierwsi go fascynują,
aż po, ku jego własnemu przerażeniu, niemal identyfikację z Iwanem Karamazowem i
jego opowieścią o Wielkim Inkwizytorze. Niestety, trzeba stwierdzić, że ów podział
na wtajemniczonych i resztę jest całkiem istotny dla następców rosyjskiego rodow-
jenia w naszych czasach. Być może nieostrożnością ze strony Simone de Beauvoir, to-
warzyszki Sartre'a, było nazwanie powieści o ich środowisku L e s K a n d a -
r i n s o. Nie będzie wielkiej przesady jeżeli powiem, że poczucie przynależności
do wybranych jest bardzo podnoszące na duchu, do wybranych t j. tych, którzy przeni-
kają sekret procesu historycznego i znają przyszłość. Łączy ich wtedy już nie wie-
ra, ale wiedza, szczególnie g n o s i s, która pozwala wydawać sądy dedukowane z
rzekomo niewaruszonych przesłanek, bez traski o dotykającą a zbyt przyziemną dla
filozofa racjonalność.

Ce oznacza ta szczególna mutacja bohaterów Dostojewskiego, których rysy możemy
dostrzec w innym społeczeństwie i innej epoce? Jeżeli inteligencja rosyjska stała
się prekurem inteligencji europejskiej i amerykańskiej, to na jakiej zasadzie?
Dlaczego ekspert - to wszystko czym karmiła się wykształcona Rosja, łącznie z
wzorem literackim Dostojewskiego, było ekspertem z Niemiec, z Francji, z Anglii-
dlaczego ekspert przyczynił się do zbudowania takiego lustra? Przychylniejsi się
uważać, że społeczeństwa, jeżeli są do siebie podobne przez swoje formy gospodarki,
ustroju, rozwarstwienia społecznego, znajdując też podobne środki wyrazu w filozofii,
w literaturze, w sztuce. Przekonanie to zdaje się należeć do tej części marksistow-
skiego dziedzictwa, która stała się wspólną własnością. W czym jednak carska Rosja,
z jej podziałem mieszczańskim na klasy zapisywane w państwowych rejestrach, ze skraj-

na centralizacją władzy, z ogromną niepiśmienną masą chłopską może przypominać rozwinięte kraje Zachodu w drugiej połowie XI wieku? Czy by, jak już wspominałem, aż do tego czasu nie było na Zachodzie odpowiednika rosyjskiej inteligencji, t.j. specyficznej warstwy oddzielonej od pospolitych zjadaczy chleba, cierpiącej z tego powodu i wyznaczającej sobie szczególną prometejską rolę? Czy też trzeba po prostu przyjąć tezę, że idea mają swój żywot autonomiczny i że są ważniejsze niż różnice gospodarcze i ustrojowe? Gdyby tak było, rozpadnięcie się metafizycznego fundamentu i władzy i indywidualnej etyki, to co Nietzsche nazwał "śmiercią Boga", było na Zachodzie przez długi czas i dobrze znane i przesłaniwane, to sama złożona praxis gospodarczego wzrostu odsuwała na bok takie problemy. W pewnym momencie nagle pojawiły się one na powierzchni, co zbiegło się z kryzysem parlamentaryzmu.

Działalność terrorystycznych grup w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, takich jak The Weatherman czy Symbionese Army w Stanach Zjednoczonych, Czerwone Brygady we Włoszech itd. oznacza, tak jak w B i e s a c h, że zakwestionowana została prawność władzy. Tam, w Rosji, grupa Nieczajewa, która przez Dostojewskiego dostojewskiemu materiału do powieści, odrzucała prawność władzy monarchicznej i całego systemu wspartego na jej sakralności. Tu, na Zachodzie, przyszła kolej na władzę powołaną w wyborach. Oczywiście, rewolucjonści wiedzą, jaka jest "prawdziwa" wola ludu w odróżnieniu od tej pozornej, siebie radeńsiadającej, i działają w imieniu tej "prawdziwej".

Fascynujące zbieżności motywacji tych grup z motywacjami, jakie znajdujemy w B i e s a c h - jak też znaczne różnice, przede wszystkim ze względu na udział mass-media - nie skutki budaj żadnego powiesciopisarza, co być może dowodzi, że powieść przestaje reagować na wypadki z domeny życia publicznego, porażając się w skrajną subiektywizację. Dostojewski B i e s y pisał na gorąco, kiedy jeszcze toczył się proces grupy Nieczajewa. Jest jednak też inne wytłumaczenie tego braku zainteresowania literatury wydarzeniami o wielkiej, bądź co bądź, wadze. Dostojewski myślał o przyszłości Rosji i niebezpieczeństwie, jakie jej zagraża, myślał jak obrońca porządku, dajmy na to dobry prokurator. Powieść jego zaraz po ukazanin się oburzyła inteligencję postępującą jako nasakali na rach rewolucyjny. Sympatie światłej opinii publicznej zwracali się bowiem ku młodym buntownikom różnego pokroju, których otaczał nim bohaterstwa i męczeństwa, i których procesy zmieniały się w procesy wytoczone ustrojowi. Powiesciopisarz, który by dzisiaj obrał za swój temat skłótną analizę myślenia i zachowania się jakiegos grupy terrorystycznej, parzyłby się na zerał, że jest zwolennikiem istniejącego porządku. On uważał za niewybaczalny grzech wśród ludzi na pewnym myślowym poziomie. Zwany, że ustraszenia dla terrorystycznej działalności dostarczył pisma filozofa, Jean-Paul Sartre a, Herberta Marcuse i innych - zakazano działalności w skali państwa, na przykład ludobójstwa stosowanego w Kambodży przez wychowanków Sorbonny, jak uprawianej przez siatki organizacji podziemnych. Trudno więc, skoro tak wielu ludzi intelektu jawno nie albo po cichu sympatyzuje z terrorem, żeby zdefinił się na jego obraz wielostronny ale negatywny, jak to zrobił Dostojewski w B i e s a c h. Zresztą w swoich czasach Dostojewski też musiał wyznaczyć się z konców obowiązujących inteligencję. Na próżno szukalibyśmy podobnych ujęć pod piórem pisarza w rodzaju Casanova. Wypada więc odejść od przyjętej opinii, jakoby geniusz zasiedział w Dostojewskim pomimo jego poglądów reakcyjnych. Raczej odwrotne twierdzenie okazuje się prawdziwe: był wielkim pisarzem, ponieważ miał coś w rodzaju jasnowidzenia, a ten dar zawdzięczał swojej reakcyjności.

Cytowany już przeze mnie Mikołaj Bierdziejew ostrzegł u Dostojewskiego zrozumienie procesów sięgających głębiej niż stosunki społeczne i polityka. "Dostojewski znakomicie odziedziczył antropologiczne konsekwencje faktycznych idei" - powiada. Dostojewski przewidział, że rewolucja w Rosji będzie ponura, okrutna i mroczna, że nie przyniesie odrodzenia ludowi. Wiedział, że wybitną rolę będzie w niej odgrywał Fiedka kryminalista i że zwycięstwo będzie należało do Szagalowa. Oczywiście, nie możemy dzisiaj nie zapytywać siebie, czy diagnoza Dostojewskiego, poczęta z lęku o Rosję, nie zawiera przepowiedni dotyczących również Zachodu.

Można z łatwością przyjąć założenie, do którego skłania zresztą ewolucjonizm, wykładany w szkołach i na uniwersytetach, że istnieją prawidłowości rozwoju historycznego i że podobieństwo postaw inteligencji rosyjskiej XIX wieku i postaw dzisiejszej inteligencji na Zachodzie należy do takich właśnie prawidłowości, dając jako wynik tam upadek caratu, tutaj zbliżający się upadek ustroju opartego na wolnych wyborach. W wypowiedziach bohaterów Dostojewskiego nie było miejsca na demokrację. Raskolnikow wierzył w dyktatorskie rządy wielkich ludzi, teoretykiem grupy rewolucyjnej w B i e s a c h staje się logiczny w swojej obronie powszechnego niewolnictwa Szizalew, natomiast potężny umysł filozofa, Iwan Karamazow, obiera Wielkiego Inkwizytora za opiekuna ludzi, którzy nie zasługują na nic lepszego, bo są krnąbrnymi dziećmi i zostawieni sobie nie umieliby się rządzić. W istocie "L a v o l e n t é g é n é r a l e" Rousseau nie mieści się w horyzontach tych marzycieli. W odrzynie do demokracji, utożsamianej z mieszczańską przeciętnością zgodni są oni z samym Dostojewskim, który szwajcarski kanton Uri kojarzy w B i e s a c h z samobójstwem Stawrogina, a Amerykę w Z b r o d n i i k a r z e z samobójstwem Seidryzajkowa.

Dziewiętnasty wiek na Zachodzie żyje triumfem nowej idei, ludu jako źródła władzy, skoro nie istnieje już, po ścięciu Ludwika XVI, inne źródło, nadanie przez Boga. Antymonarchizm staje się częścią wolnościowej retoryki. W Stanach Zjednoczonych, które powstały z buntu przeciwko autorytetowi króla Anglii, rówieśnik Dostojewskiego, Walt Whitman, pisze poezję jakiej nigdy nie było, poezję obywatela, równego wśród równych. Można zdumiewać się szybkością, z jaką ten cały nurt przybiera na sile i nęknie, ustępując miejsca w następnym stuleciu jadowitym kpinom z wolnych wyborów i powołanych przez nie iab ustawodawczych, jak też z niezawisłego sądownictwa. Obierając Jean-Paul Sartre'a za model, znajdujemy w nim przejście do innej retoryki, retoryki Rewolucji, która ma to do siebie, że całkowicie pomija kwestię źródeł władzy, ce w praktyce prowadzi do dyktatury nielicznych "wiedzących", rzekomo działających w zastępstwie ludu, a poszczególnego człowieka pozbawia tej ochrony, jaką dawają niezawisłe sądy.

Tak więc demokracja została opuszczona przez najbardziej reprezentatywnych intelektualistów, podobnie jak carat został niegdyś opuszczony przez rosyjską inteligencję. Wyciąganie stań wniosków na przyszłość bytoby kuszące, łatwo tu jednak ulec oczywistościom tylko pozorym. Inteligencja rosyjska była izolowana wśród niepiśmiennych mas chłopskich, które doprowadzały ją do rozpacz jako siła inercyj. Przygoda w świadomości Dostojewskiego za jego młodości na tutaj nie tylko anegdotyczne znaczenie. Pietraszewski, założyciel kółka, za udział w którym Dostojewski trafił na Syberię, jakiś czas przedtem skłotył dla swoich chłopców wzorowy falanster według recepty Fouriera. Chłopi budzyki falansteru spalili.

Izolacja intelektualisty w XX wieku ma inny charakter. Pismo Sartre'a L e s T e m p s K o d e r n e s natrafiało na publiczność, która mogła je czytać, ale nie chciała, woląc ilustrowane magazyny, komiksy, telewizję. Powszechne dążenie do konsumpcji, postępy medycyny, p e r m i s i v e s o c i e t y wprowadziły zupełnie nowe dane do rachunku, tworząc rodzaj miękkiej substancji, przeciwko której są wyderzona pióra intelektualistów i bomby terrorystów. I właśnie ta substancja wydate się czymś trwałym, od czego nie ma odwrotu.

Niezależnie od wszelkich analogii, różnice pomiędzy Rosją Dostojewskiego i dzisiejszym Zachodem są. zaiste, zbyt poważne, także jeżeli chodzi o przeszłość historyczną poszczególnych obszarów, zawsze obecną i działającą w dniu dzisiejszym. Funkcja słowa pisanego i przenoszących przez słowo idei była zawsze w Rosji inna niż w krajach zachodnich. Ta skłonność społecznego organizmu, która, w przeciwnieństwie do Rosji, gdzie jej nie było, wchłaniała na Zachodzie i resorbowała przeróżne truciizny, nadal istnieje, przybierając, jak się zdaje, coraz to mniej ideologiczne postacie.

Odrodzenie się w XX wieku "przeklętych problemów", z którymi borykają się bohaterowie powieściopisarza z zafascynowanej Rosji uraga wszystkim co wiezy o "prawdowościach historii". Być może więc szukania znaków jutra w tak nieoczekiwanym zjawisku byłoby mnożeniem paradoksu przez paradoksa. Tym niemniej nie ma nigdzie takiego opisu podstawowych napięć i konfliktów XX wieku, jak w Legendzie o Wielkim Inkwizytorze Dostojewskiego. Rosyjscy wielbicielowie pisarza uważali ten tekst za równy sile Ewangelii i Objawieniu św. Jana, czyli tak głęboko sięgający w sedno kondycji ludzkiej, że nigdy nie straci aktualności. Jednakże jego apokaliptyczne rysy mogły tylko razić w wieku, kiedy tekst został napisany, w wieku nieapokaliptycznym, przeciwnie, pełnym wiary w Postęp. Co pierwszym czytelnikom wydawało się tylko przeżajacą i niejasną fantazją, dla nas nabrzo dobitności rzeczy dotykanych. Gdy Wielki Inkwizytor w tej prapowieści występuje jako ten, który wie, że człowiek nie może być wolny, że jest czcicielem bogów, a jeżeli nie ma bogów, to kłamie się idolem i w ich imię jest zdolny do największych okrucieństw. Człowiek potęga autorytetu i bei się walnego wyboru. "On jest sżaby i podły - mówi Inkwizytor. - Cóż z tego, że teraz wszędzie buntuje się przeciwko naszej władzy i dumy jest ze swego buntu? To дума dzieci, które się zbuntowały w klasie i wygnazy nauczyciela. A przecie nadzieje kros upojeniu dzieciątek i będzie ono droge je kosztowało. Zburzą świętynie i krowa należą ziemię. Ale przekonają się wrzescie, głupie dzieci, że chodzą buntownikami, są buntownikami bezsilnymi i że nie potrafią wytrwać przy swoim buncie." W tym sformułowaniu zawiera się tak wiele, że tekst staje się prawie niezgodnym do rozwikłania: Dostojewski jako zwolennik władzy autokratycznej cart i przeciwnik rewolucjonistów niepostrzeżenie przechodzi w Dostojewskiego, który ma protegnąć do Chrystusa za to, że nie zaprowadził Królestwa Bożego na ziemi. Najważniejszą chyba wnioskem legendy jest stwierdzenie, że ludzie są zbyt głupzi, żeby mogli wznieść się ponad prawa Natury, że natomiast jest pod kontrolą "wielkiego ducha niebytu" czyli diabła, toteż kto chce ludźmi rządzić, musi powziąć taką decyzję jak Wielki Inkwizytor, tj. z nim współpracować.

"Kultura", styczeń-luty 1963

Czesław Miłosz

Alain Besançon

DRUGIE MILCZENIE KOŚCIOŁA

Podobnie jak w religii, w polityce trzeba mieć nazwać przeciwnika. Trzeba go nazwać, aby przedmiot sporu był klarowny a cel walki jasno wytyczony, a także dlatego, że nazwanie go po imieniu będzie pierwszym dowodem odwagi i trzeźwości, które wreszcie umożliwią i spór, i walkę. Można by w tym miejscu zrobić zastrzeżenie, że chrześcijaństwo, z zwłaszcza zmiłb chrześcijański ma smych przyjać, skoro wien "kochać nieprzyjaciół swoje". Nic nie wydaje mi się równie zgubne jak takie pomieszenie kategorii. Niekaż kochania nieprzyjaciół, ponadto, jak słusznie uprzednio rozrózniczenia między przyjaćmi a nieprzyjaćmi. Ponadto, jak słusznie pisze św. Tomasz, nie jest miłosierdziu równie wstrętne jak kochanie nieprzyjaciół jako nieprzyjaciół. Znaczy to bowiem "miłość do zła bliźniego", a "miłość do zła w bliźnim", i oto ześlizgujemy się z zasad Ewangelii w stronę pacyfizmu Tokotaja albo masochizmu Dostojewskiego, z którymi się je niekiedy wyli /p. SUMMA IIa, IIae, qu 25, ad 3/. Jednak to pomieszenie kategorii nie jest bez udziału w upokarzającym strachu, jaki wpocili nam nasi główni wrogowie, wabraniający nam nazwać ich pełnym głosem wrogami. Bessz strach idzie w ten sposób na konto miłosierdzia.

W głębi serca każdy wie, kim są główni wrogowie rodzaju ludzkiego w XX wieku: hitlerowski nazizm i leninowski komunizm.

Kościół miał dość czasu, by nie tylko nazwać, ale wręcz wykrzycać ich imię w czasach, kiedy ich nacisk nań nie był jeszcze zbyt silny; taki był cel obu ency-

klki ogłoszonych w odstępie pięciu dni w 1937 roku. D i t r a n s a k c j a s t a r i s t o k o m u n i s t o w i M i t t b r a n n e n d e r S e r g o w o h i t l e r y n m / . Wówczas nie było jeszcze możliwe pełne rozpoznanie tych dwu plag tak trudnych do ogarnięcia umyślnie, bo wykraczających w znaczeniu ogólnie poza obręb tego, co ludzkie, a także dlatego, że nie rozwinęły jeszcze w pełni swych skrajnych wyrażań, jeśli idzie o hitlerizm. Kiedy jednak niebezpieczeństwo narodziło się, zamiast kontynuować analizę, by postawić przed całym światem jasną diagnozę, stanął niezmyślny paradygmat. Zapomniawszy miłosć, lub raczej bez następnego po sobie miłosć. Pierwsze jest skryte. Nam na myśl miłosć pontyfika wyznającego, niemal na pewno poinformowanego / podobnie jak również miłosć Roosevelt i Churchill / o "ostatnim rozwiązaniu kwestii żydowskiej". Jest jednak i drugie miłosć, to, które Kościół zachowuje od 1964 roku, gdy papież Pius XII w słowach nie pozostawiających wątpliwości potępił komunizm, a 22 listopada zażądało, by został dopięty "jako taki" w dokumencie secherym, z powołaniem na wyjaśnienia jeszcze przez historię potępienia ich nie została uwaga poddana pod dyktando, milująca gdzieś, przepada, i od tego czasu wamp słowo "komunizm" zamknęło z dokumentów Kościelnych. Minęło prawie dwadzieścia lat. Przez ten czas komunizm dokonywał na ziemi coraz głośniejszych, powszechnie znanych zbrodni, niekiedy przyznawali się do nich sami ich sprawcy. Ideologia komunizmu pod różnymi formami przetrwała do czasu Kościół, do jego myśli, jego języka, jego klery. Im obywateli komunizm była agresywniejsza, groźniejsza, straszniejsza, tym bardziej nazywane go go izidm. Jan Pius II chwycił się przez obangkionie wspomnieć po kacie inię Lenina. Odtąd napadła jeszcze głębsza ciama.

Kiedy się jednak wstrząsania dotrą do równie fundamentalnego w swym polu widzenia, wypada się cały obraz, zdeformowany nieochronnym promienowaniem punktu ciemności. Stwierdzić to można na wieloletnie sposoby.

I

Miłosć wymaga uzasadnienia. Istniała coś, co prajęta nazywać "społeczna doktryna" Kościoła, wypracowana głównie za pontyfikatów Leona XIII i Piusa XII. Zwykle ona przeciwstawiała sobie nawzajem dwa kierunki równie sprzeczne z doktryną Kościoła, liberalizm nowoczesnych systemów politycznych i socjalizm, rodzący w tych systemach i pragnący je zreformować. Wychoćby te Kościół utrzymał, deformując ją i amplifikując, aby odpowiedzieć na wyzwania komunizmu. Kościół miłosć uznał, że należy potępić po równi, s y m e t r y c z n i e, "kapitalizm" i bolszewicki "socjalizm". Nie zwrócił przy tym uwagi, że wchodzi w ten sposób do wiadomości świat ideologii. W rzeczywistości dualizm ideologiczny dzieli świat na dwie antagonistyczne rzeczywistości, z których jedna ma scharakteryzować przed drugą. Te dwie rzeczywistości określa się mianem kapitalizmu i socjalizmu. Naprawdę jednak oba te pojęcia, dalekie od objęcia pełnego obrazu rzeczywistości, granicy nie przecladają rozpoznanie jej. Kapitalizm, spontaniczny, nieokreślony, funkcjonowanie nowoczesnego społeczeństwa nie da się sprowadzić do pojęcia kapitalizmu, które tylko w ideologii marksistowsko-leninowskiej ma prapojęcie konotacje. Greczech pojęcie kapitalizmu jest jego niewystarczalność. Idei socjalizmu zaś abstrakcyjnie nie udało się uchwycić w życie. Społeczeństwo socjalistyczne nie istnieje, istnieje tylko ideologiczna dominacja partii nad zróżnicowanymi i autonomicznymi realnościami społeczeństwa. Greczech pojęcie socjalizmu jest jego okrośzalność. Utopia w władzy pozostaje utopią ogromny aparat służący materialnemu, intelektualnemu, mu i duchowemu zwiastaniu bezczasnie stare się nadać pozory realnego istnienia cześci, co nie istnieje.

Jest więc bardzo niepokojące, że hierarchia Kościoła podjęła te dyktando i przeprowadza swoje reżym ontologiczny równanie między naszym światem, naszym światem kapitalistycznym, a światem zwanym socjalistycznym. Jeśli uznał, że socjalizm istnieje, powołany on jest do tego samego co wszelki świat pod niewymiar do poddania się prawu Bohemur należy go zatem a w y t r a c i e. i k z e r o p r a j m u j e się go a l e t e t r a, jako określenie już zrealizowany projekt ustanowienia na ziemi "sprawiedliwego społeczeństwa", jedynie możliwa krytyka wobec niego jest wskazywanie na jego odstępstwa od pierwotnego zamierzenia. Kościół patrzy więc

taczał wobec niego zarzuty z dziedziny "praw człowieka", żądał odeń większej wierności własnym zasadom i projektom społecznym i domagał się zgody na "duchowy suplement", jakim byłoby uznanie religii. Tym sposobem Kościół kompletnie mija się z celem. O komunizmie należał powiedzieć nie, że jest niesprawiedliwy, tyranizujący i ateistyczny, ale przede wszystkim, że jest **f a k s z y w y**. że nie istnieje, że jest kłamstwem podniesionym do wyżyn zasady porządkowej. Sam fakt przyjęcia za dobrą monetę, choćby dla celów krytycznych, jego projektu etycznego, jego pretensji filozoficznych czy jego "dokonań" równoznaczny jest z przyznaniem mu konstytucyjnej ortologicznej, której nie posiada, i prowadzi do tego, co Sekseniuty słusznie piętnuje jako **o s o b i s t e u c z a s t n i c t w o w k ł a m s t w i e**, niczym wracalnie następstwo wobec ideologii. Jeśli z drugiej strony sprowadzić nasz świat do pojęcia "kapitalizmu", niezliczonych niesprawiedliwości, które się w nim co dzień zdarzają nabierają sensu i znajdują przyczynę kapitalizm. Jeśli zatem uznamy, że kapitalizm /a nie nasz frakcyjny świat, dla którego nie jest on wystarczającą definicją/ istnieje, trzeba go przezwyciężyć. Kościół wysunie więc wobec niego sądzenia znaczenie radykalniejsze niż wobec socjalizmu, jeśli bowiem kapitalizm istnieje, jest z natury swojej niesprawiedliwy. Wymag się zatem będzie do zmiany jego "struktury", z natury "niesprawiedliwych" i "nie do zaakceptowania". W ten sposób dokonamy dalszego kroku w stronę ideologii. Socjalizm wymaga poprawek, a kapitalizm zmiany w gruncie rzeczy socjalizm nie budzi niczego innego.

Choć na wstępie może na wyciąganie tabliczki wyników, choć spór nie jest jeszcze zamknięty, skutki błędnego punktu wyjścia można dostrzec w finale polskiej rewolucji.

Rzecz nie w tym, by w najczarniejszych latach stalinizmu Kościół polski nie był zdolny do trafnej diagnozy. W swym oświadczeniu na soborze 20 września 1965 roku przyznał kardynał Wyszyński dowodząc, że ten sposób mówić o **j e d n y m ś w i e t e** nie wczesnym, skoro istnieje i inny "świat ukstałotyczny wedle zasad **d i a m a t u**" /**d i a l e k t i c z e s k i j m a t e r i a l i z m**/. Jak widzimy, Wielki Kardynał nie odrzuca socjalizmu żadnej, ale to żądanej konsystencji. Nasz świat nie jest podzielony na dwoje, ale nie stanowi też **j e d n o ś c i**, ponieważ pewna jego część została odeń odseparowana i przekształcona przez ideokratyczną partię "zgodnie z zasadami **d i a m a t u**". Socjalizm nie istnieje, zamiast niego powstało natomiast **p a Ń s t w o d i a m a t u**. Nie sposób jednak, dorozumiewając, zażądać przytoczenia czy podpisać jakiegokolwiek umowy z **p a Ń s t w e m d i a m a t u**, ponieważ neguje on istotę prawa: "Prawa osoby ludzkiej są całkowicie podporządkowane celom rewolucji. Jednak nawet tak ujęte nie są one niczym innym, przeciwnie, są funkcją woli klasy panującej z mocą prawa. **D i a m a t** podważa i odrzuca wszelkie stałe normy prawa i wszelkie stałe zasady. W świecie, którym rządzą nie istnieją ani ład społeczny, ani nietykalne zasady, ani odwieczne idee.../ Pojęcie prawa ustępuje w nim przed pojęciem celu, który usiuguje środki, z przemocą i zniewalaniem słabnie. W chwili gdy **d i a m a t** osiąga swój cel, porzuca środki, które straciły rację bytu. Dział służą jako oręż w walce, jutro się je odrzuci. To samo dzieje się z umowami, układami czy konwencjami podpisywanymi ze względu politycznych, ale bynajmniej nie traktowanymi przez świat **d i a m a t u** jako wiążące, podczas gdy druga strona uważa się na wszelkie zobowiązanie. Uгода między Kościołem a **p a Ń s t w e m d i a m a t u** sięga Kościół, wcale natomiast nie wiek państwa i chwila, gdy osiągnie swój cel, którym jest zniewolenie Kościoła. Wszelka zawarta umowa ma dla państwa wartość wyłącznie praktyczną, neutralizuje przeciwnika, wcale natomiast nie ma siły prawa. Przechwiliw natomiast, czyli Kościół, na honorowy obowiązek dotrzymywania obietnic. Tym sposobem jeden układ z **p a Ń s t w e m d i a m a t u** nie zapewnia Kościołowi bezpieczeństwa. Nie istnieje żadna norma prawa, zabezpieczająca człowieka dale przed złamaniem jej jutro. W tych warunkach liasz się tylko jedno: autorytet moralny Kościoła, wiara i stałość wiernych".

Warto by wycytować dłuższy fragment tego oświadczenia, wyłożonego pod znaczącą kopułą, bo stanowi ono chyba pierwszy jawniejszy widzenia, na jaki kiedykolwiek zdobył się duchowny władze duchowne w obliczu tak śliskiego wroga.

Kiedy się zaczęła polska rewolucja, ta szlachetna walka społeczeństwa cywilnego o wymarcypowanie się od państwa diamentu, przed przywódcami jej zarysowały się dwie drogi. Pierwsza polegała na publicznym oświadczeniu, że socjalizm nie istnieje, jego ideologia jest jałowa a władza bezprawna. Taka droga wystawiałaby Polaków na duże ryzyko. Istniały jednak pewne szanse, że zadając przeciwnikowi cios w serce, ogłaszając publicznie, że król jest nagi, uda się nim zachwiać. Jeśli nie, uwolnione by przynajmniej zmobilizowane masy od ciężaru kłamstwa, które im się klei do skóry i przywrócono by im godność i prawdę. Inna droga, ta, która w zasadzie wybrana polegała na praktycznym poszerzaniu obszaru wolności społeczeństwa cywilnego. Dokonywano rewolucji nie nazywając jej po imieniu, w nadziei że podane zaszczerpanemu naciskowi państwo diamentu zrezygnuje ze swej monopolistycznej wszechwładzy i zadowoli się ograniczoną sferą administracji. Bezpośrednie ryzyko takiej drogi było niewątpliwie mniejsze. Istniały jednak inne, nie mniej groźne niebezpieczeństwa. Po pierwsze: wywołanie spod władzy, której rządy oparte są na dyktacie kłamstwa, martwotcie języka i kontroli nad Słowem dokonuje się przez prawdę, powrót do żywego, spontanicznego języka, odzyskanie przywrócenia słów. Jeśli tego zabraknie, zamaza się masy do "osobistego uczestnictwa w kłamstwie", co je oszabla, dezorientuje i atomizuje, nawet jeśli doskonale widzą, jaka jest prawda. Po drugie, przyznanie państwu diamentu choćby cieniem tytułu do nazywania się "socjalistycznym" wystawia nas na walkę faktyczną niepojemni, które wypaczą świadomość celu batalii. Dowagając się uparcie dążyć u z władzami, zaczyna się koniec końców tygiel nadzieje. Ze zda się skłonić partię komunistyczną do utracenia się z dobrem narodem polskiego i postrzeżenie walkę między polskimi społeczeństwami i międzynarodowym ruchem komunistycznym jako konflikt między polskimi narodem i imperium komunistycznym odpowiada prawdzie. Doszedłszy do punktu, w którym poprzez nieustanny "dialog" udało się przeciwnikowi zmniejszyć siły, przystąpić do negocjacji, przystąpić tylko skłonić walczyć i ratować życie, kiedy przeciwnik okazuje się silniejszy i postanawia skłonić z tą zabawa. Można poświęcić życie dla prawdy /nazywa się to uczestnictwem/ a dla wolności /wówczas nazywamy to męstwem/. Jednak w ustroju tego typu uczestnictwa wolności tożsamy jest z rewizjonizacją prawdy. Jeśli rezygnuje się z prawdy, wolność traci sens, a cena jej wydaje się wygórowana.

W dzień po /wojskowym/ ataku partii i zżwawieniu Solidarności nap. Główny, nowy prymas Polski, ostrzegł prawd zbyt silnym oporem. Może to nie przynieść rezultatu, bo władza w stanie wojennym nie jest - jak powiedzieliśmy - władza dialogu, przynajmniej w zasadniczej części władza władze, że wyjątkowo stawia wyjątkowo pod dyktando jest wyjątkowo koniecznością. Jest natomiast najlepszym zła świadomym najwidoczniejszego. Przejmując prawdziwość takiego rozumowania, przystępny człowiek poprzestaje się nowej sytuacji /zawzięcie z 13 grudnia 1981/.

Rozumowanie jest prostsze państwo diamentu stanowi część wspólnego dobra społeczeństwa. Kardynał Hlondziak w 1966 roku, że "państwo diamentu w żadnej mierze nie służy wspólnemu dobru. Jako pojedynek wspólnego dobra woli się sędzi i boscialeznie i nie może stanowić nowej granicy człowieka i państwa". Tymczasem Konferencja Episkopatu Polskiego oświadcza natychmiast po wywołaniu w obręb "działalności ograniczonych przez obywatelskich", że "obecni również prymas jako wspólnego dobra". Tę samą kwestię diamentu diamentu, o której mówił kardynał. Apoteozie wzięli się do Nowina /zawzięcie/ w dniu prawdy, do zaprowadzenia korpusek politycznym zmianą ogłaszenia. Tymczasem podlegały błędnemu dialog z państwem komunistycznym, oberkał nie godzi się ono na wywołanie wyżej wymienionym i pragnie sędziąć społeczeństwa. Jedyną co pozostało to tygiel pod dyktando, indywidualnie biologicznie życie, bez prawdy, która wadaże od kłamstwa tygiel ludzkiego.

Ponieważ takie kapitulacje trzeba uważać, prymas woli pogrubić dalszy kraj i oto oświadcza: "To nie, że ktoś może Kościół oskarżać w totalitaryzm, a kłamstwo, o rozumowanie radykalnych nastrojów. Kościół broni każdego życia

ludzkiego, a więc w stanie wojennym będzie wołał, gdzie tylko może, o spokój, o zaniechanie gwałtów, o zaangażowanie bratobójczych walk. Nie ma większej wartości nad życie ludzkie!''.

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Ani przez sekundę nie zarzucał prymasowi jego polityczną, decyzją koniunkturalną: historią ją osądzić. Ja sędzię jej nie zamierzam. Powodowany duszpasterską troską, chcący uniknąć masakry prymas miał prawo błagać swój naród, by nie stawał do broni. Ale jako biskup nie miał prawa przeciw tego błagania twierdzeniem, że zgodnie z zasadami chrześcijaństwa życie ludzkie jest najwyższą wartością. Pismo święte uczy wprawdzie, że życie ludzkie jest wielką wartością, uczy jednak także, że należy umieć je poświęcić w imię wartości odeń wyższych, takich jak zbawienie duszy czy wiara w prawdziwego Boga. Gdyby życie ludzkie i pokój były wartościami najwyższymi, Juda Machabeusz nie byłby wiecznie przywoływany jako wzór. Poza poświęceniem się dla celów wyższych ludzie mogą też narażać życie dla celów ziemskich. Kościół nie tylko nigdy nie potępiał walki pro a r i s e t f o c i s, zbrojnej walki na śmierć i życie w obronie honoru, sprawiedliwości i tego minimum wolności, bez którego nie ma godnego życia ludzkiego; ale wręcz przeciwnie, pochwalał ją. Walka przeciw niaczeniu lub wypaczeniu Stworzenia jest słuszną; bowiem Stworzenie jest dobre.

Jak było możliwe przejście od problematycznej decyzji politycznej do kategorięnego stwierdzenia fałszywej zasady?

Sądzę, że przypisać je należy znowu uporczywemu milczeniu na temat komunizmu i usprawiedliwiającej symetrii z kapitalizmem, w jakiej się go plasuje. Obdarzony tym samym stopniem rzeczywistego istnienia co nasz świat, "socjalizm", jak wszelka rzecz pod słońcem, nie może być absolutnie zły. A skoro samo jego istnienie nie stanowi, jak się zakłada, zagrożenia dla natury i zbawienia człowieka, nie ma powodu zwalczać go z narażeniem życia. W ten sposób życie, którego bydlęcego poniżenia w socjalizmie nie chce się przyznać, staje się najwyższą wartością.

Znany i inne zastosowanie tej zasady, tym razem na skalę planetarną, w postaci inspirowanego przez Kościół ruchu pacyfistycznego. Spór wokół broni nuklearnej doszedł w tej chwili w Stanach Zjednoczonych do apogeum, sięgając w dziedzinę etyki i teologii. Jeśli dobrze pojmuję, biskupi amerykańscy rozumują jak następuje: wojna obronna jest zasadną, jeśli zastosowane środki są proporcjonalne do celu. Tymczasem broń atomowa wprowadza dysproporcję między środkami a celami. Jest to broń absolutna, której użycie może uzasadnić tylko zło absolutne. "Socjalizm" nie jest złem absolutnym, a "kapitalizm" /czyli nasz normalny, rzeczywisty świat/ ze swymi nadużyciami i niesprawiedliwościami nie jest absolutnym dobrem; i jeden i drugi są dobrem i złem względnym. Zatem broń nuklearna nie może być uznana za dopuszczalny oręż w walce między nimi.

Jeśli chodzi o konflikt podobnej natury jak np. w XIX wieku między Francją a Niemcami, rozumowanie to byłoby poprawne. Pomija ono jednak zasadniczą asymetrię, której niewątpliwym dowód wszak istnieje: prawo a ściślej mówiąc obowiązek zniszczenia "kapitalizmu", jaki sobie zawsze uzurpował komunizm, czyli prawo do zniszczenia rzeczywistego świata wszystkimi dopuszczalnymi środkami z bronią atomową włącznie, jeśli tylko będzie to militarnie możliwe a politycznie wskazane. Nie istnieje symetria między tym co jest - choćby było niedoskonałe - a agresywną nicnością. Jeśli Kościół z drugiej strony przyzna rację Celsusowi i Machiawellemu i uchyli się od swego obowiązku: bycia d e f e n s o r e m c i v i l i t a t i s, p o l i s w obronie własnej odwróci się od Kościoła. Uchybiania naturze nie uchodzi bezkarnie.

Powiedziałem wyżej, że utrzymywanie punktu ciemności w środku pola widzenia całe je w końcu wypacza. Milczenie Kościoła draży go i powoli wyprowadza na manowce. Ontologiczne równanie czy też symetryczne przyrównanie kapitalizmu do so-

cializmu, będące u zarania niczym innym jak fałszywą interpretacją rzeczywistego faktu, wpływa w końcu na całość systemu teologicznego i godzi nawet w depozyt wiary. Nazwijmy to wypaczenie po imieniu: chodzi o spirytualizm.

Intelektualna i uczuciowa struktura spirytualizmu najlepiej pasuje do odmowy stawiania kwestii komunizmu i do symetrycznego widzenia świata. W wielkim porzywie humanistycznym pozwala ona zaprzeczyć podziałowi świata, z egzaltacją witać jego stopniową unifikację i zarastanie się różnych jego części. Encyklika Gaudium et spes, która zawiera skądinąd wiele cennych myśli, oświadcza z ni to saint-simonowski, ni to teilhardowski entuzjazmem: "Dzięki mnożącym się środkom wymiany między narodami rodzina ludzka zaczyna stopniowo czuć i kształtować się jako wspólnota w tonie wszechświata" /33, § 1/. I dalej: "W ten sposób rodzi się powoli bardziej uniwersalny typ cywilizacji /u n i v e r s a l i o/, który sprzyja jedności rodu ludzkiego i odzwierciedla ją przez sam fakt poszanowania dla odrębności każdej kultury" /54/. Przeciwno tej właśnie globalizującej filozofii protestował Wielki Prymas, zwracając uwagę uczestników Soboru na nieodwracalne rozdarcie jakie w ten sposób jednoczący się świat wprowadza państwo diablematu. Otwierając czule ranioną na przyjęcie całego świata, spirytualizm pozwala go zarazem krytykować, ale z pozycji jedności i znów symetrycznie. Zarzuca mu mianowicie, że holduje materializmowi. Materializm jest jeden, tak jak i świat, choć ma dwa oblicze, teoretyczny materializm świata socjalistycznego i praktyczny materializm świata zachodniego. Ten paralelizm o zadziwiającej naiwności sprowadza więc do wspólnego mianownika materializmu teorię markizmu-leninizmu i nadzierną pogonią za dobrami materialnymi, powszechną w naszym zachodnim świecie /byłoby ona również powszechna w świecie socjalizmu, gdyby istniały tam dobra materialne/, Pomieszcano w ten sposób dwa różne porządki, z których jeden wymaga krytyki intelektualnej, a drugi krytyki moralnej.

Komunizm na takiej krytyce uderzyć nie może: dokonał on zniszczenia materii na skalę nie spotykaną dotychczas w historii. Pochwały tego spirytualizmu praktycznego słychać czasami z ust kompetentnych dostojników Kościoła, którzy w obliczu tamtego świata, wypranego nie tylko ze sbytku ale i z towarów pierwszej potrzeby, pozbawionego bogactw, urody, prawdy i prawa zapewnijają, że katwiej tam o prawdziwe "chrześcijaństwo" niż w naszym świecie, przekazywanym "materią". Natomiast w nasz świat krytyka ta uderza z całą mocą, atakując jego materialną naturę, jego prawdziwy charakter, jego integralność rzeczy stworzonej. To co niegdyś kontemplowano z radością jako twór Boga spirytualista uważa jedynie za haniebny niedmiar materii. Bogactwo przyznawane /i rozdawane/ niegdyś wśród dziękiżyciowych modłów, staje się wstydliwym i bezprawnym i u p o d i m a n t u m; wkrótce i zwykły dostatek spotka ten sam los. Prawo, a w szczególności prawo do własności, staje się przeszkodą na drodze do eterycznych afar duszka. Spirytualista nie pozna człowieka, który działa we własnym interesie, oblicza zyski i ostrożnie gnio się po hierarchicznej drabinie dóbr. Spirytualista pragnie absolutnej bezinteresowności, rezygnacji ze stanu posiadania, entuzjazmu dla istoty. Spirytualista gardzi krzywdą, tłumy, niedokonalymi ścieżkami polityki. Instynktownie szuka magicznego skrótu, katekulty, która go wypisze /A u f s b u n g/ automatycznie w sferę mistyki, nad którą polityka nie ma władzy, jak Laurentine, o którym powiadano, że nie siedział w Izbie ani po prawicy, ani po lewicy, tylko na sufitie. W ten sposób spirytualista na nadzieję przerysowywać tragiczny rozłam między "hospitalizmem" a "socjalizmem". Jednak ten ostatni odmówił wyjątkowo za wyjątkiem, że nasz świat nie może się "spirytualizować" inaczej niż przepiękając światłość, podczas gdy niewiele trzeba, by praktyczny spirytualizm świata komunistycznego nakładł sobie koronę spirytualizmu teoretycznego: wystrząsł, by arcażoł, że przejście na ten język idę w jego interesie. Są w Kościele ludzie, którzy ze wszelką siłą starają się go o tym przekonać.

Jest jeszcze inny aspekt spirytualizmu, który nieci trwający w milczeniu i ob-stający przy duchu symetrii Kościoła: jego abstrakcyjny uniwersalizm. Więcej zwracając uwagę na ludzi niż na Sakramenta, spirytualizm zaczyna grać, zapewnia o hi-

stori i wszystkiego oczekuje od przyszłości. W dziedzinie religii pierwszeństwo daje uniwersalistycznemu "posłaniu" kosztem konkretnych warunków, w jakich mozelnie stawił krok za krokiem lud Boży i skromnie rozprzeździł się Objawienie. W kolejnym przyplwywie ducha symetrii spirytualności zechcą postawić na jednym planie Żydów i muzulmanów, złączonych z chrześcijanami wiarą w jedynego Boga. Zapomnia przy tym, że wiara Żydów zrodziła chrześcijan, ale nie muzulmanów, i że wiara chrześcijan w Chrystusa prowadzi wstecz do Abrahama i Mojżesza, ale nie do Korana, choć Księga ta poświęca Mu wiele miejsca. Fakt, że "posłanie" takie, nawet jeśli jest ono "nieobscystyczne", z żatwością wszyscy mogą podzielać pozwala zapomniać o naturalnej solidarności między poszczególnymi rodzinami ludzkimi, która winna łączyć chrześcijan między sobą i wiązać ich z Żydami.

Aktem, z którym spirytualizm natychmiast się utożsamiał, nawet jeśli nie odzwierciedla on wszystkich jego aspektów - za wczesnie na ocenę - było przyjęcie Yassera Arafata w Rzymie. W jego osobie zatrufowała antymateria, bowiem ten terrorysta nie jest przyjacielem świata takiego jakim on jest, a z teoretycznego punktu widzenia reprezentuje Nędzarza przez duże "n". Triumfował jednak również uniwersalizm, bowiem ta wizyta, tak obiecująca dla Człowieczeństwa, napawała rozpaczę zarówno Palestyńczyków, muszących się utożsamiać z Arafatem, jak i chrześcijański naród libański, którego Rzym nie zechciał przyjąć, bo "trzyma broń w ręku", jak wreszcie Żydów, obrażanych ze wszystkich stron. Dlatego też prezydent Izraela natychmiast przypomniał pierwsze milczenie Kościoła, za Piusa XII. Tymczasem przyjęcie Arafata wzięciu na wspólne z jego drugim milczeniem, choć warto zauważyć, że w tym przypadku drugie milczenie praktycznie tożsame jest z pierwszym.

Ostatnim skutkiem milczenia Kościoła jest bezustanny potok słów, który musi on z siebie wylewać, by zrekompensować swoje milczenie i zapomnieć o zalegającej ciszy. Wokół wiecznie przemilczanego punktu centralnego, wokół nigdy nie wypowiedzianego decydującego słowa narasta niebotyczna góra enuncjacji kościelnych, bo trzeba przecie mówić, wciąż mówić i mówić, aby nikt nie spostrzegł, że się mówi o niczym. Jednak milczenie staje się z każdym upływającym rokiem cięższe, a słowa puste, bo nieskończone zastępy ciał i dusz wciąż giną w milczeniu, a ich obrońca nie staje w ich ochronie, nie dodaje im otuchy, nie woła o pomstę ani nie wystawia im pomnika chwały.

"Kultura", marzec 1983

Alain Besançon

McBroński

RZECZ O INSPIRACJI

Władimir Wołkow, francuski pisarz pochodzenia rosyjskiego, jest autorem ok. dziesięciu dobrych powieści i zasługiwałby na coś więcej niż tylko omówienie jego najnowszej książki pt. "Montaż" x/, gdyby nie fakt, że samo jako tako pełne zdanie sprawy z tej ostatniej pozycji /szczególnie ważnej z racji jej aktualności/ i tak zdaje się przekraczać przyjętą długość recenzji. Podobnie jak kilka poprzednich powieści tego autora, "Montaż" napisany jest w konwencji powieści szpiegowskiej i traktuje o akcji KGB we Francji, ale fabuła tej książki, skonstruowana zresztą precyzyjnie i "gesto", wydaje się tylko pretekstem do wyłożenia przez Wołkova jego teorii manipulowania przez Sowiety opinią publiczną na Zachodzie. Akcję tę można by nazwać "sztuką inspirowania", bo taki sens na używane przez autora słowo influence. Największej zasady tej sztuki ujmuje akapit na str.45: "Inspiruje się zawsze przez pośredników. Tylko poprzez uaktywnienie ciągu kolejnych punktów oparcia udaje się umieścić strzałę opinii w społeczeństwie - celu". Inspirowane opinie

x/ Władimir Wołkow, Le Montage. Roman, 349 pages. Julliard/L'Age d'Homme, 1982.

mają oczywiście za zadanie osłabianie społeczeństwa i władz kraju, w którym są szeregzone. Działalność ta stanowi część strategii, mającej za punkt dojścia podbój Zachodu, a za wytyczną metodologiczną sentencję Szu Tszii - rodzaj chińskiego Clausewitza z V wieku przed Chr. - brzmiącą jak następująca: "Mistrzowie sztuki wojennej zwyciężają przeciwnika bez walki. Zdobywają miasta bez szturmów i podbijają kraj bez wieloletnich operacji wojskowych".

Bohaterem powieści jest "agent inspiracyjny" Aleksander Dmitriusz Pszar, urodzony we Francji, syn białych emigrantów rosyjskich. Zostaje zwerbowany przez KGB /które wtedy nazywa się jeszcze MWD/, a w języku wewnętrznym jego funkcjonariuszy **p a t r i a n o s t r z /** w pierwszym okresie po wojnie, kiedy to tysiące białych emigrantów pod wpływem uniesienia patriotycznego po rosyjskim zwycięstwie nad Niemcami, nastąpił i emigracyjny upokorzeń rzuciło się do ambasady sowieckiej w Paryżu, by skorzystać z ogłoszonej "amnestii". Wielu z owych szlachciców w istocie pozostało na emigracji nadal, gdyż władze sowieckie nie kwapiły się z ich repatriacją. Na Zachodzie byli użyteczniejsi: masa "czekających" miała służyć do kamuflowania tych, którzy dostali określone "zadania specjalne" i nie mieli wrócić w ogóle. Takim przetrzymanym był też ojciec Aleksandra, który jeszcze na paryskim kożu śmierci przykazuje koczującemu szkoły synowi: "Ty wrócisz zamiast mnie!". Uzdolniony literacko Aleksander zostaje wciągnięty w grę KGB obietnicą: jeśli przez 30 lat będziesz wiernie służył, w nagrodę wrócisz do ojczyzny. Aleksander /w wewnętrznym kodzie zwany "Oprycznikiem"/ zostaje wytypowany na przyszłego agenta inspirowanego. W latach tuż-powojennych jest to jeszcze **n o w u m**, ale genialny strateg-kabeista Abdulrahmanow przewiduje już sytuację na dziesięciolecie za góry. W jego gabinecie na ścianie wisi artystycznie wykonana tablicza z 13-oma przykazaniami, stanowiącymi esencję doktryny miękkiego podboju Szu Tszii: 1. Dyskredytuj dobro; 2. Kompromituj przywódców; 3. Podrywaj zaufanie, podszyjaj pogardę; 4. Posługuj się nikczemnikami; 5. Dezorganizuj władzę; 6. Się niegodę; 7. Buntuj młodych przeciw starzym; 8. Ośmieszaj tradycję; 9. Zakłócaj zaopatrzenie; 10. Rozpowszechniaj lubieżną muzykę; 11. Szerz rozwydrzenie; 12. Płac hojnie; 13. Bądź poinformowany.

Zasady te w nowoczesnej formie ma realizować we Francji "Oprycznik". KGB wybiera mu nawet fach - agenta literackiego. Aleksander po skończeniu Sorbony studiuje jeszcze dodatkowo w Nowym Jorku /Abdulrahmanow/ "Z a k i l k a l a t b e z d o b r e j z n a j e m o ś c i A m e r y k i n i e n a Z a c h o d z i e n a s e r i o n i e d a s i e z d z i a k a ć /", po czym uruchamia w Paryżu biuro, służące pośredniczeniu między autorami a wydawcami. W chwili gdy zaczyna się wchodzić akcja powieści - w 30 lat po wstąpieniu Aleksandra na służbę **p a t r i a n o s t r a**, czyli około 1976 roku - agencja ta jest już stałym elementem finansowego życia intelektualnego i ma na swym koncie /zarówno oficjalnym, jak i "kaszczym"/ nie lada osiągnięcia. Aleksander Pszar ma opinię oświeconego pracownika /KGB jeszcze w latach szkolnych kazało mu zorganizować grupę **p o p i e r a j a c a** - oczekując Rosenberga w imię "nierozpowszechnienia broni atomowej"/; jest znany z tego, że mimo swych raczej antysowieckich przekonań nie zatracił tak zwanego obiektywizmu, czyli że występując przeciw "praktykom stalinowskim" /nigdy "leninowskim"/ w ZSRR, nie zapomina też nigdy potencjał na przykład dyktatury w Paragwaju; jego elegancja, powszechność, dobry smak /nigdy nie podjąłby się sprzedażi rękopisu wulgarnie i bez nianows antykomunistycznego/ powodują, że ma on dobre stosunki i "obiektywnych" prawników. Wydawnictwo usobieniem jego działalności jest seria tzw. "Białych Książek", poświęconych palącym zagadnieniom współczesności; nie trzeba dodawać, że i one są wzorem obiektywizmu, umiaru i w ogóle **c o m m e i l** /zasady statystyki, podejście pełne zrozumienia, żadnej propagandy, tylko fakty; konkluzje pozostawia się czytelnikom, choćby serce krążyło się z bólem. Oto nieco "tytułów": "O realizmie"; "O eksploatacji bogactw naturalnych w Ameryce Południowej"; "O neokolonializmie"; "O armii francuskiej"; "O Kościele katolickim"; "O policjach prywatnych"; "O systemie penitencjarnym we Francji"; "O odradzaniu się nazizmu";

"O CIA"; "O wyścigu zbrojeń"; "O obozach koncentracyjnych na świecie"; "O energii atomowej". Za "Białą Księgę o systemie szkolnictwa we Francji" agent zwany "Oprycznikiem" dostał wewnętrzny /tajny oczywiście/ awans z uzasadnieniem za umieszczenie uniwersytetów i gimnazjów francuskich na okres jednego pokolenia.

Oczywiście książki te - nie pisane, ani nie wydawane wprost przez Psara, broni Boże, tylko inicjowane i inspirowane przez niego - pisane były według 10 zasad przyrządzania informacji tendencyjnej, które to zasady /wspominał już o nich obszerniej w K u l t u r z e Adam Kruczek/ warto przypomnieć. Zdarzenia, zjawiska lub fakty, będące przedmiotem informacji tendencyjnej, mogą stanowić 1. niesprawdzalny fałsz, 2. mieszanie prawdy i fałszu, 3. przekręcenie prawdy, 4. deformację prawdy przez umieszczenie jej w zmienionym kontekście, 5. prawdę oszablonową umieszczeniem w masie informacji bez związku, 6. prawdę niekompletną. Informacja może być też podana jako 7/ li tylko i l u s t r a c j a narzucającej czytelnikowi opinii ogólnej, lub też 8/ może stanowić p u n k t w y j ą c i a do szerokiej i niesprawdzalnej uogólnienia; reakcje opinii publicznej na referowany fakt mogą być odnotowywane według zasady 9/ nierównej proporcji 1/1 głos contra : 10 pro/ lub też odwrotnie, 10/ według równej proporcji 1/10 pro i 10 contra, szczególnie jeśli naprawdę głosów było 10 pro i 1000 contra/.

W powieści zasady te stanowią część taktyki, z którą zaznajomili Psara werbujący go młody kagebista, wierny uczeń Abdurrahmanowa, w czasie decydującej rozmowy na galerii katedry Notre Dame. Psar, który zdecydował się na współpracę pod wpływem przekonania, że przyszłość świata należy do Sowietów, a także pod wpływem r a n c u n e wobec Francji i jej szowinizmu, doszega się od Pitmana /tak zwie się ów pierwszy oficer kontaktowy/ wyjaśnień na temat swej przyszłej działalności. Pitman szkicuje trzy główne metody subwersyjnego oddziaływania na krajoznawców są to Dźwignia, Trójkąt i Drut. Zasada Dźwigni tak jak w fizyce jest stwierdzenie, że efekt siły działającej wzrasta w miarę, jak punkt jej przyłożenia oddala się od punktu oddziaływania, innymi słowami: z im większego oddalenia się działa, tym skuteczniej się działa. Dźwignia jest w istocie symbolicznym uogólnieniem całej działalności inspiracyjnej: nigdy nie działać wprost, dawać tylko impuls i śmiać, by impuls ten rozszerzał się dzięki niez zaangażowanym i nieświadomym przełącznikom - Pitman nazywa je "rezonatorami".

Zasada "Druku" jest uogólnieniem obserwacji, że stalego drut najłatwiej złamać, gnąc go wiele razy w różnych kierunkach. W zastosowaniu do opinii publicznej oznacza to nagłe wolty propagandowe, raz w lewo, raz w prawo, powodujące, że ludzie zupełnie przestają się orientować w prawdziwych zamiarach przeciwnika. Drobnym zastosowaniem tej taktyki w karierze samego Psara są jego ni to lewicowe, ni to prawicowe powiązania, dezorientujące przyzwyczajone do ideologicznej granifikacji otoczenie.

Na temat zasady "Trójkąta" warto przytoczyć obszerniejszy wyjętek z książki /str.68-69/:

Zaladamy, że postanawiam podparędkować sobie jakieś państwo. Trójkąt będzie się składał ze mnie, z władz tego państwa oraz z jego ludności. Ludności ci nie będę traktował jako przeciwnika, lecz jako odskocznik. Postanówię sobie trzy zadania: po pierwsze - spowodować rozkład tradycyjnych grup odniesienia, które mogłyby osłaniać ludność przed moim oddziaływaniem; po drugie - sdykarytować przeciwnika, czyli władze, posługując się odskocznikami, czyli ludnością; po trzecie - zneutralizować samą ludność. Do przeprowadzenia każdego z tych punktów zastosuję specjalne metody.

By rozłożyć tradycyjne grupy, zacząję je oskarżać od zewnątrz i od wewnątrz postaram się wzmocnić pozostałej części ludności, a także najbardziej chwytliwym członkom samych tych grup, że były one w przeszłości szkodliwe i że są jes-

ose mała; z drugiej strony, nie przejmując się zawartą w tym sprzecznością, będą wykazywał, że są sędne i pasyżnicze, że są tylko fikcją, a nie czymś realnym. W ten sposób wykopie przepaść między dziećmi a rodzicami, pracownikami a pracodawcami, między stadem a przewodnikami. Moi agenci będą posługiwali się potrójnym hasłem uczciwości, sprawiedliwości, zdrowego rozsądku. Z tej pozycji - pozycji siły - zaatakują władzę, czyniąc jej odpowiedzialnymi za wszystkie rzeczywiste odmiany zła, jakie występują w danym społeczeństwie, nie mówiąc już o rzekomych. Społeczeństwo rzeczywiste autorytarne sięgnie po środki represji, które dostarczą mu męczenników i pozwolą odwołać się do opinii światowej. Społeczeństwo demokratyczne upadnie jeszcze przedzej, gdyż wykazawszy, że można je atakować bezkarnie - taki też jest zasadniczy cel inteligentnie pojętego terronu - przejdzie do trzeciej fazy mego działania. Już zawczasu zrobię trochę propagandy projekttywnej, to znaczy oskarżę przeciwnika o stosowanie metod, którymi sam mam zamiar się posłużyć; w ten sposób ustawię się w pozycji człowieka stosującego obronę konieczną. Nie należy zapominać /.../, że w przeciwności do rewolucji dawnych obecnie skierowane są przeciwko większości, a nie mniejszości. A większość tę bierze się w garść szerząc wśród niej ogólny paraliż. To można osiągnąć rozmaitymi sposobami. Niekiedy udaje się przekształcić wspomnianą większość w gigantyczną trupę gimnastyczną: prawa noga w górę! - podnoszą; lewa noga w górę! - podnoszą; obie nogi w górę! - padają na tyłek. Niekiedy odwrotnie, trzeba podzielić całe społeczeństwo na miliony oddzielnych jednostek, z których każda staje samotnie wobec ukazywanej jej głowy Gorgony i każda czuje się bezbronna i gotowa do kapitulacji. Tę cichą panikę uzyskuje się pielęgnowaniem legendy o przewadze wroga, pewną dozą terroryzmu i fascynacją, jaką żmija wywiera na żabę. Czasem dodaje się sztafaż rzekomo nadnaturalny, składający się z przepowiedni, wróżb i innych sztuczek. W każdym razie mówiąc o "poruszaniu mas" ma się zawsze na oku jeden cel: ich unieruchomienie. Gdy to się osiągnie, to znaczy gdy odeskcznia zostanie przykuta do swego miejsca, rzeczywisty przeciwnik spada w rękę jak oderwany od zbrocza kamień. Oto pokrótce teoria Trójkąta.

Zasadnicza akcja książki, tzn. ta, która toczy się w latach 70-tych, to zawiła historia "montażu" akcji inspiracyjnej, mającej na celu zdyskredytowanie na Zachodzie rosyjskich dydydentów. Jest ona połączeniem zasady Dźwigni: działania przez nie- lub półświadomych pośredników, oraz Druku, czyli takiego skośowania opinii publicznej, że ta na słowo "dydydent" zacznie dostawać obrzydzenia. Akcja /kryptonim "Pskow"/ polega na tym, że na Zachód dotarła rzekomo nielegalna książka kłajęca tajemniczego więźnia-dydydenta, zamkniętego w którejś ze skawetnych "klinik psychiatrycznych" w ZSRR, która ma wywołać w ludziach tymi sprawami przejętych najpierw zaciekawienie, potem oburzenie, a na końcu niesmak i obojętność. Pierwsze fragmenty dzieła nazwanego "Rosyjską prawdą", a pisanego stylem przypowieściowo-słowianofilskim, budzą wielkie zainteresowanie. Pskow, poinstruowany przez zwierzchników, zawiera kontrakty wydawnicze z "postępowymi" i "właściwymi" wydawcami /inaczej publiczność nie wzięłaby książki do ręki/ z a n i m jeszcze cały manuskrypt znalazł się w ich rękach. W całości książka okazuje się brednią, metnle atakującą zarówno Sowiety jak i Zachód i proponującą "trzęście wyjście" - rodzaj monarchofaszyzmu, spowitego w bizantyjską mgłę. Gotowa książka wywołuje wśród "demokratycznej lewicy" zachodniej wstrząs; więc tacy są ci dydydenci! mamy czegośy chcieli!! W momencie najgorętszej polemiki, samooskarżenia i zamieszania pada następna bomba, przewidziana oczywiście w operacji "Pskow" jako jej faza trzecia: w dość przejrzysty, a zarazem niejasny sposób KGB demonstruje czytelnikom "Rosyjskiej prawdy", że jej wyszumowanie z Rosji, publikacja na Zachodzie, ba, samo jej napisanie odbyło się za wiedzą, aprobatą i - być może - instygacją "organów". Pskow i jego "orkiestra", czyli grono paryskich wydawców, krytyków i innych wpływowych figur /wótkow, dobrze znających środowisko, nie szczędziły tu jadu/ znajdują się pod podwójnym ostrzałem: jedni oskarżają ich o propagowanie faszyzmu, drudzy o to, że dali się użyć jako narzędzia sowieckiej dszinformacji. O jakikolwiek dydydentach nikt już w ogóle słuchać nie chce...

W przewidzianym przez KGB planie Pesar miał w fazie trzeciej stać się kołkiem ofiarnym i "sam się zlikwidować", przynajmniej w sensie cywilnym. Abdulrahmanow od początku nie miał zamiaru dotrzymać obietnicy: "o d r m u c z m y g o w k o n a P r a n c j i n a k o l a n a j a k z u k i y t a d u i e r k e", mawiał. Tak też sprawy się toczą do chwili, gdy kierownictwo akcji przejmują Pitman. Ten postanawia wycofać Pearsa do jezaka jednej operacji, tym razem już jego własnego pomysłu. Akcję "Twardy znak" - nowy krytonin, nowa szatka - na poligonie na amontowaniu na zachodzie rucna, który odetnie się zarówno od kapitalizmu, jak komunizmu. Ma on skupić ludzi, którzy usiłowałby znaleźć "trzęście wyście" pomiędzy agresywnym, lecz mało ponętym komunizmem, a coraz słabszym i wyraźnie defensywnym "kapitalizmem". Pitman przewiduje, że tego rodzaju ruch może ewentualnie powstać samodzielnie, więc chce rzecz uprzędzić, smarując jej ostrzegającą karykaturą: partię faszystowską.

Operacja zaczyna się rozwiązać. Pesar rekonstruuje swą orkiestrę w nieco zmienionym składzie - i w tym momencie wkłada się tzw. gazyniki ludzki... Przewidyujący wszystkie Abdulrahmanow szukał w swoim czasie o stworzenie pewnego podopiecznemu namiastki rodziny w czasie idyllicznego urlopu w Szwajcarii. Pesar spotkał i pokochał czarującą młodą Rosjankę /kapitana KGB, rzecz prostą/, która w stosownym czasie i w bezpiecznej odległości sowieckiej ojczyzny wydała mu dziecko syna i "czeka" na powrót swego gołębka po wygaszeniu kontraktu. W chwili gdy akcja toczy się w Paryżu, w Moskwie szła ta fikcja staje się już zbyt uciążliwa i niedoszła żona z synem rasknęła gina w wypadku samochodowym. Pesar przynajmniej nie dożył z nią i nadal pracuje nad realizacją "Twardego znaku". Jedyne co mu jeszcze pozostało, to nabrać "powrotu do ojczyzny".

W chwili gdy staje się ponownie zbyt ciężki, wpada mu w ręce /lub też KGB podsuwa mu/ dowód, że Alla /tak ma na imię by czarujący kapitan/ żyje. Pesar orientuje się wreszcie, że został użyty i zużyty. W czymś niedopasowanym do niego roku lokalnego zwierzchnika kagabiście i daje nura w Paryż; postanawia wreszcie skontaktować się z Francuską policją, nim dostaną go w ręce dawni współpracownicy. Ale i tu zaczyna się komplikacja: komisarz francuski, który odbiera telefon Pearsa, sam jest nie bez powiazań... Zanim policję francuską, zgęszy się w kryjówce Pearsa, wkradają ją koleżanki z przeciwnego obozu. Księżka koczująca się "powrotem" Pearsa usiłują narkotykami i zemknęły w skrytce z napisem "agent elektryczny" jedzie zaplanowaną ciężarówką sowiecką men. w kierunku szych dawnych stron rodzinnych.

Właściwym zakończeniem jest jednak waga innego francuskiego policjanta, zwierzchnika owego komisarza wycofki, fatalnie wiadomego mu w sprawie pisze:

"... Sprawy intelektualne, duchowe, ludzkie nie są przewidziane przez nasz kodeks karny; wolno zatem bez przerwy dochodzić, bez ograniczeń naszej zakłopotania, wszelkiej naszej nadziei, subtelnie nasz koleś, zagwarantować nam: szta literaturę; ko wstrząsk: jest konieczne przez prawo /.../ żeby pan Pesar został skazany, byliby to tylko ideologiczne przyzła sądowe, której pierwszemu ofiarom spalibyśmy się my sami /.../ "Zapętny Indyk" znów wzmiankowały, że zamykamy ludzi za ich opinie i wszelkie suwienia francuskie zniszczyłyby się naszymi metodami represyjnymi: /.../ agent inspirowany towarzyszy porządek, nie a towarzyszy, pomysłowy towarzyszy zastawia trudną robotę, której my sami nie jesteśmy w stanie wykonać /.../".

Tak więc i zakończenia powieści nie jest przypadkowe. Miał z niej w ogóle nie jest przypadkowe. Nowy autorytarna wypadki ostatnich lat i chwili bieżącej jawią się postaćmi księżki /.../ mogą być jako realizacja słowotwórczego planu z zewnątrz. Rodną przeciwnością Pearsa, "reakcyjny" Francuski literat rewolucyjnego pochodzenia Divo, tak referuje bohaterowi powieści: "Zamysł swój planowanej fikcji politycznej".

Wyobraźmy sobie jakiś kraj, dajmy na to Konfederację Kawan Konfuzjonizowanych, który postanawia uszczęśliwić cały świat swoim systemem politycznym.

nym. Wyobraźmy sobie inny kraj, którego położenie strategiczne jest istotne dla realizacji tego planu; nazwijmy ten kraj Galacją. Przez pięćdziesiąt lat KKK finansuje, faworyzuje, wychwala i popiera Konfuzjonistyczną Partię Galacji. Ale Galaci pomimo swej niefrasobliwości nigdy nie oddają więcej niż 15% głosów na konfuzjonistów. Co więcej, różne czynniki złożyły się na to, że popularność konfuzjonistów zaczęła z roku na rok spadać./.../ Pewien wysłany z KKK pisarz ogłasza książkę o okropnościach reżymu, który tam panuje; prawdę mówiąc człowiek ten nie powiedział nic nowego, ale potrafił sprawić, że go wysłuchano, a to się liczy. Grupa filozofów niegdyś konfuzjonistycznych zalenia, jeśli tak można powiedzieć, front. Sytuacja międzynarodowa zmusza KKK do interwencji wojskowych w różnych punktach globu, co wywołuje wśród dumniów wstrząs, dumnie zaś nadal stanowią większość. Krótko mówiąc, 15% głosów spada do 14, do 13... i dla przywódców KKK staje się oczywiste, że konfuzjonizm nigdy w Galacji nie zwycięży, o ile utrzyma się tam demokracja./.../ A zatem sprytnie głowy w KKK obmyślają następujący fortel. Na przywódcę Konfuzjonistycznej Partii Galacji wyznacza się rodzaj wsieckiego białana, którego każde wystąpienie w telewizji jeszcze bardziej zmniejsza popularność jego kłiki. Już spada do 12%, do 11, do 10,5... Wynik jest podwójny z jednej strony konfuzjonizm, który do niedawna jeszcze mieszczańska przerażał, teraz go już tylko śmieje, z drugiej zaś akcje pozostałej partii lewicowej, którą możemy nazwać synkretystyczną - /.../ a jak wiadomo, w psychologii konfuzjonizm stanowi tylko szczególny stan myśli synkretycznej - wzrastają w błyskawicznym tempie. Zbliżają się wybory. Aby sobie zapewnić, że następujący prezydent nie zostanie ponownie wybrany, KKK oświadcza, że życzy mu zwycięstwa. To oczywiście podcina mu nogi na prawicy i kandydat synkretystyczny w triumfie dochodzi do władzy.

Nazwijmy tego kandydata Puszkinem. Jest to awanturak polityczny średniego lotu; niewiele o nim wiadomo poza tym, że od czasu do czasu organizuje fałszywe zamachy na siebie samego. Ledwo wybrany, co robi? Unosi rękę zabójcę policjanta. Frajerzy na prawicy zacierają ręce: Puszkin zraził sobie policję. Ale nie rozumieją oni, że każda forma zniechęcenia wśród policji destabilizuje republikę, a ce za tym idzie, ułatwia subwersję. Następnie podzignięcie Puszkina /.../ - w momencie, gdy synkretyści mają absolutną większość i gdy naród galacki oddał na konfuzjonistów mniej głosów niż kiedykolwiek, nowa głowa państwa rekrutuje czterech ministrów z tej właśnie partii, która w ten sposób - rzekome nakładając jej łaganiec - rehabilituje.

Zaobserwujmy elegancję tego manewru: ugrupowanie uchodzące z jednej strony za znaczące, z drugiej zaś za złowrogie, zostało umyślnie osmaleszone celem pozabawienia go obu tych cech; Puszkin zaś czym prędzej przywraca mu cechę pierwszą, ignorując wolę 90% Galatów. Niech żyje demokracja. Puszkin idzie dalej: gra patriotę i dystansuje się wobec KKK. Nie należy więc sądzić, że teki ministerialne jakie podarował konfuzjonistom to Obrona czy Sprawy Wewnętrzne, co może by jednak trochę dobry ludźk pcuruszyło. Nie, nie; to małe, nieszkodliwe teczusaki, pomiędzy które zaplatuje się Transport; a oczywiście w momencie kryzysu człowiek, który ma w rękę transport, ma w rękę cały kraj./.../

Puszkin świadomie sabotuje galacki przemysł nuklearny i to nie w zamiarze rozbrojenia narodowego, ponieważ wszelka otwarta wojna i tak stała się niemożliwa, ale celem oddania Galacji na łaskę i niełaskę KKK, która to KKK uważa za korzystne dla siebie sprzedawanie nadwyżek kolonialnego gazu, a zwłaszcza interesuje ją trzymanie ręki na kurku energii kraju, którego znaczenie strategiczne zostało już podkreślone. Ta ostatnia akcja to być może właśnie to, co filozofowie nazwaliby przyczyną całego manewru./str. 105-109/.

Książka Wołkowa otrzymała nagrodę Akademii Francuskiej i została - zbyteczne dodawać - przyjęta jak najgorzej przez "szerokie koła postępu i pokoju". Zarzu-

conc jej: obszary antysowietcki, czarno-biały / a ściśleji: czarno/ przedstawienie intencji i metod ZSRR oraz ogólna reakcyjność. Zarzuty te służą na chwile refleksji, ponieważ sujestia postawy liberalnej, z punktu widzenia której są one ni- by formułowane jest tak silna, że i ja - raczej daleki od "lewej postawy" - pisząc to sprawozdanie miałem chwilami wrażenie, że mądryarka zaimienić więcej w koszule falangisty, a do twarzą przyjrasta wciśnięty grymas czarnoszczyna. "Montaż" jest o- cazyście przerysowany, bo fabuła jest w nim wyrażnie tylko ilustracją pewnej kon- cepcji sowieckiej penetracji. Zarzuty przeciw kształcie są więc w istocie zarzutami wobec tej koncepcji; wprowadzają się do jej wnętrza, zaś 1. dojmowanie się proble- ma sowieckim jest nie s t u s z n e i n i e a a z a a s i e; 2. intencje i metody działania sowieckich organów władzy i ekspansji - n i e p o w i n n y być na Zachodzie niepokojenia, ponieważ są n n i e j, groźne i bezwzględne, niż przedstawia to Volkow; 3. indyferentyzm i niegrasowanie wrażli na skutki społecz- ne rozmaitych akcji ostarżycielskich pod zarządem własnej instytucji jest w k r o- jach zachodnich oznaką postępu - to znaczy, z n i a n i e n s l e p s z e - k a t o- miać zwłaszcza do ogledności i odpowiedzialności w tym względzie jest "reakcyjny" byłby jest tendencją do utrzymania s a k o d i i w e z n o r n i e t u t a w i d o- d i l i w a g e - s t a m u t a n o n e, to jakimi przeformowaniem zarzuty reflektuje się ni- gietarotowa dysleksja, jako że do tej refleksji udało się chwile narodzić nad obecną sytuację w Polsce, która n i e j e s t u b e r t e k i e m i z o l o w a n i a i p r y w a d k i e m, lecz przeciwnie: jest szkolna demonstracja tego, jak Sowietcy wystraszają siebie na- wy: wspaniałe świat, a gdy chodzi o s i e i a t i r u b e t o t e s t e n t a, wspaniałe przez znajomego jak niechceć się do takiej fortany jak w zabrak, oświadczając "w tym celu trzeba tylko jednemu - trzeba myśleć a gieniduszach. Stale, wycieczka i tylko o pieniańkach". Nie wydaje się, by ludzie rozumiejący budownictwo Sowieckim my- śleli o czyścielek żużla niż tylko o obdar, stale, wycieczka i tylko o winy.

"Kultura", październik 1983

M. Krawczuk

Jan Józef Lipski

POLSKI ŻYDZI //

Przed 40 laty stanoi do swej ostatniej dla większości z nich walki bojownicy z wspaniałego getta. Walkę tę podjęli nie w obronie życia, bo uratował je mogli uciekać - lecz w obronie ludzkiej godności. Był to więc czyn przede wszystkim symboliczny, o wielkiej wadze praktycznej: świadectwo o ogromnym gnaczeniu anty- żydowskim dla żydów, jak i dla całej ludzkości, w tym przede wszystkim dla ży- rodu polskiego.

Refleksja nad samym powstałem w getcie warszawskim jest ważnym obowiązkiem, jeśli warteści, w imię których stanoi do walki powstańcy getta uważany za wstępn- ci rękodź nar- obudowujące. Jest to więc obowiązkiem nie tylko wobec pamięci pole- cych, ale też wobec nas samych - a ponieważ wielu z nas było świadkami prawdzi- żydów w Polsce, to też zobowiązanie - chociaż tylko do świadectwa. Żyć wartei pol- ki i Warszawy wspaniałe i w nich, a ich bohater - nie byłbyśmy mogli żywać tam- tych wartości, w czasie który: ginęli powstańcy getta.

Erońka, Janina, Aleksandra iformation ze świadectwa ostatni z żyjących powstańcy- Rosentals w getcie warszawskim, Marek Krawczuk, który po zniszczeniu domu getta przez hitlerowców - opuścił wraz z miłośnikami życia bojowników w miejsce jak getto warszawski, by wz jaśnieć światem do żydów w Rosztowniu warszawskim - 1945 roku, w dniu 100-lecia śmiercią wyjątkową, zmarł podwójt swego naziska w oficjalnych obchodach socj-

z/ Tożsi wyjątkowi podjęli walkę nie w intencji poległych i męczennych niwie- kanych Getta w Warszawie w Kricielech dulinym św. Stanisławskim na Żoliborzu dn. 16 kwiet- nia 1983 roku.

nicy powstania w getcie - czytamy:

"Caterdzieści lat temu walczyliśmy nie tylko o życie - walczyliśmy o życie w godności i wolności".

X

Podstawowe wartości ludzkie, a o nich to mowa, mają to do siebie, że albo się je przyjmuje, albo odrzuca; albo służy się im - albo się je zwalcza. Bywa też, że się je ignoruje. Niekiedy nadmiar słów i komentarzy, wygłaszanych w najlepszych intencjach, raczej im szkodzi niż pomaga. Ograniczę się więc do minimum, niezbędnego do naszej dalszej wspólnej refleksji.

Bojownicy getta chrystując za broni nie mogli w ten sposób uratować życia ani inna, ani sobie. Szanse utworzenia sobie i inna zbrojnie drogi do wolności były tak znikome, że praktycznie są żadne. Pozostał więc jedyny sens walki: powiedziec "nie" i pozostać w ten sposób aż do końca wolnym od konieczności wypełniania rozkazów morderców. Te walność mogła dać tylko broń w ręku. Toteż Gaudin, bezwzględnie konsekwentny przeciwnik użycia siły i broni - pytany o swój stosunek do walki warszawskiego getta tym razem zrobił wykom w swej konsekwencji; właśnie dlatego, że walka ta nie miała na celu i nie mogła mieć tryzafu i zwycięstwa, i że jej sens wyczerpywał się w jej symbolicznym sensie moralnym.

Tu jednak konieczne jest ostrzeżenie. Jeśli pełni podziwu dla bojowników getta, broniących odrębnie godności ludzkiej, przyjmiesz pogląd, iż godności zabrakło tym, których hitlerowcy mordowali bez oporu z ich strony - popełnimy niebezpieczny moralny błąd i bynajmniej nie opowiemy się po stronie tych wartości, o które walczyli powstańcy getta. Śmierć bezbronnej ofiary ma również swój pełny wymiar ludzkiej godności - lub przynajmniej może mieć ten wymiar. Bonasterstwo powstańców warszawskiego getta, którym chwala po wszystkie czasy, nie powinno nam przesłaniać ofiary milionów zabijanych bez oporu.

Dla nas, którzy patrzyliśmy na śmierć i jednych i drugich - pozostał obok obowiązku pamięci i czci konieczność odpowiedział na szereg gorzkich pytań i wspomnień, rodzących rachunku własnego sumienia narodowego.

Przede wszystkim my wszyscy, którzy przegraliśmy drugą wojnę światową w Warszawie - pamiętać będziemy, że w tych ostatecznych momentach walki i zagłady nie stanęliśmy czynnie w obronie mordowanych. Pozostaje to do dziś ciężkim doznaniem. Dowództwo Armii Krajowej i Delegatura Rządu Rzeczypospolitej na Kraj nie miały moralnego prawa, a tym bardziej racjonalnych uzasadnień, by w obronie współpatriotów stolicy i całego kraju spowodować rozszerzenie zagłady na całą ludność Polski. Zarazem jednak pozostał wstyd i wyrzut sumienia, jak zawsze, gdy w obawie o własną skórę godamy się bez czynnego sprzeciwu na zbrodnie dokonywaną przez nas. Trzeba bowiem zdawać sobie sprawę, że walka i śmierć żołnierzy AK niesłychanie pomógł gettu, przetrwałowie i ostateczna realna dla poległych - miała przecieć wymiar i znaczenie jedynie symboliczne. A ten wstyd i wyrzut sumienia dręczy wielu z nas. Istotnie wówczas pogodziłiśmy się z myślą, że nie musimy zginać pod murami walczącego getta.

Sumienie narodu polskiego byłoby chore i obumierające, gdybyśmy nie zadali sobie innego pytania: czy jeśli nie w walce z bronią w ręku, to w dalszej pracy i ratunku zrobiliśmy tyle, ile było można?

Oddając hołd powstańcom getta oraz pomordowanym jego bezbronnym mieszkańców - mamy prawo i obowiązek oddać dziś hołd i tym Polakom, którzy stracili życie ratując Żydów. Dużo było w polskim narędzie poległych heroicznie na tym najbarbarzyjszy ryzykowszczy, najbardziej godnym czci dla jego bojowników odcinka polskiej wojny.

Trzeba było wówczas bohaterstwa ogromnego, by w Polsce walkę na tym właśnie odcinku podjąć. Czy można od każdego z milionów zwykłych ludzi żądać bohaterstwa? Są jednak czasy i sprawy, które domagają się bohaterstwa. My, którzy pamiętamy, pytajmy się, czy nie zbyt wiele było jednak obojętności, co prawda zmieszanej ze strachem, lecz przecież obojętności? Czy wszyscy zrobiliśmy tyle ile można było, czy też mniej, lub nie - w czasie, gdy i ginący ludzie i nasze własne normy moralne wołały o więcej, niż można.

Krzywdzi się jednak nieraz Polaków, wyciągając w świecie zbyt daleko idące uogólnienia ze zjawisk współpracy niektórych Polaków w tropieniu Żydów - lub w ich szantażowaniu. Przestępczy i amoralny margines istnieje, niestety we wszystkich społecznościach, a jego ofiarą padali wówczas w Polsce nie tylko Żydzi, lecz i generał Grot-Rowecki i tysiące innych żołnierzy konspiracji. Nieodpowiedzialne uogólnienia w tym przedmiocie mamy prawo odrzucić, tak jak winniśmy odrzucić uogólnienia krzywdzące inne narody. Antypolonizm nie jest moralnie niczym lepszym, niż antysemityzm lub antyukrainizm.

Rocznica powstania w getcie jest nie tylko rocznicą powstania, i nie tylko rocznicą ostatecznej zagłady getta i nawet nie tylko umową rocznicą zagłady milionów ludzi. Jest rocznicą faktycznej zagłady społeczności, którą polsko-żydowski pisarz Adolf Rudnicki nazwał kiedyś "narodem Żydów polskich", oplakując jego koniec. Niedobitki, które ocalały nie są już tą zbiorowością ani nie są w stanie jej zregenerować.

Śmierć jest, czy też była straszna. Śmierć tysięcy i milionów przeraża. Ale żądza narodów budzi przerażenie szczególne. Żydzi polscy zapewne nie stanowili zbiorowości aż tak odrębnej od Żydów reszty świata, by ich przeciwstawiać przez ostrą wyodrębnienie pozostałym - ale w każdym razie atawizmi szczególnej części narodu żydowskiego, część, której nie można było uśmiercić, nie zabijając zarazem czegoś i w nas, narodził polskim.

Współżyliśmy na tych ziemiach od dawna, co najmniej od ponad 700 lat. Spotykając polskiego Żyda prawie nigdy wiedzieć nie możemy, czy jego ród nie jest dłuższy autochtoniczny niż nasz. Pierwsza Rzeczpospolita była krajem dużej tolerancji i humanitarnym, szczególnie w epoce swego rozkwitu. Dzieje nasze nie notują w tym czasie tego, czego pełną jest historia Europy krwawych prześladowań Żydów, wygona, ograniczania rozwoju ich kultury.

Gdy Polska utraciła niepodległość - symbolem wspólnych dążeń stali się pułkownik Berek Joselewicz, jeden z naszych bohaterów narodowych - i jego rówieśnik, mickiewiczowski Jankiel z "Pana Tadeusza". Setki nazwisk Żydów polskich wpisały się do dziejów walk powstańczych o wolną Polskę - i setki i tysiące pracowały dla niej, wzbogacając naszą narodową kulturę i życie społeczne.

Przypomnę tu postać symboliczną dla współżycia narodów, Michała Landego. Podczas wielkiej manifestacji patriotycznej 8 kwietnia 1861 roku, gdy niesiony na czole pochodu krzął wraz z tym, który go niósł - podniósł go między uczni szkoły rabinackiej Michał Landy, by paść od następnej salwy. Grob jego znajduje się na cmentarzu żydowskim przy ul. Okopowej, gdzie chcielibyśmy móc wkładać w tych dniach kwiaty ku czci poległych i zamordowanych w getcie warszawskim.

Dla tego chłopca krzął - mimo całego dystansu różnic w wierze, tradycjach, a nawet przesądach - był symbolem miłości ojczyzny i wspólnych wartości, toteż nie brzydził się go ani mię nie lękał, wziął z szacunkiem do rąk znak obcej mu wiary.

Nie zawsze jednak tylko w takich aktach wyrażało się współżycie narodu polskiego i żydowskiego. Jed antysemityzmu zaczął już od pokowy XIX wieku zatrwać nasz

otoc narodowy. W niepodległej Rzeczypospolitej dochodziło niestety do wydarzeń gorszących, których nie możemy wspominać bez wstydu: bojówki antysemitki, pogromy, nienawiść tak wielka, że aż kazaka głoszącego swą katolickość bojówkarzom pobić w kościele katolickiego kapłana, gdyż pociążył z Żydów i za Żyda się uważał, propaganda antysemitka. Kto wie, ilu więcej Żydów przeżyłoby uratowanych na ziemiach polskich, gdyby nie ta truziana.

Po wojnie - pogrom w Kielcach. Zapewna mają rację ci, którzy przypisują go prowokacji - ale prowokacja udać się nie może, gdy nie ma dla niej gruntu. Jeszcze w 1968 roku przeciw ruchowi studentów i intelektualistów użyto propagandy antysemitki. Ci, którzy to wywołali, nie odnieśli na szczęście wielkich sukcesów, raczej znikome, niestety - nie żadne.

Te już jest stała praktyka: przeciw polskim dążeniom niepodległościowym i wolnościowym usiłuje się wywołać falę antysemityzmu. Tak jest do dziś. Wczoraj i dziś antysemityzmu próbowało się użyć jako kłody na drodze opozycji, KOR-u, Solidarności, przeciw wszystkiemu, co chce być w Polsce wolne i niezależne.

Znalazł on pożywkę i możność regeneracji w latach stalinowskich, gdy wielu Żydów czy też osób żydowskiego pochodzenia znalazło się w aparacie władzy, ucisku i przemocy. Podobnie jak w Czechu i GPU znalazły się setki Polaków na wszystkich nieraz stanowiskach, z Feliksem Dzierżyńskim na czele. Nie obciążajmy narodu polskiego ich zbrodniami - i pawiętajmy, że Żydzi w aparacie bezpieczeństwa to akurat tacy sami Żydzi - jak ich polscy koleśdzy z tego samego aparatu to Polacy. I jedni i drudzy to skądś obcego najazdu i idąc nienawistni, gotowi popełnić zbrodnię na każdym na Polaka, Żydzie, własnej matce.

Tragizm tej rocznicy, którą obchodzimy - to tragizm śmierci i zagłady, a również tragizm straconej szansy. Tyle setek lat współżycia - i tak jednak mało było przez te wieki wzajemnego rozumienia się, poznania i miłości - mimo pięknych przykładów. Aż dziwne, jak stosunkowo mało przenikneliśmy się, jak mało nam, Polakom, znana jest wielka, bogata kultura Żydów polskich. Kultury umierają jednak inaczej niż ludzie. Do dziś dnia mamy na przykład szansę duchowej hellenizacji - i Europa korzystała dotąd i oby dalej chciała korzystać z tej szansy. Mamy więc nadal szansę na to, co nazwałbyśmy częściową judaizacją naszej kultury, przez co mam na myśli takto jej wzbogacenie, by bez utraty własnej tożsamości przyswoić sobie, poznać, zrozumieć to, co było wielkie w kulturze Żydów polskich. Zmniejszaj to tragizm zbyt mało mimo wszystko przednego współżycia naszych narodów przez wieki.

Cześć i hołd, które składamy poległym i pomordowanym będą naszym gestem, jeśli nie pokazyjemy go w pamięci o tym, czym byli i co kochali, jeśli nie będzie połączenia z serdecznym aktem miłości i wobec tych, co przetrzyli, i tych, co odeszli, i tego wszystkiego, co ukochali, co było głęboką treścią ich dusz i co może jakoś stać się i naszym, polskiego narodu bogactwem. Z miłością i czcią bramy nie od kogo innego przecież, jak od braci, z którymi przeżyliśmy na tej ziemi stulecia.

Jeśli wolno mi tu jako metafory użyć wyrażenia, które biorę wprost z dogmatyki Kościoła katolickiego, z jego *credo*, a co wierzący przyjął by mogli nie tylko w metaforycznym sensie: oby to zbliżenie narodu zamordowanego i narodu wciąż jeszcze żywego oraz ich kultur dokonano się w duchu wiary w świętych obcowanie.

"Kultura", czerwiec 1983

Jan Józef Lipiński

Gustaw Herling-Grudziński

DZIENNIK PISANY NOCĄ

Neapol, 20 kwietnia 1983

Zegar Dziejowy. W pięćdziesiątą rocznicę Rewolucji Październikowej sprzedawano w Moskwie reprodukcje plakatów z lat 1917-1920. Jeden, z roku 1920, przywiódł mi wtedy w prezencie znajomy włoski turysta. Powiesiłem go sobie na ścianie obok drzwi, i odtąd przyglądam mu się niekiedy, żałując po pokoju podczas mojego "perypatetycznego" pisania. Nazywa się *Poslednij czas*, jest dość pomysłowy graficznie. Przedstawia tarczę zegarową, w której cyfry zastąpione są przekreślonymi kolejno na krzyż głowami Mikołaja II, Kierenskiego, Korniłowa, Kołczaka, Judenicza, Danikina. Obie wskazówki, zwieńczone czerwonymi gwiazdami, tworzą u nasady sierp i młot. Mała znajduje się już na dwunastej, duża zbliża się do jedenastej z dwiema nieprzekreślonymi jeszcze głowami Pana /czyli Polaka/ i Wrangla. W dole tarcza zegarowa opiera się na plecach pierzchającego panicznie tłumu wyfraczonych kapitalistów w wysokich, czarnych cylindrach.

Mój domowy Zegar Dziejowy ilustrują dobrze dwie mowy Trockiego z maja 1920, wygłoszone w Moskwie i Nowym, Wojna z Polską oraz Sowiecka Rosja i burżuazyjna Polska /wydano je natychmiast w broszurkach, na początku lat trzydziestych podarowała je wraz z innymi materiałami Krolowski Biblioteka w Sztokholmie ówczesna ambasadorowa sowiecka Aleksandra Kozłontaj, fotokopie podarował mi teraz w Sztokholmie polski pracownik Biblioteki, rozpakowawszy nietkniętą przez pół wieku paczkę/. "Ostatnia godzina dziejowa wybiła, polski Pan jest chwilowo górą, ale chwycimy go wkrótce za gardło, obciślimy obie głowy czarnemu orłowi carskiemu, obetniemy także głowę białemu orłowi polskiemu, przystała do nas nawet patriotyczny generał carski Brusilow /oklaski/, przejdźmy "polskiego Kierenskiego" Piłsudskiego, staniami na trupie białogwardyjskiej Polski by podać rękę niemieckiemu proletariatu, maszerujemy pod sztandarami Historii, niech żyje światowa rewolucja, niech żyje robotniczo-chłopska Polska, niech żyje robotniczo-chłopska Rosja!

Po Zegarze Dziejowym - Wojenne Trofeum. Włoskie wydanie książeczki Adama Zagajewskiego *Polonia: uno stato all'ombra dell'Unione Sovietica* poprzedził przedmową świetny dziennikarz jugosłowiański - włoski Frans Barbieri. Opowiada w niej usłyszany w roku 1976 od profesora Edwarda Lipińskiego epizod, z którym stykam się po raz pierwszy. Bierut miał jakoby w pewnej chwili, powołując się na wkład polski do wojny przeciw Hitlerowi, poprosić Stalina o trochę więcej luzu dla Polski, o zgodę na znaczącej polską "specyficzną narodową w ramach nie naruszalnego nigdy socjalizmu". Stalin odpowiedział: "Kto jest głównym zwycięzcą w tej wojnie? Bez wątpienia, Związek Sowiecki. Jakże jest główne trofeum wojenne, zdobyte przez ZSRR? Polska. Jak można się domagać byśmy się wyrzekli tak drogiego trofeum?". *Senon evero, eben treca*. Cały program Polaków dziś - w cieniu Zegara Dziejowego, który w ostatniej wojnie wybił zahamowaną w poprzedniej ostatnią godzinę i został szybko nakreślony, jest wciąż nakreślony, na wiele następnych godzin pochodzą imperjalnego - sprrowadza się do zasady wszystkich podbitych we wszystkich imperiach: trofeum musi z każdym dniem bardziej parzyć ręce zdobywcy. Jak w słynnej radzie Rousseau dla Polaków: bądźcie niestrawni, nie przestacie ani na chwilę być niestrawni, w tym wasz jedyny ratunek.

22 kwietnia

W wycinkach z Paryża stronica *Figaro* z okazji francuskiego wydania *Homo Sovieticus*. Niecikawa wypowiedź wstępna samego Zimnowiega

stanowi jakby odprysk drukowanych w nowym nurserze Konsumencku fragmentów jego prasykłej książki, która będzie "obroną epoki stalinizmu dokonaną piórem antystalinisty". Ciekawe natomiast są uwagi Thierry Maulnier'a o *Homie Sovieticusie*. Zakaszcza tak: "Związek Sowietki odwołany przez Zinowiewa jest królestwem absurdu, leninizmu, nudy, nędzy. Lada zdaje się, że na przykład widom systemu opisanym bezlitośnie przez Zinowiewa, ZSRR wygrywa zawsze w obliczu słabości i tchórzostwa swoich zachodnich przeciwników. Podjeźraliwość i ironia Zinowiewa tak sprawnie odbierają nam wiarę w szanse jakiegokolwiek oporu, że można by je zastosować do samego autora, a raczej do Zinowiewa, który od KGB otrzymał zadanie przekonania nas, że pisanie zawrotnej gry Instar, że opozycja dyktatora jest sama na usługach piętnowanego przez siebie systemu". God bardzo podobnego napiszłem niedługo w moim dzienniku, zastawiając *Homie Sovieticus* z *Sebestierem* Bostojewskiego. I przypuszczalnie coś bardzo podobnego nawiedza czasem jak nocny koszararz samego Zinowiewa, niepewnego już /wzorem pana Saladina/ czy jest wrogiem i ofiarą KGB, czy też pisaną i niewolniczym współpracownikiem "organów".

Demonizowanie wszechobecnych i wszechobecných "organów" nie jest zjawiskiem świeżym, ale przybrało ostatnio zatrważające wymiary, wywołując zapewne w gąszczu na Lubiance uczucie głębokiej /choć niezadowolonej/ doprawdy/ satysfakcji. Bo rzecz w tym, że mniej lub bardziej geniuszów, niż sądził rozważliwi w rafinacjach intelektualnie-ideologiczno-politycznych znaczący "imperializmu totalitarnego", a więc też sporadycznych chemów w służbie policyjnego państwa, specjalistów od "wewnętrznej rewolucji". Kiedy obejmują kwalifikacje rozumienie się widać rozmaitych misternych "siłach", z których ich twórcy nie mogą się wyplątać jak Zinowiew z własnej "zawrotnej gry Instar", przychodzi mi na myśl nieobecny Ryszard Wraga. Był inteligentnym, uniwersalnym, dobrze zorientowanym wywiadcą polskim na odcinku sowieckim; i płodnym publicystą. Z czasem jednak dał się zawładnąć całkowicie obrazowi demagogicznej Lubianki. Wszystkie w jego oczach było "zaplanowane" i "rozpracowane" w Moskwie, we wszystkich wszczął "provokacje", "sidła" i "pułapki", wszędzie widział "wtyczki". Bunt Pity, na przykład, długo uważał za "sowiecką żeligoszczyznę". Podczas naszego ostatniego spotkania w Neapolu mówił mi kilka godzin wywodami, że Terca i Ariaka podrażniła Kultura z demoniczną Lubianką w ramach jakiejś niezadowolonej skomplikowanej i subtelnej operacji policyjnej; tak skomplikowanej i subtelnej, że działają mogłyby cię stać tematem powieści Siniawskiego, gdyby autor *Opowieści o Iwanie* fantazjował w tych pozaszkolnych laurach Zinowiewowi. Na posłuchanie, w progu, oznajmił mi tajemniczym szeptaem, że za kadek amerykańskiego agenta literackiego nosi się z zamiarem napisania pamiętników. Miał już dla nich tytuł, entuzjastycznie zaprobowany przez agenta literackiego: *All My Life I Spied Russia*. Gdy zostałem wreszcie sam, zacząłem dla odprężenia obmyślać nowelę o nim. Pamiętam, że miała się kończyć scena, w której autor gotowego już rękopisu *All My Life I Spied Russia* edczytuje własnie swoje dzieło, dochodzi do wniosku, że zostało również "zaplanowane" przez agenta literackiego, w odpowiednio demagogicznej Lubianki, pali je wolno i doładnie stronniczo po stronie, po czym wznosi przed lustrem kielich na cześć swego cudownego wyznaczenia się *in extremis* z "pułapki" zastawionej przez rzekomego agenta literackiego, w niesamowitej ciszy emigranta rosyjskiego na sowieckim garnuszku. Sukcesem alternatywnym przewidywało osalenie dziecka, ale za to tragiczną śmierć jego autora w kapadokijskiej rozpaczy, na pograniczu załamania i zaszczucia władz wysocecech.

24 kwietnia

Wiosenna niedziela definitywnego "wypracowania" w wyjątkowym, zamieszkanym w rucznie wywołania Włoch na kolorowy i hakałowy Luna Park. Wróciłem na Stany przed tygodniem "na ostatnich negach", z gardłem natężonym i obolałym od ciągłego gadania, dyskutowania, głośnego czytania, z głową spuchniętą od rozkręconych węgarek Sztokholmu, Łodzi, Kopanengi. Elias Canetti telefonował w 62 go-

sach Markesa, że dobrzy podróżnicy są "istotami bez serca", pokonywają zachłannie wszystko co podróż podsuwa im przed oczy, podniecając się wszystkimi od nich nowe, mierzają się z wyczerpanym słuchem i uchlomioną uwagą, są we władzy niezwykłego obojętowego na "podtekst" odwiecznych krajów i ogładanych ludzi. Może taki jest mechanizm dobrego podróżowania na wrocie, nie pozna taki, sam mógłby o tym zaświadczyć sięgając do wspomnień własnych wyjazdów w przeszłości. Celem takiego podróżowania są w dużym stopniu *Ameryka i Kolumbia* i *Wojna Kambodżańska*, które w tych dalszych rozprawach *Wojna Kambodżańska* odwołując się do ciekawych nie niemal o inwentaryzacje, porusza wspaniałe problemy, świadczą o głębokotraktacyjnej literaturze, ale w miarę starzenia się podróżnicy stają się bardziej selektywni i sentymentalni, odwraca w nich z czasem *Wojna Kambodżańska* i *Wojna Kambodżańska* "kwestionariusz straconego czasu". Tyle w ciągu czasu skazywaliśmy się widzieliśmy wyjątki, a przecież Bogiem a prawdą przywołaniem do domu tylko trzy ostro zatrzymane obrazy: stawa pod Szokholomem, który pokazał mi A., widząc że zobacze w nim najlata podobiznę naszej wspólnej młodości; wczesnego poranku w Lond., gdy na samotnym spacerze powiało na mnie /jak przed laty, o zmiarnoku, w Civitavecchia/ zapachem żywej w zwojach pamięci, smennej prowincji; zaskak w Elyzynie o ślepych lecz otwartych oczach okiennych, z odbiaskami gasnącego popołudnia.

25 kwietnia

Po samobójstwie Kosatlara i jego żony postanowiłem na nowo przeczytać *Ciemność w południe*. Repetycja była, w trzydziści pięć lat później, te same wyniki: lektura jednym tchem, z zarwaniem nocy do białego dnia; świadomość, że Koestler zbudował swoje blyskotliwą powieść na sugestywnym fakcie. W ciągu minionych lat poddawane wielokrotnie krytyce na podstawie różnych świadectw koestlerowski "klucz" do procesów rozkłeszkich /ostatnio dialektyczna przyszłość oddana partii/, sam zajmując się nim obszernie w przedmowie do *Wielki G* z *Yektli* Alexa Weissberga, toteż nie ma potrzeby nad grobem wybitnego jednak pisarza wdawać się jeszcze raz w stare apory. Intrygować dziś może raczej pytanie, jak doszło do oszałamiającej kariery "klucza". W sędze rzeczy ufał *Nicola Chiaromonte*, pisząc już w roku 1945 w nieznanym mi dotąd szkicu na Zamach *Polityczny*, że w *Ciemności* w *południe* udało się Koestlerowi stworzyć popularną formułę Bolszewika, jedną z tych formuł, które cieżą się tak wielkim powodzeniem, gdyż zamiast grubo cieżącej prawdy dostarczają ludziom złudzenie fineryjnego rozumienia rzeczy bulwersujące niezrozumiałych. Znany, znany te popularne formuły także z rodzinnego podwórka, ale zamiast w nich dla świętego spokoju.

Nicola natytułował swój szkic Koestler or *Tragedy Made Futile*. Orwell w szkicu o Koestlerze pisze, że pod pseudonimem Europejszczyka *Ciemność w południe* zawarł się na wyjątkowo twardej, podczas gdy pisarza angielski lub amerykański zrobiłby z niej "najwyższy traktat polityczny". Kto miał rację? Tragedia spleaszczona do poziomu "błahości", "czczości", czy wniesiona na należne jej wyjątki? Bydło, że mi jedno ani *Orwell*. Rubaszew zarząca gdzieś po środku. Nie jest postacią naprawdę tragiczną, wręcz szarym graczem rewolucyjnej władzy, dość nikczemną figurą zapamiętaną potrafił własnej "filozofii" wywołanego z wszelkich ludzkich i boskich wiarów *Orwell*. Tragiczny był Bucharin na konfrontacji ze swoim pupilem *Ajronowiczem* i w czasie paryskich rozmów z *Nikolajewskim*, Bucharin rozmyślający w niedzielnym o "naturalnym człowieku", o sensie i celu życia, a w Paryżu odkrywający warę *Indziejczaka* *Przykasa*. A jednak tkwi w Rubaszowie coś karykaturalnie tragicznego, właśnie w owym spleaszczeniu do poziomu "błahości" i "czczości". *He is not only alone*, *he is also hollow* - powiada o nim *Orwell*. *Russii* jak on ludzie samozachowujący się i opływali na procesach, przynurkali się do sin niagapokreślonych, nie w imię "dialektyki" i "ostatniej przyszłości oddanej partii", ale w imię najcięższej

nadziei że zostaną jednak za swoją autodegradować nagrodzeni, że i n a r t i - c u l o m e r t i s władza rewelacyjna oszczędzi ich i - kto wie? - przeniesie nawet stopniowo z kategorii torturowanych do kategorii torturujących, przywróci zgraną prawo do dalszego skromnego choćby udziału w grze. Tragizm karykaturalny i plugawy, wobec którego oficer carski, rozmówca Rubaszowa przez ścianę celi więziennej, urasta do rozmiarów rycozra bez skazy. Taka jest może jedyna nowość nowej powtarzanej lektury *Ciemność* i w południu i: większa jeszcze, niż za pierwszym razem, sympatia do oficera carskiego.

27 kwietnia

Przypada w tym roku podwójna setna rocznica: śmierci Marksa i urodzin Kafki. Sto lat temu Stodra, powoławszy przed swoje zachmurzone oblicze Brodatego Proreka i odprawiwszy go gwałtownie gdzie należało, smuknął pod nosem trochę rozpozgodzony: "A teraz pośle ich na ziemski padół nadęconego Wiecznego Wędrowca, aby otrząsnęli się z ludzkiej pychy i zachwalości, poczuli krzes rojeniczości i raju na ziemi i przywołali sobie ciężar swej wiekołoczonej dla ludzkich umysłów egzystencji". Po czym dczucił zamysłony: "Pośle go do stolicy Golema, tam niech zatoczy koło wiecznej ziemskiej wędrowki ku mojej okwale i bliżnim na pożytek".

W kilku artykułach o podwójnej rocznicy natrafiliem na sprzężenie uproszczone: nowy deskonający świat z proroctw i projektów Marksa, budowany przez nowych samowystarczalnych narzęście ludzi, przekształca się w praktyce w "kafkowską" zmcę. W tym sensie "kafkowskie" jest autentyczne zdarzenie z kronik komunizmu, które Milan Kundera przytocza za Josefem Skvrcekyem. Pównien praški inżynier zostaje wysłany do Londynu na konferencję naukową. Jedaie, bierz udział w obradach, wraca do Pragi. W kilka godzin później otwiera w biurze *Rude Prawo* i czyta: "Czeski inżynier taki a taki, delegat na konferencję naukową w Londynie, dał prasie angielskiej oświadczenie oczerniające własną ojczyznę socjalistyczną i postanowił zostać na Zachodzie". Rzecz pachnie dwudziestoma latami więzienia. Osłupienie, przerażenie. Do pokoju wchodzi sekretarka inżyniera, na jego widok błodnie i wpada w panikę. Co robić? Inżynier pędzi do *Rudego Prawa*. Redaktor przyznaje, że zaszkło widocznie jakies nieporozumienie, ale rozkłada ręce: dostał komunikat bezpośrednio z ESW, nie wie może poradzić. Inżynier pędzi zdyszany do ministerstwa. I tam przyznają, że zaszkło niewątpliwie omyłka, nie mogą jednak także nic na nią poradzić, skoro wiadomość otrzymali od wywiadu ambasady czeskiej w Londynie. Inżynier domaga się sprostowania. Odmawiają mu, ministerstwo nie ma zwyczaju prostować swoich komunikatów. Na pocieszenie zapewnniają go, że nic mu się złego nie stanie, że może być najzupełniej spokojny. Ale jakże na zachować spokój, jeśli tegoż jeszcze dnia odkrywa że jest śledzony, że na ulicy chodzą za nim tajniacy, a w domu założono mu podsłuch telefoniczny. Nie sypia po nocach, grozi mu całkowity rozstrój nerwowy. Decyduje się wreszcie, nie zważając na ogromne ryzyko, uciec nielegalnie z kraju. I staje się rzeczywiście emigrantem.

Kundera zapatruje prasie zdarzenia /dla podchwytnej, czarownego kamku na Hradczanach "banalne"/ w komentarz. "Kafkowskie" jest w nim to, że Poskarżony szuka własnej winy"; "Lara szuka zbrodni", gdy u Destojewskiego "zbrodnia szuka kary". Według Kundery jest błędem uważać powieści i opowiadania Kafki za parabolę religijną, nie na bawion podstar do dopatrywania się alegoryczności tam, gdzie w grę wchodzi konkretna sytuacja życia ludzkiego. Mimo że błędna, interpretacja religijna jest przecież umiarkowana: władza zachowująca się jak bóstwo wodzi automatycznie własną teologię, budzi w stoczniaka do siebie uczucia religijne, składania do opisu świata językiem teologicznym. "Kafka - powiada Kundera - nie pisał alegorii religijnych, lecz pojęcia "kafkowskie" /zarówno w rzeczywistości jak w fikcji/ jest nieodłączane od własnego aspektu teologicznego / a raczej pseudo-teologicznego/. Autor *Zartu* rzedni zawężył wiązki Kafki do społecznego i ludzkiego konkretnu

x/ Po raz pierwszy *Ciemność* w południe ukazał się w *Kultu-*
rze Nr. 16/17 /1949r./

swoistego przeczcucia totalitaryzmu.

Jestem takimże zawężeniu przecinny. Obojętne czy powieści i opowiadania Kafki nazwiemy parabolami religijnymi, nazwa ma tu mniejsze znaczenie, niż szczególna atmosfera otaczająca kafkowski zmyśł rzeczywistości, często i ze słusznym naciskiem podkreślany. Atmosfera obecności sił wyższych, którym człowiek opłdywany przez rzeczywistość chciałby choć raz zajrzeć w oczy, ponosząc wciąż klęskę, a mimo to nie dając do końca za wygraną. "Nasze prawa nie są powszechnie znane; niezmiernie to bolesna rzecz być rządzonym przez prawa, których się nie zna?". W tym zdaniu z *Problemu naszych praw*, tkwi cała istota Kafki, można je zastosować i do *Procesu i do Zamku*. Istnieją zatem "gdzieś" "jakies", przez "kogoś" stanowione prawa, tropione przez nas z daremnym lecz nieustającym uporem. Kto śmie głosić że je odkrył *h i c e t u n o* i bierze się do ich kodyfikowania, skazany jest na życie w świecie jednowymiarowym, więcej - wystawia się na pokusę przeobrażenia go w świat "skodyfikowanej" przemocy i "skodyfikowanego" gwałtu. To prawda że w kafkowskich wizjach nie ma miejsca na nagrodę za uparte poszukiwanie, ale jego ważność i nieuchronność są u Wiecznego Wędrowca jakby jedynym światłem w nieprzeniknionych ciemnościach. Kafka zakłócił zeno-wieczny sen człowieka o własnej samowystarczalności.

Więc był pisarzem religijnym? Trzeba w jego wypadku słowa Pascala: "Nie szukał-bys mnie, gdybyś mnie nie był już znalazł" sprafrazować w ten sposób: "Szukał cię, nigdy nie przestał cię szukać, bez żadnej nadziei znalezienia".

29 kwietnia

Opędowicy "sieci" niestrudzenie rozstawianych przez wszechmocne i wszechobecne "organy" powinni przeczytać, pokonując częste obrzydzenie lub mitygując je równie częstymi wybuchami śmiechu, powieść Rogera Peyrefitte *Le sou t a n e r o u g e*. Dowiedzą się z niej, że krakowski ksiądz Attyyla /przysiął papież Jan Antoni II/ odbył szkolenie na specjalnym kursie KGB w mięso-czarnobeli Karim, gdzie zaprzyjaźnił się z imioma duchownym kursantem, litewsko-amerykańskim księdzem Larvenkusen /przysiął arcybiskupem i bankierem watykańskim/. Na szczęście chytry i krzepki Litwin z głową do interesów i potencją seksualną ogiera nie omieszkają później, dla równowagi, zapisać się na podobny kurs CIA w Stanach.

30 kwietnia

Dziś na kolacji mój triestański przyjaciel V., wielkiiciel astrologii, jasnowidzenia, profecji.

- Hożacie sobie to nazywał "parapsychologią", czy jak was się podobą, ale nja-wisko istnieje i zawsze istniało. Nawet w Związku Sowietkim pogadano się z oczy-wistością. Breżniewa trzymają tak długo za negach gruzińska adeptka "parapsychologii". Gdyby nie była umarła wcześniej...

- Sęk w tym, czy mistrzowie potrafią wykształcić uczniów. Czy imyja słowy zachodzi obawa, że wychowanek albo wychowanka jasnowidzącej Gruniki przedłoży ty-cie Andropowowi. Nie zamierzam wcale kpić, przyzkiem kiedys w Indiach historię, która usposobiła mnie poważnie do tych spraw i dała mi duże do myślenia. Z astrelogią, jasnowidzeniem i profecją jest trochę tak, jak z taumaturgia dla wierzą-cych. Nie wolno oczekiwać jednego cudu po drugim, nie wolno nadużywać dobroci Boga. Nie to że wiele się wtedy ryzykuje, po prostu przestaje się być prawdziwym wierzącym. Podobnie z twoją astrologią. Bieda z następcami autentycznymi astrelog-ów, pchają się samozwańcy i szarlatani. Znać pewnie życie wielkiego Michela

Nostradamusa.

- W najdrobniejszych szczegółach.
- Jeśli tak, to nie muszę ci przypominać skandalu z jego synem.
- Jakiego znowu skandalu z jego synem?
- Wielki Michel Nostradamus miał syna, też Michela, któremu starał się przekazać swoją wiedzę tajemną. Po śmierci ojca młodzieniec zaczął występować jako Michel II Nostradamus. Był absolutnie pewny otrzymanego w spadku daru. Podczas wojen religijnych zapowiedział, że miasto Pousin, obleżone przez wojska królewskie, spłonie w pożarze. Wkrótce po tym proroctwie złapano go na gorącym uczynku podpalania niezamieszkałych domów na przedmieściach Pousin. Postanowił, jak wiódca, doprościć losowi wypisanemu w gwiazdach. Oburzony baron de Crévecoeur, dowódca garnizonu, kazał go rozstrzelać kłosa. Tak niesławnie zakończyła się próba założenia dynastii profetycznej.

3 m a j a

Prawie wszędzie, w telewizji i w gazetach, ta sama reakcja na 1 maja w Polsce. Najpierw grymas szczerzej czy udawanej zgrozy; w obrazie "socjalizmu realnego" brakuje jeszcze, dla zachęcenia, ludzi pracy wkładanych paskami policyjnymi, rozkładanych przy pomocy hydrantów i gazów zwalających, za czelność urzędzenia własnego obchodu Święta Pracy. Potem wykrzyknik: a zatem Solidarność żyje dalej i te jakby ukryte i u n c t i m między wykrzyknikiem i pytańnikiem: podróż papieską uważa nie tu w duchu za celebrację złożenia Solidarności do gronu. Tu, to znaczy na Zachodzie. A także tam, na szczytach władzy w PRL. Odkąd dostrzeżono możliwość zdobycia pośredniej, nie to że żakobnej, sankcji dla faktu dokonanego 13 grudnia 1981, nadaje się zysku zrównoważyła lek przed ryzykiem. Pierwszomajowe wahnięcia naruszyły gwałtownie tę równowagę: znowu ryzyko jest o wiele większe od nadziei. Po szesnastu miesiącach prób przekonania Polaków biciem, że muszą chęć nie chcąc pogodzić się z "mniejszym złem", wróciliśmy do punktu wyjścia. Czyli do martwego punktu. Z nowym akcentem, który daje się usłyszeć w zdaniu Wałęsy: "Jesteśmy dojrzałsi, po przednim ranem wystarczyło nam zjawienie się papieża, tym razem odczuwamy potrzebę konkretnych rezultatów". Na przed sceny narodowej wyskoczył ponownie i dość nieoczekiwanie "trzeci aktor", przygotowany /zdawało się/ na końcu boleści do podobnej sceny ze splecionymi na pierśiach dłońmi.

W rozważymy artykule Macieja Poleckiego Program i organizacja z marca br./ sprawa wizyty papieskiej przeanalizowana jest w czterech wariantach "gry politycznej". Na zarzut niedopuszności narazi się pewnie warszawski analityk za ujmowanie ewenementu religijnego i moralnego w kategoriach "gry politycznej". A jednak na rękę. To jest "gra polityczna", choćby się przagnęło najusilniej, aby Jan Paweł II mógł jeszcze raz ukołować ziemię ojczystą i pobłogosławić romanclenskiemu wieknych zgodnie ze swoim głębokim przekonaniem o niej /i charyzmatu/ wyjątkowo duszpasterskiej. I to "gra polityczna" z udziałem "trzeciego partnera", którego Polecki wezwał do autogalwanizacji. Odbędzie się wizyta, czy po 1 maja zostanie odroczone? Dalszysza korespondencja z Watykanu wskazuje, że plany nie uległy zmianie. Surzelski też się przypuszczalnie nie cofnie, ciępienie na wyjął o dostarczeniu dowodu, że "ślepa ulica" panuje nad "dalekocierownym ostatkiem". "Cud przebudzenia narodu - powiedział Polecki - drugi raz się nie zdarzy. Po prostu dlatego że zaród już nie śpi". Nie zdarzy się również, jak pokazał wypadek sierpnowy, generalski kontr-cud uspienia narodu. Potrzebny jest drugi cudem i niemożliwym kontr-cudem rozegra się czterzeci akt dramatu narodowego.

"Kultura", czerwiec 1983

Gustaw Herling-Grudziński

Gustaw Herling-Grudziński

DZIENNIK PISANY NOCĄ.

Ferrara, 2 lipca 1933

W Podróży wąskiej Ferrara jest ledwie wspomniana, chociaż daje tytuł rozdziałowi z Ferrary de Ryszardem Goethego ogańnię "zniszczenie" w tym "pięknym, wyludnionym mieście". Westchnął melancholijnie: "Kiedyś ożywiła te ulice obecność świetnego dworu książęcego". A teraz? "W ponurym nastroju" i "bez większego zainteresowania" oglądał co mu pokazywano: grobowiec Ariosta, więzienie Tassa, jakies' budynki i obrazy. Szybko i z ulgą ruszył w dalszą drogę.

A teraz? - powtarzam. W Ferrarze, jak rzadko w którymś mieście włoskim o przeszłości pełnej historycznego splendoru, przetrzało ciche bicie starego serca. Biję serce miasta uspięnego na wieki, zaklętego jakby w tym uspieniu, lecz nie umarłego.

Wczoraj wieczorem krążyliśmy dokoła Castello Estense. Wokół dwóch Zasków włoszczyzny: rzeczywistego i odbitego w czarnej, martwej wodzie fosy. Jak dzwinni w Ferrarze brumi słowo "rzeczywisty"! Coś bardzo podobnego przesyłał w Urbino, gdy nocą księżycowe światło obmywało szczeni fałdami Pałacu z Ducale. Pałac prawdziwy? Czy zbudowany z materii snów, ajaw, przywidzeń?

Dzisiejsze przedpokucie w Pałacu Schifanoia, gdzie w czarnych freskowych fragmentach Miesiąc przemieszanie rzeczywistości, mitologii, baśniowej fantazji jest główną dewizą artystów. Przemieszanie tak fascynujące, tak swobodne i naturalne, że odbiera maraz sensu malarzskiemu poświadcza za samą naturę.

Ferrara stanowi dobrą oprawę dla wielkiej wystawy Isonor Fini w Pałacu dei Diamanti. Co u tej niezwykłej malarzki, oglądane przygodnie i na wyryki, mogło się niedługo wydawać tylko eleganckim manieryzmem, a nie czystą wirtuozerią techniczną, w ferraryjskim Pałacu Diamantowym staje się odprawianiem czarów nad światem utkany z mitów i baśni, bardzkiej rzeczywistości w słońcu szarym, w zaklęciu magicznym, niż w swojej nagiej postaci "realnej", która wywnosi się z czarnej i martwej wody.

Procidia, 14 lipca

Wśród czystych wiosek morza, malowniczych zatok, cichej przygodki, ukrytych w zieleni domków, które tak ładnie opisała Elsa Morante w "L'Isola di Arturo", nadając życie oleodrukowi Procidy z noweli "Martina e Graziella", twardym i smiej "poetycznym" rdzeniem wyspy jest Terra Nuova. Ziemia Zamurowana, srogi Forteca, kamienne sarkany chrząca przed czepnymi niegdyś najazdami piratów i Saracenów. Została z niej nie tylko sugestywna nazwa. W obrębie Terra Nuova powstało miasteczko i zamknięte uniwersum, kondygnacyjną strukturą przypominające wieżowulki Wioły Nabal. U dołu mieszkałszy Ziemi Zamurowanej w domach naszytych jak gniazda ptasie w kafelkach stęka; wyżej jedno z najcięższych we Włoszech więzień, z oknami nasłoniętymi do połowy koszami, "wilczyimi paszczami"; na szczycie kościół Świątego Michała Archaniela, z obrazem patrona pod kopułą, skrzydlatego cherubina uzbrojonego w miecz przeciw niejedźcom.

Na jednym z przylądków, skąd Ziemię Zamurowaną widać w całej okazałości i ze szczególną wyrazistością, zdziczały gąszcz drzew i krzewów przytoczył niemal półzawaloną chałupę. Otacza ją, wraz ze skrawkiem słabo uprawnego pola, druciana siatka. Mieszka w niej z dwoma psami człowiek, którego nazywają Ergastolano. Skazany na dożywocie. Wiadomo o nim tyle tylko, że w więzieniu na Procidzie odsiedział osiem lat; resztę wyroku uchylono po rewizji poszlakowego procesu za zabójstwo. Trudno zrozić jak na tej mikroskopijnej wyspce potrafił obronić sekret o sobie. Dlaczego osiedlił się na Procidzie, jeśli nie pochodzi z tych stron? Jak tu i z czego żyje? Na gdzieś rodzinę? Dokąd wyjeżdża co roku z Procidy na całą zimą? Czemu unika ludzi, nie bierze nawet udziału w wielkich świątach wyspy? Odpowiedź jest jedna - słowo Ergastolano, jakby w zrzuconym domu na przylądku odsiadywał dalej swoje dożywocie przywleczone z celi więziennej w Ziemi Zamurowanej.

Zawsze uderzały mnie na Południu trzy ludzkie cechy: pogodny, mimo pozorów teatralnej dramatyczności, stosunek do śmierci; dyskrekcja wobec cudzego nieszczęścia, zabcbonna chęć do jego porwania i zgłębienia; respekt dla samotności tych, którzy ją dobrowolnie i świadomie wybrali.

Zaraz po przyjeździe na Procidę widziałem Ergastolano, nie wiedząc jeszcze kim jest. Wróciłem pod wieczór ze spaceru na przylądku, zagroziła mi nagle drogę druciana siatka. Na zagracojnym i brudnym podwórzu koło domu siedział pod dachem z dzikiego wina niechlujnie ubrany i zarosnięty mężczyzna w nieokreślonym wieku. Siedział przy stoliku, na którym stała opróżniona już prawie butla wina. Nie zareagował na moje pozdrowienie, wykonał tylko pod stołem gwałtowny ruch nogą, podrywając dwa leżące tam psy, które z powarkiwaniem podbiegły do siatki drucianej. Ich pan wpatrywał się bez ruchu zmętniałym od picia wzrokiem w Ziemię Zamurowaną.

Neapoli, 25 lipca

Bilans prowizoryczny w ośmiu punktach.

1. Tydzień wizyty papieskiej miał być, i do rozmowy wawelskiej był, aktem podniesienia Polaków na duchu.
2. Osny dałoi tygodnia zruszył na piałgrzyżkę zagadkowy cień. Nie wiemy jeszcze dokładnie na czym polega, czujemy jednak wyraźnie że istnieje. Cień tego cienia ujrzałimy zresztą przelotnie w głośnym artykule Osservatore Romano.
3. Wizyta papieska wzmocniła instytucjonalnie Kościół i "podlegitymizowała" Jankielakiego. Społeczeństwo stanęło na rozdrożu albo zgodnie zmanifestuje w sierpniu czym dla niego był ten siedmiodniowy zastrzyk siły moralnej i narodowej, albo w obliczu wprawionego ósmego dnia w ruch kompromisu Kościół-Państwo zacznie się częściowo przynajmniej obsuwać w zobojętnienie i neutralizację pod naciskiem "siły wyższej" /wyrażenia zamykające artykuł Osservatore Romano/.
4. Spotkanie Jana Pawła II z Wałęsą odbyło się w okolicznościach, delikatnie mówiąc, upokarzających dla obu stron. Wałęsa na się jakoby przeniósł w stan honorowego spoczynku. Przekonany się niebawem, czy to robi. Zdają się temu przeczyć jego najświeższe wypowiedzi o perspektywie "gorącego sierpnia" i o fikcyjności zalesienia stanu wojennego.
5. Skurczyła się waga "laickiego" składnika ruchu solidarnościowego /aparte milczenie w sprawie obu procesów/, na dalszym planie pojawiła się możliwość /a raczej obietnica/ kadzubowych i wykastrowanych związków czy organizacji pod kuratelą Eklezji.
6. Władza pokwitowała rezultaty wizyty papieskiej zalesieniem stanu wojennego. Stan wojenny, hucznie wyprowadzony głównymi drzwiami, wrócił ciszej i w przebraaniu tylnym.
7. Społeczeństwo, niejmny jednak nadzieje, pokwituje zgodnie siedem dni wizyty papieskiej chochołami rocznicy 31 sierpnia pod hasłem "Solidarność żyje" /że jeszcze żyje, przypomniak Głepowi na lotniaku rzymakim Gulbinowicz/.

B. Na Zachodzie utoruje sobie ctdąd stopniowo drogę przekonanie, że w sprawie Polski nie można być "bardziej papieskim od papieża". Słychać już wypowiedzi w tym duchu.

Znany publicysta William Safire pisze: "Przez jeden wspaniały tydzień świat myślał, że komuniści polscy popełnili straszny błąd, zezwalając Polakom powitać znowu papieża na ojczyźnej ziemi. Watykan będzie musiał zrobić coś więcej niż usuniecie redaktora *O s s e r v a t o r e R o m a n o*, żeby rozwiać wrażenie że w ostatecznym rachunku tym który popełnił błąd był papież". Daleko idąca konkluzja, zapewne, ale w sytuacji takiej jak obecna nie wolno jej niestety lekceważyć.

28 l i p c a

W liście z więzienia Adam Michnik wdręce wwrócił uwagę na sżawisko, którego nie mogą pojąć rżędcy. Władza przywykła do schematu "inteligentów-manipulatorów za plecami przywódców robotniczych", toteż sądzi że wystarczą unieszkodliwić praktyktem "manipulatorów", by uspokoił się w końcu "manipulowani". Tak nie jest. "Intelektualiści /pisze Michnik/ są twarżdzi nie dlatego, że - jak twierdzi Rakowski - dają się na rżęć; są twarżdzi, bo tak im nakazuje rozum i honor, bo wiedzą, że na dalszą metę tylko taka postawa jest społecznie opłacalna". Przywódcy robotniczy - należałoby dodać - są niestępliwłi nie dlatego, że nadal ulegają odruchowemu "podstępom manipulacyjnym"; ich niestępliwosć jest owocem społecznego dojrzenia, nie, które w sierpniu 1980 przerodziło się w ogromny ruch autonomiczny. Lektura takich choćby książek jak *K O R* Jana Józefa Lipskiego, tom szkiców Krzysztofa Pomiana o Solidarności czy antologia Grażyny Pomian *P o l s k a "S o l i d a r n o s ć i"* uprzytamnia jak się to dojrzwanie krok po kroku odbywało. Jeżeli w moim prowizorycznym bilansie wizyty papieskiej nie pominąłem, wśród szeregu warianów, groźby częściowego obswiania się społeczeństwa w zobejzwatenie i neutralizację wobec perspektywy kompromisu Kościół-Państwo /zawieranego ponad nową świądomością społeczną, lub obok niej/, to w tym jedynie celu by jasne było co podobny kompromis musiałby oznaczać: nie rozczyszczenie wróć wyjścia z permanentnego stanu wojennego, lecz chwilowe zawżóddzenie i zamrożenie niezniszczalnych już aspiracji do zmian autentycznych. W imię "stabilizacji" - tym razem "dużej", bo wojskowej - na gruncie układu wyjącającego dopuszczenie społeczeństwa do głosu w jakiejkolwiek wiarygodnej formie.

Trudno przewidzieć następstwa kompromisu. Czy uda się w najbliższej przyszłości uniknąć procesów rozbitcia i dezorientacji, zarówno w społeczeństwie jak i w Kościele?

31 l i p c a

Jesienią 1981 roku, nasazutrz po spotkaniu Główna-Jeruzelski-Wołęsa, nadarzyła mi się sposobność porozmawiania w Raymie z wybitnym ekspertem Solidarności. Usiłowałem wyadać, czy bierze w rachubę scenariusz interwencji wojskowej. Opowiedział mi o przeprowadzonym wśród żołnierzy "tajnym sondażu", którego wyniki "przebiegły" do kierownictwa Solidarności. W tym "tajnym sondażu" postawione żołnierzom jedno tylko pytanie: "Czy jesteście gotów bronić zdobycy socjalizmu?". Piętnaście procent odpowiedziało: tak, reszta: nie. Mój rozmówca opowiedział mi to takim tonem, jakim wyciąga się z zasadza argument nieodparty i zamykający dyskusję. Ryżo oczywiste, że nigdy nie sżużył w wojsku.

Kryszka rozmowa przypominała mi się podczas czytania ostatniego numeru *G ł o s u*, pozacenzuralnego pisma warszawskiego. Zespół *G ł o s u* ogłosił w nim wielki "program histery" *O d b u d o w a p a Ń s t w a*. W telegraficznym skrócie wy-

gląda on następująco. Okres legalnej Solidarności był okresem "rozpadu PRL jako państwa partyjnego". Co zajęto miejsce "państwa partyjnego"? G 2 o s nie używa określenia "państwo wojskowe", ale na je wyraźnie na końcu języka. Że zaś "państwo" jest i powinno być dla nas wartością najwyższą, a "wojsko" należy do trzech polskich sił "trójki" /obok Kościoła i Solidarności/, w naturze rzeczy leży kozystwa dla wszystkich trójporozumienie. "Wojsko nie jest w stanie odtworzyć państwa bez współdziałania z narodem". Więcej! albo wojsko "zejdzie ze sceny politycznej do koszar", albo "utrwali i umocni swą pozycję polityczną, co może się stać jedynie dzięki zawarciu porozumienia z Kościołem i Solidarnością, jako trzeci reaktor - i zbrojni! - czynnik narodowej siły".

Podajrzewam, że do Zespołu G 2 o s u "przeciekły" ostatnie wyniki nowego "tajnego sondażu", przeprowadzonego wśród wyższej kadry dowódczej /od majora wzyt/. Oficerom postawiono jedno tylko pytanie: "Czy jesteś gotów bronić ustroju, czy państwa?". Piętnaście procent odpowiedziało: ustroju, reszta: państwa. Wyniki nowego "tajnego sondażu" mieszczą się dobrze w "etatystycznej legitymizacji rządów Jaruzelskiego", o której inteligentnie pisze w ostatnim P u l s i e Maciej Kiersnowski, nazywając ją "podwójnym oszustwem".

"Program bieżący" Zespołu G 2 o s u napisany został w przededniu wizyty papieskiej i kończy się tak: "Czas nagli. Wszyscy jakbyśmy skupili, zwarli się w sobie w oczekiwaniu na Jana Pawła II, na Jego pielgrzymkę narodowej nadziei. 23 czerwca Ojciec Święty ojedzie. Nadzieja, którą przyniesie - pozostanie. Na takim fundamencie będzie można wiele zbudować". Auterzy O d b u d o w y p a i s t w a mogliby sobie śmiało podarować troszkę o dwa członki proponowanego trójporozumienia, Kościół i wojsko; gorzej czy lepiej poradzą sobie jakoś same. Naszym głównym zadaniem jest odbudowa członka trzeciego, bez którego "ideologia etatystyczna" stanowi pułapkę dla naiwnych, wciąganych na manowce pod osłoną mgły patriotycznej.

Więc naprawdę pytanie kończące mój poprzedni zapis jest aż tak aktualne?

3 s i e r p n i a

Dedykacja Tibora Déry na polskim wydaniu N i k i s mażo przedmową wkażuje, że spotkaliśmy się w Lacco Ameno na Ischii 5 stycznia 1964 roku. Siedemdziesiąć latni pisarz węgierski przyjechał tam z żoną na dwa tygodnie, jako gość swego wydawcy włoskiego. Była to jego pierwsza podróż zagraniczna po rewolucji 1956 roku. Aresztowane go w kwietniu 1957 roku, skazano w listopadzie tegoż roku na dziewięć lat więzienia. Kadarowska amnestia otworzyła przed nim drzwi cali w roku 1960. Wyszedł na wolność z podkopanym zdrowiem.

Spędziliśmy razem pół dnia. Po latach pamiętam z naszych rozmów opowieść o tym, jak go przed wyjazdem wozowano do Kadera. "Radzę ci po przyjeździe uniknąć za granicą w ogóle tematów politycznych, a zakazać kategorycznie poruszania jednego tematu". Tematem zakazanym była Rosja. W rozmowie na Ischii autor N i k i s wolał używać słów "Rosja", "rosyjski", zamiast "ZSRR", "sowiecki". W potęgnej odpornie w Budapeszcie nowy pierwszy sekretarz nie musiał używać ani jednego, ani drugiego; wystarczyło wspomnieć o temacie zakazanym kategorycznie.

Utkwił mi w pamięci wywód Tibora Déry o "amputacji", wart może wamotowania gdy w prasie krajowej tak często zachwala się "węgierski model" upragnionej i definitywnej "normalizacji".

- Rozjechało nas, Wagrów, na drodze do własnego życia narodowego. Kadar podjął się, za zachęty sprawców katastrofy, amputacji ciężko rannego narodu. Operacja udała się o tyle, że pacjent nie zmarł. Ale żyć musiał w wózku. Widział pan kiedy kalekę na wózku? Na dobry, czasem aż za dobry apetyt, porusza się na swoim

wózku coraz zwawiej, pozwala sobie nawet na karkołomne obroty, dokonują tu tylko otresnani bci amputowanych nóg. Lekarze twierdzą, i słusznie bodeją, że z biegiem lat ten bci zanika. Można zatem mieć pewną nadzieję, że w przyszłości i my dojdziemy do optymalnego samopoczucia kaleki na wózku. I że wcih następców nie trzeba już bdezie ostrzegać jakich tematów nie wolno im poruszać, o czym dla własnego dobra powinni raz na zawsze zapomnieć. Co do mnie, jestem za stary na pełną rekonwalescencję po amputacji. Mam przed sobą niewiele lat życia z powracającym stale, wciąż dotkliwszym bólem.

6 sierpnia

Marguerite Yourcenar pisze w książeczce *Mishima ou la vision du vide*, że jego sżyna nowela *Patriotyzm* powinna się nazywać *Io jala ność*. Bohater, młody porucznik Shinji, popełnia z młodszą od siebie święto poślubioną żoną Reiko *h a r a k i r i*, powodowany raczej lojalnością wobec przyjaciół niż patriotyzmem. Rzeź dzieje się w Tokio w roku 1936. Zostaje wykryty i skłumiony w zarodku bunt grupy oficerów, do której należał Shinji. Ponieważ po ożenku odsunięto go chwilowo od przygotowań, unika aresztowania. Spiskowcy mają być rozstrzelani. Wieczorem, w przeddzień egzekucji, Shinji wraca do domu z decyzją popełnienia *h a r a k i r i*. Reiko, na własną prośbę i za zgodą męża, odbierze sobie życie natychmiast po jego śmierci. Długą, okrutną scenę podwójnego samobójstwa poprzedza również długa, wspaniała scena ostatniego aktu miłości.

Mishima sam afilmował swój *Patriotyzm*, sam też wystąpił w roli porucznika Shinji obok bardzo pięknej aktorki w roli żony, w filmie piękniejszym jeszcze od noweli /jak twierdzi Marguerite Yourcenar/. Ten film pokazywano wielokrotnie, gdy Mishima w listopadzie 1970 roku, u szczytu sławy pisarskiej i o krok od Nobla, w wieku czterdziestu pięciu lat, powtórzył w rzeczywistości swoje aktorskie *h a r a k i r i*. Na czele grupy młodych wyznawców wtargnął do urzędu szefa sztabu głównego armii, kazał go przywiązać do krzesła, wygłosił z balkonu krótkie przemówienie do żołnierzy na dziedzińcu, po czym na oczach związanego generała popełnił *h a r a k i r i* wraz z jedną z towarzyszących mu młodzieńców. W jego przemówieniu do żołnierzy były takie zdania: "Widzimy jak Japonia pogrąża się w absolutnym milczeniu ducha; dobrobyt uderzył jej do głowy... Zamierzamy przywrócić jej dawną postać i umrzemy czynić to... Czyż podobna, by wystarczyło wam życie w świecie, w którym umarł duch?... Nasze wartości fundamentalne, nasze wartości autentycznie japońskie, są zagrożone". Premier japoński, obłożony przez dziennikarzy zaraz po tragedii, wysunął hipotezę "obkędu" pisarza. Matka Mishimy oświadczyła: "Nie oplakujcie go, po raz pierwszy w życiu zrobił to co pragnął zrobić". Rok wcześniej Mishima pisał: "Kiedy ogarniam myślą ostatnie dwadzieścia pięć lat, ich pustka przejmuje mnie zgrozą; mogę ledwie powiedzieć, że tyłem". Stąd pewnie tytuł książeczki Marguerite Yourcenar: *Widz ją pustki*.

Różnie komentowano *h a r a k i r i* Mishimy. Nazywano go "fascystą" lub żagodniej "prawicowym fanatykiem", z większą subtelnością rozpisywano się o "konservatywnym dekadentyzmie", przypominając że Mishima był admiratorem D'Annunzia i przełożył nawet na japoński jego *Męczeństwo Świętego Sebastiana*. W *Patriotyzmie* Shinji leży nagi na kółku i oczekuje Reiko. "Splótk ręce pod głową i patrzył na ciemny sufit, poza zasięgiem światła lampy. Czekował w tej chwili śmierci? Czy dzięki ekstazy zmysłów? Oba obrazy zdawały się nakładać na siebie, jak gdyby przedmiotem jego pożądania fizycznego była sama śmierć. Ale jskkolwiek się rzeczy miały, porucznik nigdy dotąd nie zaznał podobnego uczucia całkowitej wolności". W tym wzajemnym przenikaniu się miłości i śmierci tkwi tęśnata Mishimy do absolutu. Mishima albo wizja pustki, czy Mishima albo pragnienie absolutu? Oba tytuły nakładają się na siebie, jak gdyby przedmiotem pragnienia absolutu okazywała się nagle wizja pustki; z przelotnym, ostrym, nieznanym dotąd doznaniem uczucia całkowitej wolności.

9 sierpnia

"Leto, wakacje, kurz i skwar, skwar i kurz. Ciepko siedzieć w miastach. Wszyscy się rozjechali". Tak zaczyna się jeden z "małych obrazków", którymi Dostojewski lubił uramianiać "Kronikę petersburską" w swoim Dzienniku pisarza. A oto mój letni "mały obrazek" z "Kroniki niepoliitańskiej".

Zatytułuje go **Koty**. Koty są u nas nocnym termometrem skwaru. W dzień termometry są zbyt czułe: ostrodrobności, pół stopnia mniej, pół stopnia więcej. Słońce łupie po głowach tych, co z łowczością spełniają rolę "rzadkich przechodniów". Samochody robią wrażenie uciekających w popiochu przed pościgiem. Instawo na ulicach i placach, obywatel nie wszyscy się rozjechali. Retunkiem jest siedzieć w domach, przy opuszczonych balkonach. W północy okrywy telewizyjne wybuchają odgłosami dalekich pożarów. Dalekich i tak bliskich, jakby płonienie wyrwyły się z lasów i podpełzwały do rogatek miasto.

Ważny z dziur w murach, z podziurawych łochów, z piasek, z kapiątek ulicznych wylewa koty. Ich krzyk jest termometrem upałów. Rośnie z nocy na noc, w miarę jak wzrasta się rozpaczony i wilgotny zarzewie oddech upałych dni. Krzyk najpierw błagalny, potem rozpaczliwy, wreszcie wściekły. Przechylają się pod ścianami domów, nastygają w kąciech bram, zbiegają i wbiegają po schodach między górnymi i dolnymi ulicami, wpadają między kłody z rozpedu na jezdnię /i bym że tam już stoją, krawężny ślad przejeżdża i podślaga automobilisty/. Są w większości hiszpańskie, wyjątkowo po dalszym wyznaczeniu w k...świech. Nie często w Zespole zabiera się do sobie koty na wakacje.

"Mały obrazek" a "Kroniki niepoliitańskiej" będzie miał trochę bardziej budujące zakończenie i opiszę późny "mały obrazek" /tak wtedy nazywają godziny po północy, **le o r e p i c c o l e**/. Pojawiają się wtedy na ulicach i w kątach, niezależnie od rozpadu upałów, młodziutki kotów z resztkami jedzenia w torbach i zawiniątkach. Tam gdzie się pojawiają, krzyk na krótko słabnie.

Byłoby ciekawe skroby typologię młodziutkich kotów. Kto, dlaczego i za co je kocha? Na przykład ze starej "Kroniki niepoliitańskiej" wiem, że sławny "Kotów kotów" był na początku studentem pewien emerytowany profesor nauk przyrodniczych. Ale kiedy się do niego odwrócił: "Taa, który tak kocha koty...", odpowiedział: "Kotów kotów? Niczego nie kocha, nie widział, bo muszę, absolutnie muszę, widać się kochać kotów potrzebującym opieki i pomocy. Każdym sposobem, słonym czy parzonym, kalonym czy zamoczonym". Podobnie wkręcił skrytoko, że dawna żona wstępują w światła kotów, był nań od wielu lat w starostwie po strachu żony i dwójga dzieci podobać odpowiadali obok.

"Kultura", sierpień 1963

Gustaw Kurkiewicz-Kurkiewicz

Tłumaczenie Klempek

PIERWSZYNA I WIDOKOWYSCIO

Kad Polska nadal rozciąga się to nieprzewidywalnie piękne lato 1963 roku, zupełnie tak, jakby świat minionej piątkowej trwał jeszcze. Czy trwa? Błogosławieńskie lato i smutnej rocznicowości "starego powojennego", czyli stabilności normalizacji 63, jest niewzruszenie kładła i wielokrotności. Nie podejmuje więc bilansu, ale wyjątkowo prezentuje kilka aspektów, przemysłu, parapektów.

Znaczenie II polskiej piątkowej Jena Karla II było ogromne. Czy większe niż I piątkowej? Z pomocą są tania, dokonując obywatela narodu, miała bardziej bez-

No cóż, także okupanci, tyle że jakże perfidnie kryjącego się za polskimi gauliterami. I kiedy dokonywała się eksterminacja wolności i suwerenności narodu, pan K i pani Y, tysiące, setki tysięcy podobnych do siebie "szarych ludzi" drętwko do kolejejk szkiepcowych, do pracy, ku przerażeniu demony rozrywają wody i towarzyszy, nawet nie odwracając głowy ku tył, którzy za nich rzucają się z pięściami na najemniczą armię.

Z kolei największą radość ścisłej niewątpliwie kocha kościelna i w ogóle katolickiej polacy. Nie stawaliaby tu jednak anaku rozumienia katolicki zbiorowość polska odzwierciedla czytelną, spontaniczną radość dokonania wiec, co już wydawać się mogło w zamkniętych warunkach niemożliwością. Tęcza była radość episkopatu: po to by to niemożliwe zrealizować przysiężił on sobie *d o m a r c h e s i* i zawet, nie bójmy się słowa przetargów. Przymus w czasie owej pielgrzymki, jakby zanikł, uśmiechnął się w ciemności i śmiech, ale nawet nie starał się zamierzać wyrażać swej obecności, a już z pewnością całego współuczestnictwa, które tak wyraźnie było odznaczalne ze strony Wyszyskiego, "Wymarsza tysiąclecia", w czasie I pielgrzymki. To właśnie Świątynie o Józefie Świątynie i sam wrożeń, że wyjaśnia wiele z jego poprzedzających papieża papieża pamiątek, a zwłaszcza wypowiedzi nie zyskujących na popularności w narodzie. W tym jego wycofania się w ciemność, w tej pokorze, jak się udaje niewymuszonej, było wyjaśnienie dawnych występów. On chciał za wszelką cenę doprowadzić do tej pielgrzymki, doprowadzić i jakby stanął trochę z boku, oddając ster w rękę Ojca Świętego.

Świątynie nieboży się zastanawia i rachować /ale stawiam się, że tylko na palcach/, czy owe ustępstwa i przetargi w sumie się opłacają, czy warto było czynić takie i inne gesty, gesty nie bez politycznych następstw, by w reszcie otrzymać zgodę na przyjęcie papieża i trasę omijającą okrutnie Włochy. Będąc, trochę ubrań samemu sobie, raczej optymistą; warto było dać wiele, by doprowadzić do owej pielgrzymki i owego nauce. Ale pod warunkiem, by ustępstwa niepotrzebnie teraz nie stały i by nie zasypały meritum gpiścisłego nauce. W narodowej niegapiści. To pierwsze należy od episkopatu, to drugie także od nas samych. Sądzę, że należy podjąć, w szerokiej zakresie, osobiste katolickie społecznej doktryny Jana Pawła II, bowiem ona staje się podstawą rozmienia nieprawości społecznej, w której jesteśmy wtajemniczeni, zniekształcenia psychologicznego, którego się nieraz zbyt łatwo poddajemy, manipulowania, które - jak to Jan Paweł II kilkakrotnie wyraźnie podkreślił - jest jednym z podstawowych narzędzi niszczenia kultury, praw obywatelskich i w ogóle ludzkiego człowieczeństwa.

Należy również też odzwierciedla, chociaż być może, w którym podobnie myślenie, tenże o tym, że wizyta Papieża w Polsce była niejasno zgodą na stan wojenny, na nabożeństwo, które w katolicyzmie społeczeństwa sukcesy partyjne - wojskowy reżim III. Nie w tych wymiarach - politycznego umiarkowania czy niezamierzenia - należy rozumieć apostrofikację postawienie Ojca Świętego - pielgrzymka od pierwszych momentów swego politykietu. Jeśli Jan Paweł II mógł się spotykać z prezydentami jakimi jak Karolom Filippinami czy Deo Kuvallier jr. w Rzymie, to mógł także spotkać się z Jeruzalimem. Ojciec Święty jest głosem państwa, ale to państwo - dobry Bóg, jest raczej nie państwem a państwem do państwym Form protokolarnych, katolicki jest przede wszystkim ojcem wszystkich katolików i ich pastorem. Wizyta papieża w Polsce była wizytą dyplomatyczną, państwową, polityczną - w sensie ogólnym; w jakiejś, trwałej do ustalenia misji *franczyzy* z Jeruzalimem, ale przede wszystkim była wizytą pasterską i pielgrzymią, więc religijnym posłaniem, państwowym zaś posłaniem to w imię Jana Pawła II we wymiar przede wszystkim społecznym, była wizytą polityczną i w hierarchii sensie tego sensu. Ten trzeci element wyraża mi się najbardziej, jego poprzednia sąż przynajmniej, okazjonalny charakter. Niemniej autoria episkopatu z dnia 23 sierpnia, do którego za chwilę powrócę, tu jednak pragmatycznym stwierdzeniem, że wyraża się w nim nieznacząco katolickiego aspektu, w które razi znowu kardynałowie i biskupi, a może nawet i sam papież, dali się wciągnąć.

Z tego punktu widzenia fakt, że z wizyty Jana Pawła II cieszyła się także władza partyjno-wojskowa, nie może dziwić. Stądna ta - przeciwna raz po raz do nurtu z Zachodu przez restrykcje, przez protesty i rozszerzenie "dobrej opinii" /nawet przez scenalistę Miterranda/, a ze Zachodu nieustanną podejrzliwość co do "czystości linii partyjnej" /właszcza że partyjny beton ani na chwilę nie za-
 prestatk podkopowania rywali/, a przebiegu wizyty Jana Pawła II osierpie rozmaite korzyści. Dla Zachodu wzrost w tej pielgrzymce symbola aprobaty papieskiej dla ek-
 lity rządzącej, dla "komunistów", sturca polity "dotęgnięcia się Polaka z Po-
 lakiem". Dla Zachodu, ujawniając wymiar swego kolejnego oszustwa, wyszukuje przy-
 czynność za sprytny manewr skierowany przeciwko "papieskiemu imperializmowi".
 Zeniatin, atakując Watykan i papieża, czynił to jednak w chwili czasu po odbytej
 pielgrzymce, wówczas, gdy niezadowolone narodził z oszustwa i protesty ze strony
 kościelnej znaczący utraty własny dotychczas nie idylli. Charakterystyczne, że to
 drugie spotkanie Jana Pawła II z Jaruzelskim /na Wawelu/ zostało wzięte i wobec
 restrykcjach jako wydarzyli atut propagandowy i o Klausener o "prośbie episkopatu"
 o tę rozmowę została sponrównano półgłębkie, ... k. że nikt tego prawie nie zauwa-
 żył. Milare jednak za dalek dzisiejszy polski - umocnienie się Jaruzelskiego i je-
 go ekipy, nie tylko w opinii polskiej /tej już nie tak łatwo wykiwać nie ma da/, co
 w zbliżonych pomiarach ekipami i Zachodem. Na wyspie papieża na razie przetrzała
 młodzieżowiec PZPR-czyna ekstremu /ów tzw. betonu/, co znacznie wielką podzielną nie
 jest. "Liberalizm" Jaruzelskiego jest "wypróbowany" skutkii roszko i bezwzględ-
 nie ważystin poprowadzi ekipami, jest współ-ujawniającymi za wszystkie miano
 "błędy i wypaczenia", a w swej politycznej dumności najtwardszą tęskni do opo-
 ki stalinizmu, co ma się tak niechcący-chcący ujętym w czasie szóstego spotka-
 nia z reprezentantami obcych tak swanych związków zawodowych. Mówiąc o przedo-
 wnikach pracy, popłynął bowiem na fali wspomnień i obwiniając, że w poszukiwaniu
 "bohaterów pracy socjalistycznej" znalazł się cofnąć aż daleko wstecz. "Na roku
 1956 wyszytło się skończyć...!". Naj, kas się w oim krajach i tylko wspomnianych
 towarzyszy było: Radkiewicz z Różankin, Kwiatkowski ze Świdoczka, Anzroski z
 Dusz...!

Na pozostanie wadliwa wadłość /wada ze stron nieczy się tu gonićki abraw dru-
 giej/ jest jednak nieważnym bezpośrednim, jest pierwszą rzeczą. To co ma nastę-
 rzyć, jest wadliwy nieładowny, czego dla prozdów, do których się nie zaliczamy.
 Wtem jedno: przed nami - czyli naszą bezpartyjny i nieobciążony /bawem
 wstawa bezpartyjny kolaborantów, a zwłaszcza takich gorliwów jak minister Zyo-
 gulski, za zjawisko w pamiarce KRL najochrydlizawa/ otrzyana się długi, snary,
 wędzący okres walki. Ostrzeżenie wadli. Nie tylko o przetrwanie, bowiem dzisiejszy
 realiz partyjno-wojskowy nie zastanawia jomaz, choć wzięła dmi, ekstremizacji-
 ngan metod UE sprzed 1956 roku. Nie przede wszystkim wadli o utrzymanie i roztr-
 ócowanie świadomości narodowo-ujawniającej.

Wtem tu ujawniając: jak to, przeciwnie czyi naród na "ich" dość, wystareny
 postuchad w kolejach, w krawędzi osy na ulicy, co ładnie mówią. Roztrzymanie nie
 jest zgodne na roztrzymanie świadomości polityczno-społecznej - nie chodzi o to,
 by szwach, chcąc o to, by wiadomości i by dotychczas zgodnie z tą świadomością.

Wtem więc, że czuła się długi, snary os, wtem ciemny okres pielgrzymstwa.
 Nie tego nieładowno-ujawniającego, bowiem nie ma nie jest bardziej obec-
 niż to nieładowno wyrażać się Polaków nad inne narody nie tylko w onotach /tych
 odzwierciedlony zawsze pewier niedostatek/, co z nieładowności. Zecham ten naród,
 ale nie jako "Chryzostoma wędrow" ani jako "Wadli świątyni". Pielgrzymstwo Pola-
 ków odbywa się wtem wtem polowań na wali przetrwania Polaków, na budowanie i
 roztrzymanie świadomości narodowej i spokojnej. Tymczasem ów naród zajęty jest
 przetrzymaniem się, kontowaniem miejsca w kolejach, chumikowaniem i jakimś narze-
 żaniem. Energia pozwalająca jakoś ten przetrwać porody kryzysu i przetrzymać
 się przez tego nieładowno jest nieładowno dobrą szkołą życia, byle wiadomości w
 niej nauki wiadomości. I pozostanie przetrwania świadomości chumikowania i roztr-
 ócowania

przed możliwością nowej stabilizacji, takiej ubogo-prześnej, utwierdzonej na przekształceniu, na umiędzianie się, może nawet na wybitnie. Stabilizacja narzekającej akceptacji jest równie niebezpieczna, jak to z epoki "propagandy sukcesu".

Przed taką stabilizacją musimy sami siebie bronić. Wspólnie. Ruch odrodzenia moralnego, etycznego i politycznego musi być projekty i prowadzony na osi dni, jako antydotum na zniechęcenie i społeczna oszczędność. I to jest to nasze pielgrzymstwo, wyzbyte znaczeń o Chrystusie narodził, o aniołach i świętych pańskich, co przepędzą za sobą górę i ręką naszych bezbożnych wrogów /kinkolwiek by w naszym mianem nie byli/. Dlatego jestem w chwili obecnej przeciwnikiem rytmicznego powtarzania manifestacji ulicznych: to rezerwujemy "od wielkiego dawemu" /tak by oprawcy nie dać zapomnieć, że jednak wciąż jesteśmy, pomimo rozciągania narodu/. Ale to manifestacje - jeśli powtarzane zbyt często i w sposób powalający skoncentrować się oprawcy - są na naszą szkodę powstaniem strasznym, to zmiany z góry przesądzone jest ich filaryczna niepowodzenia.

Należy przygotować i wprowadzić w życie coraz to nowe formy protestu, nie dającego możliwości zacierającego bicia czy karcenia grażniami lub wpięceniami: wściekle strajki, manifestacyjne bojkotowanie prasy i komunikacji państwowej to niektóre próbki z ograniczonego zasobu możliwości. Ale to już problematyka inna, doraźna, taktyczna, odwołana nas od wątku głównego.

Przecież nie ma znaczenia optymistyczna wiara papieskiej pielgrzymki pomyślnym widzeniem nadchodzącego czasu "pielgrzymstwa" ku wolności. Ale mój pesymizm ma być nie skłonieniem do opuszczenia rąk, lecz do wzmożonej aktywności sprzeciwu wobec bezprawia i fałszu. Eję proponowałbym przeobrazić blask wspomnień władcy Jana Pawła II w światło szerokiego propagowania jego nauk społecznych. To nie oznacza, że uważam iż to nauki społeczne nie mogą nigdy przybrać formy "skraczonej", bowiem nasz świat - póki istnieje - podlega niestannemu przemianom i dlatego nieustannie trzeba z życiem konfrontować i weryfikować teorie.

Z nauk Jana Pawła II pewnego rodzaju skraczoność i pełność charakteryzuje jego podejście i rozumienie spraw wolności jednostki, społeczeństwa i narodu. Żaden z papieży dotychczas tak jasno nie sformułował tych "niezwykle ważnych prawd": Kościół przez całe stulecia biał się zamiarem wolności i popadał w przeciwność: częstokroć śądzenia wolnościowe humanek, a naszt potępiak. Jan Paweł II adaje się dogmatem czasu, który został przez Kościół zamierzony nadmierne odczynnnością i epistyma oportunistycznym tradycji. Przemianienia Ojca Świętego w OZ, w UNESCO, nowego jego polonich kamili powinny stać się - obok ewangelii - podstawowymi i programowymi tematami nauczania. Ojciec Święty okazał postępy i rozwój nauk, chciał również współczesny "skok cywilizacyjny". W UNESCO Jan Paweł II powiedział: "Ważniejsze my się trafiaj /i/ w erę osiągnięć naukowych - przapadaj /jak gdyby za najgłębszych szczeblach wiedzy, po której człowiek od samego początku wspina się ku poznaniu znaczywności świata, jaki go otacza - a także tajników własnego człowieka. Ten historyczny proces w naszej epoce domagać niezmiernych przesłan Kościół i oświaty przed ludzka wyzaniem nieznanym przesłanem korzystny".

Kościół Polaki z tych i innych słów Jana Pawła II widzi wyjątkowo unikalni co do tematyki i sposobu nauczania codziennego /z świąt - niedzielnie/. Oczekiwania edukacji III wieku niecierpienie skłama potępianych opowiadań o niebie i pieknie, do których uczynki i grzechy, bowiem zamieszane są one w scenarii archaizującego już kicru religijnego, albo twardo w próżni wyłączenia abstrakcyjnego. Wskazujemy od ogólnikowego grzechu czy dobrego czynienia jest to samo widziane z perspektyw społecznej, a kryzysu naszego kontynentalnego czasu.

A więc wolność czy wolność w ogóle? Jana Pawła II znaczenie o wolności mała - da jej pełnię, to zawsze taką wolność, która rozumujemy się nie będzie kalidować z żadną inną jednostkową czy zbiorową. Wolność narodu - ale dla Polaków to po-

winne oznaczać wyzbycie się swych rzeczywistych /antypoczątkowości/ czy zmitologizowanych już /antysemityzm/ fobii i resentymentów. Aby być wolnymi musimy w pełni zrozumieć to, że do takiej samej wolności mają prawo także wszyscy, którzy nie są Polakami, a zamieszkują terytoria polubelskie lub nawet żyją w obrębie naszego kraju.

Wolność jest więc dobrowolnym samoograniczeniem: puczającą od podporządkowania się obowiązkom rodzinnym, a kończąc na podporządkowaniu prawu /zakładając, że jest ono sprawiedliwe!/. Aby osiągnąć pełnię człowieczeństwa - a to właśnie znaczy wolność - trzeba je pomieścić w ramach wyznaczonych nam przez ludzką z jej wszelkimi podziałami na rasy, narody, społeczeństwa, grupy społeczne, a wreszcie strukturę rodziny.

I tu bardzo ważny dylemat, który tylko sygnalizuję: problem pracy. Człowiek został stworzony po to, by się rozkochać i by - poprzez wytwarzanie - zagwarantować byt sobie i potomstwu. Praca jest ludzkim pokazaniem, czasem dotkliwym, bowiem wiem mielczani są ci, którzy po prostu lubią pracować. Instykt pracy został w nas już bardzo dawno przytknięty przez nieustannie podnoszący się standard życiowy. Ale jaki ma być stosunek do pracy człowieka w ustroju totalitarnym, gdzie jest permanentnie wyszukiwany, gdzie - poprzez system nacisków i zwolnień - szerszy jest utrzymywany na minimalnym poziomie siebie i bliskich, gdy owocami jego trudu aprobowani są nie tylko bonzowie partyjni, ale co gorzej sąsiad ten skierowany pracciwko niemu - człowiekowi - aparat wszelkich milicyjnych i obcejskich gorgie, przekarmione natretowaną krzepą tak, by się przy byle okazji mógł wyndosować w bicia słabszych.

A więc jak pracować? Temat do głębszych przemyśleń. Uwzięcie do niego powrócę w przyszłości.

Wolność - ale to oznacza samoograniczenie także wobec własnego ja, bowiem samoograniczeniem jest przyjęcie reguł moralnych i etycznych. Polakom trzeba dziś niezbędnie przestrzec przed grzechem, ale to nie może być grzech "dominujący" - grzech robiący przykreść dobrej Kości, ale grzech konkretny, stowarzyszenie nie przy-padek indywidualny, ale przejaw społecznej choroby: Kłótni, bezwzględności, zło-dziejstwo, demoralizacja, postawienie bezprawnie, ałbortu odważi, złośliwość, Kłóciót na swe podstarstwo andanie: ewangelizację. Trzeba i ten temat rozwinąć, nie w parokwytwie tradycyjnej, wyłączenie katechizmowej czy autonomicznej. Ewangelizacja - choć wątek powstaje ten sam - zmienia się, bowiem do czasu to innego, innejże aktywnościowego zwraca się człowieka. Kościołowi to wyznacznik Jan Paweł II do Kłótni, Kłótni Kościelnej Rady Kultury: Kościół działa na dwóch płaszczyznach: na poziomie ewan-gelizacji kultur i na poziomie ochrony człowieka i jego kulturowego sensu. "Uję-twa to zadania wymagają określenia nowych dróg dialogu Kościoła z kulturą i na-zych zasad. Ten dialog jest absolutnie nieodłączny dla Kościoła, gdyż innejże ewangelizacja pozostawia martwą literę". A więc wieloletni ewangelizacja społeczna jest podstawowym zadaniem Kościoła na dziś i na przyszłość. Jak dalej, tymczasem się najbliższą.

Ale teraz należy postawić pytanie: w jakim stopniu Kościół ma się włączyć w politykę, ma się w niej wykazywać? Proszę zauważyć, że nie mówię o uczestnictwie Kościoła w polityce, jak to czynią liczni publicyści, ale postępuję tak po prostu dlatego, iż uważam, że wszystko, co ma do czynienia ze społeczeństwem, ma charakter działalności politycznej. To tylko większe czy mniejsze bliźnich "da-że się nie zwariować" lingwistyką sowieckiej manipulacji, która satysfakcją wycofyła-wała "politykę", jakoś od, co przychodziły tylko "państwo" - to znaczy systemem klik partyjnych.

Oczywiście może istnieć polityka czynna na określonych polach, np. stosunków międzynarodowych, a wewnątrz kraju w dalszym stosunków pomiędzy partiami /przy

ustroju wielopartyjnym/ lub w dziedzinie stosunków pomiędzy monopartią a społeczeństwem. W tym ostatnim wypadku jest to polityka szerzejaj całkowicie jednoczostronna. A więc jakie może być miejsce Kościła w systemie wielopartyjnym i totalitarnym?

W ogóle wydaje się, że prowadzenie czynnej i oficjalnej polityki przez Kościół jest przeżytkiem, zwłaszcza w ustrójach demokratycznych niemożliwym do osiągnięcia rezultaty i w najmniejzych wypadkach, i obecnie /wiosna obywatelska/. Ustrój komunistyczny wykorzystuje w PRL to zróżnicowanie i tendencje polityczne, tworząc całkowicie lub w znacznej mierze kontrolowane przez siebie grupki "katolików społecznych", dopuszczając im do swego totalnie skontrolowanego sejm "do głoszenia", a więc do fikcji "supraparłamentu". I oto jacy liberałowie: w sejmie PRL zasiadają PAX-owcy obok CHS-owców i jeszcze jakichś innych bezpartyjnych kolaborantów, czyli że władzą są one reprezentacje na własnych PRL. Dwiecjalnia i polityka wstępują tu w postaci-ustawiczej awantur, ale para - choć pozornie tej awantury proci - jest doskonale dotrzymać dwucjalnia prezentują w całej sprawie niebezpieczny kierunek polityki - kierunek wiarygodności.

Kościół w stosunku do tych grup nie uznaje ich i nadal nie uznaje zdecydowanego stanowiska. Episkopat zachowuje się w tym wypadku trochę jak stercząca nie panna, która na kontraktów bawie się, ale w gruncie rzeczy bardzo by chciała. A przecież nie trzeba wyrażać powiedzeń tego i do reprezentacji "katolików" instrumentalnie, trzeba się nie wstrzymać od tego bezpartyjnego kolaboranta odcięć, bowiem dopuszczając drobne usługi pośrednictwa świadczone przez te "reprezentacje" na linii partii - Kościół, nie są warte oglądności.

Katolicyści episkopat, jak się zdaje, wyrażają zaniepokojenie /o ile trudno jest, że w ogóle chciał tego/ z tworzenia jakiegos partii politycznej, która mogłaby kierować. I to jest bardzo słuszną stanowisko. Kościół tylkoć już się sparzył na finansowaniu różnych politycznych struktur, iż chyba nie znacznie prób od nowa. Kontaktem bowiem efektu politycznego, politycznych rezultatów wcale nie musi polegać wyłącznie na czynnym uprzedzeniu polityki. Samemu wystarczy "biżmo" dziać się opóźnionym formułowanie opinii publicznej. Ile Watykan na dywizji, ile oszczędności, ile smutku - wszystkiej immanentnie Józef Władysławowa. Komunisty do dziś dnia w tych kategoriach rozumieją. Mianą na awanturę, poloję, wstrząsanie, i nasami się nie licząc, mas się po prostu brzydą i trochę boją. Jakże bowiem zdrzejmy miałyby być, widząc innego rodzaju uczucia wobec zdradzonych?

Ale Kościół jest w tym szczególnym położeniu, że dysponuje inną formą działania i już przez wiekami stał się wyjątkiem "bydła społecznego parokazu", wprowadzając do nich świętych obywateli - szczerze i szczerze - wiarę i formę zaradka. To świadectwo może nie ograniczyć pragnąć w dobie kolaboracji polskiego pielgrzymstwa - pielgrzymstwa wewnątrz własnej ojczyzny. Władysławowa bawie się nie wyrażając społecznie narad. Tytuł tylko, że taka organizacja wymaga pomocy samowładności. Nie wier, czy w fakcie nie będzie się stać zbyt wielu katolików, wierząc że to na pewno, że się ja będzie zbyt wielkimi, zbyt trwałymi i rozumem w ciężkości przygodów - bezpardon. Skoro Kościół, a już w szczególności społecznie skóra Kościół nie wymaga do głoszenia parokazu, wspaniałym - na "decyzjach pod strzechy". Gorzej, gdy powzięto obok tych rzeczy czy jeszcze więcej starych katolików wchodzi się głównie ograniczenie i gwałtowność, mogące niekiedy skutki kontrparokazu a "decyzjach" pryncypałów głoszącej opinii. Katolicyści społecznie to wzięcie pomiędzy ludzi, a nie wyrażenie się ponad nich nadmierną lukrowości. Często naradza się katolicyści polskiemu "adekwatności", ale ja raczej mówię o specyficznej, ale rozumianej "skłonności" a raczej subtelności.

Chciałoby więc Kościół polski na okres tego nowego narodowego pielgrzymstwa nieco poróżnić swoje prosperty i słuch wewnątrz polskiej ludności. Latka na przykład zrobiona w tej dziedzinie wiele, ale wiele, a może jeszcze więcej

pozostaje nadal do zrobienia. I niech rządy diecezjalne, a nie ich wzorem sąsiedni i rządy parafialne zapominają o swej omnipotencji, niech przestaną się bawić w kacyków na czarno. Niech kolegialność w Kościele polskim stanie się faktem, a nie propagandowym sloganem, tak jak nią była "kolegialność" wszystkich minionych ekip, a tą obecną na czole.

Zwiastunem pewnego opamiętania, zwiastunem też pierwszego zwołań po II pielgrzymce Jana Pawła II w Polsce jest list Konferencji Episkopatu z dnia 25 sierpnia. Na kilka dni przed rocznicą "sierpnia" episkopat zdecydował się na wyraźne i nawet ostre sformułowanie kilku podstawowych prawd że to, co się nazywa normalizacja, w rzeczywistości nią nie jest, że to co obiecuje się jako przestrzeganie porozumień z Gdańską - Szczecińską i Jastrzębską nie jest niczym innym jak kłamstwem /już nawet nie bezczelnym i cynicznym, lecz po prostu bezdusznie głupim - to już moja uwaga/, że reforma gospodarstwa nadal jest fikcją, ponieważ prób umówienia narodowi, że się ją realizuje. Episkopat upomniał się o nieautentyczność, niepożną, nakładaną umniejszając, o alibiwidowno autentyzmu, bo przez społeczeństwo, a nie przez autorytety, powołana związki narodowe, o solidaryzmie w sferze nienużności i słabości stowarzyszenia twórcze, o nadal niesfunkcjonujące Kluby Inteligencji Katolickiej. Można by do tych stwierdzeń dorzucić jeszcze wzmiankę o finansowej oszczędności i ofensywności tego właśnie bezkarnego już nie w cynizmie lecz w głupocie kłamstwa, które po brzegi wypełniło tzw. środki kanonowe przekazu. Wszystkie obstrzeżenia, wszystkie przez służalczy sojusz uwalnane rozstrzygnięcia i antyprawy obywatelskie wymiarzone są w ludzi uczciwych, w ich sumienia i w ich osobiste bezpieczeństwo. Mnie się Jan ruselski nie wyszła, mówiąc o pasywności: to nie jest problem, a byłby problemem tylko dla władzy a nie dla społeczeństwa, gdyby tak naprawdę przegadał alibiwidownych tych pozicjonowanych grubymi rękami z milicją i SB cinkciarzy walutowych i alibiwidownych hołotowych.

Muszę niestety wypowiedzieć tych kilka gorzkie słowa: Kościół polski czy świątelnia - episkopat poczuł się kolejny raz wystarczająco na duchu. Obiecane im sędziwo, pokazano figę. Zdyktowano im w stopniu na jaki to było możliwe pielgrzymkę Jana Pawła II, a teraz już można oczekiwać tylko zaostrzającej się linii antykościelnej, nekrozja, może nawet przesładowania. Przesładowanie komunistów nieznoszą się nie samowoli. Nie czytają Marksa i nie analizują przemian tego świata!

Pod listem episkopatu, o którym wspominałem, figuruje podpis kardynała Macharskiego, bowiem prymas Głogaj pozostaje po operacji w szpitalu.

Jednak oszczędnie wyrażenia prymasa /list do sejmu, hołbia do chrześcijańskich grajnow/ wydają się świadczyć, że i on to już rozumie. Kościół nie może uprawiać polityki czynnej, a już tym bardziej wchodzić do sferu z partynarstwa, który zawsze smaczkuje. Ale Kościół małi najzwyczajnie społeczeństwo wobec tych podległych władzy, które nie tyle "zamiar porządkowania", ale po prostu gość w najbardziej pobłażliwej formie jednoczącej i całego narodu. Uby to ostatnie wystąpienie prymasa Głogaja stały się surowym ostrzeżeniem nowego kierunku działania: nie "porządkowanie się", ale "dawnego świadczenia prawnie".

Szczerze pragnę Józefa Głogaja i jego głęboko przekonanym, że jest prawdziwie dobrym człowiekiem. Aż za dobrym, bowiem zbyt katowickim. Ale to jego zasługą jest, że Jan Paweł II był znowu wśród nas i obojętnie za to zapomniał, "gra warta była świeczki". Radim partyjno-wojskowy zarzekł - zapomniał i podjęcie - wszystkie kopony. Dla nas została cała rzecz. Ogromna. I czeka nas trud. Ogromny. Tylko bógom, Wasza Błogosławieństwo - miłej kłopotliwości.

Nawołuję więc do pełnej lojalności społeczeństwa wobec Kościoła, który ma w chwilach redowem /sierpnia/ i ponurych /grudnia/ uwalnia i wiernie omarzają. Jednakże rezerwuję sobie prawo krytyki i nadszę, że przedstawiciele Kościoła polskiego winni być mnie i innym uczciwie krytykującym - wdzięczni. Bowiem uczciwość krytyki nie oznacza jej prawdziwości /być może się mylić, a nawet - być może być

się wyliz/, ale oznacza, że jakiś czujnik społeczny zareagował, że może coś tu jest jednak w porządku...

I już ostatnie pytanie: czy wobec rozwoju sytuacji jest w PRL możliwe porozumienie? Wątpię. Nie dlatego, bym takiego nie chciał, ale dlatego, że obecna ekipa partyjno-wojskowa idzie trop w trop na wszystkich poprzednicach, z których żadna nie potrafiła się w czasach apokaliptycznych uwierzygodzić. Ekipa Jeruzalimskiego nawet tego nie próbowała, wszystko, absolutnie wszystko budując od początku na klamstwie. Czy więc w okresie nowego pielgrzymstwa czeka nas permanentny stan wojenny i stan anomizacji? Nie wiem. Chciałbym widzieć alternatywy, ale ich nie potrafisz dostrzec. W każdym razie dziś - w drugiej połowie 83 roku - możliwości porozumienia nie istnieją. Istnieje tylko możliwość wyważenia. Wyważenie bowiem to nie oznaka słabości, ale władnie siły.

"Kultura", październik 1983

Tytułowa Kłopotki

Ewa Berbecka rozmowa z Andrzejem Kijewskim

W CZYM ŻYJEMY?

Ewa Berbecka: - Bywał pan w życiu dalekimarson, pisarzem, krytykiem, felietonistą, publicystą, scenarzystą, adwokat, doradcą, świątkaczem, dyrektorem teatru - niczego nie opuścił?

Andrzej Kijewski: - Umieściłbym bankowym.

E.B.: - Tęgie nie wiedziawszy - w każdej z tych dziedzin zaznaczając bardzo wyraźnie swoją obecność. Jednakże według mnie najbardziej pasuje do pana określenie "intelektualista". Dlatego spytam o coś co, myślę, ludzi nurtuje: czy żyjemy w "nieładzie"? Co się kończy, co się zaczyna?

A.K.: - Bardzo uprzejmie pani ułożyła to pytanie, ale i tak dla mnie brzmiał jak wyrzut. W świecie "intelektualistów" nie dopatrują się niczego złego, to tylko co "dyktant". Wyznam sobie nie raz, że żadnej z tych dziedzin, które pani wymieniła, nie oddałem się całkowicie, że w żadnej nie stałem się zawodowcem, tylko od jednej do drugiej wdrażałem, niestety swego wieloletniego powołania. Toteż pytanie "czy żyjemy w nieładzie?" traktuję prawie jako żart dla zawodowego dyktanta, który wie o wszystkim odcinki. Jemu wymaga ode mnie jakiejś superświadomości historycznej, która nie istnieje. Wymaga pani ode mnie świadomości tego co jest i przeczucia tego, co będzie, wymaga pani ode mnie, ażebym był całkowicie świadom swojego czasu, co jest po prostu niemożliwe...

E.B.: - Ale w swój subiektywny sposób?

A.K.: - Pewnie, że i mnie się wydaje, iż świat się psuje i zmienia ku gorszemu, ale przesadzi to być skrajnie, którymś niezbyt wrażliwym pokoleniem.

E.B.: - Świat się psuje?!! No, ja tym się z tym nie zgodziłem...

A.K.: - Jednak, któraś mnie wyprzedziła, zapowiedzi wojnę. Wyprzedziła i pociągając wojnę i wyprzedziła czas przed wojną wojny. Potem przyszła druga wojna. Bojownicy też, kontroliści się i zapowiedzi czasu zdeszczu w nieczystym również porządku. Wyprzedziła wojnę jako kłopotliwiej niż przeczucie, wyprzedziła czas przed wojną jako coś już prawie nieczystego i patrzyliśmy na nasze życie jako na proces porwania się ośmiu wojny. Wyprzedziła się jej skutków skutkiem się w tych nieczystych, sprzątnię, kłopotliwie. Władnie kłopotliwie przeczucie tej wojny, która kiedyś nas to zniszczy. W ostatnie społeczny wyprzedziła nieczystości życia codziennego.

nego kładko się na karę wojny; mdrziło się; no, nie dźwignego, przecież była taka straszna wojna. Albo: coś okropnego, takie nieporozumiał, a przecież już 10 lat po wojnie, 15 lat po wojnie, 20 lat po wojnie; starzi ludzie jeszcze dziś wykrzykują w kolejkach i coś podobnego 40 lat po wojnie! Żyliśmy w cieniu wojny.

ŁoB.: - Ale ten cień już się rozpłynął.

ŁoK.: - Ten cień się rozpłynął. Jesteśmy poza cieniem. Jeśli trwa, to tylko w naszych biografjach. Nie ma go już w społeczeństwie, w jego pracy, kulturze i świadomości. Pani pyta, co się skończyło. Skończyła się epoka dwóch wojen światowych. Żadna z nich nie trwała czterech czy pięciu lat, każda trwała więcej, razem z ich skutkami, razem z ich kosztami, z systemami analogii, odwołań i alibi. Toż zadamy można być rzeczywiście pewnym. Przynajmniej w naszym polskim wymiarze. Podkreślam to dlatego, że Polska jest krajem dość stabilnym pod względem cywilizacyjnym, obywatelstwa i nawet demograficznym; Polska zmienia się mniej niż zmieniają się kraje zachodniej Europy, mniej niż obie Ameryki... Klucze wojny jako epoki jest pierwszą istotną zmianą, jaka w Polsce nastąpiła.

ŁoB.: - Jezu, a ja wciąż myślę, że Polska zmienia się jak melon....

ŁoK.: - Nie, nie. Zna pani Zachód, wie pani, jak podąża ten zmiany cywilizacji? Jak się rodzic z dziećmi już dogadać nie mogą na tematy podstawowe, jak tam co innego znaczy już "rodzina", co innego znaczy "miłość", co innego znaczy "sztuka", "wykształcenie", "praca". Przecież późne lata sześćdziesiąte na Zachodzie były rzeczywiście głęboką rewolucją cywilizacyjną, która się nie skończyła na ulicznych barykadach i paleniu samochodów, lecz trwa po dziś dzień i my, europejskie kraje, z naszymi pojęciami, które nam się wydają bardzo nowoczesne, tam trafiamy na rzeczy, które nas zdumiewają. Co więcej, nasza młodzież, która wyjeżdża stąd i spotyka się z młodzieżą na Zachodzie, wydaje się nam sama sobie konserwatywna, tradycyjna, niemal starożytna...

ŁoB.: - Mam odczucie dokładnie odwrotne. Patriotyzm na te kontakty i to nasza młodzież wyjechała mi się "awangardowo"; nie w sensie zawrotnym, ale w spojrzeniu na sprawy podstawowe, zachodnia młodzież to naiwniacy...

ŁoK.: - Chciałbym wrócić do tego, od czego wyszliśmy: co nam się skończyło. Skończył nam się cień wojny. Jedno w tym jest ważne: o ile dla naszej generacji powojennej pokój był wartością najwyższą, dla pokolenia, które już swego życia i wszystkich okoliczności nie odnosi do wojny - pokój wcale nie jest wartością najwyższą. A do wojen dochodzi właśnie wtedy, kiedy nowe generacje zapominają o dawnych wojnach, kiedy się zmienia hierarchia wartości. I o ile dla nas porównanie wolności z pokojem wypadło na korzyść pokoju, o tyle dla pokolenia młodego i naj młodszego wyzisk tego porównania wcale nie jest pewny.

ŁoB.: - A to wszystkie młodzieżowe ruchy "za pokojem" na Zachodzie?

ŁoK.: - Ite w nich walka o pokój, a ile potrzebny rachunek historyczny. Istnieć obracają się w swoje własne przeciwnieństwo. Ten sam tłum mógł wyjść na ulicę i manifestować za wojnę. Zresztą, tam istnieje jeszcze inne procesy, w Polsce prawie niezauważalne; mianowicie procesy dezintegracji struktur państwowych. Te ruchy, o których pani wspominała, są w różnej mierze antypaństwowe, co antypaństwowe. To, co zdumiewa starsze pokolenie Niemców czy Francuzów, czy Amerykanów, to brak przywiązania młodego pokolenia do państwa jako wartości. W Polsce jest nieco inaczej. Wciąż jeszcze trwa a nas paradygmat państwo-narodu, i gdyż nam nie zależy, że jest niemożliwy do zrealizowania, że państwo-naród jest polityczną fikcją, to oczywiście każdy próbuje się do głębi dotknąć. Ale jeśli chodzi o Europę, skąd to pojęcie państwo-naród przyszło - a przyszło z Francji i Włoch rewalizacyjnych - to tam już ono nie istnieje. I to jest pewien proces, którego Europa podlega. Nie jest to proces tylko psychologiczny, nie są to tylko ruchy burżuazyjne, przesłaj-

ciowe nastroje, to jest odzwierciedlenie stanu faktycznego - to znaczy, że dział wspólnoty gospodarstwa znaczą więcej niż wspólnoty polityczne, że światem rządzą wielkie organizmy gospodarstwa a nie rządy, które padają, powstają, odbywają swoje parlamentarne rytuały coraz bardziej fikcyjne. Świat się zmienia od strony organizacji swojej gospodarki, co również Polski nie dotyczy, ponieważ tutaj system gospodarczy trwa w swojej strukturze organizacyjnej nienaruszonej, choć naruszony swoim funkcjonowaniem.

E.B.: - No, to, że "władzy-spokoj" wygląda inaczej na Zachodzie niż u nas, każdy wie...

A.K.: - Zaprawdę inaczej. My żyjemy w społeczeństwie bardzo stabilnym, w społeczeństwie w bezrobocie, w społeczeństwie, które dopiero przed dwoma laty zaznało racyonalizację dużych ruchów społecznych i pierwotnego prawdziwego kryzysu gospodarczego, który przedtem dotknął już wiele krajów Europy; doznało galopującej inflacji, którą całkowicie zmieniła świadomość ludzka i zmieniła odruchy ludzkie. Ale poza tym jest to społeczeństwo nieruchome, społeczeństwo, które nie podróżuje, nie emigruje, nie przyjeżdża imigrantów...

E.B.: - Nic dlatego, że nie chce...

A.K.: - Wszystko jedno, ale tak jest.

E.B.: - Nie wszystko jedno...

A.K.: - Niech pani nas porówna uprze społeczeństwem niemieckim. Co to jest dziś społeczeństwo niemieckie? Są to Niemcy plus imigranci, plus masa imigrantów; Francuzi to są Francuzi plus masy imigrantów; nie mówią o Amerykanach, którzy są e x d e f i n i t i o n o stale ruszającą się masą. My natomiast jesteśmy wciąż w tym samym składzie społecznym; w tym samym systemie gospodarczym, na tej samej z grubszą hierarchią stopie życiowej...

E.B.: - To skąd u nas poczucie - bo przecież i pan go zaznaje - tego galopowania wypadków?

A.K.: - No, stąd chyba, że się tutaj po raz pierwszy coś stało. Po raz pierwszy doszło do jakiego kryzysu, którego nie można zamazać żadną propagandą i takimi fantazjami, jakimi zazwyczaj się kryzysy dusze. Najważniejsze jednak jest to, że doszło do głosu pokolenia, które ma zmienioną hierarchię wartości.

E.B.: - Więc jednak sam pan przyznaje, że są zmiany...

A.K.: - Jak przedtem mówiłem, porównanie wolności i spokoju wypada dziś inaczej niż wypadało dla nas, starszych. Mówię już o "spokoju", nie o "pokoju" bo nie chce wszystkiego sprowadzać do pokoju międzynarodowego, na który w końcu niewiele mamy wpływu. Mówię o spokoju, bo masa na myśl spokój wewnętrzny. Masza postępowanie przez lata powojenne było sterowane nie tylko pragnieniem zachowania pokoju wewnętrznego, ale także lękiem przed wojną domową. Istniało bardzo silne przekonanie, że wszystkie straty, jakie poniesiemy po wojnie, opłacają się o tyle, o ile uda się nam się uniknąć gwałtownych wstrząsów wewnętrznych. To pragnienie pokoju wewnętrznego powodowało, że ludzie ulegali niepopularnej dekrzynie, że współpracowali od początku z władzą, że wyrzekali się swoich dawnych związków, wier, przekonań, nadziei, że zaprzeczali swojej przeszłości - po to tylko, żeby uchronić kraj, rodzinę, siebie od niezaczesć.

E.B.: - Dzisiaj tak nie jest, skończyło się tłumaczenie: bo ja mam żonę i dwoje dzieci...

A.K.: - Dzisiaj tak nie jest. Takie dlatego, że kryzys stworzył sytuacje skrajne,

jakich dotąd w Polsce nie było. Życie w Polsce powojennej polegało na cichej niepisanej umowie między społeczeństwem a władzą. Władza powiedziała tak: my was nie będziemy zmuszać do ideologii, której nie lubicie, nie będziemy was masowo rozstrzeliwać, ani masowo więzić - uwiezimy tylko tych, którzy są najbardziej aktywni. A wymagamy tylko jednego: abyście przeciwko nam nie konspirowali i przeciwno-ko nam nie walczyli. Przerzekamy wam w zamian minimum życiowe... I przy wszystkich fikcjach gospodarczych ten status był długo możliwy; przy wszystkich podróbnych buchalteriach, jakie państwo prowadziło, było to tak długo możliwe, dopóki w tej samej fikcji nie znalazł się jeden pierwszy element prawdziwy: prawdziwe pieniądze, które trzeba było zwrócić. One zburzyły całą tę fikcję. Drugim elementem prawdziwym był nadmiar ludzi. Nadmiar ludzi, których nie można obdzielić pracą, nie można obdzielić żywnością, jeżeli trzeba ją kupować za prawdziwe pieniądze, i co najgorzej: nie można wszystkich obdzielić mieszkaniami...

E.B.: - W początkach lat siedemdziesiątych wspaniałam takie zdanie: "Dach nad głową warunkuje nasze myślenie o władzy". Dzisiaj już bym tego nie powtórzyła...

A.K.: - Jak nie ma gdzie mieszkać, pojawia się rozpacz. I młody człowiek, który nie ma gdzie wprowadzić swojej dziewczyny i gdzie założyć swoją rodzinę, który nie ma ujścia dla tej biologicznej energii, która się tutaj narodziła, i która szuka swojego ujścia w najprostszym sposobie: w reprodukowaniu dzieci - czuje się zagrożony w swym istnieniu. Nie to, że "naród jest zagrożony". Po prostu, każdy młody człowiek, który ma czekać 10 czy 15 lat na mieszkanie czuje się zagrożony. Ma więc zję piekła: w wynajętym pokoju lub piekła współżycia z teściami. Są to sytuacje skrajne, tragiczne i z nich bierze się to przyspieszenie psychiczne, a z niego galopada wypadków...

E.B.: - No nie. Czuję wewnętrzny opór przed sprowadzaniem dzisiejszej kondycji młodych Polaków do przyczyn czysto ekonomicznych, zresztą i moje obserwacje temu przeczą...

A.K.: - One są zapalnikiem. Ekonomia budzi i usypia. Ekonomia jest jak klimat: albo jest to taki klimat, który pobudza do działania, albo taki, który właśnie usypia. Ekonomia zrównowazona, nawet zła, ale zrównowazona, usypia ludzi i wtedy nie zastanawiają się nad wartościami i nie myślą o przyszłości w kategoriach historycznych, kategoriach wolności, w kategoriach rozwoju, tylko jakos żyją, tak jak żyli ludzie na Zachodzie w okresie tej wspaniałej p r o s p e r i t y. Gdy natomiast klimat ekonomiczny staje się ostry, ludzie zaczynają myśleć o wszystkim naraz. I wówczas ekonomia może odegrać również rolę podziałającego markotyku, rolę zapalnika do wszystkich społecznych i intelektualnych ruchów.

E.B.: - Czy nam rozumiesz, że gdyby do amerykańskiej, ale zrównowazony przyrost, jak za Gomułki, dał się utrzymać, nie mielibyśmy obecnej sytuacji społecznej? Nie mielibyśmy postawy: lepiej nie żyć niż t a k żyć?

A.K.: - Mówi pani o jakimś powolnym przyroście "jak za Gomułki". Była to już stagnacja i było to już cofanie się. Dynamika przyrostu ekonomicznego nie nadążała za dynamiką demograficzną. Nie tylko to: społeczeństwo jako całość może mieć poczucie, że z siebie, ze swojego wnętrza, ze swojego kona wydaje własną elitę. Elita intelektualna i elita władzy, elita duchowa i elita gospodarcza. Ten proces został zahamowany, ponieważ skłócone proces kształtowania się tych elit. Elita władzy kształtowała się osobno w sędziach zwanymi tym; w odrębnych szkołach, w odrębnych kręgach, w odrębnej obyczajności. Młode pokolenie wznosiło więc w poczuciu takiej bliskości, takiego wyobcowania ze własnego państwa, w jakim z dobrej woli żyło starsze pokolenie, które swoje aspiracje odnosiło tej władzy za cenę spokoju. Nowe pokolenie z tym się już pogodzić nie może; chce mieć swoich przedstawicieli, swoich reprezentantów - chce być reprezentowanym przez ludzi takich jak oni. I żony nie wiem jak się skłócone przedstawiali, w nie wiem jakie sferach i nie wiem jakie sfery, jest między nimi a tą klasą, z której wyszli, obcość. Obecność formowania intelektualnego

i życiowego. Obecność losu. Obecność perspektywy.

E.B.: - Ale gdyby warunki ekonomiczne były lepsze, gdyby młode pokolenie miało mieszkania, gdyby ich potrzeby konsumpcyjne na różnych poziomach były spełniane - czy myśli pan, że ten "nowy duch" w oświele by nie zaistniał?

A.K.: - Nie wiem, może. Myślę, że tak, bo jednak te procesy buntu młodzieży na Zachodzie też nie tu zaczęły przedostawać. Proces tworzenia się subkultury młodzieżowej, który obserwowaliśmy w latach sześćdziesiątych, świadczy, że młodzież czuje się kim innym w tym społeczeństwie, że szuka własnej drogi wyrazu. Trudno wyobrazić sobie, że wystarczyłyby im tylko te halasy, które wyprawiali na festiwalach i w dyskotekach. Przecież są to znaki jakiejś głębokiej reakcji. Oczywiście, ta głęboka reakcja mogłaby się objawiać też na przykład w ruchach pacyfistycznych, jak w NRD. U nas jednak musiała się objawić inaczej ze względu na specyficzny rodzaj kultury społecznej, która ma gotowe wzory buntu. W każdej sytuacji kryzysowej pojawia się od razu klasyczna problematyka polska, wyrażająca się w walce o niezawisłość, godność, tożsamość, zgodność z przeszłością; w tym wszystkim, co się w polskiej filozofii życia zawiera...

E.B.: - Odpowiadając ras na ulubiony świs zarzut, że budowa kościołów pochłania materiały na tak potrzebną "mieszkaniową", powiedziałam, że ludzie tych kościołów chcą, ponieważ nie mają mieszkań...

A.K.: - Ekh!

E.B.: - To czemu tak tam wala? Nigdy ludzie tak do kościoła nie szli, ani przed wojną, kiedy mieliśmy Konkordat i gdy Kościół szedł ramię w ramię z państwem; ani w czasie wojny, kiedy groziła życia powinna "napędzać" ludzi do świątyni, ani po wojnie. Pamiętam ten występ, tę prywatność religii - a dziś? Trzeba było widzieć tam jony tłum brzośców, modlących modły na rekolekcjach wielkopostnych w Warszawa, w Katowicach czy gdzieś indziej. Spędzali tam, stojąc, długie wieczory po pracy. Dlaczego? Duszpasterze mają "swoją werwę", ale co by pan powiedział?

A.K.: - Kościół tu zawsze był. Nigdy nie przestał być. Gdyby przestał, gdyby z życia zniknął, to dzisiaj nie miałby dzisiaj dotąd pojąć. Kościół w znacznie głębszym stopniu w życie nasze wnikał niż wnika dzisiaj. Wnikał w każdy najmroczniejszy szczegół życia, dzień zaczynał i kończył modlitwą, i każdy posiłek. Kościół był obecny w wojsku, w szpitalu, urządzie. Później zniknął z oficjalnej powierzchni życia. Dziś jest to po prostu powrót...

E.B.: - Inny. Wtedy był to obowiązujący rytuał, trochę machinalny, a dziś...

A.K.: - No, bo każdy powrót jest inny, uintensywniony przez lata nieobecności, przez nostalgia, która w ludziach powstała, gdy zostali od tego Kościoła odseparowani. Dalej, uintensywniony przez zmianę techniki duszpasterstwa, jeśli tak można powiedzieć, a także dlatego, że w zasięgu Kościoła znaleźli się ludzie nawożeni nowych odruchów zbiorowych pod wpływem kultury masowej, a więc zbiorowych zachowań. Tam się odczytyli wstępu ujawniania uczuć. Nauczyli się śpiewać, krzyżować, wykonywać zbiorowe znaki, wlewać zbiorowemu warstwowi. I to do Kościoła wrócić, wzbogacając go i zmieniając jednocześnie. Bo Kościół zawsze się rozwijał przez to, że wchłaniał w siebie to wszystko, co się w świecie jednocześnie dzieło. To są te zmiany sekwencyjne, które pania frapują.

E.B.: - Ale one frapują mnie jako "widoczny znak czegoś niedwidzianego".

A.K.: - A zatem trzeba zastanowić się nad stosunkiem do prawdy, nad potrzebą prawdy absolutnej, zastanowić się nad tym, na ile ludzie wyzbyli się pragmatyzmu, choćby dlatego, że ten pragmatyzm okazał się nie nie wart; że się wyrzekli gier życiowych.

wych, że chcą być jednoznaczni... Nie to, że odkryli Kościół, że odkryli swoje ko-
 rzenie; nie, mieli je zawsze, tylko po prostu pragnę jednoznaczności. Nie to, że
 nie wiedzieli, że istnieje prawda ostateczna, której strażnikami, kustoszem, był
 i jest Kościół. Oczywiście, obecność tej prawdy cały czas jakoś ludzi niepokoiła,
 ale ludzie się od niej odwracali, mając do dyspozycji prawdę praktyczniejszą.
 Dziedzictwo chrześcijańskie niesie z sobą trudną ideę wolności osobowej; ale lu-
 dzie się od niej odwracali, mając do dyspozycji szansę wolności bardziej ułwy-
 nej.

E.B.: - Ma pan na myśli "wyzwolenie społeczne"?

A.K.: - Tak. Mając do dyspozycji wolność, jaką daje zbawienie wieczne kiedyś i
 w które trzeba dopiero uwierzyć, albo wolność, jaką daje "rewolucja społeczna"
 zaraz - ludzie oczywiście chwytają się wolności realnej. Gdy nastąpiła cała seria
 rozczarowań, ludzie wracają do wolności większej i do prawdy większej...

E.B.: - Ale jak pan powiedział, trzeba dopiero w nią uwierzyć.

A.K.: - W rewolucję społeczną i w przyszłość socjalizmu też trzeba było uwierzyć.
 Wiara to nie jest coś, co trzeba w sobie dopiero wzbudzić; to nie jest jakaś nie-
 znana, tajemnicza, niesłychana część osobowości człowieka, którą trzeba dopiero
 wskroszyć do życia, tylko coś, z czym człowiek żyje zawsze. Istnieje natomiast
 skala wiary. Wiara religijna jest wiarą większą, ku której trzeba się obrócić.
 Ma to obrócenie się społeczeństwa polskiego ku wierze, wolności i prawdzie więk-
 szej wpłynęły okoliczności, wpłynęły "wydarzenia", ale to nie jest zmiana okolicz-
 nościowa. To zamknął się i stworzył nowy cykl historyczny.

E.B.: - Z tego, co pan mówi, wynika, że wszystko już było, a ja tymczasem nie ma-
 gę wyżyć się uczucia, że u nas zaczyna się coś unikalnego. Może poddaje się ja-
 kiemuś samopocieszeniu, bo przecież wszyscy razem jesteśmy dziś tak strasznie smu-
 tni; jakie smutne twarze mają młodzi w tramwaju, żeby pan wiedział, jak smutni są
 ludzie w fabrykach, w swoich "gniazdach", przy warsztatach...

A.K.: - O smutku społeczeństwa trzeba mówić inaczej niż się mówi o smutku człowie-
 ka. Człowiek smutny za wyraznie po temu przyczyni; bo chory, bo kogoś stracił, bo
 mu ciężko żyć. Ale człowiek potrafi ten swój smutek wypowiedzieć. Smutek społeczny
 jest mniej określony, i zgadzam się z panią, że ludzie skądinąd zdrowi albo tacy,
 którym się jako tako powodzi, którzy nawet nie mają indywidualnych powodów do smu-
 tku, mogą razem wytwarzać jakiś smutek ogólny, i dla jego nazwania trzeba znaleźć
 innych przyczyn, innych środków. Smutne społeczeństwo to jest takie, które żyje w
 świecie nieochcym, które wie, że cywilizacja, jaką samo stworzyło, nie odpowia-
 da jego wewnętrznej aspiracji. I to rzeczywiście można o Polakach powiedzieć -
 nie tylko o Polakach dzisiejszych. Kto był wesołym Polakiem? Szlachcic, żył w środow-
 ku świata przez siebie stworzonego; świat, który go słuchał, którego instytucje,
 urządzenia, wygląd zewnętrzny, był taki, jakiego szlachcic chciał; taki chciał
 mieć dwór, takie konie, takie obory, taki kościół, taką karczmę i takich chłopów -
 to miał Promieniowicz zadowoleniem i radością życia, które widział w literaturze
 szlacheckiej, w malarstwie szlacheckim i w architekturze; była to klasa, która rze-
 czywiście stworzyła swoją własną kulturę. Taka z niej była radość i pewność życia,
 jaka bije z mieszczactwa holenderskiego czy niemieckiego, którego dąmy śmiały się
 do przechodniów...

E.B.: - Buddenbrockowie byli zawsze dla mnie przeobrażeniem smutni.

A.K.: - Mogli być pomurzy i na pomuro mogli chęptać swoje piwo, ale byli wewnętrznie
 spokojni. Na krótko osiągnęła ten stan polska inteligencja. Inteligencja polska
 pod koniec XIX wieku i w dwudziestoleciu międzywojennym stworzyła świat dla siebie;
 świat, który po dziś dzień wspina się z prawdziwym i w zasadniczym wzruszeniem.

To był pewien model miasta, obyczajów, literatury, prasy, gdzie ludzie mieli poczucie panowania nad rzeczywistością i że między nimi a cywilizacją, kulturą i ustrojem zachodził zgodność. Polska międzywojenna była państwem inteligencji, państwem, w którym inteligencja czuła się znakomicie; czuła się dobrze w wojsku, na uczelni, w gimnazjum, na ulicy, w kościele - wszędzie. Inteligencja polska przedwojenna rzeczywistość miała tę radość życia i starzy jej przedstawiciele wspominają swoje złote lata z prawdziwym rozczewieniem.

E.B.: - Wiąszym jeszcze o to, co się później z nią stało.

A.K.: - To, co nastąpiło później dało poczucie totalnej nieidentyfikacji, które może właśnie jest właściwe okresem zmian, rewolucji. Z nowym ustrojem nie identyfikował się nikt: ani chłop, ani robotnik, ani oczywiście inteligent, który od razu położył uszy po sobie i powiedział: nie, trzeba służyć i cicho śledzić. Po dziś dzień mamy poczucie, że żyjemy wśród instytucji, które nam nie służą; w miastach, które nam się nie podobają, wśród usług nie spełniających swoich funkcji, z elitą władzy, która nas nie reprezentuje, z ekonomią, która nie zaspokaja naszych potrzeb, stąd smutek. Nie to, że jesteśmy zrozpaczeni czy przerażeni, nie. Jest to uczucie nieustannej irytacji i pewnie ją na naszych twarzach widać. No i teraz możemy wrócić do początku; pani pytała: co się kończy, co się zaczyna. Tajemnicą życia w PRL była nadzieja: że to się jakoś nada moment ukończy; może następnym plenum coś przynieść? Może kogoś zmienić, może następnym sekretarzem?... Z każdą nową zmianą personalną, z każdą nową odwilżą spodziewaliśmy się, że teraz to już będzie inaczej.

E.B.: - Ale przecież, jak pan mówi, przez cały czas była stagnacja.

A.K.: - Ale dzięki marginesowi nadziei, że jednak się odetka. Toczył się cykl odkręcania i przykręcania, przyzwoćków i odwilży, cykl nadziei i jej utraty. I to się skończyło. Kadziei było umówiono: na liberalizację wewnętrzną, na współpracę z Zachodem, na Bóg wie co. Przez pewien czas między działacze partyjni z ZMP mówili, że wszystko będzie inaczej, kiedy dokonana się rewolucja na Zachodzie, jak wchłonemy tę Francję i tę Anglię, jak zacznijemy stamtąd czerpać wzory, wszystko się wyrówna. Ta nadzieja była stałym czynnikiem życia w PRL. Jak mówilem, to się skończyło, to się nie naprawi, to wymaga zmian systemowych, których rezultaty dają się odcaud po latach. A co gorsza, po to, żeby te zmiany zaprowadzić, trzeba sporo przeżyć, sporo zaryzykować. Więc na twarzach Polaków pewnie się rysuje i strach, i de-terminacja, a przede wszystkim brak tej nadziei.

E.B.: - Czy nie zauważył pan w tym wszystkim jakiejś gwałtownej polaryzacji ludzkich odruchów i postaw? Jedni na oślep rzucają się w "biznes", dorabiają się szybkich fortun, które błyskawicznie materializują w postaci złota, domów, kolejnych biznesów... Inni, przeciwnie, jakby wyrzuci z poczucia własności, żyją z dnia na dzień, śledząc wypadki światowe, nie obchodzą ich bieżąca chwila, jakby ją prze-skakiwali... Moje pytanie brzmi: czemu ten stan tymczasowości sprzyja?

A.K.: - Sprzyja słu. Tak jak wojna była złem od początku do końca. Tylko w filmowych serialach i powieściach społeczeństwo polskie jest ascetyczną wspólnotą walczącą o niepodległość, a naprawdę było to społeczeństwo głęboko zachwiane w swojej równowadze moralnej, toczone przez wszystkiego rodzaju klęski społeczne jak społeczeństwo, zanik etosu pracy, przez alkoholizm, przez rozliczne rodziny, przez potworny egoizm i okrucieństwo, tak i ten kryzys niesie ze sobą zło i tylko zło.

E.B.: - Tak mówią, przekreśla pan bohaterów.

A.K.: - Dlaczego przekreślał? Każde społeczeństwo składa się z inercyjnej masy i z elit. W czasie wojny społeczeństwo wytania swoich prawdziwych bohaterów i to odwrótnie niż pani mówi - przeskanają inercyjną masę. Podobnie dzisiaj...

E.B.: - Czy można powiedzieć, że dziś w ogóle mamy do czynienia z inercyjną masą?

A.K.: - No pewnie, że mamy. Niech pani przejdzie się wśród tych niekończących się kolejek, niech pani wszędzie do podłogi... Obraz jest straszny: gdzieś tam towar rzuca i gromadzi się ta wielka kolejka, a potem do tych drzwi ciągną starcy, kaleki, kobiety z wielkimi ciężarami i zaczyna się walka u drzwi, kto pierwszy chwyci za kłankę - czy ten kto pierwszy, czy ten kto uprzywilejowany - i te przywileje, które władza rozdziela w skomplikowanych systemach...

E.B.: - Więc to jednak nieprawda, że moralność dokonuje się w napięciu.

A.K.: - Co innego moralność indywidualna, co innego - społeczna. Moralność indywidualna polega na świadomym wyborze, moralność społeczna rodzi się z odruchów.

E.B.: - Czyli nie istnieje.

A.K.: - Tak, w masowych skalach trudno mówić o moralności, trzeba przewidywać, opisywać, rejestrować odruchy i liczyć się z odruchami. Społeczeństwa jako masa nie są moralne ani niemoralne. Moralne lub niemoralne są tylko jednostki.

E.B.: - Ale suma jednostek...

A.K.: - ...Społeczeństwo nie jest sumą jednostek, jest iloczynem jednostek. Człowiek, który znajdzie się w tłumie ogarniętym paniką lub nienawiścią jest odpowie-dzialny za siebie tylko do pewnego stopnia.

E.B.: - Nie zaprzeczy pan jednak możliwości oddziaływania na tłum - różny tłum - wybitnej jednostki, np. Papiecia...

A.K.: - Człowiek może zwiększać zakres swego oddziaływania, może i powinien ten zakres rozszerzać nieustannie, ale musi wiedzieć, że społeczeństwo w swojej masie zachowuje się tak, jak zachowuje się przyroda, jak woda, ogień, ziemia, jak każdy żywy; i nie tylko wtedy, kiedy ucieka przed wodą czy ogniem, ale i wtedy, kiedy "leci za towarem". Im społeczeństwo bardziej zdestabilizowane, im bardziej zdegre-dowane, im bardziej zaspokajające swoje potrzeby w sposób masowy, tym bardziej jest bezwładne, tym groźniejsze i tym nieszczęśliwsze, bo każdy człowiek chce się poz-bawiony swojej wolności. Nie dlatego, że go pilnuje milicjant, ale dlatego, że jest w masie i zależy od masy.

E.B.: - Więc co w tym wszystkim powinien robić intelektualista - potraktujmy to słowo jednoznacznie - jaka jest jego rola?

A.K.: - Rola intelektualisty jest żadna, i dlatego intelektualista jest dziś równie istotą smutną i bezrobotną. Dzisiaj ludzie wymagają prawd zupełnie prostych; wymagają potwierdzenia tego, co noszą w sobie. Pani pytała, dlaczego ludzie biegną do kościoła. Bo chcą uzyskać to, co już wiedzą. Duszpasterz jest od tego, żeby potwierdził rzeczy znane; intelektualista nie jest od tego. Intelektualista ma otwie-rzać coś nowego. Ale przyszłość składa się z rzeczy niewiadomych. Dzisiaj rzeczywistość galopuje przed siebie i wymaga rozwiązań praktycznych i nie intelektualista je znajdzie. Co tu intelektualista ma do roboty? Pisać pamiętniki, jeżeli jest stary, albo przestać być "intelektualistą", jeżeli jest młody.

E.B.: - Nie zgadzam się z wieloma rzeczami, a zwłaszcza już z tą "inercyjną masą"; Sierpień wykazał jak ta masa nie "leci za towarem". Czytam w pańskich słowach wielki pesymizm. Nie są one w końcuż razie stereotypowym mówieniem "ku pokrzepieniu serc". I za to panu dziękuję.

Podziękowania zostały skrótkowo w Tygodniku Powszechnym.
Drukujemy go bez wiedzy i zgody pisarza i rozmawiających osób./E.B./

Włodzimierz Odojewski

W SERPCE, OSTACH I BURZANTIE

Nie zostawiajcie mnie w spokoju! Nie porzucajcie dla waszej gadaniny, pisaniny, krasotulicy, staraj przytoczyć drobne zyski, powszedniej, zapobiegliwości! Dla waszych zajęć między kuchnią a odpływowym kanałem kłosek i kubek na ściecie, między czuaniem pieniędzy a ich wydawaniem, między wysłaniem o procentach od oszczędności albo kapitału, o podatkach, rachunkach za gaz, zepsutym telewizorze, kupnie nowego mebla, nieodrobionym zadaniu szkolnym syna, palącym marihuaną przyjacielu odzki, filmie o subtelnych psychopatach kopulujących z wrażliwymi dziećmi, nagrodzonym najwyższą nagrodą na najstarszym festiwalu filmowym świata. Ani w pedantycznych autostradach samochodowa, z których widoki z okien o intensywności aż boleśnie ledwo drażnią naskórek waszej zmęczonej wyobraźni, ani w górach, których krajobrazy nieuchwytnie, zamglone i nagie tak ukołysały w mojej młodości, że uderzała z nimi po tydzieńach, zanim umarłem naprawdę na płaszczyźnie tak kolegkiej i bezkarniej, że przywołała na pamięć jedno z wcieleń piekła naturalistów, ani nad brzoisami morza, na tych wydalonych jak kość żarem plażach, gdzie wystawiacie na skórcie swą na skoto i brzo spaloną skórę, a fala jęk domowy piec każe się do stóp, której samer daleki wciąż słyszycie jeszcze, mimo coraz głuchszej nade mną ciszy. Nie zostawiajcie mnie samego drzeć nocą w ramionach tych wspaniałych kobiet, których ciała potrafią ukieść każdy błąd młodości; nie zostawiajcie mnie i nie zapominajcie na zawsze, zasypiając uspokojeni, ayci i śniąc obietnice następnych poranków...

Niech obudzi was lodowaty wiatr smad Wólgi, którego przeciągłe zawrodoenie wciąż przekracza swym szabwym głosem! Otwórzcie jeszcze choć raz oczy ze zronsem na rzęsach i powiekach, jak wtedy, kiedy wypadając z baraku z rozpedem w nieostępnie ty niczym mrów zapierający oddech, w ciżnę stojącą jeszcze wśród budynków zony w nocną postać jak w starej pieśni, nad którą tylko granatowa nieskończoność białego obłoku Kłeczanej Drogi i gwiazdy, i jaśniejąca Wielka Niedźwiedzia i Orion, że gdy wycęły się dobrze słuch, słyszycie ruch i obroty obcych dobrych światłów; i opórzcie potem na wiekę wyłaniającą się z mgieł w hiełi kry i spletanego czarnego żelazta, na rusztowania tamy jarząca się setkami rozkołysanych na drutach żarówek nie dających ani trochę ciepła i zapalających się niebiesko i gaszących srebrnym spieniem w syku palników acetylenowych, prowadzonych ręką wolnych spawaczy, zamieszonych nad przepaścią na linach, jak psjaki, też niewolników, jak wimBudowaliście tę tamę dla Rosji od waszkiej jesieni i gawez tę najzimniejszą, że płaczą z zimna, jak pamiętam, i nie macza wina, że tak niewiele widzieli jej ukoczenie i pozytywki przyznające waszemu nowemu, wspaniałemu światu. Zaszuchami w międzyplanetarny chrobot iskrzących się gwiazd wycęćcie słuch bardziej jeszcze, a dosłyszycie być może nasze suchoćniejsze oddechy i jęk pustych trzewi, a nawet krzyk dobijających kolbę za zonę.

Barak zabrami w ciemności pobudka. Więc jeszcze raz ustawcie się z nami po płaszcz w koleje do lestryny, w biegu zrywając z siebie wasze kachy i przytrzymując je adretywiarz dłońmi, która nie odyskała wciąż czucia, śpiąc jeszcze na jawie, z zaczerwienionymi jak rozdzarte rany oczami, które nie wiedzą, że płaczą z zimna, bo łzy nie kapią, smarując natchniałost, wpek widząc, wypatrując brygadiera, kiedy wynurzy się gdzieś z głębi masz baraków i krzyknie, że nieśa poranna zupę. Gdyż biada tym, którzy się spóźnią.

Jeszcze jest noc, choć zaczyna się już dzień, choć go jeszcze naprawdę nie wiadac, a tylko Orion obniżył się nad stęp za rzeką i parę osmieszonych drzew samotnych na przeciwnym brzegu wynurza się z rzednącej ciemności, mierząc nagimi gałęziami w naszą stronę, jak maszynową brzoń. Na teren za zonę zaczynają nadciągać czarne kolumny nocnej zmiany, wymaczane światłami reflektorów z wieżyczek i przystają do sto metrów przed kolczastymi drutami i wyżkami najeżonymi strażą. Nocujący się stąd głoce odliczających i meldujących stan przewodników brami bezosobowo i objętnie, tylko tak straszliwie niecierpliwie komot zbiorowego przystupywania i ka-

szel, który rozdziera powietrze salwami. Kolumny formują się znowu w czwórki i ruszają, a u szerokiego wejścia, nad którym powiewa transparent z napisem "Przez pracę do socjalizmu", orkiestra na podium z belek gra Poloneza Czajkowskiego z Eugeniusza Oniegina. I znowu skrzypi śnieg pod tysiącami nóg, i znowu utyskiakrotliwy kaszel wstrząsa powietrzem czystym jak źródłana woda, ostrym jak kryształ, i paruje ciśnie, i niesie się ugaszczony wśród brudu i flagony, a psy przytrzymywane przez bojów na rzeniemiach szarpną się i szczekają.

Ale jeszcze zwalam się w śnieg, który za latryną jest nietknięty, miękki jak aksmit, jeszcze mamie złudzenie kilku sekund snu; białaczka wypada spod fufajki, szukam wokół siebie ręką i kiedy natrafiam, przywarza do palców; lecz teraz już trzeba naprawdę zebrać się w sobie, każda chwila droga, plac zaraz znowu się zaludni. I wreszcie na nogach. Więc teraz, chwytając się, do stołkówki; każdy krok jest wysiłkiem podejmowanym z nadzieją, choć bez wлары, że się uda. A potem już w ciemnocie u wejścia do stołkówki, gdzie nasz dziwny przelicza, formuje nas w grupy według wzorajszej norcy, a do mnie. Ty woi! mówi i, nie patrząc, odsuwa na stronę. Więc powinieniem być wiedzieć, może nawet wiedziakem, ale wiedzieć nie chciałem...

Dlatego popatrzenie raz jeszcze i przypatrzenie się /ta chwila jest ważna/, jak teraz włokę się w wietrze targającym moją adartą na strażcy fufajkę, pokonując ja-go zimny oddech, na śmietnisko za kuchnią, gdzie w zroku walczą szkiolety docho-diagów o jakis porzuconą wśród brudów główkę od śladzia, albo zgniły odpad bruki, albo wyrzucone z kantyny oficerskiej kości, w których ukryć się mogła resztką szpi-ku. Słuchajcie przekleństw, mieszających się ze skrzaczczkami, a później pojedynczych urwanych szeptów, mieszania, ssania i żucia. Bo ludzie mimo wszystko kochają więcej życie od dobroczynnej śmierci. W moim pustym mózgu tkną się dwie myśli: ile to już dni nie wyrziliem żadnej norcy, i że kto nie pracuje, ten nie je. A go-tes trzeci, też osoba: kiedy to ostatni raz śledczy pytał mnie o nazwisko i pa-ragraf? Wczoraj? Przedczoraj? Czas się miesza, zatiera. Rzeczność to są tylko te tygodnie, kiedy pracowałem na poczynie kolejowej przy budowywaniu hali. Reszta przypadła. Wyrzabiałem wtedy sześćdziesiąt procent i jeść dostawałem z trzeciego kotła. Żanim coś nie przesnęło w kregostupie. Bo potem już byłam do niczego. Chciał przy tym zwożeniu taczami piasku do jednej z mieszarek betonu na tamie staralem się jak mogłem i lek-pom powiedział, że nic mi nie jest. Więc teraz patrzcie, jak włokę się na apelowy plac głodny, bo kto nie pracuje ten nie je, a na śmietnisku nic nie znalazłem. Ale gdzieś w ostatnich drobniach ciepłej krwi wciąż jeszcze pulsuje beznadziejna nadzieja.

A teraz już na placu. Lecz podbiega nadzorca i krzyczy, słowa nie docisną, pochłania je apelowy gear, a brygadzysta odsuwa mnie na bok; jego spojrzenie jest zimne, badawcze i dalekie. Teraz ja z kolei krzyczę. Motus najokropniejsze prze-kleństwa, jakie ten ich język tylko zna, choć moje wargi ledwo się poruszają, nie wydając nawet szepotu. I brygadzysta zawraca, i znowu to spojrzenie dalekie, jakby się namyślał, a potem wciąż mi pajdkę chleba, nie większą niż pół dłoni; widać jest dobry. Nigdy nie pomyślałem o nim w ten sposób, że jest dobry, pewnie go nie zdążyłem poznać, w obosie każdy zajęty jest naszyt samym sobą. Więc teraz posku-chajcie mojego żucia. Żuję tak długo, że zapominam o świecie. Tak długo, że już zaczyna się apel. Włokę się ustawić w szeregu. Ludzie mieszają się jak piasek. Czuję wprowadzić mdości, powinieniem być pamiętać, żeby nie jeść od razu, od wczoraj nie jadłem nic, ale jest ciepłej, i gdy ustawiam się w szeregu, jest dobrze.

Zaczyna sytać śnieg. Nie z góry, lecz idzie z wiatrem, z dołu, który podrywa się od Wołgi i niesie białą kurzawę najpierw po nogach, po butach z opon, po wa-lonkach, łapciach, po umocowanych drutem onucach, potem się podnosi kłyszcząc po udach i po plecach. Tymczasem nas ustawiają, przeliczają, znowu ustawiają, część ciała od strony rzeki traci czucie, jest dziś nie mniej niż czterdziestu stopni niżej zera; znowu nas przeliczają. Szron zatyka nozdrza, ale zaraz będzie ciepłej w marszu, jeżeli nie popędzą nas pod wiatr. Wtedy brygadzysta znowu wpada na mnie pierwszą i z krzykiem odstawia na bok. Więc dziś nie idę za zonę. I znowu nie będę jeść.

Więc jeśli mnie jeszcze nie straciliście z oczu, to widzicie zapewne, jak przysiadam w śniegu na skraju placu; powinienem być wiedzieć, być przygotowany, zawsze jednak w końcu dzieje się tak, że to spada na człowieka, jakby się nie wiedziało nic, jakby nigdy nie było oczekiwane i mogło się przytrafić każdemu, ale nie samemu sobie. Teraz kolumny dziennej zmiany, z której mnie wypchnięto, zaczynają mnie mijać; widzicie je? Czy słyszycie? Słychać krzyki brygadziaków, nawoływania strażki, idą stachanowcy, spryciarze, symulanci, czarna masa, potem już tylko sama czarna masa powłócząca nogami, setki, nie przeliczysz. Orkiestra na oświetlonym podium znów grałi Poloneza, już nie widać poszczególnych ludzi, tylko długi czarny wął kolumna za bramą, obrastających przedko bielą. I jest coraz zimniej. Potem i myśli zamazają. Choć jedna wciąż się jeszcze tłucze po głowie osobna, samotna, grająca, prąpskająca strumyk krwi przeciekającej przez serce: wspomnienie tych kilku tygodni na boczniczy przy wyładowywaniu bali. Nie widziałem wtedy jak wygląda przyjeżdżają do baraku. Wychodziłem przed świtem, wracałem w noc, szesnaście godzin roboty na doła, dziesięć kilometrów w każdą stronę, ale miałem za to prawo do trzeciego kosa.

Próbuję trochę spać. Potem naprawdę śpię, czując ciepło podetkniętej jakąś nieznaną ręką pod brodę miskiupy, zapacha miskiupy, smak miskiupy, kaszy, polci mięsa, tłuszczu, ktoś mnie jednak potrzęsa za ramię. I wpięrw widzę czarne buty, a potem widzę nade mną bojca, którego zapamiętałem i wy widziałem, jeżeli słyszycie moje wołanie i mój szepot. Jak potrzęsa mną wcale nie brutalnie i podnosi za ramiona, do zamazania jak kłoda drewna. I widzicie, że nie jestem sam, jest nas tu na skraju placu cała gromada podobnych do mnie cieni, otoczona teraz przez bojców z nastawionymi na karabiny szpicłowymi bagnetów. Więc będzie jeszcze jeden apel. A potem i my pojedziemy na zagon. Tylko że bezładną gromadą pod wspomnianym konwojem. I konwojemci już nie nierozpliwiają się, nie krzyczą, nie popędzają i nie prowadzą na rozkazach ujadających wściekłych psów.

Nie spuszczaście nas z oczu, jak posuwamy się ku krawędzi w świetle reflektorów. Ani ruszycieśmy tamy przecinającej rzekę, w której ukończeniu nie dane nam było uczestniczyć, wykańczającej się z szerokości porabki, ośmiemnikowej na krótko w zawięzanie białej kurawy, oddalającej się coraz bardziej w głąb rozjaśnianego się i wolna na horyzoncie nieba. Nie spuszczaście nas z oczu w stepie, który otwiera się na stronę nieludzkowolności narazającego się, jak fałs morski, śniegu, przepływającego się w wietrze sucha i szaleszcząca, w stepie, który wionął tak samo sucha i szaleszcząca kokysnął będzie nieludzkowolności sucha fał zielonych i płowych traw, rozkładających się o kopy ostów i burzami, wyburzające się, jak samotne wyspy, gdzie może wypłynąć teraz gładzi ośmiemnikowej kurawy jak oszalała. Nie zostawiajcie mnie w spokoju! Nie poruszajcie dla waszej gadaniny, piszanki, krawataniny, starych przynależnych złotych tyłki, waszej przesrodniej zapobiegliwości! Nie poruszajcie, nie zapominajcie! I gdzie moje szaszki, z których już wcześniej wypadły szaty, widać jeszcze szaszki, Ojciec nasz... jest w niebie... święte imię Twoje... Mówi się za nami przeszytymi... Byłam raz nasza wtry... Jako że wy nie wybaczymy naszym winom... Tak w ich godzinie śmierci, jak w godzinie śmierci naszej... Amen.

Archiwum polityczne

Leopold Unger

WIDZIANE Z BRUKSZELI

A jeżeli rzeczywiście to byli Rosjanie?

18 lutego 1954 roku Nikołaj Chochołow, kapitan KGB w misji specjalnej, zadzwonił do drzwi mieszkania jednego z budynków w centrum Frankfurtu. Otworzył mu lokator Grigori Ochokowicz, działacz NTS, emigracyjnej rosyjskiej organizacji antysowieckiej w FRG.

"Przybywam z Moskwy, powiedział na powitanie Chochołow, z rozkazem zamordowania pana. Postanowilem jednak nie wykonać rozkazu. Mam tego dosyć...".

W kilka minut później Chochołow rozmawiał przed oficerami amerykańskiego wywiadu. Ujawnił szczegóły swej misji, dał nazwiska i adresy członków jego komenda i zaprowadził agentów CIA do lasku na przedmieściu Ronachim, gdzie stał porzucony samochód. Z akumulatora Chochołow wyjął złotą papierośnicę, którą technicy KGB przekazali w pistolet strzelający zatrutymi pociskami. Dum-dum...

Chochołow nie strzelił, ale inni, przed nim i po nim strzelali. Mordowanie uciekinierów czy działaczy emigracyjnych weszło do tradycji sowieckiej około 1926 roku, od chwili konsolidacji władzy Stalina. Jedną z pierwszych ofiar był Ukrainiec Semen Petlura, zastrzelony na ulicy Paryża. W 1930 roku pierwszy został też w Paryżu, Aleksander Kutlepow, w 1932 roku zamordowano w Hamburgu Franca Wissingera, byłego kuriera krewlowskiego. Potem zginęli dwaj uciekinierzy, byli agenci KGB, Walentyn Markin i Jean Cramet, pierwszy w 1934 roku w Nowym Jorku, drugi dwa lata później w Makao.

Czarna seria osiągnęła szczytu w 1940 roku, kiedy na polecenie Stalina zamordowano w Meksyku Iwa Trockiego. Przedtem jeszcze zmarł w nieokreślonych okolicznościach

ciach, w trzy dni po udanej operacji w jednej z klinik Paryża, syn Trockiego, Lew Sedow. Dopiero po 18 latach okazało się, że chirurg i przyjaciel był także agentem KGB.

Chochołow odparł strzelania, ale Bogdan Staszyński strzelał. On też "pracował" na terenie RFN. Pierwszy raz KGB wysłało go w 1957 roku aby zamordować działacza ukraińskiego Iana Rabeta, drugi raz, w rok później, aby zlikwidować Stefana Bandurę. Obaż Ukraińcy zginęli w ten sam sposób: Staszyński "strzelał" strumieniem zatrutego gazu, śmierć była natychmiastowa, symptomy wskazywały na atak serca.

Sorce wskazało także Staszyńskiemu drogę wyjścia. Wszystkie szczegóły swoich dwóch misji opowiedział w trakcie trzeciej, kiedy zdecydował *Je h e r o h s z i a f e m e /* oddać się w ręce władz zachodniemieckiego.

Pe rewelacjach Chochołowa i Staszyńskiego na placu Dzierżyńskiego w Moskwie zakotowało się. Nikt nie zamknął naturalnie na atak serca, ale postanowiono zrewidować poglądy na skuteczność skrytobójstwa jako argumentu w dyskusji ideologicznej. Stalin już nie żył, *d e t e n t e* i handel dyktowały swoje prawo, do salo-
nów zachodnich nie było elegancko wchodzić przez okno z naganem w rękę.

Dwa rzeczowe argumenty dodały powagi dyskusji. Po pierwsze, wielkie szyski wybierające wolność były coraz lepiej strzeżone, żaden agent UB nie odnalazł chyba pułkownika Momata, tak jak żaden rumuński, sowicki czy polski "emisariusz" nie potrafił dostać się na odległość pewnego strzału w pobliże gen. Pacepy, b. zastępcy sekretarza gen. ONZ Szewczonki, czy byłych ambasadorów Spasowskiego i Ruzarza. Po drugie zaś, i to może ważniejsze, Rosjanie zostali w końcu przekonani, że riposta będzie bolesna, jako że zachodnie służby tajne to także nie oddziały Armii Zbawie-
nia.

B u ł g a r s k i e s k r z y d ł a

Stąd też kiedy turecki terrorysta Ali Ağsa, który 13 maja 1981 roku, na placu św. Piotra w Rzymie strzelił dwukrotnie do Jana Pawła II, został dwa miesiące później skazany na dożywocie, świat po wstępnym smoku uznał sprawę za zamkniętą. Papież, dzięki Bogu, przetrwał, zwiariowany Turek zniknął, koniec, kropka, zapamiętaj *o dramacie.*

Nie zabrakło naturalnie kilku młodowiarów, którzy dyskretnie wyrażali pogląd, że Ağsa musiał mieć współwiników, ale prawdziwa przepaść dzieliła tego typu wątpliwości od poglądu, że istniał normalny spiszek międzynarodowy na życie polskiego Papieża, przepaść której nikt, wydawało się, nie odważył się przekroczyć.

Odwążył się p. Ilario Martella, włoski sędzia śledczy. W listopadzie 1982 roku, 16 miesięcy po zamachu, sędzia Martella, człowiek uparty i nieprzekupny, znany ze skrytej afery kapłanek Lockheed, nakazał przesłuchanie Sergiusza Antonowa, n. rządnika rzymskiego biura bułgarskich linii lotniczych, oraz wysłał listy gończe za dwoma innymi Bułgarami, którzy jednak, cdmiejennie niż Antonow, byli już z powrotem w Sofii. Tak narodziła się *T h e B u l g a r i a n C o n n e c t i o n*, a wraz z nią opowieść o sowieckim planie zamordowania Papieża.

Świat nie zaprzekł. Kto, co, po co? Jaki jest związek między tureckim fanatykiem i mordercą, bułgarskimi liniami lotniczymi i KGB? *C u i h o n o, c u i p r o d o s t?* Kiedy pisze te słowa, materialne elementy są tajemnicą śledstwa, ale polityczne aspekty i wątpliwości są już wyrażone.

Technika i ideologia

Technicznie biorąc, nie ma nic nowego w fakcie współpracy czy wyreki jednego wywiadu wschodniego przez towarzyszy z innego kraju komunistycznego. Integracja służb specjalnych jest na pewno w lepszym stanie niż np. gospodarcza. W 1962 roku Bela Lopusznik, agent węgierski, który wykazał waleczność w Wiedniu, został otruty przez agenta czesko-czechosłowackiego, chociaż przebywał w "miejscu absolutnie pewnym". Wlodo Dapcewicz, były pułkownik, a potem przeciwnik Tito, obywatel belgijski, został porwany w centrum Bukaresztu dzięki współpracy agentów rumuńskich, przewieziony do Belgradu i skazany na 20 lat więzienia. Lidwin Cassinias, były kajakowy mistrz olimpijski, który postanowił zostać w RFN, został porwany przez agentów ERD - którzy czują się równie swobodnie na zachód co na wschód od Isaby - dostarczony do Związku Radzieckiego, gdzie, po "konferencji prasowej" popełnił, naturalnie, samobójstwo.

Ideologicznie biorąc, zasady "cel święca środki" i "dobry uciekinier to martwy uciekinier" pozostały w mocy także po rewolucjach Czechozwa czy Staszyskiego. Międzyna wyprawa zorganizowana przez Ceausescu po życie pisarza Virgila Teanase, ujawniona przez agenta, który tak jak Staszyski postanowił zostać na Zachodzie, jest tego najbardziej tragiczonym przykładem. Ile ofiar padło od kuli agentów jugosłowiańskich we wszystkich krajach wschodnich, gdzie Krowci postanowili odrzucić ruch ustawowy czy inny? No i w końcu, żeby wrócić do początku tej opowieści, czy należy rozwinąć się nad Koszarami historią "bułgarskiego parasola", który w Londynie zabił uciekiniera-dziennikarza Jerzego Markosa, współpracownika BBS i EWE i prawie zabił Władysława Kostowa, także uciekiniera i także dziennikarza, ale w Paryżu?

Dla tych, którzy znali Bułgarię z produkcji olejku różanego, Złoty Fiaśków oraz plisiki, już taki "parasol" stanowił zaskoczenie, a od dopiero udział w spisku na Papieża. Fachowcy pamiętają jednak, iż Bułgaria odgrywa poważną rolę w świecie cieni nie tylko w skali indywidualnej czy też jednego parasola. Bułgaria to prawdziwe mocarstwo w tej dziedzinie, tym większe, że jej wywiad i agenci od mokrej roboty to jedyńi, do których Moskwa ma rzeczywiste zaufanie /jeżeli w ogóle coś takiego w tej branży istnieje/ i prawdopodobnie jedyńi, którym - kiedy tylko jest to konieczne - KGB powierza wykonanie tych zadań, których sam nie chce z powodów taktycznych wykonać. Bezpieczeństwo bułgarskie, wywiad i kontrwywiad są - to nie jest tajemnica - całkowicie spenstrowane i kontrolowane przez KGB.

Sudan w 1971 i Egipt w 1978 roku wydalili ambasadorów Bułgarii /wraz z drobnymi urzędnikami/ za organizowanie episkopów przeciw lokalnej władzy, która, jakby przez przypadek, właśnie się odwracała od Moskwy. Po Bułgaria zwerbowała i opłacała włoskiego "syndykalistę" Luigi Scriciollo, który służył jako łącznik między wywiadem z Sofii a Czerwonymi Brygadami /negocjował m.in. "sprzedania" Bułgarom porwanego generała amerykańskiego Downera/, a przede wszystkim funkcjonował jako szpieg przydzielony specjalnie do osoby Lecha Wałęsy, którego śledził w charakterze "oddeganego przyjaciela" w Gdańsku, w Raynie i w Watykanie.

Dwa aspekty są specjalnie zabawne. Po pierwsze, władze polskie starają się uczynić z "opieki" Scriciollo nad Wałęsą zarzut wobec przywódcy "Solidarności", zupełnie pomijając zasadnicze "przysięganie" włoskiego szpiega do wywiadu bułgarskiego i fakt, iż one same korzystały z informacji dostarczanych przez Scriciollo - chyba że towarzysze z Sofii nie dzielili się z towarzyszymi z Warszawy tajemnicami Scriciolla. Może też dlatego, że, po drugie, właściwym odbiorcą rewolucji Scriciolla, opłacanych dolarami z Sofii, był nie generał Jaruzelski, a generał Andropow.

Z drugiej strony specjalizacja w dziedzinie olejku różanego nie przeszkadzała Bułgarii wyspecjalizować się także w dziedzinie pomocy dla światowego terroryzmu, ze specjalnym uwzględnieniem destabilizacji południowej flanki NATO w Turcji /w

Grecji jest to dziś mniej ważne, jako że destabilizacją tego ogniw NATO zajmują się osobliwie premier Papandreu - jak wiadomo uprzywilejowany partner gen. Jernalskiego, z którym ocierali sobie wzajemnie kły na pogrzebie Breżniewa/.

Nie wiadomo jeszcze, jaką rzeczywistą rolę odegrała Bułgaria w zamachu na Pospisila, ale przy okazji śledstwa świat zainteresował się tym spokojnym wieśniaczym krajem bałkańskim. Okazało się wtedy, że specjalne przedsiębiorstwo bułgarskie Kintex dostarcza broń wszystkim klientom bez żadnej dyskryminacji, z lewa i z prawa, Palestyńczykom od Arafata i od Abu Nidala, z Syrii i z Iraku, a także fa. Bargiatem i szarżmanom libijskim, Czeczenom Brygadom, Rote Armee, Irlandczykom...

W Bułgarii znajduje się kilka obozów szkolenia terrorystów palestyńskich i zachodnioeuropejskich, np. w miejscowości Darwenica, na południowy zachód od Sofii, do którego wjazd prowadzi, bardzo sprytnie, przez ogromną przemyślową składowię.

Wyszło również na jaw, że ciężarówka TIR, zarejestrowana w Bułgarii, wyspojealizowała się w przemyśle np. papierosów i narkotyków, że ogromny ruch ciężarówek z numerami Bułgarii jest niewspółmierny do wielkości jej wymiany handlowej, że w ogóle ruch wchodzących ciężarówek, a zwłaszcza dziwnie wyszczupionych, zatrzymujących się na odpocznik z reguły niedaleko lotnisk wojskowych i innych obiektów strategicznych oraz z upodobaniem manipulujących przy pieczęciach, które powinny być zlenaruszane w czasie transzytu, itd. itp. stanowi już od pewnego czasu przedmiot zainteresowania zachodnich kontroliwywiadów, nawet w Szwajcarii.

Przedo wszystkim jednak wyszło na jaw, że specjalnie dobre stosunki wywiad bułgarski ma z mafią turecką. To mafia pomaga Bułgarom sprzedawać broń terrorystom tureckim i organizować przerzuty do krajów zachodnich, np. do Włoch, zaś wywiad bułgarski pozwala w zamian tureckim gangsterom przewozić narkotyki też na Zachód, do Włoch przede wszystkim i Francji. Kaidowie, czyli szefowie tureckich gangów, są pod opieką bułgarskiej policji. Taki np. Bessir Celenk, znany "businessman", a faktycznie jeden z szefów mafii tureckiej, przebywa w Sofii właściwie już od zamachu stanu gen. Evreua, cieszy się szacunkiem władz bułgarskich, podobnie jak jego brata, w tym kilka "artystek". To Celenk zorganizował - w zamian za wolny tranzyt narkotyków - wielki przerzut broni bułgarskiej do Włoch poprzez port w Triestcie, aferę zakończoną procesem i wyrokami na jego współników w mieście Tronto /szczegóły w prasie codziennej nie bułgarskiej/.

M i t e m a n i w a r i a t

To w tym właśnie miejscu zaczęły mnie męczyć nieprzyjemne skojarzenia. Choć osobście nie jestem zwolennikiem konspiracyjnej teorii rozwoju świata, to jednak w młode poszukiwania prawdy nasuwać mi się coraz więcej wątpliwości. Miałe to, jak napisze K o w K o r k P i e s, tykanie kół w Waszyngtonie nie mają appropriatego poglądu na rodzaj stosunków, jakie łączą Agnę z wywiadem bułgarskim, ja zaczynam mieć. Oto bowiem:

a/ Przed podróżą do Sofii Agna był skazany na dożywocie za rzeźnięwanie dziennikarza i przebiegła za kłamcami "najposzniajszego" wstąpienia w Turcji. Ktoś oczywiście musiał na niego walczyć. Kto mafia? W każdym razie władze tureckie na nowo otworzyły śledztwo w sprawie tej "niezręczności" ulicznej...

b/ Agna oczywiście nie mógł bez czyjejs /?/ pomocy znaleźć się w Sofii po ucieczce z więzienia. Uszedłszy w Sofii odpowiedzieli na pytania amerykańskiego dziennikarza, że do Bułgarii wjeżdża 3 miliony turystów rocznie i że w okresie w Turcji nie obowiązują wizy. Nie powiedzieli jednak, że kontrola jest absolutna, że każdy turysta musi wypełnić specjalny formularz, że paszporty są stemplowane i kontrolowane, że, krótko mówiąc, bez zgody wywiadu bułgarskiego żaden turysta, a nie tylko terrorysta Agna, skazany w Turcji, nie mógłby się dostać do Bułgarii. W rozmowach urzędników bułgarskich, którzy stali się nagle szalenie rozmowni,

zachodzą wreszcie spore sprzeczności. Według niektórych źródeł Agsa wjechał rzekomo do Bułgarii na podstawie paszportu hinduskiego wystawionego na nazwisko, naturalnie, Singh. Wtedy jednak, jako nie Turak, musiałby mieć wizę. Bułgarzy z obozowaniem pytają, dlaczego Agsa mógł się swobodnie poruszać po Włoszech, Hiszpanii czy RFN, a nie mógłby po Bułgarii, dlaczego Bułgarzy mieliby być bardziej czujni niż Niemcy czy Włosi? Dobrze pytanie...

c/ Agsa, oczywiście, nie mógł zamieszkać bez zgody wywiadu bułgarskiego w najlepszym hotelu Sofii "Mitosa" /zbudowanym przez amerykańsko-japoński koncern Ken-Otani, ale wyposażonym w mikrofony już przez KGB/, gdzie od tarasza w górę cały personel należy do tajnej policji. Otóż, co za zbieg okoliczności, to w tym hotelu właśnie Agsa mieszkał przez 50 dni równocześnie z Celenkiem. Bułgarzy ciągle zresztą twierdzą, że Celenk zajmuje się eksportem... wody mineralnej, choć powinni wiedzieć, że zanim jeszcze powstał plan zabicia Papięza, Celenk już był bohaterem listów gwałcących jako szmugler narkotyków i broni. Po co w ogóle szum? Jeżeli Celenk jest taki czysty, to najlepiej wysłać go na Zachód albo do Turcji, a już tam ten eksporter wody mineralnej potrafi udowodnić swą niewinność. Tymczasem Celenk nie tylko nie wyjechał, ale po prostu aniknął z hotelu, do którego się w międzyczasie przemieścił, a który nosi nazwę... "Łoskwa". "Ma katar" - powiedział zachodnim dziennikarzom bułgarski MSZ.

d/ Agsa, bez pomocy wywiadu bułgarskiego, nie mógł opuścić Sofii. Kiedy wyjechał, miał kilka paszportów, kupił pieniądze i plan podróży przez kilka krajów Europy.

e/ Agsa, oczywiście, nie mógł w Rzymie działać sam. Miał współpracowników, ktoś w końcu wynajął mu pokój w hotelu, dał mu 50.000 DM i, drobiazg, rewolwer.

Przeciwnicy teorii episkopowej powiadają, że Agsa to fanatyk, mitoman i wariat. Bardzo możliwe. Niezwalnie człowiek nie morduje rzymskiego papieża. Jak jednak wytłumaczyć:

a/ że ten mitoman i wariat pamięta gdzie mieszkał w Sofii i gdzie spotkał Celenka, który mu obiecał nie tylko 3 miliony DM za strzelanie do Papięza, ale także powiedział, jak i kiedy ma go uwolnić z więzienia w Rzymie, jak ma go /tak jak w Turcji/ wykraść lub wymienić, co potwierdzałoby przewencyjne aresztowanie w Sofii Boga ducha winnych młodych turystów włoskich;

b/ że ten mitoman i wariat rozpoznał Antonowa i dwóch innych Bułgarów, Ajwazowa i Wasilewa, z setki zdjęć, jakie mu pokazano w czasie śledstwa, że potrafił opisać mieszkanie Bułgarów i wskazać budynek zarezerwowany dla pracowników ambasady, przed którym na 2 dni przed zamachem i w czasie "próby generalnej" zatrzymali się, aby zabrać broń, i podać nawet zastrzeżony telefon Antonowa;

c/ że ten mitoman rozpoznał akurat tych trzech Bułgarów, których nie tylko podobizny, ale i nazwiska i adresy jako pracowników wywiadu bułgarskiego ujawnił powłóczy Luigi Scricciollo, "syndykalista" włoski przypisany do osoby Wałęsy, a faktycznie agent Sofii;

d/ że ten wariat przestrzegał mimo wszystko określonych reguł gry i nie zaczął sypać rewelacjami o Bułgarian Connection przed upływem terminu obiecanego mu uwolnienia z więzienia.

Przy r a z y t a k . . .

A posteriori spiskowy scenariusz wydaje się genialnie prosty. Zbrodnia prawie idealna. Bierze się notorycznego mordercę, prawicowego fanatyka, posyła się go do Watykanu, gdzie po zastrzeleniu Papięza ma on być również zastrzelony albo przez ochronę Papięza, albo przez obecnych obok na placu agentów bułgarskich. Po kilku tygodniach szok miła, jak również pamięć o Papięzu i o Agsy. Spra-

wa zamkniętu, można pisać nowy scenariusz.

A jednak się nie udało. I ofiara i zamachowca umarli. Papiś wilyzy. Agnieszka. Na Zachodzie wybuchła burza. TV, radio, parlamenty, prasa. Wschód, jednak jakby sakkopotany, milczak, a potem, kiedy przemasz do kontrofensywy, były to tylko obruszenie, szyderstwa i wywki. Aż dziwne. Władze polskie, które postawily przeprowadzić wszystkie siłami policji ordynaryjne śledztwo w sprawie jeźdnego przyradowego spotkania Wękiy z Kromem, atedosałym zamachowcem na Papiśa w Putimie, tym razem okazały się wyjątkowo nieporadne. Nowot Scricicillo przestał być wymieniany. Krzypomiano natomiast pożar Reichstagu i Burgara Eymitwa...

Nie wiem, czy był spisek, a jeżeli był, to po co? Ponieważ jednak Moskwa, Sofia i Warszawa nie potrafiły, czy nie mogły wyjść poza święte obruszenie, zakłóćcie i wyłączenia oraz rolę syjonizmu i CIA, to postaram się przeprowadzić rozmowę nie s i n e i r a e t s t u d i o. Będzie to naturalnie operacja spekulacyjna, oparta jednak na rzeczowych przesłankach.

Pytanie główne - czy został przy łacinie - broni naturalnie: a u i p r o d e s t, c u i b o n o f Odpowiedź "pozytywna" i adres ZSRR mogą być potrójnie zasadnicze.

Po pierwsze, czas akcji. W maju 1981 roku "Solidarność" była, pozornie, u szczytu siły, a reżym był, pozornie, w strzępach. Izis wiały, że zamach wojskowy już był wtedy w przygotowaniu, a clegie o dialogu i szczyty generała z Prymasem i Tokesa były wyznaczonymi warunkami dla wygranicy czasu. Wtedy jednak szanse powstania dla zamachu były jeszcze dalekie od stu procent. Nikt także nie zdawał sobie dotąd wiadomości o wysłaniu przez Papiśa tajnego oświadczenia do Kromienia z prośbą przed interwencją w sprawie polskis. Niezwykłoszone, że w takiej sytuacji, na śladzie niedługo przed punktem i przed ujawnieniem faktów, że "Solidarność" nie jest w stanie przeciwstawić się policji i wojsku, Kromal doszedł do wniosku, że likwidacja "Solidarności" musi zakładać uprzednią likwidację polskiego Papiśa.

Po drugie, w maju 1981 roku była już zapowiedziana i właściwie poważ druga wizyta Papiśa w 1982 roku w Polsce. Rozumowanie Moskwy jest łatwe do odtworzenia: z jej punktu widzenia pobyt Papiśa w Polsce był nie do zaakceptowania. Wyhód Polakom na teren politykalis i pierwsza jego wizyta stanowiły istotnie punkt zwrotny. choć przesadnie chyba oceniany przez Moskwę - w odnwie społeczeństwa polskiego i w narodzinach procesu, który doprowadził do powstania "Solidarności". Następna wizyta doprowadziłaby reżym do całkowitego rozpadu. Trzeba było zapobiec tej wizycie. W maju 1981 roku reżym Jaruzelskiego był na słaby, aby zabrać Papiśowi wjazd do kraju. Szkady zamach w Rzymie nakatwiły sprawę...

Po trzecie, Moskwa nie może pogodzić się z ekumenizmem i ewangelizmem Jana Pawła II. Ataki prasy świeckiej i katolickowackiej na "subwersyjną centralę" w Watykanie są wystarczająco wymowne. Wyłączenie Prymasa polskiego do gośności katedry dymalskiej może być uznane za formalność, ale fakt, iż na liście nowych kandydatów znalazło się czterech biskupów z krajów skomunizowanych na swoje wysowe. Tym bardziej, iż jest wśród nich kardynał/ nie rózce za ortografis/ z Rygi, jedyny /81 lat/ byłący kardynał na terytorium ZSRR i że biskup Wilna, ks. Stepanowicz jest już także - według dobrych źródeł - kardynałem, tylko że na razie i n p e c t o r e.

... i t r z y r a z y "z i e"

Z drugiej jednak strony na pytanie c u i p r o d e s t trzeba przytoczyć i argumenty "negatywne", także potrójnie zasadnicze.

Po pierwsze więc jest rzeczą mało prawdopodobną, aby na Kromiu był ktoś wystawny

czająco krótkowzroczny, aby przypuszczać, iż usunięcie Papieża mogłoby usunąć "polski problem" z porządku dnia w bloku wschodnim, uratować komunizm od promie- niującego opadu polskiej bomby solidarnościowej. Odwrotnie nawet, przypuszczam, że są ludzie na Kremlu wystarczające inteligentni, aby wyobrazić sobie, iż w pow- nych okolicznościach Papież mógłby być właściwie jedynym człowiekiem zdolnym od- wieść Polaków od decyzji o buncie czy innego rodzaju katastrofy. Kościół jest możliwa do zaakceptowania przez Sowiety, naturalnie pod określonymi warunkami kapitulacji, a te są kwestią dyskusji. Gdyby jednak został dowiedziony udział Mos- kwy w faktycznych morderstwach Jaruzelskiego - w zamachu na Polaka-Papieża, to nawet i Kościół musiałby przestać funkcjonować jako pośrednik między władzą a społeczeńs- twem i jako amortyzator niezadowolonego społecznego.

Po drugie równie mało prawdopodobny jest pogląd, że gdyby jednak projekt zama- chu narodził się w głowie Moskwy, to Kreml posierzyłby jego wykonanie akurat Buł- garom, którzy już faktycznie stanowią republikę sowiecką, i których każdy gest na- sowa automatycznie wliczone do inspiracji i rozkazów idących z ZSRR.

No i po trzecie, i najważniejsze, w maju 1981 roku Andropow brał już udział w wysiłku po spadek po Breżniewie. Andropow jednak wiedział na pewno, iż jeżeli zo- stanie dowiedzione, że rewolwerem Turka kierowała dłoń Bułgarstwa, a tę prowadził rózga Kremla, to, przynajmniej na jakiś czas, wejście Andropowa na zachodnie salo- ny byłoby niemożliwe.

Gdyby udział KGB, którym Andropow jeszcze wtedy kierował, i którym faktycznie także i dziś kieruje, został dowiedziony, to zachodnia strategia powrotu do d e t e n t e n t a musiałaby ulec rewizji. Breżniew, a po nim Andropow i biuro polityczne byli świetelnymi przeciwnikami demokracji, mają jednak na Zachodzie opinię osób odpowiedzialnych. Udział w zamachu na Papieża musiałby tę opinię podważyć. Europa zaprzękałaby się z powrotem i na nowo bać Kremla, chociaż w tym właśnie momencie ba- ka się przede wszystkim... Reagana. Andropow odpadłby wtedy z przedsięwzięcia do Krem- la nie tylko jako polityk nie do zaakceptowania przez Zachód, ale także jako odpo- wiedzialny za afiszowanie tak ważnej konspiracji.

Czy dowiemy się prawdy?

Tyle obrony ZSRR, co w moim piśmie nie występuje często. Na tym jednak apraxa się nie kończy. Pozostaje walczyć i wady Zachód. Dla Zachodu pytanie c u i p r o d e s t jest oczywiście także ważne. To z Andropowem Zachód musi teraz nego- cjującą przyszłość świata. Pytanie tylko z jakim Andropowem? Z Andropowem, szefem kolosalnego aparatu represji i tortur, szefem ustroju opartego na gulagu i nietole- rancji, ale z człowiekiem pragmatycznym, szanującym i umiarkującym układ sił na świe- cie, świadczymy rzymska atomowego, czy też z Andropowem mordercą bezbrodnego księdza?

Tak postawione pytanie zawiera staćciwie i odpowiedź: nigdy, to znaczy przed dziesięciolecie, nie dociemy się prawdy. Są obrońcy, których ZSRR nie ujawnia, np. sprawy o Katyniu; są zbrodnie, których Zachód nie ujawnia, np. o zamachu na Kennedy'ego. Maloży założyć, iż Antosow zostanie wyznaczony na uwięzionych w Sofii wiołach Włochów, że Agas albo wznie na zapalenie plus, albo po prostu uznany zażalenie istotnie za wariata i mitomana i przestanie przesuszać w powrocie do d e t e n t e i w układach o zmniejszeniu ryzyka gryzba atomowego. W 1983 roku albo w czerwiłowski 1984 roku dojdzie do szczytu Andropow-Reagan albo, nieco póź- niej, do szczytu następcy Andropowa - następcy Reagana. W każdym razie " dossier 13 maja 1981" zaiknie ze stożka dyplomacji światowej.

Malenki przyjechał widziwy z Brukseli. W ciągu ostatniego roku Belgia wydała- za kilku sprządek dwuletnich, interesujących się sprzejadnie, nie w tym dziwnego,

siedzibą NATO, EWG i ich tajemnicami wojskowymi i technologicznymi. Zrobiła to jednak w wielkiej dyskrecji. Do dziś zresztą belgijskie MSZ udaje, że o niczym nie wie. A dlaczego?, spytaicie. A dlatego, bo Moskwa zagroziła, że jeżeli Belgia ujawni eskapulaż, to ZSRR wydadli Bogu ducha winnych dyplomatów belgijskich, a jest ich już niewiele w Moskwie, ale przede wszystkim wycofa zamocnienia w belgijskich stowickich i zabroni statkom sowieckim transytować przez port w Antwerpii. A że podczas kryzysu każdy grosz się liczy...

Stąd nie należy się dziwić także Stancu. Chocł Brzezinski i Kissinger - nienajgorsi przecież fachowcy - uznali, iż udzień sowiecki w zamachu na Papieża jest niewątpliwy, to tak. "Źródła" dobrze poinformowane w Waszyngtonie /nie mogąco jednak być wymienione z nazwiska/" wyraziły poważne zastrzeżenia wobec działanikarzy z New York Timesa. Aczkolwiek koła te są przekonane o związku między Agcą a wywiadem bułgarskim, o jego pobycie w Sofii itd., to jednak "nie są przekonane" o udziale tego wywiadu w zamachu na Papieża. Dla CIA np. - która jest bardzo sceptyczna - związki Agcy z Bułgarami "nie są jasne". "Źródła", oczywiście niezależne, podnieśli, że informacje jakimi USA dysponuje pochodzą wyłącznie od rządów europejskich, że organy amerykańskie nie prowadziły w tej sprawie własnych dochodzeń. Stąd także rząd Reagana, który poprzednio korzystał z każdej najbardziej fantazyjnej okazji aby atakować Kreml, w sprawie Agcy zachowuje się dyskretnie i ostrożnie. Aby wybielić Andropowa zanim sprawą dojdzie do punktu, z którego nie byłoby powrotu, CIA - jak podaje Los Angeles Times, dochodzi do absolutnie karkołomnych wniosków. Skłony z nich sugeruje, że Bułgarzy znali plan zamordowania papieża przez Agcę, ale nie chcieli z nim się "skojerzyć", bo uznali go za nieodpowiedzialnego. Dlaczego jednak pozwolili mu wyjechać i nie uprzedzili Papieża, tego już nawet CIA nie potrafi wyjaśnić. I słuszenie: nie ma rda do wyjaśnienia. Powoli wszystko staje się jasne. Wyższy urzędnicy państwa wyjednili New York Timesowi, że dnieje się tak, aby "w bardzo delikatnym znaczeniu uniknąć niepotrzebnego zaostrezenia napięcia między Wschodem i Zachodem".

Duet polsko-niemiecki

W tym miejscu należy przypomnieć, że chodziło nie o byle jakiego Papieża, a o Polaka. Dwa są polskie aspekty dzisiejszej ewangelii.

Po pierwsze, wraz ze wspomnieniem zamachu na Papieża, z zachodnich zwartwid miałyby zniknąć także w ogóle sprawa polska. Jest to naturalnie temat odrażający i bardzo ciekawy, ale już dziś trzeba powiedzieć, że z Andropowem liberalizm, re. formatorem, białym jak śnieg, który przez 15 lat był szefem KGB, można rozmawiać na każdy temat, nawet atomowy i nawet, udaje się, po angielsku, pod jednym warunkiem: warunkiem: szacunku dla sanktuarium komunistycznego, dla dominacji sowieckiej w krajach bloku komunistycznego. Immył słowy, Moskwa gotowa jest pójść wszędzie na kompromisy, tylko nie w tym co dał ZSRR nie tyle układ Jałtański z 1945 roku ile układ z Hitlerem z roku 1939. /Warto to przypomnieć z okazji 50-lecia kariery Hitlera i jego tysiącletniego Reichu/.

W tych warunkach Polska powinna pódcać się normalizacji. Jeżeli sami Polacy temu nie przeszkodzą, to Zachód się temu nie przeciwstawi. Trzeba to wyraźnie powiedzieć, zanim się tym tematem nie zajmujemy szerzej.

W znakomitym szkicu opublikowanym w poprzedniej K u l t u r e Tymoteusza Klompki pisze, że mnie pocostawia furie antyalemiecką. Nie wiem dlaczego właśnie mnie, wcale mi wa tym nie należy. Tym niemniej sprawa ja muszę zareagować na artykuł Theo Sommera zamieszczony w Die Zeit, który nieprzypadkowo ukazał się w rocznicę puczu, 10 grudnia 1982 roku. Byłem wtedy w USA i przeczytałem, że p. Sommer, liberał i demokrat niemiecki uważa, iż tak jak Niemcy w imię pokoju zrezygnowali z marzenia o jedności narodowej, tak Polacy, w imię tego samego pokoju,

powinni zrezygnować z marzeń o niepodległości narodowej.

Od razu odpowiedziałem mu w prasie amerykańskiej i belgijskiej, przypominając iż zachodzi skromna różnica między marzeniami narodu, który wywodzi drugą wojnę światową, a ofiarami, do dziś, tej wojny. Miałem nawet zamiar kontynuować wymianę zdań na ten temat, kiedy dwa tygodnie później, w styczniu 1983 roku przeczytałem w Herald Tribune, zamiast polemiki z Sommerem, artykuł Polaka, p.prof. Bronke, który stanowi właściwie praktyczne rozwinięcie teorii Sommera. Razem ten dziwny, nienaturalny duet polsko-niemiecki dostarcza zachodniemu burżuazji całkowitej argumentacji filozoficznej i praktycznej / détente w Europie i Jeruzaloszczyzna w Polsce / na zapomnienie "Solidarności" i Polski w ogóle. /Knie furia antyniemiecka wystarcza, może teraz p.Klempski przejmie furię anty-bronkowską./

Z drugiej strony, niedługo będzie znakowita okazja, aby Polacy powiedzieli co myślą o teoriach Sommera i radach Bronkego. Na czerwiec tego roku zapowiedziana jest druga wizyta Papieża w Polsce. Dwie są możliwości, każda z nich wymagać będzie zajęcia stanowiska przez polskie społeczeństwo. Albo do wizyty po prostu nie dojdzie, bo reżym Jaruzelskiego się jej zastraszy i ją odwoła lub postawi takie warunki, że Papież nie będzie mógł ich przyjąć. Albo Jan Paweł II do Polski przyjedzie i wtedy dojdzie do spotkania między Papieżem i 30 milionami Polaków. W każdym jednak razie w czasie wizyty, a także zamiast wizyty, Polacy zabiorą głos i powiedzą jak sobie wyobrażają swą przyszłość. Wtedy dopiero, w obliczu tej postawy, świat otrzyma być może odpowiedź na pytanie, czy Andropow był na placu św. Piotra w Rzymie w dniu 13 maja 1981...

Leopold Unger

P.S. "Instytut popularyzacji humoru narodów", który ma siedzibę w miejscowości Gabrowo w Bułgarii, informuje, że szósta Międzynarodowa Biennale Humoru i Satyry odbędzie się między 27 maja a 30 września 1983 roku. Celem Biennale jest "prze-gląd współczesnej twórczości humorystycznej i satyrycznej". Organizatorzy "zachęcają twórców do wykorzystania nieskończonych możliwości humoru i satyry dla two-żenia dzieł promieniujących radością życia i potępiających zdecydowanie to wszystko, co hamuje ludzkość w jej dążeniu do moralnego doskonalenia się, do humanizacji i postępu". Dewizą Biennale jest: "Świat przeżył ponieważ umiał się śmiać".

Niektórym faktycznie udało się przeżyć. Chociaż wcale im nie było do śmiechu.

"Kultura", marzec 1983

L.U.

Zbigniew Byrski

PODOBÓJ AMERYKI ŚRODKOWEJ

W czasie drugiej wojny światowej nazywano się to "miękkim podbrzuszem mocarstw Osi". Było to określenie, które wprowadził Winston Churchill w poszukiwaniu nie tylko najskuteczniejszego i najszybszego zniszczenia potęgi militarnej państw osi. Chodziło jeszcze o coś innego: o to, by dzięki strategii szybkiego zwycięstwa umożliwić Sowietom opanowanie terytoriów, które obecnie są KDL-ami. Tym "miękkim podbrzuszem" w propozycjach Churchilla miały być Bałkany. Poprzez nie i poprzez sprzymierzoną z aliantami, a okupowaną przez państwa Osi Grecję proponował Winston Churchill uderzenie, które - odcinając Sowietów od ich zachodnich nabytków - zaatakowałoby mózg i serce Trzeciej Rzeszy - Berlin. Militarnie było to przedsięwzięciem łatwiejszym od Inwazji Normandii. Politycznie - uchroniłoby całą środkowo-wschodnią Europę od wcielenia jej do swieckiego Imperium. Jeśli propozycja ta nigdy nie zyskała uznania w oczach Roosevelta, to właśnie dlatego, że

nie dojadzają Sowietów. Dla schowanego przyjaciela Standa - którego mogą przeoczyć z coraz mniejszą precyzją - priorytet miała lojalność wobec sowieckiego "klienta" i wiara w jego dobrą wolę. Ta lojalność nie wynikała ze wspólnie uzgodnionego porozumienia, które by postawiało priorytet jednej strategii sojaskowej nad drugą. Był to pierwszy akt wyrzucenia krótkowzrocznych polityków amerykańskich w dalekowzroczną sowiecką politykę światowego podboju.

GDG dzięki niewiarygodnie krótkowzrocznej polityce Cartera znaczone do ustąpienia dyktatora Nikaragi Somozy, gwarantując jednocześnie objęcie władzy przez syndykat, których powiązania z Sowietami na długo przedtem nie były dla wywiadu amerykańskiego tajemnicą - sowieckim strategiem w Moskwie musiła zaswitać nowa, zaważająca w swoich konsekwencjach myśl. Była to miarka racjonalnie opartej o długoterminy bezwzględnie Canade wobec sytuacji na Kubie, jak również globalnej myśli, którą w ciągu ostatnich lat wykonał Fidel Castro dla Sowietów bez żadnego sprzeciwu ze strony Waszyngtonu. Gdy wykonała się najpierw sprawa Nikaragi, a potem Salsadora, rzeczabrała już bardzo wyraźnych i tuszących kontastów. Środkiem pokus był sam Kongres Stanów Zjednoczonych. Gdy Sowiety obejmują w swe posiadanie lub przyłączają do strefy swych wpływów jakiś bardzo odległy teren, w Kongresie amerykańskim podnoszą się głosy, że Ameryka nie powinna angażować się w odległe teatry wojen, a jeżeli czynią to Sowiety mówią, że spotka ich los Amerykanów w Wietnamie. Ameryka Środkowa jest jednak tuż na zapleczu Stanów, oddzielona tylko skotlanym Meksykiem. Jeżeli w niej wybuchnie pożar...? Omszcza to groźbę militarnej konfrontacji. I znów przywołuje się widok Wietnamu, które za widocznie własności mobilne, gonionej można je zarówno zbliżyć jak oddalić od granic Stanów. Każde mówiąc na Kramlu oceniono sytuację dialektycznie: skoro Kongres Stanów Zjednoczonych uważa za szczytnie niebezpieczną dla utrzymania pokoju wszelką konfrontację, to bliźsza jest ich granic, to przesyłają na Kramlu porini do takiego stanowiska przytoczonej swojej strategii podboju. Pomysłowy jednak do Nikaragi, czyli do wydraszczenia operacji blisko 4 lat. W pierwszych latach rządów Cartera Stany Zjednoczone wzajemnie były tego nowego adeptu komunizmu i Klienta Sowietów planiędzami. Pasoc w wymiarze Somozy na Ortega Savaadre /choć bez pomocy i tak by się to odbyło/ emascułał zarytę nisharki nie na kijek, ale na rzędziki tatak, którym Sowiety wyrobują sobie drogę do Stanów Zjednoczonych. I tu z pokoru nie widać żadnych przeszkód. Z jednej strony - sowiecka determinacja i świadomość jasno spracowanego celu, który stworzyła nową strategię. Z drugiej - benediktowy prezydent Reagan, rdznie humanitarnie jak i bezskutecznie bijący w ławon obrony. Decyduje przeciw nie on, ale czujność ze strachu większość demokratycznego Kongresu, która swoje obowiązki wobec naroda rozumie wyjątkowo jako unikanie wszelkich zaangażowań, zwłaszcza militarnych. Tymczasem słowy, powróć do "izolacjonizmu", ale jest to izolacjonizm nie w postaci absolutnej, ponieważ narównie demokraci jak i republikanie do strefy zagrożenia Standa zaliczają w dalszym ciągu Zachodnią Europę, zwłaszcza powojennymi sojusznici. Tym sojuszem pozostałby zapewne wierny akonnie bariernej tchnąłmy od obecnego Kongresu. Zachodzi jednak obawa, że sojusznicy tych może przenieść się sama Europa Zachodnia, której znaczącą część opinił uważa popularnie ze Stanami za bezwzględnie przewołując składają pokojowo usposobionej Moskwy.

Do przynajmniej objętych NATO dochodzą niepisane zobowiązania, dotyczące Bliskiego Wschodu z jego krajami ropodajnymi oraz Izrael. Te wszystkie sojusze i zobowiązania stanowią realny antybuchdziej i przeszkodę w gładko rozwijającej się od lat ekspansji Sowietów. Prawda, że rzadkie NATO jest dalej ważnym i może wciąż najwłaściwym odcin sociecin, ale Kraml zdaje sobie sprawę, że rzecz ta nie przyjdzie mu łatwo. W innej części świata Bliski Wschód wyznacza stałej czujności nie dlatego, żeby interesom owiackim coś tam naprawdę zagroziło, ale po prostu dlatego, że może nadarzyć się jakiś nieprzewidziany okaz. Choćby w swolna, ale stopniowo objawiającym do przesady Iranie. Pytanie jednak do jakiego? Sowiety doskonale wiedzą, że ruch pacyfistyczno-zakrojenowy w rejonie Europy Zachodniej jest tylko cząstkową niarą opinii i że na Bliskim Wschodzie - z jego strażnikami Izraelami i utworzoną "Rapid Deployment Force", czyli siłami amerykańskimi, zdolnymi do szybkiego przesuwania się swolna bez do odległych rejonów świata - sprawy nie rokują szybkiego przesunięcia chwiejnego status quo na korzyść Sowietów. Cożownie,

Moskwa musiela polozyć uszy po sobie w obliczu ciegór jakie poniosła Syria i sprzymierzona z Sowietami PLO. Nie chodziło tu hynajmniej o prestiż, bo wtórw pcorzom sowieckie pabstwo katwiej przelyka upokorzenia niż nam się wydaje. Kiedzy innymi daleki uniejętnościom propagandowym ukazywania kłótek jako sukcesy. W całej sprawie istotna były rzeczywiste trudności, wynikające z relatywnej twardości Stanów Zjednoczonych jeśli chodzi o ten rejon świata, jak również kłócenia się bazy sprzymierzonych, a których na razie na pewno można liczyć tylko na półkuli Afryce i Syrię. Ale na jak długo?

Zaplanowana z dawna i dalekowzrocznie strategia pokoju rozwijała się powoli wraz z potężniejącymi siłami sowieckimi. Naracjonowała z nią wpływa liberalna opinia Zachodu i Japonii. Zdobyte były wyznaczniki, choć na pewno dalekie od reakcji kaskuchowej. Zbyt szybko po sobie następujące nabytki mogłyby zasłarcować Zachód i rozbici scherat między zaplanowanego scenarzysta. Przyudży na Kresku byli więc ciarliwi i spokojni tak długo, dopóki każdy następny rok - lub przynajmniej dekadzie - zapewnił saldem dostaw. Jak wtedy proces ten uległ zakamowaniu i zakłóceniu w krótkim okresie rządów Cartera. Kiedyś - zapewne jeszcze za czasów Stanlina - Sowiety przyjęły jako realistyczną konieczność fakt, że pokojowego podboju Zachodu - z ostatecznym celem podporządkowania sobie Waszyngtonu - nie można odciągnąć najkrótszą drogą. że jest to daleka pielgrzymka rozłożona na lata, i że dla odycia tej drogi być może nie wystarczy jednego czy dwa pokoleń. Ale dopóki władzeli na tej drodze postępy, ubiorzeni nie tylko w najnowocześniejszą broń ale i w ciarliwość - akceptowali ją. Ostatnie trzy lata zachwily ich wizję. Przyniosły one pferasne od wojny koreufidej niepewodzenia, z których - jak na przykład z Afganistanu - trudno się wycofać, albowiem każdy odwrót może podnieść wołę oporu ujezycznych. Na szczęście - i chyba w najodpowiedniejszym czasie, góry niejednego przywódcę sowieckiego ogarniać mogło zwątpienie - okazało się, że rozłożona na długie lata droga podboju będzie można skrócić. Ten sam Kongres amerykański, który uzględnia czujnie pilnuje Sojuszu Atlantycznego i interesów na Bliskim Wschodzie, popość w straszliwą panikę "rietnankę" w obliczu rozwijającego się "zarchu wyzwoleńczego" w Ameryce Środkowej. Idzie tutaj karabin i każdego Gurdęć, żeby ten broń była nie znalazł się w strasie zagrożeńa działaniami wojennymi. Panowie na Kresku patrzą na to widowisko w zdumieniu i zachwycie, widzego nie rozumiejąc, chociaż już przywykli do tego, że Amerykę trudno jest zrozumieć. Wiedzą jednak, że nadarzająca się szanę trzeba wykorzystać blyskawicznie. In sztychój będą działać, tym skutek będzie pomyślny.

Wydarzenia, które zaczęły się tak pomyślnie rozwijać w Ameryce Środkowej, otwierają przed Sowietami nowe perspektywy. Jeśli wypadki w tym rejonie świata potoczą się po ich wylsi, będzie to dejrzały cuce, który ma spadnie do sowieckiego kosza, albo który bez nadmiernego ryzyka i wysiłku zerwie Jurij Andropow przy minimalnej pomocy marszałka Ustinowa. W ten sposób konfiguracja geopolityczna świata ulegnie gruntownej zmianie. Dzięki temu właśnie, że Ameryka Środkowa staje się zwolna "niektem podporządkowanym Zachodu", Europa Zachodnia i Bliski Wschód mogą zostać okrążone - a właściwie ponadzięte ogryzami siłkami przez Atlantyk.

Jeśli założy się dotychczasowe drętwie zachowanie Ameryki, wszystko to może się odbyć przy pomocy zgęka nie-afganistabskiej metody, czyli prawie bez użycia armii sowieckiej. Wystarczy beumstany strudniń zaakceptowania i specjalistów oraz rozbudowa w coraz bardziej ofensywną twierdzę Kuby, która wielokrotnie pomogły już swoje paralizacyjne, morskie, podmorskie i lądowe siły ofensywne z całkowitą pomadnością wszystkich zobowiązań sowieckich z roku 1962. Żeby zneutralizować rolę tej wyspy jako sowieckiej bazy wypadowej na kontynent amerykański, trzeba by po prostu zagrozić jej blokadą. Ponieważ stanowiliby to akt wojny - Kongres Stanów Zjednoczonych w swym obecnym składzie nigdy się na to nie odważy. Zresztą nie chodzi tylko o Kongres. W całej Ameryce musieliby zapazować inną atmosferę.

"Po coś dokonywać kłopotliwych posunięć globalnych, przy bezumstannym pilnowaniu

porządku na peryferiach Imperium, skoro prawie bez żadnych strat możemy znaleźć się na przedpolu potencjalnego adwersarza" - tak myślą prawdopodobnie sowieccy stratedzy. "Jeśli po opanowaniu Ameryki Środkowej znajdziemy się na zaproszenie przyjaznego rządu meksykańskiego w Meksyku, kto osmieleł się nam zarzucić p! agresji? Niech by znalazł się wówczas taki śmieć! Pokażemy mu mapę świata z ... w konfiguracją geopolityczną!"

"Do tego wszystkiego wiedzie jednak droga poprzez umiejętne wykorzystanie ruchów społeczno-wyzwoleniczych w Ameryce Środkowej. Na razie mamy dwie mrowiny polujące: Kubę i Nikaraguę. Obydwa bardzo dobre przyrodniki, choć ten drugi nieco mniej mrowiany od pierwszego. Dochodzi do tego Grenada - która właściwie jest tylko pole startowe. W tych warunkach, wykorzystując zalety "miękkiego podbrzusza", potrzebna nam są jeszcze: Salwador, Kostaryka, Gwatemala, Honduras i Parama. Ponieważ Amerykanie nie wierzą w teorię dominacji, pokażemy im tę praktykę. Jesteśmy znakomitymi szachistami, ale w dominacji jesteśmy jeszcze lepszymi graczami. Zresztą armia sowiecka nie zamierza o to cele walczyć, bić się musi ktoś inny. W tym celu, tak jak niegdyś przekształciliśmy naprawdę wyzwolenczą armię Fidela Castro w naszą siłę zbrojną, tak jak uczyniliśmy z armii Nikaragui sprzymierzeńca i strażnika naszych interesów w Salwadorze, podobnie - ale jeszcze umiejętniej i zręczniejsze - postępować musimy dalej. Należy zorganizować i rozwijać ruch wyzwolenczy w całej Środkowej Ameryce".

Takie, jak sądzę, są w lapidarym skrócie zarysy nowej strategii Kremla. Z tego też powodu w dalszym toku moich wywodów wypada się przyjrzeć ruchom wyzwolenczym i armiom partyzanckim, które są ich zbrojnym ramieniem. Genealogia tych zjawisk i patologia ich wynaturzeń ukazuje nam, jak stają się one najnowym instrumentem nowych sowieckich planów podporządkowania sobie Ameryki poprzez uderzenie centralnie - najkrótszą drogą z kubańskiego przyczółka. Tak jak proponował kiedyś Winston Churchill. Tylko w innych warunkach, innymi środkami i wobec innego przeciwnika, 41 lat temu wobec śmiertelnego wroga ludzkości - hitlerowskich Niemiec. Obecnie ZSRR przejmują jego dawną taktykę.

Jak się organizuje "armie wyzwolenicze"

W czasie drugiej wojny światowej, przed nią i jeszcze damniej, w XIX wieku, partyzantkami nazywano tych, którzy walczyli nie w szeregach regularnych wojsk, ale na tyłach armii nieprzyjacielskich. Rodzaje i formy partyzancki były rozmaite. Była nią nie tylko znana z pieśni "leśna piechota", ale również ci, którzy tworzyli zbrojne podziemie w miastach. Akcje tych ostatnich z natury miały charakter indywidualnego terronu. Takim aktem terronu było na przykład zabicie słynnego z okrucieństwa gestapowca. Partyzantka więc - czyli jak mówią w Ameryce Północnej i Południowej *g u e r i l l a*² spleta się z terronem indywidualnym, prowadzonym przeważnie w miastach. Nonsensem byłoby potępiać terror w całości i bezwarunkowo. Wszystkie zalety od tego, z czego rodzi się terror i jaka jest jego społeczna motywacja. Druga połowa naszego stulecia przyniosła wynaturzenia otoczonoj niegdyś aureolą romantyzmu działalności "partyzantów" - ale bynajmniej nie zawsze i nie wszędzie. Klasykamy przykładem państw, w których ruch partyzancki miałby pełne moralne i polityczne uzasadnienie, są niektóre kraje KIL-ów /w tej liczbie Polska/ oraz liczne republiki sowieckie. Ale tam umożliwiała to zarówno brak u-zbrojenia jak i policyjny reżym. Jest to paradoksalne przeciwieństwo innych sytuacji, gdzie o istnieniu wielorakich form partyzancki i indywidualnego terronu nie decydują implikacje społeczne - a więc tłumiona wola i głos większości - ale fakt posiadania niemalże nieograniczonego dostępu do broni, szpiegi i materiałów wy-

1. Pole startowe niebrano, jeśli się weźmie pod uwagę ponad trzykilometrowy pas startowy.
2. Genealogia słowa *g u e r i l l a* wiąże się z nie najwłaściwiejszą, ale najbardziej znaną w historii partyzantką hiszpańską w czasie inwazji wojsk Napoleona, w pierwszych latach ubiegłego stulecia.

bachujących. We wspomnianych warunkach cała motywacja ruchu partyzancko-terrorystycznego ulega odwróceniu. Terror /g o r i l l a/ w mieście czy poza miastem wyraża ostatnio coraz częściej protest jednostek posiadających broń, ale nie dysponujących żadną bazą społeczną. Pozostaje tylko jej mł. Nie mogą zjednać dla siebie nawet nikłej części opinii publicznej, a dysponując środkami terrorku, kilkucobowa grupa może stworzyć organizację bojową. W szeregach tegoż wariantu, przesądnie ludzi bardzo młodych, którym siła zawsze imponowała, a automat w rękę stał się symbolem męskości, organizacja bojowa nadaje sobie dumną nazwę "armii wyzwolenkowej", walczącej o prawa "uciśnianego ludu" albo "ciężniejszej mniejszości etnicznej". Nie znaczy to bynajmniej, że lud nigdzie poza imperium sowieckim nie bywa uciśniany i że mniejszości etniczne wszędzie korzystają z pełni praw. Często, jeżno i drugie spotyka się obecnie także poza Sowietami - główanie w Trzecim Świecie. Tyle tylko, że armie partyzanckie, o których tyle słyszymy, nie mają nic wspólnego z walką z jakimśkolwiek uciskiem. Ich wódcami i organizatorami przeważnie są początku przyświecała wyśli o władzy i przywództwie. W szeregach jednak jak tworzone przez nich "armie wyzwolenkowe" z coraz liczniojszymi szeregiem bojowników wymagały pieniędzy i szkolenia wojskowego tudzież środków zaopatrzenia, potrzeba znalezienia potężnych protektorów stawała się nieuchronną koniecznością.

X

Waga i znaczenie Ameryki Środkowej w planach strategii sowieckiej różnie z każdym młodziakiem, ale centrem, z którego powiała się na ten region zakazowane "rewolucje ludowe" pozostaje nadal Hawana. Bezradność Ameryki wobec rządów Castro pod dyktando jest w szczególności strachem przed Moskwą. Strach rządko mobilizujący ludzi do obrony. Częściej działa paraliżująco. System kubański, bliźniaczy sowieckiemu, jest owocem zamyślenia rewolucyj, która zaczęła "Ruchem 26 lipca" w latach 56-59 miała jako główne siłę napędową kubańską klasę średnią. W tym sensie "rewolucja kubańska" różni się swą genealogią od tego co działo się w Salwadrze i Grenadzie oraz czego możemy być świadkami w pozostałych krajach Ameryki Środkowej. Zorganizowana w Salwadrze partyzantka nie miała żadnego widocznego związku z niezadowolonym ludowym najpierw z rządów wojskowo-obszarzających, a potem z junty Napoleona Duarte. Te dwa zjawiska rozwijały się odrębnymi drzewkami. "Armia wyzwolenkowa" Cayetana Cerpio powstała, by służyć celom powolenia na tym terytorium systemu sowiecko-kubańskiego, na co nigdy nie otrzymała mandatu od żadnej części społeczeństwa salwadorskiego. Armia partyzancka Salwadorn, wzywająca do bojkotu wyborów, dokładnie rok temu ponosiła słabą klęskę. Mimo niespotykanego wzrostu działań Ameryki Zaciśniętej terrorku, ponad 80% ludności odrzuciło się plecami od "armii wyzwolenkowej" by uczestniczyć w wyborach. Wynikał z tego jedyny wniosek, który potwierdza moje twierdzenie: armia partyzancka jest tworem samozwańczym, doczekającym do rządu reform, który zapewnie swe siły z pomocy i protekcji obcych mocarstw. Wydać by się mogło, że klasa komunistycznych partyzantów w Salwadrze i ich wiadczone izolacja w społeczeństwie będące dla Ameryki Środkowej punktem zwrotnym. Tymczasem nic podobnego się nie stało. Elita intelektualna Stanów, która ma wciąż jeszcze niebłahy /choć malejący/ wpływ na opinię publiczną, zdawała się nie dostrzegać tego wydarzenia. Wraz z poważną liczbą członków Izby Reprezentantów i Senatu liczni politycy i dziennikarze proponują dalej "polityczne rozwiązanie", a wciąż podziak władzy z Sowietami - czyli faktycznie dopuszczenia ich do rządu Ameryki Środkowej wbrew woli miejscowej ludności. Ten niewiarygodny akt kapitulacji, narzucony ludom tej strefy, poważni politycy w Kongresie wciąż nazywają "rozwiązaniem politycznym". Oczywiście w oficjalnym słownictwie akt podżeniz jest też ja-

3. Głównie, ale nie tylko. Ściśle biorąc, np. w Stanach Zjednoczonych dyskryminowane są w porównaniu z Czarnymi, Portorykanami dawne większość etniczne - czyli Anglosasi, Szendynawowie i grupy im podobne oraz niektóre mniejszości etniczne, które nie cieszą się "etnicznym statusem najwyższego uprzywilejowania" w zakresie opieki Państwa i Stenu, przy rozdaniach stanowisk i posad.

kią rozwiązaniem politycznym. Moja teza o nowej strategii sowieckiej, która oparta jest na trafnym wyciuciu przez Sowiety skąpych i podatnych pod ekspansję sowiecką terytoriów, przy zredukowaniu do minimum kosztów własnych, implikuje przesunięcie kierunków nacisku przez Kreml. Tę nową strategię i jej dalsze konsekwencje powinni sobie uświadomić ci Amerykanie, którzy chcą ratować swój kraj - a z nim cały świat - przed władzą sowiecką.

Ponieważ narażeniem rozszerzania swych wpływów przez Kreml w tym rejonie świata jest tzw. akcja społeczno-wyzwoleńcza, wypada pokrótce zastanowić się nad jej prostactwem techniki, która doznała tak kompromitującej porażki w Salwadorze bez żadnych widocznych szkód dla jej promotorów. Że ową technikę "wyzwolenia", mimo propagandowego fiaska w tym kraju, Sowiety stosują dalej, wynika przede wszystkim z tego, że z porażki Cayetana Carpio i jego armii partyzanckiej nikt po stronie amerykańskiej nie wyciągnął żadnych praktycznych wniosków. Najbardziej zagrożone "wyzwoleniem" tych krajów Stany Zjednoczone, będące tu "stacją docelową" - przyjdzie im - poza administracją Reagana - z całkowitą obojętnością. Kongres - pozostał ślepy i głuchy. Więcej - jego wpływowi koła liberalne wydają się akceptować ze strachem partyzantów ową osobliwą technikę "wyzwolenia", polegającą na wysadzeniu mostów, podpalaniu elektrowni i niszczeniu sieci komunikacyjnych - jako praktyk, nie wywołujących szczególnego zdumienia, tym mniej potępiania. To co odrzuciło zdecydowanie ludność Salwadoru od partyzantów - nie zniechęciło bynajmniej do nich amerykańskich liberałów, ani nie skłoniło Kongresu do zajęcia zdecydowanego stanowiska. A ponieważ w Moskwie bardziej liczy się to co myślą amerykański Kongres i głoszą amerykańskie **m a s s m e d i a** niż to co myślą Salwadorczycy lub inni "wyzwalane obiekty", uznano tam trafnie, że metody "wyzwolenia" ludów Ameryki Środkowej, niby na powódź zmienną. Jest ona prawie identyczna z tą jaką stosował w Wietnamie Więtkong i uważają ją armia Północy. Polegała ona również na niszczeniu infrastruktury, na paraliżowaniu życia w południowej części kraju. Na tej drodze "przekonywano" się mieszkańców wojnowskiej części Wietnamu, że jedyną alternatywą dla nich jest konieczność zaakceptowania władzy "armii wyzwolitej", ponieważ jej terrorowi administracja rządowa nie potrafi się przeciwstawić. W ten sposób ani Salwadorczycy, ani w przyszłości Kolumbianie /gdy na nich przyjdzie kolej/, jak również i inne narody tej strefy nie będą nigdy decydować o swym losie. Żeby mogły - amerykańska broń, amerykańscy doradcy i instruktorzy wraz z amerykańskim zapotrzebowaniem musieliby zrównoważyć to wszystko, co dla opanowania tej strefy świata rozumieją na plac boju Sowiety. Jak wiadomo, wbrew stanowisku administracji Reagana, która gotowa byłaby przeciwstawić się sowiecko-kubańskiej infiltracji w Salwadorze i Nikaragui, Kongres Stanów Zjednoczonych zajmuje stanowisko unilateraalnej nieinterwencji. Unilateralna nieinterwencja, unilateralne rozbrojenie w dziedzinie zbrojeń nuklearnych stało się w pewnym, i to dość licznych środowiskach Zachodu czymś w rodzaju wyznania wiary. Temat wymaga osobnego artykułu. Ze swojej strony wypada tylko żałować, że misjonarze "unilateralności" nie dbają, by ich chwalebna zasada stała się wiarą powszechną. Możliwe dlatego, że jej powszechność zniszczyłaby "unilateralność". Dlatego pewno nie są misjonarzami i z tej przyczyny wzbadzają wobec siebie podejrzliwość nieszczerości.⁴

Jak wiadomo, bez większych szans zmiany stanowiska, Kongres przeciwny jest ochronie tych krajów przed wcieleniem ich w strefę wpływów sowieckich. Operuje się bezustannie argumentem wietnamizacji Salwadoru, powtarzając, że "Wietnamie też się tak samo zaczęło", że prezydent Komandy również wysłał na początku specjalistów i sprzęt, a Johnson zakazał wyryć kilkanaścietysięcznej armii. "Różniacznik" politycznych jakże zasferował Hanoi Kissinger i co z tego wynika nikt nie przypomniał.

⁴ Wydaje się jednak, że wbrew "unilateralnej" postawie Izby Reprezentantów i Senatu, wykorzystując prerogatywy agendy, wspiera sprzętem i zapotrzebowaniem powstańców w Nikaragui, działających z baz w Hondurasie. Jak zwykle jednak przy rosnącej opozycji **m a s s m e d i a** i demokratycznej większości w Kongresie, akcja ta będzie miała przypuszczalnie charakter półowolny. Znaczący obaw, że sprzątniętych tylko interwencje sowieckie, nieskrępowana federacja rostrychodni ustanowiłaby, tym mniej głoszona opinia, przywołująca się do ustawiania reguł Orlegi, który w tej właśnie sprawie przypisał miejsce do medytacji, przewidującą nadropowied krytyczną sytuację reguł reandyntów.

bo argumentację stosuje się "wybiórczo", tak, żeby trzymać Amerykę z daleka od płonącego domu sąsiada. Zbliżona atmosfera dyskusji i "wolnej wydany wyśii" panuje również w większości amerykańskich uniwersytetów.⁵ Ponieważ w wypadku "politycznego rozwiązania" w Salvadorze przyjdzie kolej na następną kraj, należy się obawiać, że wydarzenia te, zamiast zasłanować Stary, pogłębią ich strach i chęć izolacji. Bardzo możliwe, że znaczna liczba demokratycznych członków Izby Reprezentantów i Senatu nie zdaje sobie sprawy, że w całej operacji Środkowamerykańskiej celem Sowietów nie jest wspieranie prawdziwych czy fałszywych ruchów społecznych dla nich samych. Nie uprzytomnili sobie, że celem Kramla jest zdobycie i rozszerzenie strategicznego przyczółka na przedpolu Stanów Zjednoczonych i sama myśl o tym odrzucają jako próbę wciągnięcia Ameryki do wojny. W związku z tym uchodzi ich uwagę jeszcze jeden ważny element całej dobrze zaplanowanej operacji. Wszystkie następne "armie wyzwolenicze" będą montowane w drodze workowu płatnych najemników, zapatrywanych przez Sowiety. Naukowy doświadczeniem salwadorskim, Kramal zrozumiał, jak mało znaczący indoktrynacja i propaganda. Dlatego też Sowiety położą większy nacisk na czynnik materialno-strojowy "akcji wyzwoleniczej", a mniejszy na "ideologię". Pod tym względem Ameryka Środkowa jest nawet lepszym rezerwuarem materiału ludzkiego niż Bliski Wschód. Obawiam się, że tego wpływowi amerykańscy politycy nie będą widzieli, bo nie będą chcieli widzieć.

Sytuacja jest wciąż jeszcze odwracalna. bc "miękkie podbrzusze" Stanów Ameryka Środkowa, niechroniona żadną realną siłą, wynika tylko z przycywn subiektywnych - postawy Kongresu, bezwładności lub ślepoty amerykańskiej. Włec choć straszą się jeszcze do odrobienia, odrabiać je będzie z każdym miesiącem coraz trudniej. Nadzieja leży w najmłodszym, wchoǳącym w życie pokoleniu amerykańskim. Ci z coraz większą podejrzliwośćią i niechęcią patrzą na tych, którzy właśnie przekraczają trzydziestkę. W tych ostatnich nadal fermentują modne klanstwa i podwójne standardy lat sześćdziesiątych i początków ubiegłej dekady.

Nowy Jork, 31 marca 1983 r.

Edgulfow Byrski

5. Ostatnio studenci uniwersytetu w Berkeley w Kalifornii nie dopuścili do głosu Jeanne Kirkpatrick, przedstawiciela Stanów ONZ. Studenci tej całości w Ameryce uczelni najwidoczniej nie łączą sobie wysłuchiwać opinii niezgodnych z ich intelektualnym błogostanem. Rektor Uniwersytetu w Berkeley nie przeprosił nawet p.Kirkpatrick. Ma nie wspierania nowej strategii Sowietów i ruchu pacyfistycznego na amerykańskich uczelniach powracają czasy lat sześćdziesiątych.

"Kultura", maj 1983

Jan Nowak

ZAMACH NA PAPIEŻA

Świsty esej Leopolda Ungera o spisku na tydzie Jana Pawła II /K u l t u r a, marzec 1983/ wymaga uzupełnienia w postaci uporządkowanego przedstawienia udowodnionych faktów w odróżnieniu od poszlak i sensacyjnych domysłów.

Taktyka terrorysty

Nazwisko przyszłego zamachowca stało się głośnie po raz pierwszy w dniu 25 czerwca 1979, prawie rok przed próbą zamachu na Papięza. Policja turecka aresztowała w tym dniu w kawiarni Warmara w Stambule 21-letniego studenta Mehmeta Ali

Agoc. Marmara była miejscem schadzki skrajnie prawicowej grupy terrorystycznej "Szarych Wilków". Aresztowania dokonano natychmiast po otrzymaniu telefonicznej wskazówki od anonimowego informatora.

Agca zachowywał się od początku jak ochotnik na szubienicę. Z miejsca przyznał się do zamordowania znanego dziennikarza tureckiego Abdi İpekçi i opisał szczegółowo okoliczności zbrodni. Z tą samą skwapliwością powtórzył wszystko na konferencji prasowej 11 lipca i w 3 miesiące później w czasie wstępnego przesłuchania przez sędziego /przed rozprawą/. W czasie drugiego przesłuchania wszystko odwołał i oświadczył, że nie on był mordercą a właściwego sprawcę wskazał w czasie następnej sesji. Okazało się, że było to ostrzeżenie zaadresowane do nieznanego morderców. Zamiać okazało do trzeciego spotkania z sędzią, Agca w mundurze żołnierza wyszedł spokojnie z wojskowego więzienia Kartal Maltepe, przekraczając osiem strzeżonych drzwi i bram. Ostrzeżenie okazało się skuteczne.

Dokładnie tę samą taktykę zastosował Agca po aresztowaniu na Placu św. Piotra. Złożona w pierwszym śledztwie zeznania były chytrze przemysłaną grą. Fakty autentyczne wskazujące na powiązania z Bułgarami i komunistami tureckimi podważane były ze zmyśłowymi historiami o planach zamachu na króla /sio! / angielskiego i premiera maltańskiego Mintoffa. Agca odwoływał raz po raz złożone poprzednio zeznania i odnawiał wyjaśnienia oczywistych sprzeczności. Z jednej strony świadomie poświadał własną wiarygodność, a drugiej odstępował prawdę na tyłu, by ostrzec tych, którzy kierowali nim z ukrycia. Już wtedy zimny spokój, pewność siebie i opanowanie okazywane przez furka, nasunęły dziennikarzowi włoskiemu Francesco Andreą przypuszczenie, że niedoszłemu zabójcy obiecano wydobyć go na wolność i że Agca może przerwać milczenie, gdy uzna, że został zdradzony. Tak się też stało. W maju ub. roku, dokładnie w rok po zamachu, Agca zgłosił sędziemu Martelli gotowość ujawnienia całej prawdy.

Interwencja Watykanu

Proces Agcy odbył się jak wiadomo w rekordowym tempie. Śledztwo zamknięte już w 2 miesiące po zamachu, rozprawa trwała zaledwie dwa i pół dnia. Sąd ograniczył się do ustalenia, że Agca oddał dwa strzały wymierzone w Papieża i 22 lipca 1981 wydał wyrok. W prasie światowej zaległa cisza. Dopiero w dwa miesiące później sędzia ogłosił uzasadnienie wyroku, w którym stwierdził, że Agca nie działał sam. Zamach był wynikiem "ukrytych sił" i "szeroko zakrojonego spisku". Zamknięcie sprawy bez prób wykrycia owych "ukrytych sił" zaniepokoiło Watykan. Reskarność nieznanych spiskowców mogła ich zachęcić do powtórzenia zamachu. Obsawo tym dane wyraz w dwóch powściągliwych lecz wyraźnych artykułach w Osservatore Romano i w dyskretnym de-marche Sekretariatu Stanu wobec rządu włoskiego. Interwencja watykańska wywołała naciski wewnątrz koalicji rządowej. Bonafiszera zostały otwarte i powierzone Ilario Martella, prawnikowi cieszącemu się reputacją jednego z najwybitniejszych włoskich sędziów śledczych.

Martella stanął wobec niezłatwego zadania. Ponieważ Agca okazał się kłamcą odwołującym poprzednie zeznania a teraz przyznał się do wszystkiego, trzeba było szukać potwierdzenia każdej podanej przez niego informacji w dowodach rzeczowych lub zeznaniach świadków. 25 listopada 1982 Martella miał już w ręku dostateczne dowody, by nakazać aresztowanie dyrektora biura bułgarskich linii lotniczych w Rzymie Sergiusza Antonowa oraz rozesłać listy gończe za kasjerem ambasady bułgarskiej Todoran Ajwasowem i zastępcą a t t n o h e wojskowego Zeliją Wasiliewem. Obaj znajdowali się już w Bułgarii.

Prasa na tropie spisku

Martella zapewnia, że zebranie pełnego materiału dowodowego potrwa dłużej i

procesu nie należy oczekiwać wcześniej niż w roku 1984. Dochodzenia przeciw Antwanowi otoczone są szerszą tajemnicą. Wycieki ograniczają się do niedyskrecji członków rządu oraz informacji pochodzących od przesłuchiwanych świadków. Równoległe jednak toczy się drugie śledztwo prowadzone przez dociekliwe środki masowego przekazu. Palma pierwszeństwa należy się Julianowi Marynowi, autorowi dokumentarnego programu /Spiszek na życie Papieża/ nadanego przez telewizję brytyjską "Famias" 3 września 1981. Na drugim miejscu wymienić należy udokumentowany artykuł Claire Sterling w Reader's Digest z września ub.r. Osobne dochodzenia prowadziła ekipa telewizyjna NBC pod kierunkiem swego korespondenta Marvina Kalba. Kalb był autorem dwóch programów dokumentarnych nadanych we wrześniu 1982 i w styczniu 1983. Najbardziej ciekawe i najlepiej udokumentowane wyniki zdobył Paul R. Henze, b. wysoki urzędnik Państwowej Rady Bezpieczeństwa USA, ekspert od spraw tureckich i terroryzmu. Henze ujawnił dotychczas tylko część zsynek badań w serii artykułów w Christian Science Monitor. Całość ogłoszona zostanie w książce, która ma się ukazać na początku lata. Henze włada blygle językiem tureckim.

Żadnym z wymienionych nie udało się wydotyć jakichkolwiek informacji od sędziego Martelli. Zdobyli natomiast dostęp do materiałów zebranych w toku śledztwa przed procesem Agcy Icau niezujunkowych na rozpachach. Obejmują one zeznania zamachowcy, oszki stron dokumentów i kilkanaście raportów włoskiej policji. Ten obray-mi materiał został następnie skonfrontowany z wywiadach ze świadkami i władzami policyjnymi w Turcji, we Włoszech, w Niemczech i gdzie indziej. Wyniki są na ogół zbieżne i wzajemnie się uzupełniają. Poważnie tajemniczymi lukami pozwalają odtworzyć kilka dniów do dnia dzisiejszego jako Mehmet Ali Agca odbył w rodzinnym mieście Malatya w południowo-wschodnim zakątku Turcji na plac przed Bazyliką św. Piotra.

Kim jest Agca

Agca urodził się w 1956 roku w miejscowości Gdzelyurt, na północy od Malatya jako najstarszy z trojga dzieci. W całej jego przeszłości nie można dopatrzeć się politycznych albo religijnych motywów przestępstwa. Rodzina przenieśli się do Malatya w roku 1965. Ojciec, prosty robotnik zmarł w rok później. Agca pomagał matce zarabiając na chleb o śmieszkiego roku życia. W szkole wyróżnił się jako wzorowy i apłotnie zdolny uczeń. Miał uspokojenie nerw, trzymał się z dala od rówieśników, choćby z własnymi kolegami, rwał sporadycznie zainteresowania i pożerał książki. Jego matka twierdzi, że nie był nigdy religijny i bardzo rzadko pojawiał się w meczecie. W regionie panowała przez długi czas zmiennująca się sekta sunnicka - sunnitów i szajitów oraz mniejszość arabska trzymała się z dala od konfliktów. Gdy wstąpił do seminarium naukowośledczego nie brał udziału w społecznych zadaniach i dekonstruacjach studenckich. W gimnazjum awansował w kierunku demagogii nie figurując na liście jednej z organizacji politycznej i terrorystycznej. Nie był politycznie notowany. Wzrokiem przewodził się trochę jako młodzieńczość terroryzmu. "Nie czytałem żadnej książki" - powiedział - "niektórzy fascynowani byli i komunistycznymi terroryzmem. Mój terroryzm nie jest ani czarny ani czerwony". Nie kierowały nim więc żadne motywy polityczne albo religijne. Był do dyspozycji każdego kto zapłacił. Chciał po prostu spróbować i z młodzieńczością tureckiego szefownika, nazwał sporadycznie siebie grupą komunistów, ale wcale nie geograficznie i historię na uniwersytecie w Ankara. Tam, za pomocą kolegów z innego Sedatu Sivri Kadem, udał się z nim do miasteczka Gurdantip na pograniczu Turcji, gdzie obaj przedostali się nocą przez granicę i dotarli do Damasku, gdzie przyjęli ich inni szefowie zjednoczonej Palestyny, Ibrahim Ibra. Wraz z innymi ich wzięto do obozu szkoleniowego terrorystów palestyńskich w Bejrucie. Oboz podlegał administracji odłamowi Palestyńczyków z Siryjskiego Kibana.

Wzrost ogólny był północny w jednej z najgroźniejszych lewicowych band terror.

rystycznych Dev-Sol. Został aresztowany w Niemczech w roku 1991 i wydany Turkom, gdzie w więzieniu przyznał się do znajomości z Agcą. Teslim Tore został dowódcą komunistycznej organizacji podziemnej THKFC /Tureckiej Ludowej Armii Wyzwolenia/. Po objęciu rządów w Turcji przez wojsko, Tore zbiegł do Libanu, gdzie do czasu inwazji izraelskiej był instruktorem w jednym z obozów partyzantów palestyńskich. Nie wiadomo czy wpadł w ręce Izraelczyków, czy też przeżywa na wolności.

F a ł s z y w e a l i b i p o l i t y c z n e

Osoby Agcy po wyszkoleniu potoczyły się inaczej niż turyckie doświadczenia. W roku 1978 powrócił do Turcji i zapisał się na wydział ekonomii uniwersytetu w Stambule. Zaczął pokazywać się ostentacyjnie w kawiarni Marzara, uniwersytecie przez okrajnie prawicowych terrorystów. Pierwszy ślad jego tajemniczych powiązań pojawił się w dniu 13 grudnia 1978. W tym dniu nieznanemu patron stworzył na jego imię konto w stambulskiej filii jednego z największych banków tureckich Türkiye Is Bankesi i wpłacił na nie 40 tys. tureckich lirów /ok. 2.000 dolarów/. Żaden ze znanych policji tureckiej terrorystów nie został tak hojnie obdarzony. Okazało się później, że podobnych kont bankowych było aż pięć. Nie koniec na tym. W ciągu stycznia Agca wpłacił 100 tys. lirów /4 tys. dolarów/ na konto bankowe swej matki.

Nie ulega wątpliwości, że szczodre dotacje pozostawały w związku z zamordowaniem czekowego dziennikarza tureckiego Abdi İpekçi. İpekçi zabity został w swoim samochodzie marki BSW w odległości 100 metrów od swego mieszkania. Przechodnie zauważyli dwóch uzbrojonych osobników. W chwili, gdy wóz zwolnił na skrajnie stromej ulicy jeden z nich oddał z bliska strzałę po czołgu wskazując do czekającego spod samochodu marki Anadolu i zniknął. Czy zabójcą był rzeczywiście Agca? Jak na poszukiwanego sprawcę zbrodni zachowywał się dalej. W chwili zabójstwa znajdował się w posiadaniu walnego, autentycznego paszportu. Mógł być zbiedz za granicę. Zamiast tego miał się w początkach lutego do rodziny i spędził kilka tygodni w Malatya, gdzie najłatwiej mógł być odzyskany. Po powrocie do Stambułu zaczął znów bywać w kawiarni Marzara, speluncie "Szarych Wilków". Anonimowy informator, który zaalarmował telefonicznie policję, nigdy nie zgłosił się po nagrodę 120 tysięcy dolarów, sfinansowaną przez dziennik İ i l l e y e t. Każdemu, kto przyczynił się do schwytania zabójcy. W warunkach tureckich jest to suma olbrzymia.

W swoich szczegółowych zeznaniach składanych bez żadnego nacisku Agca odmówił kategorycznie ujawnienia, kim był ów drugi uzbrojony osobnik, zawieszony na miejscu zbrodni. Podał natomiast nazwiska dwóch innych współników. Rewolwer otrzymał, jak twierdził, z rąk przywódcy "Szarych Wilków" Mehmeta Senera i zwrócił mu go znowu. Drugim współnikiem wydanym przez Agcę miał być jeszcze jeden kolega zbrojny, także związany ze skrajną prawicą, Yavuz Caylan. Sener zbiegł za granicę samia jeszcze wiadomość o aresztowaniu Agcy przedostała się do prasy. Dopiero niedawno został wypuszczony na wolność. Caylan nie próbował się ukrywać i aresztowany był we własnym mieszkaniu. Przed sądem zaprzeczył kategorycznie oskarżeniu o udział w zabójstwie. Twierdził, że na prośbę Agcy zawiadł go na wskazane miejsce nie mając pojęcia o jego zamiarach. Skazany został na dwa lata więzienia.

Agca sędzony był i n a b s e n t i a już po ucieczce z więzienia. Opierając się wyłącznie na zeznaniach oskarżonego złożonych w sądzie prokurator twierdził, że zabójca należał do "Szarych Wilków" i działał z ich rozkazem. Matoniat obrońca zaprodukował fotostaty sześciu kont bankowych w różnych bankach i miastach. Podpisy Agcy przy otwarciu kont były sfałszowane. Podpisy przy wypłatach - autentyczne. Wniosek obrońcy o odroczenie rozprawy i wznowienie dochodzeń w celu wykrycia donatorów został odrzucony przez sąd.¹

1. Żołnierz, Binyamin Yilmaz, który otrzymał dużą zapówkę za wypuszczenie Agcy z więzienia i ucieczkę do Niemiec, został wprawdzie aresztowany, ale turkom nie udało się jakoś wydobyć od niego informacji wskazujących na tych, którzy go przekupili.

Na drugi dzień po ucieczce z najbardziej strzeżonego więzienia wojskowego w Turcji w redakcji *M i l l y e t* zadzwonił telefon. Odezwiał się Agca, by zwrócić uwagę na swój list, podrzucony w koszu od śmieci. W liście Agca groził, że jeśli Papież, "dowódca krucjat" nie odebrał swych wizyty w Stambule, on, Agca, zamorduje go.

Religijny fanatyzm przebijający z listu zupełnie nie pasował do terrorysty, który nigdy nie był człowiekiem religijnym. List był prawdopodobnie napisany pod dyktando. Zamordowanie Ipeki było sprawą wewnętrzną Turcji. Natomiast groźba zamordowania Papieża nadała Agcy rozgłos światowy. O to właśnie chodziło.

Zestawienie wszystkich faktów nasunęło Claire Sterling wniosek, że Agca po przeszkoleniu w obozie terrorystów palestyńskich przeznaczony został do spełnienia jakiegoś ważnego zadania w przyszłości. Był śpiącym agentem, który po powrocie do Turcji /przy pomocy tegoż Teslima Tore/ wykonywał otrzymane instrukcje. Na tym etapie chodziło o przylepienie przyszłemu zszacowcy etykiety nacjonalistycznego terrorysty i odwrócenie uwagi od tych, którzy za nim stali. Plan zagrał bez pudła. W dniu, w którym padły strzały na Placu św. Piotra, Mehmet Agca został z miejsca rozpoznany przez policję i przesłany jako skrajny prawicowy terrorysta z bandy "Szarych Wilków". Przypomiano proces o nabijsztwo Ipeki i list grozący zamordowaniem Papieża.

Przez Iran do Bułgarii?

Następny etap wędrówki Agcy jest najbardziej tajemniczy. Z więzienia uciekł 24 listopada 1979 roku. Przez następne dwa miesiące ukrywał się w Stambule. Dopiero teraz aresztowani zostali trzej Turcy, którzy dostarczyli mu schronienia. W dniu 1 lutego 1980 zatrzymał się na noc u Timura Selçuka, studenta uniwersytetu w Erzurum, na pograniczu Iranu. Selçuk skontaktował go z przemysłnikami, którzy za pieniądze przeprowadzili go przez zieloną granicę do Iranu. Selçuk został później aresztowany przez Turków i prawdopodobnie przebywa nadal w więzieniu.

Dalsze ślady urywają się w chwili przekroczenia przez Agcę granicy Iranu. Kto miał mu udać się w środku nocy do tego kraju objętego wrzącym rewolucyjnym, niebezpiecznym dla każdego cudzoziemca nie znającego języka? Co robił w czasie następnych sześciu miesięcy zanim w połowie lipca wypłynął w Sofii? Odpowiedź przyniesie zapewne dopiero proces Antonowa.

50 dni w Sofii

Dalszy wątek podjął nam Agca w swojej relacji, złożonej przed procesem w Rzymie. W Sofii znalazł się ze sfałszowanym paszportem hinduska wystawionym na nazwisko Yoginder Singh. Wyjechał natomiast do Bułgarii z paszportem na nazwisko Faruka Örgüna. Z tym paszportem w kieszeni odbywał dalsze podróże i miał go przy sobie w chwili aresztowania. Ekspertyza wykazała, że stempel turecki przystawiony na granicy w Edirne z datownikiem 30 sierpnia 1980 został sfałszowany. Natomiast stempel bułgarski po drugiej stronie granicy ma datę dnia następnego - 31 sierpnia - i jest autentyczny. Autentyczny jest również stempel przy wyjeździe z Bułgarii przystawiony w Kalotynie na granicy bułgarsko-jugosłowiańskiej r 6 w n i e z d a t ą 31 s i e r p n i a 1980. Sfałszowanie datowników miało na celu ukrycie faktu, że Agca przebywał w Bułgarii przez 50 dni. Chodziło o stworzenie pozorów, że był jednym z trójcy Turków, którzy przejechali Bułgarię tranzytem w ciągu jednego dnia.

Ani blisko dwudziesięciany pobyt Agcy w hotelach Sofii, ani przybicie prawdziwych

pieczęć bułgarskich z fałszywą datą na afalszowanym paszporcie byłyby nie do pomysłienia bez współudziału władz bułgarskich. Sama tu pierwsza namacalny dowód udziału Bułgarów w spisku na życie Papieża.

Wróćmy jednak do oznak Agcy. W Sofii mieszkał kolejno w kilku hotelach dla cudzoziemców: Moskwa Park, Sofia Grand, Grand Balkany i nowy Hotel Europa. W końcu wyjechał w luksusowym hotelu Witosza. Tu, w pokoju nr 911 Turcy zawrasciliem Gucer Mersan zamieszkały w Monachium iroczył mu fałszywy paszport na nazwisko Fm-ruka Orguna wystawiony w Naszwir. Autentyczny Orgun zamieszkały w tym mieście został aresztowany a następnie zwolniony, gdy okazało się, że podczas tylko sądzi dowód tożsamości pośrednikowi, Ibrahimowi Kurtowi. Ten ostatni dokonał rzekomo fałszerstwa wspólnie z policjantem Erhanem Enderem. Erhanca włoscy uznali jednak, że paszport został podrabiony w sposób tak fachowy, że fałszerstwo nie mogło być wykonane przez amatorów. Agca przekroczył z nim nie zatrzymany granicę do najbliższej domostwa państwa.

Gucer Mersan, członek "Szarych Wilków" właściciel firmy eksportero-importhowej w Monachium, który miał wrócić w Sofii fałszywy paszport Agcy, uchodził za zawodowego przemytnika. Podróżuje często do Bułgarii. Istotnym był i przekonany dwukrotnie przez policję niemiecką. Za pierwszym razem wyjechał się wszystkich. Za drugim przyszedł się, że poznał w Witoszy jakiegoś Turka zamieszkałego pod pseudonimem. Rozpoznał w nim rzekomo Agca dopiero gdy policja powróciła na jego adres. Wiadomo, że nie rozpoznał go przy pierwszym spotkaniu w hotelu Witosza. Zdjęcie Agcy reprodukowane było trzynaście razy w prasie tureckiej po umordowaniu Ipekali. Mersan zaprzeczył również jakoby dostarczył Agcy fałszywego paszporta i został wy-puszczony na wolność.

W innym pokoju - nr 1055 - w hotelu Witosza Agca zawarł kontrakt w sprawie wy-taczenia swego przyjaciela zadaną z turkiczą naukulicem Bayir Celanik. Według umowy miał otrzymać trzy miliony marek /1,25 mln dolarów/ w cząstce przez szwachem. I wreszcie w tym hotelu Agca odbył rozmowy z krewnym Belgami, który przedstawił się pseudonimami "Kolew", "Ertow" i "Sajranic". Omawiało się później, że byli to Gwasow, Haxitow i Antonow.

J y g n a k i e m p o E u r o p i e

Marszałek się prawie dla całego Bułgarii wystawili oddziału bułgarskiego przez In-terpol na krytyce aresztowania kaptur na podróżowani po Europie przez całą niemiecką. Przez tydzień podróży, odwołana przez policję, uchodził się w niemieckim areszcie. Smutnym był widok na krótko bezrozprawy i tylko jednego niesymptomatycznie polskiego niemieckiej pozwoliła mu uniknąć aresztowania. Jak 3 października 1900 turecka ambasada w Bonn alarmowała A a s w R z t i g e s i a t e, że Agca prze-jecha w RFN. 5 listopada Turcy wyjechali drogą nową w kierunku altes, pod którym prze-biegały przystępca mieszkał w zachodniej Berlinie. 30 listopada Agca przyjeżdża do Bu-łgarii i zatrzymał się w miejscowości wadomością policji, jak zwyczajnie, spotkał się z tajemniczym Bułgarem Wstafanem Kofor. W dwa tygodnie później przepłynął promem do Palermo i zatrzymał się w hotelu Kavajia. W styczniu 1901 przebywał dwadzieścia w Rzymie w panujacym na na Via Cavoura. Tu w hotelu Anonimie doszło do spotka-nia między Antonowem i Agca, w czasie którego, jak widział Agca, dowiadany był o zamiar zamachu na Papieża. Zarówno sam jest spotkał jak i plan zamachu w Wad-żewie został uwidoczniony przez Luigi Scricciolo, działacza włoskich Władztwa Republi-ki w wileńskim w tej sprawie i aresztowanego za współudział w wyśledzeniu bułgarskim.

W dniu 4 lutego Agca rozpoznany został przez "niektórych Turki w kamieniu Białej" Mediolanie lecz został uwięziony przez przybyłych policjantów. W dwa dni później spotkał noc w hotelu Anonim w Alzano w Szwajcarii. W tym momencie miał wyjechać na jakiś czas. W początkach marca Turcy poinformowali Interpol, że Agca podróżuje po

Holandii i wkrótce wyjedzie stamtąd do Hamburga i Berlina. Trzeciego kwietnia przejechał z Austrii do Szwajcarii. W dwa dni później zameldował się w hotelu Architektów w Rzymie. Stamtąd zygakowaty szlak prowadził do Perugii, gdzie spędził dwie noce w hotelu Posta i jedną w hotelu dla studentów.

Następna data jest znacząca. W dniu 20 kwietnia Agca zdeponował w przechowalni bagażu na dworcu w Rzymie torbę z brzołwiniem.²⁰ Wydaje się, że w tym dniu był już w posiadaniu bardziej szczegółowych instrukcji wykonawczych. Z Rzymu wyjechał na dwa tygodnie na Majorę. Tu, w Palmie, wystawnik Celenka - Musa Serdar Celebi wypłacił Agcy obiecaną zaliczkę w wysokości 750 tys. dolarów w markach niemieckich. Telefon Celenka /przebywającego wówczas w Niemczech/, podejrzanego o przemyt, był na podsłuchu. Utrwalona została rozmowa, w której Agca potwierdził odbiór przesyłki i zapowiada, że wie się teraz do Rzymu, by "rozłatwić sprawę". Z Majorki poleciał jednak nie wprost do Rzymu lecz do Mediolanu, gdzie przesiadł się na pociąg i przejechał do Rzymu 10 maja. Na kilka dni przedtem ambasada turecka zaalarmowała policję włoską, że Agca znajduje się na terenie Włoch i domaga się energicznych poszukiwań. Agca zatrzymał się wpieryw w hotelu YMCA, dopiero 11 maja przeniósł się do pensjonatu Isa.

Te dzwiny i szybkie ruchy po całej Europie można by tłumaczyć chęcią zmylenia policji tureckiej. Ale można było przecież uniknąć niebezpieczeństwa przechowując Agcę na terenie Bułgarii albo innego kraju bloku wschodniego. Być może chodziło właśnie o zmylenie śladów i stworzenie dystansu w czasie, który pozwoliłby na odwrócenie uwagi od czynników sterujących terrorystą z Włocysia. Czy decyzja zamordowania Papieża zapadła już przed jego wizytą w Turcji, w lutym 1980, gdy Agca po raz pierwszy zapowiedział zamach na jego życie, czy dopiero w ostatniej chwili? Co zdecydowało o wyborze momentu?

Nasuwają się przypuszczenia, że nie było w tym przypadku. Wiosną 1981 Polska miała dwóch wielkich przywódców duchowych: Jana Pawła II i Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Miała także trybuna ludowego obdarzonego niezwykle charyzmą w osobie Lecha Wałęsy. O planach zamachu na Tełkę w czasie jego wizyty we Włoszech była już mowa. W połowie marca 1981, konsylium lekarzów orzekło, że Kardynał Włocyski cierpi na galopującego raka przewodów pokarmowych i ma przed sobą nie więcej niż dwa miesiące życia. Diagnoza otoczona była tajemnicą. Dopuszczony został do niej tylko Papież i jego najbliższas otoczenie. Między pałcem prymasowskim na Miodowej a Watykanem toczyły się częste rozmowy telefoniczne, niewątpliwie podsłuchiwane i nagrywane. KGB wiedziało z pierwszej ręki, że w ciągu maja należy oczekiwać śmierci Prymasa. Agca prawdopodobnie otrzymał browning na samym początku kwietnia w Austrii i złożył swój śmieszny bagaż w przechowalni dworca rzymskiego 9 kwietnia a w kilka dni później otrzymał obiecaną zaliczkę. Ta synchronizacja daje dużo do myślenia. Można sobie łatwo wyobrazić wstrząs psychiczny, jakiemu doznałaby Polska, gdyby śmierć Jana Pawła II obiegła się w czasie ze zgonem Kardynała Wyszyńskiego.

W dniu zamachu

Przy Agcy znalezione notatki ze szczegółowymi instrukcjami, jak się ma zachować

2. Reżyserem scenariusza należało najwidoczniej na tym, by pozostawić jak najwięcej śladów prowadzących w fałszywym kierunku. Nie usunięto numeru seryjnego z brzołwina, którego użył zamachowiec. Po nitce do kłębka wykryto, że posiadaczem browninga był szwajcarski w Austrii Horst Grillmeier, neohitlerowiec, który po zbiegu swoich przekazał z dużą łatwością poruczał się po krajach bloku wschodniego trudniąc się przemytem. Grillmeier został zatrzymany przez Austriaków i po 20 godzinach zwolniony. Zaręczony bezkarności, kontynuował swój proceder i został przychwyty na gorącym uczynku przy przemyśle broni z Czechosłowacji do Austrii, przebywa obecnie w więzieniu austriackim.

wad przed i po zamachu i jakie podjął środki ostrożności. W notecie pełno było różnych numerów telefonicznych. Aż sześć spośród nich okazało się numerami Bułgarów. Dowiedzieliśmy, że poszukiwania w tym kierunku zostały podjęte tak późno.

Z zeznań Agcy słodzonych wobec sędziego Martelli tylko niewiele szczegółów przedostało się na świat. W krytycznym dniu, 13 maja, Agca wstał o 7-ej rano, wyszedł z pensjonatu, spędził rano spacerując po mieście. W umówionym czasie spotkał się na Piazza Republica z Sergijaszem Antonowem i Zedorem Ajwasowem. Trzej konspiratorzy pojechali autem do domu zamieszkałego przez dyplomatów bułgarskich na Via Galliani 36. Agca twierdził, że był już w tym czasie wieszanką poprzednio. Ajwasow udał się na górę i powrócił z torbą zawierającą dwa pistolety i granat ręczny. Bułgar miał stwierdzić dywersję w tłumie i umożliwić Agcy ucieczkę w krytycznym momencie. Trzej konspiratorzy pojechali następnie samochodem na Via della Conciliazione w pobliżu Piazza św. Piotra i zaparkowali wóz przed ambasadą kanadyjską. Było to co najmniej na godzinę przed zamachem. Ajwasow udał się z Agcą przed Razyliką. Antonow prawdopodobnie poszedł do swego biura.

Świadkowie zeznali twierząc, że poza Agcą na Placu św. Piotra obecni byli dwaj jego współpracownicy. Jeden, sfotografowany był z tyłu przez ekipę ABC w chwili, gdy uciekał z rewolwerem w rękę, drugi biegł w kierunku przystanku autobusowego trzymając oburącz czarną torbę. Sędzia Martelli usiłował zidentyfikować jak największą ilość turystów obecnych na Placu i zerbić się do FBI oraz władz policyjnych innych państw o zdobycie jak największej ilości zdjęć amatorskich.

Fotował Agca miał Bułgarów tylko pod pseudonimami, przedstawiono mu 56 fotografii. Bez wahania rozpoznał Antonowa, Ajwasowa i Basiliowa. Opisał dokładnie ich niebieski samochód marki Alfa-Romeo i wnętrze mieszczące nie wyłączonego obracającego się obruszonego czarną torbę. Sędzia Martelli usiłował zidentyfikować jak największą ilość turystów obecnych na Placu i zerbić się do FBI oraz władz policyjnych innych państw o zdobycie jak największej ilości zdjęć amatorskich.

Spśród nich Vaniliew odcyfrowany został z Rzymu skierował po zamachu, Ajwasow wyjechał do Sofii w pośpiechu 12 listopada. Bekir Celik uniknął aresztowania uciekając w ostatniej chwili z Londynu do Sofii. Schronił się pod skrzydła bułgarskiej bezpieki, dostarczając jeszcze jednego dowodu bułgarskich policjantów. Wskazał je go wysłannik Husar Ceder Colobá, który przywiózł Agcy pieniądze na Hajęrkę, został zatrzymany przez Włochów, przesłuchany w Monachium przez sędziego Martelli o możliwości Atalaja Surala, który mógł dostarczyć informacji kiedy, gdzie i przez kogo przesmaszono dla Agcy zapłata została przez Bułgarów przekazana Turkom z "Szarych Wilków".

Do "Szarych Wilków" należeli wespacy Turcy zamieszani w sprawę. A wśród nich Mersan /na wolności w Niemczech/, Ghar Ay, oskarżony o sfalszowanie paszportu /w więzieniu w Turcji/, Ghar Bakci, podejrzany o dostarczenie Agcy rewolweru /wydany przez Szwajcarów Włochom/, Husar Bekici /wydany przez Niemców Włochom/ i Bekir Celik /w Sofii/.

Dotychczas bułgarsko-tureckich nie sposób zrozumieć inaczej jak w szerokiej kontekście nakreślonej na obrządku władzy operacji prowadzonej przez Bułgarów w celu podmirowania Turcji i wywołania jej a przynajmniej atlantycyzmu. Kądy typicki obywatela, że do chwili przesłuchania władzy przez wojsko, Bułgarzy zdobili przewyższyć do ich kraju 822 tys. sztuk lekkiej broni nie licząc materiałów wybuchowych, bomb, min i granatów przeznaczonych zarówno dla terrorystów na premier jak i na lenicy. W przeddzień zamachu wojskowego Harca zapożyczona się na krawędzi oszkolonego ciemnego Bułgarów, spotykająca w tym rejonie rolę Turcy, poszukiwała się nafta turecką mającą się sprzedać w Sofii. Trzeci jej sprzedawcą Turcecy agent bułgarskiej bezpieki występującej pod szyldem "Szarych Wilków". Rolę g o d f a t e r spēk miał do wiadomości Abusal Surulu, Turak prowadzący z paszportem bułgarskim, tajnym.

jęcy lukusową wilgę w Sofii i korzystający z wszystkich przywilejów wysokiego dygnitarza partyjnego. W ub. roku Ugurlu, król przemytu broni i narkotyków, wzięty został przez Turków w zasadkę i przebywa obecnie w więzieniu tureckim. Korzystając z pośrednictwa Bułgarów i mafii tureckiej Rosjanie usiłowali utrzymać podwójną część zarobku od zmasaku na Zapleża jak i prób destabilizacji wpiaru Turcji a później Włoch. Tym razem nie mieli szczęścia. Turcja przygotowuje się do rewizji procesu o zakordowanie Ipekki i rozprawy przeciwko Ugurlu. We Włoszech na Lawie eskartowanych znajduje się Antonow. Równocześnie szykuje się osobny proces przeciwko działaczom Związku Kawodowych i agentom wywiadu bułgarskiego z Luigi Saricido na czele. Proces ten ujawni plany zmasaku na Węgry, wsparcie udzielane przez Bułgarów terrorystom włoskim oraz przemyt broni i narkotyków pod auspicjami bułgarskiej haspiki. Nie koniec na tym. W grudniu policja włoska wykryła w Trento wielką szajkę przemycików broni i narkotyków. Aresztowane około 200 osób. Henri Arsan, Szyjczyk, atający na czele tego gangu, okazał się agentem bułgarskim. Wszystkie nici abiegły się w rękach Antonowa i jego współzłotków, skąd ślady prowadzą dalej do Moskwy. Wysoki funkcjonariusz wywiadu bułgarskiego Jordan Mentarow, który wykrał wolność w Paryżu w lipcu 1961 roku i został osiatło wydobyty na powierzenie, twierdzi, że jego bliski przyjaciel, Dimitri Smow, szef kontrwywiadu w Durhawanie Sigurnost /bułgarska służba bezpieczeństwa/ zwierzył mu się z sowieckich planów umieszczenia Jana Pawła II na długo przed zamachem. Już w roku 1979 KGB traktowało całkiem poważnie teorię, że Zbigniew Brzezinski i kardynał Jan Król ukartowali wspólnie wybór polskiego Papieża w celu wyrwania Polski z sowieckiej orbity. Na podstawie szczegółowych informacji zebranych od defektorów, New York Times ogłosił studia wykazujące, że bułgarska służba bezpieczeństwa jest organizacją częścią KGB, kierowaną na wyższych szczeblach bezpośrednio przez doradców sowieckich.

Większość komentatorów zwraca sowieckie motywy do problemu polskiego. Ostatnio jednak wybitny amerykański ekspert od spraw sowieckich Alex Alexiev w obszernym studium dochodzi do innych wniosków. Autor rozpatruje wpływ wyboru polskiego Papieża i jego polityki nie tylko na Polskę, ale na cały blok sowiecki. W charzmatycznej osobowości Jana Pawła II Rosja znalazła groźnego przeciwnika, który obudził nadzieje ludzi wierzących i znaczenie ożywił ruch religijny na Litwie, Ukrainie i w Czechosłowacji, a także wzmacnił podziemie religijne w samej Rosji. Na tronie Piotrowym po raz pierwszy znalazł się Słowiański Papież, który na wzrok skierowany na Wschód. Władza Pawła VI w Konstantynopolu była gestem wobec prawosławia. Pielgrzymka Jana Pawła II i jego spotkanie z Patriarchą Konstantynopola odebrana została na Kremle jako groźna zapowiedź zbliżenia obu Kościołów. Uderzyła ona w najbardziej naważną stronę nacjonalizmu rosyjskiego i wzrosła antypolskich. Tezę swoją Alexiev dokumentuje szeregiem różnymi posunięciami i przeciwnieństwami Papieża oraz reakcjami sowieckimi.

Pierwsza podręcz Jana Pawła II do Polski była tryumfem Kościoła i dotkliwą klęską komunizmu, poniesioną na cmentarz całego świata. Naród polski odzyskał samego siebie, poczłk własną solidarność i siłę jak i szkodę garstki rządzących. Pielgrzymka Papieża stała się batalizaturą ruchu społecznego uwolnionego powstaniem Solidarności. Czy jest do pomyślenia, by Moskwa i jej mniejszości w Warszawie chcieli dopuścić do powtórzenia podobnej katastrofy?

Być może zagrożenie skłaje się w ostatniej chwili taktycznym manewrem, trzymającym w szachu Kościół, społeczeństwo i opozycję. Rozważ, że pod tym czy innym pretekstem podręcz papieża zostanie w ostatniej chwili odwołana. Jedni jednak Papież przybędzie do Polski - stanie się to za zgoda Moskwy, która nazwała go ogien kontrrewolucji i będzie miała własny plan wykorzystania podróży dla swoich celów.

Znasz na Papieża, dokonany dokładnie w rezonując objawienia w Fatimie, uderzył burzawą w sprasów. Po tym co się stało, wolno przypuszczać, że Jan Paweł II w sensie fizycznym będzie w Polsce bezpieczniejszy niż w Watykanie. Czy jednak

Sowiety, którym nie udało się zgładzić Papieża, nie będą usiłowały skorzystać z okazji, by zdyskredytować Głową Kościoła? Jan Paweł II przybędzie do kraju, w którym pod pokrywką wojskową, rządy sprawuje bezpieka. Frakcja policyjna wspiera po cichu ludzi typu Stefana Olszowskiego czy Tadeusza Grabskiego, którzy nie ukrywają poglądów, że bez krwawego terroru i uderzenia w Kościół na wzór grudniowego uderzenia w Solidarność nie dojdzie w Polsce nigdy do pacyfikacji. Czy dla KGB i bezpieki pielgrzymka papieska nie stanie się wymarzoną pretekstem do zadania takiego ciosu? Możliwości prowokacji będą nieograniczone.

Spółczesństwo w przygniatającej większości dzieli z Janem Pawłem II pragnienie ponownego spotkania z nim na ojczyznej ziemi. Lecz nawet najgorętsze pragnienia nie mogą zaskaniać nam oczu na groźące niebezpieczeństwa.

"Kultura"; maj 1983

Jan Nowak

Leopold Unger

NOTA ANTY-RAPORT O STANIE WOJENNYM

O k ł a d k a :

Z l e w e j s t r o n y: "Narody Zjednoczone, Rada Gospodarcza i Społeczna. Komisja Praw Człowieka, 39 sesja, 31 stycznia - 11 marca 1983. Punkt 12 porządku dziennego".

Z p r a w e j s t r o n y: "Rozdzielnik ogólny. E /CN/ 4/1983/18
21 luty 1983. Oryginał: angielski".

T y t u ł g ł ó w n y :

"Sprawa gwałcenia praw człowieka i podstawowych swobód, gźciokółwiek na ówiecis, ze szczególnym uwzględnieniem krajów i obszarów kolonialnych i zależnych".

P o d t y t u ł :

Raport o sytuacji w Polsce, przedstawiony przez pańego Gobbi, zastępcę sekretarza generalnego ONZ.

N a d o l e :

GE.83-11111

S p i s z e z a c y /N a v e r s o o k ł a d k i /:

I. Wstęp. II. Informacje /c o m m u n i c a t i o n s po francusku/ otrzymane od rządu polskiego. III. Zestaw podstawowych faktów w Polsce po proklamowaniu stanu wojennego. IV. Twierdzenia /a l l e g a t i o n s po francusku/ zawarte w informacjach otrzymanych ze źródeł niernądowych. V. Wnioski. Razem stron 17 /ostatnia niepełna/.

P i ę ć z a k ł a c e n i k ó w I. Dekret o stanie wojennym. II. Ustawa o związkach zawodowych. III. Przesłownice radiotelewizyjne gen. Jaruzelskiego z 12 grudnia 1981. IV. Ustawa o zawieszeniu stanu wojennego z 18 grudnia 1982. V. Memorandum rządu polskiego przekazane sekretarzowi gen. ONZ w Kewy Jorku 22 grudnia 1982. Razem stron 52.

Caość - 69 stron, warta jest bliźszego poznania. Ze wstępu dowiadujemy się /co niektórzy wiedzą, ale zawsze warto przypominieć/, że

1/ na swojej 39 sesji, 10 marca 1982 roku, Komisja, "głęboko przejęta wiadomością o łamaniu praw człowieka w Polsce", uchwaliła, 18 głosami za, przy 13

przeciw i 10 wstrzymujących się, rezolucję zalecającą sekretarzowi generalnemu ONZ opracowanie /osobiście lub poprzez osobę do tego wyznaczoną/ wszechstronnego studium na temat sytuacji praw człowieka w Polsce, wyrażając przy tym pragnienie "aby rząd polski w tym dziele współpracował";

2/ wychodząc z założenia, że "w Polsce nie zachodzą fakty masowego gwałcenia praw człowieka", delegat Polski uznał tę rezolucję za "jawną pogwałcenie Karty Narodów Zjednoczonych, jaskrawą ingerencję w wewnętrzną sprawę socjalistycznego państwa i prowokację polityczną", wobec czego jest ta rezolucja "nielegalna, nieuczynna, politycznie szkodliwa i moralnie dwulicowa", w związku z czym rząd polski odmawia współpracy w jej wykonaniu;

3/ 21 grudnia 1982 sekretarz generalny ONZ wyznaczył polskiego Gobbii, zastępcę sekretarza generalnego ONZ, do "zbadania w jego imieniu sytuacji w Polsce";

4/ 3 stycznia 1983 p.Gobbii skierował list do przedstawicieli PRL, w którym informuje go o swej misji i podkreśla, że w jej wykonaniu zdecydowany jest przestrzegać "maksymalnej bezstronności i obiektywizmu", w związku z czym liczy na pomoc rządu polskiego i wyraża zamiar udania się do Polski w drugiej połowie stycznia;

5/ 6 stycznia 1983 przedstawiciel Polski odpisał p.Gobbii, że aczkolwiek "rząd polski niezwykle sobie ceni stosunki z sekretarzem generalnym ONZ" i "nieodmiennie przestrzega zasad międzynarodowych", to jednak rezolucję z 10 marca 1982 uważa nadal za "nielegalną, nieuczynną, szkodliwą i dwulicową" i ponawia "odnowe Polski brania udziału w jej realizacji w jakiegokolwiek formie";

6/ p.Gobbii nie mógł udać się do Polski w proponowanym terminie;

7/ ale zredagował swój raport w oparciu, z jednej strony, o **o c o m m u n i c a t i o n s** rządu polskiego i, z drugiej strony, o **a l l g a t i o n s** rozmaitych organizacji międzynarodowych, takich jak np. Międzynarodowa Organizacja Pracy, Czerwony Krzyż, Światowa Federacja Holnych Związków Zawodowych, a także, jak wynika z tekstu opracowania, z opiniami Amnesty International oraz prasy.

Część II zawiera dokumenty przesłane przez rząd gen.Januszelskiego /zwane, ale nie warto ich przypominać/, część III - zestaw faktów po 13 grudnia, które p.Gobbii musiał wyłożyć nieznacznie /też znane i też nie warto przypominać/. Część IV zawiera "twierdzenia" /**a l l g a t i o n s**/ ze źródeł nie rządowych /też znane i też nie warto przypominać/, każdy czytelnik prasy codziennej wie na ten temat znacznie więcej niż p.Gobbii/.

Część V zawiera wnioski p.Gobbii. Zawinił je jednak zreferując, zauważając tylko, że wszystkie załączniki /52 strony/ są oficjalnymi dokumentami rządu polskiego i ani jeden nie pochodzi ze źródeł niezależnych, np. "Solidarności" czy organizacji twórczych, czy choćby Księżka, źródła co najmniej równie **c r e d i b l e** co gesty cyfrowy rzecznik gen.Januszelskiego.

M o r a l n i e n i e b o j ę t n e

W tym tzw. kontekście nie dałwegu, że wnioski p.Gobbii stanowią dokument unikalny, nawet jak na Narody Zjednoczone /do których jeszcze dozwolnie porównać/. Wnioski zastępcy sekretarza gen. ONZ składają się z 2 /skowicie - dwiema/ paragrafów. W oficjalnym dokumencie przeznaczonym dla Komisji Praw Człowieka ONZ zastępcę sekretarza generalnego oświadcza, co nie jest niespodziewane, że nie mógł się udać do Polski, i że nie był wobec tego w stanie osobiście sprawdzić **a l l e g a t i o n s**. Znamy więc był ograniczony swą analizę sytuacji w Polsce do jej aspektów "moralnych", to znaczy do spróby w jaki postępowanie władz polskich w

dalejdzicie praw człowieka ma się - ich własnym zdanem - do niektórych paktów międzynarodowych z tej samej dziedziny. Bez zbędnego cytowania prawnych wywiastów słownych, "wniozaki" p.Gobbi sprowadzają się do:

- 1/ przytoczenia tazy rządu polskiego o tym, iż jego postępowanie jest zgodne z jego własną konstytucją i paktami międzynarodowymi, do których on przystąpił,
- 2/ zawiadomienia, że parlament polski zasprobowal dekret o stanie wojennym oparty o polską konstytucję i o międzynarodowe porozumienia na temat praw człowieka,
- 3/ wyrażenia zadowolenia, że niektóre "kroki pozytywne" zostały już podjęte przez rząd warszawski i wyrażenia nadziei, że dalsze takie kroki zostaną podjęte,
- 4/ wyrażenia żalu, że "nie było możliwe przeprowadzenie jakiegokolwiek badania dotyczącego więźniów politycznych, a to z powodu niemożliwości sprawdzenia sytuacji na miejscu, w bezpośrednim porozumieniu z zainteresowanymi, a przede wszystkim z rządem polskim".

Krótko mówiąc, i to jest już m ó j w n i o s e k, p.Gobbi, zastępca sekretarza generalnego ONZ, autor 69-stronicowego raportu o sytuacji w Polsce, nie był w stanie stwierdzić w marcu 1983 roku czy internowanie, aresztowanie, torturowanie, strzelanie do strajkujących robotników lub manifestujących studentów, zawieszanie i rozwiązywanie stowarzyszeń itd.itp. stanowiło lub nie stanowiło aktu gwałcenia praw człowieka.

Właśnie tylko ja, ale i część Komisji Praw Człowieka ONZ, byliśmy "niesile zaskoczeni" jakością raportu p.Gobbi. Kiedy więc w marcu 1983 roku p.Gobbi swój "raport" Komisji przedstawił, jej większość uznała, mówiąc delikatnie, że jest on do kitu i obraża, to m ó j e sformułowanie, rozum i godność ludzka. Toteż, mimo prób podjętych przez takie mizujące demokrację i prawa ludzkie państwa jak Kuba, Nikaragua i Mozambik, aby dyskuszje nad sprawą Polski zamknąć, przetrwał lub choćby odroczyć, Komisja postanowiła 19 głosami za, przeciw 14, przy 10 wstrzymujących się, zlecić sekretarzowi generalnemu ONZ lub też "osobie, którą on wyznaczy", to jest portretnie p.Gobbi, "zaktualizowanie i skompletowanie" raportu i przedstawienie nowej wersji na 40 sesji w roku 1984, daty składniad symbolicznej.

Orwellowskie szejkarzenia spotęgowała lektura oficjalnego sprawozdania ONZ z przebiegu zarocowej sesji. Oto bowiem niektóre delegacje uznały za wskazane wyłuszczyć powody swego głosowania. Delegat bułgarski był przeciw, bo rezolucja /a nie strzelanie do papieży/ stanowi ingerencję w sprawy wewnętrzne suwerennego państwa. Dyplomata z Zimbabw uznał, że ONZ powinna pozostawić Polsce swobodę rozwiązywania jej spraw wewnętrznych /tak jak im w mordowaniu opozycjonistów/. Dla Mozambiku, gdzie rządzi Kuba i NRB, rezolucja jest "nieuczciwa i nie do przyjęcia", absolutnie suwerenna Ukraina uznała rezolucję ONZ za próbę zdyskredytowania socjalizmu.

Najlepsi byli, jak było do przewidzenia, delegaci ZSRR i Polski. P.Zoria, weteran bojów o prawa człowieka, opieprzył... p.Gobbi za to, że jego raport zrodagowany został w oparciu o doniesienia prasy zachodniej i informację ze źródeł nierządowych. P.Sokalski natomiast uznał, że nowa rezolucja jest rezydycją, stanowi akt nieprzyjazny Polsce, która jest wszak jednym z najbardziej lojalnych członków ONZ. Widocznie zmecczony, p.Sokalski ograniczył się do potwierzenia znanego już nam zdania o tym, że rezolucja jest "niebystka, moralnie szkodliwa i dwulicowa" oraz ponowił odmowę swego rządu współpracy z Komisją, albowiem jest to sprawa "politycznej i moralnej uczciwości". Słowo "moralność" pojawiło się w ogóle szalenie często w ustach przedstawiciela warszawskiej władzy wojskowej, ale dopiero w zakończeniu zdobył się on na wielką naprawdę improwizację. Ponieważ nie bardzo, nawet w ONZ, mógł on wystąpić w imieniu narodu polskiego, przeto p.Sokalski powołał

się na "szlachetne tradycje historii Polski, jej odwieczną tolerancję, zasady socjalistycznej demokracji i nienaruszalne przywiązanie do zasad Karty Narodów Zjednoczonych". Wszystko po to, aby odrzucić rezolucję Komisji tejże ONZ.

Dla całości obrazu i dla historii podejmy, ku pamięci, spis państw, które głosowały za, przeciw i obok. Za rezolucją: Australia, Kanada, Kolumbia, Kosta Rika, Fidżi, Francja, Gambia, RFN, Irlandia, Włochy, Japonia, Meksyk, Holandia, Filipiny, Senegal, Togo, Anglia, USA i Urugwaj.

Przeciw: Bułgaria, Chiny, Kuba, Ghana, Indie, Libia, Mozambik, Nikaragua, Ukraina, ZSRR, Tanzania, Jugosławia, Zimbabwe, no i Polska.

Wstrzymały się: Argentyna, Bangladesz, Brazylia, Cypr, Finlandia, Jordania, Pakistan, Rwanda, Uganda, i Zair.

Tyle byłoby chronologii polskiej sprawy w Komisji Praw Człowieka ONZ w Genewie i tak się sprawa utrzyma do sesji w 1984 roku. Ponieważ p.Gobbi jest w trakcie aktualizowania swego sprawozdania, przeto wydaje się nam celowe sformułowanie najpierw kilku pytań w sprawie raportu polskiego, a potem umiejscowienie go w tzw. szerszym kontekście ONZ w ogóle. Ani raport, ani p.Gobbi, ani Komisja w Genewie nie są bowiem, jak się okaże, zjawiskami wyjątkowymi.

Oto więc seria pytań polskich:

1/ Dlaczego to dopiero w grudniu 1982 roku, 10 miesięcy po uchwaleniu rezolucji, sekretarz generalny mianował p.Gobbi?

2/ Jakiś jakości raport mógł p.Gobbi zredagować w ciągu 2 miesięcy, które miał do dyspozycji przed otwarciem sesji w Genewie?

3/ Dlaczego sekretarz generalny ONZ wyznaczył do tej delikatnej misji akurat dyplomata z Argentyny, kraju, który nie ma specjalnego dorobku /a raczej ma/ w dziedzinie poszanowania praw człowieka u siebie, a ponadto kraju, który aktualnie z uwagi na sojusze jakie się ujawniły w okresie bitwy o Falklandy, dryfuje akurat w stronę bloku wschodniego ze Związkiem Sowieckim na czele?

4/ Dlaczego, starając się o "współpracę władz polskich", p.Gobbi nie wystąpił nawet o wizę? /zupełnie jak ów Izraelita, który prosił Boga o wygranie na loterii, ale nie chciał kupić losu/.

5/ Dlaczego, zważywszy, iż rząd polski odmówił współpracy, p.Gobbi załączył wyłącznie oficjalne dokumenty, a nie np. opracowania rady prymasowskiej, która jak ślad nie została jeszcze w podziemiach w Polsce?

6/ Dlaczego p.Gobbi podjął się w ogóle tej misji i zredagował raport, który w tych warunkach nie mógł być poprawnie zredagowany?

Pytania takie można oczywiście mnożyć. Każde właściwie zdanie raportu p.Gobbi stanowi kawałek ogólniejszego pytania. Ważniejsza jednak rzeczą niż mnożyć pytania jest znalezienie częściowych choćby odpowiedzi. Jest ich wiele. Oto ich synteza.

I a k E k s c e l e n c j e

Kiedy Narody Zjednoczone przyszły na świat, życie było proste. Zgromadzenie Ogólne składało się przede wszystkim z krajów europejskich i Ameryki łacińskiej. USA dysponowały tzw. automatyczną większością - i według sowieckiej nomenklatury - przyszyły do głosowania. Blok wschodni i ZSRR były izolowane i osamotnione, chociaż Białoruś i Ukraina otrzymały, na zupełnie absurdalnej zasadzie, status pełnoprawnych i suwerennych członków. Głównym szczytem obrony Rosji było *v e t o* w Pałacu Bezpieczeństwa, z którego ZSRR przy każdej okazji korzystał.

Sprawy zaczęły się komplikować w latach 60-tych i później, kiedy z wolna, a potem coraz szybciej, upisywały się do ONZ byłe kraje kolonialne i zależne. Powstały nowe układy. Dyplomacja sowiecka marszkiem rozwinięta skrzydła i zainicjatywnie zdażyli się orientować i zaczęli się uczyć polityki międzynarodowej, już znaleźli się, wraz z grupą krajów demokratycznych, w izolacji i mniejszości.

Maszyna do głoszenia funkcjonuje znowu, ale na innych zasadach. Różnica jest i koniunkturalna, i zasadnicza. Źródłem jej zrozumienia jest stwierdzenie iż, podczas kiedy Stany Zjednoczone, które są krajem znakomicie funkcjonującą demokracją, nie potrafiły w śladu z krajów swojego zaplecza i wpływu, np. w Ameryce Łacińskiej, wprowadzić demokratycznego ładu, Związek Sowiecki potrafił i w krajach podbitych, ale także i w krajach tylko pośrednio lub tylko dyplomatycznie zależnych, ustawić albo swój własny system totalitarny, albo podporządkować świadomości o "obiektywnej" zgodności interesów.

Stać się to zwyczajem widziane na terenie ONZ. W ten sposób powstały najzwyklej niej obłądne, ale trwałe układy pomiędzy blokiem państw muzułmańskich i krajami Czarną Afryki, do których przylgnęły się kraje bloku komunistycznego od Kongolii poprzez Wietnam aż do Kuby, a teraz i Nikaragud.

Czasem, aby znaleźć się po dobrej stronie, trzeba być przeciwno Larnelowi, Afryce Południowej oraz Chile, w tym właśnie porządku, oraz trzeba mieć postrząbnąć się, ale tym także najęły się Sowiety, specjalizują jacyś totalitarno-wielozgłosem.

Ten nowy układ, a zwłaszcza może bardziej jowazna nowa polityka, znowu nie-tyczalcie sens totalitarna ONZ. Wskutek tego nowego stylu organizacja ta, zamiast żądai napięcia, zaczęła je osłabiać. Przestał się liczyć temat i problem, zaczął się liczyć s h o w - mowa - manipulacja. Korzysta się z okazji, wstępując zaczęli się mieszczą do wszystkiego. Wynik był jasny: kiedy 157 delegatów usadła się za zebra-więcanych do formowania, pod pretekstem Pinccheta, swoich własnych interesów, sama sprawa zmika pod ławiną manipulacji, głupoty i szaleństwa.

Po jednej z takich debat pani Kirkpatrick, ambasador USA w ONZ, napisała jedno-brazniący list do kilkudziesięciu swoich kolegów, w którym stwierdziła: "Jestem przeciwna, Włosa Ekscelencjo, że nie przyznaję Pan więcej wagi do wypowiedzanych tu kłamstw niż ja, i nie wierzę, że kłamstwa te odzwierciedlają poglądy rządu Ekscelencjonalacji". Niektórzy się obrusili, inni tłumaczyli, że retoryka jest częścią politycznej gry w ONZ, inni wręczcie odwołali panią Ambassador w bierze, aby jej powiadziado na sucho, że odpowiedzialność ma raczej i że nie wierzą sami w to, co ich rząd kłamie deklamował z wysokiej trybuny ONZ.

Taktyka i strategia manipulacji, jeżeli nie wprost dywersji w ONZ, która z tego powodu nie jest w stanie najad się ogarnąć porażnymi sprawami świata, ujawnia się up- w dążeniu instytucji zwanej "grupą badawczą". Z zasady grupy takie nigdy nieczego nie bada, a i wynik "badania" ustalony jest z góry. Np. Izrael jest waznym głównym obiektem "badania", przy czym dokument walczącej przeprowadzić, z budka-tu ONZ, tzw. i n v e s t i g a t i o n o b r a d a t a także, jdał na byd wyrok: Jedna z takich mandata stwierdził up- - zmierz w ogóle kamizja się zatrzyma - że Izrael "gwałci prawa człowieka", "nie szanuje swobód obywatelskich", czyli odpowiednik to, czego jeszcze nie zaczęły sprządać. W skład kamizji wchodziły Gajdam i dyplomacja, które nie utrzymywały w ogóle kontaktów z Izraelem, oraz Suealia, która oficjalnie negocjuje prawnie Izraela do Izraela.

Szkoda czasu na frazjoli. Jedną ogólniejszą przykład z tej dziedzinę powinien wystarczyć. W czasie naszej Zgromadzenia Ogólnego w 1980 roku sprawa Afryki Południowej stała się punktem kulminacyjnym 51 do 102 posiedzeń, 45 rezolucji poświęconych było krytyce tego kraju, 283 przedstawienia na posiedzeniach plenarnych zajmowały się Kambodżą, a 75 specjalistów, 15 specjalnych "zjazd", funduszy i programów ONZ zajmuje się sprawami obecnego wojny Afryki Południowej, północna gry 5 specjal-

nych "dni" i trzy specjalne "tygodnie" poświęcone są temu samemu tematowi. W sumie 200 pracowników fulltime, czyli etatowych sekretariatu generalnego ONZ pracuje wyłącznie "przeciwko" Afryce Południowej, co kosztuje nas wszystkich 40 milionów dolarów rocznie.

Działalność UNESCO nie potrzebuje reklamy. Jest to najbardziej chyba skompromitowana i ubezwłasnowolniona, a także najbardziej kosztowna branża ONZ. Trwało lata całe, zanim udało się uniknąć, dzięki rzadkiej solidarności Zachodu, uchwalenia "Nowego Porządku Informacyjnego", sprowadzającego się faktycznie do nałożenia cenzury na jeszcze nie ocenzone agencje i gazety.

Nie wiadomo natomiast, dlaczego nie udało się stępować innej czysto propagandowej imprezy sowieckiej, jaką była niedawna /kwiecień 1983/ specjalna konferencja UNESCO na temat "wychowania dla pokoju, praw człowieka, praw narodów i podstawowych swobód". Przepiękny tytuł, wymyślony oczywiście w Moskwie. A jak zachował się Zachód? Zamiast wyjść trzaskając drzwiami, albo w ogóle nie przyjeżdżać, Zachód zgodził się na udział w hecy, w czasie której uchwalono m.in. rezolucje do magające się "właściwej redakcji tekstów szkolnych" na temat Namibii i organizacji Arafata, natomiast nie uchwalono rezolucji amerykańskiej, która nieśmiało przypominała o celowości "swobodnego przepływu informacji i idei".

Teraz pod patronatem UNESCO szykuje się nowy bardzo kosztowny spektakl S o n e t L u m i è r e w Paryżu. Światowa Konferencja w sprawie Palestyny ma się zebrać w stolicy Francji, chociaż:

a/ rząd francuski jest jej przeciwny, bowiem jest przekonany, iż nic pożytecznego z niej nie może wyniknąć;

b/ żadne państwo demokratyczne, w tym Francja czyli gospodarz, nie weźmie w niej udziału;

c/ najbardziej zainteresowane państwo, to znaczy Izrael, jest z niej wykluczone.

Opozycja Francji może okazać się nieskuteczna, jako że UNESCO ma status eksterytorialny i ma prawo organizować takie imprezy, jakich większość państw ONZ sobie zamieszkuje. Impreza ma więc od początku charakter wyłącznie propagandowy. Wystarczy poznać "naukowy" charakter 8 /słownie osmna/ regionalnych seminariów przygotowawczych do konferencji paryskiej, które odbyły się w luksusowych na ogół miejscowościach z udziałem, a jakże, poważnych "ekspertów"...

Przedsmak tego czym będzie konferencja palestyńska dała konferencja namibijska, która odbyła się z końcem kwietnia, także w Paryżu. Przez 5 dni 130 delegacji wylewało kubki pomoy na USA, Afrykę Południową i oczywiście Izrael. Delegacje zamierzają, w tym przedstawiciele "grupy 5" /USA, Wielkiej Brytanii, Francji, RFN i Kanady/, przygotowującej jakies rozumne rozwiązanie sprawy Namibii, fuguowały na zasadzie obserwatorów i... nie zabraly nawet głosu.

Ambasador USA przy UNESCO /także/ pani Jean Gerard stwierdziła żakobnie, iż "jest tragedią", że UNESCO nie jest w stanie głosić idei, które leżą u źródła jej narodzin". Innego zdania był oczywiście pan Mahtar M Bow, dyrektor generalny UNESCO. Pan M Bow, kolega w wadze i w uposażeniu pana Hugo Gobbi, był zadowolony i pochwaliz "ducha współpracy i wzajemnego zrozumienia", który pozwolił pomysłnie // zakończyć konferencję. Po czym spokojnie odnotował, że 9-ciu spośród 47-u wyrzuczonych z Francji dyplomatów-szpiegów sowieckich należało do personelu UNESCO lub misji ZSRR przy UNESCO.

W 1982 roku 49 z 88 posiedzeń Rady Bezpieczeństwa poświęconych było wyłącznie Izraelowi. Inaczej mówiąc, ani jedno posiedzenie nie zostało poświęcone Afganista-

nowi czy Wietnamowi, a że to 55% plag gnębiących ludzkość zostało przypisane Izraelowi. Wiem, że znowu ktoś napisze, że jest "niemiłe zaszkoczony", a ktoś inny oskarży mnie o wysługiwanie się Mossadowi, ale nie mogę nie przytoczyć faktu, iż Zgromadzenie Ogólne ONZ, jeżeli przejdzie do historii, to przede wszystkim dlatego, że 15 lutego 1980 roku większością 88 głosów przeciw 22, przy 40 wstrzymujących się, uznano za nielegalny i niebity układ z Camp David, jedyny traktat o pokoju na Bliskim Wschodzie. Nie jest to nadużycie, jest to obżękanie. I początek samobójstwa instytucji, z którą świat wieśak tyle nadzieli.

Ż i e i d r o g o

To wszystko upoważnia mnie do sformułowania dwóch refleksji.

Po pierwsze, kilka "Afryk Południowych", to znaczy także Izrael i Chile, jakkolwiek byłaby ich wina i jak bardzo zasługiwałyby na powszechne i publiczne potępienie, nie powinno odwracać uwagi "parlamentu świata" od tego, że wojska sowieckie maszerują przez Afganistan, że Kubańscy okupują Angolę i Etiopię, że oszalały iman-Iran rozstrzelał w ciągu 3 lat więcej ludzi niż Afryka Południowa od chwili jej powstania, że Irak czy Syria wymordowały więcej własnych sądów niż wszyscy Pinochetowie razem.

W 1982 roku, bez wliczania Grobiśagów, zanotowano 4 wojny: Iran-Irak, Izrael w Libanie, Falklandy i Czad. W ani jednym przypadku sparaliżowana i wymanipulowana ONZ nie była w stanie nie tylko pomóc, ale choćby naprawdę uczestniczyć w rozwiązywaniu konfliktu. Czy trzeba w ogóle przypominać, że to nie tylko bez, ale nawet w b r e w ONZ-owi doszło do umowy w Camp David i do pierwszego w historii pokoju żydowsko-arabskiego?

Prawa człowieka w Gwintaniamii czy Namibii nie schodzą z agendy ONZ. Kto może mi przytoczyć jedną choćby debatę zakończoną potępieniem ludobójstwa w Kambodży, gułaz w bloku wschodnim, masakry w Indiach, czy exodusu z Nigerii? Przez lata całe nie było dnia w ONZ bez potępienia amerykańskiej interwencji w Wietnamie. Kto może mi zacytować jedną uchwałę ONZ potępiającą Wietnam za exodus miliona b o a t o p e o p i e lub aęrasę i okupację Kambodży i Laosu?

Przedstawiciel NRD, zamurowanego kraju, określił bardzo wyraźnie program bloku wschodniego na całą noceliwą do przewidzenia przyszłość ONZ. Powiedział on: "Sytuacja w Afryce Południowej, Chile i na terytoriach okupowanych przez Izrael stanowi zagrożenie dla praw człowieka, wyrządza szkodę przyjaznym stosunkom między narodami i zaprasza pokojowi". Na tej samej sesji Chile potępione zostało jako "państwo dyktatury wojskowej". Ułaczęgo, pytam, nikt w ONZ nie uchwalił takiego samego potępienia dla innego państwa dyktatury wojskowej, nie w Ameryce Łacińskiej, a w sercu Europy?

Po drugie warto się zastanowić ile nas wszystkich ta ogłupiająca zabawa kosztuje. ONZ zatrudnia 46.000 pracowników w 24 krajach, w czym 13.000 /z czego 6.000 w Nowym Jorku/ pracuje w sekretariacie generalnym. Oczywiście ONZ wzorowali się na amerykańskim modelu administracyjnym, najbardziej wydajnym i najwyższej płatnym wówczas na świecie. Założeniem było skoncentrowanie w sekretariacie generalnym, jeżeli nie w całym ONZ, ludzi o bardzo wysokich kwalifikacjach, fachowców zdolnych do odciążenia się od zależności narocowych czy ideologicznych i zdolnych do wejścia w służbę wyłącznie szerokiach, nieegoistycznych celów ponadnarodowych.

Wynik jest zadawalający wyłącznie w sferze płac. Pracownicy ONZ pobierają dziś pensje o 35% wyższe od porównywalnych szczebli administracji amerykańskiej. Niemsty, ta nadwyżka nie przyczyniła się do poprawy poziomu i jakości personelu. Nprost przeciwnie: im wyższa praca, tym niższe usługi, tym gorsza, a co ważniejsze - bardziej podejrzana wydajność. Nawet najwyżsi urzędnicy ONZ są coraz bardziej

na usługach nie ONZ i idei ponadnarodowej, a swoich rządów, jeżeli nie wprost swoich wywiadów.

Związek Sowiecki jak zwykle przoduje. Arkady Szowczenko, były zastępca sekretarza generalnego ONZ, opowiedział po wybraniu - w towarzystwie pewnej blondynki-wolności /pisałem kiedyś o nim w K u l t u r z e/, że spośród około 300 podległych mu urzędników z kwoty sowieckiej, tylko kilku pracowało naprawdę dla ONZ, inni wiali instrukcje nie od niego, a od rezydentury KGB w Nowym Jorku.

A ile oni nas kosztują, ci wszyscy agenci KGB i innych UB na etatach ONZ? Płacąc zyskują się od 13.000 dolarów rocznie dla gońca do 165.000 dolarów rocznie /plus 22.500 na wydatki, willa, samochód z szoferem itd./ dla sekretarza generalnego. W całych Stanach Zjednoczonych tylko jeden człowiek ma wyższe uposażenie od sekretarza generalnego ONZ. Jest nim prezydent USA.

Trzydziestu funkcjonariuszy ONZ zarabia ponad 100.000 dolarów rocznie, to znaczy więcej niż ministrowie rządu USA. Pracownicy ONZ /nie dotyczy to Amerykanów w USA/ nie płacą podatków, ściągana jest tylko "składka pracownicza", odprowadzana z powrotem do kasy ONZ. Z bardzo nielicznymi wyjątkami osób, które mogłyby uzyskać wysokie posady w businessie prywatnym, wszyscy pracownicy ONZ zarabiają lepiej, a w przypadku krajów komunistycznych i trzeciego świata nawet nieporównanie lepiej /do 10 razy/, niż zarabialiby na podobnych posadach w ich własnych krajach, zwłaszcza, że dochodzą do płacy podstawowej dodatki za "przesiedlenie", dodatki rodzinne, /1200 dolarów na żonę i 700 za każde dziecko/, stypendia szkolne /2250 dolarów/, sześć tygodni wakacji, gratyfikacja biletu a l l e r w e t o u r raz na dwa lata do domu, kafeeteria, gdzie cenę są trzykrotnie niższe od najbliższego McDonalda, wykwintna restauracja, gdzie c o t s d e v e a u f i n e s h e r b e s kosztuje 8,50 dolarów, zamiast 25 dolarów w restauracji tuż obok, no i wysoka /o 35% wyższa niż w USA/ emerytura przy 60 latach, lub 55 na życzenie. Dewiza ONZ jest "prze-kuwajmy miecze na lemieszce". Przeważnie, jak mi się wydaje, chodzi o przekuwanie w złoto.

Nic dziwnego, że w tej bonanzie rotacja kadr jest niewielka, nie przekracza 10% rocznie, a nawet mniej, im wyżej na drabinie płacowej. Nic dziwnego także, że rządy desygnujące pracowników na zasadzie tzw.kwoty narodowej /dotyczy to zwłaszcza krajów komunistycznych/ wysyłają swoich ludzi na zasadzie kontraktów o ograniczonej ważności czasowej, tak aby można ich było zawsze szantażować wycofaniem. Z tego zestawienia wynika jasno, iż po to aby rotacji uniknąć, "niezależni" urzędnicy ONZ skłonni są uczynić bardzo wiele koncesji w sumieniu i w działaniu i ulęgają oni raczej presji swych rządów, KGB, CIA itp., aniżeli szczytnym hasłom i powołaniu ponadnarodowemu.

A n i p o ż y t e k , a n i p r z y j e m n o ś ć

Nie warto nawet udawać katastrofalnych /dla idei ONZ, nie dla urzędników/ skutków takiej sytuacji. 300 milionów dolarów budżetu ONZ na e c o n o m i o r e s e a r c h zostały wymanipulowane tak, aby narzucić program zwany "Nowym Międzynarodowym Porządkiem Ekonomicznym", swolnym NRP-em, sporządzonym na propagandowy użytek trzeciego świata przez ZSRR i jego ludzi. Dyrektor Departamentu Przemysłowego, jedyny z agend gosp-darczych ONZ, przetrzymał przez dwa lata niezależne studium dotyczące przemysłu stalowego, albowiem stawiało ono diagnozę nie odpowiadającą marksizującej ideologii trzecioświatowej.

Ekipa kierowana przez prof.Wasylia Leontiewa z Now York University, laureata ekonomicznej nagrody Nobla, opracowała dla ONZ ekspertyzę na temat "Przyszłości Gospodarki Światowej". Pewien sowiecki urzędnik sekretariatu ONZ w Nowym Jorku sfałszował, zwyczajnie mówiąc, jego treść, tak aby dane były przychylniejsze dla

obrazu ZSRR. Prof. Walter z tego samego uniwersytetu zerwał współpracę z ONZ, albowiem, jak stwierdził, "nie poznaje swej pracy z chwilą jej publikacji". P. Krisznamurti, który nadzorował badania prof. Waltera, wcale się nie wstydział przyznać, iż zmieniał treść jego opracowania, tak aby "odzwierciedlało ono różnice w poglądach między ekonomistami Zachodu i trzeciego świata".

Tendencja manipulacyjna zmierzająca do tego, aby ONZ mówiła nie to co jest prawdą, a to co większo chce słyszeć, nie ograniczyła się do prac naukowych. Piętnaście dzienników /w tym kilka szalenie szanowanych/ z piętnastu krajów brało pieniądze z budżetu ONZ /432.000 dolarów w 1981 roku/ za drukowanie suplementów reklamujących potrzeby i poglądy gospodarcze trzeciego świata, ale zawsze w kontekście odpowiedzialności i winy wyłącznie krajów zachodnich, nawet jeżeli, tak jak np. Norwegia, nigdy nie posiadały one kolonii. Sekretariat generalny ONZ przyjął półtora miliona dolarów ofiarowanych przez jakiegoś dziwnego japońskiego przemysłowca, z przeznaczeniem na cele propagandy trzecioświatowej, choć karta Narodów Zjednoczonych formalnie zabrania przyjmowania funduszy i instrukcji ze źródeł zewnętrznych.

Ponowmy pytanie: kto za to wszystko płaci i odpowiedzi udzielmy: my sami. Budżet funkcjonowania ONZ /bez programów specjalnych/ składający się w 80% z funduszu płac, wyniesie w 1983 roku 720 milionów dolarów, płaconych faktycznie z podatków obywateli 157 państw członkowskich. W istocie Europa zachodnia pokrywa 27% budżetu ONZ, USA - 25%, a ZSRR tylko 12%, czyli tyle mniej więcej co Japonia, a mniej niż Zachodnie Niemcy i Francja razem.

Ambasador szwedzki w ONZ zauważył, że budżet ONZ równa się cenie 7 nowych bombowców strategicznych i że wartość pożytku dla państw i kotów sprzedawanej rocznie w USA /ponad 3 miliardy dolarów/ sześciokrotnie przewyższa wydatki ONZ. No i co z tego, pytam jego ekscelencję? Z bombowców jest pożytek, może się ich Moskwa nasstraszyszy, psy i koty to przyjemność dla ludzi, dla niektórych ostatni przejaw ludzkich uczuć. A jaki - poza sferą ambasadorów - jest pożytek z ONZ, nie pytając już nawet o przyjemność?

Publikacje ONZ, w kłamczym impulsive samoobrony, informują nas, że budżet policji nowojorskiej jest większy od normalnego budżetu ONZ. No i co z tego, powtarzam pytanie? Policja nowojorska zwalcza i aresztuje przestępców, prowadzi pożyteczną dla społeczeństwa robotę. Czy mogłyby ktoś wyobrazić sobie Nowy Jork bez policji? A jakie przestępstwa potrafiła zwalczyć ONZ? Kiedy, gdzie? Czy można wyobrazić sobie świat bez ONZ? Można.

Jeden obywatel USA płaci rocznie 4,1 dolara na ONZ, RFN - 4,6, a obywatel ZSRR tylko 0,5 dolara. A kto korzysta z ONZ, dla kogo stacemk kosztu-korzyści kształtuje się lepiej?

Honorarium do podziaku

Nie jest to więc najlepszy interes dla krajów zachodnich, które płacą dużo, ale dostają mało. Ze 157 głosów w ONZ, Zachód dysponuje w zasadzie około dwudziestoma, w tym 10 z EWK, no i Izraela. Ale i ta grupa jest podzielona. Trzy kraje skandynawskie, Norwegia, Dania i Islandia, chociaż należą do NATO, solidaryzują się często z neutralną Szwecją, obecnie, znowu pod premierem Palme, bardziej trzecioświatową niż sam trzeci świat. O Grecji lepiej nie mówić. Ale i bez Palmego Zachód był jakby sparalizowany sowiecką i trzecioświatową retoryką. Zamiast podjąć ją i odpowiadać na ataki, Zachód tak się zachowuje, jakby rzeczywiście miał kompleks winy za wszystkie plagi świata. Za każdym razem kiedy niesiósłoby decyduje się wytknąć niewielkie uchybienia ZSRR w dziedzinie poszanowania praw człowieka, musi gwałtownie potępić Salwador czy Gwatemalę.

Nawet USA poddały się tej mechanice. Dziś już nawet Waszyngton uważa, iż nie powinien sam jeden przedstawiać żadnego projektu rezolucji na Zgromadzeniu Ogólnym, a starać się o kilku innych, mniej skompromitowanych w trzecim świecie sponsorów.

Z ZSRR sprawa ma się dokładnie wprost przeciwnie. Głosują z nim na ogół, z nielicznymi nader wyjątkami, kiedy już nie można inaczej - np. po inwazji Afganistanu - nie tylko jego satelici i klienci, jak np. Angola, Kuba, Mozambik, Etiopia czy Wietnam, ale także cała masa /na ogół 92/ krajów, którym w większym stopniu chodzi o pokonanie USA i Zachodu w ogóle, a w mniejszym o poparcie ZSRR, co do którego prawdziwych intencji nikt nie ma złudzeń.

Wynik jest fantastyczny. W ciągu sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w roku 1981 stopień poparcia dla rezolucji wniesionych przez ZSRR sięgał 85%, w porównaniu z 25% dla USA. Izolacja Zachodu jest więc wyraźna, przy czym przelotko USA głosowały systematycznie także kraje, które żyją wyłącznie dzięki pomocy amerykańskiej. Nawet Pakistan, Singapur, Malajzia czy Indonezja rzadko popierają USA, nie mówiąc już o najbardziej antyamerykańskim konsumencie amerykańskiej pomocy, jakim są Indie. Znowu nie dziwnego: w braku odważnej i godnej zachodniej riposty niekiedy jest przedsięwzięcie naciskowi czy szantażowi ZSRR, działającym sprytnie przede wszystkim po przez Kuba, a dziś także Nikaraguę. Tylko duża zdobycz się kiedyś na akt odwagi. "Ja tacy wśród nas, powiedział jej delegat na zjeździe trzecioświatowców, którzy chcą nas wykorzystywać dla realizacji swoich wielkocesarstwowych celów. My wykorzystaliśmy się nie damy". I poszli sobie...

Zachód nie może pójść sobie z ONZ. Co powinien wobec tego zrobić? Płacić musi przede wszystkim dlatego, że podpisać taką umowę, a umowy, przynajmniej niektóre, szanować trzeba. Choć trudno znaleźć inne argumenty za przynależnością do ONZ, może na ten stan rzeczy starać się zmienić. Nie ma żadnego powodu, aby wobec niektórych choćby problemów Zachód stawał podzielony. Były przecież sytuacje, w których zjednoczony Zachód potrafił wykazać, że nie wszystkie pieniądze zainwestowane w ONZ należy uznać za stracone. Przykładem jest choćby właśnie Komisja Praw Człowieka w Genewie, której większość zachodnia, wspomaganą przez niektóre "niezależne", ale dobrze zainspirowane kraje, odrzuciła faktycznie pseudo-raport Gobbiego i utrzymała sprawę polską na porządku dnia. ONZ może także być niewątpliwie przydatnym, choć bardzo kosztownym forum, na którym, bez obawy o prasowe tzw. niedyskrecje, mogą spotykać się ludzie szczerze się poza tym opluwający, jeżeli nie wprost nienawidzący, np. sowiecki Gromyko i izraelski Szamir.

A w ogóle wystarczyłoby często tylko nieco odwagi i poczucia godności, aby przełamać terror. Kiedy bardzo duża koalicja złożona m.in. z tak nielubianych postępi i demokracją krajów jak m.in. Iran, Kuba i Algieria, zaproponowała aby usunąć Izrael w ogóle i raz na zawsze z ONZ, Stany Zjednoczone spokojnie zakomunikowały, iż one także, oraz ich 25% budżetu ONZ, opuszczą to grono. I to wystarczyło. Oczywiście, nie zawsze można i trzeba zrobić wyjątek za drzwi, ale zawsze można i trzeba odpowiedzieć na szantaż czy choćby zniewagę. Jeżeli wielkie demokracje odzyskają godność, to bardzo wiele małych państw zmieni tradycyjny front jedności z ZSRR. Więcej - towarzystwo Rosji i Mozambiku zacznie być coraz bardziej żenujące.

Nie wszystko na świecie zależy od USA czy Zachodu w ogóle. Coraz więcej spraw dzieje się bez ich udziału. Są jednak sytuacje, które stanowią główną granicę dynamiki i nieaktywności świata demokratycznego. Inaczej data wyznaczona przez Orwella sprawdzi się na następnej sesji ONZ.

I tu, proszę Państwa, dochodzimy do punktu wyjścia. P. Hugo Gobbi, zastępca sekretarza generalnego ONZ, zarabia rocznie 125.000 dolarów, nie licząc zwrotu wydatków reprezentacyjnych. Na opracowanie raportu w sprawie sytuacji w Polsce wyasygnowano z budżetu ONZ 28.100 dolarów plus 5.700 dolarów na koszty reśe a r e s h u.

Policzmy to wszystko. P. Gobbi poświęcił pracy nad raportem 3 miesiące /grudzień 1982, styczeń i luty 1983/, co kosztuje 3/12 jego rocznych dochodów, to znaczy ok. 35.000 dolarów plus 34.000 dolarów kosztów rzeczowych. Razem niby-raport w sprawie Polski kosztował nas wszystkich 70.000 dolarów.

Jest to zwyczajna kradzież. Protestuję. A zarazem polecam mój warsztat. Gotów jestem pisać raporty dla ONZ, znacznie lepsze i znacznie taniej.

Pisane 25 kwietnia 1983 r.

Leopold Unger

P.S. Mój "Raport o stanie wojennym" Marek Nowakowski pisał faktycznie za darmo, rzyskując ponadto więzieniem. P. Gobbi napisał swój raport za bardzo dużo pieniędzy, nie ryzykując niczym, nawet posadą. Proponuję, aby raport Nowakowskiego dołączyć do raportu Gobbiego i aby obaj panowie podzielili po połowie już otrzymane honoraria. Wydając Nowakowskiego K u l t u r a podkreśliła, iż drukuje go "bez wiedzy i zgody autora". Bardzo bym chciał, aby mój raport o raporcie Gobbiego doszedł do wiedzy autora. Oraz tych, którzy mu za jego raport zapłacili. Ja też jestem gotów do podzielenia się z Gobbin moim i jego honorarium.

"Kultura", czerwiec 1983

L.U.

Józef Garliński

LIST Z LONDYNU

W czasie walk o Falklandy uformował się w Londynie pochód, jedyny w czasie całego konfliktu. Szło kilka tysięcy ludzi, na czele Anthony Benn i znana działaczka lewego skrzydła Labour Party Judith Hart, nosząca wiele mówiący tytuł D a m e of the British Empire. Pochód, pilnowany przez policję, szedł ulicami miasta i wysłał okrzyki: "Precz z imperializmem, precz z rządem, usunąć Mrs Thatcher, Falklandy dla Argentyny!". Nie było żadnych awantur, nikt nie zorganizował kontrademonstracji, ulica reagowała obojętnie na tę jaskrawą prowokację, jednak policja aresztowała jakiegoś człowieka. Nie wyciągnięto go z pochodu za antypaństwowe okrzyki, nie zainteresowano się którymś z najbardziej szalonych demagogów: aresztowano przechodnia, który z chodnika splunął na pochód.

W pierwszych tygodniach konfliktu skrajna lewica, przekonana, że na za sobą g r o s o spałego i egoistycznego społeczeństwa, przebiegającego strajkami, dającego jedynie do szybkiego zakończenia się, podniosła hałaśliwą, antyrządową propagandę, która jednak bardzo szybko ucichła. W Izbie Gmin Benn i kilku innych posłów próbowali osłabnąć stanowisko rządu, ale i tam głośno te trafiki na opór otrzymanej. Wsłupartyjskiej większości. Okazało się, że tak samo jak przed drugą wojną światową Wielka Brytania ma dwa oblicza, jedno powszechnie znane, drugie, które objawia się niespodziewanie, wbrew opiniom psychologów i znawców.

Mimo wszelkich poskrywanych w różnych ważnych punktach agentów, egzotyczny konflikt przerodził się w narodową kresjatę. Zmobilizowane prywatne okręty zostały w brytyjskim tempie przygotowane do wojennych zadań, żaden związek zawodowy nie podniósł głosu protestu, robotnicy nie tylko, że nie próbowali strajkowego szantażu, ale pracowali dzień i noc, w Izbie Gmin decyzja walki otrzymała przeważającą poparcie, niewielka zawodowa armia okazała się na najwyższym poziomie. Mieszkając tu od wielu lat, patrzyliśmy zdumieni na reakcję pragmatycznie rozumującego narodu, który podjął walkę o tysiące kilometrów od swych granic z przeciwnikiem, umocnionym już na pobliskich dniach wyspach, które trzeba było atakować z morza.

Najzauważliwiej niespodziewanie dalekie wyspy, na których mieszka mniej ludzi

niż w pierwszym lepszym tutejszym miasteczku, spowodowały kapitalny zwrot w brytyjskiej opinii publicznej i w sentymentach zamieszkałych w Wielkiej Brytanii narodów. Do chwili konfliktu trwała tu umiejętnie podsycona walka klasowa, ludziom tłumaczono, że czasy potęgi minęły bezpowrotnie, że kraj jest na granicy bankructwa i że wszystkiego trzeba się wycofać, aż oto nagle, przy pierwszej sposobności okazało się, że demagogia zupełnie nie chywa, że społeczeństwo jest zmęczone, ale nie trudnym życiem a brakiem narodowego sukcesu. Nadzieje Kramla, który wiele lat temu zdecydował, że obok Włoch Wielka Brytania jest krajem, który najłatwiej będzie zniszczyć od wewnątrz, rozwały się w ciągu kilku tygodni. Mikt z naszych stragów takiego obrotu sprawy nie przewidywał, ale konflikt falklandzki możemy zapisać po stronie naszych wielkich zwycięstw. Jednak nie tylko my okazaliśmy się gotowi do konfrontacji. Po raz pierwszy od wielu lat, od wojny koreańskiej, Z a c h o d zdobył się na zdecydowane i zwycięskie zahamowanie agresji.

X

Kilka lat temu młody chłopak, który skończył szkołę i bezskutecznie poszukiwał jakiegoś zajęcia, w rozpaczy napisał do królowej. Buckingham Palace zareagował i ofiarował chłopakowi pracę na swym terenie. W kontrakcie znalazła się klauzula, że przyjeście do pracy jest uwarunkowane zachowaniem pełnej dyskrecji odnośnie wewnętrznej życia pałacu i spraw związanych z królewską rodziną.

Były jakieś przyczyny, dla których drogi młodego państwa i koronowanego pracodawcy rozeszły się i, oczywiście, natychmiast wstężyli to wydawcy brukowego dziennika, *The Sun*. Ofiarowano tysiąc funtów za "jedyną, nigdy jeszcze nie opowiedzianą historię" i pierwszy jej odcinek natychmiast wydrukowano. Następne jednak nie ukazały się, bo zarząd pałacu, powołując się na kontrakt, zażądał wstrzymania dalszych publikacji i skierował sprawę do sądu. Znowu zdumiała nas niespodziewana, pozornie groteskowa sytuacja: z jednej strony głowa państwa, królowa, z drugiej smarkacz i brukowe pismo. Do rozprawy nie doszło, pismo cofnęło się i "strony ugodziły się poza sądem". Jakiś wspaniały przykład demokracji, ale w nim treści. Wolność prasy, swoboda jednostki, powaga władzy sądowej, niczym nie zachwiany prestiż dziedzicznej głowy państwa mimo konfliktu z brukowcem.

X

W Moskwie zmarł jeden z brytyjskiej szajki arcyzdrajców, sowiecki szpieg Donald Maclean. Symboliczny pogrzeb odbył się ze wszystkimi honorami, przed trumną niesiono sowieckie ordery, które otrzymał zmarły "jako wielki patriota", moskiewska prasa narobiła wiele hałasu. Telewizja BBC, choć formalnie niezależna, ale będąca jednak reprezentantką brytyjskiego systemu politycznego, sfilmowała i pokazała ten pogrzeb, a wielkie tutejsze pismo poświęciły zmarłemu wiele stron ilustrowanych fotografiami. /Prochy zdrajcy zostają nocą przywiezione do Wielkiej Brytanii przez jego syna i złożone na cmentarzu, niedaleko Londynu/. Patrząc na maski ekran i czytając artykuły, mało woli powrócić pamięcią do wojennych lat i tego co działo się po ich zakończeniu. Sdy sowiecki generał Andriej Wiasow, który dowodził milionową armią złożoną z sowieckich jeńców i walczącą po stronie Niemców został po wojnie wydany przez Amerykanów Moskwie i tam powieszony. P r a w d a skwitowała całą sprawę jednym zdaniem. Daleki jestem od chwaleńca sowieckich metod, ale wtedy uważałem, że Kraml ma rację, bo z sowieckiego punktu widzenia Wiasow był zdrajcą, a o zdrajcy lepiej jak najmniej pisać. Problem Macleana poruszyłem w angielskim klubie, do którego należą pracująca inteligencja; wyraziłem wątpliwość, czy jego śmierć powinna być aż tak aseroko komentowana przez telewizję i prasę. Rozmowa toczyła się w gronie kilku osób, ja jedyny byłem w nim cudzoziemcem. Mikt nie podzielił mojego zdania, wszyscy ustalili, że masowe środki przekazu powinny zajmować się tym, czym interesuje się ogół społeczeństwa. Skierowałem rozmowę na pochodzenie Macleana, na jego przynależność do uprzywilejowanej klasy społecznej, której państwo najwięcej daje. Amerykański generał uśmiechnął się i napełniając tytoniem fajkę powiedział: "Gdyby był nikim, to by jako szpieg nic nie był wart; w życiu narodu,

zwłaszcza w kryzysie, zawsze są bohaterowie i zdrajcy". Miałam wielką ochotę kontynuować a nawet podnieść dyskusję, ale nikt jej nie podtrzymał. Przypomniała mi się wtedy sprawa oficera kadłewskiej floty wojennej, który przed dekadą został skazany na wiele lat więzienia za szpiegostwo na rzecz Rosji. Żona jego była także w to wieszana; sędzia starał się ją oszczędzić, bo małżeństwo miało pięcioro dzieci, jednak nie potrafił tego dokonać. Kobieta, bądź co bądź żona oficera marynarki, choć awansowanego z podoficerów, powiedziała przed sądem: "Kupiliśmy meble na raty, nie było czym płacić, to co miałam robić? Musiałam pójść do sowieckiej ambasady". Pamiętam jak oburzył mnie wtedy ten kramicowy czynizm, ale moi angielscy przyjaciele widzieli to zupełnie inaczej; przecież ta kobieta była szczerą, mówiła prawdę.

X

Jednym z najmniebezpieczniejszych działaczy związków zawodowych jest Arthur Scargill, przywódca górników. Wcale się z tym nie kryje, że jest komunistą, ma ambicje polityczne i widzi siebie w przyszłości jako członka Izby Gmin. Scargill otwarcie głosi, że jego celem jest obalenie rządu konserwatywów, między innymi przy pomocy strajków. Ostatnio skorzystał z pretekstu, że Rada Górnicza zdecydowała zamknąć jedną z kopalni, w której węgiel się już wyczerpał, i ogłosił strajk całego swego związku. Jednak konserwatyści potrafili już doprowadzić do tego, że taki strajk musi otrzymać przynajmniej 55% głosów wszystkich górników w głosowaniu tajnym, więc Scargill musiał się temu poddać. Rezultat był niespodziewany: ponad 60% opowiedziało się przeciwko zaleceniom swego przywódcy i przeciwko strajkowi. Była to klęska Scargilla, a jednak nie odezwał się nawet najlżejszy pomruk kwestionujący formalną stronę głosowania. A przecież telewizja pokazała jak bez troski jakis młody człowiek taszczył worki z głosami a młode dziewczęta, wódniki śmiechów i rozmów, zajmowały się ich sortowaniem. Na oczach milionów rozgrywało się wielkie misterium prawdziwej demokracji, która przede wszystkim opiera się na wolnych i uczciwych głosowaniach.

W okresie, gdy Solidarność zwyciężyła, przyjeżdżali do Londynu pełni zapału młodsi ludzie i upojeni sukcesami twierdzili, że za kilka miesięcy odbędą się w Polsce wolne wybory. Cóż miałam im powiedzieć? Pamiętałam przecież Polskę przedwojenną i nasze wybory: bojkoty, protesty, nadużycia, kwestionowanie wyników. A nasza ordynacja wyborcza, w której kandydatów na posłów mogło zgłaszać tylko specjalnie dobrane zgromadzenie elektorów?

X

Kilkanaście lat temu, gdy toczyła się walka o utrzymanie Biblioteki Polskiej w Londynie w polskich rękach, POSK, który się nią opiekował, zwrócił się do władz brytyjskich z apelem o utrzymanie dotychczasowego subydiów. Właśnie zostało ono cofnięte, sprawa zatoczyła szerokie kręgi, stała się prawie mierzniakiem stosunku Brytyjczyków do naszego wychodźstwa, i dlatego POSK korespondował z członkiem rządu, Anthony Croslandem, który stał na czele Departamentu Nauki i Wiedzy, po likwidacji ministerstwa o tej samej nazwie. Odbyła się także konferencja z przedstawicielami Departamentu, w której wzięciem udziału, i dlatego POSK korespondował z członkiem rządu, Anthony Croslandem, który stał na czele Departamentu Nauki i Wiedzy, po likwidacji ministerstwa o tej samej nazwie. Odbyła się także konferencja z przedstawicielami Departamentu, w której wzięciem udziału. Nie zostało to wprost powiedziane, ale z tomu korespondencji i dyskusji wynikało wyraźnie, że rząd brytyjski nie jest zainteresowany w dalszym subsydiowaniu biblioteki i pomaganiu Polakom w podtrzymywaniu ich odrębności narodowej. Jeżeli Polacy chcą mieć własną bibliotekę jako bazę własnej kultury, muszą ją utrzymywać sami.

Od daty tego listu wiele się w Wielkiej Brytanii zmieniło. Początkowo względy gospodarcze /tania siła robocza/ a później skutki dawniejszych zobowiązań związanych z imperium sprawiły, że na tutejszych wyspach osiedlili się setki tysięcy kolorowych: Hindusów, Pakistańczyków i Murzynów z Zachodnich Indii. Liczba ich przekroczyła już trzy miliony, ciągle przybywają nowi, rodziny rozmatają się w sztyku tempie i Wielka Brytania staje się coraz bardziej krajem rasowo mieszanym, bez nadziei na integrację kolorowych przybyszów. Trzeba się było z tym pogodzić, szukać sposobów oska-

blenia powstających napięć i władze, tak centralne jak i lokalne, rozumując pragmatycznie, poczęły subsydiować instytucje kulturalne nowych obywateli, pomagając im w utrzymaniu ich odrębności.

Ten zasadniczy zwrot w wewnętrznej polityce brytyjskiej odbił się także na stosunku do polskiej emigracji politycznej, którą traktuje się tutaj jak grupę etniczną, ale różniącą się od innych spokojną, nie stwarzającą żadnych problemów, budzącą nadzieje, że się jednak kiedyś zintegruje.

Po kilku odmowach lokalne władze dzielnicy Hammermith, gdzie znajduje się POSK, wypłaciły 70.000 funtów na wykonczenie sali teatralnej, a później dodały dalsze 15.000 funtów. Wprawdzie wpłaty te połączone były z warunkiem, że z sali będą także korzystać Brytyjczycy i inne grupy etniczne /oczywiście za opłatą/, ale w niczym nie skomplikowało to swiążanych z salą planów, bo POSK nigdy nie dążył do stworzenia ze swego grachu polskiego gęttu.

Ponadto już od trzech lat władze Wielkiego Londynu subsydiują w pewnym zakresie działalność kulturalną POSK-u i wpłaciły już na ten cel prawie 10.000 funtów, obiecując, że w przyszłości pomoc ta zostanie utrzymana. Dzięki temu można było zorganizować cykl koncertów i wystawić kilka sztuk teatralnych, także i w języku angielskim.

X

Data powszechnych wyborów jest w Wielkiej Brytaniі trudna do przewidzenia, bo nigdy prawie rządząca partia nie dobiega do pełnych pięciu lat kadencji Izby Gmin i kończy ją wcześniej, zależnie od koniunktury politycznej. Przywilej wyznaczania daty wyborów należy do premiera i jest to przywilej niezwykle ważny, bo znakomicie podnosi szanse partii rządzącej. Stwarza to przeciwną przywilejom opozycji, która może krytykować wszystko bez ponoszenia jakiegokolwiek odpowiedzialności i obiecywać co się jej podoba, choć obietnice te mało mają wspólnego z życiowymi realiami.

Konserwatyści nadal zdecydowanie prowadzą we wszystkich sękietach, popularność pani Thatcher nie słabnie, znowu pisze się o Falklandach, bo już teraz rocznie brytyjskiego zwoyciństwa, więc przewiduje się, że w ciągu najbliższych miesięcy odbędą się wybory. Labour Party ogłosiła już nawet jako pierwsza 12 punktów, które staną się podstawą jej wyborczego manifestu.

Oczywiście jest w nich mowa o miliardowych inwestycjach dokonanych za pożyczkowe pieniądze, o likwidacji bezrobocia, choć baryka się z nim cały zachodni świat, o kontroli cen bez kontroli zarobków, o znacjonalizowaniu banków i towarzystw ubezpieczeniowych, jakby za mało jeszcze było bankrutujących państwowych przedsiębiorstw, o dalszym poszerzeniu praw związków zawodowych, które już teraz ustawiają się w roli czynnika ważniejszego niż rząd i parlament. Ta część dokumentu dowodzi tylko ciągłego doktrynerswa labourzystów, którzy po tylu latach doświadczeń nie chcą zrozumieć, że w sprawach gospodarczych ich pomysły zawsze kończą się fiaskiem. Jest jednak druga część planów, która z powodzeniem mogłaby być napisana w Moskwie.

Dwa punkty wysuwają się zdecydowanie na czoło: jednostronne nuklearne rozbrojenie i wycofanie się z europejskiego Wspólnego Rynku. Pierwszy z nich, gorąco oklaskiwany na Kremlu, wygląda groźnie, ale zawiera więcej propagandy i naiwności niż prawdziwego niebezpieczeństwa, bo Stany Zjednoczone zawsze znajdą miejsce w Europie dla swych baz i będą musiały jej bronić.

W związku z tym problemem wydarzył się tutaj wypadek zupełnie wyjątkowy: narazicie ktoś o machinacjach skrajnej lewicy powiedział prawdę. Wbrew żelaznej zasadzie,

że "w domu powieszzonego nie mówi się o stryczaku", nowy minister obrony, Michael Heseltine, przez wielu uważany za przyszłego przywódcę konserwatystów, jasno i bez żadnych zahamowań wymienił z imienia i nazwiska organizatorów "Kampanii Nuklearnego Rozbrojenia". Są to albo komuniści albo socjaliści, doskonale płatni, odbywający liczne podróże, mający duże doświadczenie organizacyjne i odpowiednie powiązania. Przewodnicząca, Joan Ruddock, w roku 1979 kandydowała do Izby Gmin z listy Labour Party, wiceprzewodniczący, Michael Pentz, jest członkiem partii komunistycznej, drugi wiceprzewodniczący, Roger Spiller, ma powiązania z Międzynarodowymi Socjalistami, członkowie rady to na przemian komuniści i socjaliści. "Spontaniczność" ruchu polega na tym, że tysiące naiwnych kobiet pełnych dobrej woli obiega amerykańskie bazy, mokie na deszczu, śpi pod płotem, a organizatorzy, korzystając z mechanizmu "zdalnego kierowania", odbierają dysrektywy skąd należy, podróżują w koczowniczo, śpią w hotelach.

Znaczenie groźniejsze, wprost esobdjęcym pomysłem jest labourzystowski plan wycofania kraju ze Wspólnego Rynku. Odejście jednego uczestnika nie zdecyduje oczywiście o końcu tej najważniejszej powojennej europejskiej inicjatywy, ale bardzo ją osłabi i zahamuje dalszą gospodarczą integrację zachodniej części naszego kontynentu. Wielka Brytania jest jednym z jego oczekiwanych krajów a ponadto, poprzez Commonwealth, ma wpływy w swych dawnych koloniach, rozrzuconych po całym świecie.

W gruncie rzeczy wspólny europejski rynek bardziej niepokoi Kreml niż zachodnie zbrojenia nuklearne, bo wiadomo, że Zachód wojny nie zaczyna, i dlatego pogroźki Labour Party, że po wygraniu wyborów wycofa kraj z Europy, znajdują w Moskwie gorące przyklaskujących słuchaczy.

Rozważając taką możliwość, trudno nie powrócić myślą do wojennych i wczesnych powojennych lat, gdy Wielka Brytania dzięki bezkompromisowej postawie po upadku Francji i pomocy stanej ruchom podziemnym w okupowanej przez Hitlera Europie była wielkim autorytetem, nawet w zdradzącej Polsce. Cały ten ogromny kapitał popularności został szybko rostrwoniony, gdy rządząca krajem Labour Party zabrała się do likwidacji imperium, co było konieczne, ale także szybko opuściła Europę.

Stało się tak, bo zaszedł wypadek, możliwy chyba tylko w tym kraju: Churchill, najpopularniejszy człowiek na wyspach, zwycięski wojenny przywódca, natychmiast po zakończeniu walk przegrał wybory!

Dziś wszystkie sondaże opinii publicznej wskazują na konserwatystów jako na pewnych zwycięzców w niedalekich wyborach, ale kto to na pewno wie? Czyż można kogós porównać z potężną sylwetką Churchilla w roku 1945?

Dlatego problem tutejszych wyborów i socjalistycznych pogroźek wykracza poza wewnętrzne problemy tego kraju.

London, maj 1983

"Kultura", czerwiec 1983

Józef Garliński

Jan Kowak

POLSKA I ZSRR Z PERSPEKTYWY BIAŁEGO DOMU

Ryszard FIFES, socjolog i profesor historii na Uniwersytecie w Harvardzie, urodził się w Cieszynie w roku 1923. Ojciec jego w czasie pierwszej wojny światowej walczył jako oficer w Pierwszej Brygadzie Józefa Piłsudskiego i został odznaczony Krzyżem Niepodległości z Mieczami. Po

przeniesieniu się z rodzicami do Warszawy młody Ryszard Pipes uczęszczał do gimnazjum Kreczmar w Warszawie. Rodzina opuściła Polskę w miesiąc po zajęciu stolicy przez Niemców. Mając lat siedemnaście Pipes przyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie ukończył Uniwersytet Cornello. W czasie trzyletniej służby w wojsku amerykańskim opanował biegle rosyjski i poświęcił się studiom nad historią Rosji i Związku Sowieckiego. Doktorzystał się w Harvardzie i tam objął katedrę historii. Był dyrektorem ośrodka badań rosyjskich. Uchodzi obecnie za jednego z czołowych sowietologów amerykańskich.

Rozmowę z profesorem R. Pipesem
prowadzi Jan Nowak

Nowak: - Panie Profesorze - w ciągu dwóch najbardziej dramatycznych lat w powojennej historii Polski - 1981 i 1982 - zajmował Pan wysokie stanowisko w Państwowej Radzie Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych w Białym Domu. Stykał się Pan z prezydentem Reaganem. Podlegały Panu sprawy polityki wobec Polski i Związku Sowieckiego, wywierał Pan wpływ, który w kołach Polonii oceniany jest z uznaniem. Jak pa-tray Pan obecnie, po zakończeniu swego dwuletniego urlopu akademickiego i po powrocie do Harvardu, na te dwa lata swego życia spędzone w Białym Domu?

Pipes: - Było to dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie. Całe życie spędziłem albo jako student albo jako uczony na uniwersytecie. Po raz pierwszy miałem okazję nie tylko pisać o polityce, ale brać w niej czynny udział, a w ważnych momentach wywierać pewien wpływ. Było to tym bardziej interesujące, że prezydent Reagan zmienił dotychczasowe stanowisko Ameryki wobec Związku Sowieckiego. Na przykład ani w roku 1956 ani w 1968 Stany Zjednoczone nie zrobiły niczego, by zapobiec inwazji sowieckiej na Węgry i w Czechosłowacji. Żadne sankcje nie zostały wtedy ani zapowiedziane, ani wprowadzone. Reagan był pierwszym, który nie chciał przejść do porządku dziennego nad interwencją sowiecką, choć w Polsce nie doszło do bezpośredniej inwazji.

N.: - Precedensem była jednak reakcja Cartera na inwazję Afganistanu.

P.: - Skuszenie. Różnica polega jednak na tym, że w momencie agresji Afganistan nie znajdował się w bloku sowieckim. W wypadku polskim polityka Reagana przełamywała doktrynę Breżniewa. Do tego czasu Zachód często uważał przynależność Europy wschodniej do sowieckiej sfery wpływów.

N.: - Był Pan w Białym Domu, kiedy w marcu 1981 roku zauważone zostały już po raz drugi sowieckie przygotowania do inwazji Polski. Czy sądzi Pan, że była to tylko demonstracja mająca na celu wywarcie nacisku na społeczeństwo i władze PRL, czy też zamiar interwencji wojskowej został w ostatniej chwili pominięty pod presją Stanów Zjednoczonych i Aliantów?

P.: - Nie myślę, by koncentracja wojsk mogła być środkiem nacisku na PRL. Władze polskie nie prowadziły wywiadu w Rosji i niewiele wiedzą, co się dzieje po drugiej stronie granicy. Potrzeba do tego obserwacji przy pomocy satelitów. Ludność i kierownictwo partyjne w Polsce dowiadywały się o sowieckich przygotowaniach z radia zachodniego. Rosjanie byli gotowi do inwazji, ale cofnęli się przed ostateczną decyzją, być może obawiając się reakcji Zachodu, gdy się zorientowali, że przedsięwzięcie może się okazać zbyt kosztowne. Zwiększała gdyby doszło do oporu i masowego rozlewu krwi. Bali się, że mogło to zniszczyć zupełnie d e t e n t e, która jest im potrzebna.

N.: - Jak wiadomo jeszcze przed grudniowym pogromem prezydent USA cofnął embargo na eksport zboża do Rosji wprowadzone przez Cartera po inwazji Afganista-

nu. Założmy, że w odpowiedzi na to co się stało w grudniu zostałyby zastosowane wszelkie środki nacisku wobec Rosji. A więc embargo zbożowe, zawieszenie budowy rurociągu gazowego w Europie i solidarne wstrzymanie kredytów dla Rosji - czy mogło to być skłonić Kreml do bardziej tolerancyjnej linii wobec Polski?

P.: - Weźmy te trzy możliwości po kolei. Embarga nie dało się utrzymać, bo odmówili przyłączenia się do niego trzej inni dostawcy zboża: Kanada, Argentyna i Australia.

N.: - Czy jednak te trzy kraje mogły łącznie pokryć oazy olbrzymi sowiecki deficyt 40 mln ton?

P.: - Mogły i pokrywały. Jeśnynym rezultatem embargo byłaby utrata rynku na rzecz konkurentów z ogromną stratą dla farmerów amerykańskich, którzy i tak są już w trudnym położeniu. Stało przed nami pytanie, czy embargo na zboże bardziej zaszkodzi interesom amerykańskim, czy sowieckim. W tym wypadku nie było wątpliwości.

Wstrzymanie budowy rurociągu oznaczałoby dla Rosji utratę na przyszłość dopływu twardej waluty w rocznej wysokości 10 miliardów dolarów - nie mówiąc o korzyściach natury strategicznej. W połączeniu z wstrzymaniem dopływu kredytów zachodnich dla Rosji byłby to nacisk tak dotkliwy, że być może skłoniłby Moskwę do większej tolerancji wobec Polski. Niestety, jak wiadomo, nasi europejscy partnerzy sprzeciwili się zastosowaniu tych środków presji, które mogły okazać się skutecznymi. Europa zachodnia bardziej niż Waszyngton skłonna jest do milczącego uznawania w imię polityki odprężenia po-jałtańskiego s t a t u s q u o.

N.: - Czy Pan jednak nie sądzi, że zniesienie embargo zbożowego podrytkowane było przede wszystkim obietnicami przedwyborczymi i obawą utraty głosów farmerów?

P.: - Nie. Wystarczy porównać sowiecki import zboża przed i po inwazji Afganistanu i po wprowadzeniu naszego embargo. Rosja sprowadzała te same ilości zboża, tyle, że kupowała je gdzieś indziej.

N.: - Jak Pan ocenia skuteczność nacisku gospodarczego wobec Polski?

P.: - Najdotkliwiej działa zablokowanie rękawań w sprawie rozłożenia spłaty długów polskich gwarantowanych przez rządy zachodnie, bo to zamyka możliwości zaciągania nowych kredytów. Wprawdzie reżym stara się stwarzać pozory, że sankcje nie odnośzą skutku, więc nie mają sensu, ale rząd USA zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że tak nie jest.

N.: - Czy widzi Pan realistyczne podstawy do nadziei na przyszłość? Czy należy je wiązać z rozwojem sytuacji w samej Rosji, czy z natężeniem oporu wewnętrznego w Polsce, czy wreszcie z naciskiem gospodarczym państw zachodnich?

P.: - Zmiana na lepsze może nastąpić, jeśli te wszystkie czynniki będą ze sobą współgrały. Jednakże *à la long ue* zmiany w Polsce są uzależnione od przeobrażeń systemu w ZSRR. Zależać będą od nadchodzącego kryzysu w Związku Sowieckim i nacisku społecznego, który wywoła on w samej Rosji i poza jej etnicznymi granicami ze strony innych narodowości w ZSRR i w Europie wschodniej.

N.: - A więc uważa Pan, że system sowiecki może ulegać zmianom.

P.: - Musi się zmienić po prostu dlatego, że w obecnym stanie nie funkcjonuje, co osłabia rząd zarówno na wewnątrz jak i na zewnątrz.

N.: - Biorąc pod uwagę zdecydowany opór biurokracji, nie widać w jaki spe-

sób może dojść do jakiejś reformy. Czy Pan przewiduje ewolucję ustroju czy wybuch rewolucyjny?

P.: - Jeśli ewolucyjne przemiany okażą się niemożliwe - prędzej czy później prawdopodobnie dojdzie do rewolucji. Reżym carski przed 1905 r. także przedstawiał się dalej idącym reformom i wiemy, czym się to skończyło.

N.: - Rosja carska była autokracją, a nie państwem totalnym. Ruch rewolucyjny mógł działać pod ziemią. Obecnie taki ruch w ZSRR nie istnieje. Na Zachodzie panuje opinia, że ludność Związku Sowieckiego jest zbyt uległa, by móc dojść do powtórzenia się roku 1905 i 1917.

P.: - Był także bunt marynarzy w Kronsztadzie, w 1921 roku, który zmusił Lenina do wprowadzenia NEP-u.

N.: - Czy mógłby Pan sprecyzować bliżej swoje przepowiednie kryzysu w Rosji?

P.: - Na razie opór ludności w ZSRR jest pasywny i objawia się w spadku wydajności pracy. Równocześnie niewydolność systemu powoduje przestoje i niewykorzystanie istniejących mocy produkcyjnych. Produkcja rośnie coraz wolniej i jeśli nie dojdzie do reform - wzrost może spaść do zera i nawet poniżej zera. Koszta produkcji stale rosną, a rząd wciąż przesuwa kapitały inwestycyjne do sektora wojskowego.

N.: - Krótko mówiąc, przewiduje Pan powolny schyłek gospodarczy i stałe pogarszanie się warunków życiowych.

P.: - Widzę dokładnie, co przewidywał Marks. W danym wypadku nadbudowa, czyli system polityczny, hamuje rozwój bazy ekonomicznej. Ustrój polityczny staje się w tych warunkach anachronizmem. Analiza Marxa nie sprawdzała się w odniesieniu do kapitalizmu. Okazało się, że demokracje przystosowały się łatwiej do zmieniających się warunków. W ustroju demokratycznym wciąż przechodzimy małe rewolucje, które uniemożliwiają system sowiecki.

N.: - Jak Pan ocenia Andropowa w porównaniu z jego poprzednikami?

P.: - Muszę się przyznać, że oczekiwałem większej aktywności i energii. Jak dotychczas jakoś jej nie widać. Po śmierci Breżniewa dużo się mówi w Rosji o reformie ekonomicznej, a nic się właściwie nie robi.

N.: - Czemu Pan to przypisuje? Czy właśnie obawie przed buntem aparatu?

P.: - Potrzebne są reformy na wielką skalę, które może narzucić tylko człowiek bardzo dużego kalibru, o wiele silniejszy niż Andropow. Obecnie kierownictwo po prostu brnie dalej, usiłując utrzymać z dnia na dzień obecny stan rzeczy. Propaganda wzywa do zacieśnienia dyscypliny, ale nie można dziś zastąpić bodźców do pracy terrorem, bo na to nie pozwala brak sił roboczych. Wykwalifikowanego robotnika niekiedy dziś wyrzucić z pracy, nawet jeśli jest pijakiem, bo nie ma go kim zastąpić. W rezultacie nie ma ani stalinowskiego terroru, ani bodźców do pracy, które może stworzyć tylko zmiana systemu i rzućenie na rynek większej ilości towarów konsumpcyjnych, a więc ograniczenie zbrojeń. A tego oni się boją. Tendencja schyłkowa może potrwać lata. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy i w jakiej formie dojdzie do podstawowych zmian, ale dojść do nich musi. Jest to tylko kwestia czasu. Robotnik i rolnik w Rosji odnoszą się do swego rządu tak jak w czasach niewolnictwa chłop rosyjski odnosił się do swego właściciela.

N.: - Te skłócenia wewnętrzne w ZSRR, o których Pan mówi, nie zdołają jednak powstrzymać postępu sowieckiej ekspansji, jak o tym świadczy chociażby to, co

dzieje się obecnie w Salvadorze. Podbój prowadzony przez pośredników, w tym wypadku przez Kubę i Nikaragug trwa dalej, i zagrożona jest już cała Ameryka Środkowa. Czy widzi Pan możliwości powstrzymania tej metody podboju bez uciekania się do środków wojskowych i ogólnej konfrontacji?

P.: - Problem polega na tym, że w Ameryce Kongres i opinia publiczna obawiają się powtórzenia drugiego Wietnamu. Natomiast Europa uważa, że to co się dzieje w Salvadorze i gdzie indziej jest spontaniczną i rodzimą rewolucją. Francja udziela nawet Nikaragui ograniczonej pomocy. Sowieciom udało się przekonać zachodnią opinię publiczną, że działalność partyzantki w Ameryce Łacińskiej wyrasta z autentycznych konfliktów społecznych i Rosja niewiele ma z tym wspólnego. Jest to dla nas wielki problem.

N.: - Rozumiem. Nie widzę jednak żadnej koncepcji strategicznej, która - jak mi się wydaje - powinna polegać na wykorzystaniu wewnętrznych słabości ZSRR, by tą drogą ograniczyć kosztowne plany ekspansyjne.

P.: - Właśnie administracja Reagana jest pierwszą, która podjęła inicjatywę w tym kierunku. Nacisk ekonomiczny, przede wszystkim próby wstrzymania subwencjonowanych kredytów i wywozu nowoczesnej technologii mają na celu stworzenie dodatkowego elementu narzucającego konieczność wewnętrznej reformy.

N.: - Tak, ale w praktyce ten nacisk jest dotychczas bardzo ograniczony.

P.: - Jednak Rosjanie zawiedli się w swoich oczekiwaniach dopływu olbrzymich zachodnich kredytów. Spodziewali się miliardów dolarów. Nie dostaną ich.

N.: - Będą ciągnąć dziesięć miliardów dolarów rocznie z rurociągu gazu ziemnego.

P.: - Międzytak, ale mimo wszystko spodziewali się dużo więcej i spotkał ich zawód.

N.: - W rozmowach z ludźmi z Te'zki spotykan się często z pytaniem: czy aby Ameryka znówu nas nie sprzeda? Reżymowy slogan propagandowy, że Stany Zjednoczone będą broniły Solidarności do ostatniego Polaka pada na podatny grunt doświadczeń ostatniej wojny, a w bliższej przeszłości tzw. doktryny Somenfeldta. Polska obawia się koncepcji powstrzymania Rosji, która polegałaby na nowej próbie podziału świata na strefy wpływów, opartego na zasadzie: wy nie wtrąćcie się do spraw Ameryki Łacińskiej, a my przestaniemy się interesować Europą wschodnią. Kissinger chciał, by Ameryka dobrobiła się po to, by móc dogadać się z Rosją z pozycji siły.

P.: - W czasie moich dwóch lat w Białym Domu nigdy nie zauważyłem tego rodzaju tendencji. Zaprzeczam temu wszystko, o czym dotychczas mówiliśmy. Nie wierzę, by polityka Reagana mogła kiedykolwiek pójść w tym kierunku. Dopóki dążenia do hegemonii są wbudowane w sowiecką doktrynę państwową - niebezpieczeństwo, o którym Pan mówi, nie istnieje.

N.: - W polityce amerykańskiej wobec tzw. demokracji ludowych obowiązuje zasada dyferencjacji, czyli popieranie procesów pokojowych przemian przez udzielenie pomocy czy też przywilejów handlowych i kredytowych krajom komunistycznym wykazującym tendencje do emancypacji albo liberalizacji wewnętrznej. Na tej zasadzie z pomocy amerykańskiej korzystała Polska za czasów Gierka, później Węgry i Rumunia, nie mówiąc o Jugosławii. Ale daje się zauważyć inna szkoła myślenia, według której im większe trudności napotyka Rosja w swojej orbicie, tym lepiej. Całą orbitę sowiecką trzeba więc traktować e n b l o c, nie czyniąc żadnych różnic.

P.: - Wyznawcy takich poglądów stanowią mniejszość i nie mają żadnego wpływu.

wu. Myśli tego rodzaju pokutują w niektórych sferach wojskowych.

N.: - Jakie warunki musiałyby spełnić reżym, by Stany Zjednoczone pozwoliły na rozkożenie spłaty dłuów albo na ograniczone w czasie moratorium i dopuściły PRL do Międzynarodowego Funduszu Monetarnego, co umożliwiłoby dodatkowe kredyty?

P.: - Wydaje mi się, że program Solidarności z lipca ub. roku był realistycznym i należałoby się na nim oprzeć.

N.: - Zachodzi różnica w postulatach Solidarności z lipca ub. roku i postulatów wysuwanych obecnie, po rozwiązaniu Związku. Nie mówi się o przywróceniu Solidarności jako celu na dziś. Waższą mówi tylko o pluralizmie związkowym.

P.: - Chodzi nie tyle o nazwę Solidarność, ile o osiągnięcie widocznego m o d u s y w i e n d i ę społeczeństwem. Bez jakiegoś współdziałania czynnika społecznego nie da się rozwiązać w Polsce problemów społeczno-gospodarczych. Terrorem niczego nie da się załatwić, a na zewnątrz wytwarza on klimat, w którym jakakolwiek pomoc na rzecz rządu stosującego terror staje się niemożliwa.

N.: - Przejdźmy do innego tematu. Zanim Reagan został prezydentem, był podobnie jak Carter prowincjonalnym politykiem - dobrym gubernatorem zachodniego stanu Kalifornia. Niewiele miał wspólnego z polityką zagraniczną. Mówi Pan nie raz, że prezydent okazuje pewne osobiste zaangażowania w sprawę Polski. Dziwne, że ten niewielki kraj, który Reaganowi musiał się wydawać odległy i nieznan, zdobył sobie jakies - bo ja wiem - może nawet emocjonalne zaangażowanie samego prezydenta. Jak Pan to tłumaczy?

P.: - Poznaniem Reagana dopiero po wyborach, ale wydaje mi się, że to co się stało w Polsce w roku osiemdziesiątym było dla niego jakąś pozytywną oznaką, że komunizm może ewoluować w kierunku demokracji bez przelewu krwi. Gdy Solidarność pod naciskiem sowieckim została znięta, był to dla Reagana głęboki wstrząs. Prezydent przejął się wtedy głęboko wypadkami w Polsce i właściwie grudzień, styczeń i luty upłynęły w Białym Domu pod wrażeniem tego, co się działo w Polsce. Polska stała się w jakimś stopniu nadzieją dla reszty świata.

N.: - Był Pan obecny w Białym Domu na prywatnym pokazie filmu Wajdy "Człowiek z żelaza". Jaka była reakcja prezydenta?

P.: - Wiceprezydent Bush z żoną siedział za mną i szepnął mi na początku, że oboje po paru minutach wyjdą, bo on czuje się zmęczony. Siedzieli do końca, bite dwie i pół godziny. Prezydent dzielił się swoimi uwagami ze Spasowskimi, którzy siedzieli obok niego. Ja z nim nie rozmawiałem, ale wiem, że był bardzo poruszony, zwłaszcza końcowym akordem. Reagan jest człowiekiem bardzo uczuciowym, co wbrew utartym pojęciom wcale nie musi mieć w polityce pejoratywnego znaczenia. Instykt często okazuje się lepszym doradcą niż analiza w stylu R e a l p o l i t i k, wyprana z wszelkich elementów natury moralnej.

N.: - Co Panu najmocniej utkwiło w pamięci z tych dwu lat spędzonych w pobliżu głównego oboziska? Co było Pana największym przeżyciem?

P.: - Chyba ta noc 13 grudnia, kiedy nadeszła wiadomość o uderzeniu w Solidarność. Zaczęto się od depezy, że siedziba Solidarności Mazowsze w Warszawie jest otoczona przez wojsko i milicję. Zostałem wezwany do Białego Domu i część nocy spędziłem w pokoju operacyjnym. Był to w e s k e n d. Prezydent wyjechał do Camp David. Przekazywałem mu na bieżąco, telefonem, wiadomości, które napływały z ambasady w Warszawie i ze wszystkich innych źródeł. Był z nami wiceprezydent Bush, szef sztabu prezydenta Jim Baker, admirał Nance, pełniący wtedy obowiązki doradcy do spraw bezpieczeństwa, admirał Pointdexter i inni. Były to chwile wielkiego napięcia. Dalekopisy wystukiwały wiadomości agencji rzą-

dowych i prasowych. Poufne informacje były donoszone przez gości wojskowych. Wiedzieliśmy, że wszystkie kontakty Warszawy z prowincją zostały odcięte. Następne dni upływały pod znakiem Polski.

N.: - Dlaczego reakcja nastąpiła z tak wielkim opóźnieniem? Reagan zabrał głos po raz pierwszy dopiero po 10 dniach, w wille Bożego Narodzenia, a przemówienia wprowadzające sankcje wygłosił w początkach stycznia. Czy przyczyną tej zwłoki były przeciągające się konsultacje z Aliantami?

P.: - Alianci istotnie zwlekali. Przyczyny zwłoki były jednak przede wszystkim natury technicznej. Trzeba było starannie przestudiować wszystkie możliwości i konsekwencje prawne, polityczne i gospodarcze. Zebranie wszystkich informacji, opinii i podjęcie przez prezydenta ostatecznej decyzji wymagało czasu. Brakem sam udział w przygotowaniu tej listy i wiem, ile pracy było z tym związanej.

N.: - Dziękuję bardzo za rozmowę.

"Kultura", czerwiec 1983

Leopold Unger

JAJTA - HELSINKI - MADRYT

PRAWO DO BRZYDOTY

Netto: "Mężczyźni mają prawo do brzydoty,
ale XY przesadził..."

Markiza de Sevigne

Zachód też przesadził. Politycy mają prawo do cynizmu. Ale nie do tego stopnia. Poważna analiza stosunku Zachodu do tzw. sprawy polskiej czeka na swojego autora, niektóre elementy jednak warto są natychmiastowego ujęcia. Zanim jakiś wielki malarz namaluje fresk, już dziś trzeba na gorąco szkicować detale. Na razie "Życie jak w Madrycie", potem będzie więcej. Niestety.

I. SAMOÓJSTWO RODZINY ANDROPOW

Ojcowie mają prawo do dbania o swoje dzieci, ale Andropow przesadził. Fakt, że aż dwóch Andropowów /ojciec na Kremlu, syn w Hiszpanii/ zajmowało się konferencje w Madrycie, badającą sposób w jaki 35 państw cała Europa /bez Albanii/ oraz USA i Kanada, realizowały albo raczej gwałciły akt końcowy podpisany w sierpniu 1975 w Helsinkach, powinien być od razu wydad się podejrzany. Po zakończeniu Madrytu władz wyraźnie o co rodzinie Andropowów chodziło.

Konferencja w Madrycie zakończyła się prawie dokładnie w 10-tą rocznicę rozpoczęcia tzw. "procesu helsińskiego". Pomysł był sowiecki, jak zawsze zresztą. Kreml przekonał wówczas Zachód, iż jest to dobry interes dla wszystkich i że w zamian za pierwsze dwa "koszyki" regulujące sprawy bezpieczeństwa i współpracy gospodarczej, wyrażnie faworyzujące tezy i interesy ZSRR, Zachód otrzymuje trzeci "koszyk" dotyczący praw człowieka, zwiastujący nadejście demokracji na Wschodzie. Nie warto wracać do smutnej historii: represje wyniszczyły dysydentów, Moskwa napadła

na Afganistan, i poprzez wojsko i policję polską, wyduska "Solidarność" i nadzieję Polaków.

Proces halskiński jednak nie został przerwany. Odrotnie. Zwyciężyła znowu teza sowiecka: im gorzej tym bardziej dialog jest potrzebny. W Madrycie trwał trzy lata. Najpierw konferencja miała zacząć z powodu Afganistanu, potem z powodu Polski. Przeżyła wszystko. Urodziła nawet matę; osiem konferencji następujących już jest zaplanowanych na okres do 1986 roku. A potem zobaczymy.

Na pozór, Kremł postanowił popełnić w Madrycie samobójstwo. Tzw. komunikat końcowy, czyli kompromis osiągnięty w Madrycie brzmi jak akt wejścia Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich. Kremł proklamuje w nim bowiem swą "niezwąszoną wolę" zapewniania swoim poddanym praw obywatelskich, politycznych, gospodarczych i społecznych oraz innych praw człowieka i innych zasadniczych swobód. Kremł podjął również jednocześnie cały szereg dokładnych zobowiązań w zakresie wolności religijnej, słowa, kontaktów ludzkich, a nawet praw związkowych.

Są to intencje chwalebne, ale w tym wypadku podejrzane. Żaden z kurdupłów nie zamierza popełnić samobójstwa. Nikt też nie ma wątpliwości co do praktycznych skutków zobowiązań podjętych przez Kremł w Madrycie. Tym bardziej warto więc przyjrzeć się powodóm, dla których Moskwa pozwoliła się zamknąć w tak obcisły kaftan zobowiązań prawnych, absolutnie nie do zrealizowania w ZSRR, chyba żeby ustąpił sowiecki przekształcił się nagle w demokrację brytyjską, czego nie należy na razie brać pod uwagę. Jaki więc cel miał Kremł na oku, opisując Zachodowi broń psychologiczną teoretycznie ogromnie skuteczną w zimnej wojnie, którą wszak prezydent Reagan zamierza prowadzić przeciwko państwu określonemu jako "imperium zła"?

Zanim jednak odpowiemy na to pytanie, najpierw - jak stałe powtarzam młodemu i naiwnym adeptom zawodu dziennikarskiego - informacja, a potem przyjemność.

a/ Jak powstaje tzw. kompromis?

Konferencja madrycka została otwarta, w wielkich bólach z powodu Afganistanu, 11 listopada 1980 roku. Rok później, w pierwszych dniach grudnia 1981, osiem państw tzw. neutralnych i niezangażowanych /Austria, Cypr, Finlandia, Jugosławia, Lichtensztajn, San Marino, Szwecja i Szwajcaria/, przedstawiły pierwszy projekt dokumentu końcowego, zawierający niesmiałą próbę znalezienia wspólnego mianownika dla stanowisk Wschodu i Zachodu podzielonych w absolutnie wszystkich poważnych sprawach objętych porządkiem dziennym konferencji.

Próba zmarła właściwie przed narodzeniem. Pucz polskich generałów dobił ją, wydawało się wówczas że na zawsze, a przynajmniej na bardzo długo. Kiedy w lutym 1982 roku kilkunastu ministrów spraw zagranicznych państw zachodnich gnanych świętym oburzeniem, wywijając połam fraków i grożąc ogniem i mieczem zjechało się do Madrytu aby postawić ZSRR i PRL za kary do kęsa, wydawało się, iż nie już nie zdąża konferencja uchronić od choćby przewidywanego skonania. Wszystkie paragrafy aktu końcowego z Helsinek zostały wszakże w Polsce dokumentnie pogwałcone i podarte na strzępy. Po cóż więc podpisywać nowy, kiedy atrament, no i krew, na poprzednim jeszcze nie wyschły? Grupie pytanie.

W marcu 1983 roku, niestrudzona ósemka neutralno-niezangażowana przedstawiła nowy projekt. Zanim Zachód coś powiedział, Moskwa już go przyjęła. Podejrzane, pomyślał Zachód, zwłaszcza, iż nowy projekt dotyczył tak niebezpiecznych punktów jak sprawy podzielonych rodzin i prawa związkowe. Rosztawili więc wprowadzić do niego kilka poprawek. Aleśmy im "poprawili", pomyślano w sztabie NATO, gdzie obraduje specjalny komitet do spraw Madrytu. I rzeczywiście. Moskwa z pogardą odrzuca poprawki zachodnie, które dotyczyły nielegalnych, subwersyjnych, antykomunistycz-

nych akcji, takich np. jak zakaz zakłuszania audycji radiowych czy zwołania konferencji ekspertów na temat kontaktów ludzkich. I zapanowała ciemność.

Stędy wkroczył nowy, młody i sprytny, socjalistyczny premier Hiszpanii, p. Gonzalez. Tak jak wszyscy, on także miał absolutnie dosyć tej farsy, gdzie faktycznie tylko dwie role były poważnie obsadzone, a cała reszta /pocnijam tu farsę w farsie w wykonaniu p. Mintoffa, premiera Malty/, sprowadzała się do statystowania. 17 czerwca 1983, szybki Gonzalez zaproponował /on także/ kompromis: Zachód zręcznie z poprawi dotyczącej zakłuszania, Wschód zgodzi się na konferencję w sprawach ludzkich. Początkowo Moskwa odrzuciła ten pomysł. Pewnego dnia jednak Andropow junior pojechał do Andropowa seniora i ku ogólnemu zaskoczeniu /z wyjątkiem p. Kämpelmana, ambasadora USA/, Moskwa kompromis p. Gonzaleza zaakceptowała.

Reszta była już formalnością. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Koniec koszmaru. Tylko Malta znów wzięta na siebie rolę błazna. P. Mintoff odmówił podpisania dokumentu /tzw. konsensus jest niezbędny w procedurze helsińskiej/, żądając aby jedna z następnych konferencji "35" zajęła się sprawą bezpieczeństwa basenu śródziemnomorskiego. Jest to naturalnie absurd /nia sprawa bezpieczeństwa, ale sprawa takiej konferencji/, wystarczy przeciw siebie do czego by doszło gdyby obok 35 maxików z czwórki helsińskiej czy madryckiego, wystąpili np. jeszcze ich koleady z Algieru, Libii i Izraela. W chwili gdy piszę te słowa, nie wiadomo jak się skończy fronta Malty, jest to zresztą nieważne. Ważne jest natomiast to, że po to aby znieść opór maltańskiego komedianta, doszło do koalicji wszystkich sił ZSRR i USA, Rumunii i San Marino, a delegat holenderski, dystynżowany dżentelmen, nie wytrzymał i przy pełnej sali wyzwał Maltańczyków od idiotów i błaznów.

O co chodzi? Jaka ta koalicja i ten antymaltański konsensus? Dlaczego Moskwa, tak szalenie czuła na suwerenność małych, bezbronnych państw, wystąpiła u boku imperialistycznych USA w związku na Malcie? Ale zaowu - najpierw informacja, a potem przyjemność.

b/ C o z a w i e r a t z w. k o m p r o m i s ?

Akt końcowy z Madrytu liczy około 40 stronnic, zaczyna się od potwierdzenia znaczenia jakie układające się państwa przywiązują do "prawdziwego bezpieczeństwa i prawdziwego odprężenia". Jakką, ubolewają one nad "pogorszeniem się sytuacji międzynarodowej do jakiego doszło po konferencji w Belgradzie w 1977 roku" /Afghanistan, Polska, nie licząc tyłdicy "pogorszeń" indywidualnych/ i uważają, że "przebieg procesu helsińskiego wymaga równoległego postępu we wszystkich obszarach objętych aktem końcowym z Helsinek". W tym kontekście, dokument madrycki zauważa, że doszło do "poważnego pogwałcenia niektórych zasad" zdefiniowanych w Helsinkach w 1975 roku. O jakie zasady chodzi, dokument madrycki nie mówi, możemy więc się tylko domyślać.

Rozdział na temat bezpieczeństwa w Europie ponawia naturalnie zobowiązania do wyrzeczenia się siły w rozwiązywaniu sporów międzynarodowych i narodowych, potwierdza konieczność "powstrzymania wzrostu zapasów broni", zapowiada "kontynuowanie wysiłków zmierzających do wzmożenia zaufania i bezpieczeństwa" oraz powołuje spore uwagi sprawnie terroryzmu. Układające się państwa "potępiają terror, w tym także w stosunkach międzynarodowych" i deklarują "swą stanowczą wolę podjęcia właściwych kroków w celu zapobieżenia i zwalczania terroryzmu tak w skali krajowej co i na drodze międzynarodowej współpracy". Układające się państwa zobowiązują się także do "zastosowania wszelkich środków aby ich terytorium nie mogło być użyte do przygotowania, organizowania, lub prowadzenia działalności terrorystycznej", lub też innej "działalności dywersyjnej zmierzającej do obalenia siły ustroju innego układającego się państwa".

Rozdział na temat praw człowieka wyraża zdecydowaną wolę zapewniania "wszel-

kich swobód obywatelskich i podstawowych praw człowieka". W tym celu państwa-sygnatariusze z Madrytu zapewnią "wolność wiary oraz wolność praktyk religijnych, indywidualnie lub zbiorczo, wszelkich wyznań zgodnie z nakazami sumienia". Państwa-sygnatariusze zobowiązują się również "do poszanowania prawa pracowników do tworzenia i należenia do związków zawodowych, prawa związków zawodowych do swobodnego prowadzenia ich działalności i korzystania z uprawnień wynikających w tej dziedzinie z prawa międzynarodowego".

Państwa podpisujące dokument z Madrytu zobowiązują się także do "przyspieszenia procedury udzielania zezwoleń na spotkania rodzinne o charakterze małżeńskim". Jeżeli chodzi o zgodę na łączenie rodzin lub małżeństwa między obywatelami różnych krajów o nie małżeńskim charakterze, to okres oczekiwania na zgodę nie powinien "na ogół" przekraczać sześciu miesięcy. W innych przypadkach rodzinnych "okres oczekiwania powinien być stopniowo zmniejszany". Dokument precyzuje, że obywatel, który stara się o taką zgodę nie powinien być przedmiotem żadnych represji. W tym kontekście dokument madrycki zapewnia "wolny dostęp do misji dyplomatycznych i konsularnych".

Rozdział na temat bezpieczeństwa przewiduje zwołanie konferencji dotyczącej rozbrojenia w Europie. Chodzi o stary projekt francuski /znany pod inicjałami CDE/, którego pierwsza faza ma dotyczyć kroków zmierzających do "zmocnienia zaufania". Chodzi tu przede wszystkim o takie rzeczy jak uprzedzenie o manewrach czy ruchach wojskowych innego typu.

Rozdział na temat współpracy powtarza życzenia z Helsinek w sensie zacieśnienia kooperacji gospodarczej, naukowej i technicznej, podkreślając przy tym zależność między postępem w tej dziedzinie, a realizacją zasad zawartych w akcie końcowym w ogóle.

W rozdziale na temat informacji, dokument madrycki domaga się od państw podpisujących "wolnego i szerokiego obrotu wydawnictw importowanych z innych krajów i zwiększenia punktów sprzedaży tych wydawnictw". Inne paragrafy przewidują ułatwienia pracy korespondentów zagranicznych, ich poruszania się i ich kontaktów zawodowych. Podania o wizy dla dziennikarzy zagranicznych powinny być załatwiane "bez zwłoki".

Wreszcie, dokument zapowiada zwołanie całej serii spotkań posadryckich, od konferencji CDE w Sztokholmie w styczniu 1984, poprzez Ottawę w 1985 i Berno w 1986 w sprawach ludzkich, Wenecję i Budapeszt na różne tematy współpracy gospodarczej, naukowej i kulturalnej, a nawet Ateny, gdzie w marcu 1984 specjalna grupa ekspertów z 35 krajów obradować będzie nad "pokojowym rozwiązywaniem konfliktów międzynarodowych..." aż po nową konferencję "35" w listopadzie 1986 we Wiedniu.

Dokument madrycki nie określa jak długo konferencja wiedeńska miałaby trwać. Jest to o tyle zrozumiałe, że konferencja madrycka miała się pierwotnie skończyć... 5 marca 1984.

Tyle byłoby informacji, w zasadzie obiektywnie streszczonych, o dokumencie madryckim. A teraz kolej na przyjemność.

c/ C o z n a c z y t z w. k o m p r o m i s ?

Moskwa w Madrycie raz jeszcze udzieliła Zachodowi wielkiej lekcji dyplomacji. Podjęte przez nią zobowiązania w dziedzinie praw człowieka są całkowicie nierealistyczne i ani przez chwilę Kreml nie brak ich poważnie, podobnie jak to było z takimi samymi zobowiązaniami w Helsinkach. Czyli jednak "koncesję" i godząc się na pseudo-kompromis, Moskwa uzyskuje w zamian zasadniczo realne korzyści polityczne, dwie w dziedzinie strategii i znacznie więcej w dziedzinie taktyki.

Po pierwsze Kreml uratował od śmierci, niechybnej w razie fiaska w Madrycie, tzw. "proces i ducha Helsinek". To nie jest abstrakcja. Wiedząc Madryt dokumentem końcowym, Moskwa unika podważenia zasady s t a t u s q u o terytorialnego, tzn. niepodważalności granic narzuconych Europie po drugiej wojnie światowej. ZSRR ciągle zafascynowany "buzazką" w stosunkach międzynarodowych, nie zapomina, ani w Helsinkach, ani Madrycie, że w Europie wojna nie zakończyła się podpisaniem traktatu pokojowego i że w takiej sytuacji akt końcowy z Helsinek, potwierdzony aktem końcowym w Madrycie, jest jedynym wielostronnym dokumentem międzynarodowym uznającym nienaruszalność granic powojennych, to znaczy - w optyce sowieckiej - podział Europy i satelizację państw Europy wschodniej i środkowej. Madryt dla Kremia równa się więc Józefowi. Takie równanie nie ma ceny dla Moskwy. Pozornie powinno tak być także dla Zachodu. Nicie np. wydawało się, że groźba jednostronnego wypowiedzenia aktu końcowego z Helsinek stanowić najbardziej przerażającą broń w arsenale przewidzianym przez Zachód w wypadku bezpośredniej czy pośredniej interwencji sowieckiej w Polsce w 1981 roku. Prawdopodobnie się myliłem. Ani bowiem przez chwilę delegacji zachodni nie brali pod uwagę zerwania, lub choćby zawieszenia konferencji madryckiej i postawienia choćby symbolicznego znaku zapytania nad trwałością ustaleń aktu z Helsinek. Widocznie w Polsce nic ważnego w końcu się nie stało.

Po drugie, akceptując "kompromis" madrycki i kalendarz spotkań pomadryckich, Moskwa uruchamia na nowo dynamikę dialogu wschód - zachód na swoich warunkach. Nie należy zapominać, że uroczystość podpisania dokumentu madryckiego ma nastąpić z początkiem września /kiedy ten numer K u l t u r y dotrze do czytelników, być może będzie już po hecy/ z udziałem 35 ministrów spraw zagranicznych. Inaczej mówiąc, spotkają się tam także Shultz z Gromyką. I słusznie. Dokument madrycki jest bowiem pierwszym wielostronnym politycznym układem wschód - zachód, zawartym od czasu inwazji na Afganistan i na Polskę i jest ponadto pierwszym kontaktem, a także pośrednim, ale już bez inwektyw, między Reaganem a Andropowem. A o czym innym marzył Kreml? Czyż nie byłoby nietaktem gdyby w tych warunkach ktoś przypomniał np. o losie aresztowanych przywódców "Solidarności", czy Korowców, Żydów sowieckich czy państwa Sacharow?

Delegaci sowieccy wezmą naturalnie udział na konferencjach na temat praw człowieka, gdzie wysłuchają bez mrugnienia oka zachodnich pretensji na temat gwałtu itp. a sami ponowią oskarżenia Zachodu o łamanie praw człowieka przez USA w Afganistanie i... Afganistanie /dośćownie P r a w d a z 18 lipca.../ Przede wszystkim jednak Sowieci zajmą się konferencjami na temat współpracy gospodarczej i technologicznej. Oni wiedzą, że takie konferencje stanowią idealne forum do wygrzywania konkurencji między Europą zachodnią a USA, a także między państwami Europy zachodniej bez USA. Atmosfera takich konferencji ułatwia potępienie wszelkich embargów i ograniczeń gospodarczych z powodów politycznych. To właśnie ten typ dynamiki dialogu pozwala Moskwie wyrywać wszelkie nieporozumienia, delikatnie mówiąc, między państwami zachodnimi, niezgodnymi do uzgodnienia prawdziwych priorytetów w ich interesach, siłkonych sprzedać sobie nawzajem za kilometr rury gazociągowej czy tonę zboża. To ta dynamika "dialogu" otworzyła Moskwie możliwość wygrania już nie tylko różnic między opozycją a rządem w RFN, ale nawet w łonie większości rządowej. Jak inaczej można wytłumaczyć skandaliczną wycieczkę Straussa do Polski i NRD, kiedy ów do niedawna postrach na dzieci w Polsce, pochwalił Jaruzelskiego i podarował miliard DM Honeckerowi?

Po trzecie, w zamian za swe "ustępstwa" /takie np. jak obietnica zwolnienia niektórych więźniów politycznych, łagodnych zielonoświątkowców, ale nie Orłowa, folklorystycznych pacyfistów, ale nie Szczarańskiego/, Moskwa w Madrycie potrafiła narzucić swoją taktykę i potrafiła przekonać Zachód, że:

a/ Nie należy precyzować, iż konferencja CDE w Sztokholmie powinna ograniczyć się wyłącznie do kategorii broni konwencjonalnych. Teoretycznie więc będzie ona mogła dyskutować także na temat broni atomowych. Można więc sobie wyobrazić z jaką drażliwą chucią rzuca się Rosjanie w tę wyrwę aby wykorzystać okazję dla uruchomienia

nia i wzmocnienia swoich "inicjatyw pokojowych" /idzie gorąca jesień - zapowiadają "niezależni" pacyfści w RFN/, a przede wszystkim dla wywarcia nacisku na negocjacje atomowe w Genewie.

b/ Faza przygotowawcza do konferencji w Sztokholmie, zapowiedzianej na styczeń 1984, powinna się rozpocząć w Helsinkach już w październiku 1983. Jeżeli wziąć pod uwagę, że początek instalowania amerykańskich rakiet Pershing i Cruise przewidziany jest na grudzień 1983 roku, staje się jasne dlaczego ze wszystkich ośmiu spotkań wschód-zachód zapowiedzianych przez "kompromis" w Madrycie, tylko wiadomość o konferencji GDE w Sztokholmie została naprawdę rozpowszechniona przez prasę sowiecką.

c/ Konferencja w Sztokholmie, po której Moskwa tak wiele sobie obiecuje, powinna się zacząć natychmiast /faktycznie w październiku w Helsinkach/ i nie powinna być ograniczona w czasie /według ekspertów potrwa około 10 lat!/, ale zenująca Kreml konferencja na temat praw człowieka w Bernie nie powinna się odbyć przed 1986 rokiem i jest ograniczona do sześciu tygodni.

d/ Prawo "pracowników do tworzenia związków zawodowych" itd. należy zaopatrzyć uwagę, iż realizacja tego prawa może nastąpić tylko "w zgodzie z ustawami zainteresowanych państw". Wystarczy spojrzeć na przykład zastosowania tego "prawa do tworzenia związków zawodowych" w Polsce po 13 grudnia 1981, aby zrozumieć jaki to paragraf podpisał Zachód w Madrycie.

e/ Zobowiązanie do wydawania paszportów w celu ułatwienia kontaktów rodzinnych "losowych" i innych, należy zaopatrzyć uwagę, że nastąpi to "w sposób tak szybki jak tylko to będzie możliwe". Co to znaczy, możliwe, dla kogo? Młody chłopak umarł w Moskwie, bo nie dano mu na czas wizy na operację do USA, prof. Sacharow umrze prawdopodobnie zanim KGB pozwoli mu ujrzeć wnatczkę w Bostonie, setki osób w Rumunii czekają na paszport aby połączyć się z rodzinami na Zachodzie i "umilają" sobie czas głodówkami... Wszystko w zgodzie z Madrytem: "szybciej nie było możliwe".

f/ Należy wyeliminować z 40-stronnicowego dokumentu w Madrycie nie tylko takie subwersyjne słowa jak Afganistan czy Polska, chociaż te dwa epizody historii wapólcześniejszej wisiły jak chmura przez cały czas obrad w Pałacu Kongresów w Madrycie, ale należy przemilczeć także los tych wszystkich, którzy znaleźli się - lub znajdują w więzieniu z powodu niezłownego zainteresowania sposobem w jaki ich kraje "realizują" zasady ustalone w Helsinkach, a obecnie w Madrycie. W czasie trwania obrad w Madrycie, poszedł do gułazu ostatni członek grupy helsińskiej w ZSRR. Przepraszam, jeden z subwersantów jest na wolności: pani Helena Bonner, żona więźnia z Gorki o nazwisku Sacharow. Gdzie będą członkowie polskiej grupy helsińskiej /lub madryckiej/ powołanej przez "Solidarność" w chwili kiedy zbierze się konferencja w Bernie?

g/ No i na koniec tej listy, którą można by oczywiście ciągnąć jeszcze długo, najważniejsza chyba gaffa Zachodu w Madrycie. Chodzi na pozór o normalną w każdych negocjacjach grę taktyczną, gdzie pozycje wyjściowe zawsze zawierają pewne propozycje przewidziane z góry do porzucenia w zamian za podobnej wartości koncesje przeciwnika. Godząc się jednak w Madrycie na wyeliminowanie sprawy zagłuszania swich /i Izraela/ programów radiowych, Zachód popełnił lekkomyślność, błąd i zbrodnię.

Lekkomyślność, ponieważ wycofanie się Zachodu z żądania zakazu zagłuszania oznacza, w interpretacji sowieckiej, zgodę na zagłuszanie. Jest to po prostu nie do pójścia. Jest to największa cena jaką Zachód kiedykolwiek zapłacił za "kompromis" z Rosją. Radio stacji najpotężniejszą broń w rękach Zachodu. Siła oddziaływania RWE czy Liberty z RFN jest znacznie skuteczniejsza niż Pershingi w RFN. Polakom nie trzeba zresztą tego tłumaczyć. Amerykanom trzeba. Budżet sowiecki przeznaczony na zagłuszanie programów zachodnich równa się całemu budżetowi BBC. Czyżby Rosjanie

wydawali takie suny dla kaprysu? Za taką ustępstwo Zachód mógł otrzymać znacznie większe zadośćuczynienie niż zgodę na konferencję w sprawie kontaktów ludzkich czy rodzinnych, na którą Rosjanie i tak byli gotowi się zgodzić w zamian za konferencję sztokholmską choćby. Nieodpowiedzialna puźdo o fatalnych skutkach.

Błąd, ponieważ jeżeli Zachód nie był przekonany o możliwości zmuszenia Moskwy do umieszczenia zakazu zagłuszenia w dokumencie końcowym w Madrycie, nie powinien był w ogóle wysuwać tego żądania. Jest to bowiem postulat z kategorii: "albo wszystko, albo nic". Radio jest bronią we współzawodnictwie ideologicznym, którego rangę wyznaczył nie Zachód a Rosja właśnie. Rezygnacja z tego żądania nie jest więc niczym innym niż kapitulacją o charakterze ideologicznym. Nie trzeba bogatej wyobraźni aby zdać sobie sprawę z użytku jaki Kreml z tej kapitulacji uczyni.

Zbrodnia, albowiem rezygnując ze swego oręcza "w wojnie w eterze", Zachód podpisał się pod wyrokiem śmierci na Zdzisława Najdera, skazanego przez gang warszawski, na szczęście zakazu zagłuszenia, na rozstrzelanie za objęcie dyrekcji sekcji polskiej Radia Wolna Europa. "Wyrok" na Najdera miał być przede wszystkim ostrzeżeniem dla tych wszystkich, którzy starają się przebić żelazny mur buczenia, mający chronić wszystkie Kremlu i ich monopol informacji, od prawdy idącej na falach radiowych. Jak wytłumaczyć tym, którzy na Wschodzie zwalczają zagłuszenie za cenę ostatek ich własnej wolności, że to w imię pokoju i szczęścia powszechnego, wytworni dyplomaci, żyjący w dobrobycie i wolności, uznali, że można z tego akurat postulatu bez szkody zrezygnować.

II. ODSIEDZIMY. PÓŹNIEJ.

Dosyć tej litanii. Przed postawieniem kropki należy jednak gwooli obiektywizmu uczynić dwie uwagi. Po pierwsze, nie wszyscy komentatorzy są mojego zdania. Niektórzy uważają Madryt za sukces Zachodu. Pewien bardzo poważny dyplomata specjalnie do mnie /i do innych/ zadzwonił z Madrytu, aby mnie przekonał o dużym osiągnięciu jakim jest dokument końcowy z punktu widzenia Zachodu w ideologicznej konfrontacji ze Wschodem. Niemiecka gazeta K i e l e r N a c h r i c h t e n /pamiętam inne, tę mam bowiem akurat pod ręką/ napisała, że dokument końcowy jest ważny i dla niewolnych obywateli Wschodu, ale i "dla obywateli i rządów krajów zachodnich, które także nie przestrzegają w całości zasad helsińskich" i że wynik konferencji, która, jak gazeta przypomina, została wszak "poważnie wstrząśnięta" ogłoszeniem stanu wojennego w Polsce, stanowi "mały cud".

Po drugie i ostatnie. W polityce ołów nie ma. Jest natomiast strategia, taktyka i wola działania. Na razie Madryt to sukces Moskwy, Warszawy itd. Jest jednak prawdą, iż dokument madrycki może stać się prawdziwym kompromisem. Ale to zależy wyłącznie od woli Zachodu wykorzystania zryzków i sporych, mimo wszystko, możliwości interpretacji, jakie daje 40 stronie zredagowanych w Madrycie.

Rządy i opinia na Zachodzie otrzymują potencjalnie poważny instrument stałego nacisku na rządy sowieckie i pochodne. Dokument madrycki daje możliwość regularnego domagania się od rządów wschodnich i ich tzw. organizacji społecznych /np. kulturalnych lub dziennikarskich/ "rozliczenia się" z ich sposobu traktowania zobowiązań międzynarodowych. Nie mam iluzji, co myślę o ONZ czy UNESCO powiedziałem w moim poprzednim lamencie, ale jakież to jednak wygodne forum i trybuna do kierowania pod adresem Wschodu litwy pytań związanych z n i a u n i k n i e n y m wszak gwałceniem przez państwa wschodnie wszystkich kolejnych paragrafów dokumentu z Helsinek czy Madrytu! Będzie forum kulturalne i to w Budapeszcie, coś to za okazja do sprawdzenia losu artystów, aktorów, wszystkich ZASP-ów, będzie forum naukowe: los Sacharowa powinien figurować na pierwszym miejscu./Przypominam, że przy takiej samej okazji w Hamburgu, uczeni z całego świata podpisali końcowy dokument, w którym nie było nawet wzmianki o Sacharowie, chociaż panowie ci spotkali się w

kilka tygodni po deportowaniu ich kolegi, laureata nagrody pokojowej Nobla, do miasta Gorki/. Wolny dostęp do zachodnich ambasad, wszak to dziś kpina, wystarczy podejść na kilkadziesiąt metrów od tych twierdz i fortec w Moskwie czy Bukareszcie, nie mówiąc już o Warszawie, aby znaleźć się pod groźbą kalasznikowców.

Trzeba skończyć po prostu z zasadą: nie drażnić Sowieców. Odwrotnie - trzeba ich drażnić. Oni tak szybko i z byle powodu nie wyjdą z nerw i nie wypowiedzą trzeciej wojny światowej. Natomiast dokument mądrycki zacznie wtedy zwracać choćby uwagę na kolosalnych kosztów jego wyprodukowania. W skrócie mówiąc, jak każdy kompromis, także dokument mądrycki może funkcjonować jak bumerang. Zachód może także się nim posługiwać. Musi tylko umieć. No, a przede wszystkim, musi chcieć...

Pewien dyplomata brytyjski tłumaczył mi, że w negocjacjach z Kremlem wygrywa ten, kto zdecydowany i zdolny jest pozostać przy konferencyjnym stole o dzień dłużej niż Rosjanie. Zachód w Madrycie miastety się spieszy. Oby nie musiał odsieźć tego później...

Pisane 15 sierpnia 1983

"Kultura", wrzesień 1983

Leopold Unger

Józef Garliński

LIST Z LONDYNU /2/

W tym samym dniu, w którym ogłoszono wyniki wyborów do parlamentu, prasa zawiadomiła społeczeństwo, że w najbliższym czasie kredyt podrożeje o półtora procent. Podniesiono krzyk, próbowano zrobić z tego argument przeciwko konserwatystom, ale hałas prędko przycichł, bo sprawa jest już stara i regularnie powtarza się co kilka lat. Budowane towarzystwa kredytowe /B u i l d i n g S o c i e t e s/, ultra kapitalistyczne, będąc tradycyjnie w rękach konserwatystów, od dawien dawna przed każdymi wyborami obniżają stopę procentową, by skaptować wyborców i natychmiast po wyborach powracają do normy. Wszyscy o tym wiedzą i ci, którzy zajmują się obrotem nieruchomościami i wyrabianiem pożyczek /znam te sprawy z własnej, dawniejszej praktyki/ zawsze, przed każdymi powszechnymi wyborami, robili i robią na tym najlepsze interesy.

Ujawnia się w tym, oczywiście, wpływ londyńskiego centrum wielkiej finansjery, zwanego potocznie C i t y, które tradycyjnie popiera Konserwatystów i pomaga im finansowo, ale trudno to porównać z wpływami związków zawodowych, które są fundamentem Labour Party. Nie tylko ją finansują, ale mają także decydujący wpływ na wybór jej przywódcy, który jako i e a d e r opozycji jest albo premierem, albo potencjalnym nań kandydatem. Dawniej wybierali go wyłącznie socjalistyczni członkowie parlamentu, teraz wybór wygląda następująco: związki zawodowe - 40% głosów, parlamentarny klub Labour Party - 30% głosów i okręgi wyborcze - 30%. A trzeba pamiętać, że głosowanie takie wygląda bardzo prosto: przychodzą sekretarze wielkich związków i wyciągają z kieszeni małe karteczki z setkami tysięcy a nawet milionami głosów. Kilku ludzi decyduje o wszystkim. Ponadto sekretarze ci zostali przeważnie wybrani w głosowaniu jawnym, przez podniesienie rąk, przy udziale kilku lub kilkunastu procent członków, aż do emerytury, to jest do 65 roku życia.

K

Tym razem wszystkie ankiety trafnie przewidziały wynik wyborów. Konserwatystów odnieśli wielkie zwycięstwo i mają o 144 posłów więcej niż cała pozostała reszta,

z Labour Party i liberalno-socjaldemokratycznym aliansem. Wyniki wyborów wyglądają następująco:

Konserwatyści.....	397	mandatów
Labour Party	209	"
Liberałowie.....	17	"
Socjaldemokraci.....	6	"
Plaid Cymru /Walijczycy/.....	2	"
Szkoccy nacjonalisci.....	2	"
Wszyscy inni.....	17	"

Klęska rozbitych i fatalnie prowadzonych socjalistów była do przewidzenia, ale zewnętrznych obserwatorów zaskoczył fakt, że równie fatalnie wypadł w wyborach alians liberałów z nowo utworzoną partią socjaldemokratów. Przeprowadzili hańsaliwą kampanię wyborczą, nie tylko twierdzili, że zajmą miejsce Labour Party jako oficjalna opozycja, ale że mają nawet szanse na utworzenie nowego rządu, a skończyło się na 23 mandatach.

Dwoje przywódców nowej partii /Shirley Williams i William Rodgers/ nie zostało w ogóle wybranych. Jeszcze raz okazało się, że Angielsi są zwolennikami dwupartyjności /najzdrowsza sytuacja/ i że każda próba zlikwidowania tej zasady kończy się niepowodzeniem. Doraźnie sklecony alians miałby tylko wtedy szanse na zajęcie miejsca socjalistów, gdyby Labour Party straciła poparcie związków zawodowych i zupełnie się rozpadła, a takie wstrząsy nie następują w ciągu kilku miesięcy. We wszystkich anglosaskich krajach /Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Australia, Nowa Zelandia, częściowo Kanada/ od wielu lat utrzymuje się zasada dwupartyjności i wyborcy, choć nikt ich do tego nie zmusza, sami o tym decydują. Zmian w tej zasadzie nie ma, zdarzają się tylko powolne zmierzchy jednej partii i zajęcia jej miejsca przez inną. Tak stało się w Wielkiej Brytanii w latach po pierwszej wojnie światowej, gdy Labour Party wypchnęła Liberałów z ich pozycji i w roku 1923 utworzyła swój pierwszy rząd. Liberałowie poczuli się stacząc w dół i wtedy, w roku 1929, opuścili ich Winston Churchill i przeszedł do konserwatystów. Był dynamicznym politykiem, nie chciał pełnić roli opozycjonisty w dalekich posełskich ławkach, chciał rządzić.

Olbryznia przewaga konserwatystów nie zmienia jednak faktu, że otrzymali oni tylko 40% głosów, bo w Wielkiej Brytanii obowiązuje system jednomandatowych okręgów wyborczych. Najbardziej uolierpiań na tym nowy polityczny alians, który zebrał 25% wszystkich głosów, a skończył zaledwie z 23 mandatami i oczywiście podniósł wielki krzyk, domagając się zmiany systemu i przejścia na system proporcjonalny. Pozornie jest on najbardziej sprawiedliwy, ale jednocześnie zachęca do tworzenia wielu partii i przeważnie powoduje degenerację demokracji i konieczność tworzenia rządów koalicyjnych, a te są dobre tylko w czasie wojny. To jest pogląd Brytyjczyków i dlatego nie należy przewidywać zmiany systemu wyborczego. Ponadto mogłyby go zmienić tylko rząd dysponujący większością w Izbie Gmin, a po cóż miałby to robić i własnymi rękami tworzyć sytuację, która mogłaby zagrozić z trudem wywalczoną przewagę.

Wybory wykazały, że brytyjska demokracja jest nadal zdrowa. Kto przegrał, wyciągnął z tego konsekwencje i nie upierał się przy swej funkcji. Przywódca socjalistów, Michael Foot, zgłosił rezygnację i w jesieni partia zastąpi go kimś innym. To samo zrobił i e a d e r demokratów, Roy Jenkins, którego partia uzyskała zaledwie 6 mandatów. Jego miejsce zajął David Owen, także dawniejszy socjalista, wybitny młody polityk, który w rządzie socjalistów był ministrem spraw zagranicznych.

Wybory potwierdziły także inną, bardzo dodatnią cechę tutejszej demokracji i wewnętrznej siły Zjednoczonego Królestwa. Wiele propagandowego hałasu robi się wokół szkockiego i walijskiego nacjonalizmu, wrogowie Brytyjczyków ciągle mają nadzieję na rozbicie wyspiarskiej jedności /Hitler próbował nawet wzniecić w Walii

powstanie/, ale wybory wykazują niezbicie, że się to nie uda. Sakoccy i walijcy nacjonalisci uzyskali zaledwie po dwa mandaty.

Walka wyborcza, w której nie przebiega się w słowach, nie oznacza jednak tutaj, że dążenie do władzy czyni przeciwników wrogami. W grudniu 1961 roku, po zamachu gen. Jaruzelskiego, na pierwszej wielkiej manifestacji w Hyde Parku byłym polskim mówcą a później, w pochodzie, szedłem pomiędzy czcownym socjalistą, Peterem Shore /obecnie jednym z kandydatów na przywódcę Labour Party/, a Shirley Williams, także wybitną socjalistką, która opuściła partię i utworzyła nową, socjaldemokratyczną. Trudno o stworzenie większej politycznej wrogości, a jednak rozmawiali oni ze sobą bardzo przyjaźnie, byli nadal po imieniu, spokojnie rozmawiali wyborcze szanse swoich partii. Przykład godny naśladowania.

W wyborach kandydowało dwóch Polaków z młodego pokolenia, już tutaj urodzonego. Krzysztof Nowakowski /syn Tadeusza, "reportera Papięto"/ reprezentował socjaldemokratów. Wiktor Moszczyński Labour Party. Obydwaj przepadli, ale Nowakowski zgromadził ponad 9.000 głosów i znalazł się na drugim miejscu za konserwatystą, bijąc socjalistę. Moszczyński zebrał ponad 6.000 głosów i przeszedł trzeci, za konserwatystą i socjaldemokrata.

X

Od lat dyskutuje się tutaj konieczność reformy związków zawodowych, które przeszkadzają samemu sobie, seszły z linii obrony praw robotników i mają ambicje polityczne, do których nie są powołane. Konserwatyści zapowiedzieli już dawniej, że się do tego zabiorą, ale dopiero teraz, gdy uzyskali ponowny mandat rządzenia, wprowadzą niedługo odpowiednią ustawę pod obrady parlamentu. Przewiduje ona następujące punkty: - wybór władz związków w głosowaniu tajnym; - takie same tajne głosowanie co 10 lat w sprawie posiadania politycznego funduszu i dysponowania nim z którego finansuje się Labour Party; - utrata prawnej nietykalności w wypadku dającego strajka, nie postanowionego w tajnym głosowaniu.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że wszystkie związki staną murem w obronie swych praw, a tymczasem wcale tak nie jest. Przeczytajcie reformę są bardzo żądane i dotyczą punktów, które budzą wątpliwości wśród wielu wyuczających robotników, rozumiejących, że od lat związkowa demokracja jest bardzo naciągana. Reforma może upowszechnić związkowe prawa, które obiecała przysługiwać tylko nielicznym przywódcom. Specjalnie jaskrawo wygląda sprawa o funduszu politycznym z którego finansuje się Labour Party, a przecież wielu członków związków głosuje na inne stronnictwa. Fundusze te powstały 70 lat temu, gdy w roku 1913 parlament zaakceptował Trade Union Act, i od tego czasu wiele związków ani razu nie zapytało swych członków jak należy postępować. Równie źle wygląda sprawa strajków, o których często decyduje mała grupa awanturników. Według nowego prawa, za nielegalny strajk, nie zdecydowany w tajnym głosowaniu, związek mógłby być pociągnięty do sądowej odpowiedzialności.

Najbardziej rozwrzeszczany przywódca górników, Arthur Scargill, od razu zapowiedział, że on żadnego nowego prawa nie uzna a z rządem rozmawiać nie będzie, bo byłoby to podobne do "pokojowych rozmów z nazistami w czasie drugiej wojny światowej". Jednocześnie zawiadomił, że wybierze się do Moskwy, by tam poznać się ze strukturą demokratycznych i prawidłowo prowadzonych związków zawodowych, i że zacznie organizować polityczne strajki, które przewrócą rząd pani Thatcher.

Ministrowie wruszyli na to ramionami, a reprymenda przyszła nie od polityków, ale od generalnego sekretarza związków, Len Murray a, który wskazał na Scargilla jako na najgorszego szkodnika, który swoim gadaniem zniszczył wyborcze szanse socjalistów, a teraz dobiega ich pogroźkami o strajkach politycznych. Podobnego zdania są inni przywódcy związków, a ich rada uznała, że rozmowy z rządem są koniecz-

na, bo innej reformy zastaw, uchwalono bez zmianowych sugestii i poprawek.

Pomimo, coraz mniejsz, to zbow nawet najbardziej krakowskich zwiazkowych przy-
wodu zaczynac dozorad pocunio realizau, bo ukhad spoleczny bardzo sie ostro
kadenik. Gazu wiecej robotniczych grup przesuwal sie w kierunku klasy biurokracji.
Dutarna, szmicy, metalowcy graja w golfa, spedzaja urlopy na granicy, plynaja
w swiety jachtami. Nie dalczego, ze nie maja ochoty na polityczne strazki.

X

10. maja lat w angielskich szkoлах srednich uctawiaja sie tradycja rolnych
prawyrczyni szkod, ktore przytoczaja do zycia i gosczozaja horroscy uszacej sie
kadenik. Wykony to prawie wszystkie szkoly prywatnych, publicznie interesowanych,
jak swietych, 3 a s i e 3 a k o o i s, ktore prowadzi program elity spo-
sowstwa, nie tylko wyzszosci politycznych, ale takze naukowej, dyplomatorow, in-
nie sztuki, znacznosc wielkich przedsioborstw, przemyslowo i wielu innych.

20. majem sie z tym zochilano, bo zostalem zaproszony do Ston College, gosczoz
z oty, jednak z najwzrostym zastozona w roku 1440 przez krakow VII. z wykona
tym oddzieleno, z wyzrostem kade i niezisiel, przez caly rok i w rok o godzinie
8.45 rank, przed pierwsze lekcje, odbywa sie wyklad wyzrostowego p. leganta. Wyklad
sowuio jest jak najwzrosty: waznoscie rzadu i odpajaji, profesorowie umiastowio-
towa pisarsza, dziennikarsza, artyści, przemyslowcy, pianistowie, kierownicy klubow
albarckich, srodki, szkiecy, zduktorzy najwzrostej literatury i umiastowio-
zila swajalisc, woznawci, woznawci, zdobywcy Everestu, kolekcjonarzy znaczkow
kadenicznych, byli waznosci i wielu innych. Wyklad trwa tylko 15 minut, nie ma ani
tytu i ani wykladu, szuka go 700 uczniow z wyzszosci klas /szkol na 1.300 uczniow/
na / i 100 wyzrostowio.

Wtedy, w tej chwili kadenik mroleganta, nie wiaden jak waznosciemu amytow.
nie wystapiam w kadenik, tony powoznosc zapadznie wolnoici, adwiken wiec
o Grotocinia i o Grotocinia wazni i prawo do wolnego zycia. Byl szarym zamierzac
wzrostaj, wiedzaj innych. Waznosci Burowski.

Pozniej bytem ponownie w Ston College i wielu innych szkoлах i uniwersyteczech
/Oxford, Cambridge, Londyn, Birmingham, Manchester, Leicester, Sussex i inne/ ja-
to normaie przyzrost na lekcji historii lub na zebraniu uniwersyteckiego czy szkol-
nego Towarzystwa historycznego. Najprzyjemniejszej, najbardziej godni wykladu słucha-
cie, chyba jedyni, ktorzych mozna przekonac. A jaki poziom dyskusji, jakie pytania.
Przewaznie moje wyklady dotyczce wiaznosci wojny, ale w ostatnim okresie adwiken tak-
zo o "solidarnosci" i bytem adwiken znajomoscia przedmiotu u mych miodych slucha-
czy. Godaj wazaj jest takze jak dyscyplina, nikt nigdy nie pozwala sobie na wysko-
ty, ktore on przyzrost naczynych dyskusji /"Nie czytalem wprawdzie ksiazki, o ktorej mo-
na, ale...".

X

Przez ponad piec lat hrabstwo Yorkshire terroryzowal jakis zboczeniec, ktory
wielozorami napadal na samotne kobiety i mordowal je w okrutny sposob udzieniem
motka lub innego ciuzkiego przedmiotu. Uruchomiono obrzynni aparat policyjny,
250 detektywow pracowalo dzien i noc, przeszkuczano 21 tysiatcy osob, byly dni, w
ktorych policja otrzymywala 1.000 listow tylke na ten temat, rozpatrzone 8.000
różnych sugestii, koszt całej akcji przekroczyl 4 miliony funtow i niczego nie
osiagnieto. Zboczeniec, ktorego prasa nazywala Yorkshire Ripper
/rozpruwacz z Yorkshire/, byl nieuchwytny. Sprawe skomplikowal dodatkowo fakt, ze

do policji przysłano kasetę z nagraniem głosem, który miał być głosem mordercy, i że policja przez długi czas wierzyła, że tak jest istotnie.

Wreszcie w styczniu bieżącego roku, w Sheffield, dwóch policjantów aresztowało osobnika znajdującego się w samochodzie w towarzystwie prostytutki. Ona dopomogła policji, stwierdzono, że mężczyzna, młody, sympatyczny, z niemiłą czarną brodą, nazywa się Peter Sutcliffe. Dzięki różnym okolicznościom udało się ustalić, że to właśnie jest poszukiwany zbrodniarz, że policja kilkakrotnie była już na jego tropie, że dziewięć razy przeszukiwała jego samą s także jego żonę, i że znajdował się on od kilku lat w kartotece podejrzanych. Proces, który wykazał daleko posuniętą nieudolność policji, zakończył się karą dożywotniego więzienia /nie ma tu kary śmierci/.

Wydawało się, że można już zamknąć teczkę tej niebываłej historii, gdy nagle, w zupełnie niespodziewanym miejscu, wybuchła bomba. Komisarz policji, Ronald Gregory, który prowadził całą sprawę i właśnie wyszedł na emeryturę, sprzedał za 40 tysięcy funtów swoje wspomnienia dotyczące policju za "czaprachsem" brukowemu piśmu, M a i l o n S u n d a y, które natychmiast, w odcinkach je opublikowało.

Po chwilowym osłupieniu podniósł się chór protestów. To skandal! Oficer policji, który wypełniał swój służbowy obowiązek, któremu za to płacono, który przestrzegał swoich podwładnych przed prasowymi niedyskrecjami, sam pozwolił sobie na taki krok.

Emerytowanego komisarza natychmiast oblegli reporterzy z telewizji, radia i prasy, ale zbyt ich krótkim oświeczeniem, że uznają niepotrzebnie czas, a tymczasem opinia publiczna zaczęła zmieniać swoje stanowisko i w obronie policjanta zaczęły się podnosić liczne głosy. Na pewno nie jest dobrze, gdy ktoś adchyte w służbie informację sprzedaje później na własny użytek, ale czyż nie dzieje się tak od wielu lat? Przecież po każdej wojnie przerywają się tamy rozsądzone wspomnieniami polityków i wysokich oficerów, którzy korzystają w nich z dokumentów zdobytych w czasie czynności służbowych. Jakaż jest różnica pomiędzy oficerem armii i policji z tego punktu widzenia? Może nawet niedyskrecje polityków i wojskowych są poważniejsze, bo dotyczą spraw państwowych, gdy tutaj chodzi tylko o zbrodniarza. A sprawa 40 tysięcy funtów? Przecież we wczesnych powojennych latach Winston Churchill sprzedawał swe nieznajdowane jeszcze pamiątniki za milion dolarów, co wtedy stanowiło astronomiczną sumę. Jest prawo, że nie wolno wzbogacić się na zbrodni, ale czyż wojna nie jest najgroźniejszą zbrodnią?

Sprawa bardzo prędko przycichła i zeszła ze szpalt gazet. Nie była piękna, ale nie odbiegała też zbyt daleko od poziomu codziennych spraw dzisiejszego świata.

X

W lipcu Izba Gmin powzięła bardzo ważną decyzję dotyczącą kary śmierci. W Europie, poza blokiem sowieckim, obowiązuje ona tylko w Turcji, która zresztą zaledwie małym skrawkiem swego terytorium należy do naszego kontynentu. W Wielkiej Brytanii zniesiono ją szereg lat temu, ale opinia publiczna coraz głośniejsze domagała się jej przywrócenia w stosunku do terrorystów. Chodzi, oczywiście, o terrorystów irlandzkich, których bombowe ataki, nie tylko w północnej Irlandii, ale w sercu Anglii, w Londynie, wyprowadzają ludzi z równowagi.

Problem uznano za ogólnonarodowy, nie partyjno-programowy, każdy więc poseł mógł głosić tak, jak każe mu jego sumienie. Jednak było wiadomo, że za przywróceniem szubienicy głosić będzie większość konserwatystów, z panią Thatcher i nowym ministrem spraw wewnętrznych na czele, przy prawie pełnej opozycji Labour Par-

ty, liberalów i socjaldemokratów.

Znane były powszechnie nastroje społeczeństwa, które domagało się wzięcia terrorystów /ankieta The Daily Telegraph wykazała 77% za/, gdyby więc tak widzieli tę sprawę postronnie, Wielka Brytania stałaby się pierwszym zachodnim krajem przywracającym zasadę społecznego odwetu. Jednak w każdym wolnym społeczeństwie o kierunkach jego działania decyduje elita i ona właśnie, na niewiele dni przed głosowaniem, odezwała się z wielką siłą. Padły głosy wybitnych pisarzy, polityków, duchowców różnych religii, publicystów, lekarzy, działaczy społecznych. Z salami wyjątkami wszyscy wypowiedzieli się przeciwko przywróceniu kary śmierci. Obok argumentacji, że sędziowie czasem się mylą i że można powiesić człowieka niewinnego /były już takie wypadki/, główny nurt myśli wybitnych przedstawicieli społeczeństwa dotyczył północnej Irlandii. Argumentowano, że odwet pogorszy tylko tamtejszą, okropną sytuację. Przecież młodzi ludzie z IRA /Irish Republican Army/ potrafili w więzieniu zagłodzić się na śmierć, powieszenie więc któregoś z nich stworzy zeń męczennika i bohatera i nie powstrzyma innych od terroru.

Głosowanie w Izbie Gmin stało się odbiciem tej opinii i wniosek o przywrócenie szubienicy odrzucono wieloma głosami. W tej decyzji ujawniła się wielka mądrość tutejszej elity społeczeństwa, która nie kieruje się emocjami, ale prawdziwą, nie skłoną propagandowymi sloganami, racją stanu. Na decyzji tej zaciążyły także dawniejsze historyczne wydarzenia, które Anglii nie przyciszają zaszczytu i które tkwią w świadomości świątliwych ludzi. Warto je tutaj, w kilku słowach przypomnieć.

Pierwsze angielskie zakusy na irlandzką wyspę sięgają XII wieku, ale angielska dłoń zaciążyła naprawdę nad tamtejszą ludnością za Henryka VIII i jego córki, Elżbiety I, w XVI wieku. Wtedy siłą zaczęto w północnej Irlandii osiedlać protestantów a prócz ten wyjątkami do czerwoności Oliver Cromwell, w połowie XVII wieku, siejąc tam śmierć i zyskując sobie sławę rzeźnika, którego imienia żaden Irlandczyk nie wymówi bez uczucia nienawiści. Ostatecznie, po kilku wiekach walk, w roku 1921, Irlandia uzyskała niepodległość, ale na północy, gdzie było wielu protestantów, lojalnych w stosunku do brytyjskiej korony, wykrojono sześć hrabstw w taki sposób, by posiadały one 65% protestantów, i utrzymano je w ramach Zjednoczonego Królestwa pod nazwą U l s t e r, z własnym parlamentem.

Kraj ten jest mały, obejmuje zaledwie 13.580 km² i liczy sobie półtora miliona ludności, ale pokłosie złego czynu i tendencyjnego wytyczenia granicy okazało się zabójczym. Dopóki istniało imperium, wszystko układało się jako tako, gdy jednak zachwiała się wielka potęga, w północnej Irlandii zawrzało. Początek namowywał do zjednoczenia całej wyspy w ramach niepodległego już państwa, wzbudza nienawiść religijną, IRA, podziemna irlandzka armia, rozpoczęła walkę, zaczęły się akty terroru i Wielka Brytania musiała w końcu posłać swoją armię, by zapobiec wojnie domowej. Północni lojaliści wcale nie chcieli ustąpić i nie zamierzali wyrazić zgody na przyłączenie ich do irlandzkiego państwa. Problem skomplikował się jeszcze bardziej przez fakt, że rząd niepodległej Irlandii, w obecnej sytuacji, wcale tego przyłączenia nie pragnie. Zgodziłby się na to z entuzjazmem, ale tylko wtedy, gdyby Brytyjczycy zabrali wszystkich protestanckich lojalistów do siebie, ale jak to zrobić, skoro mieszają oni w Ulsterze od czterech wieków a Wielka Brytania jest przeludniona. Ponadto w Ulsterze bezrobocie jest największe w całym Zjednoczonym Królestwie, dosięga do 20% i wyżej i istnieje od wielu lat. Kraj jest deficytowy i rozdarty wieloletnią, religijną nienawiścią.

Odrzucenie kary śmierci dla irlandzkich terrorystów było więc jednym z ważnych fragmentów tej wielkiej historycznej tragedii, która zrodziła się ze złego, imperialnego czynu. Brytyjczycy to rozumieją i dlatego, choć giną żołnierze i rozrywają się bomby zabijające niewinnych ludzi, tu, na wyspach nikt nie pozwala sobie na antyirlandzkie demonstracje. Mieszka tu i pracuje ponad 2 miliony Irlandczyków, wielu z nich posiada irlandzkie paszporty i bierze udział w wyborach w swoim kraju,

ale jednocześnie wolno im głosować także i tutaj, choć jest to sytuacja jak najbardziej dziwna. Ale taka dziwność jest jedną z charakterystycznych cech tutejszego stylu życia.

"Kultura", wrzesień 1983

Józef Gerliński

Tomasz Mianowicz

CZY ZACHÓD PRZETRWA DO ROKU 1984?

I

W ostatnich latach zaszczął się na Zachodzie fatalo dostrzegalny spadek popularności ideologii komunistycznej i partii ją głoszących. Dowodem tego chociażby wyniki wyborów w poszczególnych państwach /Francja, RFN, Wielka Brytania, nawet Włochy/ - coraz mniej korzystne dla lokalnych komunistów, bez względu zresztą na ich wielkość. Równocześnie jednak świat wszedł w fazę przygotowaną tzw. "procesem odwrócenia", kiedy ustalały się kanoniczne - jak widać w tej chwili - zasady polityki Zachodu wobec bloku sowieckiego. Okazuje się zarazem, że powrót do s t a t u s q u o a n t e jest praktycznie niemożliwy, a próby zatrzymania jednostronnej tendencji politycznych są niezwykle rzadkie oraz napotykają na opór opinii publicznej.

Pojawiły się także nowe elementy na scenie politycznej Zachodu, które odgrywają coraz istotniejszą rolę; różne ruchy, których wspólnym mianownikiem jest postępowanie się frazeologią pokoju i rozbrojenia oraz skrajny antyamerykanizm. To nowa atmosfera tworząca tzw. "zieloni", ugrupowania antynuklearne, partie alternatywne, grupy feministek itp. Dla uproszczenia będę nazywał tutaj te organizacje "pacyfizmem", co jest o tyle uzasadnione, że uczestniczą one w tzw. "turnu pokoju".

Należy przypuszczać, że ruchy pacyfistyczno - antyamerykańskie będą wywierały coraz większy wpływ na politykę Zachodu /zwłaszcza Europy Zachodniej/ wobec obozu sowieckiego. Ponieważ rozwojowi ich towarzyszy ewolucja wielu tradycyjnych partii politycznych /głównie lewicowych/ oraz reorientacja, a także dezorientacja opinii publicznej - wszystkie te czynniki będą w znacznym stopniu decydować o odpowiedzi na postawione w tytule pytanie.

II

Pozwolę sobie przypomnieć dwie tezy z mojego artykułu o trzeciej wojnie światowej¹. P r i m o: podjęta przez Reagana próba powstrzymania ekspansji politycznej, ideologicznej i militarnej Związku Radzieckiego wydobrza na światło dzienne zasadnicze rozbieżności między Stanami Zjednoczonymi a Europą Zachodnią. Kilkaście ostatnich miesięcy przyniosło - z jednej strony - wyraźne złagodzenie linii Waszyngtonu wobec Moskwy, z drugiej zaś - nieustającą w wielu państwach Zachodniej Europy krytykę polityki amerykańskiej wobec tak niewłaściwego punktu na mapie świata, jakim jest Ameryka Środkowa. Druga teza ze wspomnianego artykułu: Sowieci - dla politycznego podporządkowania Europy Zachodniej - dążą do zapewnienia sobie takiej przewagi militarnej, która umożliwi im skuteczny szantaż.

Zdolności sowieckiego szantażu wobec Zachodu przechodzą generalną próbę w związku z genewskimi rokowaniami w sprawie rakiet nuklearnych średniego zasięgu.

1. "Wynik trzeciej wojny światowej", K u l t u r a nr 4/415, 1982.

Negojacje te przyniosły sukces Sovietom już w momencie ich rozpoczęcia. Wszelkie rozmowy prowadzone przez komunistów muszą przynieść im korzyść, bowiem podpisane umowy nie zobowiązują ich do niczego. Jednak w tę prawdę, wielokrotnie sprawdzoną empirycznie /także w dziedzinie brzojeń/, Zachód cały czas nie chce wierzyć. Nie to jest jednak najważniejsze. Dzięki rokowaniom genewskim Sowieci potrafili - przy minimalnych kosztach własnych - stworzyć główny front swojej wojny polityczno-propagandowej z Zachodem **Wewnątrz samego Zachodu**.

Związek Sowiecki na przy tym w Europie Zachodniej wielu świadomych i nieświadomych sojuszników. Nie są to tylko ruchy pacyfistyczne; równie istotną rolę odgrywają zachodnie środki przekazu, które narzucały wydni publicznej schemat **fałszywej symetrii**, co w tym wypadku jest tym horzizją przeróżności, z której toczy się o najwyższą stawkę. Z pierwszych stron gazet, z ekranów telewizyjnych, z głośników radiowych codziennie niemal atakują zachodnią opinię publiczną informacje typu: "Obie strony odrzuciły wzajemnie swe propozycje", "Premier /prezydent, minister itp./ X zapowiedział o większą elastyczność naradom Moskwie, jak i Waszyngtonu". Oświadczenia Reagana o większą elastyczność naradom Moskwie, jak i Waszyngtonu". Oświadczenia Reagana zestawia się z oświadczeniami Andropowa, przydając wypadłom obydwa jednakowy walor moralny i polityczny.

W sprawie negocjacji genewskich przyjęto zupełnie błędą optykę sugerującą, że oto siedli do stołu rozmów dwoj partnerzy, którzy wspólną troską jest zawarcie kompromisu gwarantującego bezpieczeństwo świata. Fałsz takiego rozumowania - chociażby z logicznego punktu widzenia - wydaje się widoczny dla bardzo wielu powo-
dów. Wymienimy chociażby cztery:

- 1/ Celem Związku Sowieckiego jest utrzymanie przewagi nuklearnej, celom Zachodu - równowaga nuklearna;
- 2/ Związek Sowiecki posiada rakiety nuklearne średniego zasięgu skierowane w Europę Zachodnią, że zaś nie dysponuje ani odpowiednimi środkami obrony, ani odstraszania;
- 3/ Celem ZSRR jest zniszczenie Zachodu, czego zresztą sowiecka ideologia nigdy nie ukrywała;
- 4/ Intencją Stanów Zjednoczonych w rozmowach genewskich jest zapewnienie bezpieczeństwa Europie Zachodniej, która obecnie stanowi cel dla sowieckich SS-20.

Wzrostła propaganda pacyfistów i bardziej lub mniej świadoma dezinformacja środków przekazu doprowadziły do apasytycznego zakamflowania istotnych problemów strategicznych groźbę dla przyszłości. Nagromadzono do tej pory ilości broni masowej zniszczenia wystarczający do wielokrotnego unicestwienia życia na Ziemi. W tej sytuacji - gdy dawno przekroczono już próg krytyczny - sto czy dwieście rakiet więcej lub mniej nie odgrywa żadnej roli, czy raczej odgrywa rolę **czy stało się politycznym**. I dalej: ruch pacyfistyczny doznał osiągnąć to, że w tej chwili dla państw Europy Zachodniej /związku NATO/ największym problemem nie jest zagrożenie nuklearne ze strony Sovietów, lecz sama możliwość zainstalowania rakiet amerykańskich oraz skutki polityczne i społeczne, jakie to przedsięwzięcie wywoła.

Większość ludzi na Zachodzie zdaje się sądzić, że realizacja planów obronnych NATO spowoduje wybuch wojny nuklearnej natychmiast po zainstalowaniu pierwszej amerykańskiej rakiety. Ubrójony w logikę szachisty i znajomość psychologii przeciwnika, Andropow oświadczał w odpowiednich momentach, że Związek Sowiecki będzie zmuszony podjąć odpowiedzialne kroki w wypadku rozmieszczenia rakiet amerykańskich, że zainstalowanie tych pocisków zwiększy możliwość konfliktu atomowego i że RPN wy-
stawi się na szczególne niebezpieczeństwo /co zresztą w tym kraju wywołało silny rezonans/. Wypowiedzi te stawały się natychmiast **front page news** w zachodniej prasie.

Istniejący na Zachodzie jednostronny nacisk rozbrojeniowy w połączeniu z nie -

zmiennym stanowiskiem sowieckim doprowadził do tego, że w Genewie - jak to ujął George Shultz - Amerykanie negocjują sami ze sobą. Każde ustępstwo ze strony Stanów Zjednoczonych kwitowane było przez ruchy pacyfistyczne wzmożeniem antyamerykańskich nacisków. "Opcja O" prezydenta Reagana /jedeny plan wyeliminowania pocisków nuklearnych średniego zasięgu z Europy/ jakoś dziwnie nie spotkała się z poparciem pacyfistów.

I wreszcie: Genewa i rozpoczynająca się w RFN "gorąca jesień" /po której zapewne nastanie równie gorąca zima/ kamfluje zasadniczą stawkę w całej grze, którą jest polityczne podporządkowanie Europy Zachodniej Związkowi Sowieckiemu. Jeśli okaże się, że Europa nie jest w stanie zrealizować własnych decyzji obronnych, służących jej bezpieczeństwu - cel Sowietów zostanie osiągnięty. Kwestia ta rozstrzygnięta się na linii frontu przebiegającej wewnątrz Zachodu, jednak już obecnie większym problemem dla Europy Zachodniej jest wola obrony Amerykanów niż sowiecka gotowość agresji.

III

Głównym sojusznikiem Sowietów na froncie wewnątrzzachodnim są ruchy "pacyfistyczne" oraz popierające je organizacje i instytucje rozmaitej treści i proveniencji /od kościołów różnych wyznań po związki zawodowe/. Stopniowo dołącza do nich część lewicowych partii politycznych; przypadek SPD jest tu z wielu względów najbardziej symptomatyczny i poświęcę mu jeszcze kilka uwag.

Pacyfiści, "zieloni" i ich sojusznicy stosują niemal wyłącznie środki wysoce spektakularne /od marszów, demonstracji i pikiet po czynne napaści na szych przeciwników politycznych/, co automatycznie daje im przewagę w stosunku do partii politycznych, posługujących się konwencjonalnymi metodami działania. Rzecz jasna skutkuje pacyfistów i towarzysząca im reklama zwiększają skuteczność presji wywieranej na opinię publiczną. Zresztą tę ostatnią - ze zrozumiałych względów - łatwiej mobilizować wokół hasła "pokoju" niż wokół celów związanych ze zbrojeniami.

Niestety tak się dzieje, że masowa informacja zajmuje się przede wszystkim właśnie hasłami, a nie głębszą analizą ideologii ruchu pacyfistycznego i jego celów politycznych. Zupełnym nieporozumieniem jest powszechne niemal nazywanie zachodnio-niemieckich "zielonych" "partią ochrony środowiska". W rzeczywistości hasła Umweltschutz ukuła wyłącznie jako kamuflaż ich rzeczywistego celu, którym jest sparaliżowanie mechanizmów demokracji parlamentarnej. W państwie przeworczadnym, jak RFN, nie trzeba zakładać partii politycznej, aby zająć się problemem niezczenia lasów. Zupełnie zapomina się, że w Niemczech Zachodnich i stronie je partia ochrony środowiska /zw. grüne Ekologien/, która w ostatnich wyborach zdobyła około 20 tysięcy głosów. Wynika z tego jasno, że 5% obywateli RFN, którzy oddali swe głosy na "zielonych" nie zrobiło tego z pobudek ekologicznych.

Ruch pacyfistów czy "zielonych" określa się często mianem "naiwnych idealistów o dobrych intencjach". Tymczasem tylko pojęcie naiwności może tu mieć racjonalne zastosowanie i to wyłącznie w bardzo wąskim zakresie; zaiste obraz bloku sowieckiego jakim posługują się "zieloni", jest szczytem infantyliizmu. Jednak ani w ideologii "zielonych" ani w ich celach politycznych nie potrzeba doszukiwać się "szlachetnego idealizmu" czy "dobrych intencji". Tak dziwnie się dzieje, że nie podejmuje się rzeczowej krytyki ruchu politycznego tylko dlatego, że w ideologii swej szermuje on hasłem "pokoju" czy "odprężenia". Nie pierwszy raz w historii rodzi się ruch społeczny ze "szlachetną" ideologią, ale chyba nigdy dotychczas nie unikano z taką konsekwencją /i przy dużej dozie hipokryzji/ postawienia pytania, jakie skutki przyniosłoby zdobycie władzy politycznej przez owych "szlachetnych" ideologów.

Nowe ruchy ideologiczne jak np. "zieloni" czy partie alternatywne są w znacznym stopniu następstwem rozczarowania do komunizmu. Możemy jednak, jeśli tylko zechcemy, odnaleźć w nich szereg typowych cech ruchu politycznego poprzedzającego ideologii totalitarnej. Widzimy zatem utopijną wizję przyszłości; aby ją zrealizować, należy zmienić złe społeczeństwo kapitalistyczne. Koniecznym elementem ideologii totalitarnej jest **m a n i c h e i z m**, z tym, że w wypadku "zielonych" i ich sojuszników jest to manicheizm nieco kaleki; biegun zła jest znany i jasno zdefiniowany - to "kapitalizm", biegunem dobra nie jest jednak ani komunistyczna utopia, ani "realny socjalizm". Do realizacji utopii ma wieść niezbyt precyzyjnie opisana "trzecia droga" - między "kapitalizmem" a "socjalizmem", która doprowadzi do stworzenia nowego społeczeństwa, jeśli nie doskonałego, to co najmniej o wiele lepszego niż to istniejące obecnie.

Wyznacznikiem ideologii nie jest potrzebna racjonalna diagnoza rzeczywistości, zastępuje ją bowiem ideologiczna fikcja. Zdumiewająca, ale i łatwa do wytłumaczenia, jest chociażby odporność pacyfistów na wymowę faktów. Język ideologii nie opisuje bowiem rzeczywistości, lecz jedynie kreuje fikcję. Już niejako w punkcie wyjścia znajdujemy elementarny fałsz - zestawienie "kapitalizmu" z "socjalizmem". W języku naturalnym "kapitalizm" może oznaczać system gospodarki wolnorynkowej. W języku ideologii jest natomiast synonimem zła /uciszanego przez największe państwo kapitalistyczne - Stany Zjednoczone/. Podobnie mówienie o "socjalizmie" skazuje na poruszanie się w obszarze ideologicznej fikcji.

Nie próbuje tu szczegółowo analizować ideologii "zielonych" czy omawiać książek, spełniających rolę programową tego ruchu. Ważniejsze jest wszelako wyraźne podkreślenie, że jego uczestnicy kierują się motywacją ideologiczną, dążeniem do zniszczenia "starego" i tworzenia "nowego", do zmiany społeczeństwa /zamiar, którego realizacja przyniosła w efekcie najbardziej nieludzki system w historii/. Ta ideologizacja milionów ludzi na Zachodzie wydaje mi się większym problemem niż rola sowieckich agentów w ruchu pociągowym. Liczne przypadki ujawnienia powiezań finansowych pacyfistów z Moskwą, czy zdewaskowania funkcjonariuszy KGB w "ruchu pokojowym", jakoś ani nie osłabiły jego dynamiki ani nie zmniejszyły liczebności.

Bardzo pouczające jest przyjrzenie się konkretnym akcjom pacyfistów; może to dać lepsze wyobrażenie o tym ruchu niż mówienie o "szlachetnych intencjach" czy "naukowym idealizmie".

Próbkę metod stosowanych przez "zielonych" dali ich wyborcy 18 maja, doprowadzając do rękoczynów w Bundestagu /fakt bez precedensu w historii zachodnio-niemieckiego parlamentaryzmu/. Jak słusznie zauważył kanclerz Kohl, wraz z wejściem "zielonych" do Bundestagu forum to wzbogaciło się o nowy element - nienawiść. Parę tygodni później w Krefeld pacyfiści zaatakowali kamieniami samochód wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Busha. Warto przypomnieć ubiegłoroczną wizytę prezydenta Reagana w Berlinie Zachodnim, gdy miasto to na dwa dni zamieniło się w teren walk ulicznych pomiędzy zwolennikami "pacyfizmu", "antyimperializmu" i "rozbrojenia" a policją. Pacyfistyczne manifestacje przypominały nierazko sztafaż "gniewu ludu" w wydaniu komunistycznym z okresu zimnej wojny: nawet kukły i plakaty odznaczają się tym samym estetycznym "smakiem", z tym, że Trumana i Churchilla zastąpili Reagan i Kohl.

Utopijny cel "zielonych" to nowe, lepsze społeczeństwo. Konkretny /i w pewnym stopniu możliwy do osiągnięcia/ cel polityczny to sparaliżowanie mechanizmów demokracji parlamentarnej. Etykieta "szlachetnych intencji" chroni "zielonych" przed rzeczową i grzeczową krytyką, która musiałaby wykazać skrajny brak tolerancji, pogardę dla zasad demokratycznych, postawę nienawiści i wreszcie ów żaloszny poziom intelektualny, stanowiący mieszaninę ignorancji, lenistwa umysłowego i samoususzenia. Nie po raz pierwszy pokusa totalitarna ogarnia miliony ludzi i nie po raz pierwszy zachodnia demokracja okazuje wszystkie swe słabości, uniemożliwiając jej nawet samoobronę. I wreszcie nie po raz pierwszy sztafardowi intelektualniści Zachodu odgrywają niechlubną rolę, firmując poczyny "ruchu pokoju".

Oczywiście nie sposób przewidzieć, w jakim stopniu nowe ruchy ideologiczne na Zachodzie zdążą osiągnąć swe cele. Sprawa rakiet amerykańskich i gotowość Europy do obrony jest wypadkową procesu, który w ostatnich latach - wraz z pojawieniem się tzw. "ruchu pokojowego" - uległ wyraźnemu przyspieszeniu; myślę o rozbięciu jedności politycznej Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych.

Antyamerykanizm nie jest jakąś przejściową modą, wynika z samego faktu istnienia Stanów Zjednoczonych i rozmiarów ideologizacji młodych ludzi na Zachodzie. Jeśli przez "ideologizację" rozumieć będziemy ów dziwny stan umysłu, który w miejscach rzeczywistości faktów podstawią pseudorzeczywistość doktryny, to łatwo zauważyć, że podobny proces dokonuje się w szeregach niektórych partii uznawanych w zachodnich kategoriach pojęciowych za lewicowe. W dziedzinie konkretnych rozstrzygnięć politycznych partie te odgrywają rzecz jasna ważniejszą rolę niż "ruch pacyfistyczny".

Znamierza jest ewolucja SPD w Republice Federalnej Niemiec /najważniejszym państwie dla przyszłości Europy, z czego Sowietci doskonale zdają sobie sprawę/. Porażka wyborcza wystarczyła tej partii do wystąpienia z jawnym antyamerykanizmem / w kampanii wyborczej powtarzano jeszcze zapewnienia o utrzymaniu sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi/. W sferze ideologii SPD stanęła przed wyborem: albo podjąć konfrontację z "pacyfistami", albo skłonić się ku podnoszonym przez nich hasłom i w ten sposób starać się odbudować swą pozycję. Wybrano tę drugą możliwość i nierządnie są wypadki, gdy SPD wprost licytuje się z "zielonymi" w poszukiwaniu skutecznych metod niedopuszczenia do realizacji planów obronnych NATO. Jeden z czółowców polityków SPD - Lafontaine - zaproponował strajk generalny; inny - Klöse - oświadczył niedawno /25 sierpnia w wywiadzie dla Frankfurtu i Aljgemeine Zeitung/, że najważniejszym celem socjaldemokratów jest niedopuszczenie do zainstalowania w RFN rakiet amerykańskich, niezależnie od wyników rokowań w Genewie. Przewodniczący SPD Brandt poparł stanowisko Andropowa 2, domagające się włączenia do rozmów genewskich brytyjskiego i francuskiego potencjału obronnego. Jeśli przypomniły sobie, że nie dalej niż przed czterema laty SPD była inicjatorem planu obronnego NATO /zwanego po niemiecku Doppelpöbelerscheinung/, obecna linia tej partii wystawia jednoznaczne świadectwo jej wiarygodności politycznej.

Ideologiczny syndrom w SPD nie kończy się jednak na sprawach polityki obronnej NATO czy chłodnym stosunku tej partii do Parlamentu Europejskiego. Oto coraz częś-

2. Przed kilku dniami Andropow ogłosił gotowość rozmontowania części sowieckich pocisków SS-20, jeśli Europa Zachodnia nie zainstaluje rakiet amerykańskich. Równocześnie podtrzymał żądanie uwzględnienia w ewentualnym porozumieniu niezbędnych arsenałów atomowych Francji i Wielkiej Brytanii. Sądząc z pierwszych zachodnich reakcji, i tym razem nie zrozumiano sowieckiej gry. Adresatem oferty Andropowa nie jest Waszyngton lecz Europa Zachodnia, a celem propozycji szefa KPZR jest niedopuszczenie do rozmieszczenia rakiet amerykańskich, co ostatecznie przypięcztowaloby rozbieżność sojuszu między Zachodnią Europą a Ameryką. Równocześnie Sowietci wykazują znacznie większą "elastyczność" w rokowaniach na temat redukcji broni strategicznych, wiedząc dobrze, jak ogromne koszty ekonomiczne musieliby płacić za dalsze zbrojenia, konieczne do utrzymania obecnej przewagi nuklearnej nad Stanami Zjednoczonymi /w tej chwili wyraża się ona stosunkiem 3:1/. Jakos dziwnie mało uwagi poświęca się temu, że oferta Andropowa jest jaskrawym dowodem konsekwentnie powtarzanych przez Moskwę kłamstw; Sowietci twierdzili do tej pory, że między Wschodem a Zachodem istnieje równowaga w dziedzinie rakiet atomowych średniego zasięgu.

"Oferta" Andropowa posłużyła SPD do kolejnej krytyki stanowiska Waszyngtonu.

ciej zachodniemieccy socjaldemokraci odkrywają ideologiczne braterstwo z komunistycznymi dyktatorami. W kwietniu zainicjowano oficjalne kontakty między SPD a wschodnioniemiecką SED; delegacja socjaldemokratów pojechała do Berlina Wschodniego fetować razem ze wschodnioniemieckimi towarzyszącami 100-lecie śmierci Marksa. Gdy kanclerz Kohl uczestniczył w szczytach w Williamsburgu, Hans Jochen Vogel udał się na spotkanie z Honeckerem, arzącąc ku zaskoczeniu obserwatorów politycznych. Delegacja SPD i "zielonych" pojechały do Nikaragui na uroczystości przez miejscowy reżim obchody czwartej rocznicy "zwycięstwa rewolucji". I wreszcie SPD, a także frakcja "zielonych" wielokrotnie domagały się od rządu w Bonn wystąpienia z ostrą krytyką polityki Stanów Zjednoczonych w Ameryce Środkowej.

IV

Reżim ten jest kolejną linią frontu wojny Związku Sowieckiego z Zachodem, z tą różnicą, że wojna w Ameryce Środkowej jest bardziej "gorąca", a jej ostatecznym celem jest okrajenie Stanów Zjednoczonych. Jestem jak najdalej od sprrowadzania genezy ruchów partyzanckich w Ameryce Środkowej do wyjątkowej inspiracji sowieckiej. Jest niemalże odwrotnie; konflikty społeczne, które przeradzają się w bunt zbiorczy, powodowane są brakiem wolności politycznych i permanentnym kryzysem gospodarczym. Rola Moskwy w tej części świata polega głównie na wykorzystywaniu lokalnych kryzysów dla własnych celów. Przykład Nikaragui jest tyleż pouczający co ponury, bowiem - jak się zdaje - Zachód nie jest w stanie zdać sobie sprawy z natury procesu dokonującego się w tym kraju. Do tego potrzebus byłoby zrozumienie leninizmu, którego Nikaragua jest tylko kolejnym wydaniem. Kraj ten - to klasyczny przykład postórzenia paradygmatu bolszewizmu podobnie jak w Rosji po obaleniu starego porządku, najlepiej zorganizowana i nie cofająca się przed użyciem żadnych metod grupa przejmując władzę i konsekwentnie eliminuje wszystkich przeciwników politycznych, którzy do niedawna byli jeszcze jej sojusznikami. Junta Ortegi zdobywa władzę absolutną i stopniowo uwalnia komunistyczną dyktaturę. To jednak dopiero początek analogii, a wydaje się, że ich listę można ciągnąć w nieskończoność: likwidacja wszelkich praw demokratycznych i wprowadzenie stanu wojennego to też powtórzenie operacji przeprowadzonej przez bolszewików /Jaruzelski wcale nie był pierwszy/, zrujnowanie gospodarki /w niektórych jej działach za rządów sandynistów produkcja spadła o ponad 50%/ i wprowadzenie racjonowania żywności /to też znany/. Przyrusowe wysiedlenie Indian Miskito jest powtórzeniem losu Tatarów Krymskich. Podobnie jak w bloku sowieckim uruchomiono orwellowski mechanizm niszweryfikowanych zagrożeń zewnętrznych, które mają woszedniać terror stosowany wewnątrz kraju /w Związku Sowieckim stosowano psychozę "okrajenia", w Nikaragui - psychozę "amerykańskiej interwencji"/. I wreszcie jeszcze jedna symptomatyczna analogia: reżim typu sowieckiego, uosobniony się we własnym państwie, rusza na podbój krajów sąsiednich. Władze Kostaryki /tej środkowoamerykańskiej Jawajarii/, w dodatku praktycznie bezbronnej, bo nie posiadającej własnej armii/, które przez długi czas udzielały pomocy gospodarczej i politycznej reżimowi Ortegi, oświadczyły niedawno, że Nikaragua dąży do narzucenia przemocą komunizmu wszystkim krajom Ameryki Środkowej.

To, co stało się w Nikaragui, stać się musi i można się spodziewać, że analogiczny proces powtórzy się w kolejnych krajach Ameryki Środkowej. Ostatecznym celem Moskwy nie jest tylko sowietyzacja tego regionu, celem ostatecznym jest zniszczenie potęgi amerykańskiej. Obecnie Sowietci - przy poparciu większości państw Zachodu - umacniają zdobyte pozycje. Pomoc gospodarcza udzielana Managui przez poszczególne kraje zachodnioeuropejskie osiąga w skali rocznej wartość od kilku do kilkunastu miliardów dolarów.

Lecz Waszyngton, świadom zaciekającej się pętli, nie ma nawet prawa do obrony. Podjęta przez Reagana próba powstrzymania ekspansji komunizmu traktowana jest jako "amerykański imperializm" i "awanturnictwo". Zw. "postępowa opinia" z furją

atakuje fakt obecności w Salvadorze kilkudziesięciu amerykańskich ekspertów wojskowych. Obecności w Nikaragui kilkunastu tysięcy żołnierzy, politruków i czekistów z obozu sowieckiego po prostu się nie dostrzega. Nie dostrzega się również nieustannych wysiłków Kastygtona na rzecz demokracji w państwach rządzonych przez militarne reżimy. Nie dostrzega się, bo nie można dostrzec; syndrom ideologii polega właśnie na niewidzeniu faktów.

V

Kiedy nastąpił ów symboliczny rok 1984, gdy system totalitarny osiągnie panowanie nad całym światem? Sądzę, że odpowiedź na to pytanie należy od rozwoju sytuacji na dwóch frontach, na których Sowoci prowadzą wojnę z Zachodem - na froncie umiarkowanym w Europie Zachodniej i osamotnionym - w Ameryce Środkowej. W aferze kontrolnych rozstrzygnięć politycznych o znaczeniu będzie kontrole sojuszu Europejskiego i Ameryki. Wzrost może "neutralizować" Europę Zachodnią/ i wówczas obszar Ameryki Środkowej do tzw. "obozu socjalistycznego", co umożliwi Sowietom militarna ekspansja Stanów Zjednoczonych. Istnieje również szansa na powtórzenie sytuacji z porażek lat 60-tych, gdy uderzająca postać Kastygtona zwała Chrystianowa do użycia rakiet nuklearnych z Kuby. Blisko też ekspansja sowiecka w Ameryce Środkowej może doprowadzić do osamotnionej wojny; w przyszłości jedyną alternatywą dla Stanów Zjednoczonych może być albo konieczność militarnej kontroli, albo zgoda na polityczną zależność od Moskwy. Odpowiedzialność za to ponosić będą ci, którzy dziś krytykują politykę Reagana i nie chcą zrozumieć lekcji nikaraguańskiej.

Rozstrzygnięcie na froncie zachodniopółnocnym będzie zależało od wielu czynników. Wzrostem tu tyle większą działalność pacyfistów czy "wolnych", głównie z powodu "syndromu ideologicznego" charakterystycznego ze ruchy. Ale bez wątpienia będą one odgrywać coraz donioślejszą rolę, chociażby z uwagi na czynnik biologiczny. Wrodzici z zachodnich uniwersytetów, obciążonych antyorganowiskimi plakietami, stopniowo tworzyć będzie elity intelektualne i polityczne. I wreszcie prasa rozbrojeniowa - pacyfistyczna już obecnie jest na tyle silna, że nawet politycy skłonni realizować decyzje obronne NATO tują się w związku z tym w pierś, niższym po popokoleniu fatalnego grzechu.

Wydawać by się mogło, że wyniki wyborów w RFN i Wielkiej Brytanii świadczą o wzmożeniu jedności Europy Zachodniej i orientacji atlantyckiej. Jest to jednak wrażenie mylne; podobnie jest, gdy obserwujemy raptowne pobudzenia gruźlika w ostatej, przedśmiernej fazie choroby. Bez porównania łatwiej jest bowiem rozbić jedność Europy Zachodniej, niż ją wzmacnić. Zwycięstwa wyborcze torystów i CDU/CSU przyspieszyły proces ideowej radykalizacji partii lewicowych w Wielkiej Brytanii i RFN. Przywódca Labour Party w czasie kampanii przedwyborczej obiecywał w liście do Andropowa jednostronne rozbrojenie Wielkiej Brytanii w wypadku zwycięstwa swej partii. SPD otwarcie mówi o wystąpieniu Niemiec Zachodnich z NATO. Jeśli dodamy do tego politykę socjalistycznego rządu Grecji /którego premier okazał się wierzynikiem Jeruzelskiego/ i takiego rządu Hiszpanii - łatwo spojrzeć, na jak wątpliwych fundamentach trzyma się Sojusz Atlantyczny.

Ale przetrwanie Zachodu nie zależy od rozstrzygnięć militarnych i nie sowieckie pociski nuklearne stanowią największą groźbę /nikt zresztą nie zamierza ich wystrzelić/. Przyszłość świata zależy od tego, czy ludzie tu, na Zachodzie, zrozumieją system sowiecki i przestaną przypisywać mu cechy, których posiadać on nie może.

Rok 1984 to data symboliczna i rzecz jasna nie wiadomo, kiedy on nastąpi. Nikt już jednak nie stawia pytania: czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?

Dziś jest pierwszy dzień września roku 1983 i w kraju gdzie mieszkańcy - w Niemczech Zachodnich - setki tysięcy ludzi ruszyło w marszach protestacyjnych na amerykańskie bazy wojskowe. Po drugiej stronie muru "W o l k s p o l i z e i" w kilka minut zlikwidowała kilkadziesiąt osobową demonstrację pokojową.

Rok 1984 nadchodzi, czas pracuje dla Sovietów.

"Kultura", październik 1983

Tamara, Warszawa

M. Bronski

SYNOPSIS W AFGANISTANIE

ROZMOWA Z SAYD FAZEL AKBAR EM

KIEROWNIKIEM AFGAŃSKIEGO OŚRODKA INFORMACJI I DOKUMENTACJI W PIESZAWARZE
/WRZESIEŃ 1983/

Z okazji kongresu naukowego w Pakistanie spędziłem n.in. tydzień w Pieszawarze, gdzie miałem możność zetknąć się z niektórymi osobami reprezentującymi politycznie i organizacyjnie masy ciekawierów afgańskich, a także utrzymującymi kontakt z różnymi grupami afgańskich bojowców /m a d i a h i d i n/. Rozmowa z p.Akbariem, b.pracownikiem radia w Kabulu, odbyłem 19 września w jego biurze, które jest też małym muzeum militariów sowieckich, dostarczonych przez bojowców dość swobodnie przekraczających do Pieszawaru przez pobliską granicę. Wśród eksponatów znajdowało się kilka "zabawań" plastikowych, wytubowanych przy ładzie dotknięciu, a o których prasa zachodnia piszeła ze sceptycyzmem. W istocie miny te nie są "zabawkami" s e n s a s t r i c t o, tan. nie są zrobione celowo by przyciągnąć dzieci, ale na pierwszy rzut oka sprawiają takie wrażenie. Są to ok. 10-centymetrowe przedmioty w kształcie rybek o różnych odcieniach zieleni. Spiszczonego "ogon" jest względnie niegroźny, natomiast rozдутy korpus zawiera ok.50 gr. środka wybuchowego i eksploduje przy dotknięciu. Miny te przeznaczone są niewątpliwie do rozrzucaania po polach i łąkach, gdzie stają się prawie niewidoczne; na tle brązowej ziemi afgańskich gór muszą się odcinać bardzo wyraźnie i zapewne skusiły niej jedno dziecko w górskich wioskach. Drugim rodzajem eksponatów były różne odmiany sprzętu przeciwo-gazowego: maski, fiolki z chemikaliami sygnalizującymi obecność gazu itp.; p.Akbar podkreślał, że każdy sowiecki żołnierz jest wyposażony w ten sprzęt, co - jego zdaniem - winno skutkować do domów, iż Rosjanie często używają gazu w akcji, a o czym prasa zachodnia również pisze półgębkiem i bez przekonania.

Mimo, że znam paszto /afgański/ raczej tylko biernie, nie chcąc ograniczać swobody wypowiedzi mego rozmówcy prosiłem p.Akbara by mówił w swym języku ojczystym i poniższy tekst jest tłumaczeniem /a niewielkimi skrótami/, dokonany przeze mnie później, w wolniejszym czasie, z taśmy magnetofonowej. Niektóre dodatkowe informacje /wrażeń w nawiasach/ pochodzą z angielskich biuletynów Biura, które dostarem w czasie mej wizyty. W rozmowie uczestniczył też p.Kadżruh, jeden z głównych koordynatorów politycznych na terenie Pieszawaru, ale udział swój ograniczył on jedynie do roli komentatora i /chwila/ tłumacza. Rozmowa nie przyniosła żadnych nowelacji faktycznych, odzwierciedla jednak dobrze nastroje i poglądy afgańskich działaczy politycznych i z tego względu wydaje mi się interesująca. Oto jej tekst:

M.Bronski: - Co chciałby pan powiedzieć na temat rosyjskiej akcji w Afganistanie?

Fazel Akbar: - Jak wiadomo, Rosja jeszcze w czasach carskich miała plany podboju Afganistanu. W nowszych czasach usiłowała uzyskać ten cel innymi środkami: mowa

była o pomocy gospodarczej i przyjaźni, ale wszystko to w rzeczywistości zmierzano do podporządkowania sobie naszego kraju. W tym też celu Rosja zwerbowała sobie pomocników wewnętrznych, członków ugrupowań komunistycznych C h a i q /"Lud" / i P a r e z a m / "Sztandar" / i oni to w kwietniu 1978 drogą krwawego zamachu stanu siłą zagarnęli władzę. Ludność jednak szybko zorientowała się, że ludzie ci są jej obcy, że nie reprezentują interesów Afganistanu i że są po prostu pomocnikami Rosjan, toteż zaczęła stawiać im opór, przybierający szybko charakter powstania. Rosjanie zdecydowali się, że ich wpływ skąbną, więc w grudniu 1979 postanowili interwencją bezpośrednią, militarnie.

Wojna, która toczy się obecnie w Afganistanie ma charakter szczególnie i porównanie jej z wojną w Wietnamie jest mylące, choćby dlatego, że tam strona antykomunistyczna miała ogromną pomoc amerykańską. W Afganistanie walczący są sami. Rosjanie prowadzą akcję, ignorując zupełnie przyjęte na świecie prawa wojenne: zabijają kobiety i dzieci, masakrują ludność cywilną. Jakis miesiąc temu na przykład, w Ghazni, wyciągnięto z domów pewnego dnia ok. 20 osób i zabito je bez ceregieli. Powtarza się to często - przed trzecim miesiącem w prawie każdej wsi w okolicach Paganum zabito w ten sposób wiele osób, w ośmiat za pomoc są u d z a h i d o m. Poma większymi miastami Rosjanie nie mają władzy w terenie i dopiero gdy odzyskują bojowców wycofują się w góry, wracając w formie ekspedycji karnych i zabijając ludność cywilną, giną kobiety, dzieci, nawiązuje.

Rosjanie nie prowadzą właściwie systematycznej akcji przeciw bojowcom, na razie zalegają głównie na zaspewieniu bezpieczeństwa swym transportom i garnizonom. Tu działają systematycznie: np. na terenach na północ od Kabulu i Kandaharu stracają wódz pasów po obu stronach drogi, domy, ogrody, wszystko... Wokół Kabulu i innych ośrodków zamieszkałych wiele osiedli, by stworzyć bezpieczne strefy i zmusić ludność do emigracji. To ostatnie jest zaplanowaną taktyką: zborno najazdy na określone okolice mają za cel zmniejszenie ludności do następnej emigracji, chodzi o wyparcie wysięgu ludzi z danej okolicy naraz. Nawet członkowie P a r e z a m u /komunistycznej frakcji, z którą związane jest Harkat Nizami i która po zlikwidowaniu Tarekiziego i Amira - opierających się na C h a i q u - jest obecnie głównym ugrupowaniem reżymowym/ przyznają, że plan sowiecki polega na wyparciu lub wygłodzeniu ludności, chodzi im o to, by pozostać goły teren...

M.B.: - I stąd Pakistan ma obecnie za swym terenem 3,5 miliona uchodźców afganickich... Czy pomoc materialna dla nich jest wystarczająca?

F.A.: - Pakistan pomaga, ale wiadomo powszechnie, że kraj ten nie ma wystarczających środków materialnych i ma wiele własnych kłopotów ekonomicznych. Inne kraje też pomagają, ale pomoc ta nie wystarcza w pełni, są trudności z odnieść i sytością. Wolny świat powinien zwiększyć pomoc, zwłaszcza, że Afganistan walczy po jego stronie, z jego przeciwnikiem... Poza tym zapomnia się często, że uchodźców jest więcej, istnieją bowiem masy uchodźców w e w n ę t r z n y c h, ludzi którzy nie byli w stanie przedostać się poza granicę - przejeżdżają się nieraz odległe, trudne i niebezpieczne - ale musieli ochronić się w innych prowincjach Afganistanu.

M.B.: - Wiem z doświadczenia, że każdy reżym typu sowieckiego zaczyna od organizowania szerokiej siatki policyjnej i werbowania donosicieli. Czy wobec tego Rosjanie nie są w stanie szybko wytropić takich współpracowników wewnętrznych?

F.A.: - Jak wspominałem, Rosjanie nie kontrolują w pełni terenu. Według szacunków danych, dokonanej w grudniu 1982 roku, około 80% terytorium znajdowało się wówczas pod kontrolą m u d z a h i d o w i nawet tak duże ośrodki jak Kandahar, Ghazni i Herat oceniano jako w 50% "uwolnione", tam będące częściami w władaniu grup bojowych; sytuacja jest oczywiście pomyślna. Okupuje tylko stolice i pewne

środki prowincjonalne, nie mogą więc kontrolować ruchu ludności. Ale zjawisko democji i agentów jest faktem. Zorientowawszy się, że akcja bezpośrednia przeciw bojownikom nie daje rezultatów, Rosjanie sięgnęli do środków pośrednich: przepokopstwa, nacisku ekonomicznego... Próbowali infiltrować grupy m u d a h i d i n, rozbijając je... Ale nawet jeśli agentom udaje się niekiedy osiągnąć to na planach politycznej czy organizacyjnej, nie ma to większego znaczenia w skali ogólnej. Wojna w Afganistanie trwa już od 4-5 lat i od początku akcje bojowe były rozproszone. Walczy z sobą spręży, że wojna ta nie ma "cechu", milit nie podejmuje walki romantycznej szarży, czy nuda się wyprzed Rosjan, czy też nie... To jest wojna o styl życia, o Islam, o wiarę, to jest d a h i b a d /wojna religijna/, w której walczący składają ofiarę z siebie. Walczą aby żyć sobie większej powoły ze strony wolnego świata - Afganistan walczy po jego stronie - walczą aby sobie żyć większego nacisku Zachodu na Związek Radziecki, zwłaszcza nacisku ekonomicznego; ale niezależnie od tego, czy warunki te będą spełnione czy nie, walka w Afganistanie będzie trwała - być może kraj padnie, ale nie podda się. Nawet w obecnej sytuacji w Afganistanie jest nadzieja, jest wiara nadzieja na wolność.

M.B.: - Wspomniał pan kwestię jedności, a raczej jej braku. Nawet wśród przedstawicieli politycznych w Pomszawie brak jej. /Dziś tu sześć różnych ugrupowań, iwa nawet o tej samej nazwie "Muzułmańska Partia Afganistanu", ale kierowane przez dwóch różnych przywódców; główne rozbieżności dotyczą kwestii ustrojowo-religijnych, gdyż wszystkie ugrupowania mają za cel taki czy inny "ostroj muzułmański" w praktyce w Afganistanie; p.Akbar określa trzy ugrupowania jako "fundamentalistyczne", ten. małej lub bardziej radykalne a la Szahzadi, a trzy jako "umiarkowane". Jak to odbija się na akcji militarnej w Afganistanie?

F.A.: - To fakt, że każdy m u d a h i d czy emigrant przybywający tu z Afganistanu skarży się na brak jedności. I jedność to jest wielka potrzeba - jest zresztą nadzieja na to, prowadzi się rozmowy... ale w praktyce brak jej nie ma aż tak wielkiego znaczenia w chwili obecnej. Na miejscu każdy komendant grupy bojowej jest samowładny, podejmuje akcje według własnego rozumienia sytuacji, zalecanie od własnych środków... warunków lokalnych, własnej determinacji, sam organizuje współdziałanie. I akcje są prowadzone... /Jako przykład typowej drobnej akcji p.Akbar wskazuje na "insydent" opisany w biuletynie Ośrodka z 7 sierpnia 1983: 25 lipca grupa m u d a h i d ó w z kwater w Kilgaj oczekują ataku żołnierzy sowieckich, kwatrujących w pewnym ogrodzie w miejscowości Bocz; zabito dwóch oficerów i sześciu żołnierzy, zginęło dwóch bojowców afgańskich; zdobyto 6 karabinów typu Kalasnikow i jednego jeepa/.

M.B.: - Czyżbyście nie da się wydomniżyć liczebnie ludzkiego cierpienia, ale jak pan ocenia straty Afganistanu w terminach demograficznych? W 1979 roku kraj ten liczył ponad 20 mln ludzi - na ile ocenia pan straty obecnie?

F.A.: - Brak dokładnych danych, ale liczba zabitych przekracza pół miliona; są też wielkie ilości rannych. Afganistan stracił też 5 milionów ludzi, którzy wyemigrowali - 3,5 mln tu /do Pakistanu/, 1,5 mln do Iranu.

F.B.: - Wiadomo, że główną siłą oporu są Pasztuni; ale Afganistan jest krajem wieloetnicznym, .. mieszka tu Buzara /ludność pochodzenia mongolskiego w centrum Hindukush/, Tadżykowie i Usbecy na północy; niepasztańskie grupy ludności czują się niekiedy zadowolone i odsunięte na drugi plan przez Pasztunów. Czy obecnie nie odbija się to na ich postawie wobec sowieckiego najazdu?

F.A.: - To fakt, że głównymi oponentami wśród bojowców są Pasztuni, ale inni też biorą udział w walce. Różnice etniczne nie mają tu znaczenia; na północy też walczą, walczą Usbecy i Tadżykowie, wszyscy pomagają m u d a h i d . o u. Nawet scytycy

Uzbecy i Tadżykowie pomagają nam, przekazują amunicję... /Jak wynika z zeznań dwóch muzulmańskich żołnierzy sowieckich, którzy przeszli na stronę m u d ż a - h i d i n /biuletyn z 1 lipca 1983/, s p r z e d a z zdobytej lub skradzionej broni jest dość powszechnym procederem wśród stacjonujących żołnierzy sowieckich/. Różnice etniczne nie mają wpływu na postawę wobec najeźdźców...

M.B.: - A jak wygląda sytuacja w afgańskich wojskach "rządowych"? Armia ta /licząca w 1979 ok. 100 tys. żołnierzy/ bardzo się przerzedziła przez dezercje, ale wciąż istnieje...

F.A.: - Jest bardzo słaba. Właściwie nie ma co w ogóle mówić o "wojsku Karmala". Ci, którzy w nim służą, tylko czekają na okazję, by przejść do m u d ż a h i d i n . Do wojska biorą siłą, pod presją rosyjską; biorą kilkunastoletnich chłopców, organizują różne formy nacisku... /Jedną z nich jest uzależnienie studiów od uprzedniej służby wojskowej, stąd w ub. roku na uniwersytecie w Kabulu 90% studentów stanowiły dziewczęta. Uniwersytet zresztą jest "zreorganizowany", rządzi w nim "doradcy" sowieccy, a wykładają ludzie, zwerbowani według kryteriów politycznych i poziom jest bardzo niski; ok. 80% dawnych wykładowców wyemigrowało. Rosjanie starają się stworzyć nową elitę, wykształconą w Sowietach - obecnie studiuje tam ok. 10 tys. młodych Afganów/. Wojsko to jest bardzo źle wyćwiczone, do służb technicznych /czołgi, lotnictwo/ biorą nawet inwalidów z dawnych roczników Tak, że Babrak Karmal właściwie nie ma w ogóle wojska...

M.B.: - To znaczy, że Rosjanie są zmuszeni zwiększać coraz bardziej swój własny kontyngent w Afganistanie. Czy potrafi pan ocenić liczbowo wielkość sił sowieckich w tym kraju?

F.A.: - To bardzo trudne, ponieważ właściwie nie ma granicy pomiędzy Afganistanem a Związkiem Sowieckim. Oni wprowadzają i wyprowadzają wojska zależnie od potrzeb chwili. Dotyczy to specjalnie samolotów, które właściwie z zasady startują z lotnisk sowieckich na ich terenie, a nie w Afganistanie. Tak, że nie da się powiedzieć dokładnie, choć na pewno liczba żołnierzy stale wzrasta.

M.B.: - Czy uważa pan, że świat zachodni jest dobrze informowany o tym, co dzieje się w Afganistanie?

F.A.: - Nie. Prasa zachodnia prawie nie pisze o tym, że wojna ta dotyka nie tylko bezpośrednio walczących, ale i całej ludności cywilnej, że toczona jest wbrew przyjętym konwencjom. Rosjanie używają gazów trujących i to w wielu wypadkach. Przed kilku tygodniami w prowincji Logar zginęło od gazu ponad 100 osób, które schroniły się przed atakiem lotniczym w k a r e z i e /podziemnym kanale nawadniającym/. W wielu innych miejscowościach, gdzie użyto gazu, skutki tego widoczne są po dziś dzień - ludzie cierpią na zaburzenia wzroku i słuchu, wymioty... Rosjanie używają masek, a ludność cywilna ich nie ma. O tym, że ludzie wciąż giną - nie tylko bojowcy, ale i ludność cywilna, kobiety i dzieci - pisze się za mało. Po strąceniu przez Rosjan samolotu południowokoreańskiego, w którym zginęło dwieście kilkadziesiąt osób, pisano bardzo dużo na ten temat - ale nie pisze się o tym, że w Afganistanie c o d z i e n n i e , w każdej prowincji ginie więcej ludzi niż tam... Sprawa Afganistanu przestała jakby liczyć się w opinii światowej. Niestety.

Zbigniew Fallenberg

O SANKCJACH GOSPODARCZYCH WOBEC POLSKI

Sankcje gospodarcze zastosowane wobec PRL po ogłoszeniu stanu wojennego stają się w bardzo trudnej sytuacji nie tylko rossijskich po świecie Polaków, ale i rządu zachodniego, które je nałożyły. Sankcjom przyświecało kilka celów: miały pokazać, że Zachodowi nie jest obojętne, co się w Polsce dzieje, starać się wymusić na Związku Sowieckim pewne zmiany w polityce wobec Polski, stworzyć kłopotliwą sytuację nie tylko dla przywódców PRL, ale także dla ZSRR, czyli w sumie podwyższyć koszty wprowadzenia stanu wojennego i w ten sposób doprowadzić do zniesienia go i zapobiec podobnym podjęciom na przyszłość.

Sytuacja jest trudna, gdyż sankcje rzeczywiście mają bardzo ujemny wpływ na gospodarkę polską i w konsekwencji odczuwane są przez całą ludność. Z drugiej strony jest ważne, aby Zachód nie ułatwił grupie Jaruzelskiego wykonywania zadań, jakie otrzymała z Moskwy. Nie ulga bowiem wątpliwości, gdzie koncepcja stanu wojennego powstała, i gdzie od dłuższego czasu była przygotowywana.

Interwencja zbrojna w Polsce nie była wówczas ZSRR politycznie wygodna. Z jednej strony zbyt mało czasu upłynęło od inwazji na Afganistan. Z drugiej strony trwała właśnie konferencja w Madrycie. Ostatecznie PRL jest sygnatariuszem umowy w Helsinkach, która miała wykluczać zbrojne interwencje między krajami - sygnatariuszami. Na umowie tej Związkowi Sowieckiemu ogromnie zależało i nadal zależy. Interwencja zbrojna w Polsce niewątpliwie doprowadziłaby do jej przekreślenia.

Związkowi Sowieckiemu zależało również na rozmowach w sprawie ograniczenia zbrojeń w Genewie i w Wiedniu, na rozwijaniu ruchów pacyfistycznych i antynuklearnych na Zachodzie, na utrzymaniu transferu zachodniej technologii i importu zboża w oparciu o kredyty zachodnie oraz na podpisaniu przez kraje Europy Zachodniej umowy o budowie gazociągu.

W tej sytuacji z pewnością było więc postawienie się zaangażowani ludźmi w Polsce. Wprawdzie ZSRR nie uniknęła wszystkich negatywnych konsekwencji, ale ich nasilenie zostało w ten sposób zminimalizowane.

Należy ubolewać, że sankcje gospodarcze wobec ZSRR nie były mocniejsze. Szczególnie poważnym błędem było odczekanie przez prezydenta Reagana sankcji zbożowych, które są dla gospodarki sowieckiej wyjątkowo dotkliwe, ale które zbyt krótko obowiązywały, aby wywrzeć pełny wpływ, tym bardziej że Amerykanie nie zapewnili sobie solidarności innych eksporterów zboża. Podpisanie obecnie pięcioletniej umowy o dostawach zboża do ZSRR wartości 10 miliardów dolarów w pewnym stopniu podważa racjonalność utrzymywania sankcji wobec PRL.

Musimy odrzucić zasadę, głoszącą, że "im gorzej, tym lepiej". Nadzieje na to, że dalsze pogarszanie się sytuacji gospodarczej doprowadzi do jakiegoś desperackiego wybuchu byłoby dowodem braku odpowiedzialności, jeśli nie wprost szaleństwem, gdyż wiadomo, jak taki zryw by się skończył. Powinniśmy starać się zwiększać kontakty pomiędzy Polską i Zachodem, a nie odcinać jej i wypychać głębiej w objęcia sowieckie. Są to wszystkie ważne argumenty. Jednakże należy uważać, aby grupie Jaruzelskiego nie pomogła w zaciśnięciu pęt, jakie na naród nałożyła. Im bezpieczniej będzie się czuła i im bardziej będzie przekonana, że jej obecna polityka stabilizuje gospodarkę i wyciąga ją z kryzysu, tym mniej będzie potrzebowała pomocy społeczeństwa, tym mniej się z nim będzie liczyć, tym szybciej skończy się te wszystkie pozorne reformy i zmiany, jakie zostały wprowadzone. Niestabilizowana gospodarka oznacza niestety niską stopę życiową ludności, ale zarazem podważa siłę rządu, który musi do pewnego stopnia liczyć się z opinią publiczną.

W oficjalnej prasie krajowej krytykuje się obecnie banki i rządy zachodnie za to, że przez udzielanie pożyczek finansowały błędy gospodarcze ekipy Gierka. Ten sam argument należy zastosować do ekipy Jaruzelskiego, która związczyła przedsiębiorstwa policyjne i której polityka nie zwiększa, lecz zmniejsza szanse wyjścia z kryzysu gospodarczego. Błędy gospodarcze ekipy Jaruzelskiego już się poważnie naszerzyły i oficjalna prasa krajowa będzie miała co krytykować, kiedy kierownictwo tej ekipy zastąpi się jakimś nowym przywódcą.

Ażby w pełni ocenić znaczenie sankcji gospodarczych, należy przypomnieć, że bezpośrednią przyczyną spadku produkcji, jaki miał miejsce pod koniec lat siedemdziesiątych, było załamanie się bilansu płatniczego. Głębsze przyczyny kryzysu gospodarczego sięgają oczywiście znacznie dalej wstecz, mianowicie do końca lat czterdziestych, kiedy to wprowadzono w Polsce scentralizowany sowiecki system gospodarczy; przyjęto sowiecką politykę uprzemysłowienia, odcięto gospodarkę polską od gospodarki światowej i stracono ją do bloku sowieckiego 2. Poważne trudności wystąpiły już w okresie wykonywania planu sześciolatniego i ponownie na początku lat sześćdziesiątych, po czym nastąpiła stagnacja pod koniec dekad. Już wtedy groził gospodarce polskiej głęboki kryzys, który został jedynie odsunięty na później wskutek gierkowskiej "nowej strategii gospodarczej", polegającej na próbie zmiany struktury gospodarczej i modernizacji przy pomocy transferu zachodniej technologii i zachodnich kredytów 3.

Od połowy lat siedemdziesiątych stopa wzrostu wytworzonego dochodu narodowego, a więc wartości wszystkich dóbr materialnych i niektórych usług wytworzonych przez gospodarkę, zmniejszała się szybko z roku na rok. Absolutny spadek dochodu wystąpił po raz pierwszy w 1979. Równocześnie coraz bardziej pogarszała się sytuacja w bilansie płatniczym oraz gwałtownie wzrastało zadłużenie. Sytuacja ta wymagała zdecydowanej akcji ze strony władz gospodarczych, której ekipa Gierka nie była w stanie wypracować 4. Nie rozumiejąc prawdziwych przyczyn kryzysu, dążyła w sposób odruchowy i nieprzemysłany. Dokonywano arbitralnych cięć importu, głównie z krajów tak zwanego drugiego obszaru płatniczego /to jest z krajów o gospodarce rynkowej/ przy pomocy wysoco scentralizowanych metod administracyjnych. Świadomie zanikało to dopływy niezbędnych materiałów, części, składowików oraz komplementarnych maszyn i urządzeń. Działając w ten sposób, po prostu zredukowano produkcję, włącznie z produkcją na eksport, co w efekcie odbiło się ujemnie na bilansie handlu zagranicznego, dla ratowania którego tę politykę prowadzono. Zamiast uzdrowić sytuację w bilansie płatniczym, pogarszano ją dalej, równocześnie zmniejszając stopę wzrostu wytworzonego dochodu narodowego 5.

1. Analizę tej polityki autor przedstawił w Z.M.Fallenbuchi, "The Polish Economy Since August 1980", *Canadian Slavonic Papers*, v.LXXV, Nr 3, 1983 oraz w Z.M. Fallenbuchi, "The Polish Economy After One Year of Martial Law", *International Dialogue* Nr 2, 1983.

2. Szersze omówienie zostało przedstawione w Z.M.Fallenbuchi, *Polityka gospodarcza PRL*, Londyn:Ognowa, 1980.

3. Autor omawia tę strategię w Z.M.Fallenbuchi, "The Strategy of Development and Gierk's Manoeuvre" w A.Bronke, J.W.Strong /red./, *Gierk's Poland*, New York: Praeger, 1973.

4. Sprawy te autor omawia bardziej szczegółowo w Z.M.Fallenbuchi, "The Polish Economy in the 1970's", w J.P.Hardt /red./, *East European Economies Post-Helsinki*, Washington:Joint Economic Committee of the US Congress, 1977.

5. Bardziej szczegółową analizę znaleźć można w Z.M.Fallenbuchi, "Policy Alternatives in Foreign Economic Relations" w R.E.Kanet, M.D.Simon /red./, *Background to Crisis: Policy and Politics in Gierk's Poland*, Boulder: Westview Press, 1981 oraz Z.M.Fallenbuchi, "The Impact of Economic Disturbances on Poland Since 1971" w E.Neuberger, L.Tyson/red./, *The Impact of International Economic Disturbances on the Soviet Union and Eastern Europe*, New York: Pergamon, 1980.

Próby zmian struktury produkcji, podejmowane w drugiej połowie lat siedemdziesiątych w celu zwiększenia dochodów na konsumpcyjny rynek krajowy i na eksport kosztów produkcji zaopatrzeniowej i inwestycyjnej również przeprowadzone przy pomocy metod nakazowo - administracyjnych. Miały one powstrzymać spadek dochodu narodowego, zabezpieczyć konsumpcję oraz uzdrowić bilans płatniczy przez wzrost eksportu. W rzeczywistości dezintegrowały gospodarkę, przeciętny więzy kooperacyjne pomiędzy jednostkami gospodarczymi i wywoływały ogólny chaos. Nieopłacalne okazało się zwiększenie opłacalnego eksportu nowoczesnych produktów przemysłowych na trudni rynek światowy przy pomocy prymitywnych, wysoko scentralizowanych metod handlu zagranicznego, bez bezpośredniego kontaktu producentów z zagranicznymi importersami, bez znajomości rynków zagranicznych i szybko zmieniającego się popytu, bez zapewnienia części zamiennych i usług po sprzedaży. Pozostał eksport węgla i kilku innych surowców niskiego stann przetworzenia oraz produktów spożywczych. Eksport ten był formowany bez względu na jego opłacalność i w efekcie gospodarka do niego dochodziła, co zamiast zwiększać, obniżało dochód narodowy oraz pogłębiało braki na rynku konsumpcyjnym i w zaopatrzeniu produkcji krajowej, a więc powiększało chaos w gospodarce.

Jak wyrozek VIII zjazdu partii, ekipa gierkowska nie była w stanie wypracować żadnej innej koncepcji stabilizacji gospodarki. Przyjęto zasadę kontynuowania dotychczasowej strategii. Liczono na to, że tendencja spadkowa stopy wzrostu dochodu narodowego musi się kiedyś zatrzymać, że bilans handlu zagranicznego przestanie się kiedyś pogarszać, że zagranicami wzroczniele zgodzą się na dogodne preferencje finansowe dla węgla i uralu będące zasilem gospodarkę niezbędnym dla niej kredytami, że nowo stworzone i ulepszone przy pomocy zachodnich kredytów w pierwszej połowie dekady nowe produktywność zaczną dawać pozytywne rezultaty, że jakś się zabezpieczy konsumpcję przed zbyt ostrym spadkiem i uniknie nowych zaburzeń społecznych. Była to prawdziwie strusia polityka. Musiała się skończyć katastrofą, tym większą, im dłużej ją prowadzono 6.

Wyszczególnione strajkami w sierpniu i we wrześniu 1980 roku zmiany kierownictwa politycznego nie wpłynęły na przyjęcie bardziej realnej strategii walki z pogłębiającym się kryzysem 7. Jest rzeczą charakterystyczną, że kiedyś mówi się w kraju o błędach i wyszczególnia okres gierkowskiego, krytykę polityki gospodarczej ogranicza się do błędów popełnionych w czasie wielkiego kryzysu inwestycyjnego i niekiedy otwarcia gospodarki na Zachód w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. Podkreśla się, że stopa inwestycji była zbyt wysoka i front inwestycyjny zbyt szeroki, co spowodowało zmarnowanie kolosalnych wprost środków w niezakończonych inwestycjach. Mówi się o błędach w wyborze projektów inwestycyjnych, które były równie albo nawet bardziej energo- i materiałochłonne niż ta struktura gospodarcza, którą zbudowano w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a więc że inwestycje te nie wzmocniły istotnego postępu, a nawet w poważnym stopniu pogorszały sytuację. Wykazuje się, że obsesja zdeintegracji aparatu wytwórczego było wynikiem dysharmonii pomiędzy nadmiernie rozbudowanymi fazami finalnymi produkcji i niedorozwojem zaopatrzenia surowcowego z produkcji krajowej i importu, energii, ki oraz transportu. Krytykuje się zwiększone uzależnienie gospodarki od importu materiałów, części i maszyn, szczególnie uzależnienie od importu z Zachodu. Po- tępia się wyzwanie zadłużenie. Wskazuje się na błędy popełnione w zakupywaniu licencji zagranicznych i wprowadzeniu zachodniej technologii. Wszystkie te zarzuty są niewątpliwie słuszne.

6. Szersze oswielenie znaleźć można w Z.M.Fallenbuehl, "The Polish Economy at the Beginning of the 1980's" w J.P.Hardt/red., East European Economic Assessment, Washington: Joint Economic Committee of the US Congress, 1980, również zamieszczone w Poland 1980, Washington: Joint Economic Committee of the US Congress, 1980.

7. Z.M.Fallenbuehl, "Poland: Command Planning in Crisis", Challenge, v.24 nr 3, 1981.

Wskazując na ogół na spory, ale krytyczny iśćór propagandystyczny przez ekipę Gierka w drugiej połowie lat 60-tych, kiedy ustawa o stabilizacji gospodarki przy pomocy arbitralnych i bezwzględnych cież importu, administracyjnymi metodami modyfikacji struktury produkcji na rzecz konsumpcji i kłopotów na wszelki czyn eksport, bez wyjątku produkcję, za to z wielkimi stratami dla gospodarki.

Te błędy Gierka prześledzi się zupełnie dlatego, że strategia ta kontynuowana i kontynuacja się zaczęła. Wskazując Gierka na politykę polityczną i gospodarczą, byli najciężsi w skutki z bezkompromisową i bezwzględnością się partii i nie pomysłowością pogłębiającego się kryzysu gospodarczego. Wierzyli, że w końcu byli wprost przetrzeźwieni kompletnymi brakami polityki stabilizacyjnej. "Wielki program przetrzeźwienia krajowej armii stabilizacji gospodarki krajowej" nawet w swojej początkowej wersji, które opublikowano w lipcu 1967, nie zawierał żadnej realnej strategii wyjścia z kryzysu. Był zbieżnym z innymi planami z zakresu polityki gospodarczej, głównie natężenie administracyjnej, nie bardzo ze sobą zgodnych i nie opartych na poważniejszej analizie ekonomicznej. Należało przede wszystkim do stabilizacji, podjętym i niepomysłowością. To dlatego w sprawie Gierka i jego polityki.

Plan na rok 1962, opracowany w ramach partii, nie oparty był na tak twardej strategii ekonomicznej, gdyż w rzeczywistości nie było żadnej polityki politycznej i gospodarczej, która nie była w stanie doprowadzić do stabilizacji i wzrostu gospodarki. Plan ten nie zawierał żadnych konkretnych danych, które mogłyby być podstawą do podjęcia jakiegokolwiek programu. Wskazywał on na konieczność podjęcia działań w celu stabilizacji i wzrostu gospodarki, ale nie zawierał żadnych konkretnych danych, które mogłyby być podstawą do podjęcia jakiegokolwiek programu. Wskazywał on na konieczność podjęcia działań w celu stabilizacji i wzrostu gospodarki, ale nie zawierał żadnych konkretnych danych, które mogłyby być podstawą do podjęcia jakiegokolwiek programu.

Plan trzyletni 1963-1965 opierał się na dwóch specjalnych programach: zapewnieniu bezpieczeństwa i antyinflacyjnym, sterowaniu planem, próbie planowania wieloletniego, podjęta w warunkach głębokiego kryzysu i nie ofijalnym wprowadzeniu modyfikacji systemowych, które miałyby być odcinane różnymi zarządzeniami związanymi z wprowadzeniem stanu wojennego. Plan trzyletni, to głównie bariera wzrostu, która miała stanowić ograniczenie możliwości ekspansji gospodarki w niezbędne surowce i materiały. Co więcej, podważał wszystkie sposoby możliwości zwiększenia importu zapotrzebowanego z krajów planowych i krajów socjalistycznych, plan zakładał "pokrycie części niezbędnych potrzeb w zapewnieniu surowców i materiałów w drodze importu z krajów naliczanych do drugiego obszaru płatniczego". 11.

6. Z.M. Fallenbuchl, "Polish Stabilization and Recovery Programme and Prospects for 1961-65", referat na dorocznym zjeździe American Association for the Advancement of Slavic Studies, Monterey, California, wiosną 1961.

9. Z.M. Fallenbuchl, "Command Performance? The Wilson Quarterly, v. VII, Nr 2, 1963.

10. Z.M. Fallenbuchl, "Poland's Economic Crisis", Problems of Communism, v. XXI, Nr 1, 1962.

11. "Podstawowe warunki Planu Trzyletniego", Życie Gospodarcze, Nr 12, 1963.

Coraz wyraźniej okazuje się, że Związek Sowiecki albo nie jest w stanie, albo nie chce udzielić PRL wystarczającej pomocy. Zadłużenie Polski wobec krajów RWPG obniżyło się w 1982 roku i ponownie spadło do 254,8 miliardów złotych do 252,0 miliardów w pierwszej połowie 1983 roku. Nie wygląda więc na to, aby zapowiedziane pożyczki rzeczywiście zostały udzielane. Jednym z powodów zakłamania się planu trzyletniego już w jego pierwszym roku było właśnie niedotrzymanie zobowiązań odnośnie kredytowanych dostaw z ZSRR. Centralny plan na rok bieżący zakładał saldo ujemne w obrotach z pierwszym obszarem płatniczym, to jest z krajami socjalistycznymi, w wysokości 81 miliardów złotych /minister finansów na posiedzeniu sejmowym w dniu 3 grudnia 1982 zapowiadał nawet 82 miliardy złotych/. Tyle miała wynieść wartość importu z krajów socjalistycznych ponad to, co bieżąco miano zapłacić eksportem. Około 90% tej nadwyżki miało być pokryte udzielonymi przez ZSRR kredytami. W rzeczywistości w pierwszym półroczu saldo ujemne z pierwszym obszarem płatniczym wyniosło jedynie 6 miliardów złotych. Oznacza to, że w ciągu pierwszych sześciu miesięcy wykonano niespełna 7% planu rocznego na tym odcinku. Musiało to wywołać dalsze zaburzenia w wykonaniu planu, który już w samej swojej konstrukcji był niebilansowany i opierał się na nierealnych założeniach co do możliwości obniżenia energochłonności oraz możliwości zwiększenia produkcji przy znacznie mniejszym wzroście podaży energii, materiałów, części i komponentów pochodzących z importu, zwłaszcza importu z Zachodu. Zbyt optymistycznie oceniono zwłaszcza możliwość wzrostu produkcji dóbr konsumpcyjnych bez nowych inwestycji i odpowiedniego wzrostu zaopatrzenia. Dlatego też na początku 1984 roku mają nastąpić nowe podwyżki cen, które według oficjalnych zapowiedzi obniżą realne dochody o dalsze 4%.

Powodzenie planu trzyletniego jest w dużym stopniu uzależnione od sytuacji w handlu zagranicznym, tym bardziej, że realizacja programu oszczędnościowego jest bardzo problematyczna.

Wbrew wszelkim zapowiedziom Polska pozostawiona została przez partnerów RWPG, włącznie z ZSRR, własnemu losowi. Nie otrzymała poważniejszych kredytów, a te które zostały obiecano i na podstawie których opracowano plan trzyletni, nie są dotrzymany w czasie. Nieoptymistyczne wydaje się zwiększenie dalszego importu paliw, materiałów i surowców z pierwszego obszaru płatniczego. Zaopatrzenie gospodarki jest zatem uzależnione od zwiększenia eksportu do drugiego obszaru płatniczego, to jest do krajów niesocjalistycznych.

Wyjście z kryzysu wymaga rzeczywistej, a nie fikcyjnej reformy gospodarczej. Konieczne jest dojście do porozumienia ze społeczeństwem i uzyskanie przynajmniej częściowej jego aprobaty dla niewątpliwie trudnych i bolesnych podjętych gospodarczych. Niezbędne jest również przefinansowanie zadłużenia na możliwie dogodnych warunkach i usunięcie wszelkich przeszkód dla wymiany handlowej z Zachodem.

Jeżeli tak wiele zależy od postawy ludności i od ustosunkowania się Zachodu do PRL, w interesie wyjścia z kryzysu jest zmuszenie władz, aby zaprzestały używania brutalnej siły wobec społeczeństwa i dotrzymały umów zawartych w 1980 roku. Byłoby to zapewne wystarczającym warunkiem, ażeby stabilizację i wyjście z kryzysu można było przeprowadzić w oparciu o pomoc międzynarodowych instytucji finansowych, banków i rządów zachodnich, które udzielały pożyczek lub też je gwarantowały. Nikt nigdy nie stawiał warunku wyjścia z Paktu Warszawskiego czy RWPG, zerwania przymierza z ZSRR czy obalenia socjalizmu w Polsce. Pewna doza "komunizmu z ludzką twarzą", rzeczywistego przeprowadzenia wystarczająco daleko idącej reformy gospodarczej oraz większy stopień otwarcia gospodarki i powiązanie jej z gospodarką światową – to zapewne wszystko, czego można się w tej chwili domagać.

Temu właśnie powinny służyć sankcje gospodarcze. Trudno nie dostrzec logiki wprowadzenia i utrzymania ich, pomimo oporów natury uczuciowej. Zawieszenie, a następnie odwołanie stanu wojennego z równoczesnym wprowadzeniem szeregu ustaw utrzymujących jego restrykcje i umożliwiających niemal automatycznie wprowadzenie go w każdej chwili niewiele zmieniło w sytuacji. Powody dla których wprowadzono sankcje nie zostały usunięte.

Przejdźmy teraz do omówienia samych sankcji. Na czym one polegają?

Najostrowsze sankcje zostały nałożone przez Stany Zjednoczone i administracja Reagana niewątpliwie była motorem tej akcji. Należy jednak pamiętać, że do tego czasu Polska miała w Stanach Zjednoczonych najbardziej uprzywilejowaną pozycję wśród wszystkich krajów EWPC. Nie biorąc już nawet pod uwagę pomocy udzielonej po zakończeniu wojny poprzez UNRRA i zaoferowanej w ramach Planu Marshalla, którą rząd PRL na śędanie ZSRR odrzucił, ulgowe kredyty na zakupowanie zboża i innych produktów rolnych były udzielane od października 1956 do grudnia 1961 roku. Z końcem lat pięćdziesiątych znacznie przyczyniły się one do poprawy stopy życiowej, która poważnie obniżyła się w okresie wykonywania planu sześcioletniego. W 1960 rząd Stanów Zjednoczonych przyznał Polsce klauzulę największego uprzywilejowania /na skutek zresztą wielkich starań, jakie w tej sprawie czyniła Polonia amerykańska/. Polska była jedynym krajem komunistycznym, jaki wówczas korzystał z tego przywileju. Dawało to polskim towarom stosunkowo łatwy dostęp na rynek amerykański. Wszelkie ulgi celne zastosowane przez Stany Zjednoczone wobec jakiegokolwiek partnera handlowego automatycznie rozciągały się na import z Polski. Ponadto PRL korzystała z kwoty 25 milionów dolarów w Export-Import Bank, która to kwota ułatwiała zakupy na rynku amerykańskim.

Kredyty państwowe i gwarantowane przez rząd amerykański i rządy innych krajów zachodnich stanowiły jak gdyby sygnał i zachętę dla zachodnich eksporterów i banków do udzielania kredytu transakcyjnego i pożyczek finansowych, pozwalających na import dóbr inwestycyjnych, zaopatrzeniowych i konsumpcyjnych.

Wszystko to dawało gospodarce polskiej duże możliwości i gdyby kredyty te były odpowiednio wykorzystane, a nie zaprzepaszczone na finansowanie nieodpowiednich inwestycji, rozwój gospodarczy PRL mógłby przebiegać znacznie pomyślniej i wymagałoby mniej ofiar i wyrzeczeń ze strony ludności. Wszystkie te szanse zostały zmarnowane przez błędy gospodarce poprzednich ekip rządzących w PRL, a teraz szanse te zostały po prostu zamknięte na skutek wprowadzenia stanu wojennego. Jest to ogromna strata, którą należy doliczyć do ogólnych strat wyrządzonych Polsce przez grupę Jaruzelskiego.

Wobec braku danych trudno dokładnie obliczyć straty, jakie poniosła gospodarka na skutek sankcji spowodowanych wprowadzeniem stanu wojennego. Wysokość strat wynikłych z wycofania klauzuli najwyższego uprzywilejowania zależy od /a/ wielkości eksportu oraz /b/ jego struktury, gdyż ona obciążają nierównomiernie różne produkty. Dotyczy to nie ma na przykład żadnego wpływu na konkurencyjność polskiej szynki, która dawniej stanowiła około 25% eksportu do Stanów Zjednoczonych, a która jest importowana bez opłat celnych. W wypadku ryb mrożonych cło wynosi tylko 10%, a więc nakłożenie jego nie ma dużego wpływu. Szereg produktów przemysłowych zmalało się jednak w dużo trudniejszej sytuacji. Cło wzrosło na tkaniny i konfekcję o 35-45%, na obrabiarki i narzędzia o 25-40%, na meble o 30%, na silniki elektryczne, maszyny do szycia i przyrządy elektryczne o 25-30%, na obuwie o 12%.

Jeżeli eksport do Stanów Zjednoczonych zwiększyłby się do poziomu z 1950, to jest do około 400 milionów dolarów i miał tę samą co wtedy strukturę, straty wyniosłyby około 60 milionów dolarów. Oblicza się na przykład, że z powodu utraty klauzuli największego uprzywilejowania eksport wyrobów tekstylnych zmalał o ponad połowę. Wszelkie takie obliczenia są jednak bardzo trudne, gdyż na obniżenie polskiego eksportu działa w tym samym czasie wiele innych czynników.

Utrata uprzywilejowanej pozycji doprowadziła do zastosowania wobec importu z PRL szeregu tak zwanych "barier pozataryfowych", które objęły stal i wyroby hutnicze, maszyny i urządzenia elektryczne, statki i wyroby przemysłu elektrycznego. Według oficjalnych obliczeń krajowych, eksport przemysłów hutniczego i

maszynowego został ograniczony na skutek takich pociągnięć o 25-30%.

Równocześnie Komisja Koordynacyjna krajów Paktu Atlantyckiego, tak zwany COCOM, zaleciła obostrzenie przepisów dotyczących eksportu do Polski szeregu nowych technologii, takich jak technologie komputerowe, metali strategicznych i wielu produktów tak zwanej wysokiej technologii, włącznie na przykład, z urządzeniami kontrolnymi dla statków i samolotów. Zaliczenie PRL do krajów pozbawionych preferencji powoduje również szereg utrudnień natury biurokratycznej w handlu towarami nie objętymi formalnie embargiem. Innymi słowy, o ile do czasu wprowadzenia stanu wojennego i użycia siły wobec ludności PRL była traktowana inaczej niż pozostałe kraje komunistyczne, wszystkie te specjalne przywileje zostały cofnięte.

Stany Zjednoczone cofnęły również prawo połowów dla polskiej floty rybackiej. w obrębie amerykańskich wód terytorialnych. Utracono w ten sposób w 1982 roku około 200 tysięcy ton ryb, a także część wpływów dewizowych, gdyż wiele z tego połowu sprzedawano na Zachodzie. Podobny wpływ miało cofnięcie prawa ładowania samolotów "Lotu" na terytorium Stanów Zjednoczonych oraz bojkot polskich statków przez amerykańskie związki zawodowe. Flota handlowa utraciła wielu kontrahentów, gwałtownie zmalał przewóz towarów.

Wszystkie te pociągnięcia polegają na wycofaniu specjalnych przywilejów, z jakich PRL mogła korzystać. Kraje, które te specjalne przywileje udzieliły mają oczywiście prawo wycofać je, jeżeli uznają, że warunki nie zostają spełnione. Odpowiedzialność za to spada na grupę Jaruzelskiego, która nie liczyła się z tym, że użycie siły wobec ludności spowoduje taką reakcję. Cofnięcie klauzuli największego uprzywilejowania przez Stany Zjednoczone, nieodnowienie kwoty zarezerwowanej dla Polski w Eksport-Import Bank, zastosowanie obostrzeń odnośnie eksportu do PRL tak zwanej wysokiej technologii i pozostałe pociągnięcia poważnie utrudniają uzdrowienie sytuacji w bilansie płatniczym oraz walkę z kryzysem gospodarczym. Największą jednak rolę pod tym względem odgrywa zastopowanie jakichkolwiek dalszych kredytów rządowych i gwarantowanych przez rządy zachodnie. Ogranicza to bowiem możliwość przefinansowania zadłużenia na bardziej korzystnych warunkach oraz uniemożliwia osiągnięcie wystarczająco wysokich kredytów, bez których nie można gospodarki polskiej wydobyć z kryzysu.

PRL nie jest jedynym krajem, który musi przefinansować swoje zadłużenie międzynarodowe. W bieżącym roku wielostronne rokowania w sprawie przefinansowania zadłużenia ukończyło, lub nadal prowadzi, 15 krajów, w tym w środkowo-wschodniej Europie Polska, Rumunia i Jugosławia. Ogólna suma spłat należnych w bieżącym roku wynosi 37 miliardów dolarów, licząc zarówno pożyczki rządowe jak i bankowe.

Kraj, który nie jest w stanie spłacić bieżących rat kapitału i oprocentowania ma w zasadzie trzy możliwości. Pierwsza to zaprzestanie spłat kapitału i ewentualnie odsetek w wyniku jednostronnej decyzji. Automatycznie prowadziłoby to jednak do ogłoszenia tego kraju bankrutem i odcięłoby go od możliwości nabywania cegółkolwiek na kredyt transakcyjny oraz od jakichkolwiek pożyczek bankowych w przyszłości. Co więcej, wierzyciele uzyskują możliwość zajęcia majątku tego kraju, a więc budynków jakie posiada on za granicą, statków handlowych, floty rybackiej, samolotów, wagonów kolejowych, autobusów i każdej przesyłki eksportowej. Praktycznie uniemożliwiłoby to w ogóle prowadzenie handlu zagranicznego.

W Polsce słyszy się czasem opinie w rodzaju: "Dlaczego my się mamy martwić wysokim stanem zadłużenia? Niech się martwią nasi wierzyciele!" czy też "Główną winę ponoszą banki; nie powinny były pożyczać. Niech teraz ponoszą konsekwencje". Wszelkie tego rodzaju powiedzenia świadczą z jednej strony o kompletnym niezrozumieniu przyczyn polskiego kryzysu gospodarczego, a z drugiej o niezdawaniu sobie sprawy z konsekwencji takiej decyzji. W gruncie rzeczy właściwie ta pierwsza droga w praktyce nie istnieje. Byłoby zbyt katastrofalna dla przyszłości gospodarczej kraju.

Drugą możliwością jest próbowanie spłacenia za wszelką cenę wszystkich bieżąco przypadających rat i odsetek, bez względu na to, że ograniczyć to musi niezbędny import i prowadzić do dalszego pogłębienia kryzysu. Taką właśnie politykę próbowały władze PRL prowadzić a końcem lat siedemdziesiątych. Jeszcze we wrześniu 1980 roku ówczesny przewodniczący Komisji Finansowa Henryk Kisiel stwierdził, że "Polacy będą krwią płacić, ale długi swoje będą spłacali z dokładnością szwajcarskiego zegarka"¹². Pod koniec 1980 roku zadłużenie wynosiło już przeszło 25 miliardów dolarów, w następnym roku wzrosło do 26,5 miliardów dolarów. Na skutek niezmiernie niekorzystnej struktury zadłużenia, którego bardzo dużą część stanowiły pożyczki krótkoterminowe /co było jednym z bardzo poważnych błędów polityki finansowej i świadczyło o nieumiejętności posługiwania się pożyczkami zagranicznymi/, około jednej czwartej całego długu należało spłacić w 1981 roku, a wSTEP- nie aż połowę całości w ciągu 1982-1983. Obsługa kredytów zaciągniętych w latach siedemdziesiątych przekroczyła już w 1980 roku roczną wartość eksportu do krajów o gospodarce rynkowej i cały import z tych krajów finansowany był nowymi kredytami. W takiej sytuacji tego rodzaju wypowiedź była albo nieuczciwa, albo świadczyła o kompletnym niezrozumieniu przez głównego planistę PRL sytuacji w ówczesnym bilansie płatniczym. W opinii takiej postawy nie dostrzegano, że należy natychmiast rozpocząć wielostronne rokowania i skłócić podjąć o ponowne przywrócenie do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego, do zresztą powinno było mieć miejsce najpóźniej już w połowie lat siedemdziesiątych. Takie przefinansowanie przy współpracy międzynarodowych instytucji finansowych stanowiłoby właśnie trzecią drogę, z której korzystają prawie wszystkie kraje, które nie mogą wygospodarować opłat, włącznie z Rumunią i Jugosławią.

Władze PRL, nie rozumiejąc mechanizmu międzynarodowych finansów, po prostu zwlekają, unikając wszelkich rozmów z wierzycielami. Tak miłogda Świątka okazja do przeprowadzenia wielostronnych rokowań i przefinansowania w niezniszczalnym korzyści z tego punktu widzenia sytuacji, jaka nastąpiła po sierpniu 1980. Jak podkreśla to jeden z krajowych ekonomistów, Polska dysponowała wówczas porażką atuta, spośród których pierwszym było "rozwiązanie na drodze pokojowej największego w okresie powojennym kryzysu społeczno-politycznego w naszym kraju, którego wyrazem były trzy wielkie umowy społeczne zawarte między władzą państwową i przedsiębiorcami świata pracy w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzebin; fakt ten został poczytany przez światową opinię publiczną z wielkim uznaniem dla naszego kraju na także właśnie nie rozwiązywanie konfliktu, co wywołało wokół Polski przychylną atmosferę międzynarodową, ułatwiającą podjęcie efektywnego dialogu z naszymi wierzycielami"¹³. Okazję tę zmarnowano.

Rokowań podjęto dopiero na początku 1981 roku /w sprawie raty przypadającej tylko w 1981 roku, a nie w całym tryletnim czy nawet czteroletnim okresie/ i bez zgłoszenia gotowości przystąpienia do międzynarodowych instytucji finansowych. Uzyskano odroczenie opłat na okres 8 lat z czteroletnią karencją 90% opłat kapitału i należnego oprocentowania kredytów państwowych i gwarantowanych przez rząd, wynoszących około 2,6 miliardów dolarów, oraz 9% opłat kredytów bankowych przypadających na ten rok i wynoszących około 2 miliardów dolarów, przy obowiązku dokonania pełnej spłaty oprocentowania tych kredytów. Porozumienie z bankami zostało podpisane dopiero w listopadzie 1982 po zapłaceniu przez PRL odsetek za rok poprzedni, jak było uzgodnione.

Dopiero na jesieni 1981 roku rozpoczęto starania o przyjęcie do Międzynarodowego Funduszu Walutowego, co jest warunkiem wstępnym przyjęcia również do Banku Światowego. Rokowań te zostały przerwane na skutek stanu wojennego i sankcji rządów zachodnich.

Zachęcając, stracono czas. Wcześniejsze podjęcie rozmów z wierzycielami i z międzynarodowymi instytucjami finansowymi mogło zapewnić wymagane przywrócić stabilizacyjnej, wzmożeniu pozycji wobec wierzycieli i umożliwić otrzymanie stać...

¹². S. Grudziński, "W poszukiwaniu innego rozwiązania", "Kamień Zagraniczny", Nr 10, 1982

¹³. Ibidem

wo tańszych kredytów. Pozwoliłoby to na utrzymanie niezbędnego importu i w efekcie na stabilizację i uratowanie gospodarkę polską od sytuacji, w jakiej się znalazła w 1982 i bieżącym roku 14.

Rozmowy o przefinansowanie spłat przypadających na 1982 r. prowadziło już tylko z bankami prywatnymi. Pertraktacje z przedstawicielami państwa, które bądź udzieliły, bądź gwarantowały kredyty zostały podjęte we wrześniu 1981 i zawieszono na znak protestu przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Rozmowy z bankami prywatnymi odbywały się więc w niezmiernie niekorzystnych warunkach.

Wielostronne rokowania z bankami prywatnymi prowadzi się zazwyczaj albo po doprowadzeniu do porozumienia z Klubem Paryskim, albo w ramach tych rokowań oraz rokowań z Międzynarodowym Funduszem Walutowym i Bankiem Światowym. Tak na przykład Jugosławia, której obsługa zadłużenia wynosiła w bieżącym roku 5 miliardów dolarów, otrzymała pożyczkę w wysokości 4,5 miliardów z Międzynarodowych Instytucji Finansowych, z 600 banków handlowych i z 16 zachodnich państw jako jeden pakiet. Nie byłoby powodu, dla którego Polska nie mogłaby otrzymać podobnego pakietu, gdyby nie stanąłbano okazji po sierpniu 1980 roku, gdyby nie opóźniła i niezdarne podchodzenie do rozmów z wierzycielami w 1981 roku, i wreszcie gdyby nie wprowadzenie stanu wojennego.

Umowa zawarta z bankami w sierpniu bieżącego roku niestety dotyczy znów jedynie należności przypadających tylko na jeden rok. PRL otrzymała zgodę na odroczenie 95% spłaty kapitału przypadającej na bieżący rok z odroczeniem rozpoczęcia spłat na 5 lat z dwiema spłatami na rok, które mają wynieść 10% w 1988 r., 15% w 1989 r., 20% w 1990 r., 25% w 1991 r. i 30% w 1992 r. Spłaty te oczywiście należą się na spłaty odroczone w poprzednich dwóch latach. PRL ma zapłacić całe oprocentowanie przypadające na rok 1983, ale z tego co zostanie zapłacone w rzeczywistości 65% może być użyte jako fundusz krótkoterminowego kredytu /*Revolving Short Term Trade Related Facility*/, z którego PRL może czerpać środki na opłacenie rozwoju eksportu na Zachód, pod warunkiem, że finansowany w ten sposób eksport przyniesie większą kwotę walut wydentualnych niż kredyt zaczerpnięty z jego sfinansowania. Ten kredyt musi być spłacony w ciągu 5 lat od 1 stycznia 1983 roku.

Koszt tego przefinansowania jest jednak niezwykle wysoki. Oprócz opłaty za przefinansowanie spłaty kapitału w wysokości 1% oraz za przefinansowanie oprocentowania w wysokości 0,5%, stopa procentowa na przefinansowanie spłatach kapitału ma wynieść 1 i 7/8% powyżej stopy LIBOR /*London Interbank Offer Rate*/, która obecnie na okres 6 miesięcy wynosi 10 i 1/16%, a na dłuższy okres przewidziany w umowie o przefinansowaniu jest dużo większa. Koszt kredytu udzielnego z funduszu stworzonego ze spłacanego oprocentowania ma być 1 i 3/4% powyżej LIBOR. Są to bardzo trudne warunki.

Bezpośrednim skutkiem braku dalszych kredytów rządowych stał się ostry spadek importu z krajów o gospodarce rynkowej. Import ten zmniejszył się w roku 1982 o 24% w cenach bieżących i o 21% w cenach stałych. Ten spadek nie został skompensowany wzrostem importu z krajów socjalistycznych, który wzrósł o 1,6% w cenach bieżących, ale zmalał o 6,1% w cenach stałych. Oznacza to, że masa towarowa zmniejszyła się w imporcie z obydwu obszarów płatniczych. Gospodarka polska została pozbawiona wielu niezbędnych surowców, materiałów, części i produktów. Mia więc duże znaczenie, że w 1982 roku produkcja czysta przesyłała zmniejszyła się o 6%, produkcja czysta w rolnictwie o 3%, a wytworzony dochód narodowy o 8%.

Oczywiście spadek produkcji nie był jedynie wynikiem sankcji gospodarczych wraz z nierozwiązaniem sprawy zauszlenia gospodarce niezbędnych kredytów. Był za również wynikiem wrażliwej postawy społeczeństwa wobec rządów, bledów popełnio-

14. Autor przedstawił ten punkt w Zolt.Fallenbuchl, "Poland: A Way Out?", referat na dorocznym zjeździe American Economic Association, Washington, grudzień 1981.

nych przez obecne kierownictwo, zamieszania i paraliż całego życia gospodarczego, jakie spowodowało wprowadzenie stanu wojennego, czy też niedołężności rozwijania eksportu ze względu na nikłe zmiany systemowe w sektorze handlu zagranicznego. Można jednak zaprzękać twierdzenia, że bez sankcji łatwiej można by było uniknąć aż tak wielkiego pogłębienia się kryzysu, jak to miało miejsce w 1982 roku. Pewna poprawa sytuacji gospodarczej, jaką odnotowano w pierwszej połowie bieżącego roku jest poprawą w stosunku do analogicznego czasu w poprzednim roku, kiedy to stan wojenny, paraliż gospodarki i bałagan administracyjny z jakim włączano nową formę gospodarczą wraz ze sprzecznymi z nią programami operacyjnymi, organizowaniami zrzeszeń przedsiębiorstw i różnymi podjętymi tego typu nakazami - rozdziałeczo go sprawdził ekonomię polską do stanu katastrofalnego.

Najwyraźniej widać skutki braku kredytów zewnętrznych w rolnictwie, gdzie ograniczył on drastycznie import pasz. Ograniczenie teno też dotyczyło i inne czynniki, takie jak dotkliwe braki w dostawach, niepowodzenie polityczna oraz bardzo poważne błędy, jakie znów popełniono w polityce cen, czyniąc hodowlę nieopłacalną. W styczniu bieżącego roku pogłębienie braku chleba było o 2 miliony cięższych niż w czerwcu 1982 i o 4 miliony mniejsze niż w czerwcu 1980 roku. Pomiedzy czerwcem 1982 i czerwcem 1983 w gospodarce indywidualnej brzoła chleba zmniejszyła się o 13,4 milionów sztuk do 11,2 milionów, a stado bydła o 9,2 miliona do 8,8 milionów. Skup żywności na miasto w tysiącach ton w okresie pierwszych siedmiu miesięcy bieżącego roku był niższy o 6,9% niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Ograniczenie dostaw pasz spowodowało praktycznie likwidację fermowej produkcji drobitki, w wyniku czego skup drobitki w 1982 roku był o prawie 70% mniejszy niż w 1981 i obniżył się o dalsze 48% w ciągu pierwszych siedmiu miesięcy br., równoległe do spadku skupu jaj o 16,7%.

Opinia się, że niedostatek zapasowania w importowane pasze białkowe nie może być nadal utrzymywany, gdyż obniża on efektywność wykorzystania pasz własnych i ostentacja możliwość odbudowy trzody chlewniej i drobitki. Z tego powodu import tych pasz w drugiej połowie bieżącego roku został uznany za konieczność. Ogólnie biorąc rynek żywnościowy jest nadal poważnie zagrożony i w opinii Konsultacyjnej Rady Ekonomicznej należy się liczyć z tym, że w 1984 roku może wystąpić zmniejszenie produkcji mięsa, stwarzające problemy zaopatrzeniowe" 15.

Nie ma na świadectwie gospodarki, która nie byłaby o niektórych obszarach swojego rozwoju wzruszona do zaciągania pożyczek. Nie ma w tym nic złego. Wszystkie salony od tego, na co się pożyczka i jak się otrzymywane kredyty wykorzystuje. W obecnej sytuacji wydobycie gospodarki polskiej z kryzysu nie jest możliwe bez pewnej zmiany granicznej pomocy kredytowej. Rząd PRL powinien podjąć wszelkie możliwe starania, żeby uzyskać taką pomoc i to uzyskać ją na jak najbardziej korzystnych warunkach. Tymczasem wobec wstrzymania kredytów państwowych i zawieszenia przyjęcia PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego uzyskanie wystarczających kredytów na dogodnych warunkach jest wprost niemożliwe.

Wprowadzenie stanu wojennego nie rozwiązało żadnego z podstawowych problemów gospodarczych: ani spudnia produkcji, ani hamowanie silnych tendencji inflacyjnych, ani nieefektywnego gospodarowania i dotowania nieopłacalnych przedsiębiorstw, ani niemożności rozwinięcia opłacalnego eksportu na Zachód. Wpływ przeciwnie, rozwiązanie wszystkich tych problemów zostało utrudnione 16. Sankcje gospodarcze w postaci wycofania różnych przywilejów z jakich PRL mogła korzystać oraz niemożność

15. Konsultacyjna Rada Gospodarcza, "Tendencje i zagrożenia rozwoju", Życie gospodarcze, Nr 33, 1983.

16. szczegółową analizę autor przedstawił w Z.M. Fallenbuchl, "The Polish Economy Under Martial Law", referat opracowany na doroczny zjazd American Association for the Advancement of Slavic Studies, Kansas City, październik 1983.

uzyskania dalszych kredytów są szczególnie szkodzącą gospodarcze konsekwencją tej decyzji.

Aby wydobyc gospodarkę z kryzysu, rząd Jaruzelskiego musi uczynić takie ustępstwa polityczne, które doprowadzą do zniesienia sankcji gospodarczych i uzyskania częściowej przynajmniej akceptacji ludności dla trudnej polityki gospodarczej. Alternatywa jest dalsze przeczekanie się kryzysu. Ta alternatywa może doprowadzić do stabilizacji gospodarki jedynie na bardzo już niskim poziomie dochodu narodowego - go na głowę mieszkańca. W rezultacie na europejskim kontynencie istniałby kraj o niesłychanie niskiej stopie konsumpcji i niskim poziomie cywilizacji materialnej. Nie byłaby to dobra reklama dla komunizmu, tym bardziej, że o ile prawdę o życiu połobnego w samym sercu Europy. Co więcej, utrzymywali by się musieli ciągle niebezpieczne napięcie społeczne, grożące w każdej chwili wybuchem. Wszystkie to nie byłoby w interesie ani Związku Sowieckiego, ani grupy Jaruzelskiego.

Cechą charakterystyczną sankcji gospodarczych jest to, że ich skutki widać dopiero po dłuższym czasie. Żądaniem sankcji zastosowanych wobec PRL jest zmniejszenie zmiany polityki, która zagraża narodowi, nie jest w jego interesie. Jest rzeczą ważną, aby przedstawiciele zachodnich krajów, którzy rozpoczęli ponownie rozmowy z PRL, zdawali sobie z tego sprawę.

"Kultura", grudzień 1983

Zbigniew Fallenbuehl

Leopold Unger

WIDZIANE Z BRUKSELI

TWARDY LOT I MIĘKKIE LĄDOWANIE

Proust mawiał, iż w miłości nie ma dobrego wyboru. Jeżeli bowiem trzeba w miłości wybierać, to wybór musi być zły. A jak jest w sprawie koreańskiego Boeinga 747, lot nr 007, 1 września 1983 z Nowego Jorku do Seulu? Tak jak w miłości: jest wybór, ale zły.

T e r t i u m, istotnie, *n o n d a t u r*. Albo bowiem - i jest to hipoteza pierwsza - zestrzelenie pasażerskiego samolotu z 269 osobami na pokładzie było zbrodnią dokonaną z zimną krwią, ze znajomością rzeczy i świadomością konsekwencji, albo też pilot sowieckiego Suchoi 15 - i to jest druga hipoteza - pomylił się, wziął pasażerski Jumbo za latającą fortecę lub latającego szpiega i rozwalił agresora zgodnie z rozkazem o ochronie świętych granic ojczyzny.

Alternatywa straszna. W pierwszym bowiem przypadku w Moskwie banda morderców, których nie nigdy nie zdążył powstrzymać od popełnienia zbrodni, dla których ani prawo międzynarodowe ani ludzkie uczucia nie stanowią żadnego kryterium przy wyborze decyzji.

W drugim natomiast przypadku winców jeszcze bardziej koszmarny: grozi nam w każdej chwili wojna nuklearna z powodu ignorancji i burdelu w wojsku sowieckim. Jeżeli sowieckie radary i piloci uzbrojeni w rakiety nie są w stanie rozpoznać pasażerskiego Jumbo, to nasz los jest w rękach jakiegoś zachalinińskiego dr Strange-love i pozostaje tylko się modlić.

Kryzys międzynarodowy po zestrzeleniu 269 niewinnych ludzi w otchłan Morza Japońskiego był pierwszym kryzysem, jaki przyszło rozwiązać nowemu sekretarzowi.

generalnemu KPZR Jurijowi Andropowowi. Pierwszym kryzysem i pierwszym egzaminem. Wypadek na piątkę.

Mimo, iż sytuacja wydawała się beznadziejna, że świat był w stanie tak głębokiego szoku, iż nawet niektórzy klienci Moskwy z trzeciego świata zaczęli się zastanawiać nad głębszą naturą systemu sowieckiego, Andropow nie dał się zepchnąć do defensywy, wyszedł z wirażu właściwie bez większego szwanku. Dzięki Zachodowi naturalnie...

"Cel jest zniszczony"

Jumbo KAL lot nr 007 wystartował z Nowego Jorku 31 sierpnia wieczorem. Siedem godzin później lądował normalnie w Anchorage na Alasce. Wystartował w drogę do Seulu z 40-minutowym opóźnieniem. Nicstety już nigdy nie będzie wiadomo, jak zboczył z drogi i przeleciał nad Kamczatką i Sachalinem. W każdym razie w kilka godzin później japoński nastuch zanotował meldunek pilota sowieckiego do jego bazy na Sachalinie: "Cel jest zniszczony!". Była godzina 20.26. O godzinie 20.30 Boeing był jeszcze na wysokości 5.000 metrów. O godzinie 20.38 Jumbo zniknął z radaru. Taki był koniec lotu 007. Taki był pierwszy pogrzeb 240 pasażerów i 29 członków załogi.

Zbrodnia była oczywista. Amerykańska, nie sowiecka. Oto w jaki, bez przesady historyczny sposób Moskwie udało się to udowodnić.

1 września, o godzinie 4-ej rano, w odpowiedzi na informację o zaginięciu Jumbo nad terytorium ZSRR TASS z Moskwy donosi: "Związek Sowiecki nie dysponuje żadnymi informacjami na temat koreańskiego Boeinga".

1 września o godzinie 19-ej TASS już dysponował: "W nocy z 31 sierpnia na 1 września od strony Oceanu Spokojnego w przestrzeni powietrznej ZSRR nad Kamczatką wtargnął niezidentyfikowany samolot, który następnie ponownie naruszył przestrzeń powietrzną ZSRR w rejonie wyspy Sachalin. Myśliwce obrony przeciwlotniczej, które wystartowały na spotkanie ze wspomnianym samolotem, próbowały udzielić mu pomocy w zaprowadzeniu go na najbliższe lotnisko. Samolot nie reagował jednak na sygnały i ostrzeżenia sowieckich myśliwców i kontynuował lot w kierunku Morza Japońskiego".

2 września TASS rejestruje ton i precyzuje, na czym polegała "pomoc dla niezidentyfikowanego samolotu" zwanego już "intruzem". Agencja donosi: "Właścąc ustalenia międzynarodowe samolot leciał bez żadnych sygnalizacyjnych i nie reagował na sygnały radiowe nadawane przez kontrolerów sowieckich". Logicznie więc, mówi TASS, "myśliwce sowieckie wystartowały celem przechwycenia intruza. Po bezskutecznych próbach nawiązania kontaktu z intruzem myśliwiec sowiecki oddeł serię strzałków ostrzegawczych poślinkami świetlnymi. Niedługo potem intruz opuścił granice przestrzeni powietrznej ZSRR i oddalił się w kierunku Morza Japońskiego. 70 minut później intruz zniknął z pola obserwacji".

3 września intruz samolot zostaje zidentyfikowany. Trzy dni po fakcie rząd sowiecki ogłasza, że "intruz" to Boeing 747 Koreańskich Linii Lotniczych, który 1 września pogwałcił sowiecki obszar powietrzny.

Tegoż 3 września TASS otwiera nową fazę. Donosi wiadomoście, że koreański "intruz był w misji wywiadowczej, maskując się jako samolot pasażerski". TASS wie już także, że pasażerowie zginęli. Agencja jest więc upoważniona przez koła kierownicze ZSRR "do wyrażenia żalu z powodu strat w ludziach, ale także do potępienia tych, którzy spowodowali śmierć pasażerów i starają się obecnie wykorzystać ten wypadek dla celów niegodnej polityki". Kto się stara? To jasne.

4 września Prawda wchodzi do akcji i oskarża USA o "wykorzystywanie niewyjaśnionego wypadku dla rozpętania kampanii nienawiści wobec ZSRR".

5 września, w bardzo długim, niepodzielnym komentarzu /KC!/, Prawda uchyla rąbka tajemnicy: "ZSRR bronił i będzie bronić nienaruszalności swych granic. Obrona przeciwlotnicza spełniła swój obowiązek... Pilot sowiecki nie miał żadnych danych, aby przypuszczać, że na pokładzie są pasażerowie". Pilot nie wiedział, ale Prawda a wie, że pasażerowie są "nie wiedzieć, iż są ciałym w rodzaju zakładowców zamieszczonych na pokładzie szpiegowskiego samolotu", tak jak to było "w przypadku kobiet i dzieci wywiezionych przez Hitlera na pierwszą linię frontu w toku agresji na ZSRR". Co prawda dalekie broni twierdzenie, że kobiety i dzieci nie wiedzieli, że są zakładnikami i jakie są zamiary Hitlera, ale wszystkie sposoby są dobre.

6 września /to szczególnie ważny jak się potem okaże/ na pierwszej linii zjawia się wysocki przedstawiciel hierarchii wojskowej. W artykule w Prawdzie z 6, gen. Siemion Romanow, szef sztabu obrony przeciwlotniczej, nie wnosi nic nowego. Potwierdza jednak, że "pilot sowiecki mógł się mylić, nie mógł znać misji samolotu - intruza, tym bardziej, że była to tylko jedna z licznych prowokacji u granic ZSRR". No i konkluzja, od której już Moskwa nie odchodzi: scenariusz był napisany w Waszyngtonie, pasażerowie Boeinga to ofiary zimnej wojny rozpętanej przez Białą Dom, który "odpowie za to przed historią".

9 września świat domaga się narozście, że długo niezidentyfikowany Boeing 747, poniesiony przez pilota i całą obronę przeciwlotniczą ZSRR z 707 /przeznaczonym w wywiadowczy CR-135/, "nie oderwał się w kierunku Morza Japońskiego" ani nie został ostrzeżony przez "poszukiwacze światła", ale został zwyczajnie zestrzelony przez dwie rakietki wystrzelone z myśliwca Suchoi-15.

10 września pilot, samostko nieznano, który tak odważnie i bohatercko zestrzelił nieuzbrojonego Boeinga i zamordował 269 niewinnych osób, wystąpił w telewizji w programie ogólnoswieckim. "Nasi obywatele spokojnie spali - opowiadał pilot - podczas kiedy on /intruz/ kontynuował swój szpiegowski lot. Wszystkie ce w początkowej fazie uciążliwej, wprowadzając się do przekazania na świetlnych sygnałach. Światłem, iż posiada on /samolot/ liczną załogę, która powinna być zważać moje sygnały". Pilot niestety nie wyjaśnia jak to możliwe, iż zamiaty, że wrogie Boeing posiada liczną załogę, ale nie zamiaty, że chodzi o pasażerki Jumbo z licznym pasażerami. Wnicjowa o detale, w końcu nie miał innego wyjścia: "Otrzymałem rozkaz, jasny i zdecydowany - powiedział - i wykonałem go."

13 września Krasnaja Zwiesda ujawnia, że "pilot u steru Jumbo był pułkownikiem armii południowokoreańskiej, znanym, oczywiście z kontaktów z CIA, ale przede wszystkim wprowadzając nowy element. Organ armii amerykańskiej przeprowadził mianowicie wywiad z jednym z pilotów /nazwisko nieznane/, który ścigał Boeinga. "Widziałem go, posiada, czarnego jak śmierć, noszącego może bomby albo rakietki. Ścigan CR-135 od trzydziestu lat, wziętam pod uwagę wszystkie możliwości, ale nie wyobrażam sobie, iż ten samolot może przewozić pasażerów cywilnych, że organizatorzy prowokacji mogą ukrywać się za niewinnymi cechami". W normalnych warunkach, ta trzydziestka okazałaby się fatalna. Jak bowiem wytłumaczyć, że pilot, który ściga od trzydziestu lat CR-135 nie oderwał go od Jumbo 747, ale w zamieszaniu nikt na to nie zwrócił uwagi. Wiadomo już natomiast, że nie chodziło o samolot pasażerski w misji szpiegowskiej, a o samolot szpiegowski w misji pasażerskiej.

16 września dyr. gen. Aeroflotu Boris Bugajew zaprotestował energicznie przeciwko sankcjom zastosowanym wobec Aeroflotu, "tej życiodajnej arterii jednoci narodów i międzynarodowej współpracy".

19 września Prawda przynosi nowe dowody amerykańskiej prowokacji.

Koreański Junbo opóźnił planowany start z Anchorage o 40 minut, aby zyszcronizować lot z misją autolity "Terret 2" wysłanego na orbitę przez CIA. Wspólna misja polegała miała na zebraniu maksimum informacji na temat sprawności i jakości obrony przeciwlotniczej sowieckiego Dalekiego Wschodu. I zrzeczywiście.

26 w r z e ś n i a ostatni "faktograficzny" element de d e s s i e r. TASS donosi, że Ryszard Nixon miał zarezerwowane miejsce na pokładzie tragicznego Boeinga, ale że za poradą CIA zrezygnował z lotu. "Tylko sam Nixon może wyjaśnić tajemnicę tej decyzji". To, że Nixon nigdy nie miał zamiaru wlecieć do tego Boeinga nie stanowi dla prasy sowieckiej żadnej przeszkody, albowiem, jak sprytnie zauważa S o w i e c k a j a R o s s i j a, "Nixon ściśle współpracował z CIA"...

28 w r z e ś n i a, cztery tygodnie po fakcie, nareszcie zabiera głos Andropow. Sama nie ma czasu, więc spiker czyta jego uroczyście oświadczenie. Tekst szalenie uroczyście, bez precedensu, zaczynający się od słów "Kierownictwo sowieckie uważa, że powikano poinformować naród sowiecki i inne narody... o swym stanowisku w sprawie amerykańskiej polityki zagranicznej". Śmierć 269 niewinnych ludzi Andropow uważa "zbrodnią dywersyjną bez precedensu", mającą mieć militarystyczne cele "hipokryty Reagana".

Tyle byłoby sowieckiego r e q u i e m dla 269 szpiegów na pokładzie koreańskiego Boeinga. Oczywiście prasa sowiecka nie przetrważe ataku, ale będą to już tylko wariacje na temat znane już przedtem.

A k c j a : Z a c h ó d

Ważniejsze, że równocześnie władz tych samych linii, ale inteligentnie, z odwołaniem, przy użyciu całej palety nacisków, szantaży i przekupstwa, rozwijała się dyplomacja sowiecka. Kłamstwa, ordynarne lub po prostu głupie przesłuchania były dla użytku wewnętrzznego. Dla Zachodu przygotowano coś znacznie gorszego.

Po pierwsze Moskwa udało się, i było to właściwie najłatwiejsze, wzbudzić nieufność do Stanów Zjednoczonych. Teza o szpiegowaniu w istocie misji koreańskiego Junbo była pretekstem do przeprowadzenia nią się wyświeca. Z jednej strony bowiem, z przyczyn tylko im wiadomych, władze amerykańskiego wywiadu całkowicie ujawnienia pełnego zapisu taśm z nagraniami rozmów między pilotami Boeinga a stacjami radiowymi amerykańskimi czy japońskimi, pozostawiając w ten sposób sporą "strasną wątpliwość".

Z drugiej strony w sulkach Moskwy przycali weteranie dziennikarce zachodni. Wszelkim prasicy jest ceną demokracji i nie ma na to rady. N e w Y o r k T i m e s wyciągnął prawdziwy akt oskarżenia pod adresem nie Moskwy, ale Waszyngtonu. Jak to się stało, zapytał, że Boeing koreański tak daleko zszedł z drogi. Dlaczego Waszyngton nie podaje liczby szpiegowców CR-335 latających w onej okolicy noc wzdłuż dalekowschodnich granic ZSRR, dlaczego wreszcie decydują do zboczenia z trasy lotu COY akurat w nos, kiedy - jak dalszennik wie na pewno - stawieci przeprowadzali doświadczenia z nowymi rakietami balistycznymi?

B o s t o n G l o b e wystawił bombę o tym, że koreańskie linie lotnicze są właściwie instytucją wojskową, każdy ich pilot jest byłym wojskowym i po przejściu do cywila zachowuje kontakt ze służbami szpiegowskimi. Poważna gazeta z Bostonu informuje, iż właściciele KAL są w bliskich stosunkach z koreańską CIA, a ich samoloty transportują regularnie fundusze przeznaczone dla szpiegów i dla handlarzy narkotyków. Innymi słowy, według B o s t o n G l o b e, KAL to nie taka linia lotnicza jak inne. G l o b e tego nie napisał, ale z tych zdań wynika po-

Strach, iż samolot Jumbo został niesłusznie zestrzelony.

W Denver Post dwóch byłych amerykańskich pilotów wojskowych ujawniło, że przesłania wszystkie typy samolotów operacyjnych i techniczne samoloty typu CR-135, którego obecność w pobliżu było miałyby, według Ronjasa, współpracownik postawienie 219 osób na 100 tysięcy dolarów. Włoszek pilotów w ZSRB za ujawnienie jednej z nich informacji wydrżkowali w Denver Post zaszafali rozstrzelaniu/ jest jasny: system bezpieczeństwa CR-135 umożliwiał w każdym momencie wystawienie na-tychmiastowej łączności z pilotami samolotów, strącając nasioną itd. Inaczej mówiąc, to stało wola Szwajcarskiej sprowadzanie zestrzelanie Jumbo. W najgorszym razie Boeing popełnił samobójstwo.

Właściciel się dokerulizacja. Moskwa przypomniała sprytnie, że świat się nie o- turzał tak bardzo, kiedy to w polsce izraelczycie zestrzelili w 1973 roku libijski samolot pasażerski z ponad setką pasażerów na pokładzie. Pożądano, aby pilotami zagrożył nary o podobnym statusie, wpływach i znajomości. Oczywiście zabójstwo samolota pasażerskiego nie należy zestrzelanie, to zawsze jest zbrodnia, ale kara- eł obywateli mogłaby być faktycznie w sytuacji wojennej. Pilot strącał w okazyjnie i samolot rozbił się przy 30 minutach, rząd antychłodził uwalniając powymyślne, przeprosił, dopuścił zamknięcia krajów, strącając, zplanik odzyskanie itd. Kluczowym pasaż- serem było to nie pasażer, ale strącał nie został pogrzebany pod śmieciową kłębioną propagandą.

Po stronie Moskwy bezkrytycznie wrogowie taktyczna wchodzą. Praktycznie od- bliła for sprężyną psychologizacji. Co jak mógłby brać monolog Krawca.

1. S z a n t a s. Co to chodzi, pytanie. Rozumie, wy przedział swoje własne umiarkowanie i brakować mogą być. Pierwszy dekret Andropowa po zajęciu fotela Krawca dotykał odwołania z SRB. Pilot dokończył zgodzie z prawem. Wraz kraj- eł wioleń jest odnie węgla Krawca, Polaków, Turków, Niemców, Greków, Japo- eł wioleń wzięli, nie ma prawa. Nie rozumie wy samego oburzenia. O Jaltę wie- eł, że nie należy być traktować. Węgry, Francuzów, Afrykańską przeszy- ty nie spokój, kto o nich pamięta? A kto będzie pamiętał o Siedmiu na kilka miesięcy? Imię i imię "pilotów" na murze berlińskim, a czy Sachalin jest mniej ważny?

2. S p e t ó j. Przechodził tak jest, że Krawca, mówi Moskwa. Nie ma wole- cie nam zrobić. Sankcje gospodarcze nie wchodzi w rachubę, nie ułoży się przecież ani po Afganistanie, ani po Krawca w Polsce. Czy Niemcy Zachodni rozważają po- śród siebie i Krawca, są w pełni pamięć kilkuset Koreańczyków? Wzrost, powiada Moskwa że ma ich zachodzących, jakich wchodzi, nie spuszczają się z samokrajem, pochłaniają się Krawca. // strącał, strącał Krawca jako wyleciał się z Moskwy. Nam nie b. Krawca najłżejszy, Krawca do jakich konkretnych kroków w dziedzinie go zbada, czy wrogowie mały.

Sankcje polityczne? - Mógł być, była Krawca. Chcicie zerwać kontakty dyploma- tyczne, nępnajmniej Wschód-Krawca? Tylko. Dlaczego Zachód nie obrażył obywateli /ukł- eł się mówi o zaminowaniu Krawca w Madrycie, która zakładała się wyleciał obywat- kiem w otoczeniu Krawca w kilka dni po zestrzeleniu Boeinga? A dlatego, Krawca owa- ciebie odpowiada, że nie potrafi. The show must go!

3. S z a n t a s. Uwaga, powiada Moskwa, bo pęknie. Co pęknie? Odpowiedź jest w trzech opiniach.

a/ Pilot samolotu - powiadają emisariusze Moskwy na Zachodzie - oczywiście się pomylił. To jasno. Nie odróżnił, fajera, 747 od 707 i nie ma na to rady. Nie mo- eby jednak się do tego przysnąć w naszej propagandzie, bo oficjalnie jest on nieomylny. Z nami jednak rozmawiano poważnie. P. prof. Wiktor Szwajk, "konsultant" Wydziału Informacji Międzynarodowej KC KPZR, bawił w Edynburgu jako członek so-

wielkiej delegacji na rozmowy na temat, oczywiście, rozbrajania z grupą intelektualistów i ekspertów brytyjskich. Z tej okazji przedmawiał w BBC, że "nasza nauka nie może pozwolić, w tym sensie, że pilot wlatywał Jumbo na samolot szpiegowski". W godzinie potem polityk wniósł poprawkę, posiadając, iż uciek na myśl przedmawiającemu, że "gdyby pilot wiedział, iż na pokładzie są cywile, raczej decyduje by się by goła inna", ale w sumie już wiadomo /na Zachodzie, bo w Rosji to ciągle tajemniczo/, że niestety nasza nieporozumienie i że Zachód powinien to naturalnie uznać. A dlaczego nie można tego powiedzieć przez radio Moskwy po rozjaśnieniu? A bo, i tu dochodzimy do punktu:

W Andropow jest w bardzo trudnej sytuacji. Szczęśliwym losom w usch dziwnie, który niechcący, nie może sobie pozwolić na dezawuowanie wojskowych. Nie przesłuchajcie więc strony. Ruskie wybrał właściwe słowo. Z jednej strony jest Andropow, Liban i reformator /jak to przynajmniej nawet jego przeciwnik Kłodkowski/, zwolewnik pokojowego współżycia z Zachodem w godności i pozamocowaniu ważnych interesów. Z drugiej strony jest wojsko, a co to znaczy nie należy nikomu tłumaczyć.

To wojskowi popełnili szamata, ale w końcu nie gwarantują powojną nad Sachalinem. Historia jest żenująca, posiadają samoloty nad kwateron w serach umieszczonych na Zachodzie. Z trzech radarów dwa nie działały, samoloty podległe nie rozpoznają kierunku, które śledzą od kilkudziesięciu lat, nie potrafili znaleźć pasażerskiej maszyny to ladowania mimo tego, że Jumbo dwa razy wleciał i wychodził z naszego obszaru powietrznego. Wojskowi jednak kategorycznie odmówili przeproszenia się do państwa, nie udając już o niedbalstwo. Bez precedensu: 269 ofiar i to karaniem nie odgrywa przeciwko żadnej z nich, nieumyślnych ofiar w Libanie czy Afganistanie jest znacznie więcej, a tu chodzi o prestiż Armii Czerwonej.

Dlatego to właśnie, tłumaczmy nam Sowici /często z doktryną składową, wystarczy cymbał pryncy zachodniej/, od początku afery Boeinga wyprowadzali się właśnie tylko wojskowi, którzy mają samopół na informacje w sprawach obrony.

Paskowcy przypominają epinę z lat 70-tych, kiedy marszałek Gagarin był tylko generałem, ale brał udział w rokowańach SALT I. Pewnego dnia wlatywał on na stronę negocjatora amerykańskiego aby go poprosić o nieporozumienie detali ściśle wojskowo-technicznych przed cywilami, to mnąwy obywateli partyjno-masowy od strony ZSRR. Dział jest on już marszałkiem i to on właśnie ostatecznie zatwierdził sprawę już 9 września. Andropow mógł zabnąć głos dopiero 28 września. Rozumiecie sytuację Andropowa i przesłuchajcie władzę jako władzę sprawy pokojowego pojednania, którym on steruje. Zapowiadacie o Boeingu, światu chodzi o pasażerskie rzeczy. Jakże! A co to właśnie punktu:

c/ Szarka jest większa niż 269 przeobrażenie zresztą skończonych pasażerów Boeinga. W Genewie w rokowańach atomowych chodzi o więcej żyć ludzkich niż nad Sachalinem. Odsł, szaro umiasticie, iż nad Sachalinem nasza zwyciężają państwa, to musicie logicznie rozumować i stwierdzić co następuje. Koreański Boeing przebiegał dwie i pół godziny nad terytorium ZSRR i to nad jego najbardziej delikatnymi wojakowo terenami. I mimo tych 150 minut obrona przeciwlotnicza sowieckiej superpotęgi atomowej nie potrafiła go zidentyfikować. Kosztowało to 269 nieumyślnych ludzkich istot. To bolesne, ale ile żyć ludzkich może kosztować błąd tej samej obrony przeciwlotniczej polegający np. na powieleniu samolotu z rakietą Rurik 2, który raj lot z Monachium do Kijowa trwa nie 150 lecz tylko 8 minut?

Trzeci pogrzeb

Tyle w skrócie o definitywnym pogrzebie 269 pasażerów Boeinga, pochowanych pierwszy raz na dnie Morza Japońskiego, drugi raz pod papierami propagandy sowieckiej, a trzeci raz teraz, za parawanem zachodniego strachu. Nie tylko nie by-

że żadnych faktycznie sankcji, ale nawet piloci linii pasażerskich, którzy ogłosili bojkot rejsów do Moskwy na 60 dni, skapitulowali po 15 dniach. Nawet ważne zgromadzenie IATA /Międzynarodowego Stowarzyszenia Lotnictwa Cywilnego/ potrafiło jedynie uchwalić rezolucję, która potępiła użycie siły wobec cywilnych samolotów, ale nie zrobiła najmniejszej aluzji do tragedii koreańskiego Jumbc. A przecież zaleta sowiecka ugodziła wszystkie konwencje międzynarodowe na temat powietrzanego ruchu pasażerskiego. Dlaczego nikt nawet nie zaproponował, aby sprawę dramatu z Sachalinu i sprawy odszkodowań przedłożyć do rozpatrzenia np. przez Trybunał w Hadze?

Prezydent Reagan udał się z końcem września do Nowego Jorku, aby wygłosić swą pierwszą przemówienie do ONZ. Śmierci 269 niewinnych pasażerów koreańskiego Boeinga, a w tym 61 obywateli USA, a wśród nich członka Kongresu amerykańskiego, prezydent USA poświęcił zaledwie kilka słów. Dlaczego? Jak mi wyjaśniono, prezydent nie chciał odwracać uwagi świata od ważniejszych zagadnień. I skuszenie. Tego właśnie domagała się Moskwa.

Gdzieś oczywiście trzeba obu super-potęg się ablegają. Jaką listą priorytetów świata gdzieś istnieje. Sztuka polityki polega m.in. na tym właśnie, aby w odpowiednim momencie zmienić kurs i nie dać się, jak Jumbo KAL-u, zestrzelić. Na razie udało się to jedynie Moskwie. Potrafili nawet sbrodniej smad Sachalinu sprzedać umiejętnie pacyfistom, którzy wadliwy obłąd wznął sowiecką tezę, iż tragedia Boeinga wzmacnia konieczność jednostronnego rozbrojenia.

Jest już oicko nad sachaliną trumna, ale podstawowe pytanie przecież jest ciągle aktualne: czy rzeczywiście jedyny wybór jakim świat dziś dysponuje zachodzą między kapitulacją wobec sowieckich zbrodni a wojną światową.

Nie ma na to pytanie prostej odpowiedzi. Doświadczenie wykazuje, że stosunek sił /wszelkiego rodzaju, wojskowych i społecznych/ między ZSRR a Zachodem jest dziś korzystny dla totalitaryzmu. Więcej o przyczyny, to inny temat. Szlak jest jednak jasny: z powodu niemożności uzgodnienia wspólnej płaszczyzny działania państw demokratycznych, ustalenia granicy nieprzekraczalnej dla sowieckiej ekspansji, niezdołności społeczeństw wolnych do wyrzucenia materialnych w imię jakiegokolwiek celu wyższego rzędu, z powodu całkowitej atrofi świadomości, że demokracja to bardzo niewielka caza w świecie lub bardziej totalitarnym świecie, Rosja nie została ukarana za śańną sbrodną popełnioną na swoim i na cudzych karadach. I wobec tego popełni następane.

Dwie uwagi końcowe. Po pierwsze, Moskwa wyciągała wnioski z kryzysu lubańskiego 1962 roku. Zachód - nie. Wówczas wiceminister spraw zagranicznych Stanów powiedziała wtedy do Johna McCloya: "To się więcej nie powtórzy, nigdy w przyszłości nie damy się tak potraktować". Okazało się to prawdą, nie tylko z powodu kolosalnego wzmacnienia potęgi wojskowej ZSRR, ale przede wszystkim z powodu wojennego osłabienia Zachodu i wyzroczenia się przez demokracje argumentu siły w stosunkach z Sowietami. A przecież wiadomo, iż Sowietci szanują tylko siłę, zaś słabych przeliczują. W Moskwie mówią o Polakach z nienawiścią, ale z szacunkiem, a o Greczech z pogardą. To samo w odniesieniu do Zachodu. Finów w Moskwie nienawidzą, ale się boją. Z Bohrdów, Vogelów i Brandtów /oo za upadek/ się śmieją. Mitterranda przeklinają, ale jest to obok de Gaulle'a jedyny prezydent francuski, z którym się w Moskwie liczą. Stąd tak apokaliptyczny nacisk sowiecki na sprawę euro-rakiet. Setki SS-20 miały Rosji przynieść taką przewagę polityczną, że zachodnia Europa byłaby bezbronna wobec jakiegokolwiek szantażu sowieckiego. Euro-rakiety tę władnię przewagę mają zlikwidować. Przewagę i szantaż.

Druza uwaga końcowa dotyczy dyplomacji Zachodu, a raczej jej braku. Zachodnia Europa, a zwłaszcza EWG, żyje w świecie absurdu, gdzie podstawowe pojęcia straciły właściwie swój prawdziwy sens. Sowietci będą zwyciężać tak długo, jak długo pojęcie suwerenności polegać będzie na odmowie prawdziwych konsultacji politycznych

z aliantami.

W chwili kiedy kończę pisanie tego Brukselczyka, Amerykanie najechali Grenadę /to naturalnie oddzielny temat/. Ta poprawna politycznie akcja, fatalnie przeprowadzona wojskowo, przyczyniła "równowagę" psychiczną świata. Nie tylko progresiści wszystkich krajów, ale nawet rządy sojusznicze z NATO, chwilowo, po Sachalinie, przerażone faktem, iż moralność i prawo były po stronie USA a nie Moskwy, odetchnęli z ulgą. Afganistan, Boeing - c o n n a i e p a s i! Można znówu jak dawniej pluć na Amerykanów.

Kiedy Reagan postanowił siłą dać do zrozumienia Kibbie i Moszkie, że gdzieś jest granica ich ekspansji, i wybrał do tego cel, bo tak Ameryce było wygodnie, mała wyspa, gdzie właśnie progresiści zamurczali premiera i połowę rządu, też zresztą progresywnego, ale widocznie za mało, aby przygotować kubańskie kadrowanie, to natychmiast pod ambasadą amerykańską w Brukseli zwołał się spontaniczny tłumek pomyleńców w celu uroczystego spalania flagi USA. Kiedy Rosjanie poszli na dno morza 269 niewinnych pasażerów cywilnego samolotu, pod ambasadą ZSRR nie było nikogo.

Pisane 25 października 1983

"Kultura", grudzień 1983

Leopold Unger

Kraj

Stefan Bratowski

POLSKA: ŻYCIE NA ZALIEWIONYM WULKANIE?

Prawidłowo ocenić sytuację w Polsce trudno nawet Polakom, nawet tym spośród nich, którzy w pełni żyjąc życiem swego społeczeństwa, potrafią zachować zdrowe zerkwy. Pewne są tylko fakty o charakterze podstawowym: mamy nadal do czynienia z narodem podzielonym, ze swoiste "zimną wojną domową" między aparatem władzy a społeczeństwem.

Do jednej strony - 8% do 10% całej populacji, z miszkującą przewagą sił ubrojnionych, policji i służb tajnych, przewagą zorganizowania, środków technicznych i pieniędzy. To pracownicy aparatu władzy, ich rodziny plus emeryci służb systemu. Grupa niejednorodna składnią, mimo chwilowego zjednoczenia poczuciem zagrożenia; głównym, o paradoksalnie, beneficjentem zamachu stawa okazała się... biurokracja gospodarcza. To nie barta: ewentualne porozumienie aparatu władzy ze społeczeństwem nie naruszyłoby statusu aparatu partyjnego, administracji, wojska ani policji, natomiast uderzyłoby w kilkaset tysięcy /do pół miliona/ rodzin biurokracji gospodarczej, warstwy urzędniczej, która żyje z polskiej gospodarki, sama sobie określa dochody i produkuje inflację dwustu kilkudziesięcioma miliardami zł. niedwukowego popytu. Wojsko jest zbyt słabe, by tę tkankę rakową usunąć, ponieważ zakorzeniona jest ona solidnie w imyrd piwnach aparatu władzy; bez nacisku robotników i społecznego poparcia przeprowadzenie autentycznej reformy gospodarczej jest niemożliwe, ale wojsko uderzyło szczerze w aspiracje robotników i ogółu społeczeństwa. Ekipa rządząca sądzi najwyraźniej, że przeprowadzi reformę, podczas gdy każdy najakabzany nawet ruch w jej kierunku grażanie w poduszce bezładu i jest paraliżowany kontrdecyzjami wykonawczymi biurokracji.

Najgłębszy przedział w historii

Elita rządząca uważa swój stan wojenny za "umiarkowany", chlubi się niską liczbą ofiar śmiertelnych i rzeczywiście nie było to Chile /jeśli w ogóle można się tym chwalić/. Ale społeczeństwo, ukształtowane w kulturowej tradycji bezwzględnej potępienia dla zabijania bezbronnym, a już zwłaszcza dla mordów bratobójczych, widzi nie "tylko tyle", lecz "aż tyle" ofiar /w XIX wieku pogrzeby ofiar carskich pacyfikacji ulicznych przygotowywały atmosferę dla późniejszych eksplozji powstańców/.

Rezygnacja ze strajków i manifestacji, jako zbyt ryzykownych, niech nas nie myli. Nienawiść ciągle jest przerażająco powszechna, silna i głęboka. Tego fenomenu nie zna dotychczasowa historia Polski. Były w niej konflikty wewnętrzne, czasem dramatyczne, ale nigdy nacechowane takimi emocjami. Zmachał stamni nie tylko jednak zmiażdżyć nadzieję na naprawę kraju, na wyjście z paraliżu systemowego, w którym nie da się żyć i pracować. Dotknął zarazem najczulszego miejsca w polskiej psychice narodowej, uderzył bowiem w polskie poczucie godności. Długo trzeba by tłumaczyć, jak się to stało, że po niewątpliwiej rewolucji społecznej, która się dokonała po roku 1945, cały naród przejął etos warstwy szlacheckiej, która się okazała faktem - polskie poczucie godności narodowej należy do geopolityki tej części Europy. W Polsce darowuje się nawet zbrodnie, nigdy - upokorzenia.

Nikt nie jest ponad podejrzenie

Drugą barierą na drodze do rozwiązania problemu polskiego jest nieufność. Nie mam na myśli szans pozyskania sympatii czy poparcia przez władzę. To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Chodzi o rzecz bardziej podstawową: po teściu sków i gestów, które z reguły okazują się czymś innym, niż miały i mogły znaczyć, społeczeństwo po prostu nie wierzy niczemu, co mówi lub robi aparat władzy. Ani w polityce, ani w gospodarce. Nie bierze się serio nawet złych wiadomości, ani nawet gróźb.

Brakuje wiarygodności jako podstawy minimum choćby nieprzyjaznego partnerstwa. Nie da się jej odbudować samą zgodą na przyjazd papieża-Polaka, ani zwolnieniem Wałęsy czy wszystkich internowanych i więzionych. Przeciwny Polak jako pracownik i nabywca nie może zarządzać a dnia na dzień, że państwo-procudawca wyjdzie z kieszeni 40% jego pieniędzy; czuje się oszukany. Posiadacze oszczędności dewizowych, które powierzyli księciu państwa, mają to państwo za defraudanta. Hołota od pieniędzy, emitowanego przez państwo, trwa nadal, bo nikt nie wie, ile banknotów jeszcze dokrują. Obywatel jako pracownik nie chce ze swym państwem robić żadnych interesów. Nie widzi w nim lojalnego, solidnego partnera, lecz nieodpowiedzialnego wydwigacza. Trudno tu choćby o minimum zaufania.

Co więcej, bardzo łatwo tu znieufanie stracić. W społeczeństwie o bardzo wysokiej przeciętnej wykształcenia, za domiar z uzasadnionym kompleksem podejrzliwości, trudne uprawiać politykę gabinetową, w której liczy się, że tradycyjna, afa klientela poprze w ciemno każdy niezrozumiały dla siebie ruch. Doświadczyła tego i doświadcza polska hierarchia kościelna, wiktana w skomplikowane negocjacje z niewiarygodnym partnerem - przygląda się jej z czujną rezerwą nawet własne niższe duchowieństwo. Decydująca liczebnie część populacji, 2/3 narodu poniżej 35 roku życia, klasyfikuje każdego bez taryfy ulgowej - z nami, przeciw nam czy z boku. I nikt nie jest ponad podejrzenie.

Jeśli gen.Jaruzelski rzeczywiście chce z kimś rozmawiać, musi sam pilnować, by nie zniszczyć autorytetów, mogących liczyć na mandat ze strony społeczeństwa - inaczej, niż to zrobiono z złodzym przywódcą chłopów, Kulażem, którego skompromi-

tworano w ich oczach, nie szukając ani zwolenników, ani partnerów.

Stany wojenne jako system trwały?

Różny stan wojenny, ze służbą bezpieczeństwa odgrywającą rolę samodzielnej partii politycznej, można teoretycznie kontynuować i po jego oficjalnym zniesieniu. Wystarczy do tego ustawa o "pasocyzmie", pozwalająca każdemu poszukiwać wolności bez wyroku sądowego, i druga podobna, czekająca na uchwalenie ustawa "psychiatryczna", pozwalająca niawygodnym ludziom pakować do domu wariatów.

Nie sądzę, by marzenia gen. Jaruzelskiego i jego ekipy było rzadzić przy pomocy takich metod, ale pozwalają one przynajmniej zrealizować czynny opór społeczeństwa. Czy pozwalają także prowadzić nowoczesną gospodarkę? Nie. Tym bardziej blokują szansę zmodernizowania społeczeństwa do stawienia czoła kryzysowi gospodarczemu, który nie odległa jeszcze daleko. Ale nie wiem, czy wojeździ, nauki do kultury rozkazu i przynajmniej postępu, sądzą sobie z tego sprawę.

Czasoprzestrzeń

15 po ostatnim dniu ekipa władzy otwierała coraz to nowe fronty konfliktów najpierw robotniczy i studencki, potem środowiska intelektualne, artyści i dziennikarze, wreszcie - chrześcijaństwo i Kościół katolicki. Do festiwalu życia 31 sierpnia aparat władzy mógł liczyć na wziętą pojedynczość starszych ludzi i części kobiet, ale 31 sierpnia obrwali, pękali i waliłi od garów wszyscy, tysiące pracowników przedsiębiorstw, starszaki i matki z wódkami. Po zdelegalizowaniu "Solidarności" spuszczano na wolność ekipę rządzącą ostatni, pojedynczo zresztą intelektualistów, liczący do tej pory, że ich obecność w ekipie lub przy niej postrząsnie skończoność do uprawiania polityki z zamkniętymi oczami /cofnął swe poparcie szejdelę prawnikowski, doradca rządowy psycholog prof. Raykowski, podał się do dyktacji minister pracy i opieki społecznej prof. Rajkiewicz/.

W ciągu ostatnich dni zaczęły powstawać "akty", które mogłyby świadczyć o odejściu od formacji "Kształtowania walki". Wicepremier Rakowski, który jeszcze parę dni wcześniej w dość anegdotycznym sposób obrażał aktorów bojkotujących telewizję i radio, odbył zupewna odwołany, publiczną dyskusję z autorami listów do siebie. W jakimś sensie była to desperacka próba jednostkowego wyrażenia całej propagandy, idealnie nieskutecznej, a nawet raczej osiągnięcej rezultaty odwrotnej do zamierzonych. Istotne było jednak, że po raz pierwszy publicznie wypowiedziano i przekazano przez telewizję niemało autentycznych przesłanek społeczeństwa do władzy. W parę dni potem zwolniono Kłęczę. Ale społeczeństwo nadal czuje, że mogą to być jedynie gesty, chwilowe i niekierujące skoordynowane, które nie muszą znaczyć czegośkolwiek i za którymś nie nie pójdzie.

Nie nie będzie, jak było

Żaden gest nie przesłoni konieczności przemyślenia wszystkiego co dotyczy Polski na nowo. Co najwyżej tę konieczność odsuwa. Z czasem uświadomią ją sobie zarówno władcy polski, jak ich radniacy sojusznicy z ich nowym, wybitnie skądinąd inteligentnym liderem. Wysilki poddania Polski systemowi władzy, sprzeczemu z jej demokratycznymi i zachodnioeuropejskimi tradycjami kulturowymi, doznały ostatecznej porażki politycznej, zostawiając na dobitkę po sobie kompletną ruinę gospodarczą. Porażki ostatecznej doznali również ci, którzy przez lata usiłowali ten system neuropełzować czy też spolonizować, reformować i przystosować do polskiej gleby kulturowej. Dziś jasne jest, że bez autentycznej demokra-

cji żadna wersja socjalizmu w Polsce funkcjonować nie może, a na domiar panującą powszechnie doktryną społeczną będzie doktryna społeczna polskiego papieża, łącząca idee socjaldemokracji z tradycją Kościoła ubogich i protestanckim etosem pracy. Nie nie będzie, jak było.

ZSRR, choć na to nie wygląda, ma w polityce wobec Polski opcje szerokie. Społeczeństwo polskie ustami i podpisami paru facyjcy swych najrepreszantatywniejszych, niezależnych przedstawicieli zadeklarowało we wrześniu 1981 roku, nie pod naciskiem gróźb czy obaw, że gwarantować sojusz z ZSRR i polską obecność w RWPG gotowy jest cały naród, wszystkie jego liczące się środowiska, ciałami i ugrupowaniami.

Resentymenty, narosłe znowa wskutek sowieckiej polityki ostatnich dwóch lat, muszą ustąpić i ustąpią wobec oczywistych interesów kraju, który nie przeniesie się na Madagaskar, a z ukłócenia wymiany handlowej z sowieckim obywatelom na zasadach szczerości może czerpać nieograniczone korzyści.

Ewentualna demokracja w Polsce nie jest "zapróżona" dla ZSRR - wszystkie tradycje kulturowe są po prostu zgoła inne. ZSRR do tej pory zresztą tolerował bardzo różnorodne formy władzy w różnych krajach swego bloku, z otwartością antytradycyjnym komunizmem przywódcą Ceausescu włącznie. Z drugiej strony - Rosjanie nie zrezygnują ze status quo w Europie, nie ma siły, która by ich do tego zmusiła. Nie podejmą też reform pod żadnym pretekstem. Jeśli cokolwiek zrobią, to powodowani swoim interesem i swoim rozumieniem tego interesu.

Wynika stąd prosta prawda, że tylko rozmowy, nie zaś czyjekolwiek najszlachetniejsze deklaracje, mogą między rzeszową analizie wszelkich interesów i rzeszowami ich zaspokajaniu. Takie rozmowy są i są, jak sądzę, w interesie całej Europy; Europa z zamkniętym polskim walkiem w środku nie może liczyć na stabilizację, tak niezbędna dla zachowania bezpieczeństwa czy też dla ekspansji gospodarczej.

Nie wspominać już o takim drobiazgu, jak miliardy zachodnie zamrożone w Europie wschodniej. Dla nich też warto rozmawiać. Nie dla samego ulżenia doli Polaków. Po prostu - niewolnicy nie płacą długów. Niewolników nie chodzą długi ich panów.

"Kultura", styczeń-luty 1983

Stefan Bratkowski

Stefan Kisielewski

BEZSIŁNOŚĆ PUBLICYTYKI

Wróciwszy do kraju po rocznej nieobecności, w warunkach zmiennej sytuacji, zadaje sobie pytania: czy będzie tu możliwa publicystyka polityczna? Podkreślam: publicystyka, nie zaś pisanie felietonów, o które magają mnie czytelnicy. Epoka felietonu się dla mnie po 36 latach skończyła. Swoje odskazywać nie mógłbym już gimnastykować się między cenzurą a autocenzurą, przynosić swoje myśli poprzez służbę i metafory, kontentować się pół- i ćwierć-prawdami, chwytanymi zresztą przez co bystrzejszych czytelników, którzy rozumiejących funkcjonowanie zasady p a r s p r o t o. Owszem, felieton spełnił swą rolę, zwłaszcza potęszając i wzbudzając psychologicznie niektórych w mrocznym okresie stalinowskim, nie sądzę jednak, aby dalsze jego obciążenie społeczeństwem

x/ Artykuł ten, przeznaczony dla Tygodnika Powszechnego i zajęty przez cenzurę w całości, został zamieszany z kraju.

oczekiwało akurat felietonowej podiechy. Imże są czasy i doświadczenia, innej potrzeba strazy.

Ale czy uda się ją dostarczyć? Usłyszałem od kogoś osobliwe zdanie. Że mianowicie ludzie zawodowo piszący po gazetach podzielili się u nas na dwie kategorie tych, co bez względu na cenę chcą popierać aktualne państwo /jego władzę?/ i tych, co również bez względu na cenę chcą wypowiedzieć całą prawdę, a nie mogąc tego zrealizować, zamilkli. Warto się zastanowić nad tą hipotetyczną klasyfikacją. Niewątpliwie, istnienie państwa w naszych warunkach wymaga niezrędko przemilczenia, osasem nawet zaparcia się pewnych prawd, zaś mówienie wszytkiego nie sprzyja /o tym przynajmniej jesteśmy wciąż zapewniani/ stabilizacji tego, aktualnie możliwego państwa. Czyżby więc prawda była luksusem, którego pro publico bono należało się wyrzec? Nie chciałbym podjąć takiego wyrzeczenia ani dokonywać wymuszonego wyboru między prawdą a takim czy innym interesem publicznym. Czyż więc najprostszym dozwolonym sposobem uchylecia się od wyboru byłoby milczenie?

Można jednak chyba sądzić, a przynajmniej postawić oryginalistyczną hipotezę, że czasem jakaś postać czy forma prawdy da się pogodzić z czym "publicznym interesem", a w każdym razie da się wypowiedzieć. Może należy dostrzec sformułowaną alternatywa wyboru na gdańsk jakiejś luki czy choćby łagodniejsze kanty? Ha, cóż, trzeba spróbować. Spróbować jeszcze raz wypowiedzieć to, co w Polsce powojennej próbowałem powiedzieć wielokrotnie, a co raczej udeślało się w publikacjach mało dostępnych, prywatnych czy zagranicznych. Może się jednak w końcu uda? Miniejszy artykuł to swego rodzaju test.

Czyżby właśnie ma być publicystyka polityczna? W moim pojęciu publicysta to człowiek stale piszący o polityce we własnym tylko imieniu i na własny rachunek, to swego rodzaju kibic-eksport, mający pełne prawo do koncepcji indywidualnych a także do sntucia hipotez dyskusyjnych, do groźnego myślenia, atakowania publicznych mocarzy, także i zbliżania tez własnych i zwalany głoszonych poglądów w miarę rozwoju sytuacji. Celem jego pisania jest wpływanie, według nakazów własnego sumienia i rozumu na czytelników, społeczeństwo, naród, a także /czasem przede wszystkim/ na środowiska polityczne i ludzi sprawujących władzę. Warunkiem takiego pisania jest oczywiście jego nieprzerwana, długa trwałość, szeroka dostępność, a przede wszystkim pełna swoboda najostrejszych nawet wypowiedzi. Zaś sprawdzianem, świadectwem użyteczności tego pisania będzie echo w opinii społecznej i historyczna skuteczność, a przynajmniej sprawdzalność pokwitowana p o s t f a c e t u m.

W Polsce Ludowej mało było miejsca na tego rodzaju koncepcję publicystyki, na Lippmanów, Sulzbergerów czy Aronów. Bezsilność czy niemożliwość piśmienniczej perswazji obnażała się aż nadto często, zaś potwierdzonej przez wydarzenia skuteczności, czasem dla wszystkich oczywistej, nikt nie kwitował ani przedtem, ani potem, sążna /taka była psychologia/, że przyznanie racji komuś indywidualnemu to czynność politycznie ryzykowna. Osobiście miałem w kraju trzy tylko niezbyt długie okresy, w których mogłem próbować uprawiania publicystyki zgodnie ze swym sumieniem i rozumem /co prawda i te władze psychiczne czasem z sobą kolidują/. Były to: a/ lata 1945-47, gdy można było jeszcze krytykować "markazm-leninizm" oraz polemizować z nim; b/ lata 1956-59, okres naszej relatywnej współpracy politycznej z Partią, gdy liczyliśmy na dalszy ciąg Gomułkowskich reform, który nastąpił nigdy; c/ epoka publicystycznego wyswobodzenia, gdy dawano się po trochu pisać co się chciało, najpierw w pismach nieoficjalnych, a potem w wyważającym się stopniowo Tygodniku Powszechnym; były to mniej więcej lata 1978-81. W przerwach między tymi okresami względnej swobody trzeba się było ratować występiami zagranicznymi, zaś w kraju pozostawał wieloznaczny, więc unieję dla cenzora uchwytny - felieton.

A skutek publicystycznych usiłowań? Zazwyczaj początkowo i to drugo żaden,

/a dziś, przez dziesiątki lat nie remontowane, wala się nam bezkarnie historyczne stare miasta!/. Chłop indywidualny po długich mękach i peregrynacjach ocalał się w roku 1956, ale z kolei spytano go przemysłnie zależnościści od biurokratycznych, nieudolnych punktów skupu, rzeźni, spółdzielni "GS", kółek rolniczych, "SKR"/ ośrodków maszynowych i naprawczych, jednocześnie paraliżując i uciążliwie dobijając i średni przemysł, pracujący dla wsi. Rolnictwo nasze, które okupację przetrwało najlepiej, wogóle na starych i nowych ziemiach okazało się znakomite, ale 36 lat koncepcji doktrynalnych, zmienionych taktycznie, lecz uporczywych merytorycznie dążeń i jemu radę, zaś lekkomyślna ustawa o wiejskich emeryturach mogła dokonać rezultatu... Źródła ekonomicznej porażki, strukturalnej i koncepcyjnej, tkwią więc głęboko w całych dziejach powojennych - warto o tym pamiętać, choćby dla nauki.

Oczywiście uproszczona kłódnia sprawa ma co najmniej dwie strony, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wiele ludziom po wojnie zaimponowało szybkie uprzemysłowienie, także centralne planowanie wydawało się niemiernione, niektórzy widzieli w nim świetny pomysł, zanim po latach okazało się, że nowoczesna, skomplikowana i wciąż technologicznie zmieniająca, udoskonalana produkcja nie zmieściła się z czasem w rozpaczalny abstrakcyjny miernik, wskaźnik, zaleceń, zarządzeń, manipulacji cenowych, rozwiązywana przez oderwanych od produkcji urzędników /lub, na wyższym szczeblu, polityków, dziś profesorów/, podczas gdy nawet mózg elektryczny nie zastąpi tu bezpośrednio, rynekowo zainteresowanych producentów. Zaś należy zwrócić uwagę na błąd "na górze" w ustroju totalnym stając się ogólną klęską. Mimo to znakomita niegdyś Polka Ludowa swoje sukcesy społeczne i wzrost narodowe: przemysłowe warstw i klas pracy anachronicznej powojennej strukturze udało swoje zalety, pod dyktando, techniki, przemysłu okazać się awansem na swój sposób zdrowym. Rozbudzone ambicje i apetyt cywilizacyjny, tyle, że z zaspokojeniem go było po latach gorzej, bo jednocześnie niszczenie naturalnej struktury rolnictwa i przesłanie a często śpietaniek rodywanie przemysłu stało się przyczynianiem przysiężki klęski, konstruowaniem niemożliwego organizmu o wielkim kurpiem na cienkich nóżkach. A gdy jeszcze dziś przysiężka świętowa koniunktura na produkty i przetwory rolne, chłop "kulać" okazuje się nagle na wagę złota...

Osobliwie też stało się po dziesięcioleciach z nową, z wiejskiej młodzieży i biedoty stworzoną "klasą robotniczą". Tu czaroksiężnika bohoney własno ozary, uczono słuchać się silniejszy od mistrza, to młodzi robotnicy uciarli w końcu w swą po marksowski promocyjną rolę i stworzyli klasową władzę organizację - "Solidarność". A do niej dochodziły miliony, dogadawszy się na zasadzie wspólnego wiejskiego pochodzenia, doznawszy w istocie cały naród. Tylko że Polacy nie lubią słuchać o sprawach gospodarczych - to tradycja szlachecka przejęta widać przez robotników. W kącie posady nanki Marksa, zwłaszcza jego zdanie, że "wolny jest ten, co posiada środki produkcji", z czego Engels wyprowadził motto śmiały wniosek, iż w socjalistycznym państwie zaniknie a społeczeństwo przekształci się w "związek wolnych producentów". Tymczasem u nas tylko samobójczy chłop mógłby mieć psychikę wolnego producenta, ludzima wiejskim zbyt długo /i ślepotnie/ mawiano, że skoro państwo im płaci, i wszystko państwu zarządzające, to są po prostu państwową własnością a nie lednymi producentami. Total o wolności gospodarczej jako podstawie innych wolności zapomnieli z początku i "Solidarność": upojona na święto po raz pierwszy kosztownymi swobodami demokratycznymi, chciała budować wolność od dachu i szybko - zaczęła więc zapełnić demokratyzację nie od tej strony co trzeba. Gdy się zorientowali, było już za późno. Czy ktoś podejmie ich działanie i skoryguje błędy? Dali nam niezapomniane 18 miesięcy - kto da więcej?

Microzrozumieniu spraw gospodarczych sprzyja u nas pewna legenda historiozoficzna, której sojusznikiem jest taka wiedza ogólna o tym, co się naprawdę dzieje w świecie. Żyjemy, wychowywani w fałszywych a schematycznych antycypacjach /np. kapitalizm - socjalizm/, odinani od informacji o tym, iż świat w swej reprezentatyw-

nej ewolucji ekonomicznej poszedł w całkiem innym, trzecim kierunku. Pielkiem zresztą o tym wielokrotnie w różnych broszurach - jeśli do kogoś nie dotarły, nie mają to wina. A sprawa wcale nie jest nowa.

Rzecz w tym, że kapitalizm nie istnieje jako określona doktryna czy światopogląd, tak jak istnieje marksizm-leninizm, zwany u nas uogólniająco socjalizmem. Istnieje, owszem, zasada wolnego rynku, ale to nie światopogląd, tylko pewien kodeks ogólny: aby nie przeszkadzać życiu, nie przeszkadzać producentom w samodzielnym kontaktowaniu mechanizmów i bodźców, nie zagłuszać sygnałów informacyjnych płynących z rynku konsumenta, sygnałów, będących hasłem do konkurencji przedsiębiorców czy konsumentów produkcyjnych /grozi tam stale nadprodukcja, wobec naszej niedoprodukcji.../, walczących o nabywcę. Przyjęcie takiego wolnorynkowego kodeksu, opartego o prawo wartości, popytu, podaży, konkurencyjności czy całkowitego bankructwa nie przesądza wcale ogólnego rezultatu merytoryczno-ustrojowego, który przy gospodarce wolnorynkowej może być rozmaity: może to być z jednej strony "drapieżna" walka monopolów, może też jednak pozostać solidarystyczny sojusz przedsiębiorców z pracownikami jak w Japonii, efektywne państwo dobrobytu jak w Szwajcarii, Austrii czy Kanadzie, bezosobowy "kapitaizm ludowy", ujęty w formę spółek akcyjnych, kontrolowanych i regulowanych przez państwo jak w RFN, czy wreszcie wciąż się utrzymujący, mimo nawet socjalistycznych rządów, indywidualny, drobnomieszczański mianus społeczny we Francji. Sposóbów tamtejszych form i aspektów, wewnątrz pluralizmu społeczny /np w Stanach Zjednoczonych obok scentralizowanych gigantów produkcyjnych istnieją dziesiątki tysięcy małych warsztatów, uzupełniających "chałupniczych" wytwórców, eksperymentalnych usługowców i przedsiębiorców etc./, wszystko to wydatnie kontrastuje z naszym, ściśle określonym systemem doktrynalnym. Wbrew naszej propagandzie tzw. "Lachód" bynajmniej nie brodzi jakiegis "kapitalistycznej ideologii", bo coś takiego jako gotowe w ogóle tam nie istnieje, mimo iż istnieje indywidualni bohaterzy zasady swobodnego liberalizmu gospodarczego, np. w Ameryce filiterny Milton Friedman. System wolnorynkowy jest politycznie elastyczny, zaś w swym bezideowym pragmatyzmie cieszy się z każdego przejawu rzekomego pragmatyzmu na Wschodzie, stąd kolosalna współpraca monopolu i państw zachodnich ze Związkiem Sowieckim, czy też ogromna pomoc kredytowa, udzielana "na piękne oczy" Polsce, stąd pełen nadziei a przesadny zachęt nad systemem węgierskim, jaki obserwowaliśmy ostatnio we Francji. Do tej samej kategorii należał także zachodni zachęt nad "Solidarnością" - widziano w niej symptom ewolucji komunizmu w kierunku zrozumiałym dla Zachodu i słowa naszych możliwości gospodarczej współpracy. Natwne to były nadzieje, a swoją drogą nasze urzędnicze a "ideologiczne" państwo w obawie o utratę swej wszechwładzy zamierzało tutaj wielki, gratisowo się nastroczający atut propagandowy!

Wbrew omu schematowi historyczoflečno-profetycznemu powiedzieć jeszcze trzeba, że główne kraje "kapitalistyczne" znajdują się już nie przed, lecz PO REWOLUCJI. Rewolucja upowszechnienia produkcji i konsumpcji, połączona z dyktaturą związków zawodowych i wzrostem opiekuńczej roli państwa ocaliła system wolnorynkowy - w ten sposób XIX-wieczne robotnicze ruchy polityczne, młast, jak przepowiedzieli "klasycy", obalić kapitalizm, przekształciły go, odrapieżniły, racjonalizowały i uspołeczniły. W najbardziej rozwiniętych krajach świata rewolucja proletariacka już nie grozi, z tego prostego powodu, że rewolucyjnego proletariatu fabrycznego tam już nie ma. Wielkoprzemysłowa klasa robotnicza w Ameryce, Kanadzie, Australii, Japonii, także w Szwajcarii czy RFN jest etosunkowo, wobec automatyzacji, nieliczna, dobrze sytuowana, obwarowana ustawodawstwem socjalno-ubezpieczeniowym i wszechwładzą swych związków. To już nie robotnicy, lecz technicy, "białe koźmierzyki", funkcjonariusze i nis "fizycy", zbuntowani pariazi, lecz konserwatywna podpora ustroju. Cenią sobie ów ustroj, którego masowe zewnętrzne, choć nie drugorzędne właściwości leżą w rozwoju właśnie "konsumpcji zbiorowej", publicznej komunikacji, transportu, łączności, gastronomii, handlu, rozrywki - w tej to właśnie dziedzinie poziom i demokratyzacja życia w "kapitalizmie" najbardziej kontrastuje z naszym, gdzie prywatny samochód a nie tram-

waj czy autobus był przedmiotem największej troski państwa. Pouczający to paradoks, zwłaszcza gdy chodzi o ustrój z przymuskiem "ludowy". Zaś co do zachodniej nierówności: lepsze rozwarstwienie naturalne, niż przymusowa niwelowanie, potem zaś sztuczne a wrażliwe elity...

Biały kołnierzyk nie marzą o rewolucji, marzą, aby ich system funkcjonował dobrze i bez kataklizmów, aby nie dotknęło ich bezrobocie. Bezrobocie jednak to ogólna cecha rozwiniętej cywilizacji produkcyjnej, bowiem wobec postępu techniki coraz mniej pracy robotniczej jest potrzebne dla funkcjonowania przemysłu. Bezrobocie takie to problem ogólnoswiatowy, i znaleźć musi swoje technokratyczne rozwiązanie, a nas unikano bezrobocia do czasu zatrudniającej ludźmi w specyficznych dziedzinach nieprodukcyjnych: w administracji, aparacie kierowania i kontroli, w biurokracji rodyumającej personalnie na drobniejszy skład. Deficytowe skutki tego zbieramy dziś sownie...

Owszem; w krajach wielkoprzemysłowych wytworzył się także i nowy swego rodzaju proletariat. Są to ludzie, spełniający niezbędne a uciążliwe usługi, jak sprzątanie, usuwanie nieczystości, przeróżne pomocnicze prace fizyczne i domowe, w Niemczech także górnicze, handlowe i inne. Ludzie ci przybywają do światowych metropolii ekonomicznych z krajów niedorozwiniętych, to będą właśnie G a s t a r b o i t e r z y w Niemczech /Turcy, Jugosłowianie, Grecy/, Algeryjczycy, Tunezyjczycy, przybyłe z Portugalii i Hiszpanii we Francji, Portorykańczycy, Meksykańscy, sezonowo pracujący na fermach Murzyni w Ameryce. Ale ten "proletariat etniczny" marzy o awansie w ramach systemu i daleki jest wazakże od klasycznego, rewolucyjnego wzorca marksowskiego...

Z powyższego widać wyraźnie, że dotychczasowy, oficjalny u nas schemat ideologiczno-profetyczny utrzymać się nie da, zwłaszcza wobec naszego dramatycznego bankructwa centralistycznie przez polityków i urzędników /czasem z udziałem profesorów/ kierowanego kolektywizmu. Jestem jest dalsze, że hasła opiekuńcze i humanistyczne realizować trzeba na innej drodze, bez przesądów satuczojnej "różności" i bez ciągłego ideologicznego nacisku państwa. W nowych czasach potrzeba nam nowej, pluralistycznej /dopuszczającej współistnienie rozmaitych form społecznych/ koncepcji, zaczynając to nawet głosić ludzie ukształtowani w systemie, wystarczą przeczytać ostatnie, ostrożne lecz wyraźne wypowiedzi prof. Rejkowskiego / T u i t e r z a / czy Szczępańskiego / O d r a / . Wypowiedzi te zachowują cichą nazwę socjalizmu, podobnie zresztą, jak ogłosiła to "Solidarność". Zartownia powie, że jeśli socjalizm to jedynie idea, głosząca, iż wszystkim powinno być bardzo dobrze, w takim razie wszyscyśmy socjaliści. Nie idzie naturalnie o ubezpieczającą politycznie nazwę, choć ja osobiście przeciwny jestem etykietom wylającym socjaldemokrację niemiecki itp. to nie żaden socjalizm w sensie marksowskim, lecz udatnie zreformowany kapitalizm, zapatrzony w społeczno-polityczne, właściwe demokracji klapy bezpieczeństwa. Dla siebie nie widzę przyczyn do odcauwania lęku przed stwierdzeniem, że "prawdziwy" socjalizm po prostu się nie udał. Ludziom u nas chodzi jednak przede wszystkim nie o słowną etykietę, lecz o nową koncepcję skoro nie udało się jej sformułować i upowszechnić żywiołowym pionierem-amatorem z okresu węgierskiego fermentu lat 1978-81, których "wykonanie" politycznie, podjął się tego muszą inni, nie bojąc się osobiste ryzyko i nie bojąc się terrorku słów, uznanych dla celów politycznych i "historycznych" za nietykalne.

Sytuacja bowiem kraju jest, jak wiemy, więcej niż alarmująca - jest katastrofalna. W niezwykle krótkim czasie okazało się, że żyliśmy wyciągnięci na kredyt /i to kapitalistyczny/, że bez importu zgineliśmy, bo, spacylizowawszy społeczną aktywność produkcyjną, importujemy nawet składniki najprostsze, które z łatwością można było wytworzyć w kraju, że wielkie inwestycje, oparte na prowadzonych maszynach świadki, że rolnictwo też uzależniono od importu i w rezultacie podjęto, że handel zagraniczny miast na rozczarowaniu światowych rynków, oparty był częstokroć na fantazji etc., etc. Skowem, administracja partyjno-urzędnicza,

rzęząc wszystkim autokratycznie i bez kontroli, doprowadziła kraj do katastrofy w wielu dziedzinach, obciążając nas w dodatku zagranicznymi długami, które, jeśli je w pełni wypłacić, zaciągał krajowi niły kamień u szyi na długie lata. Dyktatorskie wyzwyty dyktatorów nie tylko doprowadziły w końcu do spikowanego buntu, ucieleśnionego w "Solidarności", co nas spopularyzowało w świecie, ale również osłabiły nas w tymże świecie potężnie. Bo niły dżaczego kraj z urodziwą ziemią, poręczonymi kopalniami węgla, z węglem i węgelnymi rudami, wsparciem olbrzymią zasobnikiem dewalutowym, kraj z tradycyjnym położeniem w środku Europy oraz z masą zdolnych, wykształconych ludzi, bezsensownie przetracił, gdy zajął się na Zachodzie, popadł nagle w tak bezsprawny i błędy? - na to już naprawdę potrzeba było wyjątkowej sztuki - Ważne się do roboty! - mówią na Zachodzie, ale nie wiedzą, że decyzyja taka nie zależy tu od czkowieka, lecz od urzędników, polityków i rzekomych a zmiennych ekspertów-profesorów / a c h t u n d a c h t z i g P r o f e s s o r e n . . . / Oni owszem, mogą się wziąć do roboty, lecz ostateczną twórczość, potrafi się ewentualnie przyłożyć do pracy indywidualny rolnik, drobny prywatny wytwórca, usługowiec czy rzemieślnik - gdyby na urzędnicy nie przeszkadzali, co dalej ze sztuką robić. Ktoś miał szary czkowiek, zatrudniony w produkcji państwowej, uwięziony w gąszczu przepisów, praw, zakazów i narozryw w ciągu 37 lat stosunków własnościowych /antywłasnościowych/ absolutnie nie ma J A K wziąć się do roboty. A tego już pragmatyczny Zachód nie zrozumie.

I oto nagle, niemal z dnia na dzień, Polska stała się krajem nieprodukcyjnym, krajem w dodatku, gdzie długo nie informowali ludzie stracili, w obliczu kracho, wiarę w możliwość i celowość produkcji oraz wszelki zapas do niej. Symbolem tego zjawiska może być owe ponad pół miliona osób, które zgłosiły się po przedwczesne emerytury, następnego dnia ręk do pracy w wielu zakładach, nieopieczonych tkomy "wczasowiczów" na plażach i w górach, wytwarzających się lekko ostatnich pieniędzy. - Wszystko jedno, jeśli i tak nic ode mnie nie zależy - myśli sobie każdy. Dokłada się tu również gwoltowa, aludystyczna propaganda "antyimperialistyczna" naszych środków przekazu. Ludzie, odcięci od zachodniej pracy, pojeźli tę kaspianę po swojemu: że zbliża się wojna, więc nie warto nic robić. Propaganda stała się tu roz jeszcze zwiolen wśród społeczeństwa. Lekceważenie elementów psychologicznych jako bożyców do pracy, to po frontu lekceważenie elementów pracy - wszelkie każdy osobnik jest złożony, delikatną materią. Rezultat - osobnik ów przestał się interesować produkcją - po latach stracił w nią wiarę. W dodatku przetrwał się import surowców i części, przywały się złożone nici kospracyjne i transportowe, wysiadł import zagraniczny w tysiącach zakładów, gdzie pracowało inwestycyjnie prac w dupie nie było, trzeba je będzie przez zamknąć. Po ośm więc szary czkowiek na się tak pchać! lepiej podjąć coś samodzielnie, zarobić na boku, dorobić, wziąć pieniądze na rynku nie krajnie. A jutro? Może zdarzy się coś, naród jest wierzący. Już co prawda w Berlinie też opolem na cud, ale się nie decydują, wrócić. I chociażby zaproponował to innego...

Przed laty rozbudzono w Polsce powzechany apetyt do nowoczesnego, miejskiego życia, z czasem okazało się, że apetytu tego w Polsce zaspokoić się nie da i oto ludzie utracili podważano im latał motywacje do pracy. I znów nasuwa się pytanie: jak jednako zrobić z Polską nowoczesny kraj produkcyjny, aby dziesiątki tysięcy wykształconej młodzieży nie musiałoby uciekać za granicę? Pierwsza i jedyna rada: potrzebny jest ustęp. "Solidarność" była wstrząs polityczny, jeśli on okazał się niemożliwy / "zagrożenie bytu państwowego"/, to trzeba wstrząs gospodarczy. Wyobrażam go sobie jako coś w rodzaju "ERP-u" /Zowa Urbanizacja Polityka/, kiedy to Lenin w roku 1921 zmusił masę indywidualnego bogactwa się i w tym celu ukroił działalność wszelkiego rodzaju państwowego urzędników, poborów podatkowych, kontrolerów, zarządców. A u nas "klasa urzędnicza" odżyła, mimo wszelkich konfiskacji, i chce zachować goście w swoich rękach - co milcząca ludź i trzymająca porozumienie społeczne. Czylibyśmy mieli być bardziej Leninowscy od samego Lenina?!

Wstrząs typu "ERP-owski" wyobrażam sobie jako odtworzenie /próbe odtworzenia/ prawdziwego, oddolnego życia produkcyjnego przez usankcjonowanie dowol.

ności, samodzielności i pluralizmu indywidualnych producentów i całkowite ukroczenie kontroli urzędowej oraz uproszczenie podatków. Nie ma w Polsce mydła?! Toż produkcja prosta a rezerwy tłuszczu na pewno są w kraju ukryte. Państwo ich nie wydobędzie, całowisk prywatny potrafi. Dać mu więc uprawnienia, nie wtrącać się do niego, niech robi, niech sprzedaje, choćby za dewizy, nie tylko wtedy, gdy ma kapitał "polonijny" - uprawnienie polonijnych spółek nie może być równoznaczne z upośledzeniem producentów krajowych /choć rozumiem wiarę w kapitał.../; to byłoby upokarzające i niepedagogiczne /już w roku 1956 Stanisław Mackiewicz po powrocie do kraju pytał bystro, dlaczego w Polsce oficjalną walutą jest dolar, nie złotówka/.

Otworzyć w Polsce klasę wolnych producentów? Kydziałem, że tak właśnie u nas zrobią, że posiadzą; - Skoro nie pozwalają nam bawić się polityczanie, to za to bawcie się gospodarzami! Ludzie muszą się czymś bawić i podniecać, nie sposób żyć w śmiertelnej nudzie, w beznadziei uterania się o najprostsze rzeczy i sprawy dość poważnego. Trzeba tych ludzi czasem zainteresować, dać okazję do entuzjazmu - ileż i z julim zapałem, dzień i noc, pracowali młodzi producenci w "Solidarności". Myślałem - ale grabo się zawiodłem. Bo tutaj znowu przyszło to samo: ukroczenie "nadmierzonych zarobków", biurokratyczna kontrola przeszłości, ścisłe egzekwowanie podatków, straszanie obrotowym, dochodowym, domiarami, ściąganie danin od zagranicznej darowizny, konfiskaty towaru, czepianie się pracy osób nie agrozoszonych!// Nawet teczki z pianiną mają być, w myśli zarządzenia Wysockiego Ministerstwa, bezpłatne - nawet taki drobnutki przejaw oddolnej samodzielności ekonomicznej jest komuś soją w oku - mój Boże! Opiekunność uporozywa - aż po zgon. I to w epoce, gdy zapewnictwo sięgnęło szczytów... Nasila się propaganda przeciw "spekulantom, oszustom, szkodnikom" według najlepszych dawnych wzorców, niezmając rzeczywistych aspektów i kanciarzy z indywidualnymi producentami i sięgając ukłótanym ludzkiem zmysłem w głowach. A więc niezgodny się nie nauczyli, a więc znowu to samo? Wciąż tylko znana metoda: "Ispaj złodzieja"?

Krótko mówiąc, żadnego ożywczego NEP-u nie będzie - ślady jego utoną w urzędniczym i milicyjnym represjonizmie, który sprawdził nie bardzo dla siebie rządę z przestępstw /ci są w Polsce chytry i wycpanieni/, ale na pewno odstraszy potencjalnych uczciwych producentów - doświadczenia z przeszłości nie będą zapomniane. Jeśli więc oczywiście oddolne zostanie sparaliżowane, to co otrzymamy w zamian? Odpowiedź: w zamian otrzymamy, a raczej przedsiębiorstwa państwowe otrzymają, REFORMĘ GOSPODARZĄ.

O reformie gospodarczej, jak o turkowskiej zbiegni, można w nieskończoność. Przekazyłem po wojnie długi szereg reform gospodarczych, reform zarządzania, planowania, reform strukturalnych, reform pieniężnych, cenowych etc. Wszystkie one miały jedną cechę wspólną: były to reformy urzędnicze, zadcydowane ogólnie. Jedyna reforma oddolna, która się w PRL utrzymała, nastąpiła w październiku 1956, gdy chłopci ruszili się, bez sprzeciwu zlikwidowali spółdzielnie produkcyjne i objęli na nowo podzielną ziemię. Swoją drogą, miał wtedy Gomulka w rękach poparcie społeczne, nieczył złote jabłko - ale zamroził je, jak w "Weselu" złoty róg!

Reforma ma polegać na samofinansowaniu przedsiębiorstwa, ich samodzielności pieniężnej, kontrolowanej przez bank - same wypracowywać mają swój fundusz do podziału, od którego zależą płace pracowników. Lepsza praca - lepsza płaca. Na pozór nie słuszniejszego, tyle że nie wiadomo dobrze, jaka to praca, jaki jej tryb będzie przez przedsiębiorstwo /jego dyrekcję?/ wybrany jako najdogodniejszy. Bowiem rynek nie zostaje stworzony, konsument nie decyduje; reforma jest nadal urzędnicza i centralistyczna, pozostawiając w rękach państwa ustalanie cen zaopatrzeniowych i handlowych, sytuację pieniądza i kursy walut, kierunki produkcji, eksportu, przeróżne wskaźniki, marżę, normatywy, przepisy, tryb wszelakiego postępowania, pragmatykę służbową, uniemożliwiająca funkcjonalny, organiczny pluralizm. No i oczywiście zachowano plan centralny, sprawiający, że nie jest możliwa produkcyjna konkurencyjność zakładów, ich samodzielność funkcjonuje na...

dal w granicach sztucznie wytyczonych, ustalonych przez górę /biurokratyczną, polityczną, profesorską?/ a nie związanych z potrzebami i wznennymi fluktuacjami rynku. Zaś kontrola jest wyłączone odgórna - kontroli oddolnej nie przewidziano. Reforma przy tym, jak każda odgórna reforma urzędnicza, jest za trudna, mało kto rozumie jej sformułowania, ich cel i istotę: w NEP ludzie by wieźryli, mimo złych wieloletnich doświadczeń, bo NEP-owska prostota sformułowań zwiastowała rzeczysdystry praełom, próbę nowego umiastaczenia społeczeństwa - a za umiastaczeniem automatycznie idnie uskrzymienie. Jakże tu natomiast unierzyć w reformę zawikła, opartą na dziesiątkach ustaw i setkach jeśli nie tysiącach przepisów starych, nowych i najnowszych? Tysiące manewrów, zarządzeń uskrzymień, gądanie o bodźcach i antybodźcach, aby osiągnąć rzeczy, które w ustroju rykowym regulują się same, bez "wdrabiania", bez urzędników, profesorów, bez zawikłej kontroli, bo rzeczy to są tam na wierzchu: zysk i strata, to na rynku pojęcia proste, o tej prostocie nie sposób marzyć w ustroju centralistycznym, gdzie wszystko przepada we wspólnej kotłce, a obliczanie dochodu narodowego czy rozwoju gospodarczego nader jest wątpliwe, nie uwzględnia bowiem niewyliczonych czy rozwoju gospodarczego własnych, jakimi są utrata energii społecznej przez zanęsy biurokratyczne, służbowe, kompetencyjne, kooperacyjne, kontrolne, zo i polityczne, przez niedostatek uskrzymienia komunikacji, kępowości i tysiące spraw nie uwidoczniczonych w tabelach budżetowych. Państwo produkujące pozostaje tu jako jedno wielkie przedsiębierstwo, którego bankructwa nie widać na papierze, ale za to "odgólnie" widać dokładnie obłożenie społeczeństwa. Bo najmniejszy błąd planistów "wywołuje wrębienie a praełomca wojen". A cóż kępiarzo błąd zasudzić.

Reforma nie odszarza społecznej grupy samodzielnich producentów /ogółowców-kich "wolnych producentów"/, których latami gorliwie niszczone i wianast których, ponieważ życie nie znać próżni, a zwolnion miejscce wspanieli się kędyś nie- wydarzeni, polityczno-administracyjny gestory z osobliwej, spoki Gierka, gdy mówię o klasie producentów, nie maśi to brnąć "po kapitalistycznym", osobliwie, owsem, manyrzym o producentach-wianścicielach, ale skoro zniszczyła ich wojna i okupacja, a praktyka odgórnej kolektywizacji dokonana reszty, to jasne rzecz, że żadna "reprzywatyzacja" w przemyśle nie jest dziś możliwa /choć okuchajmy na nią co sił na wsi, w rzemiośle, w drobnej produkcji, w handlu, w spółdzielczości, nie dejmy zniszczyć ocakonych rezultatów samodzielnosci i oddolności!/. i że trzeba tu szukać wyjścia trwającego. Trzeba się zastanowić, czym nastąpić całą szeregię działycey gospodarszych, spielających między siebie produkcyjną i "bodźcową" w systemie wolnorykowym, czym zastąpić różnorodność fachowców skonomiczno-uskrzymowych, ankieterów-badaczy rynku i opinii, ekspertów z praełem eksperymentowania, związkowców, rad nadzorczych z egzaktym, rad akcyjnarynżny, organizatorów zidennej produkcji okuchajniczej i tak dalej. My wianast całego pluralizmu wianst tylko: z jednej strony centralny sztab polityczny z podległą mu falangą urzędniczą, z drugiej - kęssilka polityczna-kłasa techniczna, inżynierska. A w środku nie ma nicz brak producentów - a to nie p. a. t. r. i. c. y. o. żadnej gestii nie posiada tak często w propagandzie praełmowej "wład pracy", wrennie, jak wiancy, ankiety też wianstki zarębowe, ale oibć mówić w tej chwili o polityce /wobec co niej na koniec/ ale lina strukturalna to nie jest tylko fakt polityczny, lecz organiczny mankerent organizacyjny, społeczny i w rezultacie - produkcyjny.

Na mankerant ten reforma nie próbuje rangowć zasadniczo, lecz robi swago rodzaju unik /czy z bojaźni politycznej?/, czyniąc podmiotem swęj koncepcji ciakę w istocie anonimowa i nieokreślona: przedsiębiorstwo. Co to jest, przedsiębiorstwo, do kogo należy i kto nim rządzi? Dyrektor, sztab urzędniczy, rada nadzorcza, czy może samorząd pracowniczy, którego powstanie wiancy się teraz zapowiada? Osobliwie nie wierzę w zarządzanie zbiorowe i zbiorowę odpowiedzialność, tak zawilo w dodatku sformułowana. Jeśli już nie mamy wianściciela fabryki czy też dyrektora skojonarynżny, żyjącego produkcją i pracą, z której sukcesem i kęsską złączyć swój los, to stwórzmy przynajmniej indywidualnego gestora, powiązanego z rynkiem, świadomego praw wartości, a odpowiedzialnego nie przed państwem, lecz przed spo-

imi ludzi. Bez na rzeczycielnicie prawo do decyzji ekonomicznych, produkcyjnych, technologicznych, eksportowych, do samodzielnych kontaktów z rynkiem, a także do - bankrutstwa. Bez prawa do różnorodności, zmienności, konkurencyjności i bankrutstwa lub sukcesu nie ma nowoczesnej produkcji. I nie ma naturalnej selekcji ekonomicznych talentów. Tymczasem reforma dążyła inaczej - po staremu. Świeżym patrzeć, jak nosznie maczy się dostatecznie już przecież spłatany gąszcz przepisów, zarządzeń, ustaw, pouczeń /np. w sprawie likwidacji przedsiębiorstwa/, aby strząsnąć coś, co w tych warunkach nigdy nie będzie sobą, lecz imitacją mechanizmów rynkowych, mającą funkcjonować w ramach ogólnopństwowej biurokracji i kontroli. Mechanizmy takie, postarzane, w systemie wolnorynkowym całają się autentycznie, naciągają praw popytu i podaży, zysku i utraty, bez profesorów i ministrów, lecz wśród zwykłych ludzi - praktyków. Klasa /grupa/ producentów jest bowiem jakocześnie, psychologicznie całkowicie izna od góry administracyjno-urzędniczej. Reformam nie przyswaja namowej klasy producentów-gestorów. To niemożliwe bez reformy innej, wstępniejszej, a ta znana jest niemożliwa ze względu politycznych - powie ktoś. Nie widzę w to, ale postaram, że reforma realizowana przez urzędników i profesorów jest może koncepcją, ale nie jest żadną organizacją, objawiającą reprodukcję gospodarstwa, podobnie jak resztkowa dochodowość przedsiębiorstwa przy interwencyjnie przez państwo ustalonych cenach zaopatrzeniowych i placach zesadniczych oraz przy umownym kursie pieniądza i dowolnej jego emisji nie jest żadną reformą: to wszystko świat papierowych fikcji, barabata wazankie od samego niezagaja się łobi się skłoda. W świecie umowam można zresztą znaleźć i wyjątkie umowam. Kogę, gielowicie kierownictwa przedsiębiorstw znaleźć wyjścia w rodzaju zmaszugi detektów tricków, np. wykorzystania kosztów produkcji dla uzyskania większej premii, liczenia od kosztów "przerobu". W g"stwie przepisów i droga wyjścia może się okazać kręta, a rezultaty reformy - przeciwne do zamierzonych. Bez producentów, wyposażonych w rzeczywistość, pozaprzepisów, rynkową gestię, a wysrobdzonych od wymagań centralnego planu i jego kontrolnej aparatury, reforma jest nadal działaniem "w ciemno", skomplikowanym, poabszlanym ekonomicznej prostoty.

Tak więc odzywa się stara prawda: wyzvalo produkuję z właścicielami czy innego rodzaju samodzielnymi producentami i teraz nie wiadomo, komu ją przekazać, co z nią zrobić. Ktoś otwarty będzie problem "Klasy kierowniczej": urzędnicy czy profesorowie, czy politycy, a może rady robotnicze, czyli samorządy - co też nie zdaje egzaminu np. w Jugosławii. Wszelkie skomplikowane propozycje reformy wiszą w próżni, gdzie można wszystko, bo nie obowiązują autorytety, obiektywne prawa ciążenia. Tymczasem indywidualny właściciel w gospodarce rynkowej /dziej w zgodz-nim "państwie opiekuńczym" ograniczony zresztą całsto do roli menagora czy dyrektora - zresztą trzech obiadów na nie sje/ zdaje doskonale egzamin, i to egzamin konkretny, bo ma prawo do ryzyka i wyboru przedmiotu produkcji, wreszcie prawo do indywidualnie wyjaśniającego sytuację bankrutstwa - lepiej żeby jeden producent zbankrutował szybko, niż całe państwo powoli lecz nieuchronnie. Lepsza, powta-razem, mierność zamierzona, niż przypadkowa, irracjonalna.

Więc? Wniości nasuwają się same. Trzeba rozparcelować centralnie kierowaną produkcję, indywidualizować ją w taki czy inny sposób, przywrócić prawa rynkowe, prawo wartości, rywalizację, zarzuć w większości centralny plan, który nie jest planem, lecz fikcją i przyzwyczajają ludzi do pustych sków, do księżycowego, nieodpowiedzialnego myślenia. Odszarzyć klasę producentów, mogących samodzielnie wybierać kierunek produkcji, kooperować, importować, eksportować, reagować na postulatki rynku nazywcow. Tylko konkurencja zmusza ludzi do pracy: trzeba się zresztą z miarą państwa opiekuńczego w wersji kolektywistycznej, trzeba "udrapisznić" społeczeństwo, oduczając ludzi od życia z państwowej jałmużny. Spowoduje to początkowo perturbacje i opory, bo włączana przez lata sugestia "równościowe" wydała tu i ówdzie swoje owoce i niejedną zgadza się z demagogiczną akcją przeciwko "bogaceniu się" /szkoła zresztą, sądząc z pokszów w telewizji, jest to polskie bogactwo.../. Lepsza, przypominam, nierówność oficjalna, niż ta demoralizująca nielegalna lecz konkretna, jaką obserwowaliśmy w epoce Gierka. Powtarzam: opiekuństwo państwowe w wersji kolektywistycznej nie wychodzi, bo zarząd-

niezienie produkcji i kosztu jego błędów dają deficyt, na poszór niewymierny a codziennie dotkliwy. Nie zakazuje go dotacje pieniężne, bo cóż wart pieniądz bez pokrycia w towarach. Tymczasem "opiekunstwo" w zreformowanym systemie wolno-rynkowym doskonale dziś się realizuje, a gdy ktoś egoistycznie chce się ograniczyć, od czegoś wówczas sposoby polityczno-społeczne: opozycja parlamentarna czy potężna na Zachodzie akcja Związków Zawodowych? W takiej Australii strajkuje się o każdy drobiazg, we Francji /"socjalistycznej"/ także i nikogo to nie dziwi: to normalna funkcja politycznego organizmu. Zaś istniejący u nas dotąd "sektor pośredni", drobnego wytwórstwa, rzemiosła czy indywidualnego rolnictwa, zamiast przesłać w milicyjno-skarbowych winien, po wyeliminowaniu grupki rzeczywistych aferzystów, być kulturowany jako wzorcowy i w przyszłości rozwojowy: pokazuje bowiem, jak "osobowy" producent pracuje dla społeczeństwa, dając sobie radę bez pomocy biurokratycznego państwa. Zamiast demagogicznie szerzonej pogardy wobec "prywatyzacji" powinni oni stanowić przykład dla indywidualizującego się i usamodzielniającego sektora państwowego.

Powie ktoś, że takie ograniczenie prerogatyw aparatu urzędniczego godzi w państwo. To nieprawda! Nie należy utożsamiać państwa z klasą urzędniczą, która rozrasta się niernormalnie, jak polip. Państwo nie powinno produkować /cóż za pomysł!/, od tego są producenci. Państwo natomiast prowadzi **POLITYKĘ GOSPODARCZĄ**, i poza tym jeszcze na dużo innej roboty. Nie lekceważę zgoda urzędniczej najwyższej rangi, np. ministrów. Zadaniem ministra jest między innymi powściągnięcie zapędów podległych mu urzędników, chcących za wszelką cenę interweniować w procesy produkcyjne. W obecnym rządzie jest; owszem, kilku ministrów, rozumiejących to swoje zadanie - bezwład ich oczywiście nie wydenię; aby im politycznie nie szkodził. Jako konieczny zabieg, który również zrealizować mogło tylko państwo, wyłączenie podwyżkę cen. Wiem, że to środek koński, prosty a niepopulärny, był jednak nieunikniony wobec wieloletniej fikcyjności cen, nie uwidaczniających zgoda rzeczywistej sytuacji materialnej kraju. I tak szczęście, że po emisyjnych szalenstwach Gierka nie sięgnięto do bardziej drakońskiego środka, jakim byłaby wyłączenie pieniędzy. Przed naszą władzą państwową stoi zresztą jeszcze jedna "końska" operacja: zamknięcie tyłace zakładów produkcyjnych, w tym także bardzo dużych, nie mogących pracować bądź inwestycyjnie nieopłacalnych. Byłoby to naprawienie doktrynalnymi metodami podkortowanego ilościowego rozdziału klasy robotniczej. Trzeba by jednak zainteresować zwolnionych ludzi perspektywami jakiegóś nowej, indywidualnej pracy gospodarczej, boć nie wszyscy zechcą wrócić na wieś. Oto problem, którego nie mogła się była podjąć "Solidarność", nastawiona przeciw; w myśl głoszących u nas od lat hasła "ludowej demokracji", na obronę klasy robotniczej, stworzonej w powojennym systemie - boć "Solidarność" była wszakże również nieodrębny dzieckiem systemu /ustroju/, choć działają mało kto lubi się do tego przyznać. Była jego pojętym dzieckiem, więc chciała dziedziczyć - normalna kolej rzeczy.

Proponowane uszczuplenie społeczeństwa przez stopniowe usamodzielnianie producentów na dla państwa jeszcze jeden duży walor. Otc, przesuując stopniowo gestię i decyzje gospodarstwa na barki społeczeństwa, odciążałoby władzę od odpowiedzialności za przedkutaającą się z tą sytuację gospodarczą. Tyle, że władza, jak można sądzić, tej akurat odpowiedzialności się nie bói, uważając, że ochroniona jest przed nią po prostu siła. Warto jednak przypomnieć, że złudzeniem na temat uniknięcia odpowiedzialności za błędy oddawali się również tacy ludzie, jak Bierut, Gomułka i Gierek...

Ale dość już o projektowanych /i koniecznych/ reformach. O nich też można gadać w nieskończoność, jak o zieleni, a ja'm przecież nie fachowiec. Inni zrobią, czy zrobili to znacznie lepiej, rzecz nie jest nowa, wystarczy przypomnieć dyskusje w przebudowanym kiedyś Polskim Towarzystwie Ekonomicznym czy niezapomniszmy a nie wiedzieć dlaczego wyklęty RIF. Przejdźmy do spraw drażliwych, a w istocie najważniejszych, bo mogących spowodować uznanie za fantazującą utopię wszystkiego, co powyżej powiedziano, a także potwierdzić tezę o absolutnej bezsilności publicystyki w dzisiejszej Polsce. Mam tu naturalnie na myśli sprawy polityczne.

Od polityki oczywiście uciec się nie da, zwłaszcza, że wobec właściwego dla naszego ustroju zrośnięcia się władzy politycznej z gospodarczą, każdy fakt polityczny wpływa, chcemy czy nie chcemy, na poziom i styl naszego prywatnego życia. Oczywiście jest więc rzeczą, że nie można robić reformy całkowicie bez społeczeństwa i bez podbudowy politycznej - rozumieją to i nasze władze, nawet w dziwniejszej "wojennej" sytuacji. Jednak inicjowana dzisiaj przez tę władzę akcja polityczna ma być warte i oszczędnie wynikać z braku rozróżnienia między polityką i propagandą, lub wręcz odwracania uwagi. Tradycyjną /w złym sensie tego słowa/ fałszywością grzeszy apokoncepcja "Patriotycznego Kuchnia Porozumienia Narodowego". Nie wiadomo kto z kim ma się tu porozumiewać, bo dohör partnerów poza Partią ma-żo jest reprezentacyjny i w rezultacie ma to być coś w rodzaju dawno już skompromitowanego "Frontu Jedności Narodu". Nic tu więc nowego i ludzi, którzy w początkowej epoce zasmakowali w propozycjach nowości, mało są tą inicjatywą zaintereso-wani. Z hasła zaś negatywnych wymieniać trzeba ową gwałtowną kampanię "antyimperia-listyczną" czy antyamerykańską oraz akcję "Zapaj młodzieży!", skierowaną przeciw przerwaniu, rzekomy i rzeczywiście spekulantom, tudzież "nadmieremu bogaceniu się". Za pierwsze, jak już wspominałem, skutki daje nieobliczalnie odmienne od za-mierzonych, ta druga, nad której schematyzmem i krótkowzrocznością ubolewam, może zapewne w pewnych kołach chęć, zwłaszcza wobec niedowzruszanej zachęty do spo-żecznego donosicielstwa. Onie te akcje jednak mają raczej charakter propagando-nych zasłon i polityki nie zastąpią.

Istnieje natomiast pewna fundamentalna, aksjomatyczna problematyka historyczno-polityczna, na którą rządzący politycy oraz państwowe środki przekazu powołują się nieraz z naciskiem, unikając jednak wdawania się w szczegóły. To oczywiście polityka zagraniczna, nasze uczestnictwo w Bloku Wschodnim, socjalistycznym i mark-sistowskim. Polityka zagraniczna wobec Wschodu i stopień naszej zależności, były to sprawy przez dziesięciolecia trzymane w tajemnicy, zastrzeżone tylko dla waz-kiej elity partyjnej. Ten brak poinformowania polskiego społeczeństwa zawodził w sposób po trochu niebezpieczny, po trochu niespodziewany - znowu propaganda na-sza przyniosła rezultaty przecienne do zamierzonych: tym razem zgrzeszone przez nad-miar dyktacji, wywołując w momentach naprawde decydujących bezbronię niepowie-rzanie wielu środowisk społecznych. Między innymi zmyliło to również "Solidarność", która nie włączyła się w tę najważniejszą sprawę, upierając się rekwirując tylko z naszymi rządowymi władzami. Szokował Sprawa ta była w istocie zagraniczna, a oni myśleli, że czysto wewnętrzna. Podobnie jak sprawa istotnej reformy ustroju będzie również sprawa zagraniczna.

Wskroś w kraju czy za granicą, formułowane tezy o konieczności zmian w naszym ustroju /jeżeli ktoś, z ostrożności, zamiast "ustrój" woli mówić "system", proszę bardzo - nie o nazwę chodzi, lecz o istotę rzeczy/, tylekroć słyszanych powszechny osąd, że takie projekty są niemożliwe do zrealizowania, że to utopia, fantazja, marzenie i w ogóle nonsens. Należy bowiem - argumentowano - do wschodniego blo-ku krajów socjalistycznych, co wynikało z niepodważalnych rezultatów drugiej woj-ny światowej, zaś anatemionem tej przynależności, niejako kartą wstępu, są warunki ustrojowe, nazywane "markszazmem-leninizmem", na których zmianę wschodni Sojusznicy się nie zgodzą. Tak więc geopolityka warunkuje nasz ustrój i kwita.

Jestem wlozonym adeptem geopolityki, co wielokrotnie podkreślałem /patrz np. artykuł "Czy geopolityka straciła znaczenie?, R e s P u b l i c a n r 1 / - na emigracji zresztą grono mnie czasem za to. Też wysuszaną prostą - dążyć do zmiany ustroju /systemu/, pozostając w bloku, w poczuciu, w geopolityce. Słowo "socjalizm" /ileż szkód zresztą porobiła w świecie jego wieloznaczność!/, można zachować /jeżeli to dla kogoś ważne/, treść społeczną i gospodarczą trzeba zmie-nić - to jest dla Polski absolutnie konieczne. Waleczyć należy o te zmiany, pod-kreślając, że będzie to walka s błądnym, niedostosowanym do naszej specyfiki sys-temu /ustrojem/ gospodarczo-politycznym, nie zaś walka z geopolityką, Sojusza-mi, z powojennym układem Europy /co oczywiście skwapliwie zarzuci jakiś Krasicki/. Powtórzmy: jesteśmy i będziemy na Wschodzie, mamy na tym Wschodzie swoją rolę i

wisję, swoją niepowtarzalną sytuację, której nie da się i nie należy "eksportować" ani zarządzać nią innych, bo nasza specyfika jest odmienna. Ale stądnie w interesie tego Wschodu nie możemy być kompromitującą Krajiną Absurdów. W dodatku abo surda dał już powszechnie uświadomionego: dopóki naród nie wiedział czy tylko się nie domyślał, jak daleko sięga nasz absurd strukturalno-gospodarczy, to jeszcze jakoś czło. Teraz już nie ujdzie, bo wszyscy wiedzą. W tej sytuacji nie uda się jeszcze raz zwołać ludzi nadziejami niedotrzymywanych. Gombka mógł osiągnąć swego rodzaju "rząd dusz", ale zawiódł, bo w istocie chciał czego innego. Gierk był najpierw prawie popularny, potem tolerowany, bo fundował "wyjście na niby". A teraz? Czy da się tak wszystko zrobić, aby ludzie zapomnieli? Już nie, niemożliwe, za dalekosiężne zabrania, odkreślić spraw bez wstrząsu politycznego, przegotowującego zaradnicze zmiany się nie da. Wstrząs polityczny nie musi być gwaktem, ale dlatego powinien być oparty na sformułowaniu i prajęciu przez ogół przesła do sformułowanej tezy. A więc jeszcze raz: zmiana strukturalno-ustrojowa, lecz nie geopolityczna, porozumienie z Sąsiadem i Sąsiadami na nowych warunkach i przez pośrednictwo nowych ludzi. Jeśli to jest utopia, czego nie wykluczam, to i poprawna polskiej sytuacji jest utopia, bo ja innego sensownego a związanego z realiami wyjścia NIE WIDZĘ. Nie mając niczego innego do zaproponowania, nie będę dla polskości niczego udawał. Pomysły mi się wyczerpały, więc w razie niemożności przetrwania właśnie - zamilknię.

Logika nie musi wystrząść, choć wyjście logiczne istnieje. Cud nie musi się zdarzyć, chociaż może. Ale odpowiedzialność ludzka jest ograniczona: nie chce już dłużej udawać, że ją za cokolwiek, nawet za siebie, ponoszą. Konstruowało się w swoim czasie różne pociechy i ułatwiające psychizację postawy, udzielałem uprzejmie "dobrych rad", których nikt nie chciał słuchać - ileż bezsensownej energii włożyłem w konkrety, w szczególności sprawy, np. w zwalczanie "wielkiej płyty", tragedii naszego budownictwa, ileż sobie nastrzępiłem języka na gospodarikę morską, prywatną inicjatywę, rzemiosło, usługi, turystykę, rezerwy starych miast etc., sądząc w mojej naiwności, że choć częściowe zmiany będą uwzględnione. Dział, gdy jest na półnie, wszyscy już wiedzą... Ale bezsilność porażki i działania kiedyś brzydnie, wytrzymałość publicystyki wymiarzonej w próżnię na swoje granice..

Bywają społeczeństwa pechowce, bywają sytuacje historyczne bez doraźnego wyjścia - kiedyś się sprawy na pewno rozwiążą, lecz nie musi się to stać na przeszerzeni jednego ludzkiego życia, są i pokolenia pechowców: obys żył w ciekawych czasach! Czasy są rzeczywistości ciekawe i będą na nie pilnie patrzył - najzupełniej jest to widowisko, ale też całociłowa gra o los narodu. Gra poważna, nie na feleton ani na próby poroćtu, nie docierających nigdy tam, gdzie się coś rzeczywistnie decyduje, choć i mnóstwo ludzi myśli to samo. Trzeba więc skończyć zabawy, wziąć się na resztę życia do innej roboty, twórczej może - tej szczęściem jeszcze nie zabraknie.

Czyby więc ostatnim owocem wieloletnich usiłowań publicystycznych miała być sformułowana wyżej "utopia"? Wróć jeszcze do niej na chwilę, boć to moja ostatnia sugestia - dążenie do niej, to jak dążenie do limitu "plus nieskończoność". Nie ma takiego punktu w świecie fizycznym, ale ludzkie dążenie doń istnieje. Polskie dążenia do zamłany sytuacji wewnętrznej bez zmiany sytuacji geopolitycznej i międzynarodowej mają przecież swoją wieloletnią już historię i na swym koncie również niemałe osiągnięcia. Na przykład polski Kościół i katolicyzm wytrwały, oparty się prześladowaniom, dziś Kościół jest autorytetem nawet dla Partii... Chłop polski latami opierał się kolektywizacji, zachowywał po wielu walkach i tragediach jest dziś jedyną gospodarczą ostoją kraju. A i partia komunistyczna osiągnęła swą odrębność i autorytet, gdy decydowała już iść z narodem - świadkiem Gombka z roku 1956 - nie na krógu niestety - lecz co wtedy osiągnął, to osiągnął. Zatem postępy na tej rzekomo utopijnej drodze nie są niemożliwe, dlategoż by nie próbować posunąć się dalej? Może znajdzie się ktoś i w Partii, kto zrozumie nie sytuację i stanie się słuchanym adwokatem, śmiśnym orędownikiem sprawy koniecznych polskich przemian, orędownikiem, oczywiście, wobec Wschodu? Wszakże i

Wachód podlega ewolucjom, czerpałby nie miał we własnym interesie poszerzyć
swoich kryteriów? Zakładam, że bankrutstwo polskiej wersji ustroju wciąż wprost
do nieba!

Trzeba wreszcie skonczyć tę moją przydługą nową próbą, próbą - bo nie wiem
czy i jak się ten artykuł ukaze. Jeśli coś się zmieni, jeśli którejś odczwie się
coś /nie z ust Błaszczyńskiego oczywiście/, to będę się do Was jeszcze czasem od-
zywał. W przeciwnym wypadku - chyba już nie. W Polsce dzisiejszej jedni chcą
"normalizacji" i władzy w formach ustalonych od dziesięcioleci systemem urzędni-
czego, drudzy marksistowskich, wewnątrznych i zewnętrznych przemian politycz-
nych, trzeci - oczekają na coś, który napisali wszystkim. Nie chciałyby zaliczać
się do żadnej z tych kategorii. A powtarzam w próżni i bez szans swoją utopię -
to kolidowałoby z honorami publicysty. Wprawdzie generalnie do Świrli podobnie kie-
dziej, że w polityce nie ma honoru, ale publicystów się to nie dotyczy; publicysta,
zwłaszcza marksistowski propagandysta nie mający ani szans, ani postuśian, razszyłby
zwądy honoru zawodowego. Byłoby już świadkami, jak ludzie honorowi przegrzali
politycznie. Nie idą w ich śladzi! Zbyt to bolesne i kosztowne doświadczenia.

Najcież przywarł na reszcie życia chwala Bogu nie zabraknie. Na Zachodzie w
całym jest przede wszystkim życie prywatne, poświęcone do wysokiej rangi idea-
łu "osobniczości". U nas range ma tylko życie narciowe, życie się Polska, a
w funkcjonowaniu polityki. Ale można chyba po wielu latach poznać czasami Polską bez
polityki, czy bez wskazanej polityki, wcielanej w bezpłodne użytkowanie i oczekiva-
nia! Przywarł mi się w Warszawie Sienkiewicz "Wielkie narciowe", które bardziej kocha-
ją wolać niż oglądać. Sporo jest u nas dzisiaj wykształconych młodych ludzi,
którzy politykę kochać oglądają z daleka, z zagranicy /sączył wese Irlandia -
mardi węgierski?/. Sienkiewicz też imo podróżował po świecie i po historii, ale
całkowicie wczekał... Można wczekać i bezpolitycznie wspierać sprawę, po prostu świeżo
solidarnie wewnątrz głęboko obywatelskiego narodu. A nawet z ciępliwie wnoszonego
głoszenia /nie warty go kłócić, oż nie wszyscy/, zwłaszcza młodzień! /uda się czasem
zaczepiać o wyjątkowość, bezczynie w Włochy wczekać, że wielkie dzieła tworzą się
nie w wczekać, lecz wczekać z pragnieniem. Kto wie! Praydzicie może zaczepiać twó-
czkę takiej kładącej się na reszcie niechyt udanego dożyczenia żywej
kreatury, spędzając konsumując straconego czasu".

Owego wczekać wczekać ponać mać nie żyję. Do kładzi ponać musi swoje.

Stefan Kisielewski 1982

"Włochy", tygodnik-arty 1982

Stefan Kisielewski

WYKAZANE W ZWIĄZKU ADAMA MICHEWIA

Adamowi Kisielewskiemu udało się przesyłać z udzielenia krótkie listy do
redakcji wrocławskiej partii socjalistycznej /PSI/ i ówczesnego prezesa
miejsc. władzy, Bettina Czerni, oraz do Zbigniewa Brzezńskiego:

Stefanowi Kisielewskiemu Bettina Czerni,

Planuję do Pana z wzięcia, gdzie oczekuję na proces. Oskarżony jestem o doko-
nie do obalenia się ustroju, osłabienia mojej obrony i inna analogiczne zbrod-
nie. Wśród ówczesnego materiału dowodowego znajduje się również zeskanie jakiegoś
świadczenia, który zapewnia, że mój pobyt we Włoszech finansowany był przez jakiegoś
blisko mi nieznaną - ośrodek amerykańskiego wywiadu. Prawda jest wszakże taka,

że wiosną 1977 roku przebywałem w Rzymie - towarzysząc prof. Leszkowi Kożakowskiemu - na zaproszenie Partii Socjalistycznej Włoch. Miałem wtedy okazję rozmawiać z Panem osobiście. Informację o naszych spotkaniach zamieścił dziennik **PSI Avanti**. Proszę, by dzisiaj potwierdził Pan publicznie prawdziwość tych faktów.

Adam Michnik

List Michnika ukazał się w organie **PSI Avanti** z 1 października 1983 wraz z treścią odpowiedzi premiera, skierowanej do ambasadora PRL w Rzymie. Premier Craxi przekazał **Kulturę** z fotokopią swego listu z 30 września 1983 do ambasadora PRL w Rzymie, Brilla Wojtaszka, i zwołał na jego ogłoszenie w przekładzie polskim:

"Łaskawy Ambasadorze,

Piszę do Pana, aby prosić o zwrócenie uwagi władz Pana Kraju na moje oświadczenie dotyczące wizyty we Włoszech wiosną 1977 roku obywatela polskiego Adama Michnika, który przebywał obecnie w więzieniu w Weronie. Poświadczając ten krok, gdyż dowiedziałem się o zamiarze przypięcia podroży Michnika do Włoch celu odwieceniowego od rzeczywistego, celu pozostającego w absolutnej sprzeczności z prawdą faktów. Muszę Pana w samej rzeczy donieść, że Michnik przyjechał w tym okresie do Włoch na zaproszenie Włoskiej Partii Socjalistycznej, której był gościem przez cały czas swego pobytu, a wraz z innymi intelektualistami z różnych krajów europejskich uczestniczył w sympozjone naukowym. Miał kontakty z przywódcami Włoskiej Partii Socjalistycznej i z przedstawicielami prasy, szczególnie z redaktorem miesięcznika **Mondo Operai**. Je sam miałem sposobność odbyć z nim rozmowę. Proszę więc potwierdzić formalnie ścisłość faktów podanych przez Adama Michnika i poświadczyć prawdziwość podanej przez niego wersji, która mającej się już w posiadaniu władz polskich, jego podróży do Włoch. Ten bolesny epizod smutna ma do owartego wyrażenia uczuć silnego niepokoju i reakcji włoskiej opinii publicznej w obliczu represji, jakim w Polsce poddawani są przedstawiciele ruchu dysydenckiego, znani i cenieni we Włoszech. Z najlepszymi pozdrowieniami.

Bettino Craxi

X

List do Zbigniewa Brzezńskiego i jego odpowiedzi:

Warszawa, 1983 r.

Szanowny Pan Profesor Zbigniew Brzezński,

Piszę do Pana z więzienia, gdzie oczekuję na proces. Oskarżony jestem, wspólnie z przyjaciółmi o dążenie do obalenia przemocy ustroju, osłabienie mocy obronnej państwa i inne równie interesujące przewinienie. To akt sprawy zatoczony został również artykuł z hiszpańskiego tygodnika **Tiempo** /Nr 39 z dnia 7-14.02. 1983 r./o. Artykuł ten omawia przypisywany Panu dokument na temat amerykańskiego planu destabilizacji sytuacji politycznej w Polsce. Składaj to na zapowiadanie w budowaniu tezy o agenturzym charakterze KOR-u i jego powiązaniach z środowiskami wywiadowczymi Stanów Zjednoczonych. Zwracam się do Pana, jednego z architektów amerykańskiej polityki praw człowieka, o publiczne stwierdzenie, że KOR - instytucja sprzecznym broniona prześladowanych robotników i wspierająca niezależną inicjatywę obywatelską - nie pozostał w żadnym związku z amerykańskimi środowiskami wywiadowczymi. Proszę, by szlachetnie Pan dał publicznie świadectwo prawdy.

Adna Michnik

Deszcz do mojej wiadomości, iż do aktu oskarżenia przeciwko działaczom KOR-u dołączony został artykuł hiszpańskiego tygodnika *T i e m p o* z marca br. Emblematem na tyłku zwichniętego memorandum ode mnie do prezydenta Cartera pojawiającego jakoby strategię penetracji Europy Wschodniej.

W związku z tym pragnę stwierdzić kategorycznie: 1/ że to memorandum jest całkowitym fałszerstwem, przygotowanym przez sowieckie KGB; 2/ że to fałszerstwo zostało już dawno temu potępione publicznie przez niezależną prasę światową; 3/ że nie było żadnych powiązań między KOR-em a rządem USA; 4/ że dla Polski jest panicznym a dla władz PRL-u ośmielającym faktem, że akt oskarżenia oparty jest na fałszerstwach, opracowanych przez wydział PRL-u w Moskwie.

"Kultura", listopad 1983

Zbigniew Brzezinski

Śląsiedzi

W. SŁĄSIEDZI

W. SŁĄSIEDZI

Capitulacji **P r a w d y** nie miała pracownica z przyczyną śmierci Owella. Nie ma chyba miejsca tego pisma, w którym nie cytowałby autora "Polskiej wierszówki". Myślę jednak, że nawet Owell byłby zdziwiony, widząc swoje imię w **P r a w d z i e**. W każdym razie odstąpiłby na pewno, by wyznać, że powstanie artykułu poświęconego "dziejom wysiedlenia" w fantastyce opowiada George'a Owella 1984 występuje postać dyktatora o przydomku "Wielki Bóg" tego dawno nie było zdanie wojna - to pokój i w niewiedzy silni. W państwie Wielkiego Boga działało ministerstwo prawdy, w którym dzisiaj w dzień fałszowano historię".

Łatwo sobie wyobrazić, z jakim przejęciem czytelnicy sowieccy zapoznali się z dziwną wizją angielskiego pisarza. Autor artykułu natychmiast ich jednak uspokoił: "1984 rok jeszcze nie nastał, ale już dzisiaj można na oceanach wydziały propagandy...". Zmianem **P r a w d y** powieść Owella przedstawia rzeczywistość amerykańską... Można nie mieć wątpliwości, że autor "1984" byłby taką interpretacją zadowolony. Tym bardziej, że prasa sowiecka dostarczała przykładów, że w ojczyźnie **P r a w d y** rok 1984 dawno już nastał. Przykładów na to są tak fantazyjne, że nie jestem pewien, czy Owell postąpiłby się nimi w swojej książce. W maju 1983 roku wojska sowieckie przypuściły na alpejską prowincję Parwan atak artyleryjski i bombowy, którego następstwem przerastało wszystkie słońce Parwan atak z tekstem "Idzie pokój". Na budowę gasociągu w Tatarii przyjechali francuscy inżynierzy z OGT. Najbardziej wstrząsnęły nimi nie tyle trudne warunki, w jakich żyją sowieccy robotnicy /w Francji nie można o czymś takim nawet marzyć - odwiedzić jeden z gości/ ile to, że w "maryjskiej tajdze, w tymczasowej, komunistycznej osadzie" biblioteka była pełna książek w języku francuskim. "Robotnicza biblioteka" - powiedział Patrick Joslin - liczy sobie kilka tysięcy tomów, wśród których są utwory Balzaka, Stendhala, Hugo... /**P r a w d z i e** z 26 maja br./ W fantazyjnym świecie "Roku 1984" robotnicy sowieccy nie tylko czytają w wolnych chwilach.

lach francuskich autorów w oryginale, ale też strajkują, jeśli nie odpowiadają im warunki pracy. 26 maja zastrajowali - przy pełnym aplauzie pracy sowieckiej - robotnicy zatrudnieni przy budowie ambasady amerykańskiej w Moskwie; do pracy wrócili dopiero 30 czerwca. "Główny Amerykanom nauczkę", jak pisze P r a w d a z k a j a p r a w d a z 12 czerwca Br. Francuskie wydawnictwo Pergamon Presse wydało w serii "Marksiizm-leninizm" dzieła J.W. Andropowa, opatrzone go wspólnym tytułem "Na drodze socjalizmu". Luksusowe wydanie utworów i sekretarza KW KPZR nie zwróciłoby na siebie większej uwagi zblazowanej publiczności zachodniej /aresztą i w Moskwie nie ustawiają się po "Andropowa" kolejki/, gdyby zjadliwemu sowietologowi Francuskiemu Michał Żate nie przyszło do głowy porównać teksty opublikowane przez Pergamon Presse z tekstami pierwotnie wygłoszonymi. Przy tej okazji odkrył, że z mós i sekretarza antyżółko nazwisko Chruszczowa, którego wychował w kwietniu 1964 roku, podobnie jak przypadek gdzieś potępienie "metod Stalina". To popracowało ministerstwo prawdy, w którym, jak pisze P r a w d a, "dzień w dzień koczują się historycy".

Wśród "ormellianów" ubiegłego miesiąca pierwsze miejsce należy się artykułkowi zatytułowanemu "Prawda życia", opublikowanemu jednak w gazetce T r u d /13 maja/. Autorem jego jest J. Wasilk w, korespondent T r u d a w Warszawie. Odnajazł on w Warszawie człowieka, którego nazywa bohaterem filmu Wajdy "Człowiek z marmuru". Zdaniem J. Wasilkowa pierwowzorem bohatera filmu jest Michał Krajewski, przedwojenny komunista, który w 1939 roku znalazł się w Astrachanie i - "szczęśliwie" - znalazł tam robotę murarza. Od 1943 roku Krajewski był w wojsku polskim, "walczył z bandami polskich i ukraińskich nacjonalistów", po wojnie zaś udał się do ministra budownictwa i rzekł: "Przyświadczyłem sobie sowiecką stachanowską metodę, która pozwala ukończyć w czasie jednej zmiany cztery tygodnie cełki". Potem został wybrany wiceprezydentem Warszawy, a jeszcze później "sowiecki dziennikarz nie opowiadał nam dalszych losów polskiego stachanowca, relacjonując natomiast, jak oglądał "filma o sobie". Pokaz "zorganizowano w najgorętszych dniach postierpienych wydanych 1960 roku w jednym z zakładów". Już w drodze do kina Krajewskiemu nie spodobał się tytuł filmu "jakiś taki sztyderowy", tłumaczył się: "Kłamał dziennikarowi. Fo filmie Krajewski wstał i powiedział: "Wszystko w tym filmie jest kłamstwem: to szkodliwe fałszerstwo, dlatego, że w Polsce ludowej nie podobano się oszukiwać przy pracy się nie dzieje i nie może dzieć". "Po robotniczo, bez cokolwiek oszłodził Krajewski Wajdę: "Krobił Pan nieuczciwie, że wzięto kłamstwa filmu". Sowiecki korespondent donosi, że Krajewski "późno żałuje swojej toczył walkę o użycie ludzi". Późak epizodu Wasilkow przepisał fragment z "Człowieka" "Pod koniec wala kłamał już wszelkie wszystkie, oo mówił Krajewski. Inniś zrozumieć, że prawda jest po jego stronie". Angielski pisarz powiedziałby w tym miejscu: pokochał Wielkiego Kłama.

Dotychczas "ministerstwo prawdy" w P r a w d z i e i wszystkich innych organach prasowych i drożdżach masowej informacji jest oczywista dla każdego, kto przeczyta choćby jeden numer gazetki, wystąpiła choćby jednej audycji w radio lub obejrzy choć jeden program telewizyjny. Mniej oczywiste, choć niemniej ważne dla procesu przemianowania człowieka, jest uporczywe powracanie pewnych tematów w propagandzie sowieckiej.

Miedzy innymi tematem obokaję gwałtowność P r a w d z e z 1923 roku okazało się, że 60 lat temu wiedzę sowiecką niepokoiły te same sprawy i że rozwiązywało je tymi samymi metodami. Do głównych tematów rzucających się w oczy w prasie sowieckiej w maju i czerwcu 1963 roku i zajmujących w niej pokazane miejsce należą: szosy, Polska i papież. Temat "rozumujących się w oczy" najbardziej może pać do szos, do nowych zniczy. Tematowi temu poświęca się artykuły wstępne, pierwsze stronicowe gazet zdominują fotografie praktyczystów i kombajnistów, w środku znajdują się długie artykuły specjalistów i korespondentów "z frontu walki o szosy". Iwa następne tematy mniej rozumają się w oczy, choć traktowane są z mniejszym naciskiem. Materiałów traktujących o Polsce wyrost publikuje się mało. Kładkie korespondencje powtarzają wyśi, której sens A. Drezienko nieparcie wyrażił w zupełnie bezsensu

sonnym zdaniu: "Złoty proces stabilizacji w Polsce postępuje..." / I z w i e s t i a z 6 maja/. Pojawiają się informacje o festiwalu piosenki sowieckiej w Zielonej Górze i o działalności podstawowej organizacji PZPR w warszawskich zakładach optycznych, która - jak się wyraża korespondent P r a w d y /6 czerwca/ - przewidywała skutki "wiadomych wydarzeń". Nie zapomniano naturalnie opublikować w sowieckich gazetach komunikatu TASS-a pt. "Wyrok na zdradźcę" - o wyroku na "byłego pracownika naukowego Uniwersytetu Warszawskiego" Zdzisława Najdera, który "kieruje obecnie tak zwaną polską sekcją radiostacji Wolna Europa".

Na pierwszy rzut oka materiałów o Polsce nie ma dużo, ale Polska przewija się i bywa wspomniana - w artykułach na inne tematy, w szczególności i obowiązkowo o krećce działalności syjonistów lub o "rucicielach w eterze", tj. o radiach Swoboda i Wolna Europa. Głównym celem taktycznym tej propagandy jest powiązanie Solidarności i "wiadomych wydarzeń" ze syjonistami, działającymi zwłaszcza za pośrednictwem wyżej wymienionych radiostacji. Zdaniem prasy sowieckiej wszystko dzieje się nadzwyczaj prosto: "Rządowi Demowi nie spodobało się, że w czasie ostatnich uroczystości pierwszorzędowych około 7 milionów Polaków zademonstrowało pełne poparcie dla socjalistycznego rozwoju PRL", wobec czego natychmiast wydano rozkaz syjonistom, a ci już postarali się, żeby z etaru popłynęły antysocjalistyczne komentarze /P r a w d a z 21 maja/.

Materiały o Janie Pawle II pojawiają się tylko w artykułach poświęconych "provokacyjnemu oskarżeniu pracownika bułgarskich linii lotniczych Bałkan Siergieja Antonowa o zorganizowanie zamachu na rzymskiego papieża".

W roku 1923 artykuły o zbożu były naturalne: Rosja sowiecka dopiero co przeżyła straszny głód, od którego umarło nie mniej niż 5 milionów ludzi. Władze sowieckie uratowały pomoc amerykańskiej organizacji filantropijnej ARA. W roku 1923 ekonomiści sowieccy przypominają, że "przed wojną /tj. przed pierwszą wojną światową/ Rosja dostarczała na światowy rynek około 25% światowej produkcji pszenicy, około 20% jęczmienia i ok. 32% owsa" /P r a w d a z 31 marca 1923/. W przedostatnim numerze tygodnika z P r a w d z i e z 4 czerwca 1983 znajdujemy przypisanie /bez cyt./: "Rosja sprzedawała zboże, chociaż jego produkcja na głowę ludności była mniejsza niż w innych krajach". W roku 1923 ekonomiści sowieccy byli przekonani, że w warunkach NIKS-a indywidualna gospodarka rolna pozwoli zbożu osiągnąć "wzrost wyżej niż na światowy rynek". W roku 1983 ekonomiści oświadczyli, że "pod koniec 12-letniej pięcioletki /czyli około 1990 roku/ planowane jest doprowadzenie rocznych zbiorów zboża do 250-295 mln ton". W roku 1982 "zaplanowano" zebranie 238 mln ton, a zebrano 180 mln. Tak że "walka o zboże" na wielki pozostanie ulubionym tematem sowieckich mass mediów.

Sześdziesiąt lat temu Polska podobała się jak dziś spędzała sen z powiek sowieckim przywódców. "We wspólny front przeciwstawia światowej kontrorewolucji na pierwszy plan wysuwa się burżuazyjna Polska. W tym chłozie kontrewolucyjnych szaleń i hien ma ona wszelkie prawo do pierwszeństwa". Z punktu widzenia autora artykułu w P r a w d z i e - burżuazyjna Polska to "polskie państwo i polskoburżuazyncy kapitaliści". To właśnie oni pozwolili sobie zaprezentować przedw wyrokowi śmierci na mohylańskiego arcybiskupa Cieplaka i innych duchownych - "agentów polskiej szlachty". Artykuł w P r a w d z i e /30 marca 1923/, z którego czerpię powyższe cytaty zatytułowany jest "Wyrok na księży katolickich i międzynarodowy kapital" i kończy się następująco: "Żadne kryzysy nie pomogą. Rosja sowiecka nie pozwoliła krajom kapitalistycznym dyktować sobie polityki, kiedy była słaba. Tym bardziej nie ścierpi ingerencji w swoje wewnętrzne sprawy teraz".

Podobnie jak dziś, Związek Sowiecki nikomu nie pozwalał mieszać się do swoich spraw, sam sobie przyznając prawo do mieszania się do cudzych, bowiem wszystkie sprawy uważał za swoje. Następnego dnia /31 marca 1923/ P r a w d a zamieszcza artykuł podpisany "robotnik F. Fiedotow", zatytułowany "Dlaczego nie oddają pod sąd papieża rzymskiego?". Autor artykułu, władający jak wszyscy robotnicy diale-

kyka i doskonale zorientowany w polityce międzynarodowej, domaga się oddania papieża pod sąd, bowiem jako głowa Kościoła katolickiego odpowiedzialny jest za działania duchownych aresztowanych w ZSRR i oszczędzonych przez sprawiedliwy proletariacki sąd. "Robotnik Fiedotow" analizuje wszystkie argumenty mogące przemawiać przeciw sądowi nad papieżem. Można obawiać się "jakichś komplikacji międzynarodowych?" Zbędne obawy: "jak wiadomo, komplikacje międzynarodowe nie zdarzają się z powodu sądu nad księdzem, choćby był nim sam papież". Być może "nie sądzono go i nie sądzi się nadal dlatego, że znajduje się poza granicami Rosji sowieckiej?". Także ten argument wydaje się "robotnikowi Fiedotowowi" absolutnie nieprzekonywający. Po pierwsze jest "niezłomnie przekonany i wie, że nasz wyrok zostanie wykonany, dlatego że prędzej czy później burżuazyjne Włochy niechybnie staną się sowieckie, a wtedy św. papież może się znaleźć w mniej więcej tak samo nieprzejmującym i niewygodnym dlań położeniu jak jego kolega patriarcha Tichon...".

Odpierając wszelkie możliwe zastrzeżenia, autor artykułu dopuszcza nawet najbardziej niewiarygodną możliwość: "Przypuśćmy, choć to jest niemożliwe, przypuśćmy, że rewolucja tam się opóźni i że Włochy jeszcze długo nie będą sowieckie. Albo raczej wyobraźmy sobie, że papież zamyka przedczesne umrąć..." "Robotnik Fiedotow" jest przekonany, że nawet w tym "najlepszym przypadku" papieża trzeba osądzić i skazać na śmierć, bowiem "papież jest w oczach wierzących katolików istotą nietykalną, bezgrzeszną, świętą, niemalże nadprzyrodzoną, i oto nagle tego świętego człowieka stawiają pod sąd jak zwykłego śmiertelnika i skazują...". Sąd nad papieżem "zawisł zatem zastaną tysiącletniego oszustwa i otworzy oczy "śpiących nasłoniętych".

Pytanie nad pytania, przedmiot rozmyślań, spekulacji i badań: jak działa na człowieka totalna propaganda, trwająca nieprzerwanie od 65 lat? Co w niej zawiera, jakie cechy kształci, jakie niszczy? I co będzie dalej? System sowiecki stawia sobie za cel stworzenie człowieka, który go będzie potrzebował i poza nim nie będzie w stanie żyć. Na drodze tej piętrzą się jeszcze trudności. Niektórzy sowieccy badacze przewidują, że trudności ze stworzeniem homo sovieticus zwiększać się będą w miarę rozwoju techniki, w procesie nadchodzącej rewolucji naukowo-technicznej. Miedziwy artykuł w I z w i e s t i a c h /22 maja br./ dostarcza niezwykle interesującego materiału do rozmyślań na ten temat. Artykuł pod tytułem "Zmiana" opisuje niezwykle wyuczony, jakie zaszkodzi na głównej taśmie w fabryce samochodów "Fogiatki". (Główną taśmą zarządza elektroniczny komputer IEL. Nagle wszystko staje - staje komputer, staje taśma, staje fabryka, w której pracuje ponad sto tysięcy ludzi. Dopiero po sześciu godzinach udaje się taśmę znów wprowadzić w ruch.

Jeden z programatorów, Ignatij Murat, specjalnie zrobił błąd w programie. Sam go też usunął i sam się przyznał. Autor artykułu stwierdza, że oto powstała nowa sytuacja: "programatorzy stają się masową awersją szczytowej, niż możemy się do nich przyzwyczaić". Sytuacja jest groźna przede wszystkim dlatego, że pracca programatora jest "indywidualna", a o więcej "niezależnym sprawozdaniu prawdziwości programu przez innego programatora jest albo niemożliwe, albo wymaga nakładu pracy równemu niemal sporządzeniu programu". Zjawia się zatem w ustroju sowieckim nawet indywidualny i nie do skontrolowania. "Na całej linii - pisze ze zgrozą autor - od początku do końca musimy zdać się na samego specjalistę...". Doszło do "niezależności hierarchii", które wyprzedziła rozwój techniki. Charakterystyczne jest, że Murat skasował jedynie dlatego, że sam się przyznał - żadne rzeczowe donosy jego winy nie istniały.

Wnio jak ma być? Co zrobić - pytali wiele lat temu Czernyszewski i Lenin. Autor artykułu przede wszystkim wyraża nadzieję, że "programy wkrótce staną się niezawodne i zostaną opracowane metody ich kontroli". A do tego czasu? Do tego czasu trzeba większą wagę przykładać do wykształcenia u specjalistów "człowiek obcy.

1. Kiedy ogłoszono ten artykuł, patriarcha Tichon siedział w więzieniu.

Adam Kruszek

W SOWIECKIEJ PRASIE

Gdyby nie 269 ofiar, historia niestosunego lotu południowo-koreańskiego samolotu, zestrzelonego przez sowiecki samolot myśliwski mogłaby służyć za wzorzec stosunków między Związkiem Sowieckim a światem nie-sowieckim. Nie jest to oczywiście pierwszy ich przykład, ale główne elementy wzorca - zachowanie Moskwy, stosunek Zachodu do popełnionego przestępstwa - stały się widoczne w ciągu kilku dni, zamiast rozciągnąć się na miesiące lub lata, jak to było w przypadku Egier, Afganistanu czy Polaki.

Postępowanie Związku Sowieckiego, przykłady dezinformacji i metody propagandy widać jak na dłoni na przestrzeni zaledwie kilku dni. P r a w d a z okresu dziesięciu dni może służyć za podręcznik dla szkół, uniwersytetów i ministerstw spraw zagranicznych krajów zachodnich. Pierwszy tekst do zamalowania ukazał się w P r a w d z i e 2 września. Zacytowany jako "Komunikat TASS-a", liczy on zaledwie kilka linijek: "Mocą z W i stępcia na 1 września wtargnął w przestrzeń powietrzną Związku Sowieckiego od strony Oceanu Spokojnego samolot nieokreślonej przynależności... Myśliwiec WFO /obrony przeciwoleciowej/, które wyleciały na spotkanie samolotu-intrusa, starały się pomóc mu w dotarciu na najbliższe lotnisko. Jednak samolot-intruz nie reagował na sygnały i ostrzeżenia sowieckich misyjowców i kontynuował lot w kierunku Morza Japońskiego". Z tekstu wynika, że pojawił się nieznany samolot, który naruszył sowieckie terytorium, starano się na "pomóc" - tam, zamiast do lądowania na sowieckim lotnisku - a on uciekł "w kierunku Morza Japońskiego". Następnego dnia sowieckie gazety opublikowały następny tekst - długie "oświadczenie TASS-a". Pojawiają się w nim dwa nowe fakty: sowieckie samoloty obrony przeciwoleciowej "wtedy ostrzegawczo strzwały rakietami świetlnymi", chcąc zwrócić uwagę "samolotu-intrusa", a lot "intrusa" był prowokacją CIA, mającą na celu "zniekształcenie Związku Sowieckiego, wzbudzenie doń wrogości i rażenie cienia na sowiecką politykę pokojową". Obstawia przy stwierdzeniu, że samolot-intruz "kontynuował lot w kierunku Morza Japońskiego". TASS informuje jednak, że "kierownicze kręgi Związku Sowieckiego wyrażają ubolewanie z powodu ofiar w ludziach".

Pierwsze sowieckie oświadczenia były benedyktynym kłamstwem, zarzucen jednak wykazywały, że ZSRR zajęł pozycję wyspekulującą: Moskwa oczekiła z jednej strony na reakcje zachodniej opinii publicznej i rządów, z drugiej zaś na to, co powiedzą amerykańscy i japońscy specjaliści, śledzący loty i najstraszliwie wszystko, co mówią piloci. Oczekiwanie nie trwało długo. Nigdy jeszcze Zachód nie przyszedł Moskwie w sukurs z takim śpieszaniem. Sowietolodzy Stanów Zjednoczonych, Francji, Anglii i innych krajów zaczęli przede wszystkim jeden przez drugiego dowodzić, że rozkaz zestrzelenia pasażerskiego samolotu wydał wojskowi, pragnący zaszkodzić reputacji słynnego liberała i postępowca Andropowa. Wojskowi - jak twierdzili ekaperci - wytorzycieli fakt, że Andropow zamierzał się na Kaukazie i postanowili zahamować jego "ofensywę pokojową". Byli to z reguły ci sami ekaperci, którzy twierdzili, że właśnie wojskowi poparli Andropowa w walce z "jastrzębiami" w moskiewskim Politburo. Nawet powierzonej znajomości systemu sowieckiego pozwala zrozumieć, że w ZSRR, gdzie nie się nie dzieje bez polecenia z góry, jest nie do pomyślenia, by prowincjonalny generał wydał rozkaz zestrzelenia cywilnego samolotu.

Nie wiadomo jeszcze dokładnie, w jaki sposób została podjęta ta decyzja. Wiadomo za to doskonale, jak się to odbyło w innym, analogicznym przypadku. Nikita Chruszczow opowiada w swych pamiętnikach /"Kruszchaw Remembers. The Last Testament", 1974, 443 str./, jak 1 maja 1960 roku zadzwonił do niego o 5-tej rano minister obrony marszałek Malinowski i oświadczył, że amerykański samolot wywia-

dowcy U-2 wtargnął w sowiecką przestrzeń powietrzną. Chruszczow odparł: musimy go zestrzelić wszelkimi dostępnymi środkami. Nie ulega wątpliwości, że nocą 31 sierpnia na 1 września 1963 odbyła się podobna rozmowa i wydano rozkaz, aby przerwać lot. Że decyzja zestrzelenia pasażerskiego samolotu miała charakter polityczny, dowodzą kolejne oficjalne oświadczenia władz sowieckich.

Już 4 września TASS opublikował oświadczenie pod wojowniczym tytułem "Provokatorzy zachęcają ślad". Następnego dnia generał-pułkownik Romanow, szef Sztabu Głównego wojsk obrony przeciwlotniczej, ogłosił w Prawdzie artykuł pt. "Polityczna prowokacja z dalekosiężnym celem". Okres wycokiwania się skończył socjetycki dezinformatorzy dowiedzieli się, co wiedzą Amerykanie i Japończycy i przekonali się, że ani jedni ani drudzy nie ujawnią wszystkiego, co wiedzą, żółć nie wchodził w parady dyplomatów. Co więcej, między 2 a 5 września w zachodniej prasie pojawiły się artykuły, których celem była "bratnia pomoc" dla Kromia, znajdującego się w "bratnim położeniu". Kiedy szefowa CIA, która w Związku Sowieckim straszą nawet oszki, podchwyciła Kromia, że sowiecy lotnicy, domnie sokoły stalinowskie, na pewno pomylili pasażerski samolot z amerykańskim samolotem wywiadowczym, dezinformatorzy radośnie podchwycili ten podarunek. Z początku, owszem, były pewne różnice. 4 września TASS oświadczył, że "południowo-koreański samolot... wygląda na radarach... jak amerykański bombowiec B47". 5 września generał-pułkownik Romanow twierdził, że "zarys południowokoreańskiego samolotu bardzo przypomina amerykański samolot wywiadowczy RC-136". Nie miało to oczywiście żadnego znaczenia. Najważniejsze, że cywilny samolot mógł cokolwiek przypominać. Światło znary Zachodowi a światło ślino nłączony agent KGB Wiktor Louis został znów powołany do służby i w wywiadzie dla francuskiej gazety Journal de la Démocratie poprosił o wyrozumiałość dla "nieodległego rosyjskiego lotnika, który nie odróżnia Amerykanów od południowych Koreańczyków" i wali w każdego, kto pojawi się na niebie jego ojczyzny.

Spektakl ten odgrywano przez kilka dni. Tytuły w Prawdzie i doskonale ilustrują jego treść: "Provokatorzy zachęcają ślad", "Wykrety amerykańskich polityków", "Polityczna dywersja przeciw pokojowi", "Ciel brudnej kampanii" itp. itp.

Sowieccy czytelnicy zaczęli się zastanawiać, kto do kogo strzelił. Wypróbowana metoda sowieckiej dezinformacji, okazując tak doskonałe wyniki w ostatnich latach, znów dowiodła swą skuteczność. Jeszcze raz sytuację odwrócić do góry nogami, przedstawiając Latów jako ofiary. Należał do nich jest już przekonany, że to Amerykanie toczą "nie wypowiedzianą wojnę" w Afganistanie, że CIA starała się zabić papieża, że syjonisci to hitlerowcy. Teraz przekonano ich w piorunującym tempie, że to Amerykanie są winni śmierci pasażerów południowokoreańskiego samolotu. W sowieckich gazetach zaczęły się pojawiać listy - "Opinie człowieka sowieckiego", wburzonego amerykańskim barbarzyństwem. "Z gniewem potępiany", oświadczenia kołchoźnicy i akademicy, robotnicy i inżynierowie.

6 września Prawda zaprzeczła jeszcze, jakoby sowiecki myśliciel zestrzelił koreański samolot: "Przez przecięcie... zapewnił artykuł pt. "Co się kryje za incydentem" - sowieckie oddziały PVO przeoczyły maksymalną cierpliwość. Gdyby ich celem było zniszczenie samolotu, jak twierdzi przedstawiciel USA w Radzie Bezpieczeństwa, można to było zrobić nie raz i to bez pudła...". Jednak wiadomo, że 6 września TASS oświadczył, że piloci sowieccy zestrzeliли południowokoreański samolot za uprawianie szpiegostwa. Od tej chwili propaganda sowiecka zaczęła przemawiać crescendo. Także cele stały się oczywiste nawet dla tych, którzy zamykali na wszystko oczy. Także odpowiedzialność politycznej za decyzję o zestrzeleniu pasażerskiego samolotu stała się bezsporna.

Przyjeżdżający do Madrytu, Gromyko żarliwie bronił konieczności zniszczenia "szpiega", w Moskwie wystąpili na konferencji prasowej szef Sztabu Generalnego marszałek Ogarkow, wiceminister spraw zagranicznych i szef wydziału informacji

międzynarodowej, koordynujący całą działalność dezinformacyjną wszystkich sowieckich organów. 10 września telewizja sowiecka pokazała pilota, który zestrzelił koreański samolot. W rzedkim porwywie wielkodusności /czyli za duże pieniądze/ sprzedała wywiad z nim telewizjom zachodnim.

W obu obrazach zawiera się esencja całej dziesięciodniowej kampanii. Pierwszy: Andriej Gronyko udziela w Madrycie wywiadu angielskiemu dziennikarzowi. Czy myśli Pan - pyta dziennikarz ministra spraw zagranicznych ZSRR - że świat zapomni o zestrzeleniu pasażerskiego samolotu? - To nie ulega wątpliwości! - odpowiada Gronyko. Obraz drugi: sowiecki letnik, już nie młodziak - jak chciał nazwać wódw Wiktor Louis - ale czterdziestoletni mężczyzna wyglądający znacznie starszej, spokojnie wyjaśnia, że wojna jest jego życiem, jego zawodem; dostał rozkaz, więc go wykonał. Buz wahań - stał przecież w obliczu wroga!

Gronyko, który wygląda jak "towarzysz Strangelove" z filmu Kubricka i letnik, podobny jak dwie krople wody do oszałamłego sierżanta, który zawiądnął w tyfusie filmie bomba atomową powinni Zachód przetrząsnąć. Sowieccy stratedzy nie mogli przewidzieć, że pokudniowokoreański samolot zboczy z trasy i zabłądzi nad Morze Ja-
pońskie. Potrzebna im natomiast była okazja do pokazania, że Związek Sowiecki niezwykle poważnie traktuje zasadę "nienaruszalności" swoich granic. Gronyko bezustannie powtarzał: sowieckie granice są święte. Nieprzypadkowo pierwszą ustawą przyjętą po wyborze Andropowa na generalnego sekretarza była ustawa o umocnieniu granic sowieckich. Jednak ze "świętymi" granicami sowieckimi wiąże się głównie zamknięcie sowieckiej polityki zagranicznej drugiej połowy 1983 roku, kwestia zainstalowania amerykańskich rakiet Pershing-2 w Europie.

Zestrzeleny pasażerski samolot miał być pokazem siły Moskwy. Można już zaś wyciągnąć wnioski. Dziennikarze zachodni powtarzali w pierwszych dniach: to pomyłka, albo - to gorzej niż pomyłka - to przestępstwo. Ale "przestępstwo" jest oceną moralną. Z politycznego punktu widzenia zamordowanie 269 pasażerów pokudniowokoreańskiego samolotu okazuje się posunięciem niezwykle przydatnym.

Nie bacząc na gromkie słowa, prezydent Reagan nie tylko nie wstrzymał wejścia w życie podpisanej dopiero co wieloletniej umowy o dostawie zboża do ZSRR /moskiewscy kupy sprytnie włączyli do umowy punkt, zabraniający stosowania sankcji/, nie tylko aniżeli embargo na dostawę maszyn do instalacji wrociągow, ale posłał sekretarza Stanu Shultza do Madrytu na podpisanie kolejnego aktu, zamykającego kolejną /trwającą trzy lata/ konferencję, której jedynym rezultatem jest decyzja o zwolnieniu następnej konferencji. Tego samego dnia, w którym w Internacjonal Herald Tribune ukazał się wywiad z sowieckim pilotem /12 września 1983/, odpowiedzialnym za zestrzelenie pasażerskiego samolotu, ten sam dziennik poinformował, że Reagan udzielił amerykańskiemu przedstawicielowi na portraktacjach genewskich instrukcji, aby "poszedł na dalsze ustępstwo" wobec Moskwy. Sankcje, jak wyraził się pewien francuski dziennikarz, spowodowały się do tego, że chwilowo odłożono występy cyrku sowieckiego na Zachodzie.

Wszystko się powtórzyło - w przyspieszonym tempie: kolejne sowieckie przestępstwo, kolejne ustępstwo Zachodu. Wszyscy wprawdzie potępiali sowiecką napaść na pasażerski samolot, niktós do Związku Sowieckiego jeszcze bardziej ochłodką, jeśli to możliwe, ale dla Związku Sowieckiego ważne jest nie to, żeby go kochano, tylko, żeby się go bało. Nic ulega wątpliwości, że zdecydowanie tych, którzy wydali rozkaz zestrzelenia samolotu zrobiło wrażenie, pokazano, że Moskwa krwi się nie boi.

Zestrzeleny samolot dostarczył europejskim pacyfistom nowych argumentów - potwierdził ich tezę o konieczności ustępstw wobec Moskwy, skoro opór może doprowadzić do zguby. Rządowi zachodnim pokazał, a w każdym razie miał pokazać, że nowy generalny sekretarza nie lubi żartów. Poprzednicy Andropowa mieli wiele spo-

sobów zademonstrowania swej "pcwagi". Andropow skorzystał z pierwszej okazji, aby dowieść swojej. Tym bardziej, że decyzja o zestrzeleniu pasażerskiego samolotu doskonale się wkomponowuje w program działania nowego /10 miesięcy w władzy/ generalnego sekretarza.

Przedo wszystkim generalny sekretarz w przypięsaczonym tempie /wiek dyktuje swoje prawa/ zmienia się w genialnego sekretarza. Na uroczystym posiedzeniu na Kremlu z okazji 80-lecia II zjazdu rosyjskiej partii socjaldemokratycznej, na którym pragnięz Leninowską ideę "partii nowego typu", mówca, wykładając historię partii, wymienił za okres 80 lat dwóch jej przywódców: Lenina i Andropowa. Nie ma dziś artykułu, w którym nie wspomniano by - po kilku razy - "wslawówek J. V. Andropowa". Coaż częściej widać też portrety Przywódcy: zawsze w tej samej pozycie, zawsze w tym samym miejscu - za biurkiem w gabinecie. Wskazówki Andropowa są niezmiennie te same. Głównym ich celem jest wzięcie w garść ożdowiek ewideckiego, który się nieco rozbisurmanił. Główne instrumenty to KGB i propaganda. Podczas gdy w dziedzinie gospodarki, w której - jak przyznaje sam Andropow - istnieją pewne niedociągnięcia, jedynym środkiem pozostałe ubawiają KC KPZR i Rady Ministrów ZSRR /P r a w d e z 28 sierpnia/ "D środków wzrępszczenia poziomu naukowo-technicznego w rolnictwie", w dziedzinie "kwalifikowania człowieka sowieckiego" podjęto rzeczywiste konkretne kroki: ustasę o kolaktywach pracy uzupełniono specjalną uchwałę "D intensyfikacji działań w dziedzinie zwiekowania socjalistycznej dyscypliny pracy"; otwarto ponownie rejonowe komitety bezpieczeństwa państwowego - w ostatnich latach działający tylko okręgowo i republikańskie /nie licząc centralnego/. Andropow postanowił zbliżyć bezpieczeństwo do mas. Nowością zdaje się stworzenie w rejonowych komitetach partyjnych specjalnych wydziałów kontrpropagandy. Jest to szybka i udana realizacja postanowień ozerowego plenum KC, na którym J. Andropow wskazał, że "potrzebny nam jest przemysłowy, jednolity system kontrpropagandy - dynamiczny i skuteczny".

Można być pewnym, że od rozkazu KC KPZR i Rady Ministrów "postępy naukowo-techniczny" się nie przyspieszy, tym bardziej, że zasnęła "wzrępszczenia" apodło przede wszystkim na "organy partii". Za to kontrpropaganda stała się w ostatnich miesiącach znacznie bardziej krzykliwa i natrętna. Jej dewizą jest: "Dwa światy - dwa sponoby życia"; między "dwoma światami" toczy się bezlitozna walka. Pytanie: kto kogó?

Przyjęto się wyśniewanie z sowieckiej propagandy, z jej prostactwa i kłamstwa. Agencja TASS pozwala sobie uzupełniać oficjalnie pisać: "Amerykańska piechota morska współ z izraelskim agresorem dokonuje masowych mordów w Libanie" /P r a w d a z 4 września/. Nie należy jednak odmawiać sowieckiej propagandzie skuteczności. Wypowiedź pilota, który zestrzelił pasażerski samolot była tego przekonywującym przykładem. Mientódy już człowiek, być może dobry ojciec rodziny spokojnie opowiada, jak zabił 269 kobiet, dzieci i mężczyzn. Tyle tylko, że dla niego zabici nie byli dziećmi, kobietami i mężczyznami, tylko - wrogami. Tego go od dziecka uczyła sowiecka propaganda i kontrpropaganda.

Cażkiem niedawno ukazała się pierwsza biografia Jurija Andropowa. W opętanym wysięgu socjologów wszystkich wyprzedził Zores Miedwiediew, sowiecki biolog, żyjący na emigracji w Londynie. Biografia jego pióra, która po angielsku nosi tytuł "Andropow", a po francusku "Andropow u władzy", nie przynosi nowych informacji o życiu nowego generalnego sekretarza ani o jego poglądach. Jest to apologia byłego szefa KGB, który zastępowania - jako najbardziej i najrozumiejszy z pretendentów - zajął stanowisko Nr I w Związku sowieckim. Zores Miedwiediew znajduje wprawdzie pewne niedociągnięcia w ustroju sowieckim, ale jest przekonany, że z nadejściem Andropowa wszystko się zmieni. "Pozycja Andropowa w Biurze Politycznym - stwierdza jego biograf - jest już wystarczająco silna, aby pokazać narodowi sowieckiemu i światu, że zmieni się nie tylko styl, ale i istota wewnętrznej i zagranicznej polityki Związku sowieckiego" /wyd. francuskie, str. 132/. Szczególny zachwyt budzi w Miedwiediewie "nowa polityka zagraniczna" Andropowa:

"Polityka, którą natychmiast nazwano 'pokojową ofensywą Andropowa', prześcignęła nawet moje przewidywania / w różnych artykułach w prasie anglo-amerykańskiej - A.S.K. / co do szybkich i energicznych kroków zmierzających do odprężenia wojennej sytuacji w Europie" / str. 207 /.

Biograf Andropowa, "bardzo popularnego, najinteligentniejszego i najbardziej praworządniego przywódcy KGB w dziejach tej instytucji" / str. 76 / dochodzi do wniosku, że "Stany Zjednoczone bezwarunkowo przegrają propagandową wojnę z ZSRR" / str. 223 / . I tu Boris Miedwiediew bezwarunkowo ma rację. W szczególności dlatego, że sowiecka propaganda ma takich bezinteresownych pomocników jak on.

Skuteczność sowieckiej propagandy wewnątrz Związku Sowieckiego opiera się na tym, że faktycznie nie napotyka ona oporu i działa bezustannie od dziesięcioleci. Skuteczność propagandy sowieckiej poza blokiem bezustannie od dziesięcioleci na pomocy, jaką okazują jej przede wszystkim ci, którzy - wydawałoby się - powinni jej przeciwdziałać. Wyciągając wnioski z czynności i bezczynności Zachodu w związku ze zniszczeniem początkowo koreańskiego samolotu, angielski historyk Robert Conquest - jeden z garstki zachodnich specjalistów rozumiejących system sowiecki - uważa, że jedna z przyczyn sukcesów sowieckiej propagandy i polityki tkwi w "istnieniu w USA / we Francji i Wielkiej Brytanii jest to pogląd rządczej rzeszy / potężnej kasty uczonych, o których można powiedzieć, że niezależnie od całej swej wiedzy niczego nie rozumieją - są to uczeni "politology", którzy rozpatrują Zachód i blok sowiecki jako identyczne figury szachowe w abstrakcyjnej międzynarodowej grze; wszyscy oni wiedzą, jaka jest struktura ustroju sowieckiego, ale zupełnie nie interesują się motywami postępowania sowieckiego kierownictwa... Prezydent Carter powiedział po inwazji na Afganistan, że zmienił zdanie o kierownictwie sowieckim. Dlaczego jednak miał o nich błędne zdanie? Dlatego, że wprowadzali go w błąd żywcem doradcy - począwszy od Averella Harrimana do Herskaha Schalmanna, którzy mimo jego porażki nadal uchodzą za szacownych ekspertów w oczach ludzi smakujących pociechy w tym, że wilk od czasu do czasu przywdziewa czasą skórę..." / International Herald Tribune z 19 września 1983 /.

W nocy z 31 sierpnia na 1 września wilk pokazał swą prawdziwą naturę: zabił 269 osób. Między dwa tygodnie i znowu budzą się nadzieje, że wilk się pozyla, że w rzeczywistości żywi się trawką.

13 września 1983

"Kultura", październik 1983

Adam Kruczek

Polemiki

Łódź

LIST Z KRAJU

Druga wizyta Papieża Jana Pawła II w Polsce była długo - na oczach całej światowej opinii publicznej - przedmiotem przetargów między rządem PRL a Stolicą Apostolską. Przesunięto najpierw jej termin niemal o rok; następnie władze komunistyczne w Polsce ostentacyjnie odrzuciły postulaty strony watykańskiej, m.in. sugestię zaprzestania uprzednio w Polsce stanu wojennego i udzielenia amnestii wszystkim skazanym z powodów politycznych oraz zwolnienia wszystkich internowanych i uwięzionych. *M a s s m e d i a* PRL podkreślały wielokrotnie, że Papież może przybyć ponownie do Polski tylko na warunkach ustalonych przez władze. Ograniczono w końcu obóz wizyty, rezygnując m.in. z Gdańska i Lublina. Jan Paweł II spędził w Warszawie zaakceptował.

W kwestii celowości i sensu moralno-politycznego drugiej pielgrzymki Papieża do Polski opinia publiczna była zdecydowanie podzielona - i to w niespotykany dawniej w naszym kraju sposób, mniej więcej 50:50, przy czym w środowiskach intelektualnych i opiniotwórczych przeważali /przynajmniej w Warszawie/ przeciwnicy wizyty Papieża w tym właśnie momencie i na takich warunkach, w stosunku mniej więcej 60:40, natomiast wśród ogółu społeczeństwa stosunek do nowej pielgrzymki układał się odwrotnie. Przeciwnicy przyjazdu Papieża do Polski w czerwcu 1983 wysunęli następujące argumenty:

1/ bez względu na intencje Ojca Świętego i Jego wystąpienia na terenie Kraju wizyta przed zaprzestaniem stanu wojennego i uwolnieniem wszystkich uwięzionych będzie *de facto* uznaniem zamachu 13 grudnia za nie budzący żadnych wątpliwości z punktu widzenia nauki społecznej Kościoła;

2/ społeczeństwo polskie spodziewające się po wizycie Papieża radykalnych zmian w swoim położeniu i ogólnej sytuacji Kraju dozna bolesnego wstrząsu, gdy okaże się /oczywiście/, że żadne istotne zmiany nie nastąpiły;

3/ zamiast politycznej i ideowej integracji nastąpi wskutek tego zawodu zasadozniozy i trważy podział opinii krajowej, który da rządowi generała Jaruzelskiego szansę skortoczniającego traktowania wszystkich dążeń emancypacyjnych i odrodzeniowych.

Rząd PRL był w wizycie papieskiej ogromnie zainteresowany, chociaż obowiązek najwyraźniej niepożądanym skutków społecznych. Trzeba pamiętać, że po 13 grudnia 1981 wizyta Papieża w PRL była pierwszą wizytą głębszą i osobistoci politycznej liczącej się w całym świecie. Wyprowadzała więc PRL z politycznej izolacji i dawała szansę ubiegania się o restytucję pozycji międzynarodowej sprzed 1980 roku, tak czy owak bez porównania dla Warszawy korzystniejszą.

W czasie swojego pobytu w Polsce /od czwartku 16 do czwartku 23 czerwca/ Ojciec Święty okazał w mediach publicznych wystąpieniach wobec tłumów Polaków ogromne oparcenie i powściągliwość w nawiązywaniu - choćby aluzyjnym - do spraw politycznych. Opinia publiczna dopatrywała się w rozmarzeniu do wszystkich prawie wystąpieniach Papieża - od mszy na stadionie w Warszawie do mszy na krakowskich Błoniach - sensu znacznie głębszego i treści znacznie dalej idącej, jeżeli chodzi o interes narodowy Polski, niż w rzeczywistości miało miejsce. W każdym razie Ojciec Święty stopniowo powiększał siłę swoich aluzji, osiągając ich kulminację zapewne na Górze św. Anny i w Katowicach. Liczące wiele setek tysięcy osób tłumy zgromadzonych w czasie papieskich mszy budziły niewątpliwie niepokój władz. Tym bardziej, że cała Polska czekała na końcowe przemówienia Ojca Świętego na lotnisku w Balicach pod Krakowem, gdy po zakończeniu wizyty i rezygnując już na cały dzień 23 czerwca z tytułu oficjalnego gościa nie tylko Kościoła polskiego, ale i władz PRL, Papież mógłby poddać zasadniczej ocenie nieprawości systemu "stanu wojennego" w Polsce.

W tej sytuacji w środę 21 czerwca, w godzinach wieczornych, nastąpiło wydarzenie niezwykłe. W głównym studio Telewizji Polskiej o 19.30 podano wiadomość o spotkaniu na Wawelu w Krakowie - "na życzenie strony kościelnej", co zresztą okazało się w dwa dni później nieprawdą - generała Wojciecha Jaruzelskiego z Papieżem Janem Pawłem II. Spotkanie miało trwać "ponad godzinę", co zresztą wydaje się z kolei prawdą /przedstawione w TVP fragmenty przyjeźdu i posittania Papieża na Wawelu rejestrowane były jeszcze w pełnym świetle dziennym, a więc przed godz. 19.00, sceny odjazdu z Wawelu w czasie nocy, a więc na pewno po godz. 21.00/. W trzecim, najpóźniejszym wydaniu dziennika telewizyjnego spikerka odczytała komunikat wnieję wiecej tej treści: "Szczegółowe sprawozdanie ze spotkania oraz podjęte tam ustalenia poda jutrzejsza prasa". Cały program TVP wieczorem 22 czerwca przebiegał w atmosferze dziwnego niepokoju i zdenerwowania.

Naturalnie ani "jutrzejsza" - tj. z 23 czerwca, ani późniejsza prasa nie podała /do dnia dzisiejszego/ zapowiadzanego komunikatu. Spotkanie na Wawelu przesłane tym samym do historii tajnej dyplomacji. Najbardziej zainteresowani tą sprawą, to jest obywatele państwa polskiego, nie uzyskali żadnej informacji na temat bądź co bądź niebądź: co o ich losie i przyszłości mówili w czasie ponad godzinnego spotkania na Wawelu sam "junty" wojskowej gen. Jaruzelski i Papież Jan Paweł II. Telewidzowie mogli tylko obserwować w scenie połączenia na Wawelu pogodną, spokojną twarz Ojca Świętego i również pogodną, ale w wyjątkowym natężeniu nadaną twarz gen. Jaruzelskiego. Naruszać się wniosok, że obaj dostojnicy doszli do pełnej ugody w jakichś bardzo ważnych, zasadniczych sprawach.

Międzmi Polaków - burzom działało się to późną nocą - zauważyła dziwny program nadany przez TVP w jej programie II, od godziny 23.30 dnia 22 czerwca do godziny 1.30 dnia 23 czerwca. Była to uryczysta, pełna zetransmisja mszy odprawionej przez Ojca Świętego na krakowskich Błoniach, najwyraźniej szentowne z tych fragmentów taśmy magnetycznej, która kilkanaście godzin wcześniej została odczytana. Zasadną TVP była, jak wiadomo, prezentacja ogólnego widoku młodsza mszy tylko w bardzo ograniczonym zakresie, tak aby było władz przede wszystkim postać Papieża, a je-

dy nie w sekundowych fragmentach wielesettysięczne tłumy. Tym razem było odwrotnie. Prawie połowę czasu retransmisji zajęły widoki ogarnianych, aż pod horyzont ciągnących tłumów wiernych.

Następnego dnia o godzinie 16.20 rozpoczęła się bezpośrednia transmisja uroczystości pożegnania Papieża Jana Pawła II na podkrakowskim lotnisku w Balicach. Helikopter papieski przybył jako ostatni z trzech. Wsiadłszy na beton lotniska, Papież rozmawiał ponad dwadzieścia minut z Henrykiem Jabłońskim oraz kardynałami Macharskim i Glempem. Wyselekcjonowana składnia publiczność zaczęła się niecierpliwić. W końcu rozpoczęły się ceremonie pożegnalne. Pó coś gładkim ale akcentującym w sposób zasadniczo racje polityczne PRL przemówieniu Henryka Jabłońskiego, dość długo, jak zwykle nieudacznie, rozwozwał się Prymas Józef Glemp. W końcu za brnął głos Ojciec Święty.

Dla wszystkich, którzy przywykli do doskonałej stylistyki i świetnej ekspresji przemówień Papieża, mowa ta była zaskoczeniem. Papież tym razem po prostu obracał się wokół spraw nijskich, posługiwał się sformułowaniami nie nie mówiący. Pod koniec przemówienia użył jednak sformułowania bardzo wiele znaczącego.

Jest rzeczą naturalną, że Papież powiedział na wstępie, iż dziękuje "Panu Przewodniczącemu za słowa wypowiedziane przed chwilą w imieniu własnym oraz najwyższych władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej". Przez wymienienie na wstępie owych "najwyższych władz" ofiara na ołtarzu bieżącej polityki została zniesiona. Wszakże dalsze skomentowanie uznania PRL mieliby już ogromne znaczenie moralno-polityczne - znaczenie otwartego poparcia nie tylko "junty" Jaruzelskiego, ale w ogóle całego projektantskiego systemu egzystencji Polski.

Miejsoty... Kończąc mowę na lotnisku w Balicach Jan Paweł II życzył władzom państwowym, aby "zabezpieczyły zasłużone miejsce państwa polskiego e go, Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej /podkreślenie moje - L.J./ pośród narodów Europy i świata" /Tribuna Ludu z 24 czerwca 1983, str. 2 - zgodnie całkowicie z tekstem wygłoszonym w czasie bezpośredniej transmisji TVP/.

Zapewne wystarczyłoby określenie "zasłużone miejsce państwa polskiego pośród narodów Europy i świata". Zaczęć określenie "państwa polskiego" bezpośrednio ze stwierdzeniem: "Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej", Jan Paweł II oświadczył oficjalnie, że w jego pojęciu państwem polskim jest i może być tylko PRL.

To wystąpienie Papieża wywołało oburzenie znacznej części niezależnej opinii polskiej. Ale w tej sytuacji trudno się dziwić szczęściu i radośnemu upojeniu władz stam wojennego PRL.

Tym bardziej, że nastąpiły później z poczu drobne, ale bardzo irytujące i gorszące wydarzenia. Papież błęknął się z przedstawicielami władz, Kościoła i społeczeństwa. Miał pod kółkiem trzymać go Henryk Jabłoński, a wdzierająca się na nimi w tłum kamera telewizyjna przekazywała nie tylko wizję, ale i - bardzo wyraźnie - fonię. Spodziewaliśmy się, iż Ojciec Święty zachowa się w stosunku do Henryka Jabłońskiego, przedstawiciela władzy panującej w Polsce, która swoją inwazyjną ręką z rąk Józefa Stalina, w sposób protokolarnie bardzo poprawny, ale zdecydowanie chłodny, wprost lodowaty. Tymczasem nastąpił przed kamerami swoista - trzeba użyć tego słowa - fraternizacja, serdeczne uściski, życzenia zdrowia i młodoci... Jakby Ojciec Święty błęknął się na lotnisku w Balicach z przedstawicielem nie totalitarnej i w stanie wojennym pozostającej PRL, ale z głową państwa arcykatolickiego i najbardziej demokratycznego w świecie.

Jan Paweł II objeżdżał PRL-owskie m a s s m e d i a przeżyły chwilę upojenia, sugerując, że Papiet potępił zdecydowanie politykę Ronalda Reagana. W dzień po wyjeździe Papięta z PRL ogłosił haniebny "protest" przeciwko przemówieniu prezydenta USA do Kongresu Polonii Amerykańskiej, oczywiście nie ujawniając spowiednika polskiemu tekstu tego wystąpienia. Jest zabawne i pomure zarazem, iż rząd Jaruzelskiego zdobycie się na takie wykryki, wyciągając jednocześnie w stronę USA zabrawną rękę i libasę na pomoc Papięta w skłonieniu prezydenta USA do zniesienia sankcji wymierzonych przeciwko stanowi wojennemu w PRL.

Zapewne stan wojenny w Polsce zostanie szybko zniesiony... wszystkie postanowienia dekretu o stanie wojennym z dnia 12 grudnia 1981 zostały już wprowadzone do "normalnego" ustawodawstwa PRL i Kodeksu Postępowania Karnego, więc stan wojenny nie jest już faktycznie potrzebny. Zapewne... spodziewa się polska opinia publiczna... święto PRL w dniu 22 lipca uczczono zostanie amnestią, choćby częstokrotą i bardzo obszerowaną zastrzeżeniami. A poza tym... wszystko będzie jak do tychczas.

Warszawa, 11 lipca 1983

"Kultura", wrzesień 1983

Łódź

Konstanty A. Joleński

DO ARTHURA SANDAUERA - BEZ TARYFY WŁOCOWEJ

Jeśli stył to człowiek, Artur Sandauer stał się innym człowiekiem, co mnie skądinąd podoba, gdyż pragnęło by było mi widzieć w okopach Świętej Trójcy generała Jaruzelskiego dawnego bystrogo poplecznika Gombrowicza i Schulza. Czytałem jego artykuł pt. "I nie wódz mss..." / P o l i t y k a z 3 września 1983/ przeciwrając czyj. Ani śladu dawnego warty, sofiżmy naciągane, orientacje w kulturalnych stosunkach zachodnich zastąpił parafialny egocentryzm, a całość jest rozlask, zagmatwana, na niby i nie-do, przypomina metamorfozy psów w masażerii Gonzała z "Trans-Atlantyku" - nie-do wyśrek raz po raz przemienia się w niby-nopsa czy psucno-charta. Nie sposób na ten tekst odpowiedzieć bez uprzedniego straszczania, co oczywiście niniejszym, ostrzegając się: jest to niepek kolejnych cytatów, oczyszczony z dygresji wywód samego Sandauera, do którego nie dochodem ani jednego własnego słowa:

"Wielki zachodniemu towarzyszy w Polsce drugi - emigracyjny. Na rzecz jego działa wspomnienie wielkiej Emigracji, jej roli w życiu narodu. Wistająca Polska widać na dobitkę od Zachodu funkcjonujący nianajlepiej ustroj oraz zintegrowana waluta. Stąd pęd na Sakry.

Stąd również - zwołany gdzieś indziej - pomysł, by pod ten wykorzystać, przesunąć centra kulturalne na Zachód, te zaś, które działają w kraju albo sprządać do podziemia, albo podporządkować, albo - jeśli się sprzeciwiają - spensylizować. Realizacja pomysłu zajmuje się nie od dziś instytucja, mianem Kongresem Walki o Wolność Kultury. Wspomina ona się - cię onocypim i wydawnictw, ma za ten możliwość zapewnienia piśmarnom światowego rozgłosu. Instytucja ta popiera każdego, kto skłony do uszku. Wciąż pisarzy na pokuszenie miazem światowego rozgłosu, chce zastąpić Polskę w pustynię kulturalną. Na pokony jej bysztem wystawia - ry i ja. Oto garę przykładów.

KUSZENIE PIERWSZE

Do Paryża przybyłem latem 1948. Po odrzuceniu przez blok socjalistyczny planu Marshalla rozgorzała zimna wojna. Wydawnictwa poszukiwały dezertersów zza żelaznej kurtyny. Akurat wtedy poznałem młodego pisarza włoskiego Curzio Malaparte. Skontaktował mnie z wydawnictwem "Table Ronde", które zawarło ze mną umowę na - jeszcze nieznapisaną - książkę pod tymczasowym tytułem "Byłem żołnierzem Czerwonej Armii". Podpisana umowa stała się dla mnie przyczyną wielomiesięcznej rozterek: z jednej strony pokusa światowego rozgłosu, z drugiej - zaloska wydawnictwa należąca do Żydów, zadzwonił do mnie i zaproponował objęcie faktycznej redakcji "O d r o d z e n i e". Tym samym z niezbyt mi udłej kody miałem przenieść się do Warszawy. Wszystkie wahania rozstrzygnęło za mnie - jak zwykle bywa - samo życie. Z wydawnictwem "Table Ronde" rozstałem się niekonfliktowo: oświadczyłem, że zamierzam napisać nie jestem w stanie, zaloskę zwróciłem. Dobrze rozstałem się i z Malapartem, który w swej książce "Dziennik pisarza w Paryżu" wspomina o mnie jak najżyczliwiej.

KUSZENIE WDRÓŻ

Mineło 10 lat, w ciągu których zdążyłem i objąć redakcję "O d r o d z e n i e" i jej się wrzucił w roku 1950, i dostać się na "Głębokie historie" i wypłynąć na jej szerokie wody, aby zanalizować się w Paryżu w roku 1958 być przyjętym z otwartymi ramionami przez polską emigrację. Wielkim powołaniem napisałem /i nie tylko mnie/ - pisał mi Gombrowicz w liście z 7 września 1956 - pańska postawa w ostatnich latach... Sandauer jest znova najlepszym polskim krytykiem - to z kolei Konstanty Jeleński w "P a r t i s a n R e v i e w" /wiosna 1957/.

Najlepszego krytyka zaproszono na wykład o mianowanym okresie w Collège Philosophique, w którym - oświadczył Czesław Miłosz - utworzył tam jak żywa atmosferę stalinowskiego Związku Literatów. Byłem, słowem, kimś na kogo stawiano, pierwszym też pisarzem krajowym, publikującym w paryskiej "K u l t u r z e".

Bardziej jednak niż - przeszłości w końcu - kontakty z Giedroycem miałem zawładnąć na moim życiu znajomości, ba! zażyłość z Konstantym Jeleńskim, człowiekiem dużej ogłady i kultury, z którym, jeśli o Gombrowicza chodzi, zawarłem sojusz. Nie było to z jego strony bezinteresowne: szkło o pisarza bądź co bądź emigracyjnego. Niemniej nasze punkty widzenia - polityczny i artystyczny - były ściśle zbieżne. Skorzystałem też z ofiarowanego mi rocznego stypendium, aby - przybywszy do Paryża - ogłosić studium o "Ferdynandzie". Już jednak wieściem całkowitej zgodności z Jeleńskim miała ulot znaczenia. Obo Gombrowicz przesłał mi nasze ręce maszynopisu świeżo skończonej "Pornografii". Oceny nasze się różniły: Jeleński był zachwycony, ja - miłej. szam dalem wyraz w liście do autora. Była to pierwsza negatywna ocena jego dzieła, jakiej się dopuściłem. Obstał przy swym zdaniu o "Pornografii". I nie tylko o niej; uważam, że i dalsze utwory Gombrowicza - "Wosmos", "Opareska" - pozostają daleko w tyle za trudnością wcześniejszą. Śmiało i tu zaczęła się zarysowywać rozbieżność między mną a Jeleńskim, który widział w nich będąc czy nie najlepsze utwory Gombrowicza. Sama polityczny tych ocen łatwo dostrzec: poddany hurtałli Kongresu, byłby Gombrowicz najlepszym pisarzem niż był nim w okresie całkowitej swobody.

x Bsz przesady i bynajmniej nie pierwszyna. /Red./

KUSZENIE TRZECIE

11 grudnia 1981 znalazłem się w północno-włoskim miasteczku, Gorizii. Istnieje tam Instytut Kultury Śródziemnomorskiej, który zaprasza mnie rekreacyjnie na kongresy - jedyne, nawiasem powiedziawszy, skrawek Zachodu, gdzie fana o mnie - jako o jego wrogu - jeszcze nie dotarła.

Od dawna przestawałem być "najlepszym krytykiem polskim", jakim ogłosił mnie kiedyś Jeleński: miejsce zajęli inni. Stałem się czarną owcą środowiska, które w znakomitej większości przeżywało w ciągu tych lat przekonywanie duchowe. Struktura, jaką nadano w okresie tuż powojennym życiu artystycznemu, od 1956 roku zaczęła działać przeciw ideologii, w imię której ją nadano; nacemat krajowy ukuł oręż, który obrócił się przeciw niemu. Kongresowi przy pomocy związków artystycznych łatwiej być upolitować życie artystyczne - w przeciwnym kierunku.

Otóż 14 grudnia znalazłem się w Gorizii. Właśnie wchodziłem na salę, gdy ktoś mi wskazał *M e s s a g e r o V e n e t o*. Odbiorcy literary zwinstowali "stan wojenny w Polsce", "wyjście spod prawa Solidarności" oraz "objęcie władzy przez juntę wojskową". Biedni dziennikarze włoscy nie znali innych kategorii niż chilijskie. W swym hoteliku goriziańskim, noszony na rękach przez gościnnych Włochów, obtelefonowywany przez przyjaciół, którzy zapraszali do Paryża, to - jeszcze gdzieś indziej, tłumaczonym Rilkego: inspirowała bliskość Daino, gdzie piasek niegdyś swoje cienie. Któż broni - wysłałem obywateli - skuteczniejszy Zachodu - czy ja - przekazujący publiczności polskiej to co najcenniejsze w jego tradycji, czy emigracyjni podpisawcze, protestujący przeciw temu, co było tragiczną koniecznością?.

Tyle Sandaure. Zanim przejdę do poszczególnych punktów tej świętopietrowej Kłwarii, zauważaj, że kur zapiał na pewno po każdorazowym kuszeniu. Cicho /i ironicznie/, gdy Sandauer zrezygnował z kontraktu na wspomnienia "Żołnierza Czerwonej Armii" /dziwny tytuł jak na kombatanę wojska rzekomo polskiego/, gdyż "roastrzygnęło za niego życie samo", wzięcennie wielono w Jerzego Borejszce. Głośniejsze i pomniejsze, gdy przyjął roczne stypendium Kongresu Wolności Kultury na napisanie studium o "Ferdynandzie". Z chrypką niesłuchu, gdy Sandauer "nosił na rękach" gościnni Włochi, wstrząśnięci wiadomością o wojnie wydaną polskiemu społeczeństwu /bo przecież nie spotkałby się z aż tak przyjazną reakcją, gdyby wystąpił wówczas z obroną Jaruzelskiego, tłumacząc, że trzeba ogniem i mieczem uniczyć "Solidarność"/.

Za - od Kongresu Wolności Kultury /Sandaure przekreśla aż do nazwy tej rzekomo wazniechnocnej organizacji/. Założony w roku 1950, Kongres rozwiązał się w roku 1977, tak że niczym dziś się już nie "zajmuje", niczym nie "dysponuje". Mit "obecnej agentury" jest widac dziś w Polsce aż tak niezbedny, że Sandauer musiał wskazać od dawna nie istniejącą instytucję. Sandauer przypisuje w dodatku Kongresowi wszystkie swoje trzy groteskowe "kuszenia". Jeśli chodzi o pierwsze, Kongres nie mógł mieć z nim nic wspólnego, nie tylko dlatego, że wówczas nie istniał. Curzio Malaparte, utalentowany błagier /a więc mierzny pisarz/, miał z faszystom stosunki barzo dwuznaczne, pogardzali nim niechętni antyfaszyści włoscy, wchodzący - jak Ignazio Silone i Nicola Chiaromonte - w skład rady Kongresu: nie zaś siedliby oni z nim nigdy przy jednym stole. "Tabie Rouge" było w okresie bezpośrednio powojennym wydawnictwem programowo prawicowym, działało w nim grono mniej lub więcej skrajnych petajnistów, natomiast wszyscy francuscy członkowie Kongresu brali czynny udział w R e s i s t a n c i e i nie mieli aż tak krótkiej pamięci.

Kongres był więc - za moim pośrednictwem - czynny jedynie w "drugim kuszeniu".

Sandauera. Emigracja Kongres nie interesował się nigdy. Odsyłam Sandauera do mego zshicu o K u l t u r z e w "Zbięgach okoliczności", gdzie szczegółowo wyjaśniam dlaczego, mimo moich wielokrotnych zabiegów, Kongres poszedł finansowo piśmiu Jerzego Giedroycia raz jeden - skądak paruset tysięcy starych franków na dom K u l t u r y - co zostało srenatą odnotowane wówczas w numerze, jeśli zaś chodzi o Gombrowicza, odsyłam go do mojej recenzji w K u l t u r z e z książki Jerzego Jarzębskiego, gdzie przypominam, że sekretarz generalny Kongresu, Mikołaj Babekow, odmówił mi wciągnięcia Gombrowicza na listę artystów zaproszonych do Berlina na styperdia Fundacji Forda, a zdanie zmienił dopiero po interwencji Uwe Johnsona i Güntera Grassa.

Nie, mój biedny Arturze. Wiesz o tym doskonale, że w owych latach uprzywilejowani byli na Zachodzie, a zwłaszcza we Francji, pisarze krajowi i to acale nie o pozycyjni, tylko ci, którzy mieli dostęp do Aragona i Elzy /a więc Gallimarda/, do Sartre a /a więc Temps Moderne s/, do Duenacha /a więc Editions du Seuil i Esprit/, Mikołaz wspomina gorzko list doznego francuskiego tłumacza, który prawi mu komplementy o "Znieśconym umyśle", żałując, że nie może sobie pozwolić na przekład książki: skompromitowałoby go to w oczach "środowniku". Sam się zaśmiewał /miałek wówczas poczucie humoru/, gdy mówiłem Ci, że P r e s s e /francuski miesięcznik Kongresu/ czytają intelektualści paryscy w Café de Flore z wypiekami na twarzy, wzdychając mzer między strony F r a n c e - O b s e r v a t e u r, jakby chodziło o pornograficzną bibułę. Nie mogłeś nigdy wyśledzić, że College Philosophique, gdzie wygłoszikoś rzeczwiście przezabawny, ja-dowity odczyt o stalnowskim ZLP /oby Ci został przez nowy Związek wybaczony/ -m cokolwiek wspólnego z Kongresu. To całkiem inne środowisko /holand Barthas, Jean Wahl, Lévi-Strauss/ - zostales tam zaproszony na skutek interwencji Maurice Badaeu, który nie lubił ani P r e s s e s, ani Kongresu, ale kochał Gombrowicza.

W Kongresie pracowałem od roku 1952, ale dopiero po roku 1956 udało mi się /z poparciem Raymonda Arona, Daniela Bella, Ignazio Silone/ zorganizować pomoc niezależnym intelektualistom z krajów demokracji ludowych, w postaci stypendiów na krótkie pobyty na Zachodzie i wysyłki książek i piśmi. Podobną akcję prowadził Kongres jednocześnie na rzecz antyfaszystowskich intelektualistów w Hiszpanii i Portugalii - gdzie w seminariach organizowanych przez nas uczestniczyli wówczas również nawet komuniści. Kama jak kama, ale Tobiś, Arturze, nie potrzebujecie chyba dowodzić, że pomoc ta była całkowicie bezinteresowna, że nie skądakles Kongresowi - w nigdy żadnych "usług". O tę bezinteresowność chodziło mi do tego stopnia, że przeprowadziłem /wraz z teptyjnymimi niektórymi moimi kolegami/ zausad, że będącymy do tych krajów wysyłać tylko książki i piśmi, o które nasi korespondenci p o - proszą, aby uniażać zarzut "propagandy". Nie moja to wina, że zapotrzebowanie na książki "marksistowskie" w stosunku do innych spada się jak 1 do 100.

Czas się oczywiście zmienia, intelektualny Paryż jest dziś niemal jednacylinie antykomunistyczny i mam nadzieję, że przyczynił się do tego w dużej mierze opór stawiany w owych latach przez Kongres bezwstydny ministerstwo kawiśtów i ich uprzywilejowanych: wstrząs wywołany przez Schindlerczyka nie trafił, dzięki nam, na grunt całkowicie nieprzygotowany. W wydanych parę dni temu swoich "Mémoires", które cała prasa francuska - z wyjątkiem Humanité s - wita jako literacki i intelektualny ewenement roku, Raymond Aron wspomina Kongres, jego "antykomunistyczny pluralizm, obejmujący socjalistów z jednej, liberalnych konserwatystów z drugiej strony" i dodaje: "w latach poprzedzających, aż do śmierci Stalina, prowadziliśmy walkę poważną, o serca i umyły ludzi...". W roku 1950, gdy Kongres powstał w Berlinie, mobilizacja intelektualna przeciw Związkowi Sowieckiemu była jeszcze ważniejsza od zbroyej".

Nie od rzeczy będzie dorzucić, że w okresie o którym wspominaś nie gdzie indziej jak w środowisku intelektualnym Kongresu arodziła się teoria c o n - v e r g e n c e s, propagowana przez Arona, Bella, wielu innych, przewidująca, że wyzoci cywilizacji postprzemysłowej zmuszą blok sowiecki do liberalizacji

bez zasadniczej zmiany ustroju i z zachowaniem równowagi między dwoma geopolitycznymi blokami. Ruch "Solidarności" w Polsce stanowiłby paradoksalne potwierdzenie tych przewidywań /liberalizacja "oddolna", a nie "odgórna"/, gdyby nie został brutalnie zgnieciony w pierwszym /i nie ostatnim/ rękodzie przez klasę rządzącą, powodując panickimi skrajami przed utratą części wycich przywilejów i totalnego monopolu władzy.

Sprzecznymśi twego tekstu, dogodna Ci żuki pamięci, jego chorobliwy egocentryzm mógłbyś ostentacyjnie wytłumaczyć chęcią usprawiedliwienia Twego "obiektywnego" przymierzania dalszjszego z Patriotycznym Ruchem Ochroniania Narodowego w Kraju i Jedrzejem Giertychom na emigracji. Dwóch rzeczy darować Ci jednak nie sposób.

Jak możesz upuścić Gombrowicza, niżym byle Pisko, twierdzeniem, że "dotaw-
szy się w sieci Kongresu, zabrakło mu dotychczasowej swobody ruchów i dezynwol-
tury"? Jak widzisz, nie chodzi mi nawet o to, że powiązań z Kongresem nie miał
Gombrowicz żadnym, ani o to, że "Pornografie" i "Kosmos" są - jak to świetnie
wykazał Jerzy Jarzębski - doprowadzeniem do końca "gry", którą rozpoczął pisząc
"Ferdynand". Walka o zachowanie swobody ruchów i dezynwolturny stoi u podstaw o-
gryzłości i twórczości Gombrowicza. Insynuując, że z niej zrezygnował, niszczyzes
go jako człowieka i jako pisarza.

Drugą sprawa, to "dones", jeden z tych, na które tak się w tym artykule uskar-
żasz. Pisząc, że Kongres Wolności Kultury manipulował polskimi związkami artys-
tycznymi /dziś przez Twych moudawców zlikwidowanymi/, zapomniałeś o wyroku
śmierci na Zdzisława Najdera. Chyba że się z tym wyrokiem zgadzasz.

"Kultura", październik 1963

Konstanty A. Jeleński

Liety z wjcznienia

Adam Michnik

LIST DO PROKURATORA

Adam Michnik s.Ozjasza
 tymczasowo aresztowany
 Warszawa, ul. Rakowicka 37
 Areszt Sledczy

20 maj 1983r.

Do ob. Prokuratora MPW
 p.k. dr Wlodziemiaza Kubali

O Ś W I A D C Z E N I E

Ostatni tydzień obfitował w wydarzenia, które krótko rezumując: dnia 23 maja br. została mi zakomunikowana ustna decyzja prokuratora Kubali o tym, że jedynym dostępnym sposobem zapoznania się z aktami sprawy będzie odczytywanie mi ich ustnie przez inspektorów Biura Sledczego MSW. Odbyła się też pierwsza poglądowa lekcja - inspektorzy MSW, w obecności prokuratora Kubali, odczytywali mi dokumenty w sposób, który uniemożliwił mi notowanie. Robili to na wyraźne polecenie prokuratora Kubali. Na moją prośbę, by czytać wolniej, inspektor Biura Sledczego oświadczył: "nie będziemy Panu dyktować". Kategorycznie odmówiłem udziału w tej komedii, która - pozorując praworzędność - zapierała się uniemożliwienia mi zapoznania się z aktami sprawy. Dnia 25 maja prokurator Kubala zakomunikował mi, że podjął decyzję o przerwaniu czynności zpoznawania się z aktami sprawy. Dnia 26 maja poinformował mnie o zmianie swej decyzji i oświadczył, że wolno mi będzie osobiście czytać akta do dnia 15 czerwca. Ten termin określili prokurator Kubala jako nieprzekraczalny. Odmówiłem doręczenia mi swego postanowienia na piśmie. W tym stanie rzeczy oświadczam prokuratorowi Kubali co następuje:

1/ Po wstępnym przejrzeniu trzech tylko tomów, stwierdzam bez żadnej wątpliwości, że termin do 15.VI jest całkowicie nierealistyczny. Lojalnie Pana upraszam, Panie prokuratorze, że do zapoznania się z aktami sprawy i sporządzenia no-

tatek niezbędnych do przygotowania obrony, będą potrzebował znacznie więcej czasu.

2/ Jednocześnie zwracam się do Pana uprzejmie, by zechciał Pan zapoznać się z książką zatytułowaną "Kodeks postępowania karnego", a zwłaszcza z pomieszczone tam art.277 paragraf 1 k.p.k. Z pewnością zauważy Pan, że artykuł ten nie wspomina o możliwości ograniczenia prawa podejrzanego do zapoznawania się z materiałami śledztwa w czasie, który podejrzany uważa za niezbędny. W polskim systemie prawnym - informuję Pana uprzejmie - to, co nie jest zakazane, jest dozwolone. Gdyby brzmienie art.277 paragraf 1 k.p.k. nasuwało Panu jakies wątpliwości, to pozwolę sobie uprzejmie zauważyć, że w polskim systemie prawnym każda wątpliwość tłumaczona być winna na korzyść podejrzanego.

3/ W tej sytuacji Pańskie postanowienie o ograniczeniu czasu zapoznawania się z materiałem dowodowym zmuszony jestem potraktować jako prośbę skierowaną pod moim adresem. Niestety, z przyczyn wyżej wymienionych, nie mogę jej zadośćuczynić.

4/ Dodatkowo informuję Pana uprzejmie, że zmienić obowiązujące przepisy Kodeksu postępowania karnego władny jest tylko Sejm PRL. Ubiegać Pan się może o taką zmianę na drodze wystąpienia z sugestią pod adresem posłów ze swego okręgu wyborczego, by zaproponowali Wysokiej Izbie zmianę przepisów k.p.k., motywując to faktem, że Adam Michnik, a także Zbigniew Romaszewski i Henryk Wujec zbyt wolno czytają akta. Być może, będzie to dla Sejmu motywacja dostateczna.

5/ Na wypadek jednak, gdyby zamierzał Pan podjąć kolejne próby pozbawienia mnie mego prawa do zapoznania się z materiałem dowodowym działając w imię tak szczytnych celów jak np. skierowanie aktu oskarżenia do Sądu w terminie sobie zleconym lub też postawienie mnie przed Sądem pozbawionego możliwości obrony, dedykuję Panu poniższą bajkę etiopską:

"Spragnione, hienna i osioł w zgodzie poszukiwały rzeki. Kiedy nasyciła pragnienie poczęła hienna odczuwać głód.

- Mączysz mi wodę! - rzekła do osła nie bacząc, iż ten stoi niżej.
- Przecież woda płynie od ciebie do mnie - odparł osioł.
- Mączysz mi wodę i do tego kłamiesz! - rzekła hienna.
- Hienc - odrzekł osioł - nie trudź się wyszukiwaniem przyczyn. Co masz zrobić zrób od razu: zjedz mnie".

"Kultura", lipiec-sierpień 1993

Adam Michnik

Kronika kulturalna

Czesław Miłosz

PRZEMOWIENIE NA PARYSKIEJ SORBONIE

26 - 10 - 1983

/W RAMACH KOŁOKWIUM "NAUKA I POKOJ: ODPOWIEDZ LAUREATOW NOBLA/

Wśród imion dawanych naszemu XX wiekowi najodpowiedniejszym wydaje mi się "wiek Alberta Einsteina". Jego wizja wszechświata uwolniła ludzką wyobraźnię z więzów newtonowego mechanizmu. Einstein stanowi zarazem prototyp uczonego świadomego swych straszliwych odpowiedzialności w epoce niszczycielskiego ognia.

Miałem przywilej znać Einsteina osobiście, odwiedzałem go w jego domku w Princeton, a nawet szukałem jego rady w trudnym okresie mego życia. Byłem wówczas, zaraz po wojnie a t t a c h e kulturalnym ambasady Polski Ludowej w Waszyngtonie. To co tu opowiem naświetla przeszkody napotymane przez ludzi nauki w ich wysiłkach ostrzeżenia ludzkości przed grożącym jej niebezpieczeństwem.

Rok 1948 znaczy początek Ruchu Pokoju, zapoczątkowanego i reżyserowanego przez blok sowiecki. Pomysł zwołania w owym roku Kongresu Intelktualistów we Wrocławiu powzięła malownicza postać Polskiej Partii Komunistycznej, Jerzy Borejsza. Udało mu się stworzyć polsko-francuski komitet organizacyjny i ściągnąć do Wrocławia ponad 400 artystów, pisarzy i uczonych z całego świata, wśród których byli: Pablo Picasso, Louis Aragon, Paul Eluard, J.B.S. Haldane, Julian Huxley, Irena Joliot-Curie. Einsteinowi przesłano zaproszenie za pośrednictwem polskiej ambasady w Stanach Zjednoczonych i miałem tym razem nawiązać z nim kontakt w nym oficjalnym charakterze. Einstein odpowiedział komitetowi organizacyjnemu listem z dnia 6 lipca 1948, uznając potrzebę kongresu poświęconego "staraniom o pokój prawdziwy i szczerzy" i przesyłając życzenia powodzenia w obradach. Chcąc zazna-

czyć swe żywe zainteresowanie, postanowił skorzystać z tej sposobności by przesiać uczestnikom specjalne orędzie, za pośrednictwem swego przyjaciela i współpracownika, profesora Otto Nathana, który udał się w tym celu do Polski.

W swym długim oświadczeniu Einstein mówił, że należy "użyć rozumu i rozwagi do rozwiązania problemów ludzkości, miast ulegać dziedzicznym instynktom i pa-sjom". Źródło zła widział we wzrastającej wciąż potęgze państwa nad jego obywatelami, potępił wychowanie w duchu militarnym i proponował radykalne rozwiązanie problemu broni atomowych. Jego zdaniem jedynie organizm ponadnarodowy winien posiadać te bronie, a nie poszczególne państwa. Gdyby się nie udało utworzyć te-raz takiego organizmu, powstanie on później, ale na ruinach znacznej części świata. Oświadczenie Einsteina, przywiezione przez profesora Nathana, nie zostało nigdy odczytane. Zapoznawszy się z jego zawartością, oparli się temu kategori-cznie przedstawiciele Związku Sowieckiego. Ale skoro przedsięwzięcie polegało na kolekcji słynnych nazwisk, posunięto nieuczciwość aż do zastąpienia orędzia krót-kim listem życzeń Einsteina, skierowanym do organizatorów. Poproszono Juliana Huxleya o odczytanie tego listu, zapewniając go, że chodzi właśnie o specjalne oświadczenie Einsteina.

Ponieważ prasa światowa zdawała szczegółowo sprawę z Kongresu i ogłosiła owe rzekome orędzie uczonego, Einstein ogłosił w New York Times z 27 sierpnia pełny tekst oryginału, dodając powściągliwie: "Myślę, że praktyki te-go rodzaju nie przyczyniają się do wytworzenia atmosfery wzajemnego zaufania". Julian Huxley napisał list do Einsteina, stwierdzając swój głęboki żal za to, że został wprowadzony w błąd przez organizatorów Kongresu. Co do mnie, byłem całkowicie szczery w swoich rozmowach telefonicznych z Einsteinem i, jeśli się nie mylę, byłem pierwszym, który go zawiadomił o tym oszustwie.

Nie był to dla mnie incydent bez większego znaczenia. Podziwiałem tego czło-wieka, widziałem w nim ojcowską postać mędrca. Jego zrezygnowana dobroć i całkiem świadoma naiwność wobec władz tego świata wydawały mi się wyrażać postawę nas wszystkich, uczonych, poetów, artystów zawsze narażonych na podstępny potęg, które chcą nas wykorzystać. Incydent wrocławski zaszokował mnie, nabrał symbolicznego wymiaru. Ruch Pokoju rozpoczęty w kłamstwie musiał doprowadzić do sytuacji dopraw-dy rozpaczliwej, w której nasza planeta znajduje się dzisiaj.

Nie będąc w stanie zaproponować żadnego rozwiązania naszych problemów, przy-sięgam sobie raz na zawsze nie przyczyniać się do powodzenia zwodniczych przed-sięwzięć takich jak Kongres wrocławski. Myślę dziś, że Kongres ten został zwołany właśnie w Polsce, aby przesłonić wobec intelektualistów zachodnich gwałt doko-nany na części Europy, ów gwałt, który - od końca wojny przeciw Hitlerowi - leży u źródeł zimnej wojny. W owym roku 1948, wielu delegatów na Kongres wrocławski było skłonnych uwierzyć, że słowo "pokój" oznacza "wojnę" - ma się rozumieć woj-nę światową. W tym samym czasie Orwell kończył pisać swą powieść "1984", gdzie streszcza sedno tego semantycznego gwałtu: *War is Peace, Free-dom is Slavery, Ignorance is Thought*. Może wydać się dziwne, że powołuję się tutaj na zdarzenie sprzed 35 lat. Ale świat ca-ły jest po dziś dzień przedmiotem apetytów systemu policyjnego, które wciąż ros-ną, w miarę rozkładu jego ideologii.

/Z francuskiego oryginału tłumaczył K.A. Jeleński/

"Kultura", grudzień 1983

Czesław Miłosz

Michał Borwicz, Józef Lichten,
Szymon Wiesenthal, Jan Karski,
Jerzy Lerski, Jan Nowak

SPRAWA STOSUNKÓW POLSKO-ŻYDOWSKICH

Czterdzieści lat temu na szczycie jednego z domów walczącego getta warszawskiego wywieszono zostały obok siebie dwie flagi: biało-niebieska i biało-czerwona. Bojownicy żydowscy, których życie obliczone było na godziny, skierowali do społeczeństwa polskiego te słowa odezwy: "Wśród dymu pożarów i kurzu krwi morderwanego getta Warszawy ślemy Wam bratnie pozdrowienia... Toczy się walka o Waszą i naszą wolność. O Wasz i nasz ludzki, społeczny, narodowy honor i godność... Niech żyje braterstwo broni i krwi walczącej Polski...".

Były to słowa pożegnania, tragiczny i piękny zarazem w swej godności końcowy akord zamykający blisko tysiąc lat współżycia Polaków i Żydów na ziemi polskiej.

W czterdzieści lat po powstaniu w getcie, które było szczytowym punktem największej w dziejach tragedii ludzkiej, my niżej podpisani uważamy za swój moralny obowiązek wydobyc z zapomnienia ten manifest Masady dwudziestego wieku. Trzej z nas byli w czasie drugiej wojny światowej emisariuszami, którzy z rozkazu Polski Podziemnej i polskiego rządu w Londynie nieśli przez granice i fronty relacje naczynych świadków i dokumenty zbrodni ludobójstwa oraz rozpaczliwe apele ginących, które miały wstrząsnąć i obudzić sumienie obojętnego świata. Trzej pozostali to działacze żydowscy na Zachodzie, z których każdy ma za sobą dziesiątki lat walki i aktywnej wierności wobec spuścizny polskiego żydostwa.

Ze społeczności żydowskiej w Polsce liczącej przed wojną ponad trzy miliony obywateli - pozostała dziś kilkutyśięczna garstka. Dzielnice żydowskie wraz z otaczającym je murem zrównane zostały z ziemią przez wspólnego wroga. Lecz dziś wyrasta w to miejsce inny mur dzielący Polaków i Żydów. Po obu jego stronach gromadzą się pokłady uprzedzeń i poczucie krzywdy, z której rodzi się wrogość i nie-

nawiść.

Nienawiść jest bumerangiem bijącym w każdego, kto ją szerzy, bez względu na to, czy jest stroną słabszą czy silniejszą. Plonem nienawiści zasianej w dusze niemieckie stał się hitleryzm. Dzieckiem nienawiści jest nieludzka tyrania sowiecka. Ofiarami nienawiści byli zarówno Polacy jak i Żydzi. Nienawiść wyrasta ze zbiorowej odpowiedzialności, która obarcza winą za występki i negatywne właściwości jednostki czy mniejszości wszystkich ludzi tej samej narodowości, wyznania czy rasy. Mściwa nienawiść jest ślepa na to, co w innym człowieku czy zbiorowości ludzkiej jest piękne, dobre i szlachetne. Widzi w nim tylko to, co złe czy zbrodnicze. Żydzi pamiętają polski antysemityzm, którego istotne nasilenie sięga końca ubiegłego stulecia, lecz zapominają, że był on zwalczany przez znaczny odłam polskiej inteligencji liberalnej i demokratycznej, ruch robotniczy oraz najwybitniejszych twórców polskiej kultury. Oregownikami Żydów byli Adam Mickiewicz, Józef Ignacy Kraszewski, Bolesław Prus, Eliza Orzeszkowa, Maria Konopnicka, Stefan Żeromski, Andrzej Strug i inni. Polscy antysemici pamiętają, że choć w niepodległej Rzeczypospolitej wypadki gwałtu i okrucieństwa fizycznego były rzadkie - Żyd, nawet wychowany w kulturze i języku polskim, nie czuł się pełnoprawnym obywatelem: odczuwał bolesnie nie tylko getto ławkowe na uniwersytecie, ale pogardę i nieufność prowadzącą niejednokrotnie do bojkotu i dyskryminacji nie mającej zresztą żadnego legalnego oparcia w polskim ustawodawstwie. Znane hasło "żydo-komuna" czyniło z każdego Żyda potencjalnego wroga państwa i agenta obcego mocarstwa. Nie pamiętano o udziale Żydów w insurekcji kościuszkowskiej i w obu powstaniach 1831 i 1863 roku jak i o ochotnikach żydowskich walczących o wolność Polski w Legionach i innych formacjach ochotniczych. Nie pamięta się faktu, który przypominał niedawno życzliwy Polsce brytyjski historyk Norman Davies, że ochotnicy żydowscy, którzy pragnęli brać udział w wojnie z bolszewikami, zostali wyrzuceni z wojska i internowani w obozach. Kto dziś pamięta, że słynny występ w odezwie Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich z 27 marca 1917, tak szeroko wykorzystywanej obecnie przez propagandę komunistyczną domagający się dla Polski "prawa do całkowitej niepodległości", zredagowany został i wprowadzony do rezolucji nie przez Rosjan lecz przez polskiego Żyda Henryka Ehrlicha, przywódcę Żydowskiej Partii Socjalistycznej BUND, rozstrzelanego w czasie wojny na rozkaz Stalina.

Żydzi z kolei obciążają cały naród polski odpowiedzialnością za szmalcowników, elementy kryminalne występujące we wszystkich krajach okupowanych, które wydawały Żydów na śmierć w ręce niemieckich morderców. Nienawiść także zapomnieć, że znaczna część Żydów, którzy przeżyli holokaust poza obozami, zawdzięcza swe ocalenie bohaterstwu Polaków ryzykujących życie własne i najbliższych, że niepełny rejestr Polaków zamordowanych za ukrywanie Żydów obejmuje 621 rodzin, że na liście tych, których Izrael uczcił w Yad Waszem najwięcej jest polskich nazwisk, że w próbach niesienia pomocy powstaniu w getcie byli polegli i ranni żołnierze AK. Nienawiść także wielu autorom żydowskim pomijać albo pomniejszać działalność Rady Pomocy Żydom, powołanej przez władze Polski Podziemnej i wysiłki zarówno władz polskich w okupowanym kraju jak i rządu polskiego w Londynie, czyniących wszystko co leżało w ich mocy, by głos rozpaczy ginących Żydów dotarł do rządów i opinii publicznej na Zachodzie. Przerzucanie na naród polski odpowiedzialności za ludobójstwo, którego następą po Żydach ofiarą była ludność polska, odczuwane jest bolesnie przez stronę polską jako ciężka krzywda. Podobne uczucie budzi w Żydach fakt, że Polacy obciążają wszystkich Żydów odpowiedzialnością za zbrodnie bezpieki w okresie stalinowskim, kiedy wiele kluczowych stanowisk w aparacie terroru i w Partii było obsadzonych przez Żydów, lecz nie chcą uznać, że Polacy pochodzenia żydowskiego pozostają w awangardzie ruchu wolnościowego w Polsce od roku 1956, z odwagą i poświęceniem przełamując barierę strachu.

Czas już, by położyć kres temu wzajemnemu antagonizmowi. Wyrządza on szkody obu stronom i jest szczególnie bolesny dla tych Żydów, którzy będąc patriotami

polakimi nie zapominają o swym żydowskim pochodzeniu i chcą być wierni swemu dziedzictwu i religii. Nie służą temu celowi ani wzajemne rekryminacje, ani próby roztrzęsania, kto w tym tragicznym bilansie ponosi większą winę. Po obu stronach ludzie dobrej woli chcą do nawiązania dialogu i wzajemnego zrozumienia. Szukajmy w tym dialogu tego, co dziś kazać powinno Polaków i Żydów.

Jest to przede wszystkim wspólna determinacja, by nigdy więcej nie powtórzyła się próba totalnego zniszczenia fizycznego całego narodu. Niestety zarówno Polacy jak i Żydzi wciąż żyją w cieniu tej groźby: Polska, z racji swego położenia geograficznego i aktualnego dziś zagrożenia sowieckiego. Izrael - otoczony obrzydliwą przewagą wrogiej ludności arabskiej czeka jeszcze na sposobność zaistnienia nowego państwa, cudem odrodzonego po dwóch tysiącach lat. Tylko Polacy, a przede wszystkim świadkowie Holocaustu, którzy sami od pierwszego do ostatniego dnia wojny byli ofiarami hitlerowskiego terroru, są w stanie zrozumieć powagę zagrożenia dla żyjących Żydów, którzy powrócili dziś do swojej Ziemi Obiecanej. To jest czas, kiedy książkę Izraela pochodzą z Polski, ukazuje się tam dzieła autorów polskim. Kultura i inne polskie wydawnictwa znajdują w Izraelu nowych odbiorców. Występy polskich zespołów śpiewających i artystycznych spotykają się z serdecznym przyjęciem ze strony starszego pokolenia Żydów, którzy wracają do kraju swego dzieciństwa, na swoim "miasteczkiem Beitz", uwiecznionym w żydowskiej piosence.

Każde zbliżenie, każdy gest solidarności Polaków w kraju i Polonią światową wobec losów Izraela przyczyniłby się skutecznie do rozważenia polsko-żydowskich antagonizmów aniżeli tony apologetycznej literatury.

Polacy i Żydzi są współnikami cierpień w Związku Radzieckim, gdzie obie narodowości są najbardziej prześladowane ze wszystkich mniejszości narodowych. Jedni i drudzy są ofiarami okrutnej dyskryminacji i prześladowań. Gdyby żydowska diaspora, dysponująca wielkimi wpływami w świecie zachodnim, zdecydowała rozciągnąć swoją walkę o prawo do emigracji Żydów na potrzeby innych narodowości i wyznaczków pragnących powrócić do swego ojczystego państwa, a więc przede wszystkim Polaków - inicjatywa taka spotkałaby się na pewno z gwałtownym przyjęciem w Polsce i na emigracji.

Rozważając te pierwsze myśli związane zbliżaniem Polaków i Żydów zdajemy sobie w pełni sprawę, że polegamy na sobie jako skrajnie odmiennie po obu stronach. Nie odwidzia nas to od inicjatywy podjętowanej wola skazania idei braterstwa bliźnich, bez względu na ich pochodzenie, religię, kolor skóry i rasę. Szynimy to wierni nakazom Dekalogu, wspólnego źródła obu naszych religii i fundamentu, na którym opierają się najwyższe wartości naszej cywilizacji. Jesteśmy przekonani, że służymy w ten sposób najlepiej sprawie Polaków i Żydów.

Michał Borwicz, Józef Lichten,
Szymon Wiesenthal, Jan Karski, Jerzy Lerski, Jan Nowak

"Kultura", wrzesień 1983

Dokumenty

SPRAWOZDANIE Z ROZPRAWY

przed Sądem Wojewódzkim w Kaliszu
przeciwko o.Stefanowi DZIERŻKOWI
dnia 28 kwietnia 1982 r.

Przewodniczący:
sędziowie wotanci:
prokurator: Kozak
obrońcy: adw.Andrzej Grabiniak
adw.Zdzisław Kąkol

/Sala wypełniona do ostatniego miejsca stojącego, tłum przed drzwiami, w korytarzu i na schodach. Okrzyki domagające się "dania głośników, aby wszyscy wyszli", okrzyki: "Wizenie księdza to wstyd dla Kalisza i kaliszan". Sędzia wywołuje do opuszczenia sali, na to okrzyki: "I ty jadłeś polski chleb", niewybredne, prowokacyjne epitety/.

Przewodniczący zwraca uwagę, że strop jest drewniany, przy takim przeciążeniu może dojść do tragedii, proszę o opuszczenie sali ze względu na bezpieczeństwo. Rozprawa się nie rozpocznie, dopóki na sali będzie taki tłok. Co do "głośników", to jest to niemożliwe, bo sala nie ma aparatury nagłaśniającej.

/Nikt sali nie opuszcza/.

Przewodniczący powtarzam, że rozprawa się nie rozpocznie, jeśli państwo nie opuszczą sali i nie wejdą ponownie, zajmując tylko miejsca siedzące.

Jeżeli to nie zostanie wykonano, Sąd Wojewódzki zwróci mnie do Sądu Najwyższego, aby wyznaczył miejsce rozprawy daleko od Kalisza, w innym kraju Polski.

/Tłum w milczeniu cichku/.

Przewodniczący prosi, aby opuścili salę przesłisły wiejącowego sądu.

/Wychodzi garstka ludzi, z tłumu padają prowokacyjne komentarze/.

Gięca z sądem i prosi państwa, jeżeli domagamy się od sądu sprawiedliwości, to i my musimy zachowywać się odpowiednio, inaczej niż na bazarze.

/Tłum się uspokaja, ludzie stoją w milczeniu. Rozprawa zaczyna się z 10-minutowym opóźnieniem/.

X

Prokuratorem oskarża się doktora teologii, rektora kościoła o.o. jezuitów w Kaliszu o przestępstwo z art. 194 k.k., a malanowicz o to, że jako rektor kościoła ks. Stefan Dzierżek w dniach od 24 grudnia 1981 do 6 stycznia 1982 eksponował w podległym mu kościele jezuitów żłobek, którego treść była tak, iż nadużywał w podległym mu kościele jezuitów żłobek, którego treść była tak religijnych. Był to żłobek o charakterze symboliki politycznej, czemu towarzyszyło pisane objaśnienie. Wszystko to mogło zakłócić spokój publicznemu w artyk. 194 k.k. Żłobek w treści nawiązywał do warunków wprowadzenia stanu wojennego, godząc w porządek i ład publiczny. Według koncepcji i na polecenie ks. Dzierżka opracowano żłobek, który oskarżony polecił wystawić publicznie.

Symbolika plastyczna żłobka była następująca:
 płasza z Matką Borską płaczącą, wypisaną w ówio gwiazdy;
 płasza z emblematem robotnikami;
 przewrócony gasienicą transportera żłobek;
 Dzieciątko wielokrotnie opasane drutem kolczastym.

Symbolika ta nawiązywała do wydarzeń w Kopalni "Wujek", podobnie jak żłobek, przewrócony kołami transporterów - do warunków stanu wojennego.

Do tej ekspozycji, odmiennej od dotychczasowej, było czytane objaśnienie. Niedwuznaczność treści, wynikających z opisów sprawia, że ekspozycja ta miała charakter polityczny. Nosi to znamiona naruszenia kodeksu karnego, znamiona naruszenia praw stanu wojennego i dekretu z dnia 13 grudnia 1981 r. o jego wprowadzeniu. Poruszenie tragicznych wydarzeń w Kopalni "Wujek" mogło wywołać społecznie szkodliwe wrogie nastroje miejscowego społeczeństwa do władz.

Czy oskarżony zrozumiał treść aktu oskarżenia?

Ks. Dzierżek: tak.

Przewodniczący czy przyznaje się do winy?

Ks. Dzierżek: do czynu, to jest wystawienia żłobka - tak, ale do winy - nie.

Przewodniczący czy kaładz rektor chce złożyć wyjaśnienia przed sądem?

Ks. Dzierżek: tak. Jestem rektorem tutejszego kościoła o.o. jezuitów od lipca 1978, przybyłem z Bydgoszczy. Jako rektor jestem najwyższym zwierzchni-

ktem tutejszego domu zakonnego.

Przewodniczący: czy w domu zakonnym istnieje podział funkcji? Czy jest podział czynności?

Ks. Dzierzęcki: są urzędnicy domowi, prowadzący swoje działy.

Przewodniczący: jednak - najwyższym zwierzchnikiem, jak ojciec powiedział, jest rektor. Proszę wyjaśnić sądowi, do kogo należy techniczne przygotowanie, zwyczajowo, wystroju plastycznego z okazji Świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocy i Bożego Ciała?

Ks. Dzierzęcki: to nie są stałe obowiązki, mogą do nich być wyznaczani różni ludzie, lecz za to, co się dzieje, co jest ekspozowane, za całość odpowiada rektor.

Przewodniczący: wróćmy zatem do tego konkretnego, ostatniego żłobka. Kto był autorem jego koncepcji, kto go zaprojektował?

Ks. Dzierzęcki: jedno i drugie - ja.

Przewodniczący: czy był sporządzony projekt plastyczny, jakiś dokładny opis?

Ks. Dzierzęcki: nie, była tylko ogólna koncepcja.

Przewodniczący: czy żłobek wykonano technicznie w domu zakonnym?

Ks. Dzierzęcki: zasadniczo - tak, ale to nie ma żadnego znaczenia. Wszystko, co robiono, robiono na moją odpowiedzialność.

Przewodniczący: a więc była to koncepcja własna ojca, zrealizowana własnymi siłami. Kiedy ta koncepcja powstała?

Ks. Dzierzęcki: na pewno po 13 grudnia.

Przewodniczący: czy po wydarzeniach w Kopalni "Wujek" i pod ich bezpośrednim wpływem? A może wcześniej? Czy może żłobek początkowo miał być inny i koncepcja następnie uległa zmianie?

Ks. Dzierzęcki: trudno opisywać ewolucję takiej koncepcji, nakładanie się wrażeń i doznań, wyrażonych następnie w takiej czy innej formie.

Przewodniczący: żłobek montowano w Wigilię, czy może wcześniej?

Ks. Dzierzęcki: w dniu 24 grudnia.

Przewodniczący: czy w chwili montowania elementy składowe były już całkowicie gotowe?

Ks. Dzierzęcki: tak.

Przewodniczący: czy montaż odbywał się pod nadzorem księdza rektora?

Ks. Dzierzęcki: tak.

Przewodniczący: dlaczego ten żłobek był inny od tradycyjnych żłobków w pozostałych kościołach Kalisza?

Ks. D z i e r ż e k : złożyły się na to dwie rzeczy. Po pierwsze - tradycja zgodna ze sztuką kościelną, w której istnieje jako jedna z koncepcji umieszczanie wydarzeń religijnych w takich realiach, w jakich miały one miejsce i druga symbolika, tendencja niejako ahistoryczna.

Od dawna - w myśl tej drugiej koncepcji - przedstawianie wydarzeń religijnych miało charakter współczesnienia, bowiem nie zawsze artysta, szczególnie ludowy, prymitywista, umiał sięgnąć do historii, nie znając jej realiów, umieszczał więc wydarzenia w epoce i formie sobie współczesnej. Realiami bywały nie tylko wydarzenia zewnętrzne i ten kierunek uprawiali nie tylko artyści ludowi. Powodem ahistoryczności, symbolizmu, bywały u wielu artystów wydarzenia dziejące się wewnątrz. Przykładem może być Dante, który współczesne sobie osoby umieścił w... piekło, gdy ktoś z nich "nadepnął mu na odcisk".

Ten właśnie nurt jest ciekawszy, od niego wywodzą się kierunki mające w sztuce kościelnej coś do powiedzenia. Tworząc żłobek na Święta Bożego Narodzenia chciałem zaprezentować ten nurt. Według teologii i liturgii Kościoła nie jest to tylko historia, lecz wydarzenia wiecznie żywe, wiecznie odnawiające się w Kościele. Chrystus przyszedł, narodził się nie tylko dla pokolenia sobie współczesnego, ale dla wszystkich pokoleń ludzi. Stąd tajemnica narodzenia Chrystusa nie jest tylko wspomnieniem przeszłości, ale jest przeżywaniem Chrystusa, przychodzenia Chrystusa do dzisiejszego życia, do dzisiejszego pokolenia. W związku z tym chciałem Chrystusa przychodzącego w tym roku w Swoich narodzinach na naszą polską ziemię, do naszego narodu, umieścić w dzisiejszych realiach.

Wierni, którzy przychodzą do kościoła, przynoszą ze sobą swoje troski, kłopoty, cierpienia, tragedie, którymi żyją na co dzień. Chciałem więc tym ludziom, którzy przyjdą przeżywać Boże Narodzenie w naszym kościele, ukazać Chrystusa w naszej rzeczywistości, żeby tu - w skupieniu i modlitwie - zrozumieli, że Chrystus jest z nami nawet w takich ciężkich warunkach i żeby tego Chrystusa starali się odnaleźć w swoim życiu, żeby stąd odeszli uspokojeni, podniesieni na duchu, bardziej pogodzeni ze swoją dolą.

Dzisiejszą rzeczywistość przedstawiłem przez planszę, na której znajdują się sylwetki górników, między które wdziera się czerwona, jaskrawa plama: jest to tragedia Kopalni "Wujek", którą chciałem przedstawić. Nadto - nad środkową górną planszą - duża kolorowa gwiazda, w środku której można rozróżnić zarysy dwóch twarzy /Matki z Dzieciątkiem/, po twarzy Matki spływa wielka łza: to twarz Matki Najświętszej, płaczącej nad tragedią Kopalni "Wujek" i nad wszystkimi, którzy cierpią z powodu dzisiejszej rzeczywistości. Po lewej ręce - druga plansza - ustawiona pod kątem do planszy głównej, na niej namalowane ślady czołgów i transporterów. Pod tą planszą przewrócony żłobek, Dzieciątko Jezus wyrzucone na zwój kolczastego drutu. To symbol narodu, który został wyrwany ze swoich marzeń i rzucony w twardą rzeczywistość stanu wojennego.

Powyższe symbole ustawione zostały przed bocznym ołtarzem kościoła o.o. jezuitów. Projekt tego żłobka sporządziłem sam. Dzisiaj nie potrafię określić dokładnej daty powstania projektu, ale po wprowadzeniu stanu wojennego i po tych wydarzeniach, które są zaznaczone w treści. Za zbudowanie i wystawienie żłobka biorę odpowiedzialność na siebie.

Wszystkie te elementy są wzięte z polskich środków masowego przekazu. W moim przekonaniu treść tych symboli zawiera pewien element nadziei i optymizmu. Żłobek - choć przewrócony - symbolizuje nasz ojczysty dom. Został on wprawdzie przewrócony, przecież nie został zgnieciony ani zdruzgotany, możemy go na nowo podźwignąć i urządzić na przyszłość mądrze i sprawiedliwie.

Razem z projektem żłobka sporządziłem legendę - opis treści symboli dla ich lepszego zrozumienia. Treść legendy napisałem na maszynie i pamiętam, że był

to dokument w jednym egzemplarzu. Pozostawiłem go, gdy wyjeżdżałem na własne rekolekcje. Wyjeżdżałem 26.XII rano, wróciłem 5.I wieczorem. Legenda objaśniająca treść symboli żłobka po raz pierwszy została odczytana podczas Pasterki przeze mnie. Poleciłem księżom, aby komentarz był odczytany na wszystkich mszach w dniu Bożego Narodzenia. Tego dnia ja również ją czytałem. Odbywało się to w ten sposób, że komentarz leżał łącznie z innymi ogłoszeniami na ambonie i ksiądz odprawiający Mszę św. po jej zakończeniu odczytywał go wraz z innymi ogłoszeniami. Czy w dniu 26.XII komentarz był czytany - nie wiem, ponieważ rano wyjechałem, ale wydaje mi się, że chyba nie.

Treść komentarza sprowadzała się do tego, o czym już powiedziałem, z tym, że pominałem objaśnienia dotyczące dwóch nurtów sztuki sakralnej.

Po powrocie z rekolekcji zastałem w domu list. Była to decyzja z dnia 29 grudnia, wydana przez prezydenta miasta, polecająca rozebranie żłobka. Do decyzji zastosowałem się i następnego dnia poleciłem żłobek rozebrać.

Odnosnie do plakatu, którego fotografia znajduje się w aktach, a który to plakat miał być wywieszony na drzwiach wejściowych kościoła - nic nie mogę powiedzieć, bo nie widziałem tego plakatu, nie wiem, kto go wywiesił, ani też - kto go zdejmował.

Pragnę złożyć pewne uzupełniające wyjaśnienia, które będą rozwinięciem moich zeznań, złożonych w czasie śledztwa: otóż żłobek ten powstał w okresie stanu wojennego, powiem: tragedii stanu wojennego, w którą naród został wtrącony brutalnie. Tego ostatniego słowa użyłem także w moim komentarzu-legendzie.

P r z e w o d n i c z ą c y : chyba wszyscy rozumiemy, że zarządzenia stanu wojennego nie są sielanką, powiedział to gen. Jaruzelski i było to wielokrotnie powtarzane. Czy pod sformułowaniem "tragedia stanu wojennego" rozumiemy to samo?

Ks. D z i e r ż e k : chyba tak.

P r z e w o d n i c z ą c y : chodzi o ograniczenie swobód?

Ks. D z i e r ż e k : pozwolę sobie zilustrować te dwa określenia: "tragedia" i "brutalnie". One dotyczą faktów, których można było uniknąć, a także odmalują to, co przeżywałem, co przeżywam dotąd i co dało mi impuls do wystawienia takiego właśnie żłobka, za co znalazłem się na tej sali jako oskarżony. Znam takie fakty, np. wstawianie się w nocy do mieszkań, by aresztować ludzi; odrywanie rodziców od nieletnich dzieci...

P r z e w o d n i c z ą c y : mówi ojciec o internowaniach?

Ks. D z i e r ż e k : ...internowania czy aresztowania tylko za przynależność do legalnej organizacji, legalnego związku zawodowego; zakuwanie w kajdany niewinnych kobiet; kobiety przebywające samotnie w brudnej, zimnej piwnicy, ze szczurami, z pogwałceniem elementarnych zasad higieny osobistej; dalej - sposób przewożenia skutyl kobiet do więzienia...

P r o k u r a t o r : to wszystko miało miejsce od 13 grudnia do powstania koncepcji żłobka?

Ks. D z i e r ż e k : nie tylko, ale już wtedy, choć nie znałem tych wszystkich faktów, wiedziałem dość, aby powstała taka właśnie koncepcja żłobka. O tym wiedzieli wszyscy, a te pierwsze 10 dni stanu wojennego były najbogatsze w wydarzenia.

Mogłem - oczywiście - udać, że nic mnie nie obchodzą ludzkie kłopoty, proble-

my, tragedie tych ludzi, którzy przyjdą na Pasterkę i na inne msze w okresie Bożego Narodzenia. Mogłem powiedzieć: niech się sami borykają z tym wszystkim, co sami przeżywają. Doszedłem jednak do przekonania, że wówczas zdradziłbym swoje sumienie, sprzeniewierzyłbym się swojemu powołaniu kapłańskiemu...

P r z e w o d n i c z ą c y : to, co ojciec mówi, nie ma bezpośredniego związku z rozpatrywaną tutaj przez nas sprawą, z oskarżeniem o konkretny czyn.

Adw. G r a b i ń s k i : proszę jednak Wysoki Sąd o pozwolenie na kontynuowanie wyjaśnień ojca rektora, a po ich wysłuchaniu do końca okaże się, czy było to zbędne, czy właśnie potrzebne.

P r z e w o d n i c z ą c y : proszę więc kontynuować.

Ks. D z i e r ż e k : spróbuję to krótko wytłumaczyć. Dla mnie kapłaństwo, odkąd zacząłem o nim marzyć, to jest od lat prawie dziecięcych, wiązało się zawsze z posługiwaniem społeczeństwu. Był to pewno wpływ mojej matki, która - choć była prostą kobietą wiejską - to nie była jednak przeciętną kobietą. Dowodem na to może być książka, jaka ukazała się o jej życiu w latach siedemdziesiątych. Była to praca zbiorowa wydana nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. To od niej, mej matki, nauczyłem się sprawiedliwości, czynnej miłości bliźniego, wrażliwości na każdą krzywdę ludzką.

Ta postawa pogłębiła się jeszcze przez moją formację zakonno-kościelną. Jeszcze lepiej zrozumiałem, że kapłan ma być z ludźmi, że ma dzielić z nimi szczególnie ich kłopoty, cierpienia, tragedie i bóle. Toteż od pierwszych lat kapłaństwa moją dewizą stały się słowa św. Pawła Apostoła: "Każdy kapłan z ludu wzięty, dla ludu jest ustanowiony". I słowa samego Chrystusa: "Nie przyszedłem, aby mi służyć, ale aby służyć". Te ostatnie słowa kazałem wydrukować na moim obrazku prymitywnym w Wilnie w 1944 roku.

Wobec tego, czy może być dziwne, że gdy zastanawiałem się nad urządzeniem żłobka w warunkach, jakie zaistniały po 13.XII.1981 samorzutnie przyszła mi myśl, by Chrystusa przychodzącego na naszą polską ziemię umieścić w realiach stanu wojennego. Niech wierni, którzy będą przychodzili oglądać żłobek, przekonają się, że ich rozumiem, że jestem z nimi, że jest z nimi Kościół, że w tej rzeczywistości twardej, brutalnej, czasem tragicznej wojennego stanu jest z nimi Chrystus. Że ten Chrystus jest jednym z nich, jest każdym z nich. I gdybym zbagatelizował tę myśl, to natchnienie - powtarzam raz jeszcze - popełniłbym zdradę wobec mego sumienia, mego powołania, wobec wiernych, którym służyć jest moim świętym obowiązkiem.

Oto, Wysoki Sądzie, jak i dlaczego powstał taki właśnie, a nie inny żłobek, za co jestem sądzony jako przestępca.

P r z e w o d n i c z ą c y : powiedział ksiądz rektor obszernie o swych wewnętrznych odczuciach, decydujących o takiej właśnie koncepcji żłobka, ale czy nie przyszło księdzu na myśl, że taki żłobek może podsycać nastroje niechęci? Że występuje on wręcz czynnie wobec "brutalnej rzeczywistości stanu wojennego", o czym ksiądz mówił? Szczególnie musieli to odczuć ludzie wierzący: te postacie, ci górnicy z "Wujka". Czy o tym ksiądz rektor nie pomyślał? O podsycaaniu niepokoju, o sianiu nienawiści, czy choćby - niechęci? Czy taki był cel? I ta płacząca Matka Boska...

Ks. D z i e r ż e k : uważam, że symbolika żłobka nikogo nie podburzała, ani nie wzywała do żadnych niepokojów. Nie doszło przecież do żadnych rozruchów, ani napaści, ani manifestacji. Dlatego też uważam, że treść tych symboli nawet w stanie wojennym nikomu nie mogła zaszkodzić.

O tragedii Kopalni "Wujek" wszyscy wiedzieli, mówiło o tym radio i telewizja, pisała prasa, było transmitowane wystąpienie gen. Jaruzelskiego.

Matka Boska płacząca...

To zapewne zadziwi Wysoki Sąd, gdy powiem, skąd przyszedł mi pomysł umieszczenia tego symbolu w żłobku. Otóż ten pomysł właśnie zaczerpnąłem z przemówienia wygłoszonego o tej tragedii przez gen. Jaruzelskiego, którego wysłuchałem w telewizji. Skoro on, mężczyzna, przywódca i żołnierz powiedział, że "ta tragedia wyciska mu łzy z oczu", to tym bardziej mogła nad nią zapłakać Matka Boża.

Wszystkie szczegóły tych wydarzeń były powszechnie znane, do kościoła przychodzili ludzie modlić się, przynieść swe kłopoty, niemałe kłopoty. I właśnie gdy zobaczyli, że Chrystus, świadom naszych warunków, przychodzi do nich, to ich uspokoiło, a nie podburzyło.

Mój komentarz żłobka nie był jego jedyną możliwą interpretacją, to są symbole a nie matematyka, gdzie $2+2=4$. Wierzyłem i wierzę, że ludzie z drutem kolczastym połączą Ukrzyżowanego, że wtedy nikt od Niego, z kościoła, nie odejdzie z uczuciem mściwości w sercu. Nie, nie bałem się, że ludzie to źle, opacznie zrozumieją.

P r z e w o d n i c z ą c y : czy ktoś księdza rektora pytał o znaczenie tego żłobka? Czy ludzi dziwiła jego słowna interpretacja?

Ks. D z i e r ż e k : moja interpretacja była trudniejsza, bardziej symboliczna i dlatego ją podałem. Jednak - interpretacje były różne, o czym najlepiej zaświadcza zeznania świadków.

P r z e w o d n i c z ą c y : czym jednak ksiądz rektor się kierował?

Ks. D z i e r ż e k : chęcią jak najbardziej współczesną w Kościele, by ludzie, wierni, mogli swe problemy osobiste przeżyć w świątyni.

P r o k u r a t o r : czy odmiennosc tego żłobka od innych nie była zamierzona?

Ks. D z i e r ż e k : bywają żłobki "współczesne", eksponujące aktualne problemy społeczne.

P r o k u r a t o r : czy w okresie okupacji hitlerowskiej, gdy naród był faktycznie krępowany, bywały np. w Warszawie takie żłobki?

Ks. D z i e r ż e k : znam to tylko z historii, bo w okresie okupacji nie byłem w Warszawie, ale wiem z całą pewnością, że były.

P r z e w o d n i c z ą c y : odczytuje wyjaśnienie z k. 21-23, złożone w czasie postępowania przygotowawczego: "Treść oskarżenia zrozumiałem. Przyznaję się do budowy żłobka, lecz nie przyznaję się do popełnienia przestępstwa. Istnieją dwa nurty sztuki kościelnej: historyczny i ahistoryczny, symboliczny, współczesniający. W tym określonym przypadku sądziłem i sądzę, że żłobek - choć przewrócony - można podnieść i ustawić jak nasz to - Polskę^x. Legendę do żłobka napisałem na swojej maszynie w jednym egzemplarzu. Pierwszy raz była odczytana na tzw. Pasterce, następnie czytali ją, wraz z ogłoszeniami, księża na kolejnych mszach; leżała na ambonie, jak ogłoszenia i komunikaty. Następnie legenda została u mnie, to jest w domu zakonnym. Żłobek 6 stycznia rozebrano na polecenie władz, uprzednio zostały wykonane jego zdjęcia. Uważałem i uważam, że symbolika żłobka nikogo nie podburzała". Czy tak ksiądz rektor powiedział i tak uważa nadal?

^x Zdanie niejasne w stenogramie.

Ks. Dzierzek: tak.

Adw. Kąkol: czy do ojca docierały osobiste przeżycia ludzi, związane z wprowadzeniem stanu wojennego? Proszę o tym opowiedzieć.

Ks. Dzierzek: wiedziałem o interwizjach, o aresztowaniach i nietrudno się było zorientować, jak to przeżywały rodziny. Z radia i prasy wiedziałem o Kopalni "Wujek" - to się przecież działo przed wystawieniem żłobka. Te pierwsze 10 dni stanu wojennego były najbardziej wyczerpujące. Chciałem dopisać społeczeństwu w spokojnym podejściu do tragedii.

Adw. Kąkol: czy akapit komentarza, że "można urządzić nasz wspólny dom" zawiera wezwanie do czegoś?

Ks. Dzierzek: tak, do optymizmu, wysiłku i pracy, a także do tego, by wyciągnąć wnioski, by po tych cierpieniach Ojczyzna była urządzona lepiej i sprawiedliwiej.

Adw. Kąkol: proszę ojca o opowiedzenie o swej drodze życiowej od września 1939.

Ks. Dzierzek: to wolalbym powiedzieć później, w "ostatnim słowie".

Adw. Grabiński: co ojcu wiadomo o tradycji żłobków warszawskich? Czy ojcu wiadomo, że od 40 lat groby i żłobki są osadzone w elementach aktualnych? Że - poza Kościołem Garnizonowym - wszystkie inne kościoły w czasie stanu wojennego umieściły akcenty współczesne? że były są? scenariusze?

Ks. Dzierzek: o kościołach warszawskich nie wiem dokładnie, ale mam tu zdjęcie grobu z kościoła jezuitckiego w Gdańsku. /pokazuje zdjęcie sądowi/.

/Wobec narastającego hałasu na sali przewodniczący wzywa do spokoju i zrobienia przejścia dla świadków. Tym ściśniam się jeszcze bardziej, by świadkowie mogli przejść. Adw. Grabiński składa zaświadczenie o chorobie i pobyciu w szpitalu świadka ks. Kowalskiego/.

X

Sąd przystąpił do przesłuchania świadków.

Zbigniew Zawadzki, lat 40, inż. elektryk, działacz KIK: nie znam aktu oskarżenia.

Przewodniczący: był pan przesłuchiwany w śledztwie, można to odczytać, może też pan powtórzyć tamte zeznania sam.

Z. Zawadzki: proszę nie czytać moich zeznań, bo za ich styl nie ponoszę odpowiedzialności, to zaznaczam.

Przewodniczący: trzeba było protokołu nie podpisywać, jeżeli się panu styl nie podobał. Zapis jest taki, jak się mówi, a jak człowiek wykształcony, to mówi poprawnie i tak się to protokołuje. Proszę mówić.

Z. Zawadzki: w Kaliszu powstał Klub KIK-u, usytuowany przy kościele c.o. jezuitów. W klubie odbywały się tylko odczyty o treści religijnej. Bywałem tam. Oglądałem także żłobek - moim zdaniem - bez zarzutu, wykonany techniką nowoczesną. Treść tego wszystkiego, co przedstawione, uważam za logiczną, bo Matka Boska płacze nad przyszłym losem Syna, który przacza. Faktu istnienia czerwo-

nych plan z niczym nie kojarzyłam i nadal nie kojarzę.

Władysław Kaszycki, lat 53, duchowny: proszę o odczytanie dla przypomnienia moich poprzednich zeznań, bo pamięć może zawieść.

Przewodniczący: czyta z kart 7-8 zeznania złożone 4.I.1982: "W kaliskim domu zakonnym jezuitów jestem od roku, przybyłem z Torunia. Do moich obowiązków należało zapoznanie domu. Chyba w samą Wigilię zobaczyłem żłobek z czerwoną pianą - krzyżem. Za niego tutaj pobytu był to pierwszy żłobek. Kto go wykonał - nie wiem, odpowiedzialny za niego z pewnością był ks.Dzierżka. Nie wiem, czy się z kimś w tej sprawie konsultował; sądzę, że sam go zaprojektował. Po wystawieniu szopki ksiądz rektor wyjechał do Warszawy na swoje rekolekcje. Spodziewałem się, że powróci w najbliższych dniach.

Słownie objaśnienia do szopki odczytane 25.XII.1981 na siedmiu mszach, ja też je czytałem, ale treści nie pamiętam. Oryginał znajduje się w gabinecie ks. Dzierżki.

Ce do jakiegoś plakatu na bramie klasztornej, to nie widziałem go, nie wiem, czy był i kto go powiesił, jeśli był".

Ks. Kaszycki: dodam, że gdy żłobek obejrzałem, gdy porozmawiałem o nim z ludźmi, to uważam, że z pewnością zawierał treści spokojne, nie podburzające, a przeciwnie - uspokajające. Powiem, że żłobek dokładnie oglądałem dopiero po tantym przesłuchaniu, poprzednio zbyt byłem zajęty, a żłobków w życiu widziałem bardzo dużo, nie sądziłem, by ten był taki szczególnie ważny...

Przewodniczący: czy w zakonie nie było na ten temat dyskusji?

Ks. Kaszycki: nie słyszałem jej, a oglądać wcześniej żłobka po prostu nie chciało mi się, obejrzałem go dopiero po przesłuchaniu, wtedy bardzo zainteresowany. Wtedy także pytałem ludzi o ich zdanie, o czym już wspominałem.

Lesław Łoniewski, lat 50, organizator 24.XII.1981 od ok.15.00 do ok.16.00 ćwiczyłem na orsznach. W kościele, po lewej stronie, stały przypięsione plansze, ustawiono żłobek. Ustawiali go sownicjusze, nie znam ich, a księży nikogo tam nie widziałem. Przed Pasterką, gdy żłobek był ukończony, uszedłem, by go obejrzeć.

Przewodniczący: jakie panu nasunął refleksje?

Łoniewski: plansze, przedstawiające robotników, z niczym mi się nie kojarzyły. Żłobek był w zasadzie inny, niż zwykle: nie było figur Św.Rodzi-ny, tylko plansze, a sam żłobek był przewrócony. Ce to miało znaczyć - nie zastanawiałem się. Nie, żadnych refleksji nie miałem, po prostu o tym nie myśla-łem.

Przewodniczący: ujawnia z k.9-11 zeznania Łoniewskiego złożone 5.I.1982 r.: "Pracuję w kościele o.o.jezuitów w systemie godzinowym, gram i prowadzę chór tylko w czasie mszy i nabożeństw. 24.XII po południu ćwiczyłem, gdy dwaj sownicjusze, których nie znam, ustawiali żłobek. Oprócz nich był ks.Kowalski i mężczyzna z brodą, chyba spóźnił się z klasztoru, którego nie znam. Podszedłem, bo zauważyłem, że ten żłobek nie przypomina zwykłego żłobka, jest po prostu inny. Brat Kowalski powiedział, że to są górnicy, że nad nimi Matka Boska płacze.

Po godzinie grania poszedłem do domu, dopiero w czasie Pasterki zauważyłem całą, już gotową szopkę, ale przed oktarzem nie byłem, nie chodziłem, popatrzy-łem tylko z góry, z obrotu. Nie wiedziałem, że warto chodzić. Ludzie byli zain-

teracowani, niektórzy, jak słyszałem, mówili, że to nie jest klasyczna szopka. Nie wiem, kto ją projektował.

Na drzwiach kościoła był napis: Ołtarzem grudnia 1981. Widziałem go w czasie Pasterki, po południu go nie było. Nocą tam wspaniale gniło.

25.XII ks. Szymalkiewicz objaśniał treść szopki podczas homilii. Nie bardzo słuchałem, bo ja kazał na ogół nie słuchać, zwykle wtedy czytam. Na okazany mi zdjęciu szopki ten rozpoznaje”.

Prokurator: jakie były poprzednie szopki, oglądano przez pana w tym kościele?

Leś on i e w s k i: takie... zwykłe. Ten się od nich różnił.

Prokurator: w jakim sensie?

Leś on i e w s k i: no... był inny po prostu.

Adv. K a k o l i: proszę, aby świadek się zastanowił, czy nie odebrał tego szopka jako podburzania, propagandy antypaństwowej?

Leś on i e w s k i: nie.

Adv. G r a b i Ń s k i: czy była poprzednio w kościele o.o. jezuitów szopka z Dzieciątkiem na bruku? Na ulicznym bruku?

Leś on i e w s k i: nie wiem, nie pamiętam.

T a d e u s z D o m e r a d z k i, lat 22, uczniowy: proszę o odczytanie moich zeznań z 12.I.1982.

Przewodniczący czyta z kart 12-13: "Tegoroczna szopka-złobek zobaczyłem po raz pierwszy w czasie Pasterki, umieszczona była po lewej stronie kościoła. Szopka ta była inna, nie mająca zwykłych elementów, jakie się normalnie umieszcza. Dzieciątko chyba na sianie, ale są i jakieś spirale, nie wiem, czy to drut kolczasty. Nie wiem, czy ta czerwona plama, to Bza Matki Boskiej. Nie wiem, kto to malował, kto projektował. Odpowiedzialność ponosi ks. Dzierżek, brat Kowalski nie miał z tym nic wspólnego.

Podczas mszy o 10.00 czytałem objaśnienia ks. Dzierżki, ale tego tekstu nie pamiętam, nie uszyłem się go na pamięć. Żadnego napisu na drzwiach kościoła nie widziałem”.

Ks. D o m e r a d z k i: podtrzymuję te zeznania, nie mam do dodania.

J a n B a r t ł e w i e z, lat 40, uczniowy: poproszę o odczytanie moich zeznań z 5.I.1982.

Przewodniczący czyta z k.14-16: "Tegoroczna szopkę zobaczyłem po Pasterce, która była koncelebrowana, ja także koncelebrowałem. Szopka stała po lewej stronie kościoła, przed ołtarzem Matki Boskiej. Szopka ta nie jest tradycyjna, ale u nas, w naszym zakonie, zawsze tradycja nawiązuje do aktualnych wydarzeń. Jest taka tradycja nietradycyjności. Komentarz do szopki czytali wszyscy księża, ja też. Przypominam sobie, że postać z plamą to robotnicy Śląska i tamtejszy rozlew krwi. Ma to symbolizować wydarzenia tegoroczne, to jest grudniowe.

Chyba dekoracja tą zajmował się ks. Dzierżek, montowana była przez nas, księży.

nie przez których - nie wiem. Żadnego napisu na drzwiach nie widziałem, nie wiem, czy jakiś w ogóle był".

Ks. Bartłomiej: tak, potwierdzam to.

Władysław Figiel, lat 38, duchowny: proszę o odczytanie zeznań skoczonych przeze mnie 9.I.1962, które ewentualnie uzupełnić.

Przewodniczący czyta z k.16-17: "Bogocena szopka-żłobek zainszenowały 2b.III.1961 ok. godz. 13.00. Faktycznie odbrzmienie to jako odejście od formy tradycyjnej, ale odejście to jest u jezuitów czczone, właśnie tradycyjnie: klasyczne postacie są inaczej skapartowane. Tak było i tym razem - Chrystus na zwoju drutu, wspan, tylko twarz Matki ze zga..."

Kto montował - nie wiem, projektuje zwykle ks. Dzierżka. W czasie mszy kolejnych czytany był komentarz ks. Dzierżki, w którym to komentarzu symbolika nawiązywała do wprowadzenia etamu wojennego i powstałych w związku z tym napięć.

Napis na drzwiach sanuwałkiem po świętach, pozostał nie wiem".

Ks. Figiel: potwierdzam to wczepnie, lecz pągnę je uzupełnić w odniesieniu do kolędy, o która oparty niejako był żłobek. Koleśa ta mówi o tym, że dla Dzieciątka zebrał miejsce w mieście Betlejem. Słowa kolędy mówią: "Gdzie Cię szukać? - W grocie", a więc szopka oparta była o kolędę tej treści, której dalsza część mówi: "Nie ma dla Ciebie miejsca w czasie burzy / W czkowiecziej duszy".

Żłobek - właśnie u jezuitów - bywa zawsze nietradycyjny. Był już bruk uliczny, taki z kamieni, na nim Pan Jezus, wyrzucony tam przez ludzi. Był i drugi żłobek nietradycyjny: małe światłoneg jasno wicherca, na którego oknami ludzie się bawią - bez religii, bez hamulców - po prostu "ubaw", a Chrystus wyrzucony na asfalt, na ulicę. "Jakie były te żłobki "nietradycyjne", z których estalni to już trzeci.

Przewodniczący: może ludzie niewierzący nie rozumieli tego, może dla niewierzących, jak i dla wierzących, tańce nie były tak ostre w wymowie, jak ten ostatni?

Ks. Figiel: tańce żłobki, wszystkie, znaczą uwagę tym, którzy grzeszą ciężko, śmiertelnie. Właśnie do nich były adresowane.

Przewodniczący: czy stan wojenny, jego wprowadzenie, zostało w jakiś sposób przyjęte przez ludzi tak, że uważano, iż należało go bojkotować? Czy do tego nawiązywała szopka?

Ks. Figiel: nie nieporozumienie polega w tym wypadku na tym, że "nikt wpałszy śnieg nie białym jej naszym, ani kładzie pod kółko, ale stawia na świeczniku, aby ci, co wracają, widzieli światło".

Prokurator: czy to własna księdza interpretacja?

Ks. Figiel: nie, to Ewangelia według św. Łukasza /świątek/.

Przewodniczący: tak to świadek pojmuję zatem...

Ks. Figiel: tak właśnie.

Adw. Kąkol: jak Kościół traktuje spokojnie rzesze wiernych?

Ks. Figiel: służy im.

R e z u l t a t y: przypominał Wysokiemu Sądowi, że ks.Kowalski jest w szpitalu, po operacji.

P r z e w o d n i c z ą c y: według opinii lekarzy, zakończony tutaj, kuracja potrwa około miesiąca, przeto więc strony o wznieski.

Adw. K a k o l i: ks.Dziurzyński stoi pod zarzutem wykorzystywania obraźliwych na szkodę PRL. Nie wdając się w szczegóły proceduralne - trzeba ustalić zamiar - ustalić, czy sprawa działała z określonym zamiarem. W każdym czasie musi się manifestować nie tylko zewnętrznie, ale i wewnętrznie działaniem. Nie może być przestępstwa bez zamiaru popełnienia go.

Obrońca stawia wniosek o powołanie na świadków prof.Charytańskiego i prof.Pasierb z Warszawy na okoliczność, czy odejście od tradycji w tym przypadku jest zgodne z aktualnymi dążeniami Kościoła. Ocena tych autorytetów, osoba świątka, którego dokumentacja fotograficzna i słowna dysponujemy, pozwoli ustalić, czy można tutaj w ogóle dopatrywać się przestępstwa?

Adw. G r a b i Ń s k i: chodzi tu o ustalenie przekroczenia granicy uprawnień kapłańskich. Nikt z nas nie jest wykształconym teologiem, ani Wysoki Sąd, ani pan prokurator, ani obrońca - poza oskarżonym, a więc nikt z nas nie się, za czym w rzeczywistości polega postęga kapłańska. Ma to wielkie znaczenie, bowiem po raz pierwszy sąd chce sądzić za wykonywanie posługi kapłańskiej. Trzeba przede wszystkim ustalić, czy nie jest to próba wejścia władzy świeckiej na teren Kościoła. Trzeba wiedzieć, jak dalece służba kapłańska może sięgać.

Ks.prof.Charytański jest profesorem Akademii Teologii Katolickiej, właśnie profesorem teologii, zaś sąd może i powinien sięgać po autorytety. Prof.Pasierb może nam zrelacjonować, jak dalece osławiany 22000k odiega od zwyczaju. Nam, to jest obrońca, osoby wymieszane wydają się najważniejsze. Ich zdanie powinno rozstrzygnąć, czy w określonym przypadku zaistniało przestępstwo, czy był zamiar tego przestępstwa.

P r o k u r a t o r: nie sprzeciwiam się temu wnioskowi, bo istotnie rozpatrywana jest tutaj sprawa o wadze ekumenicznej, sprawa precedensowa. Jestem za tym, aby powołać najwyższe autorytety teologiczne, nawet i marksistowskie: niech odpowiedzą, gdzie jest prawda i prawo w tej sprawie, konkretnej sprawie - czy czyn ten miał znamiona przestępstwa z art.194 k.k., czy nie miał. To właśnie będzie musiało być ustalone: gdzie przebiega granica między ingerencją w sprawę wiary a postępowaniem dewocyjnym.

P r z e w o d n i c z ą c y: sąd postanawia przychylić się do wniosku obrony, popartege przez oskarżyciela i powołać wskazanych świadków oraz świadka ks.Kowalskiego.

Sąd postanawia rozprawę przerwać na ustawowe 21 dni, zaś w przypadku, jeśli strony wyrażą zgodę - do czasu, gdy możliwe będzie stawiennictwo wszystkich wymienionych świadków. Po otrzymaniu informacji, kiedy świadkowie będą mogli się stawić, zapadnie decyzja sądu co do następnego terminu rozprawy.

/Obie strony wyraziły zgodę, wobec czego rozprawę przerwało./

Listy do redakcji

Stefan Yerboński

LIŚĆ DO REDAKCJI

Drugi Panie Redaktorze!

Waszyngton, 4 sierpnia 1983

Niezapomniałbym Mariu Hemer, którego przyjaźni bardzo sobie cenikiem, w ostatnich latach swojego życia zwykł był powtarzać: "Jestem za stary na to, by kłamać". Prze-robiliem tę maksymę dla siebie na "jestem za stary na to, by milczeć" i chciaś niechętnie, ale czuję się zobowiązany jako jeden z nielicznych pozostałych przy życiu przyznaców wojennego podziemia do zabrania głosu w sprawie tekstu wygłoszonego w kościele św. Stanisława na Żoliborzu przez Jana Józefa Lipskiego, któremu opublikowanie przez **K u l t u r ę** z czerwca 1983 pt. "Polscy Żydzi" nadało charakter zasadniczej deklaracji, z jaką się nie we wszystkim mogę zgodzić.

Mam nadzieję, że moje uwagi **K u l t u r a** opublikuje, przywracając pewną równowagę jednostronnemu omówieniu 40-tej rocznicy powstania w getcie warszawskim przez pana Józefa Lipskiego, którego zreszta bardzo szanuję za jego rolę w KOR-ze oraz za to, że musząc wybrać w Londynie wolność, wrócił dobrowolnie do jaskini lwa.

Lipski twierdzi, że walka bojowców z getta warszawskiego podjęta w obronie godności ludzkiej ma "optymalne znaczenie moralne zarówno dla Żydów, jak i dla całej ludzkości, w tym przede wszystkim dla narodu polskiego". Zdaje sobie sprawę i zdawałem z niezmiernego, wielostronnego znaczenia, jakie miał wybuch powstania w getcie warszawskim 19 kwietnia 1943, czego dowodem fakt, że jako szef Kierownictwa Walki Cywilnej wysłałem do Londynu pierwszą depeszę o jego wybuchu następującej treści:

"Wczoraj Niemcy rozpoczęli likwidację 35 tysięcy Żydów w getto u nas. Żydzi się bronili, słychać strzały i wybuchy granatów. Niemcy użyli czołgów i samochodów pancernych. Mają straty. W kilku miejscach pożar. Przemówcie do getta". /Patri "Kto ratuje jedno życie... Polacy i Żydzi 1939-1945" Kazimierza Iranek-Osmeckiego. 30. str. 217/.

Oczywiście godzę się z tym, że śmierć około tysiąca bojowców, którzy jedyni z półmilionowej bierzej maszy zamkniętej murami getta postanowili drogo sprzedać swoje życie, ma wielkie znaczenie dla Żydów, ale nie widzę powodu, dla jakiego by miała jeszcze większe znaczenie dla Polaków. Jako wzór do naśladowania ta walka i śmierć byłoby spóźnione, gdyż do 19 kwietnia 1943 setki żołnierzy podziemia zaskoczonych przez hitlerowców w konspiracyjnych kryjówkach, drukarniach, warsztatach, fabrykach, transportach, wreszcie otoczonych w oddziałach partyzanckich, nie podnosiło ręk do góry, lecz walczyło do końca, by drogo sprzedać swoje życie i ginąć w beznadziejnej walce lub zażywać truciznę, jak później Anielewicz i jego sztab. Klasyycznym przykładem w tej mierze jest major Hubal /Henryk Dobrzański/ i jego kilkuset żołnierzy, którzy we wrześniu 1939 nie złożyli broni i walczyli samotnie, mając pełną świadomość tego, że prędzej czy później muszą zginąć, i zginęli. Jeśli zaś chodzi o przykład dla potomności, to nic nie jest w stanie zadziałać pod tym względem epopei Powstania Warszawskiego, którego 40-letnią rocznicę będziemy obchodzili w roku przyszłym.

Dalej Lipski wpada sam ze sobą w sprzeczność, gdyż z jednej strony stwierdza, że dowództwo AK i Delegatura Rządu nie miały moralnego prawa i racjonalnych uzasadnień, by w obronie walczącego getta rozszerzyć zagładę /czyli powstanie/ na całą ludność Polski, a z drugiej każe nam się wstydić, że w obawie o własną skórę godziliśmy się na zbrodniczą dokonywaną przy nas. To "w obawie o własną skórę", czyli z tchórzostwa, braliśmy wręcz ubliżającą w stosunku do narodu, który niestety słynie raczej z nadstawiania skóry nawet tam, gdzie nie potrzeba.

Pomoc AK dla walczącego getta nazywa Lipski "symboliczną", chyba nie wiedząc o tym, że w naradach oficerów Komendy Głównej AK, majora Stanisława Webera /Chirurg/ i kapitana Zbigniewa Lewandowskiego /Szyma/ z przedstawicielami Żydowskiej Organizacji Bojowej z góry ustalono, że tylko akcje dywersyjne z zewnątrz murów getta są możliwe, będą podjęte - i zostały podjęte. Było ich łącznie z akcjami wszystkich podziemnych organizacji dwadzieścia sześć, co wykracza poza ramy pomocy symbolicznej. /Patrz zestawienie w Ż y c i u L i t e r a c k i m z 16 kwietnia 1978/.

Wykroczyła także poza te ramy walka oddziału Korpusu Bezpieczeństwa pod dowództwem kapitana rezerwy Henryka Iwańskiego, który przedostał się do getta przez podkop w piwnicy przy ul. Muranowskiej 6, zajął pozycje w ruinach domów na Placu Muranowskim i ul. Różewki i walczył tam do upadku powstania. W walkach zginął brat Iwańskiego, Wacław i synowie Zbigniew i Roman. Po wojnie Iwański i jego żona Wiktorja zostali odznaczeni Medalami Yad Vashem. O tym udziałzie Polaków w walkach wewnątrz getta Lipski nie wspomina ani słowem.

Co do ludności Warszawy, to patrzyła ona ze zgrozą i współczuciem na walkę i niszczenie getta, ale nie odczuwała z tego powodu ani wstydu, ani wyrzutów sumienia. Zresztą sama żyła we własnym getcie, jakim była cała Warszawa terroryzowana i dalsiatakowana przez łapanki, wywożenie na roboty, masowe aresztowania i pułdżona przez wędzące przydziały żywności. Jeśli zaś ciekawie policyjną i wyjątkową obojętność, to była to obojętność ludzi tak zajętych ratowaniem własnego życia, że na ratowanie innych już nie starczyło sił. Tymczasem Lipski stwarza wrażenie, że ta ludność żyła normalnym życiem i tylko w obawie o własną skórę nie przysłała gettu z pomocą.

Natomiast powstanie w getcie zajęło w historii Polski porządne miejsce z tego powodu, że wybuchło w jej stolicy, walczyli w nim Żydzi obywatele polscy i nie tylko pod sztandarem biało-niebieskim, ale również pod biało-czerwonym. Było to pierwsze zbrojne wystąpienie Żydów polskich w walce, która po wrześniu 1939 roku nie ustęła na ziemiach polskich ani przez chwilę.

Wreszcie Lipski, niby broniąc Polaków przed oskarżeniami opartymi na zasadzie

odpowiedzialności zbiorowej, parusza jednak zjawisko współpracy niektórych z nich z Niemcami w tropieniu Żydów. Ale jakoś nie przyszło mi do głowy, by dla całości obrazu dodać, że polskie władze podziemne zapowiedziały w swych odczewach przedrukowanych przez całą prasę podziemną i potwierzonych przez radio zachodnie, że winni tego przestępstwa będą surowo ukarani i że sądy podziemne skazały na śmierć za takie przestępstwa jedenaście osób. Wykonanie tych wyroków zostało również ogłoszone przez prasę i radio i podziało na potencjalnych przestępców odstrasza-
 jaco /patrz "Polskie Państwo Podziemne - przewodnik po podziemiu z lat 1939-1945" Stefana Korbońskiego, str.130 i 131/.

Na zakończenie dodam, że Lipski, który wyposaiał Polaków strach o własną skórę, obojętność i współpracę z Niemcami w prześladowaniu Żydów, nie wspomniał ani słowem o przeciwnym zjawisku, jakim było powstanie i działalność Rady Pomocy Żydom, tzw. "Żegoty", która uratowała życie tysiącom prześladowanych.

W związku z tym sądzę, że tekst Lipskiego nie zasługiwał na rangę zasadniczego oświadczenia, które mu nadało ogłoszenie w **K u l t u r a e** za czołowym miejsca.

Sciskam mocno dłoń Pana

Stefan Korboński

"Kultura", wrzesień 1983

Spis treści

Czesław Miłosz - Dostojewski i Sartre	3
Alain Besançon - Drugie milczenie Kościoła	14
M. Broński - Rzecz o inspiracji	17
Jan Józef Lipski - Polscy Żydzi	23
Gustaw Herling-Grudziński - Dziennik pisaný nocą	27
Gustaw Herling-Grudziński - Dziennik pisaný nocą	33
Tymoteusz Klampki - Pielgrzymka i pielgrzymstwo	38
W czym żyjemy? - Z Andrzejem Kijewskim rozmawia Ewa Berberysz	46
Włodzimierz Odojewski - W stepie, ostach i burzanie	54

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger - Widziana z Brukseli	57
Zbigniew Byrski - Podbój Ameryki Środkowej	65
Jan Nowak - Zamach na Papię	71
Leopold Unger - Mój kuty-repört o stanie wojennym	80
Józef Garliński - List z Londynu	90
Jan Nowak - Polska i ZSRR z perspektywy Białego Domu	94
Leopold Unger - Jalta - Helsinki - Madryt	100
Józef Garliński - List z Londynu /2/	107
Tomasz Mianowicz - Czy Zachód przetrwa do roku 1984?	112
M. Broński - Sytuacja w Afganistanie	120
Zbigniew Fallenburg - O sankcjach gospodarszych wobec Polski	124
Leopold Unger - Widziana z Brukseli	134

KRAJ

Stefan Bratkowski - Polska: życie na adresemowym wulkanie?	142
Stefan Kisielewski - Baniola publicystyki	145
Świadectwo w sprawie Adama Michnika	158

SĄSIĘZI

Adam Kruczek - W sowieckiej prasie	161
Adam Kruczek - W sowieckiej prasie	166

POLEMIKI

E.J. - List z Kraju	171
Konstanty A. Jeleński - Do Artura Sandánera - bez taryfy algowej	174

LISTY Z WIĘZNIENIA

Adam Michnik - List do prokuratora	179
--	-----

KRONIKA KULTURALNA

Czesław Miłosz - Przemówienie na paryskiej Sorbonie 26.10.1983	181
--	-----

SPRAWY I. TROSKI

Michał Herwicz, Józef Lichten, Szymon Wiesenthal, Jan Karcki, Jerzy Lerski, Jan Nowak - Sprawa stosunków polsko-żydowskich	185
---	-----

DOKUMENTY

Sprawozdanie z rozprawy przed Sądem Wojewódzkim w Kaliszu przeciwko o.Stefanowi Dzierżkowi dnia 28 kwietnia 1982 r.	186
---	-----

LISTY DO REDAKCJI

Stefan Korboński - List do Redakcji	198
---	-----

R. Aron	Widz i uczestnik
A. Besançon	Drugie milczenie Kościoła
M. Brandys	Twardy człowiek
E. Bryll	Boże, uchroni nas od nienawiści
W. Bukowski	I powraca wiatr...
A. i L. Ciołkoszowie	Niepodległość i socjalizm 1835 - 1945
J. Daniel	Mówi Moskwa
M. Edelman	Getto walczy
J.K. Kelus	Piosenki ze starej kasety
J.K. Kelus	Z nie skończoną wciąż piosenką
S. Kisielewski	Bez cenzury
L. Kołakowski	Kłopoty z Polską
Komitet Helsiński	
w Polsce	
W. Kuczyński	Prawa człowieka i obywatela w PRL. Raport 2
J.J. Lipski	Obóz
J.J. Lipski	Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy
T. Łepkowski	KOR
A. Małanowski	Myśli o historii Polski i Polaków
J. Mieroszewski	O zasadzie wolności związkowej
S. Mikołajczyk	Materiały do refleksji i zadumy
Z. Młynář	Gwałt na Polsce
J. Nemo	Perspektywy i konsekwencje "normalizacji" w Polsce
J. Nowak	Śmierć "Ognia"
M. Poleski	Polska pozostała sobą
ks. J. Popiełuszko	Wolność w obozie
A. Steinsbergowa	Homilie
S. Wyszynski	Proces KSS KOR - refleksje i analogie
	Kultura bolszewizmu a inteligencja polska

- Solidarność w stanie wojennym /praca zbiorowa/
- Społeczeństwo wobec przemocy /praca zbiorowa/
- Cud nad Wisłą /teksty J. Piłsudskiego i M. Tuchaczewskiego/
- Nie jedziemy do Moskwy /red. P. Rodel/
- Ślepotą /red. M. Radecka/
- Gryps z Kwidzyna
- A mury runą, runą, runą...
- Kazania wojenne
- Who's who, what's what KSS KOR
- Program KOS
- PPN. Polityka niepodległościowa
- Zakazane piosenki /red. M. Radecka/
- Kawał Polski /red. M. Radecka/
- Mały konspirator
- "Kultura", wybór z rocznika 1981
- "Kultura", wybór z rocznika 1982
- Obóz nr 8

TEKI ZDJĘĆ I ALBUMY: K. Mielezsko: 3 Maja 1982 w Warszawie; Internowani - Białołęka; A. Krauze: Rysunki '82; "Jestem gotowy na wszystko" - Pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki, Warszawa, 3.11. 1984.